

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

476 2/114

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1869.

Tom drugi.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1869.

4620 - 1869. 2

II

X-14213
4620 / II 2.

1869

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 15 (27) marca 1869 r.

Censor, J. Bieszczyński.



30.000,-

HISZPANIA

I. Od pewnego czasu uwaga publiczna Europy a w części i Ameryki zwrócona jest na półwysep pirenejski a osobliwie na Hiszpanią. Dokonany prawie bez rozlewu krwi przewrót w tym kraju, upadek dynastyi panującej przeszło półtora wieku, tułactwo ostatniej królowej Izabelli II, liczne i nagle po sobie następujące zmiany w urzędzeniu kraju przez rząd tymczasowy zaprowadzane: wszystko to zasługuje na bliższe poznanie. A chociaż wypadki hiszpańskie rozwijając się na krańcu Europy, ani na pokój świata, ani na pokój Europy zbyt dotykalnie nie wpływają; jednakże przy solidarności interesów wszystkich społeczeństw cywilizowanych, oddziaływających na siebie, nie pozostaną bez następstw.

Jak tylko w Hiszpanii wybuchła ostatnia rewolucya, nie brakło głosów, zwłaszcza we Francyi, posądzających hr. Bismarcka o dostarczenie na nią pieniędzy, ażeby w ten sposób ubezwładnić działalność Francyi i odwrócić oczy Europy od stosunków niemieckich w inne strony. Nie mając ani pośrednich ani bezpośrednich stosunków z polityką tego męża stanu, nie ośmielamy się ani twierdzić ani przeczyć powyższemu oskarżeniu. Z drugiej strony jednak, trudno nie ruszyć ramionami słysząc pewność i śmiałość z jaką dziennikarze a za nimi pseudopolitycy odkrywają najtajniejsze sprawy gabinetowe, o których tak rozprawiają jak gdyby byli obecni przy ich układaniu. Zdaje się, że gdyby ci panowie lepiej znali przeszłość Hiszpanii, choćby z ostatnich lat 50 i jej stan obecny; przekonaliby się, że rewolucya osta-

tnia miała źródło przedewszystkiem w wewnętrznych stosunkach jak: nieład finansowy, nietolerancja religijna i polityczna, niekarność armii, nieudolność administracyi i t. p.

Gdyby Hiszpanie czytali to, co o nich piszą cudzoziemcy, byliby niezawodnie zgorzeleni ich niewiedomością lub złą wolą, tak jak my oburzamy się czytając francuzkie lub niemieckie ćwiczenia o Słowiańszczyźnie. Z wiadomości zaś jakie mamy o pewnym kraju, tworzy się nasz sąd o jego przyszłości. Mylne lub niezupełne wiadomości prowadzą do mylnych wniosków. Ponieważ znów o sprawach publicznych każdy wyrokuję, czyli innemi słowy, każdy jest politykiem; nic dziwnego że w materyach dotyczących państwa spotyka się raz naraz całkiem bezzasadne mniemania. Jeden np. wyobraża sobie Hiszpanią jako kraj wielce zacofany, fanatyczny, ciemny, przesądny, w którym św. Inkwizycja znalazła trwałe i wygodne siedlisko; drugi wie, że malaga i xeres przychodzą z Hiszpanii; trzeci dowiedział się choćby z podróży à la Tripplin, o kastaniettach, kacuczcy i fandango. Możliwość się założyć, że daleko mniej słyszało o czynach Filipa II, o Cerwantesie, Kalderonie, Maryanie, Servecie i t. d. Nie mniej jednak na podstawie podobnych wiadomostek miejscy i wiejscy politycy szeroko rozprawiają o tém co się stanie z Hiszpanią. Pierwszym zaś warunkiem trafnego sądu o jakimś kraju, jest znajomość jego przeszłości i stanu teraźniejszego. Co do przeszłości Hiszpanii, o téj ciekawej czytelnik znajdzie szczegóły w każdej *Historyi*, nawet podręcznej; za to trudniej byłoby mu poznać obecny stan tego kraju. Dla tego w artykule niniejszym zaznajomimy go, o ile materyały pozwalają, z niektórymi stronami bytu społecznego Hiszpanii. Byt ten jest właśnie podstawą, na której się kształtuje organizm polityczny. Nie znając Hiszpanii zblizka, musimy poprzestać na tych danych, jakie zawierają świeższe i niepodejrzanej wartości dzieła zagraniczne. Chociaż więc opowiadanie nasze straci na malowniczości, zyskać może na pewności i ścisłości, a tém samém upoważni czytelnika do utworzenia sobie przybliżonego wyobrażenia o kraju, najmniej może między nami znanym.

II. Wiadomo zapewne wszystkim czytającym, że ojcem tułającą się dziś na obczyźnie królowej Izabelli II, był Ferdynand VII, a matką żyjącą jeszcze Marya Krystyna z Burbonów

neapolitańskich. Była ona czwartą z rzędu małżonką ograniczonego i niedołęznego Ferdynanda VII, który po ukończeniu wielkich wojen Napoleońskich wrócił na tron hiszpański i z pomocą „kamarylli” oraz „junty apostolskiej” rządził najniezwyklej Hiszpanią aż do śmierci swojej w r. 1833.

Po śmierci jego stała się Hiszpania teatrem długiej i krwawej wojny domowej, skutkiem zmiany dawnego prawa następstwa, według którego powinien był nastąpić brat królewski Don Karlos, a tymczasem objęła rządy wdowa Krystyna jako opiekunka 3-letniej Izabelli i rejentka państwa. Don Karlos znalazł stronników w prowincjach biskajskich a dowódcy jego Zumalacarregui i Kabrera skutecznie się opierali dowódcom królewskim. W końcu żyjący jeszcze Espartero ofiarując Baskom zachowanie dawnych przywilejów, *fueros*, skłonił ich do odstąpienia sprawy Don Karlosa.

Tymczasem doszła pełnoletności Izabella II i w roku 1843 ogłoszoną została mając lat niespełna 13, królową Hiszpanii. Duszą rządu był Espartero, który i królową matkę umiał trzymać na wodzy, ile razy zanadto chciała się wtrącać do spraw publicznych. Złym aniołem, że się tak wyrażę, Burbonów hiszpańskich był Ludwik Filip, który chciał koniecznie którego z synów swoich osadzić na tronie hiszpańskim. Pomagała mu w tém sama Marya Krystyna. Za wpływem Ludwika Filipa, Izabellę wydano za niedołęznego Franciszka z Assyżu, (1846 r.) a siostrę jęj Ludwikę za syna Ludwikowego, księcia Montpensier. Ludwik Filip liczył na to, że Izabella nie doczeka się potomstwa ze swojego męża i że syn jego z czasem włoży koronę hiszpańską. Rachuby te jak wiadomo, zawiodły króla francuzkiego: Izabella doczekała się liczego potomstwa, dla którego jednak nie umiała zachować, ani powagi królewskiej, ani tronu.

Rządy Izabelli były dalszym ciągiem rządów jęj ojca, powstania i reakcyi, zmiany ministrów i rządy kamarylli: O'Donell, Narvaez, siostra Patrocinio i ojciec Klaret, Serrano lub Gandara, naprzemiany stali u steru rządu lub panowali nad sercem i sumieniem królowej. Gdy zaś nie stało O'Donnell'a i Narvaeza, gdy złe doszło kresu, nie mogli uratować królowej ani ojciec Klaret z siostrą Patrocinio, ani Gonzalez Bravo z Marforim.

Rzadko kraju, a nawet w Europie nie ma żadnego, któryby w ciągu ostatnich lat 50 przeżył tyle wstrząśnień politycznych co Hiszpania. Gdyby obliczyć wszystkie większe i mniejsze powstania w tym okresie, przypadłoby może na rok jedno. A co zmian ministrów! Wszyscy zaś exministrowie, choćby tylko dzień urzędowali, pobierali wysokie pensye, tak że rząd tymczasowy obecny zajrząwszy do budżetu, znalazł kilkuset exministrów i innych dygnitarzy kosztem skarbu żywionych.

Zauważano, że wszystkie rewolucye hiszpańskie podnosiło wojsko nie wyłączając ostatniej. Dla wytłumaczenia sobie tego faktu rozumowano jak następuje: W Hiszpanii tylko cienka warstewka społeczeństwa nasiąkła nowożytnymi pojęciami; cała zaś massa ludu stanowiąca przynajmniej $\frac{3}{4}$ całego zaludnienia, znajduje się w takiej ciemności i ubóstwie, że do głów jej nie mogą znaleźć przystępu wszystkie, choćby najliberalniejsze zasady nowożytne. Ta massa ludu, pomimo licznych wstrząśnień pozostała po dawnemu nieruchomą, a ztąd wszelkie konstytucye czy to przez kortezy uchwalane, czy przez rząd nadane, są dla niej obojętne. Tę massę możnaby poruszyć na krucyatę za wiarę; ale nie w obronie idei liberalnych, których nie rozumie. Ztąd poszło, że ile razy przywódcy ruchu zamyślali zmiany, jeżeli sami nie byli wojskowymi, musieli się z armią porozumieć dla przeprowadzenia swoich zamiarów, bo lud ani chciał, ani rozumiał o co chodziło. Przyszło zatem do tego, że kto miał armię za sobą, ten był panem położenia. Tak było i w ostatniej rewolucyi, której dokonali wojskowi: Topete, Prim, i Serrano ze współudziałem przywódców cywilnych.

Rządy Izabelli nie były ani lepsze ani pomyślniejsze od rządów jej ojca Ferdynanda VII. Właściwie rządili na przemiany Narvaez z O'Donnellem. Obaj żołnierze, dobrze znani armii, podtrzymywali tron własną energią i repressją pokazujących się nieustannie żywiołów rewolucyjnych. Gdy ich niestało, przyszedł do władzy Gonzalez Bravo, adwokat z powołania, nie bez energii, ale bez uroku w armii który chciał naśladować Narvaeza i jak tamten opornych deputowanych, tak ten kazał wywieźć kilkunastu znakomitszych generałów posądzonych o spiskowanie na wyspy Kanaryjskie i Balearskie. Już od 1866 r., to jest od ówczesne-

go powstania, wielu liberalnych bawiących na wygnaniu, mianowicie we Francyi, układało plan wypędzenia Burbonów tak, że podejrzenia rządu co do wspomnianych generałów nie były płonne. Wszelako i rozpaczliwy ten krok nie ocalił dynastyi, lecz tylko przyspieszył wybuch powstania. Tym razem marynarka dała mu początek w Kadyxie. Generałowie wygnani na wyspy, tacy jak Serrano, Kontreras, Dulcee, i inni wrócili potajemnie i rozwinęli chorągiew wywieszoną przez wice-admirała Topete w Kadyxie (17 września).

Królowa właśnie miała się widzieć z cesarzem Napoleonem w Biarritz, gdy jój dano znać o wybuchu. Wróciła zatem natychmiast do Sansebastian nie do Madrytu. Gonzalez Bravo podał się do dymissyi a z nim upadł cały gabinet, tak że nowy prezes mianowany już w Sansebastian, Koncha, nie mógł utworzyć całego ministeryum. Brakło amatorów na posady ministeryalne. Koncha może widząc bezskuteczność oporu a może w porozumieniu z przywódcami powstania nie silił się na obronę Izabelli. Wprawdzie dał rozkaz margrabiemu Novaliches żeby rozpedził armię Serrany, ale już takie zwątpienie ogarnęło królewskich, zbiegostwo tak przerzedziło ich szeregi, że utarczka na moście Alkolea (na Guadalkwiwirze niedaleko Korduby) rozstrzygnęła losy królowej. Novaliches ranny wrócił do Madrytu a niedługo potem Serrano odbył wjazd tryumfalny z Primem i Topetem do stolicy. Królowa już dawniej przewidując przymusowy wyjazd za granicę, wysłała jak mówiono do Londynu swój majątek i zamieszkała tymczasem we Francyi.

Zapewne sami przywódcy powstania nie spodziewali się tak pomyślnego wypadku swoich usiłowań: dokonali rewolucyi prawie bez krwi rozlewu i zmusili dynastję do ucieczki w ciągu dni kilkunastu. Zaraz potworzyły się junty po większych i mniejszych miastach, uorganizowano rząd tymczasowy, w skład którego weszli: Serrano, Prim, Topete, Ortiz, Figuerola i inni mniej znani.

Rząd tymczasowy zabrał się natychmiast do porządkowania kraju. Wypędzono Jezuitów, ogłoszono swobodę prasy, stowarzyszeń i tolerancją religijną, zaprowadzono wolność handlu, odebrano pensję udzieloną przez rząd poprzedni wbrew prawu wielu exministrom, rozpisano pożyczkę

w kraju i za granicą, cofnięto pensyą płaconą nuncyuszowi papieżkiemu i zasiłki dawane seminariom. Słowem, robiono to czego zdawały się wymagać potrzeby kraju i postęp społeczny. Zarzucano tylko rządowi tymczasowemu, że nagle burzył dawny porządek, nie mając gotowych środków do zastąpienia go lepszym. Tak np. korespondent *Timesa* mówiąc o zmianach dokonanych na polu kościelném pisał: „Czy Hiszpania może po tak długiej nocy znieść tak rażące światło? Junta barcelońska dała arcybiskupowi do zrozumienia, że processye mają się odbywać w murach kościoła. Ale jakim sposobem Hiszpan może się obejść bez pompy kościelnej? Wprawdzie ogłoszono swobodę sumienia i misyonarze angielscy rozdają Biblią, ale o nawracaniu się na protestantyzm wcale nie słycać. W Hiszpanii powtórzy się to, co już widzimy we Włoszech, które lubo już od 10-ciu blisko lat używają swobody religijnej, wcale z niej nie korzystają. Zdaje się że kraje południowe nie mogłyby się obejść bez wiary katolickiej”. Podobnie robiono zarzut ministrowi finansów, że znosząc cła i zaprowadzając wolność handlową, może i szczupły przemysł krajowy zabić i skarb zostawić pusty. Zarzuty te jednak dadzą się wytłumaczyć nagłością sprawy i chęcią zasłonięcia się od reakcyi. Gdy przyjdzie rząd regularny, może jeszcze nie jedno zmienić. Obecnie rząd tymczasowy myślał przedewszystkiem o wyborach do kortezów ustawodawczych. Zdolny i wysoko ceniony patryota Salustiano Olozaga stanął na czele komitetu mającego kierować wyborami w duchu monarchiczno-konstytucyjnym. Z wyjątkiem demokratów jak Orense, Rivero, Kastelar, wszystkie stronnictwa zgadzają się na monarchią konstytucyjną, która i u reszty Europy a zwłaszcza we Francyi byłaby przychylniej widzianą niż rzeczpospolita federacyjna. Republikanie jednak w ogóle mają słabe siły i są powolni dla rządu tymczasowego. Kandydatów do korony hiszpańskiej nie brak, ale dotychczas kierujący sprawami publicznymi mężowie nie dali żadnego znaku, o którym na prawdę myślą.

Uważny czytelnik dzienników przekonał się, że wspomniane pokrótce fakta były tylko powtórzeniem i zestawieniem doniesień dziennikarskich. Uważaliśmy to przypomnienie za potrzebne, ażeby powiązać ze sobą wypadki i choć ogólnikowo usprawiedliwić wyrzeczone powyżej przypuszcze-

nie, że źródła wszelkich zmian należy przedewszystkiem szukać wewnątrz państw, wśród których się dokonywają. Obecna rewolucya w Hiszpanii, była wynikiem długiego, anormalnego stanu państwa i społeczeństwa. Chcąc ją zrozumieć, należy poznać to społeczeństwo i państwo, jego zasoby materyalne i urządzenia polityczne z przed wybuchu. Tym sposobem nie tylko lepiej zrozumiemy dokonane zmiany i ich doniosłość, lecz oraz zyskamy pewną podstawę do sądzenia o przyszłości Hiszpanii. Zacznijmy od materyalnych warunków, na których rozwijają się wszelkie zjawiska polityczne i społeczne.

III. Materyalne warunki rozwoju państw stanowią: ziemia i ludność; ziemia z bogactwem naturalnym i pracą ludzką osiągnięciem, a ludność zamożna i oświecona. Ziemia hiszpańska jest bardzo żyzna, ale brak pełnej własności drobnej: wielkie majątki, system dzierżawy, ciężary feudalne, brak kredytu, dużo świąt, czynią ją ubogą. Starożytni już uważali ją za najbogatszą w kruszce. Klimat tylko na południu przypomina pas podzwrotnikowy; większa część półwyspu leży pod pasem ciepłym a pobraższe północne pod średnio zimnym. Południowo-wschodni kąt Hiszpanii uważa się za punkt najgorętszy w Europie; Andaluzyjczycy nazywają Ecija brytfańską hiszpańską, el sarten de Espanna. Oprócz Włoch, żaden kraj nie jest tyle narażony na wybuchy wulkaniczne co półwysep pirenejski. W środkowej i południowej Portugalii nie ma roku, żeby nie było trzęsienia ziemi. Odpowiednio do tych warunków klimatycznych, bogato rozwinęła się flora półwyspu, przewyższająca inne flory europejskie o 6 do 7 tysięcy gatunków.

Bogactwo Hiszpanii składają najprzód kopalnie, na które po utracie osad amerykańskich więcej zwrócono uwagi. Zarząd górniczy główny mieści się w Madrycie; pod nim zostaje 13 zarządów okręgowych. W r. 1834 założono akademię górniczą. Większych i mniejszych kopalni liczone w r. 1851, 612. Z tych w 10 dobywano złota i arseniku, w 191 srebra, w 107 miedzi, w 93 ołowiu, w 71 żelaza, w 15 żywego srebra, w 52 węgla kamiennego, w kilku drogich kamieni, jak ametyst, hyacynt i t. d. W zakładach górniczych pracowało w 1851 r. 25,000 ludzi i 40,500 zwierząt. W roku 1856 szacowano wartość добыtych metalów na 7,400,000 ta-

larów. Ołów i sól powiększają się, miedź i żywe srebro zmniejszają.

Na lasy zwrócono uwagę dopiero wtenczas, gdy już zniakać zaczęły, mianowicie na południu. W r. 1846 założono akademię leśniczą pod Madrytem, na wzór saskiej w Tharandt.

Ale główném źródłem bogactwa Hiszpanii jest rolnictwo. W tamtejszym klimacie udają się wszystkie europejskie i wiele zaeuropejskich roślin. Ale ponieważ kraj jest górzysty i rzadko deszczami nawiedzany, potrzeba nawodnienia. Gdzie istniejące jeszcze po Maurach kanały utrzymywano lub nowe poprowadzono, uprawa zboża obficie się opłaca; gdzie ludność nie czuła potrzeby sztucznego gospodarstwa, uprawa ziemi pozostała na niskim stopniu. Lecz nawet i w pasie gorętszym nie wszędzie potrzeba sztucznego nawodnienia, dlatego też ziemię dzielą na *tierras de secano* i *tierras de regadio*. Pierwszy rodzaj gruntu pozbawiony sztucznej uprawy, wydaje przeciw jęczmień, pszenicę, rośliny sodowe (*Halogeton sativus*), szafran, drzewo migdałowe, oliwkowe. Rośnie tam daktyl, kasztan, dąb. Za to ziemia na której sieją ryż, kukurydzę, jarzyny, kartoffe, len, konopie, pomarańcze, figi, banany i t. d. potrzebuje sztucznego nawodnienia. Śpichlerzem kraju są równiny środkowej Hiszpanii. Pszenicy mają 15 gatunków a 1300 odmian; dużo uprawiają jęczmienia którym miejscami żywią konie; żyto udaje się na północy i w Pireneach: gdzie się jęczmień nie udaje, sieją owies.

Uprawa wina także przynosi Hiszpanii znaczny dochód; na wywóz zagraniczny przygotowują: wino, wódkę, ocet, rodzenki i winogrona. Uprawą wina głównie trudnią się w Andaluzyi, Arragonii i Nowarze. Liczą go 119 odmian. Wartość zboża szacują rocznie na 1016 milionów franków; wina na 176 $\frac{1}{2}$ mil. fr.: oliwy na 365 $\frac{1}{2}$ mil. fr., reszty owoców na 125 mil. franków.

Główne siedlisko przemysłu i fabryk znajduje się w Katalonii i prowincjach biskajskich. Najważniejszém dla przemysłu miastem jest Barcelona. W Katalonii najwięcej przerabiają bawełny, której w 1856 r. przywieziono 599,605 centnarów. W prowincyi tej było w 1848 r. 135 maszyn parowych o sile 2414 koni, z tego na Barcelonę przypadało 69 maszyn

o sile 1138 koni. W r. 1851 liczono krosien do tkania lnu i konopi 1582, a około 3000 krosien do tkania jedwabiu i przeszło 2500 do tkania wełny. Sukna hiszpańskie dorównywiają francuzkim. Przeszło 300 papierni zużywało rocznie 300,000 centnarów gałganów. W wyrobie papieru celuje Tolosa.

Marynarka handlowa liczyła w 1863 r. 4859 rozmaitych okrętów. Wartość handlu przywozowego obliczano w r. 1856 na 48,520,000 tal.; wywozowego na 35,000,000 talarów, (z tego $\frac{3}{4}$ wina). W 1863 szacowano przywóz na 1898 milion. a wywóz na 1219 mil. real. Długość kolei żelaznych 675 mil zwyczajnych. Hiszpania z wyspami Balearskimi i Kanaryjskimi ma rozległości 9215 mil kwadratowych i blisko $16\frac{1}{2}$ milionów ludności. W Ameryce należą do niej: wyspa Kuba (2,309 mil kw. i $1\frac{1}{2}$ milion. mieszkańców), Portorico (188 mil kw. i 380,000 dusz); niektóre z wysp Dziewiczych (6 mil. kw. i do 3,000 ludności). W Oceanii wyspy Filipińskie (2,507 mil kwadr. i 3,815,878 mieszkańców) Maryańskie i Karolińskie. W Afryce: Fernando Po, *Presidios* (zakłady karne) Ceuta, Melilla i t. d. (24 mil kwadr. i 30,000 dusz). W ogóle zaeuropejskie posiadłości Hiszpanii mają: 8,705 mil kw. i przeszło 6 milion. mieszkańców.

IV. Pod względem politycznym dzieli się Hiszpania na 49 prowincyj licząc już i wyspy Kanaryjskie. Każda z prowincyj oprócz biskajskich dzieli się na powiaty i okręgi sądowe (*partidos*). Miasta większe lub używające większych przywilejów nazywają się *ciudad*, mniejsze *villa*. Madryt jednak do dziś dnia nosi nazwę *villa* lub *corte*.

Dzieląc ludność na 7 części obliczono, że $\frac{1}{7}$ przypada na urzędników, armię, szlachtę, duchowieństwo, żebraków i więźniów; $\frac{1}{7}$ na stan miejski; a $\frac{5}{7}$ na lud wiejski, robotników fabrycznych, pasterzy, majtków i t. d. Wyższa szlachta dzieli się na *grandów* i *titulados del Reino*. Tytuł przechodzi na najstarszego syna: dawniej i majorat był do niego przywiązany.

W r. 1852 liczono 66 książąt, 419 margrabiów, 40 baronów. Niższa szlachta jest bardzo liczna. W r. 1821 nara-chowano tych ubogich *hidalgów* blisko 800,000. Baskowie

i Asturyjczycy wszyscy się mają za szlachtę. Dawniej każdego szlachcica z tej kategorii tytułowano Don; teraz nadają każdemu bez różnicy ten tytuł. Wyższa szlachta tytułuje się: grandeza z przymiotnikiem excelencya.

Nie łatwo byłoby dać ogólnej charakterystyki Hiszpana. Jak kraj nie odrazu zrosł się w całość dzisiejszą, tak i ludność ma cechy odrębne. Dawniej Rzymianie, potem Goci, Wandale, Arabowie zostawili pośród pierwotnych mieszkańców ślady swojego pobytu w języku, obyczajach, pokarmach, stroju i usposobieniu. Dzisiejsza Hiszpania liczyła niegdyś 12 królestw, ztąd koniecznie musiały się wyrobić pewne odrębności, do dziś dnia widoczne. Kastyljczyk inaczej wygląda niż Aragończyk, Asturyjczyk nie wiele ma podobieństwa z południowym Andaluzyjczykiem. Bask mówi językiem, którym prawdopodobnie mówił za czasów rzymskich i nie bardzo go może zrozumieć właściwy Hiszpan. Opierając się na tej różnicy i dawnych wspomnieniach, niektórzy przywódcy republikańscy myślą dziś o rzeczypospolitej federacyjnej.

Nie łatwo tedy dać ogólnej charakterystyki Hiszpana. Ci co go zblizka widzieli, powiadają że ma szczególne poczucie form estetycznych i zamiłowanie w przesadzie. Uważa się nawet w nędzy za pana. Dziś już weszło w użycie, przemawiając do kogoś nie mówić „pan,” lecz „wasza miłość” *usted* skrócone z *vuestra merced*. Nawet żebrak tytułuje żebraka *caballero*, tyle co rycerz, kawaler. Co do życia, Hiszpan jest umiarkowany i trzeźwy; na małym przestaje, bo mu się robić nie chce. Kawalek chleba, para cebul i cygaro wystarcza mu zwykle; wygod nie lubi, mięso jada rzadko a chleb pszenny uważa za przysmak. *Siesta*, t. j. południowy odpoczynek jest dlań koniecznym warunkiem życia. Lubi spacer w chłodnej porze, wizyty, walki byków, taniec i muzykę. Kontrabanda, bandytyzm i wojna mają dla Hiszpana coś romantycznego. Za to rzadko się spotyka pijaka. Obyczaje w ogóle mają być dobre. Pewna godność nie opuszcza Hiszpana i w największej nędzy.

Mieszkania są w ogóle ubogie, brudne i niewygodne. Lubią Hiszpanie zwykle przed domem siadywać, gawędzić, a przy takich schadzках zawsze jest tamburyno i gitara, śpiew i kastanietty. Narodowa kuchnia hiszpańska przypo-

mina Wschód; dla braku paliwa nie pieką lecz duszą mięso. Sos stanowiący treść jedzenia przejęty jest czosnkiem, oliwą, szafranem i czerwonym pieprzem. Zapach tego sosu jednakowy w całym kraju bez względu na to, czy mięso jest z kota lub zająca, z wołu lub osła, albowiem w tym kraju je się to wszystko. Wielki Kondeusz zwykł mawiać: Jeżeli chcecie wiedzieć co to jest niedostatek, prowadźcie wojnę w Hiszpanii.

Najcenniejszą potrawą jest *olla*, zwana także *puchero*. Prawdziwa *olla* tak zwana *olla podrida* nie jest łatwą do zrobienia. Wchodzi do niej: *garbanzos* (cicer arietinum), kawałek wołowiny, kawałek kury i szynki, jarmuż, buraki, marchew, selery, cebula, groch, czosnek, długi pieprz i t. d. Wszystko to razem gotuje się 4—5 godzin, bo *garbanzos* są twarde i trzeba je na noc namoczyć chcąc mieć miękkie. Od *olli* zaczyna się obiad. Dodajmy że ziarn *garbanzos* Grecy używają czasem jako surrogatu kawy i że je uprawiają w południowej Europie na pożywienie. Wina niższe gatunki sami piją; lepsze wysyłają za granicę.

Teraz przyjrzyjmy się organizacyi państwa.

V. Należy przypuszczać, że kortesy ustawodawcze zmieniają nie jedno w dotychczasowej organizacyi państwa. Zmiany te jednak mogą się ściągać głównie do konstytucyi... Właściwa administracya kraju może uleść poprawkom, ale co do głównych punktów pozostanie prawdopodobnie taką jak była. Zresztą nie przesądzając tego co może nastąpić, zobaczymy jak było a po większej części jest dotychczas.

W Hiszpanii zarówno jak i w innych krajach europejskich, pojedyncze prowincye miały osobną reprezentacyą zwaną *las Cortes*, która z czasem stała się dla monarchów niewygodną i dlatego musiała zamilknąć. Już od Filipa II a więc od drugiej połowy XVI wieku, kortesy tracą znaczenie. Jeżeli je zwołują, to dla częściej formalności. Taki stan rzeczy trwał do wojen Napoleońskich. Po uspokojeniu kraju i ustaniu wojny domowej odżyły kortesy i w 1812 r. uchwałyły w Kadyxie konstytucyą na podstawie idei francuzkich. Jak tylko Ferdynand VII wrócił na tron w 1814 r., zniósł tę konstytucyą i rządził absolutnie. Po jego śmierci za regencyi Krystyny w r. 1834 dostali Hiszpanie coś nakształt ustawy konstytucyjnej, która zaprowadziła dwie izby (*Esta-*

mento de proceres i Estamento de procuradores). Izby te nie miały prawa inicjatywy prawodawczej, lecz mogły tylko radzić nad tém co ministeryum przedstawiło. Tymczasem wojna domowa z Don Karlosem spustoszyła kraj i zniszczyła ludność. Spisek uknuty w la Granja w 1836 r. zmusił Maryą Krystynę do przywrócenia liberalnej konstytucji z 1812 r., pokąd kortezy nie uchwalą nowej. Jakoż w 1837 r. w istocie kongres narodowy ułożył konstytucyą bardzo podobną do belgijskiej. Kiedy zaś umiarkowańsi przyśli do władzy, zmienili ją cokolwiek w duchu reakcyjnym i tak powstała ustawa z 1845 r., która do ostatnich czasów obowiązywała monarchę i naród.

Według tej konstytucji Hiszpania jest monarchią dziedziczną, konstytucyjną. Reprezentacyą kraju stanowią kortezy składające się z dwóch izb: senatu, do którego członków naznacza król i kongresu czyli izby deputowanych. Senat powinien się być składać z 200 członków a kongres z 349 deputowanych.

Kortezy powinny być co rok zwoływane: król mógł je zawiesić lub rozwiązać, ale w ciągu 3 miesięcy powinien nowe zwołać. Następstwo tronu miało iść według starszeństwa: najprzód najstarszy syn królewski, w braku tego najstarszy brat królewski lub najstarsza siostra. Następca tronu uważa się za małoletniego do 14 r. życia. Książęta i księżniczki zrodzone z prawych związków noszą tytuł: Infantes i Infantas de Espanna. Następca tronu nosi tytuł księcia Asturyi.

Deputowanych wybierają bezpośrednio kollegia wyborcze, których było 349. Ażeby być wyborcą należało płacić 400 realów rocznie podatku bezpośredniego; ażeby być wybranym 1000 realów rocznie, lub wykazać dochód z dóbr własnych wynoszący 12,000 realów rocznie.

Konstytucya zapewniała poddanym: wolność prasy, prawo petycji, równość w obec prawa, bezpieczeństwo osobiste, nietykalność domu. Konfiskatę zniosła na zawsze. Jak zaś ta konstytucya była zachowywana, wiadomo każdemu, kto pamięta historią choćby ostatnich lat kilku.

Właściwa administracya, z wyjątkiem osad zaeuropejskich była uorganizowana jak następuje:

Król jako najwyższy zwierzchnik państwa łączy w swojej osobie całą władzę wykonawczą, którą sprawuje za pośrednictwem 8 ministrów odpowiedzialnych. Kraj dzieli się na prowincje i gminy. Prowincją zarządza gubernator mianowany przez rząd; obok niego rada prowincjonalna z głosem doradczym. Nadto w każdej prowincyi jest deputacya wybieralna, do której należy rozdział podatku na kontrybuentów, rozdział kontyngensu wojskowego przypadającego na prowincyę, uchwalanie budżetu prowincyi, podawanie projektów do ulepszeń miejscowych.

Rady municypalne (ayuntamientos) wybierają obywatele płacący rocznie 200 realów (50 franków) bezpośredniego podatku, wszakże w gminach mniej ludnych wszyscy należą do wyboru z wyjątkiem żebraków.

W skład zarządu municypalnego wchodzi: alcalde (burmistrz) jeden lub dwóch jego zastępców i kilku lub kilkunastu radnych (regidores). Alcalde ze swoją radą odpowiada gubernatorowi z radą prowincjonalną. Jak tam deputacye, tak tu rady municypalne rozpisują podatki i rekruta, oraz kontrolują wydatki zarządu municypalnego.

Religią panującą w Hiszpanii jest rzymsko-katolicka, obok której do ostatnich czasów nie była cierpiana żadna a przynajmniej żadnej publicznie nie było wolno wyznawać. Ponieważ majątki kościelne rozmaitemi czasy zostały sekularyzowane, lecz nie wszystkie sprzedane, zaczęł rząd na utrzymanie duchowieństwa wyznaczyć na budżecie państwa około 180 milionów realów. Uposażenie to będzie się zmniejszało w miarę jak reszta dóbr będzie sprzedawaną a fundusz ztąd zebrany, zamieniony na rentę i duchowieństwu oddany. Po ostatniej rewolucyi, rząd tymczasowy zabrał resztę własności kościelnej, mianowicie po skasowanych zakonach.

Hiszpania z dawien dawna głośną była ze swojej religijności. Tam wzięły początek liczne zakony; tam i Jezuitci powstałi. Lecz Hiszpania dała także początek i zniesieniu Jezuitów. Aranda, minister Karola III wypędził ich w 1767 a majątki skonfiskował.

W r. 1787 liczono w Hiszpanii 93,689 zakonników i 85,668 księży parafialnych, czyli razem blisko 180,000 osób stanu duchownego, tak że co 17 dorosły mężczyzna, żył jak się wyrażano z „religii.” Urzędników Stój Inkwizycyi

było wówczas jeszcze 2666, ale działalność jej nie bardzo skuteczna, albowiem od 1746 do 1759 spaliła tylko 10 osób, a od 1759 do 1788 tylko 4.

Za Józefa w r. 1809 poznoszono zakony, ale za Ferdynanda VII znów wróciły. Jeszcze w r. 1820 liczono 3005 klasztorów. Do tego czasu pobierał arcybiskup z Toledo 500,000 dukatów rocznego dochodu; arcybiskup z Valencyi 200,000 dukatów. W Galicyi $\frac{2}{3}$ ziemi znajdowało się w ręku duchowieństwa; w całej Hiszpanii $\frac{1}{3}$. Gdy kortezy w r. 1822 zaczęły radzić nad organizacją duchowieństwa, pokazało się że było 73,495 duchownych *nad potrzebę*. Dochód państwa wynosił w 1820 r. 21 milionów piastrow, a dochód duchowieństwa w tymże roku 52 mil. piastrow (piastr=blisko 10 złp). Stosunek do reszty ludności rażący, wiedząc że Hiszpania miała w 1778 zaledwie 10 $\frac{1}{2}$ miliona mieszkańców.

Pomimo wielokrotnych znoszeń, zakony wracały. W r. 1836 pokasował wszystkie zakony męskie liczące 23,935 członków, Mendizabal, i zabrał wszystkie majątki kościelne; ale już w r. 1845 kościół odzyskał dawne stanowisko a konkordat z 1851 r. powrócił mu prawo nabywania własności. W r. 1855 nakazano zniesienie Jezuitów i innych zakonów, gdzie klasztory liczyły mniej nad 12 osób. Skutkiem tego upadło około 900 klasztorów; zostało ich jednak przeszło 1000. Rewolucya terażniejsza znów wypędziła Jezuitów i nakazała redukcją zakonów. Do ostatnich czasów liczono jeszcze przeszło 14 tysięcy zakonnic, i do 2000 zakonników mieszkających w 600 przeszło klasztorach.

Pod względem kościelnym dzieli się Hiszpania na 9 arcybiskupstw: Toledo, Burgos, Valladolid, Santiago, Saragoza, Tarragona, Granada, Sevilla i Valencia; oraz 43 biskupstw. Parafii liczą 20,462. Arcybiskupi są z prawa senatorami, ale do izby poselskiej nie może być żaden duchowny wybranym.

Stolica apostolska pobrała pod rozmaitymi tytułami z półwyspu Iberyjskiego w peryodzie od XI do XVIII wieku 14 miliardów realów; od r. 1814 do 1820, 41,525,226 real. od 1820 do 1855, 140,000,000 real. (real=blisko 15 gr.).

Monarsze służy prawo przedstawiania do nominacji arcybiskupów i biskupów; w imieniu króla na przedstawianie

biskupów, mianowani są proboszczowie. Wszelkie rozporządzenia kuryi rzymskiej mające związek z cywilnym stanem obywateli winny zyskać zezwolenie królewskie, tak zwane *placitum regium*, nim ich ogłoszenie nastąpi. Duchowieństwo podległe jest swoim sądom, czyli używa specjalnego forum. Tylko za zbrodnie i większe występki mogą duchowni być pociągani do zwyczajnych sądów karnych. W razie pokrzywdzenia przez sąd duchowny, podsądny może się odnieść do sądu świeckiego (*recursus ab abusu*), który jednak pilnuje tylko, czy formy były zachowane i kompetencya nie przekroczona; więcej mu nie wolno.

Rząd obowiązany jest budować i utrzymywać kościoły, a obowiązek ten przyjął od czasu zniesienia dziesięcin i sekularyzacyi majątków kościelnych. Jest na budżecie osobna pozycya na ten cel przeznaczona. Dobra poduchowne, które nie są jeszcze sprzedane, zostają pod zarządkiem ministerstwa skarbu.

Hiszpanie na równi z innymi ludami południowymi podobają sobie w rozmyślaniu, choćby o niczém: ztąd ich zamiłowanie i upodobanie w zakonach. Lecz fantazyja jak pod wpływem pewnych wyobrażeń wieku tworzyła i otaczała poetycznym nimbem klasztory, tak znów pod wpływem strachu, popychała ten sam lud do bezzasadnej przeciw nim zemsty. Tak za wojny domowej w r. 1835, gdy z placu boju coraz gorsze nadchodziły wiadomości, gdy Karliści szli górą, puszczo no złośliwą pogłoskę, że panująca równocześnie cholera wzięła początek z zatrutej przez mnichów w studniach wody. Rozpasany motłoch rzucił się więc 17 lipca na klasztory i w samej stolicy zamordował przeszło 100 zakonników. Podobne okrutne sceny powtórzyły się i w innych miastach Hiszpanii.

Z kolei wypada nam się przyjrzyć innym stronom życia publicznego w Hiszpanii, a mianowicie organizacyi oświecenia publicznego.

Kiedy głęboka ciemnota pokrywała Europę w średnich wiekach, w Hiszpanii Arabowie podtrzymywali resztki starożytniej oświaty.

Później długi czas głośną była Salamanka. Uniwersytety hiszpańskie, podobnie jak w innych krajach tworzyły

pewien rodzaj municypalności naukowych, na wzór stowarzyszeń kupieckich i przemysłowych. Królowie i możni panowie nie żalowali na uposażenie szkoły. Stopnie naukowe zapewniały uczonym poważanie i rozmaite przywileje.

Z czasem skutkiem potężnego wpływu dworu rzymskiego i jeszcze potężniejszego wpływu tłustych beneficjów przywiązanych do posad duchownych i teologii, nauczanie przeszło w ręce duchowieństwa. Druga połowa XVII i cały prawie XVIII wiek, były podobnie jak u nas napiętnowane straszną ciemnotą. Historia literatury hiszpańskiej nie zna z téj epoki żadnego nazwiska głośniejszego.

Za polityczném odrodzeniem się kraju dźwigało się i naukowe; pozakładano uniwersytety pod kierunkiem profesorów świeckich, urządzono szkoły średnie i początkowe, utworzono zakłady specjalne. Nie mamy świeższych danych statystycznych nad r. 1860, w którym liczono w Hiszpanii: 24,349 szkół początkowych rządowych i prywatnych; uczących się zaś 150,124. W zakładach średnich: 21,478; w 10 uniwersytetach 8,611. W szkołach specjalnych i rzemieślniczych przeszło 10,000. W ogóle przypadał 1 uczyący się na 103 mieszkańców. W r. 1852 liczono umiejących czytać w całym kraju blisko dwa miliony i przeszło milion umiejących pisać. Około 1833 liczyła Hiszpania zaledwie 900 zakładów naukowych wszelkiego rodzaju. Od r. 1845 zaprowadzono tak zwane królewskie *institutos* odpowiadające naszym gimnazyom. Wyższe ukształcenie dają uniwersytety, których jest 10: w Madrycie o 5 wydziałach średnio po 7,000 studentów; w Barcelonie po 1,600 studentów; w Sewilli i Granadzie są uniwersytety tylko o 4 wydziałach; w Valencyi, Santiago, Salamance, Valladolid, Zaragoza i Oviedo tylko o 3ch (niektórym brak wydziału teologicznego, innym medycznego).

Na ukształcenie elementarne łożą po większej części gminy, *ayuntamientos*, które obowiązane są utrzymywać jedną lub więcej szkół tak męzkich jak żeńskich, odpowiednio do rozciągłości gminy i ludności. Każda miejscowość licząca więcej niż 500 dusz, powinna mieć jedną szkołę męzką i jedną żeńską. Gminy nie mające tyle ludności łączą się i spólnie utrzymują szkołę. Alcalde, t. j. burmistrz lub

zwierzchnik gminy, powinien czuwać nad tém ażeby rodzice posyłali dzieci do szkoły, za którą zwykle się płaci. Tylko dzieci bardzo ubogie są wolne od opłaty. Nauczyciele elementarni tak publiczni jak prywatni, winni mieć dyplom rządowy, dowodzący że są usposobieni do nauczania.

Szkoły średnie odpowiadające gimnazyom i progimnazyom znajdują się w stolicy prowincyi lub większem mieście, które zyskało pozwolenie na otwarcie podobnego zakładu. Dla wyższej oświaty są uniwersytety urządzone jak i w innych krajach Europy, to jest zostają pod zwierzchnictwem rektora i dziekanów. Dziesięć uniwersytetów na Hiszpanią jest oczywiście za wiele; ale trudno je znosić, bo każdy ma za sobą jakieś wspomnienia, jakąś sławę; prowincye zatem obstają za ich utrzymaniem.

Szkoły specjalne są: szkoła sztuk pięknych, dróg i mostów, handlu i żeglugi, górnicza, weterynarska i t. d. Koszta wychowania dochodzą na budżecie 24 milionów realów. Rząd utrzymuje 10 uniwersytetów i inne zakłady jak muzea, biblioteki i t. p. Prowincye wszakże dodają na wyższe wychowanie 1½ miliona realów. Zakładów średnich liczą 67, utrzymanie których dochodzi 7½ mil. realów. W ogóle utrzymanie zakładów początkowych i średnich ciąży przeważnie na gminach i prowincyach, a szkół głównych i specjalnych na rządzie.

Organizacya sprawiedliwości jest po krótkce następująca: kraj podzielony jest na 497 okręgów sądowych, z których każdy ma pod sobą sąd niższy. Wszystkie podporządkowane są pod 13 sądów apellacyjnych, które znów zostają pod sądem najwyższym w Madrycie. W rzeczach małej wagi sędzi alcalde lub zwierzchnik gminy, będący oraz sędziami pokoju. W mniejszych gminach sędzą regidores de justicia, niby wójci gmin. Oprócz sądów zwyczajnych, duchownych i wojskowych jest trybunał podatkowy *de hacienda publica*, sądy handlowe, górnicze, do dróg i mostów oraz do przestępstw prasowych. Sądy przysięgłych są zaprowadzone tylko do przestępstw prasowych. Podstawą prawa cywilnego są: prawo rzymskie, prawo zwyczajowe gockie i ustawy sejmu odbytego w Toro w 1501 r. Prowincye biskajskie mają swoje prowincjonalne prawa i przywileje

(fueros), pochodzące z 1376 r. Rządzi nimi gubernator dożywotni przez króla mianowany, który powinien być rodowitym Biskajczykiem. Biskaya ma nawet swoją reprezentację.

Pozostaje nam jeszcze pomówić o dwóch ważnych czynnikach każdego państwa, to jest o finansach i armii. Skarb pełen, to dostatek krwi w organizmie politycznym. Armię nazwał generał Prim w rozkazie swoim „potężnym ramieniem” woli ogólniej. W Hiszpanii i skarb i armia były bardzo zaniedbane.

Kiedy p. Figuerola objął zarząd skarbu po ukonstytuowaniu się obecnego rządu tymczasowego, złożył ministeryum i następnie ogłosił publicznie obszerne sprawozdanie o finansach Hiszpanii, z którego między innymi dowiadujemy się, że deficyt narosły pod panowaniem Izabelli II wynosi $2\frac{1}{2}$ miliarda realów, a dług publiczny przeszło 18 miliardów realów. Po długu—mówi ironicznie korespondent *Timesa*—można dziś sądzić o państwach wielkości. Jeżeli tak, to Hiszpanią śmiało do wielkich państw można zaliczyć. W budżecie na r. 1867 dochody obliczone są na 2,684 milionów real., wydatki na 2,637 mil. realów.

Historia hiszpańskich finansów jest ciekawa i nauczająca. Pomimo wielkiego bogactwa naturalnego, pomimo posiadania przez 300 lat kopalni złota i srebra w Peru i Meksyku, finanse Hiszpanii już w zeszłym wieku były zachwiane. Dochody obliczano na 100 milionów piastrów (40—45 mil. z Hiszpanii, reszta z osad). Już w r. 1770 spotykamy deficyt dochodzący 5 milionów piastrów. Przed wojnami Napoleońskimi (1808) szacowano ogólny dochód na 700 mil. real.; w r. 1817 tylko 620 milion. a obok tego deficyt 200 mil. real. Tymczasem oderwały się osady amerykańskie i ustał z nich dochód. Minister skarbu Kanga Arguelles obliczał w r. 1820 rodochód państwa na 660 a dochód na 320 milion. realów; zaczęł deficyt 340 milionów. Kortezy nie śmiały jąć się radykalnej reformy i tylko połowę dziesięciny duchowieństwu odebrano (połowę tę szacowano na 400 milion. real.). Dlatego nie mogły zaprowadzić wystarczającego podatku, zwłaszcza gruntowego. Własność ziemska nie uwolniona od wszelkich służebności, nie mogła być opodatkowana, tak ażeby dochód ztąd wystarczał choć

w części na potrzeby kraju. Wojna r. 1823 powiększyła wydatki, które doszły 861,591,646 a dochód równocześnie czynił 550 milionów realów. Jeżeli konstytucjonalizm nie umiał uporządkować i podźwignąć finansów, reakcja okazała się także niezaradną. Podatków nie można było podnieść, albowiem duchowieństwu przywrócono zabraną połowę dziesięciny i lud jeszcze bardziej przyciśnięto. Pomimo 20 lat pokoju nieład w skarbie taki sam, bo w r. 1843, dochody obliczano na 877,709,985 real. a rozchód na 995,814,698 realów.

Dług hiszpański przy śmierci Filipa V (1746) wynosił 800 milionów realów. Król Ferdynand, syn poprzedniego, pytał swoich radców, czy ma dług powyższy uznać, a ponieważ radcy jak łatwo pojąć, przecząco odpowiedzieli, król spokojny był na sumieniu. Karol III jednak inaczej osądził i dług przyjął. Potem wojny i brak ładu, marnotrawstwo i lekkomyślność ściągnęły na kraj dług przeszło 18 miliardów realów.

Armia hiszpańska liczy według etatu 70,000 piechoty, 13,000 jazdy, 3,000 inżynierów, 14,000 artylerji, 12,000 straży celnej, 12,000 żandarmów, 3,000 milicyi na wyspach Kanaryjskich. Nadto załoga Kuby wynosi 24,000 ludzi; 3,400 w Portorico i 11,000 na Filipinach. Według etatu na 1867 r., ogół armii powinien liczyć 246,300 ludzi licząc w to milicyą, żandarmeryą i straż celną. Rzeczywiście było tylko 178,486 ludzi.

Pobór do wojska odbywa się za pomocą losowania. Kortezy co rok uchwalają wysokość kontyngensu i rezerwy. Rząd uchwalony kontyngens rozdziela na prowincye, których rady dopełniają rozdziału w każdej miejscowości. Czas służby w piechocie oznaczono na lat 8, z których 5 we froncie a 3 w milicyi prowincjonalnej. W innych broniach 7 lat służby we froncie bez przechodzenia do milicyi. Milicya ta odpowiada rezerwie. Gwardya narodowa liczyła zapisanych na listę 546,286 ludzi. Izabella II po zgnieceniu rewolucyi ogłosiła w r. 1856, gwardyą narodową „za zniszcioną na zawsze.”

Twierdze hiszpańskie są następujące: nad morzem Biskajskiem Fuentarabia, Sansebastian, Santona, Santander, Ferrol, Koruna, Vigo, Toro. Od granicy portugalskiej: Kiu-

dad Rodrigo, Badajoz, Olivença. Od strony morza Śródziemnego: Malaga, Almeria, Kadyx, Velez Malaga, Kartagena, Alicante, Valencia, Murviedro, Tarragoua, Barcelona, Rosas. Od granicy francuzkiej: Figueras, Urgel, Puycerda, Pam-peluna i Gerona.

Marynarka wojenna podług ostatnich wykazów liczy 123 większych i mniejszych okrętów z 1,285 działami i przeszło 81,000 ludzi.

Osady zaeuropejskie są rządzone przez generał-kapita-nów z władzą prawie nieograniczoną. Odpowiedzialni są przed ministrem wojny w Madrycie. Wyspy Kanaryjskie liczące się do osad europejskich zależą wprost od władzy stołecznej.

Taki jest, zapewne bardzo niedokładny, obraz Hiszpanii przed wybuchem ostatniego powstania. Niejedna z cyfr sięga dość dawnego czasu, niejedna może być niedokładną; zawsze jednak podane szczegóły dają choć przybliżony obraz kraju, którym się zajmuje obecnie cała Europa.

Na zakończenie, jeszcze kilka szczegółów historycznych. Powiadają, że Hiszpania za czasów rzymskich liczyła 40—50 milionów mieszkańców. Niektóre miasta w średnich wiekach były ludniejsze niż dzisiaj. Tak np. Sevilla dziś ma 112,139 a niegdyś 400,000 dusz; Korduba dziś około 37,000, dawniej 300,000; Valladolid dziś 42,000, dawniej 100,000; Toledo około 30,000, niegdyś 200,000. Fanatyzm religijny wypędził z Hiszpanii 2 miliony Arabów i 800,000 żydów. Prześladowanie to więcej wpłynęło na wyludnienie i zubożenie kraju, niż wojny i kolonizacya Ameryki. Już w 1688 r. ludność Hiszpanii obliczano tylko na 8 a w 1715 na 6 milionów dusz. W czasie wojny z Napoleonem oderwały się od Hiszpanii wszystkie osady na lądzie stałym Ameryki, liczące około 18 milionów mieszkańców, a rozległości 310,000 mil kwadratowych. Do osad tych należały: Meksyk z Texasem i Kalifornią, cała środkowa Ameryka, Nowa Grenada, Wenezuela, Bolivia, Peru, Chili i terytoryum Argentyńskie. Obecnie słyhać, że agenci Stanów Zjednoczonych układają się z rządem tymczasowym o odstąpienie Kuby. Tak najpotężniejsze w XVI wieku państwo europejskie zeszło dziś do rzędu upadających, o którym wtedy tylko mówią, gdy jakiś spiszek wojskowy wybuchnie.

Na Hiszpanii ma ludzkość przykład, do czego prowadzi nietolerancja religijna i polityczna. Charakter upadającej Hiszpanii najlepiej maluje odpowiedź dana przez rząd spółce holenderskiej, która za Karola II chciała Tag i Manzanares uczynić spławnikami: „Gdyby Bóg Wszechmocny chciał ażeby te rzeki były aż do Madrytu spławnikami, byłby to zrobił i bez pomocy słabych synów ludzkich; ale ponieważ tego nie uczynił, byłoby to zbrodniczym oporem przeciw Opatrzności, gdyby słabi ludzie chcieli porządkować to, czego Bóg w najwyższej mądrości swojej zaniechał.”

Dziś jednak o wiele jest lepiej, niż za Karola IIgo. Środków Hiszpanii nie brak do podążenia za sąsiadami Zachodu (1).

F. Krupiński.

(1) Artykuł niniejszy, o ile nie dotyczy bieżących wypadków, ułożony jest według dzieł: Klödena „Handbuch der Erdkunde;” Blocka „Dictionnaire général de la politique.” Kolba „Handbuch der vergl. Statistik” i „Grundriss der Statistik” (1868).

ODKRYCIA I PODRÓŻE GEOGRAFICZNE.

W ROKU **1868.**

PRZEZ **A. P.**

(Dokończenie).

Ogólne uwagi nad Afryką. — Południowa część Afryki. — Podróże Dra Fritscha. — Ziemia przylądka (Capland). — O Boerach, Niemcach, Anglikach, Kafrach, Buszmanach i Beczuanach. — Rzeczpospolita Oranii. — Karol Mauch. — Złote pola — Rzeczpospolita Transwalska. — Ryszard Brenner na wschodnim wybrzeżu Afryki.

Jeżeli zimna dziedzina północnych lodów, dalekie kraje podbiegunowe bezludne i w wiecznym niemal przez przyrodę trzymane odrętwieniu, były w stanie od dość dawnego już czasu licznych ku sobie ściągać podróżników naukowych: o ileż ich więcej przynęcać były powinny te strony świata, które zaopatrzone w dogodniejsze warunki życia, bogatszą słynącą naturą, nie tylko naukowe mogły zaspokoić pragnienia, ale i innym mniej wzniosłym widokom szerokie otwierały pole. To też nie zbyt długo obcemi pozostały dla nauki złotonośne brzegi Kalifornii albo Nowej Holandyi, żyzne wybrzeże południowej Ameryki lub bujne roślinnością wyspy Indyjskie. Zmierzały ku nim wędrownie tłumy tych, co w stariej Europie wygodnie się pomieścić nie mogli, zdążyć za nimi i kupiec za zyskiem goniący. To też i taką drogą wzbogacała się wiedza geograficzna, tym też pobudkom zawdzięcza bliższe wiadomości o morskich brzegach Afryki. Lubo wschodnia jej część i północny pas zwrócony obliczem ku morzu Śródziemnemu od niepamiętnych czasów nie były

obce ludzkiemu badawczemu oku, bo te dziedziny w najwcześniejszem życiu dziejowém żywy brały udział, jednak przez te krainy, do morza Śródziemnego przymykające, właściwój nie rozumiemy Afryki. Egipt, Kartagina i w ogóle dawniejsza Libia stanowią jeszcze świat wschodni, dalsze ogniwo tój cywilizacyi, która się nad Indem, Eufratem i Tygrem rozwinęła. Czego zaś nie ogarnął prąd życia dziejowego, to właściwą nazwaćby można Afryką i to też prawdziwie nieznaną dla świata pozostało stroną. Z handlowych wypraw, z wojennych wycieczek skorzystała wprawdzie nauka geograficzna, ale wiadomości z takiego źródła płynące rzucały tylko światło na najbliższe brzegów morskich krainy, na przystępniejsze ujścia rzek, na skrawki nadbrzeżne, otwierające pole dla zysku kupieckiego. Środkowa zaś część Afryki pozostała przestrzenią pokrytą niewiadomością zasłoną, rozległym przestworem dla domysłów, rozleglejszym jeszcze obszarem dla wymysłów geograficznych.

Szczególniejszy rys w zewnętrznej swój postaci przedstawia nam Afryka, rozpadając się na dwie połowy z różnym, odmiennym ustrojem powierzchni; południowa wznosi się płaskowzgórzem, które przysuwa się aż do brzegów morskich i ku nim gwałtownie i stromo się spuszcza; północna zaś połowa rozwija się w rozległą nizinę, która wyniosłemi wzdęta nadbrzeżnemi wzgórzami, podobnie stromemi ścianami pochyła się ku morzu. Sama więc Afryka ustrojem swójj powierzchni nie ułatwiając poznania jój części środkowój, postawiła już nad brzegiem morskim nieprzebytą zawadę. Ze swoich środkowych stron nie wylewa spławnych wód do sąsiednich oceanów, te zaś Nieliczne do morza spływające rzeki, co szersze mają koryto i obfitością wody się zalecają, najniegodniejsze dla przystani przedstawiają ujścia. Strome skały, kamieniste pokłady, piaszczyste odmiały nie wabią ku sobie strudzonego długą podróżą żeglarza. Nadbrzeżne wzgórza płaskimi ścianami spadające do morza, przeszkodziły wytworzeniu się głęboko w łód stały zapuszczających się zatok. Cała krawędź w prostj ciągnie się linii, nie poprzerywana temi licznymi odnogami, które w innych krajach wyzębiony jest brzeg morski. Takimi przeszkodami wstrzymana żeglarska przedsiębiorczość ograniczyć się tylko musiała na najwęższym i najszczuplejszym skrawku nadmorskim:

co było za górami, to dla oka zasłonięte pozostało. Dla-
tegotóż niedawnemi czasy, co naszój sięgają jeszcze pamięci,
o wewnętrznej środkowej Afryce takie krążyły wiadomości,
jakie Grekom Herodot o Libii podawał. Bujna wyobraźnia
wypełniała sobie zmyślonemi kształtami nieznaną przestrzeń,
księżycowe góry śnieżnemi szczytami sięgały nieba, obfite
wodozbiory w kształcie mórz środkowych wylewały ze siebie
w różne strony biegnące strumienie; to znowu według innych
również bezzasadnych pojęć podzwrotnikowe słońce oświe-
cało tylko bezbrzeżną, bezleśną, piaszczystą pustynię. Od
czasów Rittera rozpowszechnił się trafnie przezeń do Afryki
zastosowany przymiot, pod pewnym względem jednostajności
w kształtach, w ustroju zewnętrznym, ale mniej słusznie
następnie stosowany do całej zewnętrznej jej powłoki.
Jednostajność ukształtowania, prostota postaci nadbrzeżnej
wzmocniła owo pojęcie o jednostajnym znamieniu środkowej
Afryki. Tam w jej głębi od morza do morza ciągnie się
ubogie w różnorodne kształty płaskowzgórze: takie po-
wszechne o zewnętrznym obliczu środkowej Afryki było po-
jęcie.

Ale ciemną krainę Afryki rozjaśniły nietylko han-
dlowe wycieczki, osadnik przenoszący z Europy swoje
ognisko rodzinne, lub przedsiębiorca zapuszczający się w dzi-
kie strony dla zakupowania niewolników. Z czysto nau-
kowych pobudek daleko więcej skorzystała wiedza geogra-
ficzna. Jak lody podbiegunowe od dwustu z górą lat zwró-
ciły na siebie uwagę, tak i wewnętrzna część Afryki ciekawy
dla nauki stanowiła przedmiot. Wprawdzie najsilniejszym
bodźcem, co ożywił Afrykańskie wyprawy, stało się dopiero
pod koniec przeszłego wieku założone w Londynie towa-
rzystwo dla zbadania środkowej Afryki, ale od tego też cza-
su nieprzerwane na tém polu snują się usiłowania. Mungo
Park zaświecił na czele ożywczym przykładem; życiem też
przyplacił jeden z tych pierwszych męczenników swoją śmia-
łość, której nauka zawdzięcza bliższe poznanie południowej
krawędzi Sahary. To samo niestłumione uczucie, chciwość
wiedzy i poświęcenie dla nauki, które poraz drugi niezłama-
nego przeszkodami poprowadziło Hayesa pod biegun pół-
nocny, podobnież ożywiało i tych, co do środkowej Afryki
niczem nie zrażeni powtórnie przedsiębrali podróże. Hor-

neman zakradał się w głąb Afryki po dwakroć, odbywali w ostatnich lat dziesiątkach częste wycieczki Richardson, Barth i Overweg. Wpoprzek z północy na południe przepływali „morze piasków” i wszyscy złożyli życie swoje nauce w ofierze. Istotny cmentarz z tych geograficznych złożyłby się męczenników, do których w ostatnich latach głośne przybyły imiona Beurmanna, Roschera i Dr. Livingstone'a. Tak też zginął przed kilkoma laty (1865) Hanowerczyk, nieodżałowanej pamięci, Baron von der Decken, który 600 tysięcy talarów poświęcił na zbadanie Wschodniej części Afryki.

Takimi smutnymi nauczeni przykładami nie stygną bynajmniej w swoim naukowym zapale młodzi podróżnicy; na miejsce poległych uczonych wojowników występują świeże młode siły, jak gdyby już nigdy, ku szczęściu nauki, zbraknąć nie miało tych kapłanów, co wiecznie tlejący na jej ołtarzu płomyk podtrzymują.

Obecny ruch na polu odkryć geograficznych i podróży po Afryce w podwójnym rozwija się kierunku. Jedna ich część odnosi się do północnej połowy, stanowiącej nizinę, płaszczyznę z Saharską pustynią, druga ściąga się do zbadania południowej części płaskowzgórza, które obejmuje przestrzeń w kształcie trójkąta, opierającego się podstawą o równik, po dwóch stronach oblanego wodami oceanu Atlantyckiego i Indyjskiego i wierzchołkiem zamkniętego u przyłodka Dobrzej Nadziei. Stosownie do takiego kierunku obraz najnowszego ruchu geograficznego, w podobnych dwóch działach rozwinąć zamierzamy. Południowa część przedstawia czynność więcej ożywioną i do niej wyższe pod wielu względami przywiązane jest zajęcie jak do północnej niziny.

Nietylko w ogóle wycieczki do Afryki nierównie więcej przedstawiają żywotniejszego przedmiotu niż podbiegunowe wyprawy, ograniczające się głównie na badaniu martwej przyrody, ale z drugiej strony wyprawy do południowej części bogatsze zapewniają owoce trudom podróżnika. Przytém badania świata północno-środkowej Afryki lubo bujną odsłaniają roślinność, i ludne królestwo zwierzęce, mniej ciekawy przedstawiają jednak obraz ludzkiego świata; Południowa zaś Afryka, jęj całe pobrzeże i przestrzeń daleko

w głąb sięgająca mieści w sobie mniej lub więcej uspołecznione towarzystwa, powiązane w polityczne ciała, główną jej ludność stanowią mieszkańcy tamecznego pochodzenia, ale między nie posiana tu i owdzie ludność aryjska z Europy przybyła, jest jakby wspólne wiązadło tych niespojnych i odpychających się wzajemnie części. Po nad granicami tego świata uspołecznionego, z północnej zwłaszcza strony rojne, rozwija się mnóstwo różnojęzycznych koczujących drobniejszych dzikich ludów. Z tych różnorodnych części wielce ożywiony, nader zajmujący układa się obraz.

Pracom angielskich podróżników winna głównie nauka wiadomości, jakie posiada o najdalej na północ wysuniętej części Afryki południowej. Najwcześnieij i najdokładniej zbadaną została ta przestrzeń, na której się kończy ląd stały Afryki. Przypisać zaś to wypada okoliczności, iż cały ten kraj sięgający na północ aż do rzeki Oranii (nazwanój w końcu przeszłego stulecia na cześć domu Oranii) należy od początku tego wieku do Anglii. Odbierany od Holendrów w ciągu zmiennego losu długo prowadzonój wojny, pozostaje już trwale od roku 1806 pod panowaniem angielskiem. Jestto ziemia „Przyłądka” pod imieniem Kaplandu znana, a główne jej miasto, miasto przyładka, właściwiój miano osady przyładkowej nosi. (Cap Town ang. Cap-Colonien iem.). W tém miejscu jako i w dalszych, w głębi kraju leżących miastach osiadała głównie ludność biała aryjskiego pochodzenia, którą stanowią Holendrzy, pierwotni osadnicy z XVII wieku, później przybyli Anglicy, francuzcy wychodźcy z czasów Ludwika XIV i niemieckie legiony, co rozwiązawszy się po ukończeniu krymskiej wojny, stałe obrały sobie siedlisko na owym dalekim afrykańskim brzegu, dawszy początek kilku osadom, i te do różnorodnych nazw miejscowych, francuzkich, holenderskich i angielskich jeszcze większą wprowadziły rozmaitość. Spotykamy albowiem Berlin, Heidelberg, Frankfurt i t. p.

Od lat już kilkunastu Kapland stanowi dla nauki nietylko angielskiej, ale w ogóle europejskiej bardzo dogodną przystań, jest to naukowa podstawa, z kąd wyżej w głąb Afryki zapuszczają się badacze przyrody i w ogóle podróżnicy. Sama miejscowość ze względu na świat roślinny i zwierzęcy

może nietyło zajmujący stanowi przedmiot, jak raczej stosunki etnograficzne. Tyle różnorodnej ludności europejskiej białej, różnolite tło miejscowych mieszkańców, bogate stopniowanie mieszanych jednej i drugiej rasy, obfitą dla spostrzeżeń antropologicznych przedstawiają dziedzinę i nie mniej rozległy obszar dla badań etnograficznych.

Rok ubiegły wzbogacił geograficzną wiedzę sporą wiązką świeżych wiadomości, na etnograficzném polu zebranych.

Niemiecki podróżnik Dr. Gustaw Fritsch, asystent przy anatomicznym instytucie w Berlinie, poświęcił trzy lata na zbadanie głównie ludności południowej Afryki, jej bytu politycznego i społecznego. Świeżo ogłoszone dzieło jego p. n. „Trzy lata w południowej Afryce” (1) stanowi piękny przyczynek do bardzo szczupłej w tej gałęzi literatury. Daleki od kłamliwej opowieści o niebytych wypadkach swojej podróży, zajmuje się więcej przedstawianiem obrazu zwiedzanej przyrody, ciekawe mieszcząc pod względem lekarskim spostrzeżenia — urozmaicając oschły nieco wykład obrazami, tém więcej cennymi, że je sam podróżnik zaopatrzone w przyrząd fotograficzny na miejscu zdejmował. Biegły nadto myśliwy umiał także zdaleka widziane okazy ze świata zwierzęcego na swoją obracać własność. Często do gospody z bogatym wózkiem zwierzyny wracał. Fritscha podróże tem większe nauce zapewnić były w stanie korzyści, ile że nie z błachej powstały ciekawości, bo podróżnika wspiera głęboka wiedza, dokładna znajomość nauk przyrodzonych i w ogóle umysł poważniejszy, co nie zawsze śmiały z Europy przybywających zaleca wędrowców. Powierzając się przewodnictwu Fritscha — który po trzechletnim swoim pobycie na zaufanie zasługuje, przypatrzmy się tamecznym stosunkom społecznym. Kapland było pierwszym polem spostrzeżeń Fritscha.

Ludność miejscową najliczniejszą stanowią, jak wiadomo, Hotentoci. Z połączenia się zaś z białymi osadnikami powstają tak zwani Boerzy. Dziwnie umysłowo od przyrody zostali upośledzeni ci ludzie — ich widnokrąg, powiada Fritsch, jest bardzo ciasny. Jeżeli grzeszą przesadą o-

(1) Drei Jahre in Süd Afrika. Reiseskizzen von Dr. Gustav Fritsch. Breslau. 1868.

wieści o ich ograniczeniu, to w każdym razie to, co dotychczas sprawdzoném na miejscu zostało wystarcza, żeby sobie najniekorzystniejsze o ich stanie umysłowym utworzyć pojęcie. Z licznych opowieści ściągających się do tego przedmiotu, jedna przed innymi zasługuje na uwagę.

Sir Thomas Mac Lear, królewski astronom miał sobie poruczony wymiar tamecznego kraju: jakoż rozpoczął swoją czynność, ustawił trygonometryczne przyrządy na gruncie jednego z holenderskich osadników, nie zapytawszy go poprzednio o pozwolenie.

Boer oburzony tą samowolnością chciał Anglika spędzić ze swojej roli, ale Mac Lear wielce dowcipny człowiek, wpadł na szczególniejszy pomysł: wmówił w Boera, że za pomocą swego przyrządu gwiazdy chwyta. Boer pilnie się przypatrywał jak astronom swój przyrząd otwierał i zamykał, uwierzył wreszcie zapewnieniom — iż rzeczywiście Mac Lear ściągnął gwiazdę z nieba — ale oglądać jej nie mógł, bo astronom ostrzegął, że wzrok swoim blaskiem silnym olśnić może. W ten sposób bawiąc się ograniczonym Boerem, Mac Lear nie ustawał w swęj pracy, podawał mu z rzędu nazwę jednej gwiazdy za drugą, którą w swym przyrządzie uwięził, aż się w końcu ze swoim zajęciem załatwił. Ograniczenie tych ludzi łatwo da się zrozumieć, jeżeli się na uwagę weźmie okoliczność, iż taki osadnik nigdy z swojej zagrody na szerszy świat nie wyjdzie, chyba że podąży na jarmark albo do swojej uda się parafii. Ta przestrzeń ziemi, którą w około sąsiednie opasują góry, stanowi dla niego świat zupełnie zamknięty: co leży po za temi widzialnymi granicami jest dla niego „innym światem”. Tak raz wysłał Boer swego dorosłego syna do m. Swellendam o trzy mile odległego, żeby sobie „świat przejrzał.” Inny znowu, w którego obecności szeroko rozprawiano o Anglii, wyjawiał swoje życzenie że chętnieby się udał na zwiedzenie tego kraju, gbyby tylko znał miejsca popasów. W Kaplandzie bowiem podróży odbywać nie można, jeśli ktoś nie zna dokładnie tak zwanych uitspan'ów, t. j. miejsc obfitujących w trawę i wodę, gdzie dogodnie woły pociągowe popasać mogą.

Zresztą osadnik Boer dobroduszością się odznacza, jest gościnnie, przyjacielski, pobożny i wytrwały.”

Między ludnością osiadłą w Kaplandzie, oddawna znajdują się liczne gminy niemieckie. Nie mogło się obejść bez tego, kiedy na całym świecie rozproszony żyje lud niemiecki, żeby w tych stronach południowej Afryki między kolorową ludnością nie miał swoich przedstawicieli. Ale jak wszędzie, tak i w Kaplandzie znajdują się niemieccy osadnicy, którzy swęj rodzinnej ziemi zaszczytu nie przynoszą. Opuszczając kraj ojczysty nie zabierają z sobą tych pięknych przymiotów, jakie we własnym ich kwitną społeczeństwie, w nowych zaś siedliskach do swoich własnych wad przybierają te, jakimi grzeszy miejscowa ludność. To spostrzeżenie, które licznymi z dziejów niemieckiego przesiedlania się przykładami poprzeczyć można, nasuwa się każdemu, kto między obczyzną przypatrzy się bezstronnie społecznym stosunkom osadników niemieckich. Tylko sami Niemcy zdaje się jakieś mają bielmo na oku; Fritsch, Szlązak, dziwny pod tym względem stanowi wyjątek: słowa prawdy, które rzuca swym rodakom, może nieco przesadzone wydać się mogą temu do kogo są stosowane, dla nas mają wartość uwag sprawiedliwych i bezstronnych.

Porobiłem wśród mojej podróży, powiada Fritsch, znajomości nie mało: poznałem ludzi wielce czynnych, współziomków oddanych gorliwie swojemu zawodowi, odznaczających się ujmującą uprzejmością, i dumny być mogę z tego, że jestem Niemcem; ale w ogóle o rodakach moich w Kaplandzie nabrałem niezbyt korzystnego przekonania.

Niemiec tak jest już od kolebki, od gniazda rodzinnego przyzwyczajony do ucisku, że na obczyźnie, dokąd ciągnie ze stałym postanowieniem znaleźć szczęście dla siebie, chętnie nagina się do okoliczności, mając głównie swój cel założony na widoku. W środkach nie przebiera. Dlatego też zwykle dochodzi do zamierzonego kresu, nagromadzi pieniędzy to prawda nie mało, ale ściągą na siebie zarzut, iż jest człowiekiem bez charakteru. Nawet holenderski Afrykanin, który nieraz pokornie przed Niemcem schylać musi czoło, *przeklętym Mojżes go nazywa.*

Kiedys dawnymi laty, pisze Fritsch, rodacy nasi zasługiwali w południowej Afryce na wszelki szacunek; ale od czasu przesiedlenia się legionów, zaszła znaczna zmiana w stosunkach. Nie tylko zaszkadzili nam sami legioniści swoim dziwnym wojskowym znamieniem, ale i liczne

z nich tłumy zbiegów, którzy jeszcze do dziś dnia wałęsają się po kraju. Wprawdzie ci legioniści nie małą winę ściągnęli na siebie, że podkopali powszechne ku Niemcom zaufanie; ale prawdę powiedziawszy, inni ich starsi bracia nie są także bez grzechu.

Kiedy się tamecznego Niemca pytamy o powody zmniejszonego zaufania i szacunku, pewni być możemy odpowiedzi: Tak, ten legion nieszczęśliwy, to nam wiele zaszkodził; ale ja sam przekonałem się osobiście, iż nie mało jest takich Niemców, co nigdy do legionów nie należeli, a jednak słusznie do tego samego rzędu zaliczyć ich wypadnie pod względem braku wszelkich wyższych moralnych zasad.

Rażącą sprzeczność przedstawia Anglik: dumny, zarozumiały, uprzedzony do swojego kraju, w którym widzi w każdym kierunku najpiękniejsze strony, stara się na obczyźnie przenieść między nową ludność i do nowego kraju swój sposób widzenia, swoje zwyczaje, swoje urządzenia domowe i społeczne. Zginie raczej, ale się nie wyprze swoich zasad i chociaż takiego wielkiego majątku nie zgromadzi jak Niemiec, więcćj jednak od niego przynosi dla kraju korzyści.

Niemiec tak długo, póki obcym jest wśród nowój swój ojczyzny pokazuje się jako chętny i dzielny robotnik dla tego, który mu chleb daje; ale prędko go opuszcza, skoro się tylko bliżej pozna z całym składem i ustrojem nowego społeczeństwa, skoro tę pewność w sobie poczuje, że o własnych siłach nadal istnieć może. Wtedy łamie się ze wszystkimi przeciwnościami, mężnie i wytrwale dąży do osiągnięcia majątku, nie dbając wiele o swoje społeczne, obywatelskie stanowisko. Jeżeli mu los sprzyja i pomyślnym skutkiem przedsięwzięcia jego darzy, wtedy zabrawszy swoje dostatki ciągnie dalej, żeby je spożywać na inném miejscu, z wielką zawsze szkodą kraju, któremu tym sposobem coraz więcćj krwi ubywa od tych nienasyconych pijawek. Anglik zaś inną zupełnie rządzi się zasadą: żyć, niech i inni żyją; to co zarobi wyda po większej części i daje środki utrzymania przez to większemu kołu pracujących ludzi. Wprawdzie jako z poddanym, wielka jest bięda z Anglikiem, z jego zarozumiałością i dumą narodową; ale ktokolwiek umie pobłażliwie patrzeć na te zkadnąd jego nie bardzo szkodliwe wa-

dy, znajdzie w nim człowieka pewnego, godnego wszelkiego zaufania. Na samodzielnym stanowisku jako pan i właściciel dąży nieustannie naprzód. Polepszenie, doskonalenie posiadłości jest to jego przyjemność, to stanowi właściwy cel jego życia, któremu gotów nieść wysokie ofiary, i dlatego też Anglik jest najlepszym osadnikiem, najkorzystniejszym przybyszem do nowego kraju.

Pośredniczą zaś miejsce między jedną a drugą narodowością zajmuje Holender, pierwotny właściciel południowoafrykańskiej osady. Rodzinne jego flegmatyczne usposobienie pod wpływem nowego sposobu życia i klimatu w Afryce przeszło w rodzaj niedołęztwa i dziwnej obojętności. Przez Holendrów rozumieć należy potomków owych przybyszów z czasów holenderskich, którzy zatem nie są Holendrami najczystszej pochodzenia. Wiele między nimi krwi obcej, mianowicie francuskiej, ale te pierwiastki podrzędne zajęły miejsce w ogólnej mieszaninie, noszącej na sobie najwybitniejsze piętno holenderskie. Zapanował bowiem język i obyczaje holenderskie: nawet nazwiska rodzin uległy dziwnej zmianie, tak iż dzisiaj piszą Wewije zamiast Viveez, Voesse zamiast Fouche, Filie zamiast Villiers i t. p. Wszyscy ci potomkowie dawniejszych osadników z pewną dumą „Afrykanami” się nazywają i wielką w ogóle pałają niechęcią, nawet nienawiścią ku wszystkim „Uitlandrom,” między nimi zaś prawdziwi Holendrzy najgorzej są zapisani. Jeżeli sobie przypomnę te wszystkie zdania, które różni wygłosili pisarze o wpływie, o zachowaniu się Anglików w Kaplandzie, to otwarcie przyznać się muszę, iż nie rozumiem jakim sposobem takie objawić było można przekonania: wpływ ten, to przyznać trzeba, nosi na sobie znamię przemocy, ale tylko o tyle, o ile wyższe uspołecznienie nieprzepartą siłą porywa tych wszystkich, co w ospałym pogrążeniu są zastoju. Środków, jakimi Anglicy doszli do panowania nad przyładkiem, pochwałać nie można, ale bez nich kraj ten i tamedzna ludność byłaby się zupełnie zmarnowała.

Anglik uprawia staranniejsze swoje zagrodę, lepsze sieje zboże, karmi lepsze bydło, konie i owce niż miejscowy Afrykanin, który wszystko poleca łaskawej matce naturze; zmusza go tym sposobem, że Afrykanin w obawie o swoją całość i mienie, wychodzi z gnuśnego koła ospałej pracy, albo

w końcu miejsca Aglikowi ustępuje. Z tego też powodu Boer posuwał się coraz dalej na północ w skutek zdobywczego wpływu angielskiego i zajął dziedziny wolnych gmiu Natalu (na północo-wschód od właściwego Kaplandu) i osiadł w miejscu, gdzie żyzniejsza gleba ułatwiała mu współzawodnictwo. Coraz dalej na północ wyrzucany, zatrzymuje się nareszcie pełen oburzenia, i pędzi nędzny żywot wśród angielskiej ludności. Wprawdzie wiele przyczyniło się i postępowanie rządu angielskiego, że Boerzy tłumnie swoje siedziby opuszczali; nienawiść jednak narodowa najgłówniejszą stała się tego przyczyną, inne zaś tylko za uboczne powody uważać należy. Najwięcej nieprzyjaciół angielskiemu rządowi przysporzyło gwałtowne zniesienie niewoli ze szkodą dla rolnictwa przeprowadzone, liczne bowiem rodziny bolesną dotknięte stratą, zniewolone były kraj swój ojczysty opuścić. Nagłe zmniejszenie sił roboczych odjęło gospodarzom środki do uprawiania znaczniejszych obszarów i zmusiło ich do wyszukiwania pastwisk, na których mogli powetować szkody, powiększając hodowlę bydła.”

Czysto miejscową ludność pochodzenia afrykańskiego stanowią Kafirzy i Buszmani. Pierwotnemi mieszkańcami najdawniejszemi byli prawdopodobnie Buszmani. Kafirzy zaś przybyli z północy, o tém zdaje się świadczyć prócz budowy ciała, ich zwyczaje i obyczaje. Mają u siebie wielożeństwo i uroczysty obrzęd chrztu, przyczem na białe w dziwaczny sposób całe ciało malują. W ciągu licznych wędrówek, jakie te koczujące ludy odbywały, zaginęły wszelkie piśmienne o ich przeszłości zabytki, jeśli w ogóle takie pomniki kiedykolwiek istniały, bo do téj pory zachowało się między niemi bardzo chwiejne i mgliste podanie ustne, które głównie obejmuje nazwy głośniejszych dowódców. Jeden z urzędników angielskich przebywających w Kaplandzie czynił w tym względzie poszukiwania, znalazł podobno nawet jakiegoś z tego pokolenia starszego, który utrzymywał, iż dawniej istniały pewne znaki, przekazujące potomności sławniejsze zdarzenia, ale te wśród nieustannych wojen zaginęły. Mniej jednak na wiarę takie zapewnienia zasługują: przypuszczać trudno, iżby się wykształciły znaki piśmienne u ludu tak umyślowo zaniedbanego; zresztą raz w używanie wpro-

wadzone, czyżby tak bez śladu znowu zaginać mogły. Cokolwiek bądź czy o przeszłości tych plemion wiadomości bliżej lub dalej sięgają, ludy te w każdym razie należą do najdawniejszych na powierzchni ziemi. Przed Kaframi, których za przybyszów z północy uważać wypada, zamieszkiwali południowy przylądek Afryki Buszmani, lud, o którym najsprzeczniesze spotykać można wiadomości w powszechnej literaturze. Na plemię to zwrócić nam należy uwagę i skorzystać ze spostrzeżeń, jakie Fritsch starannie pozbierał. Buszmanów, jak wiadomo, dziwnie od natury upośledzonych, przypominających bardzo żywo małpy, zwykle filozofowie i naturaliści w różnym celu przytaczają zwykli, dla poparcia swoich dowodów za lub przeciwko bliższemu powinowactwu człowieka z małpą. Otóż Fritsch ciekawe pozbierał uwagi. Potwierdza przedewszystkiem tę okoliczność, że Buszmani byli pierwotnymi mieszkańcami w tych stronach (wschodnich od przylądka), w których osiedli następnie Kafirzy, dowodzą tego nazwy buszmańskie (hotentockie) gór i rzek, które się do dziś dnia jeszcze zachowały, przytém i liczne w skałach i jaskiniach znajdujące ślady i szczątki ich pobytu. O umysłowym zaś stanie Buszmanów korzystniejszego nabrać wypada wyobrażenia, z tego co Fritsch o nich powiada, o ich zrzeczności i przebiegłości.

„Słaba budowa ciała niezdolnym Buszmana czyni do pokonania nieprzyjaciela silniejszą prawicą lub do powalenia zwierza, który mu za pokarm służy; musiał więc brakującą siłę zastąpić innym środkiem, wyszukał sobie tajemne siły natury, żeby zatruć swoją strzałę. W całej południowej Afryce sami tylko Buszmani używają zatrutej broni a jad strzały jest jednym z najsilniejszych, jakie dotychczas w ogóle są znane. Przygotowanie trucizny pokryte tajemnicą, zgadzają się jednak wszyscy pisarze na to, że główną składową część stanowi jad żmii. Zatrutą strzałę noszą zwykle w małych kołczanach z kory aloesowej albo zatykają na poprzek w zawoju na głowie z ostrzami w górę sterczącymi i tworzą w ten sposób rodzaj straszego wieńca, z którego myśliwy zrzęcznie swoje zabójcze wydobywa pociski.

Właściwie jednak tylko przeciwko zwierzom polnym tej strasznej używają broni; nie wiele naliczyłyby takich wy-

padków, gdzie Europejczycy padli pod śmiertelną raną z takich pocisków, częściej puszczali je na swoich współziomków przeciwników, kiedy ich wyrzucali z żyznych pastwisk lub przemocą im trzody odbierali. Czego strzała osiągnąć nie może, to łapią w zręcznie zastawionych sidłach i tym sposobem więcej łowią strusi, niż Europejczyk zaopatrzony w doniosłą broń palną i rączego konia myśliwego.

Kiedy osadnicy europejscy coraz głębiej się zapuszczali, dzika zwierzyna rzadszą się stawała i nie wystarczała na utrzymanie koczującego plemienia, wtedy Buszman zaczął się kradzieżą bydła trudnić. Niepodobna było tym ludziom wytłumaczyć, że popełniają niesprawiedliwość: tak słabe mają pojęcie o własności. Boerzy rozjątrzeni ustawicznymi kradzieżami, których powstrzymać nie byli w stanie, mając o sile tego ludu nieszczególne pojęcie, wypowiedzieli im wojnę śmiertelną. Naczelnicy wysyłali oddziały zbrojnych ludzi z wyraźnym rozkazem, żeby tępił do szczytu Buszmanów, odbywano polowania jak na zwierzynę a naczelnik zbrojny zapisywał sobie, jako myśliwy gromadę zabitych lisów lub zajęcy, liczbę poległych.

Ze wszystkich stron obsaczeni wpadali ci nieszczęśliwi w ręce swoich oprawców, którzy bez różnicy płci i wieku mordowali starców, kobiety i dzieci. Trupami pokryły się rodzinne pola, które ich były własnością. Nie wielu się znalazło takich szczęśliwych, których oszczędził miecz tępiący. Tu i owdzie zbłąkane sieroty dostały się do rodzin prywatnych, tkliwsze mających serce, a wychowane przez nie podtrzymują do tej pory między odmienną ludnością szczątki swojego plemienia. Mała część złożona z kilkuset dusz spiesznie kraj swój opuściła przenosząc się z Kaplandu na północo zachód do Namakwa, kraju gdzie nędzny prowadzi żywot trapiąca i prześladowana, często także prawem odwetu krwawą mszcząc się zemstą.

Buszman odznacza się postacią bardzo niską. Ma głowę niekształtną, która na czasce jest spłaszczoną i znacznie się w tył wysuwa; kości twarzy mniej są wydatne jak u Hottentota, gdyż głowa w okolicach skroni się rozszerza a kąt szczęki dolnej naprzód sterczy; nos jest spłaszczony, dolna część twarzy daleko wysunięta. Wielkie niekształtne uszy, małe głęboko zapuszczone oczy nie dodają zupełnie wdzię-

ku tym ludziom, których twarz wyraźny małpi wyraz przedstawia.

Szczególniejszy przymiot posiadają, niezwykły dar naśladowczy, który od bezmyślnego małpiego naśladowania odróżnić należy, gdyż się przytém w ich utworach przebija i układ rozsądny i żywa wyobraźnia, dwie czysto ludzkie własności. Nie tylko giętkim swym głosem nader łudzają są w stanie naśladować śpiew różnych ptaków, nie tylko zrećźnie udawać umieją chód pewnych osób lub pewnych zwierząt, ale co więcej zajmowali się oddawna szlachetną sztuką malarską. Ich siedziby skaliste, ich jaskinie pokrywają liczne, bardzo zrećźnie rzucone rysy ludzi, zwierząt, które wierniej i staranniej są wykonane jak nie jedno staroegipskie lub indyjskie malowidło.

Najwięcej spotkać ich można około Key-Poortu w pobliżu ujścia rzeki Key do morza (graniczna rzeka na wschód Kaplandu). Strome ściany skaliste przysuwające się do rzeki mieszczą w sobie liczne jaskinie i grotty, które są prawie niedostępne dla Europejczyka, dla Buszmana jednak bardzo dogodne miejsce zamieszkania stanowiły. Przy pomocy Kafrów dostałem się, powiada Fritsch, na szczyty tych skał, żeby się zbliżka malowidłom przypatrzeć. Jakoż już zdaleka spostrzegłem skaliste urwisko nad rzeką, a na niem na przedniej stronie ukazywały się ślady sztuki malarskiej. Spostrzegłem dwa zwierzęta, wołu i antylopę odmalowane w powiększonych rozmiarach, ale stosunek wszędzie wiernie był zachowany. Na jasnym piaskowcu wół był czerwoną odznaczony farbą, antylopa zaś na ciemniejszym tle ostrym rylcem odznaczona. Dalej kiedym zstąpił niżej do doliny, spotkałem drugie jeszcze miejsce również licznymi pokryte malowidłami, ale tak były nisko umieszczone, że przechodzącym tędy późniejszym pokoleniom dawały sposobność do poprawiania prac swych poprzedników, tak iż malowidła te pod niezrećzną ręką zmieniły się zupełnie i rozpoznać je trudno. Można jednak było przy staranniejszem badaniu wyszukać ślady nakreślonych psów, strusia, pawianów i licznych rodzajów antylopy. Na szczególniejszą wzmiankę zasługują dwie ludzkie postacie czarną barwą odmalowane, zupełnie nago, przedstawione z wązką przepaską naokoło bioder, odznaczone czerwoną farbą tak samo jak i ozdoby wstążkowe na głowie

umieszczone; jedna z tych postaci trzyma w ręku podniesionym instrument, podobny ze swego kształtu do zamkniętego parasola, upiększony czerwonymi ozdobami. Antylopa w białej farbie. Tym sposobem czterech barw używano, krom ostrego rylca, białej, czerwonej, czarnej i zielonej (w kilku miejscach) wprawdzie nie zbyt wielkie bogactwo jak dla Rafaela, ale aż nadto wystarczające dla zaspokojenia artystycznych popędów Buszmana.

O czasie, w którym te malowidła powstały, trudno stanowczo powiedzieć coś pewnego, gdyż klimat tameczny z powodu wielkiej posuchy bardzo sprzyja przechowywaniu barw na kamień zapuszczonych. Wiele z nich jest nowszego pochodzenia, bo między rysunkami spotykać można żołnierza w europejskiem uzbrojeniu i inne jeszcze przedmioty, z którymi się poznali Buszmani dopiero przez zetknięcie się z Europejczykami. Ukazują się także i konie, których dawniej przed napływem Holendrów do Kaplandu w kraju tym nigdy nie widziano.

Na pograniczu Kaplandu od północnej strony między rzecząpospolitą Oranii ze wschodu a puszcza Kalihari z zachodu siedzi licznie rozgałęzione plemię Beczuanów (dawniej nazywanych Biczuanów). Beczuani są blisko spowinowaceni z Kaframami, wyróżniając się od nich znacznie niższą postawą i słabszą budową ciała; kształt twarzy jest prawidłowy, nieraz nawet szlachetny, wyraz zaś łagodniejszy i miłszy.

Więcej mają w swém usposobieniu giętkości i nierównieź zdolniejsi od Kafrów, którzy lata całe mieszkają między białemi a nigdy sie pozbyć nie mogą skłonności do koczowniczego życia, i jak im się tylko pora po temu zdarzy, wracają chętnie do dzikich swoich nałogów. Twierdzili i do dziś dnia jeszcze utrzymywać nie przestają naturalisci i filozofowie, że na rozwój budowy ciała największy wpływ miejscowe stosunki gleby i klimatu wywierają i tym sposobem różne stopnie i odcienia między jednym a tym samym szczepem wyjaśnić sobie usiłowali. Południowe plemiona na pozór wymowny przedstawiaćby mogły przykład, gdyż mieszkańcy wschodniej górzystej, w wodę obfitującej dziedziny odznaczają się swą siłą i swoim wojowniczym duchem, wtedy kiedy środkowy pas zajmujący, gdzie gleba mniej jest żyzna, słabi są i usposobienia bardzo łagodnego. Na naj-

niższym stopniu rozwoju znajdują się biedni mieszkańcy pustyni Kalihari, których zwykle Bakalahari nazywają, albo Balala t. j. biedni a należą do głównego szczepu Beczuanów.

Na tém opierając się spostrzeżeniu twierdzi Livingstone i inni, że plemiona Kafrów zawdzięczają swoją silniejszą budowę ciała żyzniejszej ziemi, którą zamieszkali, Buszmanów zaś nędzną i wątłą postać przypisać należy ciężkim warunkom, w jakich ich nieurodzajna gleba stawia. Tymczasem ze względu na dzieje południowej Afryki za rzecz pewniejszą przyjąć można, że Kafrowie lepszą część kraju zajęli dlatego że już przybyli z północy jako silniejsi i możniejsi. Jeżeli się jeszcze dziś przypatrzymy tój nieustannej walce, jaka między dzikimi toczy się plemionami; jak jedno silniejsze z siedzib wyrzuca słabsze, szukając sobie mieszkań w kraju żyzniejszym i w wodę więcej obfitującym, jak coraz dalej pod tym naciskiem usuwają się słabsze ludy: łatwo zrozumieć można, jakim sposobem Kafrzy wyparowali ze stanowisk swoich poprzedników i zmusili ich do zajęcia pustynnych stron w głębi kraju leżących.

Wnosząc z podań i szczątków ludności pozostałej przechodzimy do przekonania, że Buszmani mieszkali dawniej w tych żyzniejszych okolicach, nie byli bynajmniej silniejszymi od nędznych mieszkańców Kalihari, którzy żywot swój pędzą wśród najcięższej biedy. Nawet wprost przeciwną zrobić można nwałę, jeżeli się przypatrzymy tój barczystej budowie mieszkańców Kalihari, mimo pustynnej okolicy, wśród której osiedli; mają tu pełną swobodę do wylewania się po całej przestrzeni kraju, do zaspokojenia swojego nienasyconego uczucia dzikiej wolności. Na usposobienie, skłonności pewnego szczepu wpływa sposób życia, z tego dopiero wywiązuje się budowa ciała, o ile jeszcze nie jest z góry określona przez pewne inne właściwości. To przynajmniej rzecz pewna, że sama ziemia nie jest w stanie gwałtownych spowodować zmian w ustroju ciała, a zwłaszcza afrykańskie południowe plemiona uledez nie mogły przekształceniom znacznym z tego powodu, że od niezbyt dawnego czasu zmieniły pierwotne miejsce swojego pobytu.—Nie wiele co różniło pod względem etnograficzném przedstawia rzeczpospolita Oranii (Orange-River Freestate) na północo-wschód od Kaplandu położona, przez którą Fritsch odbył uciążliwą po-

dróż, zebrawszy niemało ciekawych spostrzeżeń odnoszących się do świata roślinnego i zwierzęcego tamtej okolicy. Rzeczpospolita Oranii obszarem mało co większa od obecnego Królestwa Polskiego, z północy odgraniczona jest rzeką Wal (Vaal) od rzeczypospolitej Transwalskiej, ze wschodu górami Draken oraz Witte-górami od Natalu i kraju Basuto, rzeka zaś Oranii od południo-zachodu oddziela od Kaplandu.

Wiadomo, że ta południowo-afrykańska rzeczpospolita jest jeszcze bardzo młodą, bo niedawnemi dopiero powstała czasy w kraju, po którym poprzednio jako w dzikiej pustyni przesuwali się koczujące ludy Buszmanów, Beczuanów i Kafrow. Z napływowej ludności Boerów utworzyło się gminowładne społeczeństwo, które wkrótce po swoim politycznym urządzeniu się pod zwierzchnictwo rządu angielskiego się dostało (1848) jako Oranie-River-Sovereignty. W sześć lat jednak później Anglicy zrzekli się swego politycznego zwierzchnictwa na korzyść rzeczypospolitej, która się do dzisiaj dnia gminowładnie rządzi.

Bloemfontein jest głównym siedliskiem rządu i naczelnym miastem całego kraju. Kiedym tu przybył, pisze Fritsch, któremu zawdzięczamy wiele ciekawych szczegółów o rzeczypospolitej Oranii, zasiadała właśnie Rada Narodowa i prawodawczą swą czynność rozwijała z takim spokojem, z taką powolnością, jaką tylko u afrykańskiego Boera spotkać można. Rząd tutejszy wiele pozostawia do życzenia, ale przy najlepszej nawet chęci naczelnicy nie byłiby w stanie złemu zaradzić, gdyż kraj szarpany przez stronnictwa współzawodniczące nie może wejść na drogę istotnego postępu.

Jest to rzeczpospolita, państwo wolne, to wątpliwości nie ulega, bo każdy czyni, co mu się podoba, nikt się do istniejących praw i przepisów nie stosuje.

Jeden z osadników wiejskich został skazany na zapłacenie kosztów procesu, nie chciał się jednak poddać pod wyrok sędziów. Utrzymywał, że jest zupełnie niewinny. Posłano nakaz ażeby ściągnąć kosza, osadnik chwycił z zimną krwią za broń, mierzył ku urzędnikom grożąc że wypali jeśli się dotkną jego chudoby. Urzędnicy odstąpili. Wysłani poraz drugi gdy osadnika w domu nie zastali, zajęli bydło, tymczasem osadnik powróciwszy popędził śpiesznie i wśród

krwawego starcia wydarł z rąk sprawiedliwości swoje bydło. Koszta więc procesu ze składki gminnej pokryte zostały a osadnikowi uszedł opór bezkarnie.

Inny znowu gospodarz zabił swojego sąsiada wśród zwałej sprzeczki, pociągnięty do odpowiedzialności w więzieniu zatrzymany został. Gdy jednak przez dwanaście miesięcy daremnie na śledztwo czekał, uważał za stosowne wyłamać się z zamknięcia, zostawiwszy kartkę z oświadczeniem, iż zdaniem swoim już dostateczny czas odsiedział. Schronił się do sąsiedniej Transwalskiej rzeczypospolitej i tam spokojny żywot prowadził przez nikogo nie ścigany.

Ten nieład, który się zakradł od czasu jak Anglicy opuścili republikę, pójdzie dalszym torem i zapewne na przyszłość także się nie zmieni, chyba że wróci znowu angielskie panowanie. W tej myśli silne stronnictwo dość czynnie pracuje, podkopując wszelkie działania stronnictwa patriotycznego. Dąży bowiem do tego, żeby zawichrzyć kraj i tym sposobem zmusić do szukania pomocy u rządu angielskiego.

Niedawno zbudowano fort opodal miasta na wzgórzu, które nad całą panuje okolicą; podobno tameczny rząd zamierzył jeszcze silniej fort obwarować, żeby w razie wojny z Kafirami mieć bezpieczne stanowisko. Ale republika nie w tym względzie nie uczyniła, i dzieło niedokończone zostało. Zardzewiałe zaś armaty dotychczas tylko szkodę między własnymi wyrządzały obywatelami. W krótkim przeciągu działa te kiedy z nich przy uroczystościach zrobiono użytek, nie mniej jak pięć smutnych już spowodowały wypadków.

W razie wojny widoki więc nie są bardzo przyjazne, zwłaszcza iż sam Boer nie wiele dba o ćwiczenie orężne i trzyma się chętnie zdala, o ile tylko można krwawego uniknąć starcia. Dopiero kiedy zagniony koniecznością za broń chwyta, umie dawać dowody mężstwa wojennego. Kafirzy zaś na szczęście nie należą także do bitnych ludów i wielkie przed bronią palną mają poszanowanie. W nowszych czasach wprawdzie się w nią zaopatrzyli, używają jej jednak bardzo niezręcznie.

Boerzy boją się rodzimych mieszkańców, ale ich także i nienawidzą w wysokim stopniu; za wielkie to się uważa

poniżenie podać czarnemu rękę, gdyż ich w ogóle za ludzi uznawać nie chcą. Kiedy w Radzie Narodowej jeden z mówców kilka razy mówił o „de zwarte Mensche” (o czarnych ludziach) podniósł się inny i zwrócił jego uwagę na to, iż nie przystoi ludźmi nazywać tych, którzy są tylko „schepsels” stworzeniami (w pogardliwym znaczeniu).

Pewna część rodzimych mieszkańców udaje się na najem do białych, którzy wtedy względem czarnych wielce pańską przybierają postawę. Są to powiększej części robotnicy należący do jednego i tego samego plemienia. Zwykle mieszkają w okolicy miasta, nad ranem przychodzą i za mierne wynagrodzenie oddają swoje usługi, wieczorem zaś do swoich nędznych chat wracają. Zgromadzony grosz skwapliwie chowają, póki nie starczy na zakupienie bydła, powoli rośnie domowe bogactwo, aż nareszcie Kafer dojdzie do tej zamożności że jest w stanie kupić sobie żonę. Wtedy już wszystko ma czego mu potrzeba, wraca więc do swojej zagrody, rzadko w widokach zebrania większego majątku pozostaje w służbie u swojego pana. Przywiązania nie zna zupełnie, wyrazu zaś wdzięczności nie ma nawet i jego język.

Żony zwykle się nabywa od rodziców drogą kupna, zamożny bierze ich tyle ile jest w stanie wyżywić. Ceny są rozmaite, obliczane na sztuki bydła: trzy do sześciu sztuk i kilka owiec stanowią umiarkowaną cenę za żonę. Ojcowie się cieszą, jeśli żony darzą ich córkami, gdyż w ten sposób mnoży się bogactwo domowe. Wiele dbają o moralne swych córek prowadzenie, gdyż te w przeciwnym razie w cenie spadają.

Podczas pobytu Fritscha w Bloemfontein zagrażała rzeczypospolitej wojna od strony Kafrów ze sąsiedniego kraju Basuto. Rada Narodowa długo się namyślała nad stanowczym krokiem, w końcu jednak chwycono za broń, żeby odprzeć grabieżne napady Kafrów.

Jestto najtchórzliwsze na świecie plemie, pisze Fritsch, ale skoro Kafer spostrzeże znaki przestachu lub obawy na stronie swojego nieprzyjaciela, wtedy weń wstępuje odwaga a wściekłość jego nie zna granic. Krwiożerczém usposobieniem i okrucieństwem przechodzi dzikich z amerykańskich lasów, zwykle Kafer pokrywa tchórzliwość swoją butném, dumném postępowaniem, które przy imponującej jego posta-

wie przestachem przejąć może, skoro zaś spotyka opór, sam lekliwie ustępuje.

Nigdy Kafrzy, przy liczebnej nawet przewadze, góry nad Boerami wziąć nie mogli, ale biada nieszczęśliwemu, który bezbronny w ich ręce wpada: niech się cieszy, jeśli miecz prędki koniec życia jego zada. Nawet na trupie zemstę swą wywierają i nie wcześniej odstępują, dopóki nie oszpecą ranami całego ciała.

Przy obchodzeniu się z Kafrem trzeba go umiść odrazu wziąć krótko, skoro bowiem spostrzeże powolność i pobłażanie, bezczelność swoją posuwa do wysokiego stopnia. Godnym uwagi jest wypadek, który przed kilkoma laty zdarzył się w Betanii (miejsce główne missyi) u kupca, który około 30 Kafrów zatrudniał w swoim zakładzie. Kiedy się dowiedzieli że naczelnik Maroko rozpoczął w sąsiedztwie wojnę, wszyscy swojego pana opuścili, choć się jeszcze niektórym z nich zapłata należała. Po kilku miesiącach znowu wrócili i zastali swego pana zupełnie samego na dziedzińcu i zażądali zapłaty nie tylko dawniejszej ale i za cały czas swojej nieobecności. Kiedy kupiec nie uczynił zadość ich żądaniu zaczęli grozić, że mu odbiją tuż obok w bliskości pasące się bydło; zapewnił więc że im wszystko zapłaci. Poszedł do domu, wrócił z nabitą bronią i ostrzegał że do każdego wypali, kto się do bydła zbliżyć ośmieli: wtedy ustąpili śmielsi z nich, którzy do gwałtu namawiali, przyjęli należną im dawniejszą zapłatę i oświadczyli gotowość służenia nadal swojemu panu. Ten ich bez obawy przyjął znając dobrze usposobienie Kafra, który spotkawszy raz poważny opór, już powtórnie ze swoją bezczelnością nie wystąpi.

Rodzima ludność żyje w pogaństwie; tu i owdzie tylko nieliczne spotykać można gminy nawróconych dzikich Kafrów. Missye w rzeczypospolitej Oranii, które oddawna już są założone w niezbyt kwitnącym znajdują się stanie. Domowe niezgody w łonie samej missyi obezwładniają jej działalność, i inne obok tego nie mniej ważne przyczyny postępy jej wstrzymują. Przedewszystkiem niski stopień rozwoju umysłowego u rodzimych ludów, które nie są w stanie z tego powodu pojąć i zrozumieć zasad chrześcijaństwa, zwłaszcza że afrykańskie plemiona nie posiadają tej dzie-

cinnój niewinności, jaką się odznaczają inne dzikie szczepy, wśród długoletnich wojen i licznych z nimi powiązanych okrucieństw stracili pierwotną prostoduszność i głębiej się jeszcze w swój dzikości pograżyli.

Nie małą także przeszkodę stanowi trudność porozumienia się wzajemnego, mianowicie z Hotentotami i Buszmannami. Dla wielce zawziętego języka misjonarze są zniewoleni używać tłumaczy, którzy często przez niewiedomość a częściej i w złym zamiarze przekręcają słowa swoich mistrzów nieraz w komiczny sposób. Jeden z nawracających przedstawiał wieczność jako rzecz niezmiernie wielką i kiedy się następnie swojego ucznia zapytał co jest wieczność? — Wieczność, odpowiedział tenże, jest to wielki worek.

Szkodliwie także wpływa i nieprzyjazne stanowisko, jakie zajęli misjonarze w obec miejscowej ludności europejskiego pochodzenia a zwłaszcza względem osadników. Zdawało im się, że świadczą wielkie dobrodziejstwo tamecznej ludności i że najłatwiej jój zaufanie zdobędą, jeżeli się oprą postępowaniu białych i wezmą pod swoją opiekę czarnych. Gdy więc po ludzku obchodzącego się osadnika, który swego sługę karci za nieposłuszeństwo na równi postawili z tyranem, co z niewolnikami swemi jak z psami się obchodzi, wywołali przeciwko sobie powszechne oburzenie, nic tym sposobem na korzyść rodzimój ludności kolorowej nie czyniwszy.

Przyroda wychowała rodzimego mieszkańca ostro i przyzwyczała go do surowości, ztąd też każde łagodniejsze i pobłażliwsze postępowanie zwykł jako słabość uważać, o czém się często przekonywali misjonarze kiedy nadużywano bezczelnie ich dobroci. Zresztą wrodzona ospałość i gnusność zniewala do ostrzejszego zachowania się względem rodzimego mieszkańca, którego ustawicznie do pracy i czynności pobudzać trzeba.

Brak sił roboczych po zniesieniu niewoli najwięcej kraj ten wstrzymuje od istotnego postępu i cała jego przyszłość zależy od utrzymania i pomnożenia niezależnych, wolnych wyrobników. Misjonarze gromadząc około siebie rodzimą ludność, odwozili osadnikom pracowników, pokazali tym sposobem iż są nieprzyjaciołmi kraju i usunęli sami sobie podstawę, na której wpływ swój oprzeć byli mogli.

Z tych tedy przyczyn powodzenie missyjonarzy nie jest zbyt wielkie, stosunkowo bardzo małe do łożonych w tym celu kosztów, trudów i poświęceń. Lubo zwykle swój działalności przypisują istotny postęp jaki się od niejakiego czasu spostrzegać daje, w ulepszeniu położenia krajowca, to jednak, kto się pilniej przypatrzy spostrzeże, że jedyną najsilniejszą w tym razie dźwignią jako i w całym świecie jest materyalny interes. Handel, sługa tego interesu posunął południową Afrykę znacznie dalej i więcej nawrócił krajowców jak kaznodziejska wymowa missyjonarzy. Wzgardzony Togtganger (wędrowny kramarz), który w nadziei zysku odważnie toruje sobie drogę do dzikich ludów i obznajmia ich z europejskimi wyrobami, zapewne więcej się do ich uspołecznienia przyczynił jak sługa kościoła, który im od rana do wieczora o równości wszystkich ludzi prawi i rozpowiada o niesprawiedliwości, jakiej się względem nich biała ludność dopuszcza. Krajowcy przyzwyczajając się do nowych potrzeb zmuszeni są pracować, żeby je zaspokoić a ponieważ najkorzystniejsze zajęcia znajdują w europejskiej ludności, kraj więc w nich znajduje pożytecznych robotników, którzy oswajają się z zasadami życia chrześcijańskiego i w ten sposób prędzej się przygotowują do przyjęcia chrześcijaństwa jak przez uczenie się katechizmu na pamięć.

Wprawdzie zarzuciłby ktoś, że i missyjonarze mogliby krajowców zająć jakąś robotą, ale kto raz widział te różne pod okiem duchownych wyrabiane w szkołach zabawki, nie porówna tego z kolonizacyjną siłą robotnika, która zapuszczoną knieję zamienia na uspołecznione państwo. W innych częściach świata gdzie się zręcznością miejscowa ludność odznacza, byli w stanie missyjonarze rozwinąć z powodzeniem kilka łatwiejszych gałęzi przemysłu, ale w południowej Afryce nawet śladów takiego przedsięwzięcia spotkać nie można.

Pozostała część kraju rzeczypospolitej Oranii, którą zwiedził Dr. Fritsch w dalszym ciągu od głównego miasta Bloemfontein posuwając się we wschodnim kierunku, aż do sąsiedniej nadbrzeżnej posiadłości angielskiej Natal, nastreczyła uczonemu podróżnikowi nie mało sposobności do ciekawych uwag i spostrzeżeń. Doniesienia o tamecznych chorobach właściwych temu krajowi stanowią pod względem lekarskim nauczający przedmiot, gdy jednak ogólniejszego

nie są w stanie obudzić zajęcia, dłużej więc nad szczegółami dotyczącymi Rzeczypospolitej Oranii rozszerzać się nie myślimy. Okazy zwierzyny i ptactwa dotychczas nieznanego, które licznie Fritsch nagromadził i w swoim dziele drobiazgowiej opisał, w obec nauki geograficznej mniejszego są znaczenia. Zresztą zbyt ciasne są granice niniejszego przeglądu, żeby się w nich rozleglejsza o świecie zwierzęcym i roślinnym pomieścić mogła opowieść.

Dlatego też nowych pod tym względem przyczynków wymieniać nie będziemy, ani się w dalszą wycieczkę za Drem Fritsch nie udamy. Uczony bowiem podróżnik wróciwszy z pierwszy swój wyprawy do Cape Town (do miasta Przyłodka) z kąd był wyjechał, nową przedsięwziął wycieczkę. Z Kaplandu udał się na północ rzeki Oranii i coraz dalej zapuszczał się w głąb kraju na zachód leżącego od Rzeczypospolitej Oranii, zamieszkanego przez Grikwa i Koranu plemiona. Posunął się aż do 23° poł. szer. a 26° wsch. dł. Piaszczyste te strony, ku którym z zachodniej granicy dzika pustynia Kalahari się przysuwa, niezbyt wiele nowych dostarczyły wiadomości.

Jest w sąsiedztwie Rzeczypospolitej Oranii kraj, który od niedawnego czasu zwraca na siebie uwagę Europy, mało dotychczas znany nawet i w nauce geograficznej. Jestto Rzeczpospolita Transwalska, zwykle pod nazwą południowoafrykańskiej przytaczana. Kiedy się ku niej zwróciły oczy w roku zaprzeszłym (1867) czytającego ogółu i kiedy wśród powszechności niemieckiej z ust do ust przebiegało imię Karola Maucha podróżnika; kiedy kraj ten coraz większe budzić zaczyna zajęcie, rzućmy i my nań pobieżnym okiem, skorzystajmy choć w drobnej części z tego obfitego światła, jakie na wspomnianą ziemię rzucają najnowsze prace Wangemana, Jeppego, Maucha.

Złoto, złoto, nowe pola złote! Te powabne słowa lotem błyskawicy pod koniec 1867 r. przebiegały po wszystkich krajach zachodu. Karol Mauch odkrył Eldorado, nową Kalifornią! I niejednemu strapionemu, co śród biedy i między smutny prowadził żywot, wschodzi złota gwiazda nadziei na złotonośnych polach środkowej Afryki, nie jeden na odgłos

tych słów ożywczych z ciasnego obrębu powszedniego życia wybiega marzeniem w szeroką swą przyszłość, i mimowoli zbierając chciwie potrzebne wiadomości, pogardzoną geograficzną naukę do praw swoich przywraca.

I my z powodu złotych pól bliżej poznać musimy tego, który je odkrył i kraj gdzie się przyroda tak szcudrobliwą pokazała.

Karol Mauch należy do rzędu tych ludzi, którzy poczawszy w sobie naukowe powołanie, żadnemi losu przeciwnościami stłumić go w sobie nie dadzą; do tych ludzi, co z niemości na wysoki wznoszą się stopień własną pracą, własną usilnością. Szlachetny zapal ogrzewa ich serce, zacna dążność dodaje im odwagi, wyniosłego celu z oczu nie tracą, poświęcają dlań nieskończone trudy, przeciwności hartem niezłamanym duszę ich zaprawiają. Na tej twardej drodze życia wyrosło niejedno zacne imię. Karol Mauch sam sobie, własnej usilności winien obecne swoje zaszczytne stanowisko w umiejętności geograficznej. Syn niezamożnych rodziców (1) w Wirtemberskiem królestwie, po skończeniu szkoły realnej w rodzinnem swem mieście Ludwigsburgu, nie mógł dla braku środków wyższego odebrać wykształcenia, został nauczycielem przy wiejskiem seminaryum. Na tém skromnym stanowisku starał się uzupełnić swoje wiadomości z nauk przyrodzonych, z języków starożytnych i nowszych. Jedynem wtedy marzeniem Maucha była wycieczka do Afryki, żeby się wedle sił przyczynić do zbadania jej stron i krajów środkowych. W 1859 r. przeniósł się na korzystniejsze miejsce do Austrii i tam w Styryi w m. Marburgu dalej nad swoim własnym pracował wykształceniem. Korzystał z tamecznej biblioteki, z gabinetu nauk przyrodzonych, zwiedzał ogród botaniczny w Gracu, wzbogacał medyczne wiadomości w towarzystwie lekarzy, w końcu zajmował się angielskim i arabskim językiem.

Tak więc, pisze Mauch w liście swoim do Petermana, uczyniłem pod względem umysłowym wszystko, cokolwiek przy skromnych moich środkach zrobić było można. Nie omieszkałem także i ciała mego przygotować. Odbywałem

(1) Życiorysowe wiadomości wzięte z listu K. Maucha pisanego w r. 1863 do Petermana. Geogr. Mittheil. 1866. VII zesz.

częste i dalekie wycieczki po sześć a niekiedy i więcej mil dziennie w każdej porze roku, nieraz bez pokarmu, bez napoju w jednakowo ciepłej odzieży.

W r. 1863 tak przysposobiony do podróży udał się Mauch do Petermana z prośbą o pomoc i o radę, do męża, który stojąc na czele słynnego wydawnictwa geograficznego w Gota, mógł najłatwiej żądanych objaśnień i wskazówek udzielić. Peterman nie mógł młodemu ochotnikowi, który wtedy 26 rok życia swojego zaczynał, żadnych czynić nadziei: nie zrażając go i nie zachęcając odpowiedział zupełnie obojętnie. Na pomoc więc publiczną ze strony towarzystwa naukowego nie można było liczyć, własnych zaś środków brak zupełnie. To Maucha nie zrażało. Pod koniec 1863 r. udał się do Londynu, gdzie w ciągu kilku miesięcy korzystał ze zbiorów i okazów botanicznego i zoologicznego ogrodu. Ztąd odplłynął do południowej Afryki.

Trzy lata blisko od téj chwili upłynęły, żadna o Mauchu wieść nie dochodziła; wtém niespodziewanie zawitał do Goty list z południowej Afryki, w którym Mauch donosi że się znajduje w mieście Potschefstrom w Transwalskiej rzeczypospolitej (w Marcu 1866 r.). Pierwsze owoce swojej podróży i pracy dołączył do listu, była to mapa kraju, w którym przebywał, nad którą pracowali obok tego dwaj jego towarzysze: Fr. Jeppe Meklemburczyk osiadły w rzeczypospolitej i Mereński missyonarz z Berlina. Daleko ważniejszym przedsięwzięciem niż zwiedzenie Transwalskiej rzeczypospolitej była podróż, którą Mauch odbył w ciągu 1866 roku aż w okolice rz. Zambezi; środki, jakimi rozporządzał były bardzo szczupłe, z narzędzi do geograficznych spostrzeżeń miał tylko kieszonkową igłę magnesową. Rodacy Maucha w Potschefstrom zaopatrzyli go w konieczne dla podróży pieniądze lubo nie zbyt obfite środki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności poznał się z Anglikiem Hartley'em, który większą połowę swego życia spędził na polowaniu. Znają go wszystkie kafryjskie plemiona od Kaplandu aż do Zambezi. Z Hartley'em polującym głównie na słonie, puścił się w podróż na północ rzeczypospolitej Transwalskiej przez kraj i państwo Mosilikatse'go, co się aż do rz. Zambezi rozciąga. Dotarli do 19° 50' pół. szer. a 28° 35' wschod. dłu., w bliskości rzeki Umbule wpadającej do Zambezi.

Podczas powtórnej podróży z tym samym Hartley'em przedsięwziętej w następnym 1867 r., Mauch posunął się nieco wyżej na północo zachód ku rzece Zambezi na nie wielką zbliżywszy się odległość od portugalskiej osady Tete (nad rz. Zambezi) i w tamtych stronach dwa złote pola odkrył: Jedno z nich leży nad brzegiem małego strumienia wpadającego do Umfule, na wysokości 17° poł. szer. Znalazłszy kilka sztuk kwarcu wziął je Mauch z sobą do Potoschefstrom, byłby ich więcej sprowadził, gdyby nie zazdrośni mieszkańcy kraju Mosilikatse'go, którzy nad europejskim podróżnikiem ścisły rozciągnęli dozór. Jedna z tych sztuk dostarczyła złota wartości 200 talarów, inną wziął z sobą Mauch do Natal, żeby ją angielskiemu przedstawić gubernatorowi i pod ścisły rozbiór znawców oddać.

Wiadomość o odkryciu złota największą przedewszystkiem napełniła radością mieszkańców Transwalskiej rzeczypospolitej, której granice na północ tak mało są ustalone, że potrzebaby tylko silniejszego nieco wystąpienia a państwo Mosilikatse'go znalazłoby się w obrębie rzeczypospolitej; tak jak rok temu 1868, w kwietniu w podobny sposób rozszerzono granice na wschód i zachód. Postępowanie jest proste. Prezydent rzeczypospolitej ogłasza powszechnie, że dziedzina polityczna rozciągać ma się nadal do żądanego kresu, przemoc w razie oporu pokrzywdzonych rozstrzyga. Gdyby nawet Transwalski kraj nie przyszedł w posiadanie złotodajnych pól państwa Mosilikatse'go, to dla tamecznych osadników nowe otworzy się pole do cząstkowego zajmowania korszystnej wielce miejscowości.

Dziś to powabne słowo, złoto, złote pole rozlega się po zachodniej Europie i tak mile wpada w ucho wyrobnikowi, co liczną dziatwy otoczony gromadą wśród znoju pracuje na nędzne wyżywienie swój rodziny, tak przyjemnym brzmi dźwiękiem, że od pługą lub warsztatu, co więcej od rodzinnej skiby odrywa na zawsze tłumne towarzystwa osadników. Od roku takim powabnym wdziękiem uśmiecha się środkowa Afryka, dawniej niemal zupełnie niedostępna, zaniedbana, zapomniana. Wcześniej już jednak, przed dwoma laty, nim jeszcze zabłyśły złotym blaskiem podzwrotnikowe kraje Afryki, skwapliwie zwracano uwagę europejskich wychodźców na żyżne strony mało co znanój Transwalskiej rzeczy-

pospolitój. W Glasgowie utworzyło się towarzystwo akcyjne z kapitałem 100 tysięcy funt. szter., które zakupiło rozległe obszary ziemi w Transwalii na wschodniej jej granicy, niedaleko od zatoki Delagoa (26^o pół. szer.) między okręgiem Lydenburg i Wakkesstroom, i odtąd Nową Szkocją (New Scotland) się nazywa. Szkockie towarzystwo osadników założył niejaki Mac Cockindale, mąż wielce przedsiębiorczy. Szkoccy osadnicy zamierzają głównie zająć się hodowlą owiec, zdaje się że w tém przedsięwzięciu zawodu nie doznają, bo nabyta przez nich ziemia najkorzystniejsza ku temu przedstawia warunki.

Transwalska ziemia z powodu zajęcia jakie budzi w zachodnich państwach zasługuje na to, żeby się z nią bliżej poznać. Rok przeszły pięknym przyczynkiem pomnożył wiadomości o téj południowo afrykańskiej rzeczypospolitój (1). Fryderyk Jeppe, dyrektor poczt w Transwalii, nadesłał do Goty wygotowaną przezeń łącznie z misyonarzem Mereńskim dokładną mapę całego kraju wraz z szczegółowym opisem miejscowości, stosunków politycznych i społecznych. Niedawno także wrócił do Europy Dr. Wangemann, dyrektor Towarzystwa misyjnego w Berlinie i z własnej podróży odbytej po Transwalii, wiele nauczających umieścił szczegółów w dziełku swoim: *Ein Reise Jahr in Sud Afrika* (Rok podróży w południowej Afryce). Wiadomości jakie o Transwalskiej rzeczypospolitój podać zamierzamy, polegają na powyższych dwóch najświeższych pracach.

Kiedy w 1848 r. rząd angielski kraj nad m. Oranii położony ogłosił jako swoją posiadłość (Oranje-Riv-Sovereignty) liczne rodziny Boerów opuściły dawniejszą swą ziemię przenosząc się na północ do stron leżących z tamtej strony rzeki Wal (Vaal). Dziką knieją dawniej je nazywano, obecnie na téj przestrzeni rozwinęło się gmino-władne państwo, znane pod nazwą Transwalskiej rzeczypospolitój. (Transvaal Republic). Obszar dość rozległy wynosi prawie dwa i pół razy tyle co Królestwo Polskie (5400 mil kwadr.) z ludnością najwyżej 300 tysięcy, z których około 30 tysięcy przypada na mieszkańców białych, europejskiego pochodzenia.

(1) Petermann. Ergänzungsheft Nr. 24. Die Transvaalsche oder Sud-Afrikanische Republik von Friedrich Jeppe. Gotha 1868.

Od wschodu dotyka posiadłości portugalskich, kraju Swazu i Zulu, z południa oddziela angielski kraj Natal i rzeka Wal od Rzeczypospolitej Oranii, z zachodu zaś i północy rz. Hart i Limpopo czyli rzeka Krokodyłów graniczny pas stanowią. Zresztą sam rząd republikański żadnych granic z trzech stron prócz południa nie uznaje, bo ma sobie traktatem angielskim z 1852 r. udzieloną całą przestrzeń na północ rzeki Wal bez żadnego ograniczenia.

Kształt rządu jest gminowładny, naród używa swobody prawdziwie republikańskiej. Najwyższe ciało polityczne stanowi Rada Narodowa złożona z 30 przedstawicieli dziewięciu okręgów, na który kraj jest podzielony (okręg Potchefstrom przysyła do rady zamiast trzech, sześciu przedstawicieli). Na czele Rady zaś wykonawczej stoi prezydent Rzeczypospolitej, na lat pięć przez Radę Narodową wybierany. Obecny naczelnikiem rządu jest Marcin Wessel Pretoryusz, niemieckiego pochodzenia, w Afryce urodzony. Wyznanie reformowane dolno-niemieckie jako urzędowe przeważa w kraju, lubo i kościół holenderski licznych ma także przedstawicieli.

Krajobraz Rzeczypospolitej miłe sprawia wrażenie. Są miejsca, które prawdziwie pięknymi nazwać można. Liczne wzgórza i doliny ożywiają okolicę, gęsto rosną krzewy mimozy, krystaliczne strumienie i rzeki kraj w różnych kierunkach przeryniają. Białe domki wieśniaków które z po za zielonych drzew wyglądają, liczne stada bydła, owiec i kóz, pasące się spokojnie na zielonym kobiercu, bujne kołyszące się zboże, fantastyczne postacie czarnych, wszystko to razem z jasnym błękitem nieba przedstawia obraz uroczej piękności. Dla myśliwego Transwalia stanowi prawdziwe Eldorado, które obfituje w zwierzynę wszelkiego rodzaju bez liku. Nic więc dziwnego, jeśli rok rocznie mnóstwo przybywa myśliwych nie tylko z Afryki ale i z Europy. Zwykle wracając prowadzą za sobą wozy z rogami, skórą (tygrysów, lwów, panter) przywożą także ztamtąd rzadką broń kafryjską albo przedmioty do ozdób służące, których nabyć można drogą zamiany za garstkę pereł lub innych świecidełek. Słońce, nosorożce, bawoły, girafy, które się jeszcze przed kilkoma laty w południowej części kraju znajdowały, obecnie się już

znacznie wyżej na północ posunęły. Włóścianie jednak, co doskonale wartość tych zwierząt znają, żadnych nie szcędzą trudów i na częste narażają się niebezpieczeństwa. Ci co polują na słonia posuwają się aż do rzeki Zambezi, nawet w ostatnich latach znaleźli się tacy, co wzięwszy z sobą łódki, przepawili się przez rzekę i daleko jeszcze na północ w głąb kraju się zapuścili. Dla wielkich jednak skwarów letnich tylko zimową porą tę okolicę zwiedzać można. Podróż, którą ztąd przedsięwzięją aż do Zambezi, trwa na wozach przez woły ciągnionych zwykle dni 50, myśliwi wybierają się w maju a wracają we wrześniu lub październiku do domu.

Świat kopalny rzeczypospolitęj jest tak bogaty, że nie znajdzie drugiego kraju również zamożnego w różne rodzaje kruszców. Żelazo, ołów, cyna, miedź, glina porcelanowa, ałun, marmur, saletra znajdują się tu podostatkiem. Przed innemi zaś żelazo i ołów w niezmiernie wielkiej ilości. Kopalnia ołowiu w pobliżu Pretoryi zawiera 70—80 proc. ołowiu, a 5—6 proc. srebra. Miedź również wysokie stanowi bogactwo tego kraju, wydobywa ją krajowa rodzima ludność znająca się nieźle na przetapianiu tego surowego kruszczu. Węgiel kamienny w różnych częściach kraju w szerokich pasach na jaw występuje, ale zbyt jest tani, żeby się wydobywanie opłacało.

Potschefstroom (także Mooiriverdorp nazywane) jest głównem miastem kraju, liczy zaledwie 1200 mieszkańców. Przed kilkoma laty odkryto w bliskości Potschefstroomu w osadzie Wonderfontein jaskinie stalaktytowe, które sobie daleki rozgłos od téj chwili zjednały. Podziemne drogi w tych grotach na kilka mil długości się ciągną.

Kiedym wszedł do téj jaskini, pisze Dr. Wangemann, dyrektor Towarzystwa missyjnego w Berlinie, zdumiony byłem jak w tym płaskim kraju, którego wzgórza nie wyżej nad 50 stóp się wznoszą, może takie podziemie się znajdować. Weszliśmy z początku na wzgórze niewielkiej wysokości, tam pod cienistemi drzewami był otwór, w który nie bez trudności zapuścić się wypadło. Przynajmniej stóp 30 spuszczaaliśmy się w dół po przykrój drodze. Nareszcie stanęliśmy w rozległych salonach co do 20, niekiedy i 30 stóp wysokości miały. Stalaktyt (topieniec) był niekiedy śnieżnej białości jak biały marmur i tworzył prócz prostopadłe

trzymających się nacieków liczne równoległe wyginające się fantastyczne kształty, niekiedy w postaci krążkowej, inne zaś podobne były do tych, które spotykać można i w Europie (podziemia Baumana i Biela w hercyńskim lesie). Pierwiastkowe stalaktytowe kształty przedstawiały wiele ciekawych i dziwnie pięknych rysów, ale zniszczył je tameczny wieśniak, co nie znając wartości przedmiotu szukał w nim przedewszystkiem korzyści, postrącał więc te wysmukłe ostrza, biorąc je jako wapno na swój użytek. Z jednej sali, którąby do kopalni głównej przyrównać można, rozchodzą się na wszystkie strony, różnorodne drogi, tu i owdzie większą lub mniejszą tworząc przestrzeń; niekiedy i szemrzący strumyk dość głębokiej wody przesuwają się po tych podziemnych dziedzinach.

W okolicach Pretoryi, osady będącej siedliskiem rządu, nazwanej od imienia obecnego prezydenta, znajdują się sławne zdrojowiska, któreby afrykańskimi cieplicami lub Karolowami warami (Karlsbad) nazwać można. Zwiedził je także Dr. Wangemann. W niewielkiej od siebie odległości biją dwa źródła: jedno krystaliczne, jasne, zimne, a drugie ciepłe ale również bez żadnego smaku. Koryto ciepłego źródła wykopano w kształcie długiego podłużnego kanału, po obu stronach sztucznie urządzone małe rowki służą jako wanny kąpielowe. Woda jest tak ciepła, że można w niej jajko gotować lub kurczęta parzyć. Nad każdym rowkiem wzniesiona jest mała chatka trzciniowa, zasłaniająca kąpiących się od wpływów powietrza. Zresztą prócz tej wygody u tych wód, już żadnej innej znaleźć nie można. Ani kurhauzu, ani muzyki, nawet domów nie masz mieszkalnych. Pacjenci co tu przybywają ze wszystkich okolic kraju, zwykle na własnym przyjeżdżają wózku, przywożąc z sobą namioty, pod którymi mieszkają. Zresztą innych przyjemności kąpielowych pod gołym niebem szukać trzeba. To jest to słynne zdrojowisko, które podobno leczy wszystkie cierpienia, zastarzałe rany, suchoty, reumatyzmy, podagry i t. p. Kiedy Dr. Wangemann zwiedzał te afrykańskie kąpiele, było 12 wozów, co za wielce ożywiony sezon uważano.

Bogate strony południowej Afryki, zwracające na siebie uwagę europejskich wychodźców, zapewne przywabią także i liczniejsze koło takich, co zamyślą nauce nieść swo-

je usługi. Ostatnie lata były pod tym względem dość pomyslnie, literatura geograficzna wzbogaciła się niejednym dziełem, które jasny i wierny obraz tamtej krainy przedstawiło. Z niecierpliwością wyglądamy wiadomości szczegółowych od Maucha; będą one niewątpliwie drogocennym dla nauki nabytkiem, bo niestrudzony zapał tego podróżnika, jego przygotowanie naukowe, bogaty plon na tej niwie zapowiadają.

I dalej ku północy posunięta część wewnętrznej Afryki i jej wschodnie brzegi ciągnące się ku Arabii, z każdym rokiem w jaśniejszym ukazują się świetle. Co Livingstone, co angielska misya uniwersytecka uczyniła dla zbadania nieznanych dawniej brzegów rz. Zambezi i jej źródła, to wychodzi po za granice obecnego przeglądu, obejmującego głównie postępy wiedzy geograficznej w ubiegłym roku. I przyboczne rzeki Zambezi, i Nyassa jezioro, Albert Roscher, oraz jego smutny koniec nad północno-wschodnimi brzegami tegoż jeziora są przedmioty, po które zbyt daleko sięgałby należało, mieszczą się bowiem w obrębie czasu przed dwoma z górą laty minionego.

Na wschodniem wybrzeżu Afryki odbywał najświeższe podróże Niemiec Ryszard Brenner. Zajął się głównie badaniem kraju i ludu osiadłego we wschodniej części Afryki na samym równiku. Brenner nie tylko bystrym jest spostrzegaczem, gorliwym podróżnikiem, włada przytęm umiejętnie piórem. Dlatego też wielce powabne są jego opisy. Prócz umyślowego zadowolenia, które dać może naukowa strona pracy, czytelnik to miłe z niej wyniesie wrażenie, jakie gładkie słowo wywoływać zwykło. Brenner badał stan społeczny, polityczny ludu południowych Galla i Waboni, siedzących na wybrzeżu afrykańskiem w okolicach samego równika (1), pośpieszamy jednak ku północnej części Afryki dla zamknięcia przeglądu naszego, dlatego na tej pobieżnej wzmiance o Ryszardzie Brenner poprzestać wypada. Może czas późniejszy da nam sposobność skorzystania z jego podróży i naukowych badań.

(1) Zob. Petermana Geogr. Mitth. zesz. X i XII 1868 r.

Północna połowa Afryki.— Gerard Rohlfs. Podróż przez Saharę w poprzek od morza Śródziemnego do oceanu Atlantyckiego.

Jeszcze lat temu nie wiele a środek Afryki był ziemią nieznaną. To też kto pierwszy stargał zasłonę, jaką się w głębi mieszczące kraje pokryły, wiecznotrwałą wyświadczył nauce przysługę. Ale nierównież większą zjednał sobie sławę ten, co przebył nieznaną krajami Afryki w poprzek od brzegów jednego morza do granic przeciwległego oceanu. Więc też świetnym blaskiem pokrył imię swoje Livingstone, kiedy ten w 1854—56 r. szczęśliwie się przedostał od Angoli z zachodniego wybrzeża z Kongo na drugą stronę do Mozambiku. I nie mniej zaszczytne wieńce należą się z rzędu dwom innym podróżnikom: Speke'mu i Grant'owi, którzy dokonali czynu wysokiej odwagi, odbywszy niebezpieczną wyprawę od Zanzibaru do środkowej Afryki a ztąd nad brzegami Nilu do Egiptu w 1860—1863 roku. Któż jednak ze czcią i uszanowaniem nierównie większem nie wspomni o podróżniku, który od Śródziemnego morza do brzegów Gwinei przedsięwziął i odbył podróż po krajach przez nikogo dotychczas z europejskich uczonych nie widzianych, nawet z nazwy nieznanych, który na piaszczyste puścił się morze, nieustraszony tém, że na tej samej drodze przed niedawnym czasem grób gorący dla siebie znaleźli jego rodacy Adolf Overweg, Edward Vogel i Maurycy von Beurmann.

To Gerard Rohlfs, który dziś swoim poświęceniem, swojemi pracami takie zaszczytne zajął stanowisko w nauce geograficznej, a tém samym na pilniejszą uwagę ze strony polskiego czytelnika zasługuje. Może zbyteczną się nie okaże wzmianka o poprzedniej jego na polu odkryć geograficznych działalności.

Gerard Rohlfs jest dziś w sile wieku, liczy 37 lat życia swego. Młodość dawniejszą miał wielce burzliwą. Nie dokończył swoich nauk gimnazyalnych w rodzinném swém mieście Bremie, jako ochotnik odbył wyprawę szleswicko-holsztyńską w 1848 r. W stopniu oficera, jakim dla swęj działalności zaszczycony został, wrócił do dawnych zajęć, które przeniósł na pole studyów uniwersyteckich w Heidelbergu, Würzburgu i Getyndze. Przygotowywał się do zawodu lekar-

skiego. Inne go jednak czekało przeznaczenie. Po dłuższej podróży po Austrii, Szwajcaryi i Włoszech, dostał się do Algeru do legionów i tam przy zdobyciu Kabylii dał dowody nieustraszonego męstwa. Zaszczyciono go stopniem najwyższym, jaki cudzoziemiec otrzymać może (sergeant). Tu wyuczył się języka arabskiego, oswoił się z obyczajami, ze sposobem życia mahometaniskim. To mu pozwalało nieraz udawać zręcznie Mahometanina i dostawać się tam, gdzie nigdy żaden chrześcianin bez narażenia swego życia zaryczyby nie mógł. W 1861 r. udał się do Marokko. Jako lekarz umiał zjednać sobie względy wielkiego Szeryfa (1), który jest rodzajem marokańskiego papieża.

Przebywszy rok w Marokko i zwiedziwszy dokładnie kraj ten dotychczas mało znany, postanowił bliżej poznać marokańską Saharę. Tu się zaczyna szereg podróży naukowych Rohlfsa.

W lipcu 1862 r. udał się w drogę i on pierwszy Europejczyk przebył całą marokańską Saharę od zachodu na wschód (2). Niedaleko oazy Boanan napadnięty przez swoich przewodników, ledwo cało wyszedł z życiem z gorącej rozprawy. Bronił się mężnie, wrócił ze strzaskaną ręką do Algeru nie zachwiany w swoim postanowieniu, żeby się dostać do Timbaktu. Podróż Rohlfsa po marokańskiej Saharze zwróciła nań uwagę świata naukowego, to też niebawem pociągnęło Londyńskie Towarzystwo geograficzne z zachętą i posiłkami pieniężnymi oraz naukowymi; wsparła i rodzina Brema jego zapał podróżniczy: urządzono bowiem stypendyum przeznaczając stałe środki na kosztowne wycieczki.

W 1864 r. w maju rozpoczął nową podróż, przeszedł góry Atlas i posunął się w głąb Afryki aż do Tuat do Insalah (3). Trudność takiego przedsięwzięcia stanowi przede wszystkim niebezpieczeństwo, jakie grozi ze strony dzikich ludów zamieszkujących góry Atlas, gdzie zamordowanie chrześcianina uważa się za najłatwiejszy środek dostania się do nieba. Rohlfsa osłaniała znajomość jaką się szczycił z marokańskim papieżem, podczas podróży często najzwyczaj-

(1) Sidi-el-Hadj-Absolom.

(2) Dziennik tej podróży u Petermauna Geogr. Mitth. 1862, r.

(3) Zob. Geogr. Mitth. 1865 r.

czajniejsi rabusie całowali kraj szaty jego. Tęto okoliczności zawdzięczać należy, że pierwszy raz dopiero nauka wzbogaciła się wiernymi naukowymi wiadomościami o Atlasie, o Tuacie i wschodniej części marokańskiej Sahary. Rohlfs też dopiero pierwszy wygotował dokładną mapę tego kraju. Wiadomości o wojnie jaka wybuchła między Tuaregami niżej na południe osiadłemi, brak środków zmusiły Rohlfsa że i tym razem zaniechał dalszej wycieczki do Timbaktu i wrócił we wschodnim kierunku przez Gadames do Tripolis; gdzie pod koniec tego roku 29 grudnia 1864 stanął.

Całą tę podróż podwójną odbył Rohlfs wydawszy nie więcej jak 600 talarów. Do Tripolis przybył nie mając już żadnych środków, przytém i zdrowie jego nie mało ucierpiało; wrócił przeto do Niemiec na krótki czas (1865 w lutym), ale w marcu już go znowu widzimy w Tripolis. W maju tego roku udał się z Tripolis do Gadames, mając stały zamiar dotrzeć do Timbaktu, a ztąd dostać się na drugą stronę do Senegalu. Gdy jednak w stronie zachodniej dla nieprzyjaznych okoliczności podróży odbywać nie mógł, wrócił do Mizdy (niedaleko od Tripolis) i ztąd puścił się w prostym kierunku przez państwo Fezan do miasta Mursuk, do którego przybył pod koniec października. W marcu następnego roku ruszył ze stolicy Fezanu przez Saharę i Sudan do Lagos i stanął szczęśliwie na brzegach Gwinei nad oceanem Atlantyckim.

Pierwsza część podróży opisanę przez Rohlfsa już się ukazała. Obejmuje dzieje wyprawy od wyjścia z Mizdy aż do końca grudnia 1866, t. j. aż do (1) pobytu w mieście Kuka w państwie Bornu. Szczupłe i błędne wiadomości, jakie dochodziły dotychczas do Europy o wschodniej części Sahary, ustąpić teraz muszą przed szczegółowemi naoczniemi spostrzeżeniami, jakie Rohlfs umieścił w opisie podróży swojej. Wprawdzie obraz, który nam się przed oczami rozwija, nie jest w ściśle naukowym porządku ułożony, bo między różne opisowe części wsuwa się dziennik osobistych wspomnień, wypadków i przygód; ale tém nie mniej świeże wiadomości i badania Rohlfsa nad przyrodą, politycznym i społecznym stanem nie tracą swęj wysokiej naukowej wartości. Opowieściowe tło jest dla pewnego koła czytelników więcej

(1) Ergänzungsheft Nr. 25 Petermanns.

zajmujące niż suchy, ścisły wykład; przyznać też trzeba, że w tym sposobie podawane spostrzeżenia nieraz dosadniej bądź okolicę, bądź zwyczaje i obyczaje ludu skreślić są w stanie. Obręb sprawozdawczego przeglądu nie pozwala z bogato rozwiniętego przedmiotu Rohlfsa podróży obszerniej korzystać, szczerzejsze zaś wyjątki możeby tylko oderwanymi szczegółami zbytecznie nużyły uwagę czytelnika. Dlatego też do przyszłego przeglądu odłożyć wypada przedstawienie rozleglejszego obrazu językowych i etnograficznych stosunków północnej połowy Afryki, tém więcéj, że Rohlfsa podróże do téj pory ogłoszone tylko obejmują przestrzeń od Fezanu do królestwa Bornu nad jeziorem Tsad leżącego.

Do wzmianki o kierunku podróży Rohlfsa w poprzek przez Saharę może zbytecznym nie będzie dodatkiem wiadomość o owocach naukowych jego poszukiwań w pierwszej połowie wycieczki. Kiedy z Fezanu przybył Rohlfs do Kuki, miasta stołecznego królestwa Bornu, zatrzymał się, przez tamecznego sułtana Omara gościnnie przyjęty, prawie całe półrocze w tém miejscu od lipca do końca grudnia 1868 r.

Badając zwyczaje i obyczaje ludów plemion, wśród których przebywał, nie omieszkął Rohlfs przedsiębrać starannych poszukiwań nad ich językiem, ich przeszłością, żeby na téj podstawie wątpliwego pochodzenia ludy Sahary Wschodniej do tego lub owego odnieść szczepu lub rodzaju. Fezan niżej Tripolis leżący, nie był właściwym celem Rohlfsa wycieczki. Tymczasem i z krótkiego pobytu w tym kraju skorzystała nauka. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał się do rąk Rohlfsa rękopis arabski, obejmujący dzieje Fezanu w ciągu ostatnich lat dwustu. Nieznane szczegóły i ich obfitość w nowém świetle przedstawiają całość dziejową tego kraju, który obecnie do Trypolitańskiego baszałyku należy.

Etnograficzny stan Fezanu już dawniej nie obcy był nauce, ale to co Duveyrier podał o Fezańczykach w dziele swoim: „*Les Tuaregs du Nord*” cieszącem się powszechnie wysoką powagą na bardzo szczupłych oganicza się wiadomościach. Dlatego też, tém cenniejsze jest co pomieścił ze swoich w tym w zględzie poszukiwań Rohlfs, który w przedkim czasie biegle wyuczył się miejscowych narzeczy ludów Fezańskich jako i sąsiednich Tebu.

O tych Tebu, którzy rozsiedli się na południe Fezanu, głównie jednak na wschód ku stronie Egiptu, pisał uczone rozprawy Barth. Dziś Rohlfs rzuca jaśniejsze światło nie tyle na siedziby tych ludów, bo do ich głównego siedliska na wschód położonego nie dotarł, jak raczej przesunawszy się po granicznym pasie, zbadawszy ustrój ich języka, na językowe stosunki między ludami temi zachodzące. Mnóstwo błędów rozprasza się pod szczegółowem dochodzeniem Rohlfsa, bo nie Teda, jak dotychczas przyjmowano w nauce, ale Tebu te plemiona same się nazywają.

Półroczny pobyt w Królestwie Bornu dał Rohlfsowi sposobność dokładnego zbadania tego królestwa pustyni leżącego nad jeziorem Tsad. Zdaje się, że on pierwszy obznajamia naukę geograficzną z politycznym i społecznym stanem tego kraju, który za najpotężniejszy w całej środkowej Afryce uważać należy. Przebywając półroku na dworze Omara sułtana, króla Bornuańskiego, mógł obficie czerpać z pewnego źródła wiadomości o tym tyle ciekawym kraju. To też ostatni rozdział podróży mieszczący obraz rządu i politycznego stanu Bornu jest cennym dla nauki nabytkiem.

Z niecierpliwością wyczekuje świat uczonego opisu nierównie ciekawszych krain od Tsadu jeziora aż do brzegów Gwinei. Są to po większej części przestrzenie, po których się pierwszy raz przesunęły kroki uczonego europejskiego podróżnika.

Afryka dla nauki geograficznej jeszcze na długo pozostanie nieprzebraną studnią, dlatego też największa skupiła się czynność ku tej stronie, najliczniejsze podróże i najpilniejsze usiłowania.

W innych częściach świata nie zbraknie zaiste także przedmiotu, ale z nim mniejsze zespolone jest zajęcie, tam zwłaszcza gdzie wśród zamieszkałych, zaludnionych stron stosunki geograficzne są więcej znane. Ztąd też dla braku zjednoczonych usiłowań niepodobna i o innych częściach świata układać obrazu, przedstawiającego czynność na polu odkrywania i badania miejscowości mniej lub zupełnie nieznanych. Wywiązujemy się jednak z naszego zadania, zwracając bliżej uwagę czytelnika na znakomitsze prace, któremi się rok ubiegły przyczynił do prawdziwego z bogacenia

wiedzy geograficznój; dzieła te dotyczą Azji, Ameryki i Europy. Są to głośne imiona pisarzy takich jak Vambéry, profes. Agassiz i Kanitz.

Vambéry. Skizzen aus Mittel Asien 1868. Moje podróże i przygody w Persyi (Meine Wanderungen und Erlebnisse in Persien). Vambéry 1862 r. po dłuższym pobycie w Konstantynopolu rozpoczął podróż swoją z Trebizondy do środkowej Azji (1). Ponieważ zmiarkował, że każdy Europejczyk z licznemi musi walczyć trudnościami jako cudzoziemiec, że ten obcy charakter nie pozwala mu dokładnie badać i kraju poznawać, odbył więc całą niemal podróż we wschodnim stroju i ponieważ był obeznany ze zwyczajami Wschodu, umiał się we wszystkiém zastosować do miejscowych wymagań. Takim sposobem mógł zwiedzić te miejsca, w których jeszcze stopa chrześcianina nie powstała. Zręcznie przyjąwszy na siebie pozór skromnego effendjego, jadąc na skromnym również osielku, w dziwnym stroju dostał się szczęśliwie przez Erzerum do Teheranu. Mając sobie otworzony przystęp do znakomitszych towarzystw Teheranu pilnie uważał tameczne życie dworskie i wielkomijskie. Te goż roku w ubiorze derwisza zwiedził święte miasto Kum i święty grób Fatimy. Oglądał następnie ruiny Persopolis. Obeznany dokładnie z językiem perskim, Koranem i zwyczajami u Persów przygotował ze wspomnień swoich Vambéry dzieło wielce zajmujące.

Szkice ze środkowej Azji obejmują rozprawy lub opisy podróży krajów i ich ludności; pod koniec zaś książki umieszczone uwagi nad stanem, polityką i przyszłością Rossyi i Anglii odnośnie do panowania nad środkową Azją.

Agassiz. *Life und explorations in Brazil.* London 1868 roku. (Pobyt i badania w Brazylii).

Przedewszystkiem jedna uwaga a zarazem zarzut: tytuł książki nie wymienia w zupełności autorów, którzy się na to dzieło złożyli. Oprócz uczonego profesora przyjęło jeszcze pióro kobiece udział w tej pracy. O tém się później dopiero dowiaduje czytelnik. Wysoko wykształcona żona Agassiza razem z nim odbywała podróż po Brazylii, swą

(1) Wiadomość o tém dziele jako i następném zawdzięczamy wskazówkom Petermann Geogr. Mitth., gdzie o nich umieszczona jest wzmianka. Ztamtąd też wzięte wyjątki.

udatną ręką rzuciła główny rys wspomnień i wrażeń z tej naukowej wycieczki; uczony zaś professor żywe, zajmujące a lekkie opisy miejscowości, skreślone wdzięcznym piórem swój małżonki, poprzeplatał poważniejszymi uwagami z dziedziny paleontologii, geologii, z ryboznastwa, ze świata roślinnego i t. p.

Kilka słów o autorze, nim o jego dziele mówić zaczniemy.

Ludwik Agassiz przeniósł się ze Szwajcaryi do Ameryki Północnej i osiedlił się w Cambridge, przedmieściu Bostonu przy najświetniejszym w Ameryce uniwersytecie. W krótkim czasie zjednał sobie swą nauką powszechnie między Amerykanami uznanie. Wymownie to poświadcza ostatnia podróż głośnego naturalisty do Południowej Ameryki, gdzie podobnie wszędzie odbierał zasłużone hołdy. Gbyby Alexander Humboldt był przy schyłku swego życia zwiedzał Brazylią, przyjęcie nie mogłoby się większą odznaczać świetnością. Jedna ze spółek żeglugi parowej w Północnej Ameryce ofiarowała Agassizowi najpiękniejszy swój statek dla przewiezienia uczonego profesora z Nowego Yorku do Rio de Janeiro a bostoński kupiec Thayer przydał do boku podróżnika liczną drużynę naukowych asystentów, wyposażoną z prawdziwie królewską hojnością. Tém więc pochlebna stała się dla Agassiza uwaga, którą jego podróży i naukowym badaniom poświęcił sam cesarz brazylijski. Za jego pobudką miewał Agassiz publiczne odczyty w Rio de Janeiro, na które uczęszczała rodzina cesarska i na które tłumnie zbierały się nawet kobiety, co dotychczas w stolicy jak w ogóle w Brazylii było rzeczą niesłychaną. Urodziny Agassiza są świętem uroczystém dla wyższego świata naukowego i pieniężnego, wrywano sobie podczas takiego obchodu uczonego profesora, przenosząc go z jednej rozkosznej willi do drugiej. Urządzano dlań najwystawniejsze zbiory z dziedziny nauk przyrodzonych. Do podróży po rzece Amazonce przygotowano oddzielny statek parowy i oddano zupełnie na usługi podróżnika. Ze strony rządu i osób prywatnych poczyniono wszędzie na przyjęcie gościa przygotowania, nie szczędzono nakładu, żeby ułatwić i uprzyjemnić Agassizowi podróż po odległych przestrzeniach wodnych Amazonki. Na wyraźny rozkaz cesarza przeznaczony został na przewodnika wypra-

wy inżynier Coutinho, dokładnie obeznany z miejscowością, z główną rzeką i jej pobocznymi strumieniami, bo sam przed dwoma laty żeglował po nich w naukowym celu.

W dwóch osobliwie kierunkach działał dotychczas Agassiz wpływowo na nauki przyrodzone. Najznakomitszą jego zasługę stanowią prace w dziale ryboznawstwa (ichtthyologia) i badania jego nad okresem lodów. Na podobne dwa działały rozpadały się też i jego poszukiwania, które rozpoznał w okolicach rzeki Amazonki. Zamierzył poznać dokładnie cały świat rybi najgłówniejszej rzeki Południowej Ameryki i badać szczątki, jakie ze swego wpływu, ze swjej działalności po sobie zostawiły lodniki.

Pod jednym i drugim względem to co znalazł i odkrył przeszło pierwiastkowe jego oczekiwanie. Już w prowincyi Parà zebrał około 63 rodzajów ryb w ciągu jednego tygodnia, a zatem więcej jak dotychczas znano w ogóle z dziedziny rzeki Amazonki. Zgromadzono zaś w ciągu całej podróży około 2 tysięcy rybiich rodzajów, pokazuje się przeto, że ta olbrzymia rzeka dwa razy więcej w sobie mieści rodzajów ryb jak morze Śródziemne, nawet więcej jak cały ocean od jednego bieguna do drugiego. Wszystkie rzeki w Europie od rzeki Tajo aż do Wołgi, zaledwie 150 liczą rodzajów, wtedy, gdy Agassiz znalazł blisko 200 w małym jeziorze Lago Hyanuary. Ciekawszą jednak od tej różnorodnej obfitości rybiich okazów jest okoliczność, że się ryby skupiają tu na bardzo ograniczonej przestrzeni. Nam się to wielce z przyrodą zgodnym wydaje, jeżeli np. rzeka Mississipi w swoim północno-południowym biegu płynąc przez zimną, umiarkowaną i gorącą strefę lub przerysując się przez różne geologiczne pokłady, różną na swych brzegach rozwija roślinność od podbiegunowej zacząwszy aż do podzwrotnikowej, różne w swych nurtach mieści wodne zwierzęta. To nas zupełnie nie dziwi: tę wielorakość istot za proste następstwo różnorodnych warunków ich życia uważamy. Ale tém więcej zastanawia, że Agassiz znalazł w rzece od Tabatinga aż do Parà, która żadnej widocznej nie pokazywała zmiany ani pod względem swjej temperatury, ani ze strony roślinności nadbrzeżnej, najróżnorodniejsze, od siebie odmienne ryb rodzaje.

Badanie samych ryb i ich geografia były głównym przedmiotem naukowym w podróży Agassiza, w tym samym kierunku pracowali także i pomocnicy, towarzysze profesora, którzy i na boczne nadto puścili się rzeki, i zwiedzili Rio Grande między innemi, oraz i S. Francisco.

Wyśledzenie szczątków i świadków z okresu lodów zajmowało w drugiej części uwagę Agassiza. Z tych danych, jakie znalazł w dolinie rzeki Amazonki za rzecz pewną przyjmuje, że kiedyś cała przestrzeń kotliny w której płynie Amazonka była lodem pokryta, tak jak kraj między Alpami a Jura wzgórzem. Bliższe uzasadnienie tego wniosku znaleźć można w rozdziale p. n. Fizyczne dzieje rzeki Amazonki.

Zresztą spotka tu czytelnik mile skreślone wrażenia z podróży, zajmujące opisy, które dziwnie odbijają od uczonych dodatków męża profesora. Lekkość i powaga, wdzięk i uczoność rażą mocno w tak niewłaściwem zestawieniu. Jedno i drugie pióro skorzystałoby wiele na małżeńskim literackim rozwodzie.


F. Kanitz. Serbien. Historisch ethnographische Reise studien aus den Jahren 1859—1868. Lpz. 1868. Studya historyczno-etnograficzne z r. 1859—1868.

Kanitz już dawniej dał się poznać pracami geograficznymi. Odbывał często podróże po państwie tureckiem. Owocem ich były jego „Byzantyńskie pomniki,” „Bulgarskie fragmenta,” „Podróże po południowej Serbii i północnej Bulgaryi.” Obecne dzieło o Serbii przewyższa wszystkie poprzednie jego prace objętością, dokładnością i wykończeniem. W niém autor złożył długich lat swoich poszukiwania, pozbierał starannie najświeższe wiadomości i ułożył obraz Serbii tak zupełny, iż nie masz ani jednej nietkniętej strony z jej przeszłości i stanu terażniejszego. Rzadko kraj który ze znaczniejszych nawet może się taką pracą poszczycić. Słusznie pomnikową nazwać ją można. Wtedy gdy uwaga powszechna zwrócona jest oddawna na Serbię i gdy z każdym dniem rośnie zajęcie, jakie obudzają powikłania na Wschodzie, wśród których Serbia tak ważną odegrać ma rolę, dzieło Kanitza tém więcej staje się pożądanem nie tylko dla kół rządowych dyplomatów, ale i dla szerszego grona powszechności. Praca Kanitza jest w stanie zadość uczynić

wszelkim pod tym względem wymaganiom, żądane objaśnienia znajdzie każdy, czy kto bliżej pragnie się poznać z dziejową przeszłością Serbii, z jej bogatą literaturą pieśniową, czy też zamierzając o jej przyszłym stanowisku przybliżone utworzyć sobie pojęcie, zajmie się zbadaniem jej miejscowości, stosunków rządowych politycznych i społecznych, stanu ludności, sił wojskowych i t. d. Dziewięć lat pracy nieustannej poświęcił Kanitz na wykończenie swoich studyów nad Serbią. Zwiedził cały kraj, był osobiście we wszystkich siedemnastu okręgach. W wielu znaczniejszych miejscach po kilkakrotnie się zatrzymywał. Badał lud serbski na rozległej przestrzeni, w najdalej ukrytych siedliskach, nad Dunajem, nad Sawą i Morawą, między zieloną Driną a gęstemi Sumadyi lasami, od Rtani Piramidy aż do szczytów Kopaoniku, wszędzie przypatrywał się zwyczajom i obyczajom tego ludu, podsłuchiwał jego podania i pieśni, zastanawiał się nad jego politycznymi i społecznymi stosunkami.

Miejscowość (topografia) powiedzieliby można jest najstaranniej opracowana, tak, iż dla strategicznych badań dzieło Kanitz'a najważniejszą stać się może pomocą; nie zanedbane są wszakże inne działy, dające dokładny obraz stanu społecznego Serbii. Obok rozprawy o sądownictwie, prawie, sądach serbskich, postępowaniu i t. d. statystyki sądowej, szczegółowe znalazły pomieszczenie wiadomości o kościele, o stanie oświaty, szkołach wyższych i niższych. W końcu nie zapomniano o sztukach pięknych, o budownictwie, rzeźbiarstwie i malarstwie.

Takie obfite treścią swoją dzieło, zalecające się dokładnością swoich badań, oparte na długoletnich sumiennych poszukiwaniach, zwróciło już na siebie uwagę nie tylko w niemieckim piśmiennictwie, ale i w obcych literaturach. Poprzestając dziś na pobieżnej wzmiance, niebawem na podstawie pomnikowej pracy Kanitz'a dokładniej z obecnym stanem Serbii polskiego czytelnika obznajmić zamierzamy.



OBECNE STANOWISKO DRAMATU

W SERBII.

(Z wykładu Ludwika Leger).

Dramat późno się pojawił u Słowian południowych: jeszcze w wiekach średnich, czysto zakonna i prawna literatura serbska, nie obejmowała, zdaje się, ani śladu owych tak ulubionych w wiekach średnich misteryów i dyalogów. Dopiero pod wpływem włoskiego odrodzenia, pojawiły się w Dalmacyi najpierwsze próby dramatyczne. A przecież jaki to bogaty żywioł dramatyczny znaleźć można w ludowych poezjach serbskich! Przed laty czterdziestu, Wuk Karadzic pierwszy dał poznać Europie owe prześliczne pieśni, które dość ułożyć w dyalogi, aby stworzyć z nich dramata i tragedye. Ale lud śpiewał dla siebie, a zakonnicy, jedyni przedstawiciele pisanéj literatury, samo tylko Pismo Św, tłumaczyli i wykładali, później zaś powstająca literatura świecka, olśniona pięknościami starożytnych klasyków, pogardziła bogatém źródłem, jakie jéj otwierała poezya ludowa.

W XV wieku pojawiła się w Split (*Spalato*) pierwsza próbka dramatu w języku serbskim. Anibal Łuczycz, sławny już ze swych znakomitych poezyj, napisał dramat *Robinja niewolnica*, którego treść zaczerpnął z dziejów kroackich. Akcja ta bardzo prosta, ale styl już wielkimi odznacza się zaletami. Z przedmowy dowiadujemy się, że wówczas już w Split'ie, podczas zapust, miały miejsce przedstawienia teatralne. W kilka lat później, mała ale bogata rzeczpospolita Raguzañska, ta *Wenecya Słowiańska*, stała się główném ogniskiem piśmiennictwa dalmackiego. Wetrancz przetłumaczył *Hekubę* Eurypidesa. Kubranowicz napisał poemat dyalogowany: *Czeszka*, który możnaby porównać z wielu dyalogami z XV lub XVI wieku. Wiadomo, że poemat ten deklamowany był publicznie w 1527 roku. Naleskowicz pierwszy zaczął pisać komedye. Zukaricz przetłumaczył *Pastor fido* Guarini'ego. Hektorewicz, mieszkaniec wyspy Hivar (Lezina nie daleko Lissy) ogłosił *Djalogi*

rybaków. Gazarowicz, mieszkający na tejże wyspie, napisał dramat *Korsarz*. Nieco później, Złataricz, (urodzony w 1566 r.) przetłumaczył *Elektrę* Sofoklesa, i przypisał swój przekład Jerzemu Zrinsky'emu, krewnemu sławnego bohatera kroackiego, tegoż nazwiska. Później przetłumaczył jeszcze *Amintę*. Autor wielkiej epopei, Jan Gundulicz, pracował z wielkim zapałem na polu literatury dramatycznej. Z pod pióra jego wyszło pięć sztuk, dziś zaginionych: *Galatea*, *Ofiara miłości*, *Ceres*, *Kleopatra* i *Adonis*; — sam pisze że były przedstawiane i wielkiem cieszyły się powodzeniem: z utworów jego przechowały się: *Arjadna*, *Forwanie Prozerpiny* i *Dubrawka*, dramat wiejski. Współzawodnik jego, Palmoticz, napisał: *Eneas w piekle*, *Atalanta*, (zaginiona), *Achilles*, tragi-komedia w trzech aktach, przedstawiona w 1637 r. *Danica* przedstawiona 1644 r. *Helena* (według Owidiusza) i w. i. jakoteż dramat narodowy: *Pawlimir*, według kroniki zwanój *Presbyter Diocleas*; a jeden z krewnych jego J. Palmoticz, napisał tragedję *Dion* i inne.

Moglibyśmy przytoczyć wiele jeszcze tytułów, lecz ponieważ większa część tych dramatów zaginęła, zatem nie będziemy ich ani wliczać ani oceniać.

Piśmiennictwo *raguzańskie* kwitło tak bujnie aż do końca XVIII wieku. Najpóźniejszym ówczesnym dramaturgiem jest niejaki Gledjewicz. Sorkowsky (Sorgo) tłumaczył Moliera i Metastazego, a Bruère-Deriveau, Francuz naturalizowany w *Raguzie* pod imieniem Bruerowicza, napisał komedyą przedstawioną w témże mieście.

W Zagrzebiu piśmiennictwo dramatyczne pojawiło się nieco później. Kanonik Brezowacki wydał komedyą p. n. *Święty Alezy* i drugą *Grabanciasz i uczeń*; następnie w Kroacji i Sławonii zaczęto naśladować komedye niemieckie.

W chwili gdy Serbia wyswobodziwszy się z pod panowania tureckiego, zaczęła brać udział w życiu europejskiem, z łona jęj powstało zaraz dwóch znakomitych pisarzy: *Obradowicz*, który stworzył — że tak powiem — naukową prozę serbską, i *Karadzicz*, który dał poznać Serbom piękną ich poezję ludową. To ogłoszenie narodowych pieśni ludowych, wyzwoliło piśmiennictwo serbskie z niewolniczego naśladownictwa wzorów francuzkich i niemieckich, i otworzyło jęj nowe, nieznane przedtém widoki. Zresztą ówczesna epoka dziwnie nadawała się do dramatu. Po trzech-wiekowym ucisku, Serbia zrzuciła nareszcie jarzmo Muzułmanów, i w tejże chwili, jakby czarodziejską zbudzeni laską, pojawiają się zaraz narodowi wieszczce, opiewający dawną chwałę ukochanój ojczyzny, przebyte cierpienia i szczęśliwe wyzwolenie.

W owym czasie Słowianie południowi nie mieli jeszcze teatrów, jak za czasów Moliera przedstawienia odbywały się w stołach lub w zajazdach. Od lat zaledwie kilku Zagrzeb i Nowy-Sad posiadają teatru, a Belgrad swój dopiero buduje.

Pierwszym wieszczem serbskiego odrodzenia, był Sima Milutynowicz. Natura ognista, gwałtowna i gorąco poetyczna, była właśnie najwłaściwszą dla śpiewaka młodego i awanturniczego na-

rodu, co dążył do spełnienia swych przeznaczeń. Dwa jego dramata: *Dika Czernogórska* i *Miłosz Obylicz* (1837), są po dziś dzień bardzo cenione; tragedia *Jerzy Czarny* dotąd nie drukowana.

Drugim z kolei wieszczem był Stefan Popowicz; dramata jego: *Swetokar* i *Miława*, *Skanderbeg*, *Miłosz Obylicz*, oraz komedye: *Zła kobieta*, *Oszukaństwo za oszukaństwo*, *Belgrad niegdys i dziś*, grywane były z powodzeniem na tymczasowych teatrach Zagrzebia i Belgradu, i po dziś dzień jeszcze bywają przedstawiane. Znacznie już później ukazuje się p. Subboticz, dzisiejszy prezes *Maticy serbskiej*, piszący dramata na tle dziejów serbskich i kroackich; wielu krytyków stawia je na pierwszorzędnym stanowisku w piśmiennictwie południowo-słowiańskim.

Tuż obok niego staje Matiasz Ban, autor dramatu, którego rozbiór podajemy.

Matiasz Ban urodził się w r. 1818, w *Raguzie*, téj ojczyźnie pisanéj poezyi serbskiej. W młodości, równie jak Wetranowicz i Gundulicz, zostawał całkiem pod wpływem piśmiennictwa włoskiego, i nawet w tym języku pisał pierwsze swe utwory. Młodo bardzo opuścił ojczyznę i osiadł w Konstantynopolu, gdzie dawał lekcyę włoskiego języka; później przemieszkował jakiś czas w Brukseli, w Azji Mniejszej. Następnie udał się do Belgradu, gdzie książę Alexander powierzył mu edukacyą swych córek. Z tego powodu napisał wysoko cenione dzieło o edukacyi dziewcząt, a niezadługo potem wrócił do *Raguzy* i tam wydał swój ciekawy zbiór p. n. *Dubrownik*. W roku 1853 znowu przybył do Belgradu, dla objęcia katedry języka i literatury serbskiej. Pisał on wiele w kwestyach politycznych, w językach francuzkim i włoskim. Dotąd wydał dwa dramata: *Cur Łazar* i *Mejryma*. Ostatnie to dzieło wywołało żywe spory między krytykami słowiańskimi, i nareszcie wyszło z nich zwycięzko. Zaraz po ukazaniu się *Mejrymy*, komitet, ustanowiony w Zagrzebiu dla zachęty sztuki dramatycznej, przyznał jéj nagrodę; wyszła z druku w Nowym-Sadzie w r. 1850 i została przełożoną na język czeski i polski (1). Nie wiemy czy była przedstawiana, i zdaje nam się że autor nie dość stosował się do wymagań scenicznych; to pewna, że sztuka zyskałaby wiele na skróceniu, i w rozbiórze będziem pomijać sceny niepotrzebne, zbyt długie monologi, utrudniające bieg dramatu. Jednak mimo téj wady, wiele tu scen pięknych i wzniosłych, i sądzimy że z małym przerobieniem, dramat ten mógłby mieć powodzenie, nie tylko na scenie serbskiej, ale i na innych teatrach.

Mejryma jest to dramat czysto romantyczny, do którego nie wchodzi osoby historyczne; z historii poeta zaczerpnął jedynie wierny obraz uciemnienia chrześcian przez muzułmanów. Myśl dramatu nie jest nową, poprzednio już wielu autorów osnuwało na niéj swe dzieła. Wolter napisał *Zaire*, pani Cottin *Malek-*

(1) Tłumaczył na język polski Roman Zmorski.

Adeła, Byron swój nieśmiertelny poemat *Giaur*. Jest to miłość chrześcianina dla muzułmanki; przedmiot obfitujący w przejścia dramatyczne, szczęśliwie ożywione prawdą obrazów. Wolter przedstawił nam Turków *francuzkich*, Byron wymarzonych muzułmanów, kiedy przeciwnie Matiasz Ban maluje prawdziwych Turków i prawdziwych Serbów, w pośród których przebywał długo w Raguzie, Belgradzie i Konstantynopolu. Lubo to nie jest poemat klasyczny, jednakowoż posiada wielkie zalety naukowe i budzi żywe zajęcie dramatyczne; przytoczymy obszernie wyjątki, aby czytelnik mógł poznać i ocenić jego wartość.

Tytuł dramatu: *Mejryma czyli Bośniacy*; rzecz dzieje się w Bośni, tak kwitnącej niegdys kiedy miała własny rząd i własnych królów, dziś jęczącej pod jarzmem tureckim. Nienawiść chrześcian ku muzułmańskim ciemieżcom, podbudzana nieustannie żdzierstwem i najrozmaitszemi nadużyciami paszów i bejów, najwyższego dosięga stopnia; już w pierwszym akcie można przewidzieć blizkie starcie. Jednocześnie jakby nie troszcząc się o burzę i gromy, mające uderzyć lada chwila, dwoje młodych: Iwan, syn Serba Nowko, i Mejryma, córka Ali-paszy, pokochali się miłością namiętną. Ojciec Iwana pragnie aby syn jego żenił się z piękną Lubicą, córką chrześcianina Urosza, a obawiając się następstw nieprawej namiętności, sam zawiadamia o niej ojca Mejrymy, nie wymieniając wszakże nazwiska zuchwałego Serba, który śmiał pokochać córkę muzułmanina. „Baszo—rzekł mu—ty masz córkę młodą i piękną; strzeż się: kochankiem jęj chrześcianin.” Biada ci, jeśliś skłamał!—odrzekł dumny Ali-basza.

Ale Nowko nie minął się z prawdą: Mejryma odkrywa służebnej Szerife swoją miłość, i niepokój. Iwan ją kocha, ale nie chce zostać muzułmaninem, nie śmie sprzeciwić się ojcu, który rozkazuje mu pojąć w małżeństwo chrześciankę Lubicę. Niestety!—woła z rozpaczą Mejryma—on nie przyjdzie nawet pożegnać się ze mną!

SZERIFA. Iwan jest mężczyzną i rządzi się rozumem. Wię on dobrze że po tém ostatniem pożegnaniu, nastąpiłoby ostatnie drugie, ostatnie trzecie, czwarte, i tak do nieskończoności. I na cóżby się to zdało? rana twego serca rozjątrzyłaby się tylko, a ty codziennie narażałabyś się na zgubę.

MEJRYMA. O! nie łudź mnie daremnie. Powiedz raczj, że przestał mnie kochać... Lubica wydarła mi jego serce.... Rzecz prosta! ona młoda i piękna, od rana do wieczora zawsze są razem, dogadza mu, pochlebia, pieści... O! niech ją ziemia pochłonie!... Szerifo! ja nie przeżyję tję boleści!...

SZERIFA. Gdybyś mogła widzieć i słyszcć Iwana, przekonałabyś się że on cierpi wraz z tobą.

Wtém wchodzi Ali-pasza, zastaje córkę leżącą na sofie, w całej jęj postaci płonie ogień namiętności. Ali jest widocznie zakłopotany; córka pragnie poznać powód jego niepokoju. Powiada jęj nareszcie, że w tych dniach właśnie pojawiło się trzech konku-

rentów proszących o jej rękę: Osman, syn baszy Buczacu, Czycmiczbej i basza Zworniku. „Jeśli im odmówisz—dodał—to o kimże myślisz?—chyba o sultanie.” Mejryma oznajmia, że nie chce iść za mąż; wtedy ojciec wściekłym wybucha gniewem:

— Niegodna, znam tajemnicę twój duszy; kochasz gjaura!

MEJRYMA *padając na kolana*. Kocham go, kocham!... nie chcę kłamać przed tobą, mój ojczel! nie gniewaj się.... miej litość, nie przeklinaj mnie.... Ach! przekleństwo twoje ziści się niezadługo.... miłość ta śmierć mi zada. (*Kryje twarz w dłoniach*).

ALI-PASZA. Tak! ale może nie wiesz jaka to śmierć będzie: więc słuchaj. Gdy muzulmanka pokocha gjaura, wtedy, choćby była nawet rodzoną córką czy siostrą samego sultana, wiąza ją w worek razem z kotem i z węzem. Kot pazurami szarpie jej piersi, wąż oplata jej szyję. Do worka przywiązują ciężki kamień; potem wszystko razem: worek, węza, kota i kobietę rzucają w wodę, i nigdy już jasne słońce dla nich nie zaświeci. Tak to Turcy karzą muzulmankę która kocha gjaura, a kochankowi jej ucinają głowę, ciało rzucają na pastwę dzikich zwierząt i drapieżnych ptaków. Powiedz, kto jest twoim kochankiem.

MEJRYMA *podnosząc głowę*. Więc ty go nie znasz? Wiesz wszystko, a nazwiska jego nie wiesz? czy podobna?

ALI-PASZA. Powiedz mi je! powiedz natychmiast.

MEJRYMA (*na stronie*). O szczęście! (*Głośno*). Ja miała-bym wyjawić jego nazwisko! ja miałabym go zdradzić!.. O! niech pierwój ziemia rozstąpi się podemną!!!

ALI-PASZA. Powiedz! powiedz natychmiast!... potrafię cię zmusić.

MEJRYMA. Nie! nic na świecie nie zdoła mnie do tego skłonić.

ALI-PASZA *unosząc się*. Przez odwiecznego Boga! ty śmiesz mi się sprzeciwiać!.. Czy widzisz ten sztylet?... odpowiadaj natychmiast, lub w tej chwili padniesz trupem.

MEJRYMA. Ugodź w pierś moją! nie boję się.... możesz mnie zabić, ale nie zdołasz wydrzeć tajemnicy.

ALI-PASZA. Wymień mi jego nazwisko! zaraz! natychmiast! (*Podnosi sztylet*).

MEJRYMA. Nie, mój ojczel! (*Pada zemdlona*).

Po jakimś czasie wraca do przytomności. Ali-pasza, bardzo kochający córkę, przez chwilę lękał się o jej życie; uspokojony, zaczyna pocieszać córkę i podstępem pragnie wymódl na niej wyznanie tajemnicy. Taka już widać wola Boża—mówi—nie lękaj się więc, córko moja, śmiało wymień mi jego nazwisko.—Ojczel ty chcesz go zgubić.—Nie oszukiwałbym tak nikczemnie najostatniejszego niewolnika, a cóż dopiero własnej córki—Mejryma wyznaje wtedy że kochankiem jej jest Iwan, syn Nowka. Ali-pasza pojinuje teraz dlaczego Nowko nie wymienił nazwiska winnego, i posyła po Iwana. Postanowił rozmówić się z nim, ale nie chce żeby córka była obecną w czasie tej rozmowy. Iwan przybywa,

Mejryma odchodzi. Ali-pasza powiada od razu, że wie o wszystkim: kochasz córkę moją, Mejrymę.

IWAN. Kto to powiedział, bodaj oniemiał! Oszukał cię—pasz! Wczoraj właśnie zaręczyłem się z chrześcianką.

ALI-PASZA. Jak to?... jednej oddajesz serce, drugiej pierścień ślubny!... Niegodny! zdradzasz obiedwie.

IWAN. Mylisz się; wszystko oddaję mojej narzeczonej.

ALI-PASZA. Milcz, nikczemny! nie kalaj ust nowém kłamstwem.... wiem o wszystkim; Mejryma sama mi wyznała.

IWAN. Mejryma!

ALI-PASZA. Tak, i jój to jedynie zawdzięczasz, że jeszcze głowę nosisz na karku.

IWAN. Skoro ona powiedziała, ja kłamu nie zadam jój słowom. Jestem w twojój mocy, rób ze mną co ci się podoba.

ALI-PASZA. Pod szczęśliwą urodziłeś się gwiazdą. Nie tylko nie wydrę ci życia, ale nadto oddam ci córkę moją, a z nią cały mój majątek..... ale pod jednym warunkiem: wyrzekniesz się krzyża.

IWAN. Co mówisz? masz to być próbą?

ALI-PASZA. Nie, wcale nie żartuję. Dziwisz się?... milczysz... Czyliż wszystko to jeszcze dla ciebie za mało?

IWAN. To co mi ofiarujesz równie mi drogie jak własne życie.... ale nad wszystko droższa mi wiara moja.... Nie mogę przyjąć.... Ojciec, matka, bracia, przekłębiliby mnie.... umarliby ze wstydu i boleści... Zresztą jestem już zaręczony z córką Urosza, grzechem byłoby opuszczać narzeczoną, której dałem pierścień ślubny.

ALI-PASZA. Ach! myślisz o wszystkim, ale zapominasz że jesteś w mojej mocy, że dość mi wyciągnąć rękę aby cię zdusić jak ptaka. Namysł się więc dobrze nim dasz mi stanowczą odpowiedź.

IWAN. Nie ma nad czem myśleć.... Możesz wydrzeć mi życie, ale nie zdołasz pozbawić wiary ani cześci.

ALI-PASZA. Precz! i bodaj cię szatan porwał!... Niechaj nigdy nie widzę nawet twego cienia... nigdy, nawet z oddali, nie waż się na dom mój spoglądać... niech nikt, sama nawet wiecznie milcząca ziemia nie wie o czem mówiliśmy.

Iwan oddała się i w tejsze chwili wchodzi Mejryma, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach. Niewidziana, słyszała wszystko, a nie zdolna pojąć bohaterstwa chrześcianina, wyobraża sobie, że Iwan kocha Lubicę, i wściekłym gniewem wybucha przeciw niewiernemu. Pragnie zemsty, pragnie zguby wiarołomcy. Korzystając z tego usposobienia, ojciec nakłania ją, aby wybrała jednego ze starających się o jój rękę; Mejryma przyrzeka że w przeciągu dni trzech, poweźmie stanowcze postanowienie. Jakoż zamierza pójść za tego, który w pojedynku zabije giaura i przyniesie jój jego głowę. Zwierza się z tem postanowieniem wierniej swojej Szeryfie, która stara się odwrócić ją od niego. Wszakże jest jeszcze nadzieja

i środek ratunku, mówi: dość oddalić Lubicę, aby odzyskać serce Iwana. Więc idź powiedz Osmanowi, że Lubica mnie obraziła, powiedz żeby ją porwał i wydalit jak najdalej.

SZERYFA. Ale cóż z nią zrobi... gdzie ją powiedzie?

MEJRYMA. Niech ją sprzeda, niech ją utopi, wreszcie niech ją zabije kulą z swój własnej broni... niech z nią zrobi co zechce, byle nie zaślubiła Iwana Rozumiesz? byle nie zaślubiła Iwana.

Na początku zaraz drugiego aktu, poeta przenosi nas w góry Bośni, gdzie schroniła się banda hajduków. Wiadomo, że tak nazywają Serbów chrześcian, którzy przekładają bohaterskie, pełne przygód życie w górach, nad stanowisko rajasów. Zeszli się na wspólną ucztę: jedni leżą na murawie, inni pozapalali fajki, a stary *gęslarz* śpiewa przygrywając na gęśli. Podajemy w przekładzie tę pieśń malującą wiernie życie kleftów bośniackich.

O! piękne, piękne jest życie hajduka!
 Wisi u Niebios u jasnego słońca,
 Siała w obłokach i widzi przed sobą
 Złote pałace płynące bez końca.
 Szczęście i chwała wojaków na chmurach
 Jaśnieją, jakby ogniste kolumny:
 Prócz Boga nie zna nikogo na górach,
 Tam jest swobodny, szczęśliwy i dumny,
 Jak orzeł pędzi i przestrzeni szuka:
 O! piękne, piękne jest życie hajduka.

Widzi nad głową, gdy się zerwą burze,
 Niebo pokryte piekielnym całunem;
 Potop błyskawic rozlewa się w górze,
 A wkoło bije piorun za piorunem.
 Czuje pod stopą, jak drżą wszystkie skały,
 Huk się rozlega i potoki ryczą:
 On jednak na to wszystko skamieniały
 Stoi, śpiewając piosnkę wojowniczą;
 I w tój piosence swój rozkoszy szuka:
 O! piękne, piękne jest życie hajduka.

Wnosząc z tego dzikiego śpiewu, możnaby hajduków posądzać o barbarzyństwo; ale posłuchajmy jak usprawiedliwiają to dziwne życie swoje. „Postawiłem stogi siana, zbudowałem sobie domek, mówi jeden z nich; spahowie spalili wszystko, a nadto porwali mi dziesięcio-letniego syna. Mszcząc się za stogi i dom, popaliłem liczne stogi i trzy *czardaki* (osady) tureckie, ale dotąd jeszcze nie pomściłem mego syna.” Drugi znowu mówi. „Podczas uroczystości krajowej, tańczyliśmy *koło*: przychodzi bej i rozkazuje podawać sobie jeść i pić; gdy już bardzo był pijany, nakazał, aby mu przy- prowadzono najpiękniejszą z naszych dziewcząt: spełniono rozkaz,

Zobaczywszy to nie mogłem zapanować nad sobą, pochwyciłem sztylet, zabiłem beja i schroniliśmy się w góry.”

„Jechałem sobie gościńcem, mówi trzeci, spotykam Turka konno, każe mi zsiadać z konia i ustąpić. Droga dość szeroka dla nas obu, odpowiedziałem. Rzucił się na mnie z karabinem: zabiłem go i uciekłem w góry.”

Poeta przytacza długi szereg podobnych opowieści. Co go może obchodzić szybszy lub powolniejszy rozwój akcji, skoro aż nadto jest pewny niez mordowanego zajęcia widzów, wzbudzonego wiernym obrazem bohaterskiego życia ich przodków? Wieszczy serbski wie dobrze, że ci hajducy, co niegdyś wspólnie z *Jerzym Czarnym* wyzwolili część ojczyzny z pod muzułmańskiego jarzma, żywo zajmują ziomków, zbierających dziś owoce ich odwagi, i dla tego w dramacie swoim, śniało przytacza długie ich rozmowy, zabawy i zwady.

Przychodzi Iwan. Turcy porwali i uprowadzili narzeczoną jego Lubicę; ukazują się w górach, hajducy, rzucają się na nich i zabijają wszystkich, prócz Osmana, sprawcy porwania młodej chrześcianki. Wyzwalają Lubicę, Turkowi darowano życie. Wzruszony tą szlachetnością, Osman, na wzór starożytnych wojaków, zamienia broń swoją z Arambaszą, przywódczą hajduków. Gdy jeden z nich, nie pomny na przyrzeczenie, chce zabić Osmana, wódz kulą roztrzaskał mu głowę.

Hajducy rozchodzą się. Iwan uprowadza Lubicę; z boku dróżyną nadchodzi Nowko, pragnący rozmówić się z Arambaszą.

Zmiana sceny. Ali-pasza dowiaduje się o mającym wybuchnąć powstaniu, a wiedząc że brak mu dostatecznych sił do stłumienia go, ucieka się do łagodności. Mejryma całkiem zajęta swoją zdradzoną miłością, myśli tylko o zemście. Tegoż wieczora, dzięki pośrednictwu Szeryfy, ma się widzieć z Iwanem w ogrodzie ojca. Udaje się tam z zamiarem wydarcia życia wiarołomcy. Iwan przybywa pożegnać ją na zawsze; błaga aby zapomniała o nim, i wyrzuca gorzko że każała porwać Lubicę.

MEJRYMA. Tak, przyrzekłam Osmanowi, że zostanę jego żoną jeżeli porwie Lubicę, bo chcę zemścić się nad tobą. Pragnę ażebyś nie zaznał spokoju, pragnę zatruć każdą chwilę szczęścia, jakiego mógłbyś zakosztować przy niej. Tak, chcę tego... czy rozumiesz mnie?... Zgwałciłeś moje przyrzeczenia!... odpychasz tę, za którą tak uganiałeś się nie dawno... znieważyłeś coś kochał!... O! gdybym mogła zadać ci najstraszniejsze męczarnie, wszystkie byłyby niczem w porównaniu z tem co ja cierpię... i jeszcze przychodzisz mi się naigrawać!!!

IWAN. Sądziś z pozorów, a nie wiesz co się dzieje w mém sercu...

MEJRYMA. Sądzę według uczynków... Cóż znaczą słowa, gdy czyny przemawiają tak wymownie!... Wszakże nic cię nie zmusza: postąpiłeś dobrowolnie?

IWAN. Musiałem uleźć najstraszniejszy w świecie potędze...
głowski mego sumienia.

MEJRYMA. Czyliż to sumienie nakazywało ci rzucić się na
Turków i wydrzeć im Lubicę? O! wiarołomny! Dlaczego nie po-
wiesz poprostu: Nie kocham cię już, Mejrymo! Lubica zawiadnę-
ła mojem sercem!

IWAN. Czemuż zmuszasz mnie wyznać co pragnąłem zataić!
Wyrzucasz mi Lubicę! ach! nie wiesz że stokroć życzyłem jój śmierci,
zem jój przyzywałem i dla siebie. Ileż to razy chciałem uciekać w gó-
ry, aby się uchronić przed tem małżeństwem, a dowiedziawszy się
że Turcy porwali Lubicę, przysięgam ci, ucieszyłem się szczerze.
Ale ojciec podejrzywał mnie że tajemnie ułatwiłem porwanie, obawa
hańby zmusiła mnie pogonić za Osmanem. Ach! czemuż Bóg nie
dopuścił, ażebym w tój walce zginął.

MEJRYMA. Ja nie przeżyję tego nieszczęścia; dzień twego ślubu
będzie dniem mojej śmierci. Nic mi już innego nie pozostaje.

IWAN, *namiętnie*. O! i ja umrę z tobą razem; a śmierć ta
spadnie na duszę ojca mego, który mnie zmusza do tego małżeństwa!

MEJRYMA. Byćże to może!... przez Allaha powiedz czy mnie
kochasz jeszcze?

IWAN. Biedne dziecię! czyż choć chwilę przestałem cię kochać!

MEJRYMA. Iwanie mój, jeśli mnie nie zwodzisz, możemy jesz-
cze być szczęśliwi. Potrafię przebłagać mego ojca: powiedz słowo,
a niewypowiedziane szczęście stanie się naszym udziałem. Nazwi-
sko i ogromny majątek mego ojca, twoje męstwo i rozum, dozwolą
ci zostać najznakomitszym panem w całej Bośni... A jeśli nie ze-
chcesz tu pozostać, Ali-pasza ma znaczenie i wpływy w Konstantyno-
polu, za jego wstawieniem podwoje Dywanu otworzą się dla jego
zięcia, i zasiądiesz w nim obok Sułtana. Miłość, bogactwo, władza:
oto co składam ci w ofierze, Iwanie mój! możesz mi odmówić?.....

IWAN. Dla twych słodkich słów, pieszczot, pocałunków, anioł
wyrzekłby się nieba... ale nie kuś mnie... dla ciebie nawet nie mogę
wyrzec się wiary... nie mogę..

MEJRYMA. Zachowaj w duszy twój jaką chcesz wiarę... przy-
bierz tylko nazwisko tureckie... O! nie odmawiaj mi! wszak nie żądam
abyś się wyrzekał czegokolwiek... Czyż wiara tak silnie ugrunto-
waną jest w twój duszy, że dla niej wszystko poświęcić jesteś gotów?
Ach! i ja także dla wiary wyrzekłabym się wszystkiego, wszy-
stkiego... tylko nie miłości mojej! bo po nad nią nie ma dla
mnie ani w niebie, ani na ziemi... Przebac Mahomecie, jeśli dla
Chrystusa wyrzekam się ciebie... od tój chwili, Iwanie mój! wiara
twoja będzie moją, nic nas już dzielić nie będzie. Dla ciebie, po-
święcam władzę, bogactwa, ojca, znaczenie, nawet sumienie moje!...
Dziś jeszcze, w nocy uciekajmy za granicę.

Ale Iwan nie przyjmuje ofiary; wie on, że ojciec nań oczekuje,
że narzeczona liczy na jego słowo, i przekłada cześć swą nad miłość
i szczęście. Mejryma nie posiadając się z gniewu, przyzywa Turków

i pragnie go zamordować; on rzuca się na drzewo, przeskakuje mur ogrodowy i uchodzi.

Jednak dumna Mejryma nie wyrzeka się zemsty. Nadszedł dzień ślubu Iwana, Lubica przybiera się w ślubne szaty. Wtém przychodzi Turczynka, nie chce wyjawić swego nazwiska, tylko oznajmia, że ma odkryć jój ważną tajemnicę; a najpierw zadaje jój pytanie.—Czy Iwan kocha ciebie?—Czy mnie kocha? mogłabym wątpić o tém? Lecz dlaczegoż tak dziwnym wzrokiem spoglądasz na mnie? czemu dreszcz jakiś przebiega twoje ciało?... Mejryma opowiada wtedy jak Iwan ją kochał i następnie zdradził dla zaślubienia Lubicy, której nie kocha i nie kochał nigdy; zatem powinna wyrzec się związku w którym nie znajdzie szczęścia. Na to wchodzi Iwan i wydała Mejrymę, ta wychodzi odgrażając się i przepowiadając Lubicy najokropniejsze nieszczęścia, jeśli mimo przestróg poślubi wiarołomcę. Iwan zaklina Lubicę, aby nie wierzyła słowom Mejrymy i zapewnia ją o swojej miłości.

Ta chytryść młodego Serba nuży czytelnika i nie budzi współczucia, ale ona właśnie stanowi podstawę dramatu. Idą dalej przygotowania do ślubu Lubicy; swatowie zbierają się w domu jój ojca i rozmawiają o młodej parze. Narzeczeni są smutni i pomieszani, i całe to wesele podobniejsze do pogrzebu. Mejryma nie zapomina o zemście: przebrana za służącą dostaje się do pokoju nowożeńców, staje naprzeciw łoża zaślątego różami, i podczas gdy z oddali dochodzi ją odgłos wesolych śpiewów i muzyki, rozmyśla nad zemstą i ciska złorzeczenia.

— Lubico! ty mniemasz że dzisiejszój nocy rozkosznym snem napawać się będziesz... O nie!... Ty miałabyś spocząć w objęciach Iwana, wtedy gdy ja szarpana rozpaczą, oddana na pastwę niewysłowionych męczarni, rozbijałabym głowę o ściany samotnej mojej sypialni! . Nie! nie! nic z tego nie będzie!... Zaśniesz, ale nie snem o jakim marzysz, ale snem twardym, wiecznym, z którego nikt się nie budzi... A gdyby wypadkiem jakimś uszła mój zemsty... Ale nie! to niepodobna!... Jeśli nie uda mi się zabić ją w tajemnicy, zabiję ją w pośród otaczających swatów, w objęciach ojca, w objęciach męża... Ha! tańce ustają, swatowie wnoszą ostatni toast za zdrowie panny młodej. Pijcie! pijcie! nieczadługo wino czar waszych, zamieni się dla niej w straszną truciznę.

I skryła się po za kotarę. Lubica wchodzi, odprawia służę; czarne przeczucia miotają jój sercem. Ta Turczynka ciągle stoi jój na myśli.—Nie mogę pojąć czemu tak tajemną trwogą napelniła mą duszę; nie chciałabym jój widzieć... a jednak serce mówi mi że ją zobaczę.

MEJRYMA, ukazując się nagle. Serce mówi ci prawdę!... otóż jestem. Nie spodziewałaś mnie się tak prędko, nie prawdą? Chciałabyś teraz skryć się pod ziemię; chciałabyś uciekać, wezwać pomocy, krzyczeć... ale jeśli się ruszysz, jeśli tylko podniesiesz głos... (*dobywa sztylet*), zaraz sztylet ten utopię w twój piersi.

LUBICA. O! Matko Boża! broń mnie od tój kobiety!

MEJRYMA. A! teraz nikt cię nie obroni, ani matka Boża, ani sam Bóg twój. Jesteś w mojej mocy... mogę cię zabić... mogę cię zadusić... Spoglądasz na drzwi, jak gdybyś przez nie lada chwila oczekiwała zbawcy... O! jeśli zbawca ten się ukaze, w tej chwili trupem u nóg moich padniesz.

LUBICA. Lecz i ty życiem przypłacisz tę zbrodnię.

MEJRYMA. Ach! ty sądzisz że ja dbam o życie! Nie wiesz, że lżej mi będzie spocząć w grobie, niż tobie dziś na ślubnym łożu... Przychodzę śmierć ci zadać, a ty myślisz że sama się jej lękam?

LUBICA. Ach! więc chcesz mnie zabić?... o zaklinam cię, nie zadawaj mi śmierci! zostaw, zostaw mi życie!.. Umierać teraz! ani pomyślałam o tém... Nie! to niepodobna... nie możesz mieć tak okrutnego zamiaru.... Mogłażbyś zabić kobietę, która nic ci nie zawiniła?.. Wszak i ty jesteś kobietą, więc musisz mieć dobre serce.... Rób ze mną co zechcesz, ale nie wydzieraj mi życia... Patrz, oto na kolanach błagam o litość.... (*Padła na kolana*).

MEJRYMA. Ach! ty u nóg moich... oto pierwsza rozkosz mój zemsty! Nie, nie mam litości nad tobą!... i gdyby ktoś mógł w tej chwili ścisnąć w rękę serce moje, zamiast krwi, tylko gorzka żółć pociekłaby z niego..... Musisz umierać.

LUBICA. Kobioto! powiedz, cóżem ci winna! Wszak nigdy przedtem nie widziałam cię nawet?

MEJRYMA. Coś mi zawiniła!... i pytasz jeszcze o to. A! krótką masz pamięć!.. muszę ci przypomnieć... Czyliż nie zawiadomiłam cię wczoraj, że Iwan kocha inną kobietę?... A czy wiesz? powiedz, czy wiesz kto ona?

LUBICA. Wściekłość twoja każe mi domyślać się...

MEJRYMA. Nie mylisz się!.. to ja! córka Ali-paszy.

LUBICA. Jesteś więc córką Ali-paszy! O! teraz pojmuję, że nie ma dla mnie ratunku... jesteś wszechwładną!

MEJRYMA. Wiedz o tem, że Iwan mnie, mnie tylko jedną kocha! Ty jesteś dla niego jak zabawka w rękę dziecka... pobawi się chwilkę, a potem złamie i odrzuci. Jesteś nienawistną mu istotą, którą przemoc gwałtem narzuciła mu za towarzyszkę życia. Więc wiedz o tém!.. I nie myśl że to nie prawda, że zazdrość przemawia przez moje usta; mogłażbym zazdrości czegoś tobie, którą względem mnie jesteś tylko nikczemnym, po ziemi czołgającym się robakiem, nędzną mrówką... Ale dość słów próżnych. Przyszłam ukarać cię za twój upór i zuchwalstwo... Ha! myślałaś że można bezkarnie wydierać kochankę muzulmancel!...

LUBICA. Mój Boże! ależ ja bynajmniej nie wydierałam ci Iwana; ojciec wybrał mi go za małżonka, obowiązkiem moim było poddać się jego woli.

MEJRYMA. Ha! ojciec ci go wybrał! ale czyż nie powiedziałam ci rano, że Iwan kocha inną, i że idąc za niego straszny cios zadajesz sercu twój rywalki?... A jednak mimo mojej przestrogi stanęłaś z nim na ślubnym kobiercu; ukradłaś mi go, i zatrutaś na wieki pokój i radość mój duszy.

Przeżazona Lubica pragnie ratować się ucieczką. Mejrjma zastępuje jej drogę; rozpoczyna się rozpaczliwa walka dwóch kobiet; nareszcie Lubica ugodzona sztyletem pada na łożo małżeńskie, a Mejrjma, dzięki przebraniu, ucieka.

Ustyszawszy szamotanie, Iwan przybiega—zapóźno; Lubica przebacza mu i kona w jego objęciach. Podnosi z ziemi sztylet krwią zboczony, i pragnie odgadnąć straszną tajemnicę. W tejże chwili wchodzi do sypialni swatowie i ojciec Iwana, który widząc w ręku syna zakrwawiony sztylet, i przypominając sobie z jaką niechęcią zawierał to małżeństwo, posądza go o dokonanie tej strasznej zbrodni i przeklina. Daremnie Iwan chce się usprawiedliwiać; ojciec oznajmia iż sam żądać będzie, aby został ukarany śmiercią.

W akcie trzecim widzimy Iwana w więzieniu. Wyrok zapadł; i będzie wykonany nim jutrzienka zabłyśnie na niebie; już więc tylko kilka chwil życia mu pozostaje. Gorzko ubolewa nad smutnym losem swoim. Umierać tak młodo, i tak nędźnie! Wtém po za drzwiami więzienia szmer jakiś słyszeć się daje: czyżby kat już przybywał? Nie, to ojciec Iwana, który sam żądał aby syn został na śmierć skazany, a teraz przychodzi pożegnać i ujrzeć go po raz ostatni. Piękna to i dramatyczna scena; podajemy w skróceniu zbyt długie przemówienia, jak to już miało miejsce wyżej.

IWAN. To ty, mój ojczel.. . a gdzież matka i bracia moi?

NOWKO. Nie zbliżaj się, nie dotykaj mnie się! Ręka twoja jest ręką złego ducha, bo szatańską popełniła zbrodnię. I ty śmiesz jeszcze nazywać mnie ojcem! śmiesz pytać o matkę i braci?... Ach! nie masz już ani matki ani braci. (*Ekając głośno*). Dowiedziawszy się o wydanym na ciebie wyroku, matka umarła z boleści.... Drżij niegodny! Za chwilę staniesz przed Bogiem i przed nią.... i straszny przyjdzie zdać ci rachunek. Niecny odstępcol zaparłeś się krzyża świętego, zaprzedałeś duszę twą bisurmance, i gdybym cię nie powstrzymał, byłbyś uciekł z nią daleko, nie pomny że zostawiasz nas na pastwę zemsty pohańców. I nie zawahałbyś się być okupić swoje szczęście, ceną życia starych rodziców.

IWAN. To fałsz! nie sto razy mogłem być z nią uciekać, lub nawet pozostać i posiadać ją, a jednak.... Ach! ty nie wiesz, mój ojczel, nie mówiłem ci nigdy....

NOWKO. Nie myśl że mnie oszukasz; nie szukaj obrony w bezecnym kłamstwie! Chcąc i od ciebie i od nas odwrócić wszelkie niebezpieczeństwo, wybrałem ci za żonę najszlachetniejszą z naszych dziewczec.... serce najdzikszego zwierza zmiękłoby na jej widok... a ty! cóżes z nią zrobił?... powiedz, powiedz coś z nią zrobił?...

IWAN. Przez litość, chciejże mnie wysłuchać.

NOWKO. Milcz! Al myślisz że ją tylko zamordowałeś? Wydzierając jej życie, zabiłeś zarazem własną matkę, wywołałeś zem-

stę i niezgodę w pośród dwóch rodzin dotąd zaprzyjaźnionych i szczęśliwych!.. I dziś, ja, nieszczęsny starzec, pozostanę sam jeden, abym płakał nad grobami ukochanych, zamordowanych przez ciebie.

IWAN. O! przestań! przestań w imię Boga!

NOWKO. Nie! Przyszedłem rzucić na ciebie przekleństwo twój matki, przekleństwo współziomków, całej rodziny i moje. Przeklinam cię! przeklinam żywego i umarłego, i przeklinać będę do ostatniej życia mego chwili. Bodaj dusza twoja tak nie miała spokoju w wieczności, jak ty pozbawiłeś mnie go na moje stare lata! (*Chce wychodzić*).

IWAN obejmując go ramionami. O! nie odchodź!... trzeba żebyś mnie wysłuchał... żebyś wiedział....

NOWKO. Daj mi pokój!

IWAN. Nie! musisz mnie wysłuchać.... Gdybym rzeczywiście popełnił te wszystkie zbrodnie, to przecież Bóg pozwoliłby mi modlić się do siebie, nie odrzucałby mój prośby:.... chceszże więc być surowszym od samego Boga?

NOWKO. I czegoż chcesz? więc słucham, ale mów prędko, nie mogę czekać długo.

IWAN. Zatrzymaj się chwilę, pozwól mi zebrać myśli... w sercu mojem i głowie taki straszny zamęt.... a potem, nie będziesz mi wierzył.

NOWKO. Jakże wierzyć, kiedy kłamstwa twoje wszelką przebrały miarę. Powiesz mi, żeś jej nie zabił... więc ktoś ją zamordował, ją, co nie mogła mieć nieprzyjaciół, bo nigdy nic nie zawiniła nikomu... I śmiesz mówić, żeś jej nie zabił, mnie, com widział w twoim ręku sztylet krwią zbroczony, a na sukni ślady krwi biednej ofiary.

IWAN. Wszystko zdaje się mnie oskarżać, a jednak jestem niewinny!

NOWKO. Więc ktoś popełnił straszną tę zbrodnię? Dlaczegoż nie mówiłeś, nie usprawiedliwiłeś się przed sądem?.. Niepodobna! jesteś nikczemnym oszustem.

IWAN. Ojciec mój! ktośby mógł kłamać w obec śmierci?... a ja za chwilę stanę przed sądem Boga. Otóż przysięgam ci, jak pragnę zbawienia, że nie jestem sprawcą morderstwa mój żony.

I z kolei opowiada: jak wszedłszy do pokoju zastał już żonę umierającą, jak podniósł sztylet z ziemi, i gdy porwał Lubicę w objęcia, krew płynąca z jej rany zbroczyła jego suknie.

NOWKO. Dlaczegoż w ten sposób nie usprawiedliwiłeś się przed Kadym? czemu milczeniem ściągnąłeś na siebie karę?

IWAN. Zeznałem prosto, iż nie popełniłem zarzucanej mi zbrodni; aby nie okryć hańbą nazwiska twego i rodziny naszej; ale nie chciałem się bronić! Pragnę raz już skończyć z życiem, które stało mi się nieznośnym ciężarem.... Nic żałuję więc by-

najmniej że zostałem skazany na śmierć, chcę tylko abyś ty wierzył, że nie byłem mordercą.

Nowko. Jakiś dziwny powiew prawdy tchnie w słowach twoich i wnika do mego serca. Wierzę już że nie chcesz mnie oszukać.... zastanów się jednak. Jak to sam powiedziałeś, za chwilę staniesz przed sądem Bożym, tak więc na tym świecie kłamstwo na nicby ci się nie przydało, a potępiłoby duszę twą w wieczności.

Iwan. Biorę Boga na świadka, że szczerą powiedziałem prawdę.

Nowko. Wierzę ci, synu! byłoby grzechem posądzać cię dłużej. *(Płacze głośno)*. O! nieszczęśliwe! nieszczęśliwe dziecię!

Iwan. Ach! przecież... ojczcie mój! *(Rzuca mu się na szyję)*.

Nowko. Nieszczęśliwe dziecię! nieszczęśliwy ja ojciec!... Więc niewinny musisz umierać! Umierać!... ty taki młody! taki piękny! taki silny! Ale nie! na zbawienie mej duszy! ty nie umrzesz.... Czy wiesz?... ja mogę cię uwolnić... mogę jednej chwili, sto, tysiąc rąk uzbroić w twój obronie..... nie wiedziałeś jak wielką siłą ja rozporządzam. Czekaj mnie i bądź spokojny, powrócę nim jutrzeńka zejdzie na niebie.

Iwan. Gdzie chcesz iść, mój ojczcie! o jakiej władzy, o jakich siłach mówisz?

Nowko. Wiem co mówię, nie zatrzymuj mnie.

Iwan. Ojczcie! strzeż się; na cóż narażać się daremnie.

Nowko. Nie troszcz się o mnie... siwa głowa moja wkrótce spocznie pod grobowym głazem... Tyś młody, pełen sił, słusznie, więc abym dla ciebie moje poświęcił życie.

Iwan daremnie zaklina ojca aby odstąpił od swego zamiaru; czas upływa, strażnik wchodzi, wydziera syna z objęć ojca, i nieszczęsny starzec opuszcza więzienie, błogosławiąc tego którego przyszedł przeklinać.

Zaledwie Nowko się oddalił, Mejryma wchodzi do więzienia. Czyż pragnie najgrawać się i zatruć ostatnie chwile kochanka? Nie, ona przychodzi go ocalić. Przynosi klucze więzienia i oznajmia, że koń osiodłany oczekuje nań za furtką; zaleca pośpiech, gdyż chwile są policzone. Na to Iwan zapytuje: A ty zostajesz?

MEJRYMA, *po chwili milczenia*. Żona powinna pozostać z mężem; jam żoną Osmana.

Iwan. Jak dawno?

MEJRYMA. Od wczoraj. Swatowie przyszedli już i powiodą mnie do Krainy.... Przed odjazdem chciałam cię ocalić.... Żegnaj mi więc i bądź szczęśliwy... to ostatnie życzenie moje. *(Chce wychodzić)*.

Iwan. Zatrzymaj się... O nieba! jakież to uczucia miotają moją sercem! Boże!...

Zazdrość miota duszą Iwana, źle stłumiona namiętność z całą siłą budzi się w sercu. O! Mejrymo! chyba po moim trupie swatowie poprowadzą cię do męża.

MEJRYMA. Uciekaj! uciekaj nieszczęsny! nie ty winienesz umrzeć....

IWAN. Któż więc?

I w uniesieniu namiętności, wyznaje Mejrymie, że wolał umierać niżli żyć bez niej; czem ośmielona przyznaje się do zbrodni. Możesz mi przebaczyć? możesz kochać mnie jeszcze? Czy zechcesz objąć uściskiem kobietę zbroczoną krwią twojej żony?

IWAN. Nie mów mi o tém. . nie chcę wiedzieć kto ją zabił.

MEIRYMA, *rzucając się w jego objęcia*. Ach! więc uciekajmy razem!

W téj chwili ze szczytu meczetu daje się słyszeć krzyk *Sabahalaïm*, to zwiastun modlitwy porannej. Zapóźno myśleć o ucieczce.

IWAN. Powiedziałaś, że koń oczekuje.. czy nie mogłabyś jeszcze dostarczyć mi szabli.

MEIRYMA. Na co ci szabla?

IWAN. Mając konia i szablę, nie ulęknę się całej zgrai Turków, porwę cię, i ucieknę z tobą.

MEIRYMA. Już zapóźno!.. za chwilę zejdą się do mego pokoju, aby mię przystroić w weselne szaty.... Uciekaj więc, złóż się z hajdukami, a wieczorem, gdy swatowie przyjdą mnie zabrać, uderz, i wywól mnie z ich mocy.

Ulegając prośbom Mejrymy, Iwan ucieka z więzienia, ale sercem jego miotają najczarniejsze przecucia.

Znów scena się zmienia. W oddalonej uliczce miasta, Nowko stoi wśród garstki współtowarzyszy, wszyscy są uzbrojeni, wybierają się oswobodzić Iwana.

Nowko został wzięty w niewolę. Ali-pasza rozkazał stawić go przed sobą, i wybaduje kto jest podżegaczem buntu: czy niezadowolniony z paszów Wezyr konstantynopolitański, czy rajasz, przywiedziony do rozpacz? Nowko nie odpowiada.

Wtém wpada posłaniec z zawiadomieniem, że powstanie się szerzy, a straszny Aram-basza nadciąga z swymi hajdukami. Wzdług rozkazu Wielkiego Wezyra, Ali-pasza staje na czele wojska, i zabiera z sobą Osmana, przyszłego zięcia i córkę Mejrymę. Dowiedziawszy się o tém postanowieniu, Mejryma płacze i stara się odciągnąć ojca od powziętego zamiaru, bo wie, że na téj właśnie drodze oczekiwać będzie Iwan, mający ją porwać. Prosiła i odradzała daremnie, nareszcie miłość kochanki przemogła miłość córki, nie ma odwagi wyjawić ojcu groźnej tajemnicy; przeczuwa straszne krwawe spotkanie i w gruncie duszy sama oskarża się o ojcobójstwo, ale milczy.

Zbliża się rozwiązanie: nowa zmiana dekoracji przenosi nas pod szataś, gdzie Mejryma ma spocząć po całodniowej podróży. Jest sama z wierną swoją Szeryfą; cała jęj postać zdradza tajony niepokój i wyrzuty sumienia. Odprawia Szeryfę, nadstawia ucha na każdy szmer, i czeka na swego oswobodziciela.

„Nie ma Iwana! niepodobna czekać dłużej.... Serce mi pęka, dusza się wyrwał... O matko! na cóż wydałaś mnie na świat! (*Wstaje i słucha*).

Nie ma go jeszcze! A jeśli przyjdzie!... dreszcz mnie przejmuję na samą myśl o tém. Ojciec mój jest ze swatami, gdyby zginął razem z nimi? Ojciec mój rzucę się w pośród wściekłych hajduków i własnymi zasłonę cię pierściami!... tylko po trupie moim dostąpię do ciebie! (*Słucha*).

Niel.. to tylko szum drzew kołysanych wiatrem w górach... szmer ten zwodził mnie noc całą.... Za lada szelestem serce rwało się w piersi, mniemałam że to on!... Niel on dziś nie przyjdzie!... Ach! jeśli mnie zdradził! Piekielna myśl! w takim razie, Allahu! spuść na niego najstraszniejsze twe przekleństwa. (*Słychać wystrzał*).

Czy mi się zdaje? Wystrzał!... drugi... trzeci.... Ach! to swatowie piją moje zdrowie. Uczta ku schyłkowi; zbliża się chwila stanowcza!... Przebóg! zamiast Iwana, Osman przyjdzie zaraz... Ha! nie dostąpi do mnie. (*Wyjmuje flaszkę*).

Styszę kroki jego. O! trucizno tak gorzka dla innych, jakże mi się wydajesz słodką! (*Wypija truciznę i siada na łóżku*).

OSMAN (*wchodzi i długo się jej przygląda*). Nie zwiedziono mnie. O! córko Alego! pięknaś jak huryska niebiańska! Lecz gdzież się zabłąkały róże twego oblicza? Czemu usta twe sinieją?.. Czy żałujesz pałacu ojca? o bądź spokojna, własny mój pałac pozwoli ci o nim zapomnieć. Będziesz wielbiona i szanowana jak królowa; setki niewolników będą oczekiwać twych rozkazów, a matka moja będzie stroić cię codziennie w złoto i jedwabie. Ja będę cię kochał i cenik jak oczy moje. (*Siada przy niej*).

MEJRYMA. Nie mów, nic, bej!.. proszę o chwilę spokoju.

OSMAN. Odpychasz mnie! czemu tak drżysz?... ręka twa zimna jak lód... kosztowności twoje porozrzucone po ziemi.

MEJRYMA. I cóż mi w grobie po drogich kamieniach?

OSMAN. W grobie! co ty mówisz?..

MEJRYMA. Tak, młoda oblubienica twoja spocznie niezadługo w grobie, pierwszym po ślubnym i ostatnim snem swoim.

OSMAN. Co ty mówisz, dziewico?... czy to żart, czy rozum tracisz?

MEJRYMA. O! żart to straszny... Ach! nie mogę się już utrzymać. (*Upada na łóżko*).

OSMAN. Co tobie? (*Słychać strzały, Meiryma podnosi głowę*).

MEJRYMA. Co to za wystrzały?

OSMAN. To swatowie moi tak się radują. (*Strzały coraz gęściejsze*). Niel.. to nie swatowskie strzały.

GŁOSY, *za sceną*. Przybывaj, Osmanie! hajducy napadli na nas. Wstawaj prędko, jeśli chcesz stanąć w obronie swój oblubienicy.

OSMAN. Nie lękaj się Mejrymo, zostań tu; odeprzemy napad. (*Wychodzi*).

MEJRYMA *sama*. Ratujcie! ratujcie! On przybywa, a ja wypilam truciznę! O! szatanie! spełniłeś swoje dzieło!... trucizna pali mi wnętrzności... Gdzie jesteś, Szeryfol... O ojcie mój! gdzie się obracasz? opuszczasz córkę twoją!.. Ale co ja mówię! o nieszczęśliwy ojcie! może sto mieczów w tej chwili mierzy w pierś twoją! (*Chce iść, ale upada bezwładna*).

Piekielne bóleści szarpią mi wnętrzności... To śmierć... Allah! Allah wróć mi życie... Darennie! umieram!

ALI-PASZA, *wchodzi do namiotu z dobytą szablą*. Wszyscy nasi wyginęli! teraz miejsce moje jest przy dziecku mojem.

MEJRYMA. Ach! ojcie mój! jesteś.. widzę cię jeszcze! Bądź zdrow! uciekaj!

ALI-PASZA. Niech cię uściskam po raz ostatni. Przebaczonej ojcu, drogie dziecko, że umierając ciągnę cię z sobą do grobu, — ale to jedyny sposób ocalenia twego honoru.

MEJRYMA. Nie ściskaj mnie, nie całuj! Przeklnij mnie, ojcie! i jatagan twój utop w mojej pierści.

IWAN, *wpada z szablą w rękę*. Gdzież ona!

ALI-PASZA. Iwan!... żyjesz... i wpośród hajduków!

IWAN. Ty tu!

ALI-PASZA. I raczej umrę nim pozwolę ci zbliżyć się do nięj.

MEJRYMA. Iwanie! wstawiam się za ojcem moim; życie jego powierzam twęj szlachetności.

IWAN. Starcze! skazałeś mnie na śmierć, miałbym więc prawo nie oszczędzać życia twego; ale Mejryma wstawia się za tobą, jesteś więc tak bezpieczny w tym namiocie, jak pod dachem twego pałacu.

ALI-PASZA. Nie proszę cię o życie; umrę w obronie honoru męj córki.

MEJRYMA. Nie zajmujcie się mną... umieram!... wypilam truciznę.

Darennie zrozpaczony ojciec i kochanek pragną ją ratować, darennie przyzywają pomocy; Mejryma umiera błogosławiąc Iwanowi i życie ojca swego jego polecając opiece. Iwan chce odebrać sobie życie, ale ojciec powstrzymuje jego rękę i nakazuje mu żyć.

Nadchodzi Arambasza z dzielnymi swymi towarzyszami; Ali-pasza przywiedziony do rozpaczę śmiercią córki i porażką muzulmanów, przebija się sztyletem, i dramat kończy się okrzykiem: *Niech żyje zjednoczona Serbia!*

J. B.

O FANTAZJI I HUMORYSTYCE

W PIŚMIENNICTWIE POLSKIM.

PRZEZ

Karola Mecherzyńskiego.

Fantazją w pospolitem znaczeniu nazywamy pewną swobodę umysłową, bujanie ducha, pochodzące z niezwykłego napięcia i rozegrania uczuć, a ztąd dowolność objawiającą się w zewnętrznym ruchu, postaci i mowie. Człowiek w takim stanie umysłu rad poddaje się wpływowi chwilowych wrażeń, zapomina swego zwyczajnego bytu, i jakby w innym i właściwszym sobie poczuwając się żywiole, gardzi otaczającą go rzeczywistością i swoim światem powszednim. Śmiałość, rzeźkość, oryginalność, bywają oznaką takiego usposobienia. Ów np. Farys w kassydzie arabskiej, bujający na swym latawcu wiatronogim, któremu góry i lasy, chmury i uragany zdają się ustępować z drogi, a całe powietrze Arabistanu na oddech nie wystarcza; albo w mniejszym obrazie ów butnie zawodzący jeździec:

Kiedy magierkę swoją z czaplemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Lub kładzie ją na bakier i pokręca wąsa:—

mówimy że ma fantazją.

We względzie estetycznym fantazja jest twórczą umysłu władzą, która przescigając formy zwyczajnej rzeczywistości, stwarza dla siebie świat nowy, albo przedmioty rzeczywiste odziewając w piękne postacie, kształci z nich nowe obrazy czyli ideały. Ta tajemnicza siła geniuszu źródłem jest wszelkiej twórczości. Przewaga jej nad rozumem i innymi władzami duszy prowadzi do urojeń i przesady, i tworzy marzycieli, fantastów. Poeta prawdziwy nie jest fantazją: przy zupełnej bowiem wierze w poetyczną prawdę swoich utworów, pojmuje on dokładnie, jak dalece, utwory

te odstępują od prawdy rzeczywistej. Różnicę między poetą a marzycielem, twórcą błędnych urojeń, stanowi idealna wartość, jasność i piękność pomysłów. Że niektóre dzieła sztuki fantazyami zwiemy, to ztąd pochodzi, że w nich postrzegamy przeważny żywioł fantazyi: bowiem nieokreślona żadnemi granicami kraina sztuki, dozwala każdej sile rodzącej się z poetycznego ducha, swobodnie się rozwijać i tworzyć swój świat zewnętrzny.

Uspodobienia odmienne w ludziach i narodach, a nawet pewnych czasu okresach, objawiają się większą lub mniejszą żywością i grą właściwą im fantazyi, która nadaje kierunek pewny i barwę ich umysłowości, występującej wszechstronnie w życiu zewnętrznym, obyczajach, mowie, sztukach i piśmiennictwie. Starożytne dzieła sztuki (antyki) nie tyle mieściły w sobie fantazyi co romantyczne; a jako plastyka u dawnych, idealizująca samą rzeczywistość, cechuje sztukę starożytną, tak głównym piętrem romantyzmu, nadającego swym ideałom byt rzeczywisty, jest fantazyja. Dante, Ariost, Tasso, odznaczają się przedewszystkiem fantazyją. U niektórych narodów nowoczesnych fantazyja bywa żywszą i gorętszą, ztąd np. poezye hiszpańskie więcej są fantastyczne niż angielskie, angielskie więcej niż niemieckie i t. p.

Ruch wreszcie i właściwa barwa fantazyi zależy od wrodzonego, często klimatycznego usposobienia, ztąd różne jej w ludziach i narodach objawy. Chmurna i posępna u Ersów, błyszcząca u Arabów, mistyczna i marząca u ludów germańskich, pogodą i umiarkowaną wesołością cechuje umysł Słowianina.

Humorystyka, zwana w dawniej mowie naszej *trefnością*, a łącząca się często z dowcipem i wesołą fantazyją, zależy na szczególnym sposobie zapatrywania się na świat rzeczywisty. Humor i wesołość odpowiadają sobie w psychologicznym, bynajmniej atoli nie w estetycznym znaczeniu. Wesołość może się stać humorem, humor jednak właściwy nie jest sam w sobie wesołością. Jak w mowie potocznej odróżniamy dobry humor od złego, dowcip wesoły od złośliwego, ironią od sarkazmu; tak w dziełach humorystycznych nie samą znajdujemy śmieszność i żartobliwość, ale niekiedy żal podniosły i najwyższe nawet pathos. Humorystyk stoi niejako w pośrodku między komikiem a satyrykiem, acz usposobieniem swoim więcej zbliża się do czystej komiczności, zdolny pogodnie uśmiechać się nawet wtedy, gdy satyryczny karciciel twarz surową namarszcza. Nie wyzuwając się nigdy z miłości ku ludziom, uważa ludzką naturę jako mieszaninę dobrych i złych przymiotów, i w ogóle widzi więcej słabości niż występku, więcej głupstwa niż przewinienia; ztąd rodzi się to łagodne uczucie, usposabiające go już do elegii, już do patetycznej, wyrazu pełnej wesołości, która jakby chciała boleść zagłuszyć, stwarza pewną igraszkę myśli, wylewających się dowcipnie i z szczerotą w rozmaitych obrazach i przystosowaniach.

Styl i koloryt humorysty tak mu bywają właściwe, jak stanowisko które obiera, i z którego na świat się zapatruje. Jean

Paul rozróżniał nawet humorystykę i dzielił na epiczną, dramatyczną i liryczną. Można o charakterze narodu sądzić według większej lub mniejszej skłonności do występowania z humorem i fantazyą, lub udziału jaki bierze w humorystycznych objawach i utworach.

Polacy, tak z przyrodzonego usposobienia, jako i wyobrażeń dawniej gminności, i swych społecznych urzędzeń, wynieśli byli tę swobodę umysłową, ten sposób życia towarzyski, bujny i gwarny, którym między innymi narodami tak wydatnie i charakterystycznie się odznaczali. Zawsze w ludziach chwalono u nas wesołość i mówność. Myśl wesołą, żart, humor pogodny, uważano za zira-mię dobrego serca. Ztąd i Górnicki zaleca taką myśl swemu dworzanie: „W tych rzeczach, które mu przystoją, niechaj się ćwiczy, by znacznym był między wszystkimi, a ludziom się dobrze podobał. Do czego bardzo mu też posłuży, kiedy się z ludźmi zgadzać będzie, a nie zawzdy będzie patrzył onego pracowitego ćwiczenia, ale biesiady, towarzystwa, żartów, krotochwile, tańców i innych pociech z chęcią pomoże.” Charakter ten narodowi właściwy rozlewał swoje barwy na wszelakie życia społecznego kształty i objawy, a pod wpływem przeważnych odmian i wypadków dziejowych miał nawet swoje historyczne epoki.

Szlachta polska, z przyrodzenia ruchliwa i do gadatliwości skłonna, przy swych obyczajach i sposobie dawnym życia smakowała zawsze w rozmowach towarzyskich i gawędzie zaprawioną wesołym humorem i dowcipem, która była najupodobańszą zaprawą ich posiedzeń i zabaw, a nawet trudów i niewczasów. Wchodziły do niej potoczne o rzeczach przygodnych powieści, fraszki i krotofile. Były to objawy swobody umysłowej, nie krępowanej żadnymi formami uczoneści, płynęły z duszy otwartej, tchnącej szczerotą i jawnością charakteru. Tradycją odwieczną utrzymywały się powiastki ucieszne o *Waligórze*, *Wirwidębie*, *Twardowskim*, tak jak potem o *Albertusie*, o *Filipie z Konopi*, o *panu Krupie*, *Zablockim* i w. i. Najobfitszym i nadzwyczajniejszym przedmiotem takich powieści były wydarzenia rycerskie i myśliwskie, w których siła, zręczność, a najczęściej butność junacka dramatycznie występowały na scenę. Zręczni opowiadacze, zazwyczaj sami uczestnicy takich wydarzeń, umieli je przedstawiać z właściwym narodowi humorem i fantazyą. Ztąd owo niezliczone mnóstwo powiastek i anegdot, które były ustną, tradycyjną narodu literaturą, a razem domową kroniką, każdego szlachcica, myśliwca i rycerza. Rozszerzały ich pole rozmaite wypadki domowe, sejmikowe i zaściankowe bójki, zajazdy, biesiady i uciechy, w których tak żywo grała fantazyja i właściwy narodowi humor. Jakoż Polska między innymi osobliwościami miała także pewien rodzaj poetów i opowiadaczy ustnych, improwizujących, którzy w historii literatury na osobną zasługują uwagę. Imiona ich, znane w kołach rodzinnych i przyjacielskich, jeszcze się przechowywały po ich zgonie tradycją wraz z ich powieściami. Jak powszechnie byli cenieni, świadczą dziejopisowe nasi, którzy

o nich poczesne wzmianki zamieszczali w kronikach. Taką wzmiankę między innymi czytamy w Długoszu o *Wincentym z Szamotuł* kasztelanie międzyrzeckim, herbu Nałęcz, który słynął z wesołości i dowcipnych żartów, podobnie jak biskup *Kropidło*, *Jan Łaszcz*, *Smolik* lub sławni trefnisie: *Bieniarsz*, *Stanieczyk*, *Słobikowski*, *Jasko*, *Ziomba*, *Dojtaszek*, i wielu innych.

Pisarze podzielający to narodowe usposobienie odbili je wierne w swoich pismach. Oni w nich rozlewali te wdzięczne farby właściwej narodowi fantazyi i humorystyki, która czytelników tak miłym pociągała urokiem.

I.

Najdawniejsi humoryscy nasi, jeszcze podobno nie śmiejąc doświadczać pióra polskiego, przestawali na ustniej improwizacyi, która powtarzana wszędy z upodobaniem jednała im między ludźmi wziętość.

W *Żywocie poczciwego człowieka* powiada Rej: „Jeśli też masz ten dostatek, więc też każesz sobie czasem albo na lutence albo na jakim symfonaliku nadobnie zagrać, a pocieszyć zafrasowaną myśl swoje i serce. Przyjdzie do ciebie przyjaciel, azaż to nie rozkosz, gdy się z nim namówisz, naśmiejesz, a on ci będzie powiadał przygody a przypadki ludzkie, co się komu przygodziło; a ty sobie jedno będziesz rozważał a wspominał, iż się też to wszystko działo za czasów onych młodszych lat twoich.”

Rej w gronie czytelników swoich takim jest opowiadaczem. Czy to podaje nauki obyczajowe, wskazując jak żyć należy i wypełniać powinności wszelakiego stanu i powołania, czy satyryczne zwraca pióro przeciw gorszącym w kraju zbytkom i nadużyciom; czy dla zabawy i uciechy czytelnika puszcza wodze wesołej myśli i przygodne płodzi żarty: wszędy towarzyszy mu ten humor szczęśliwy i prawdziwie narodowy dowcip, który wszystkie pisma jego niewysłowionym zaprawia wdziękiem. Sposób jego opowiadania, podnosząc siłę wewnętrzną śmieszności lub satyry, dziwnie przypada do twarzy wiekowi i społeczeństwu które maluje. Żył Rej w czasach szacownej obyczajów prostoty, szczerości i jawności charakteru, kiedy polor zwierchni i zakrywająca wewnętrzne skazy ogląda nie były znane, a myśl wyrrywająca się z głębi duszy w wiernem przelizeriała słowie. Żart dowcipny i uciészny, choć czasem mniej oględny, wyrażenie dosadne i malujące, acz szorstkie i rubaszne, uchodziły zarówno w potocznej jak i piśmiennj mowie i zyskiwały zaletę. Ztąd swoboda umysłowa, nie ujęta żadnemi więzami przymusu i uczonej modły, fantazyja w mówieniu śmiała i bezwzględna, owo zacięcie polskie, które tak wybitnie malowało się w słowie jak w obyczajach ówczesnych, ruchu i postawie mówiącego, są cechą najglówniejszą a razem zaletą pism Reja.

Górnicki mówi z pochwałą o *Janie grabi z Tarnowa* kasztelanie krakowskim: „że do wszystkich cnót swoich, do doskonałej

mądrości, do wielkiej sprawy, dzielności w rzeczach wojennych, do powagi przystojnej osobie swojej, przyłączył i to, iż go z słodkiej powieści jego każdemu było słuchać miło." „Toć to, (mówi) zabawy są ludzi sędziwych; temi oni, okrom tańcu, okrom muzyki, dobrze stać mogą." Natura dawszy mu pierwój wielkie cnoty, chciała mu téż ten przysmak przydać, ku nabyciu jeszcze większej chęci o miłości ludzkiej. Czasem rzecz jaka choć nie wiele ma trefności, gdy ją pan krakowski powiada, tysiąckroć zda się smaczniejsza."

Żałować należy, że nas nie doszły wiersze polskie *Krzyckiego* (bo w łacińskich był *Katullem*). Ile z podań spółczesnych wnosić można, wesołym acz nieco rozwiązłym, dowcipem wielką z młodu zjednał sobie był wziętość i sławę.

Za czasów *Górnickiego* chwalony był podobnież z wdzięcznego opowiadania *Derśniak*, poeta osobny, do statecznych rzeczy stateczny, do biesiadnych trefny, do czynienia sprawy, do rady wzięty, o którym (w *Dworzaniu*) powiada *Myszkowski*: „Jako on pielgrzym, który lecie, kiedy go praca i gorąco namdli, o południu przesypia się w cieniu przy jakiej strudze, tak ja téż odpocznę sobie przy tym wdzięcznym szumie słów pana *Derśniakowych*." Niemniej *Bojanowski*, polski filozof, który przyrodzonym rozumem swym (bo nie był w naukach biegły) głębokich rzeczy sięgał, a powieści prawdziwych trefnych, i ku życiu człowieczemu pożytecznych tak wiele w Polsce nasiał, iż tego nie mała księga byćby mogła. (*Dworz.*). *Smolik* słynął również dowcipem i trafniemi powieściami, i wszedł nawet w przysłowie:

Kto słyszał ptaki, ten chwali słowika,
A kto dworzany, ten pewnie *Smolika*.

W pierwszej połowie XVI wieku pierwiastek ten wprowadzony do piśmiennictwa ożywiał nader szczęśliwie rozwijającą się z zawiązków narodową literaturę, czego dowodem *Zwierzyniec stanów szlacheckich*, *Apophtegmaty* i *DIALOGI*, *Dworzanie*, *Fragmenty*, *Wzór pan męznych*, i tym podobne dzieła, których treść brana z życia społecznego obejmowała świeże, w obiegu jeszcze krążące, bo za starego i młodego *Zygmunta* wydarzone przypadki, pocieszne i trafne o nich pogadanki, z wyższych i niższych warstw społeczeństwa zebrane i nieco przykraszane dowcipem. Słynne były tego czasu zebrania towarzyskie u biskupa *Samuela Maciejowskiego* na *Prądniku*, gdzie czcigodny ten mecenas i miłośnik nauk obcować lubił z uczonymi, i rad przysłuchiwał się rozmowom zaprawionym wesołością i dowcipem. Owocem i pamiątką tych rozmów jest jedna z najpiękniejszych ksiązek złotego wieku *Zygmuntów*. Humor i dowcip narodowy bujając temi czasy wszechstronnie, założył był nawet swoją stolicę w *Babinie*, zkąd na kraj cały ucieczne rozchodziły się żarty. Kierunek ich w ogóle był satyryczny, jak np. w powiastce o *Jełowickim* budowniczym *Babińskim*, który swoim

przemysłem tak wysoki gmach wybudował, że gdy dając na nim pokrycie, przypadkiem zawadził o obłoki i bindas z rąk upuścił, nim ten doleciał do ziemi, toporzysko zbutwiało w powietrzu. Znaczenie i skład rzeczypospolitej Babińskiej skreślił dobrze w następujących wierszach Kochowski:

Hetman tu, kto w dyskursie z wojnami się szerzy,
Kto zbytnie o publikach, aż on podkanclerzy;
Kto o psach, aż on łowczy; kto przy pełnej mówcą,
Aż go tu wnet Babińskim nazwą krasomówcą:
I z jaką kto do rzeczy wydaje się chęcią,
Na to mu wnet oddadzą przywilój z pieczęcią.

Kończy dowcipnie poeta tym satyrycznym ucinikiem, że szlachta polska może mieć w Babinie łatwo urzędy.

II.

Około środka XVI wieku dokonała się wielka w obyczajach i życiu społecznym zmiana. Prowadząca wiek ten myśl poważna religijna i polityczna, zwróciwszy umysły ku przedmiotom wyższego znaczenia, które zwłaszcza podrażniały namiętność, stłumiła przyrodzoną swobodę, pochopność do wesołości i żartu. Z postępującą oświatą naród zdążył do wyższej uprawy towarzyskiej, nauki klasyczne wprowadziły do piśmiennictwa smak i wzorowość dokładnej, skończonej formy. Pod wpływem tej dwojakięj potęgi życie społeczne przybrało surowszą i poważniejszą postać, piśmiennictwo zmęźniało, spowaźniało. W miejsce dawniej prostoty i jawności charakteru wystąpił polor zwierzchni i dworstwo, dawna swoboda umysłowa przyjęła więzy przyzwoitości i dobrego smaku.

Górnicki, ukształcony nauką i świadomy już tej nowej towarzyskiej ogłady, przygania Rejowi jego rubaszną i nieudatną prostotę. Humorystyka Górnickiego, znacznie odmienna od Rejowej, *człowieka poczciwego przekształca na dworzanina, dowcip przyrodzony oddaje pod straż przyzwoitości, ośłania uczoną i nadobną formą. Naucza on poważnie, jakiego kształtu dworzanie w trefnowaniu i po który kres ma używać. Zaleca mu ostrożność w rozmowie, umiarkowanie i przystojność. „Tych (mówi) którzy miłość i zachowanie u ludzi mają, tykać nie trzeba, zwłaszcza możnych, bo igrzysko z nimi jest niebezpieczne.” Gdzieindziej zaś dokłada: „I w tym śmiechu przyjdzie zapłonienie, a czasem osa na nos siądzie. Przeto dworzanie musi się pilnie przypatrować, jakiej ci będą myśli, przy których trefnować ma; musi mieć baczenie na czas, na miejsce, na swoją przystojność i zawołanie; musi ze wszystkimi mieć miarę i z rzadka trefnować.”*

Spółczesny Jan Kochanowski, obok nauki i znajomości świata rad zachowujący jeszcze starodawną prostotę obyczajów, w jednej

z pieśni swoich zdaje się utyskiwać na tę nową w społecznym życiu zmianę—jarzino, które ciążyło jego przyrodzonej swobodzie:

Tam dobra myśl nigdy nie postoi,
Gdzie z rejestru patrzę co *przystoi*.
A powiem wam, że się tóć świat słodzi,
Gdy koleją statek i żart chodzi.
I z najmędrzym nie trzymam w tój mierze,
Kto się długo na dobrą myśl bierze.

Uczeni tego czasu oddzielają już swoje plody humorystyczne od reszty pism, pod nazwiskiem *fraszek*. Objawy wesołej i swobodnej myśli należą do zaufańszych tylko kół towarzyskich i tajemnych niejako zwierzeń, jak to wyraża Jan z Czarnolasu w wierszu do swoich *fraszek*:

Fraszki nie przepłacone, wdzięczne fraszki moje,
W które ja wszystkie kładę tajemnice swoje:
Obral-liby się kiedy kto tak pracowity,
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty?

Zawarł on w nich szacowną i nader mile zajmującą historią domowego życia. Zaprawione są wszystkie żartobliwością, lekkim i trafnym dowcipem, ironią pełną wyrazu, która często najszacowniejsze prawdy na wierzch wysadza. Nie dowierzał jednak poeta ich powodzeniu, gdy (jak powiada) *niepoważne z statkiem się zmieszaly*, a surowi czytelnicy przyganiiali mu, że w nich zamieścił wiersze przeciwne przyzwoitości, i niepróżno położył na czele napis:

Fraszki tym książkom dzieją: kto się puści na nie
Uszczypliwym językiem, za fraszkę nie stanie.

Co zostało z dawniej swobody umysłowej, kryło się podówczas w domowym pożyciu, i z tego zakresu poeci niektórzy ośmielają się brać motywa humorystyczne, jak np. Bielski w swoim *Sejmie niewieścim*. Więcej tu szyderstwa niż pogodnego humoru i wesołości. Satyra XVI wieku jest poważną przestrożą, w tonie surowym, dydaktycznym. Miaskowskiego uszczypliwie żarciki na zbory kalwińskie wychodzą na polemiczną paskwinadę. Krzyckiego dowcip swawolny obłożony naganą. Grochowski pokutuje za swoje *Babie koło*, pali na ogniu swe humorystyczne pamflety, a przykuty mimowolnie do tłumaczenia brewiarza, odkrywa humor sobie właściwy dopiero w pastorałkach i kołędach. Stał w myśli poetom tego wieku zawsze przytomny *Zoil*, którego lękać się trzeba było obmowy.

Same tylko piosnki i powiastki ludowe, nie mające żadnego związku z piśmiennictwem, zachowały znamię sobie właściwe. W nich często dostrzega się pełna wdzięku fantazyja i humorystyka.

III.

W wieku XVII, epoce powszechnego zamieszania pojęć i zburzenia klassycyzmu, wrócono znowu do dawnéj swobody, ale z zepsutym smakiem i stylem. Bujał samowolnie dowcip, bujała wyobraźnia, nie ujeta żadném wędzidłem przyzwoitości i miary. Nie wyłączając panegirystów jezuickich, pedantów szkolnych, u których zdrożna fantazyja na polu erudycyi płodziła potwory, żywioł ten panował wszechstronnie. To, co niektórzy nazywają romantyzmem XVII stulecia, jest właściwie objawieniem się fantazyi i humoru narodowego. Pisarz nie krępowany żadnemi względami powagi, przyzwoitości i smaku, nie przywiązujący się do żadnej wzorowości ani formy, rozwijał swobodnie swoje siły, i oddawał wszystko w ten sposób, jak naród po swojemu czuł, myślał i wyrażał. Zatarło się pojęcie wszelakiej sztuki, zniknął przedział między mową uczoną a potoczną i gminną. Wszystkie narodowe mówienia kształty, przysłowia, porównania, z żyjącego słownika wzięte, weszły do stylu ówczesnych pisarzy, i używały pospołu, jak za czasów Reja, praw równości i obywatelstwa. Literaturę tego wieku, latorośl dziko i bezkształtnie rosnącą, zagłuszoną chwastami, cechowała jednakże narodowość i popularność.

Onaó-to kobza, prostéj dzieło ręki,
Strun nie pożyczca u muzyków, ani,
I że nie rzymskie, niechaj nikt nie gani,
Tu w Polsce rodne geniusz jój woli,
Niż przy troickiej zrodzone wioli.

(Kochowski).

Wydatniejszą zaś barwą pism, które wiek ten przekazał nam jak godne uważania zabytki, jest prawdziwie narodowy humor i fantazyja. Dostrzegamy ich wszędzie, tak w dziełach obyczajowej jak historycznej i politycznej treści, równie w prozie jak wierszach.

Pasek, to Rej XVII wieku, z mniejszym zasobem nauki i rozumowych pomysłów, ale ruchliwszą fantazyją, jako czynny działacz na scenie domowego i publicznego życia. Jego przygody i podróże, bójki i hulatyki, wyprawy rycerskie i miłosne, zawarte w opowieściach pełnych fantazyi i humoru, są to zarysy genialne i prawdziwie rodzajowe, którym brak tylko formy i wykończenia, aby pod ręką artysty urosły w najpiękniejsze obrazy i ideały.

Wacław Potocki, słynny z swoich żartów uciesznych (*Iovialitates*), autor rapsody rycerskiej pod napisem *Wojna Chocimska*, mimo poważnego nastroju tkwiącej w samym przedmiocie wzniosłości, podobnym odznacza się dowcipem i humorem. Czy to kreśli obrazy nadzwyczajnej rycerstwa odwagi, swym nadmiarem przechodzącej niekiedy w junactwo, czy z satyrycznym przekąsem maluje dumę i harde zapędy Turków; czy w pochwałę mężstwa i cnoty dawnych bohaterów obecnemu przynawia pokoleniu: jest w jego

przedziwnej humorystyce wdzięczna i rzewności pełna szczerota, szlachetne pathos, z którym żart i najdoskonalsza komika tak właściwie się łączy, jak to często widzimy w życiu rzeczywistém.

Wychodziły podówczas różne tego rodzaju pisma, powieści, satyry i pamflety, których część znaczna zaległa w rękopismach.

Wszakże ile przystojność nie broni uczciwa,
Dla tych wesółym tonem lutnia się odzywa,
Co światu poświęcili wesole humory,
Milczenia nie przysiągłszy chować Pitagory.

Do takich należą: *Dworzanki*, *Facecye polskie*, *Furfanterye*, *Sowizrzal*, *Albertus* i t. p. W *fraszkach Sowizrzalowych* uwagi godném jest *Myslistwo* ułożone w sposobie krotoczwil, jakeimi przy końcu zeszłego wieku zabawiał szlachtę i dworzany Karol książę Radziwił (Panie Kochanku).

W życiu publiczném objawiał się ten żywioł u ludzi swobodniejszego umysłu, umiejących z powagą łączyć niekiedy wesołość i żartobliwość. Starowolski wymienia kilku mówców humorystycznych tego wieku, jakoto: *Jana Woronieckiego*, *Myszkowskiego*, *Marka i Sebastjana Sobieskich*, *Pawła Piaskowskiego*, których ludzie radzi słuchali.

Rzadkim w historyi literatury przykładem, humorystyka weszła wtedy nawet na mównicę kościelną, stawszy się niejako metodą nauczania, którą sam cel moralny upoważniał. *Bielicki*, *Mijkowski*, *Kowalicki*, *Kiersnicki*, swemi kazaniami ściągali tłumy słuchaczy, którzy na nich jak na komedjach zanosili się od śmiechu. Najwięcej jednak humorystyka ówczesna posługiwała satyrze, tworząc typy charakterystyczne i rodzajowe tego wieku, jakeimi są: *junuk*, *Klecha z organistą*, *rybałt*, *sowizrzal*, *galantom*. *Albertus*, tchórz, gwałtem wydany do wojska, wróciwszy z wyprawy udawał junaka: gaduła, i jak mówią z głupia frant, parodyą był prawdziwego rycerza i polskim Donkiszotem. *Klecha*, był to sługa kościelny, któremu dla prawdziwej głupoty i niezdarności nadawano rolę arlekina. Bawił, rozśmieszał i uczył. *Rybałt* (ribaldi) żak albo kantor, do pary z *Klechą*, odpowiadał mu charakterem. *Sowizrzal* i *galantom* czyli modniś znani są z właściwych sobie przymiotów. *Broscius* w swym *Albertusie*, głośnym niegdyś po całej Polsce, wyprzedził pomysłem sławnego *Cerwantesa*, acz nie miał po temu zdolności, aby go ubrał artystycznie w odpowiednią formę.

Weszły te wszystkie typy do piśmiennictwa i upowszechniły się w rozlicznych obrazach i formach, zwłaszcza *klecha* i *rybałt*, postacie używane w dyalogach satyrycznych i dramatach; ostatni dał nawet od siebie nazwę osobnemu rodzajowi *rybałtowskiej komedyi*. Że z tak bogatego żywiołu nie wykształciła się wówczas na-

rodowa komedya, był temu na przeszkodzie zupełny upadek nauk i zatracenie pojęcia wszelakiej sztuki.

Natomiast powstały wtedy owe niezliczone pieśni tak świeckie jak i religijne, zwłaszcza pasterki i kolendy, które z pism Zabzcyców i Dachnowskich przeszły w usta ludu, a zawarte są do-
tąd w tak zwanych kanticzkach ludowych. Panuje w nich prze-
dziwna miejscowa fantazyja i humorystyka. Cenzura jednak du-
chowna od czasów Bernarda Maciejowskiego powściągała zbytnią
rozwiązłość dowcipu i szkodliwe obyczajom igraszki. Jój suro-
wości uległy między innymi *fraszki Kochowskiego*. Wymawiał się
przed nią i *Wacław Potocki* pisząc wiersz na swoje *fraszki*:

Marszczy brwi, głową trzęsie ojciec Jezuita,
Kiedy po brewiarzu moje fraszki czyta.
Odpuście wszyscy, i wy co ohodzicie boso;
Rzadki jest groch bez wyki, rzadkie bez bru proso.
A jeśli między mnichy znajdują się wybiorki,
Nie są tak doskonale Mnemozyny córki,
Które na Helikońskiej przemieszkują skale,
Zeby w swoich conceptach nie miały mieć ale.

Sam nawet myślał je spalić, jak o tém w inném miejscu
powiada.

Gdy z czasem odszukać się dadzą poezye zaponnianych dzi-
siał wierszopisów, którzy w téj epoce u spółczesnych wielkiej uży-
wali więtości, dla tego zapewnie, że ze szkołą panegiristów i ża-
ków jezuitskich nic nie mieli wspólnego, wydatniej ukażą się zna-
miona ówczesnej literatury, więcj narodowej i popularnej niżeli
w wieku XVI.

IV.

Czasy Augustów Saskich, znane u nas w przysłowiu, przy-
zasypiającem życiu polityczném, dały popęd niezwykły umysłowej
swobodzie, bujającej wśród form zewnętrznych i chwilowych roz-
targnień, którym sprzyjała pora długoletniej beczynności i pokoju.
W życiu domowém panowała wesołość i ochota, humor, fantazyja,
zwykła zaprawa biesiadniczych stołów. Za domem zwady sejmi-
kowe, zapasy stronnictw, bójki, zajazdy. Z takich scen wynoszono
treść do rozmów potocznych, żyjącej historii tego wieku. Hu-
morystyka stała się duszą i jedyną zaprawą posiedzeń towarzy-
skich. Trafny sposób opowiadania, ożywiony wesołym dowcipem
i żartem, podwyższał wartość powieści, a często sam przez się sta-
nowił jój zaletę. Gracze doświadczeni i mistrze w swoim rzemio-
śle prawili słuchaczom przeróżne wypadki, mieszając do żartów
dowcipne zmyślenia; a im kto zręcznieji bawił i rośmieszał, tém
więcj był chwalonym i pożądanym. Milczenie w towarzystwie było
prawie nieznośném. Kiedy czasem na wieczery przychyliły te we-

sołe gwary, nazywano ją nie polską ale *wileczą*. Ztąd Wojski (u pana Tad.) powiada:

Kto miłoz między szlachtą, ten właśnie tak czyni,
 Jako myśliwiec, który nabój rdzawi w strzelbie;
 Dlatego ja rozmowność naszych przodków wielbię.
 Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,
 Ale żeby nawzajem mogli się wygadać,
 Co każdy miał na sercu: nagany, pochwały,
 Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
 Wywoływano na plac, powstawała wrzawa,
 Miła uchu myśliwców jak druga obława.

W posiedzeniach szlachty gawęda bywała gwarua, bujna, czasem rubaszna, na wyższym świecie lekka, dowcipna. Chwila natchnienia przychodziła zwykle po obiedzie i wśród szumu dworskiego.

Dawni panowie polscy dworem otoczeni
 Często siadali w krzesłach w poobiedniej porze.
 Pan godził sprawy włościan, lub w dobrym humorze
 Gościom różne ciekawe hystorye prawił,
 Albo ich powieściami i żarty się bawił.

O *Radziwille* Panie Kochanku powiadano, że w skarbcu swoim miał trąbkę, na której gdy zagrał, na całą Litwę słychać ją było. Oznaczało to jego żarciki i dykteryjki, zaprawione przedziwnym humorem i dowcipem. Nie było jednego domu szlacheckiego, jednej zagrody w Polsce, gdzieby ich nie znano i nie powtarzano z upodobaniem. Huczały śmiechy w posiedzeniach panów i szlachty, gdy *Leon Borowski* lub *Wazgird* opowiadali. Słyneły również facecye księcia jenerała ziem Podolskich. Było podobnych wielu. Ci opowiadacze, choć czasem ludzie nieuczenni, miewali rozum i dowcip niepospolity. Oni w swych żartach i powieściach przedstawiali poezią narodową. kiedy wierszopisowie z powołania przywłaszczali sobie niestusnie jój przywileje.

Typem najwybitniejszym tego wieku był uosobiony we wszelakich postaciach *animusz*, *zawadyak* i *haraburda*, prawdziwy lub zmyślony (bo w powieści wychodziło to na jedno), jak ów *Kluźnik Mopanku* stary rębacz, z nasiekaną od licznych kordów głową, co swą szablęcą scyzorykiem zwaną przysiągł wyszczerbić na karkach Sopliców. Ścięgał ich na sejmach, zajazdach i jarmarkach. Dwóch zarębał w kłótni, dwóch na pojedynku, jednego podpalił w domu drewnianym i upiekł jak piskorza. Póki tyle miał siły, że mógł choć jednym małym palcem ruszać, póty bić się nie przestał, i obiecywał wszystkich Sopliców porząć na sieczkę. W sztuce rębajłów znany był cios Mopanku, tak jak sztych Puławskich, Sawy, Dobrzyńskiego i t. p. Tacy rębacze i haraburdy w powieściach urastali czasem na olbrzymie postaci. Przesada w dowcipnym zmy-

śleniu zyskiwała zaletę, gdy celem opowiadania była jedynie zabawa.

Drugą figurą nie mniej charakterystyczną był doświadczony w swojej sztuce bohater godowy, który na ucztach i pijatykach głośno odnosił tryumfy. O takich bohaterach krążyły w narodzie różne ucieśne powiastki, a nawet kaznodzieje opowiadali je czasem z ambony.

V.

W epoce Stanisława Augusta gości już i zamierały te dawne tradycje, wypychane przemianą obyczajów i wkraczającą coraz więcej cudzoziemczyzną. Oburzali się na tę zmianę starzy dawnego stempla narodowcy, i znany jest z tego wieku w przysłowiu *dylbel kusy*. Przycichła gawęda w kołach towarzyskich, przerażanych raz po raz kłóskami rzeczy publicznej. U stołów uczonych nie zasiadali już, jak niegdyś na dworze biskupa Maciejowskiego, wesółej myśli rozmowcy, Kryscy, Derśniaki, Bojanowscy, ale nęceni faskami, dla zaszczytu mecenasa nauk, uczeni z powołania Wyrwicze, Albertrandowie, Naruszewicze, albo ostrego pióra satyrykowie, Trembeccy i Węgierscy. Krasicki tylko i Zabłocki umieli rozpogadzać swoje pisma swobodniejszym humorem i dowcipem, nie schodzącym jednak z pola satyry. *Igraszki uczonego dowcipu* (Wacława Sierakowskiego) dowodzą, jak dalece oschło już było źródło właściwej narodowi fantazyi i humorystyki.

Typy wydatniejsze w humorystyce tego wieku są: *Fircyk* i *Żona modna*, a w przeciwieństwie do nich, jak antyteza obyczajowa, odziana już w parodyczną postać, *Stara Kownacka*.

I zląkł się ich jak dżumy jakiej cały naród,
Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaręd.
Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory,
Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.

Fantazyja i humorystyka narodowa wydała już swoje owoce i w nowszém piśmiennictwie. Podniosły ten żywioł i wprowadziły w dziedzinę sztuki pióra znakomitych pisarzy, a zwłaszcza autorów *Pana Tadeusza*, *Listopada*, *Pamiętników starego szlachcica* i *Przygód Benedykta Winnickiego*. Wszyscy zarówno zwrócili myśl ku czasom, z których wiały jeszcze żywotne i donośniejsze tradycje, wskazując poetom i sztukmistrzom świat ciekawych wypadków, ruchliwy, oryginalny, różnowzory, do przedstawienia w arystokratycznych obrazach wielce przygodny. Obierali oni dla swęj humorystyki przedewszystkiem tę charakterystyczną, po części ujemną stronę społeczeństwa, która ich celowi i usposobieniu najwięcej dogadzała, i niestuszne są z téj miary zarzuty niektórych krytyków.

POCZĄTEK

KULI ZIEMSKIEJ I JEJ PRZYSZŁOŚĆ.

Niema historii więcej zainteresować mogącej, jak historia rozwoju kuli ziemskiej. Żadna nie przedstawia wspanialszego zakresu i nie prowadzi do bardziej zadziwiających rezultatów. Czém byliśmy? Czém jesteśmy? Jaki los nas czeka? Oto są zapytania które stanowią przedmiot niniejszej gawędy.

Starożytni obok najbliżniejszych pojęć, mieli bardzo dokładne wiadomości o stosunkach naszej planety do gwiazd sąsiednich a nawet i o jej wewnętrznym układzie. Jeżeli za czasów Arystotelesa sądzono powszechnie że ziemia, położona wśrodku wszechświata, otoczona jest niebem ruchomém, przezroczystém, stałym; firmamentem, w który gwiazdy są jak gdyby powbijane; za to Tales z Miletu żyjący w V wieku przed naszą erą, wiedział że ziemia jest kulistą, i że rok składa się z 365 dni. Pytagoras także przypuszczał sferyczność ziemi, a nadto odkrył obrotowy jej ruch około osi i postępowy około słońca. Uczniowie jego sądzili, że planety i komety poddane są temu samemu prawu. Mimo całe jednak uwielbienie nasze dla starożytnych, zmuszeni jesteśmy wyznać, że prawdy te były przez nich raczej przeczute i odgadnięte, aniżeli dowiedzione; uczynić je niezbitemi, dopiero nowożytnéj nauki zostało udziałem. I w samej rzeczy najdziwaczniejsze i najrozmaitsze systemata pojawiały się aż do chwili, gdy odkrycia Koperników, Keplerów, Galileuszów, Newtonów, postawiły teorią ziemi na podstawie odtąd już niewzruszonéj.

Starożytność miała również swych geologów. Za takich uważać należy: Heraklita, który przypuszczał że ziemia jest ostygłą gwiazdą, Anaxagora, mistrza Sokratesa który myślał że księżyc i planety są zamieszkałe. Chociaż to obcém będzie naszemu przedmiotowi, powiemy parę słów o szczególniejszej jego teorii przeobrażania się istot. Sądził on że morza pokrywały kiedyś całą kulę naszą, że potem wody cofały się, a ryby pozbawione swego żywiołu przekształcały się w ptaki i czworonożne zwierzęta. Tak więc po-

dług Anaxagora ryby są pierwszymi naszymi rodzicami. Dziwaczna ta doktryna podniesioną była w niedawnej epoce. W ubiegłym wieku Demaillet autor francuzki, więcej znany pod pseudonimem Telliamed, wznowił ją prawie bez żadnych zmian, i tym sposobem stał się poprzednikiem Lamarcka, Geoffroy'a St. Hilaire, Darwin'a którzy wyznawali również doktrynę przeobrażania się gatunków, wprawdzie w sposób bardziej oględny i nieskończenie więcej naukowy.

Wieki średnie i wieki odrodzenia nie dostarczają nam jak tylko teorye niepodobne do prawdy, o początkach kuli ziemskiej. Największa część autorów zajmujących się tą kwestyą, jak Leonard da Vinci, Palissy, potem Scheuzer, Werner, Dolomieu, i wielu innych, przypuszczali że ziemia powstała z wody. Lecz jaki był początek tych wód i co się z nimi stało? — tego wystrzegają się powiedzieć. Wiadomo jest że żaden atom materii ziemskiej, stałej, płynnej, lub lotnej, nie może rozpiechnąć się w przestrzeń, gdyż niezwalczenie przytrzymywany jest przez siłę ciężkości. Objętość wód byłaby więc zawsze tąż samą. Otóż obrachowano że ciężar kuli ziemskiej wyrazić można przez 1,000,000, z którego 999,958 stanowić będzie ciężar pokładów kamiennych, stałych, a tylko 42 ciężar wód. Ażeby więc ziemia mogła być w rozpuszczeniu w płynie pierwotnym, trzeba aby 1 kilogramm wody mógł rozpuścić 23,808 kilogramów materii kopalnych nierozpuszczalnych, lub prawie nierozpuszczalnych. Cyfra ta nie potrzebuje komentarzy.

Dopiero w ubiegłym wieku napotyamy teorye, pewną powagę mające w przedmiocie który nas zajmuje. Leibnitz w swojej *Protogoea* podtrzymuje opinią Descartes'a, który uważał kulę ziemską za ostygłe słońce. Buffon utrzymuje że ziemia wyszła z massy słonecznej w skutek uderzenia komety. Według tego znakomitego pisarza, część oderwana materii słonecznej, rozpalona do białości, rzucona w przestrzeń przyjęła ruch podwójny, obrotowy około osi i postępowy około swej gwiazdy centralnej. Złączone usiłowania atrakcyi i siły odśrodkowej, dały nowej planecie kształt sferoidalny. Potem pary zgęszczały się, a wody tworzyły pierwsze oceany, podczas gdy zwierzchnie warstwy roztopionych materii, stauowiących kulę ziemską, stygnąc przechodziły do stanu stałego i dały początek pierwszym lądom. Z postępem stygnięcia, po upływie 43,000 lat, ta ustalona już warstwa zdolna była żywić rośliny i zwierzęta. Jednakże ogień wewnętrzny pali się jeszcze, ale zmniejszanie gorąca jest nieustanne; kula ziemską aż do samego środka przejdzie kiedyś w stan stały i ziemia zginie od zima.

Obok wielkich prawd, przeczytanych raczej potęgą geniuszu aniżeli naukowo dowiedzionych, Buffon wprowadził do teoryi swęj błędy, dziś łatwe do zbicia. Wiadomo już bowiem powszechnie, że kometa, to niezmierne nic widzialne, zawiera w sobie pod nadzwyczajną objętością nieskończenie małą ilość materii. Według rachunku p. Faye, skupienie cząstek jądra komety, to jest

części najwięcej zgęszczonej, jest zaledwie 9 razy większe, aniżeli skupienie cząstek powietrza, które pozostaje po wypompowaniu w dzwonię maszyny pneumatycznej; skupienie zaś cząstek ogona komety jest 10 miliardów razy mniejsze. Ztąd wynika że w hipotezie spotkania, materia komety zdołałaby naruszyć zaledwie warstwy najbardziej rozrzedzone naszej atmosfery. Byłoby to uderzenie słońca przez komarę, nie zdolne oderwać najdrobniejszej cząstki masy słonecznej. Pod tym względem najzupełniej możemy być spokojni: komety są najniewinniejsze z gwiazd.

Na zakończenie tych teorii, przytoczym ostatnią, która jeśli nie zaleca się dokładnością, nie można jej za to odjąć zasługi oryginalności. Twórcą jej jest Deluc z Genewy, uczony, zresztą bardzo szanowny współczesny sławnemu geologowi de Saussure. Powiada on, że na początku wszechrzeczy, słońce było zimne i że gęsty pokład lodów otaczał naszą ziemię, przemarzłą aż do najgłębszego wnętrza. W chwili danej słońce rozpało się i ciepłem swém z wolna roztopiło lody naszej planety. Wody powrócone do stanu płynnego, przenikając przez szczeliny ziemi przeorały ją i przeryły do głębi, a ztąd powstały nierówności, góry, doliny i przepaście. Ta hipoteza nie mówi wcale z kądem się wzięły słońce i ziemia.

Przystępuję do dokładniejszych systematów. Zakres niniejszej gawędy, nie pozwala nam rozbiierać szczegółowo prac, które przygotowały obecnie przyjęte teorie. Wspomniemy tylko wstawione na tém polu imiona uczonych jak Hulton, W. Smith, W. Herschel Humboldt, Laplace, Fourier, Cuvier, Arago, Cordier, Etie de Beaumont, których poszukiwania rzuciły najżywsze światło na początek naszego planetarnego systemu i kuli którą zamierzamy. Idee przyjęte w nauce są wprawdzie tylko skombinowaniami hipotezami Herschla i Laplace'a, ale hipotezami które przez codzienne odkrycia są potwierdzane. Geologia jak na naukę niedawno poczętą i prawie wczoraj zrodzoną, olbrzymie poczyniła postępy, ma ona wszakże wiele jeszcze do zrobienia; a teoria ziemi w niektórych szczegółach, nie może dotąd ubiegać się o rezultaty absolutnej pewności. Nie mamy zresztą pretensyi nauczyć czytelnika tej nauki, postanowiliśmy tylko pogawędzić, o geologii i wielu innych rzeczach.

Dwa rodzaje materji zajmują przestrzeń: jeden widzialny albo dotykalny, poddany prawom atrakcyi i ciężkości, jest to materia ważka nazwana materją kosmiczną; drugi rzadkości niesłychanej, nie dający się dostrzedz zmysłami, lecz sprawdzić go można przez zjawiska światła i ciepła, których jest rodzajem przewodnika: ten rodzaj materji zwie się eterem. Zastanawiać się będziemy tylko nad pierwszym.

Materia ważka, kosmiczna, niegdyś cały zapełniała wszechświat. Lecz pod wpływem atrakcyi, atomy z których jest złożona zbliżały się ku sobie, zgęszczały i grupowały w pewnych miejscach, — tworząc odosobnione masy doskonale niezależne wzajem

od siebie, przedzielone niezmiernymi przestrzeniami opróżnionymi (1). Takie nagromadzenie się materji kosmicznej około jednego lub więcej środków skupienia, dało początek nebulozie (nébuleuse, Nebelfleck).

Materya w stanie nebulozy doznawała nowego skupiania się cząstek, którego naturalnym skutkiem było stopniowe zmniejszanie objętości każdego środka zgęszczenia. Tym sposobem z niezmiernych obszarów materji rozwięktłej, mało spójnej, nebuloza stopniowo przechodziła w stan gwiazdy mgławicj (étoile nébuleuse, Nebelstern) i stawała się słońcem lub gwiazdą, co jest absolutnie toż samo.

Owóż tedy mówimy, że grupowanie się mass atomów materji kosmicznej, wywołane siłą atrakcyi, dało początek nebulozie, w której działanie tejsze siły nie ustawało, owszem sprawiało coraz większe skupianie się atomów. Skupianie nie może odbywać się bez ruchu, a dowiedzionem jest że ruch ten zawsze stawał się obrotowym, kołowym. Powiększanie się prędkości ruchu wzrastać musiało w miarę zmniejszania się objętości nebulozy, a nadto wywoływać ciepło i światło, — powiększające się znowu stosunkowo do powiększania się prędkości. Tak więc nebulozy przechodząc w stan słońca, przedstawiają się jako massy materji kosmicznej, rozpalone do białosci i obdarzone ruchem obrotowym około swych osi.

Zobaczymy teraz jakie zjawiska towarzyszyły przyspieszeniu ruchu. Rachunek i doświadczenie pokazują że materya ciekła (płynna lub gazowa) obracając się około osi, przybiera kształt kuli, która tém więcej spłaszcza się przy biegunach, im szybszy jest obrót. Ożywiona pewną prędkością, materya ta staje się rodzajem tarczy okrągłej. Wtedy przychodzi chwila gdy atomy najwięcej oddalone od środka, nie są trzymane odpowiednią siłą atrakcyi dla zrównoważenia siły odśrodkowej; odrywają się przeto od massy głównej i stanowią pierścień niezależny, który zachowuje pierwotny swój ruch obrotowy. Massa główna nie przestając skupiać się, powiększa prędkość swego ruchu i wkrótce znów drugi pierścień jest opuszczony. Ten sam fenomen powtarza się za każdym razem, o ile warunki które go poprzedziły okazują się znowu.

Opuszczony pierścień zachowując pierwotny swój ruch obrotowy, podległy jest jednocześnie prawom atrakcyi, która usiłuje rozerwać go i skupić w jedną massę. I to właśnie prawie zawsze ma miejsce, tak że pierścienie zmieniają się w końcu w kule ożywione ruchem obrotowym około swych osi i ruchem postępowym około massy która im dała początek. Nadto te massy drugorzędne będąc podległymi tym samym prawom co pierwotna, w miarę powiększania skupiania, przyspieszają ruch który zachowały i może

(1) Próżne te przestrzenie nazwane zostały przez astronomów francuzkich *sacs à charbons*.

przyjść chwila, gdzie z swego obwodu opuszczają pierścienie podobne tym z jakich wzięły początek.

Ta świetna hipoteza pozwala nam być jak gdyby obecnymi tworzeniu się światów. Słońce które nam przesyła swe światło i ciepło, po przejściu pierwszych ruchów materji kosmicznej wywołanych atrakcją — było nebulozą. potem gwiazdą mgławą. Z wielu względów sądzić możemy, że dotąd jego kondensacya nie jest jeszcze w zupełności dokonana, i że otoczonem jest materją bardzo rzadką, stanowiącą pozostałość mgły kosmicznej (nébulosité, Wolkige) z której wyszedł cały nasz systemat planetarny. Pierścienie stopniowo porzucane w przestrzeń stały się planetami, z których najwięcej odległe Neptun, Uranus, Saturn, Jowisz, najpierw się uformowały. Nakoniec księżycy im towarzyszące powstały z pierścieni odpadłych z tychże gwiazd. Jakby dla potwierdzenia rzeczywistości systematu Laplace'a, pierścień Saturna pozostaje jeszcze w swęj pierwotnej formie.

Studia nad niebem najzupełniej potwierdzają teorią, której ogólny pogląd tylko co przedstawiliśmy.

Jakkolwiek niezliczona liczba gwiazd, które zapełniają przestrzeń pokazuje nam, że materja kosmiczna znajduje się prawie wszędzie w stanie skupienia bardzo posuniętego, są jednak gwiazdy zapóźnione, które nam przedstawiają jeszcze widowisko pierwszych ruchów kondensacyi i obrotu około swych osi. Nebulozy których spisano wiele tysięcy, nie są czem innem, jak ostatniemi massami rozproszonej materji kosmicznej; większa część dostrzedz nam dozwala znaczną liczbę śrdków skupienia, które później słońcami się staną, a ich ciągle przeobrażanie się zdradza wewnętrzne ruchy skupiania i obrotu około osi. W nebulozach planetarnych materja kosmiczna znajduje się już w kształtach sferoidalnych; gwiazdy mgławce złożone z jądra mniej lub więcej błyszczącego i otoczenia mgłą kosmiczną różnej obszerności, — pozwalają nam analizować przemiany materji kosmicznej w słońca. Jest to schwytywanie natury na uczynku, powiedzieć możemy z Herschlem, któremu winniśmy większą część tych odkryć.

Astronomowie zaznaczyli zniknięcie wielu gwiazd. Jedne z nich nagle zagasły, innych nie dostrzegano, po stopniowem zmniejszaniu się natężenia ich blasku. Widocznie są to ostudzone słońca. Przyjdzie chwila, gdy każda z gwiazd dziś jaśniejących na niebie, skutkiem ciągłej utraty ciepła ostygnie, ustali się na powierzchni i przejdzie w stan gwiazdy ciemnej lub planety.

Dokładność tych pojęć, tak prostych i tak wspaniałych, o początku systematu słonecznego, sprawdzić możemy przez doświadczenie, którego nas Plateau nauczył.

Uczyńmy mieszanie wody i alkoholu w takiej proporcji, aby każda objętość tego płynu, miała też samą wagę, co podobna objętość oliwy; wprowadźmy potem ostrożnie pewną ilość oliwy

do naszego płynu: oliwa ta, mając zupełnie tę samą gęstość, nie będzie podlegać prawom ciężkości, pozostanie w równowadze na miejscu, w którym położona była i przybierze kształt kuli. Przeprowadźmy przez nią wtedy drut metalowy i nadawajmy ję coraz szybszy ruch obrotowy około osi. Zobaczymy wkrótce, że kula ta spłaszczać się będzie u biegunów, rozszerzać u równika; potem przybierze kształt tarczy okrągłej i opuści z obwodu swego pierwszy pierścień, potem drugi i trzeci, jeśli stopniowo prędkość powiększać będziemy. Większa część tych pierścieni zmieni się w małe kule, ożywione podwójnym ruchem, obrotowym około swych osi i postępowym około masy, która im dała początek. Owóż tedy to, co wykonywać będziemy w laboratorium, spełniało się w wszechświecie, z tą różnicą, że tam siła poruszająca powstała z samej materji i sprawiała skupianie się cząstek teje materji.

Jeśli więc hipoteza Herschla prawdą jest, materya powinna być tą samą, nie tylko w systemie słonecznym, lecz i w całym wszechświecie; a o tém właśnie przekonywamy się, ze względów następujących:

Wszystkie gwiazdy, których kształt rozeznacć możemy są sferoidalne; wszystkie planety dające się porównywać z ziemią, są rozszerzone pod równikiem, spłaszczone u biegunów, i obdarzone podwójnym ruchem obrotowym i postępowym; wszystko to są oznaki wspólności pochodzenia.

Ciała niebieskie najwięcej do nas zbliżone, których powierzchnie za pomocą teleskopów możemy studyować, znajdują się w warunkach fizycznych najzupełniej tych samych, co nasza kula ziemska. Mars pokazuje nam lądy i morza. Spostrzegamy nadto przy obu biegunach tej planety przestrzenie białe, które powiększają się lub zmniejszają kolejno, stosownie do tego czy biegun obserwowany przez nas jest w porze letniej lub zimowej. Toż samo dzieje się na ziemi, gdzie obszary śnieżne i lodowe przy biegunach ścieśniają się lub rozszerzają odpowiednio do pory roku. Któż z nas nie słytał o górach na księżycu? Posiadamy teraz narzędzia optyczne, które nam pozwalają odróżnić najmniejsze szczegóły budowy naszego towarzysza; a nawet bez przesady można powiedzieć, że strona księżycą którą dostrzegamy, jest nam lepięj znaną, jak nasza ziemia. Jak ta ostatnia, księżyc posiada swe góry, płaszczyny i doliny. Większą część gór księżycowych stanowią wulkany o kraterach, których forma jest zupełnie tą samą co ziemskich wulkanów. Zdołano nawet zmierzyć wysokość tych gór z największą dokładnością, i wreszcie przekonano się że układ fizyczny i geologiczny księżyc jest najdokładniej takż sam jak ziemi.

Aerolity czyli kamienie spadające z nieba, powinny być uważane jako drobne masy materji kosmicznej, rodzaj mikroskopijnych planet, które się poruszają w niezmiernęj liczbie w przestrzeni i upadają na ziemię, gdy wypadkiem przejdą w ję sferę

atrakcyi. Zresztą rzeczywisty ich początek nie powinien nas zajmować. Czy pochodzą z odłamów pierwotnych nebuloz, których skupienie osobno się dokonało; lub też są oderwane z słońca podczas gdy pierścienie jego oddzielały się, to nie jest naszym przedmiotem: cokolwiekby jednak, kiedyś stanowiły one częśćkę jednej masy materji kosmicznej, z której powstały słońce i planety, i w każdym razie są całkowicie obce naszej kuli. A jednak na 22 pierwiastków odkrytych dotąd w aerolitach, analiza chemiczna nie znalazła żadnego, któryby nie był znanym na ziemi. Według naszego zdania jest to dowód dotykalny, oczywisty, stanowczy, na korzyść doktryny którą przedstawiliśmy.

Nakoniec analiza widmowa światła słonecznego, którą winniśmy po części uczonym badaniom pp. Kirchhof i Bunzen, potwierdza w sposób najświetniejszy hipotezę jedności materji. Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór doświadczeń jakie ostatnimi czasy czyniono zapomocą analizy widmowej, powiemy tylko o rezultatach jakie otrzymano. Owóż przekonano się, że atmosfera słońca zawiera w sobie wodoród, sod, żelazo, chrom, magnezjum etc. Nie poprzestano na tém, zuchwałość badań dalej posunięto: poddano analizie widmowej światła gwiazd i nebuloz, i wszędzie (oprócz nebulozy jednej) nie znaleziono ciała obcego dla nas. W wielu gwiazdach sprawdzono bytność wodorodu, sodu, żelaza, które to ostatnie zdaje się być pierwiastkiem najpowszechniejszym w wszechświecie. Nebulozy planetarne, studyowane niedawno przez p. Hugginsa pokazały bytność wodorodu i azotu. Umysł rzeczywiście przygnębnionym zostaje ogromem podobnych odkryć, chlubnych i bez rozlewu krwi dokonanych zdobyczy naszej epoki. Nie wiadomo czy należy czołem uderzyć przed wielkością otrzymanych rezultatów, czy też uwielbiać nieskończoność środków umysłu ludzkiego, kierowanego wolnym i zdrowym pojęciem rzeczy.

Przedstawiliśmy w ogólnym poglądzie kosmogoniczne przemiany materji, rozbierzemy teraz poprzedni stan naszej kuli, a potem postaramy się wskazać przejścia jakie jeszcze jój pozostają. Geologowie przyjmując hipotezę Laplace'a utrzymują, że ziemia była nebulozą, potem słońcem, wprzód nim doszła dzisiejszego swego ustroju. Dodamy tu jeszcze, że przejdzie w stan księżyca, utraci morza swe i atmosferę; postaramy się wyjaśnić te tak różne napozór sposoby bycia.

Ziemia była nebulozą, czyli ściślej mówiąc częścią ogółu masy kosmicznej materji, która dała początek wszystkim gwiazdom naszego planetarnego systemu. Masa ta materji stanowiła ciało niezmierniej rzadkości, rozpostarte na niezmiernych przestrzeniach. Atomy masę tę składające, znajdowały się w tak znacznej odległości jedne od drugich, że nie mogły żadnego chemicznego działania wywierać wzajem na siebie.

Już wielkie skupienie dokonane było w nebulozie pierwotnej, gdy pierścień ziemię stanowiący, oderwał się od masy słoń-

niecznej; spójność wszakże atomów bardzo jeszcze słabą być musiała, albowiem pierścień co stał się naszym księżycem, mógł się znów oddzielić. Nieco później skupianie się cząstek doszło swego kresu, rozproszona materya ziemską zwarła się w jednolitą masę, działania chemiczne stały się możliwe. Od owój chwili kula nasza przeszła w stan słońca, zaczęła tracić swe ciepło, gdyż wydatek takowego przez promieniowanie, nie był już równoważony ciepłem powstającym z skupiania się cząstek materyi. Odtąd datuje się oziębianie.

Ziemia w stanie słońca była kulą rozpaloną do białości, rozrzucającą na około siebie ciepło i światło. Wszelkie na prawdopodobieństwie oparte obliczenia wysokości ówczesnej temperatury, prowadzą tylko do cyfr przesadzonych: to wszakże wątpliwości nie ulega, że wysokość jej nie dozwalała żadnej materyi istnieć w stanie stałym. Wszystkie wody, wielka ilość ciał stałych i znaczna część metali, wchodziły w skład atmosfery, nieskończenie gęstszej, cięższej i większe zajmującej przestrzenie niż za naszych czasów. Wiele wieków i tysiące wieków mógł wytrwać stan podobny? tego nie można oznaczyć, to tylko pewna, że chronologia historii ludzkości, w stosunku do czasu jakiego potrzebowały wszystkie przemiany kosmogoniczne i geologiczne jest kroplą wody w oceanie. Stygnięcie ziemi jednak szybkie czyniło postępy, gdyż ziemia stanowiąc jednolite ciało, bez porównania więcej rozrzucała ciepła w przestrzeń, aniżeli zyskać go mogła przez działania chemiczne i skupianie cząstek odtąd już słabe niezmiernie. Przyszła wreszcie chwila, gdy temperatura dość niską była, aby przejście do stanu płynnego ciał mniej lotnych mogło się uskuteczyć. Wtedy deszcze merkuryusza i roztopionych metali rzuciły się na ziemię, tracąc coraz więcej swój blask jaskrawy i nadmiar ciepła. Na powierzchni ziemi formować się zaczęła skorupa stała i ciemna; kula nasza z słońca stała się planetą.

Lecz walka żywiołów nie ustała. Woda nie mogła skupić się w stan płynny: nieustannie odpychana i przemieniana w stan pary, za dotknięciem powierzchni ziemi, jeszcze bardzo gorącej, rozpraszająca się w przestrzeń, aby oziębnąć na nowo i spaść w deszczach ulewnych. Positkowane ciągle przez wzrastające stygnięcie ziemi, wody nakoniec ogień przemogły i pierwsze utworzyły się oceany. Ustalenie się tego porządku stanowi koniec kosmicznego peryodu historii ziemi, nowa era zaczyna się przed nami, czasy geologiczne nastają.

Od tej epoki niezmiernie wiele jeszcze upłynąć musiało czasu, nim ziemia przybrała dzisiejszą swą postać. Pokład zewnętrzny, stały, małej bardzo grubości, słaby niezmiernie przedstawiając opór roztopionej wewnętrznej materyi, rozrywany był i szarpany co chwila. Góry nie istniały. Ocean bez-brzeżny otaczał kulę ziemską. Atmosfera ciężka i mglista przesycona parą wodną, nieustannie zaciemniana gęstymi chmurami, z których wypływały

potoki deszczów, dozwalała na powierzchnią mórz zaledwie niekiedy zajrzeć blademu promieniowi słońca. Temperatura była zawsze bardzo podniesioną, życie organiczne nie mogło się jeszcze objawić.

Widzimy przeto że ziemia od początku geologicznego peryodu, przedstawia cztery współśrodkowe części, zupełnie pokrywające się wzajem, a mianowicie:

1. Atmosferę ciężką i gęstą.
2. Ocean nie głęboki ale bezbrzeżny.
3. Skorupę stałą małej bardzo grubości.
4. Jądro główne w stanie ognistej cieczy, czyli pirofera

Stosunek i ważność właściwa, każdej z dopiero co wymienionych części, doznawały stopniowo zmian, które winny być wytlumaczone.

Skorupa stała, z postępem stygnięcia ziemi powiększając swą grubość, coraz większy stawia opór dynamicznym działaniom pirosfery, usiłującej rozerwać coraz ciaśniejsze granice, w jakie zamkniętą została przez zwierzchnią powłokę. W miarę oporu, usiłowania powiększać się musiały: wybuchy stawały się coraz rzadsze, ale coraz większej nabierały gwałtowności. Skutkiem tego ciągłego oddziaływania pirosfery na część stałą, powstały w skorupie ziemskiej wypukłości i wklęsłości. Gdziegdzie wyspa pojawiła się wśród niezmiernych obszarów wód i pierwsze okazały się lądy. Znowu wiele upłynęło wieków nim stały ląd ugrupować się zdołał, nim morza i ziemia w oddzielnych zamknęły się granicach. Wszelako od początku geologicznych czasów, ląd stały zyskiwał ciągle na obszarze a morza na głębokości. Falowanie to nie ustaje i za naszych czasów. Cały północny brzeg Skandynawskiego półwyspu podnosi się ciągle w stosunku od jednego do półtora metra przez wiek, podczas gdy południowy brzeg Szwecji, brzegi Danii, północnych Pruss i sąsiednich okolic, zniżają się powolnym wiekowym ruchem. Brzegi Peru i Chili od czasów historycznych na kilka metrów się wzniosły, a przeciwnie zachodnia strona Grenlandyi zniża się nieustannie.

Pierwsze pokłady skorupy ziemi są pochodzenia ogniowego, to jest stanowią wystygłą masę roztopionej materii kosmicznej. Pokłady te przez geologów warstwami krystalicznymi są nazwane (terrains ignés), wulkanische Erdschichten). Na rozszerzenie ich i w ogóle na powiększenie grubości skorupy ziemi, wody przeważny wpływ wywarły. Nieustanny ruch fal, prądy morskie, przyływ i odpływ morza, posiłkując się wzajem wrywały z łona swego, a więcej jeszcze z sąsiednich brzegów, wielką ilość materii mineralnych, gąbczastych lub skamieniałych szczątków organicznych, (meuble et détritique, lacker und Felsenstücken aus organischen Trümmern gebildet), zanosily je w dal i składały w mniej lub więcej regularne równoodległe warstwy. W dzisiejszych jeszcze czasach skały sterczące wzdłuż brzegów morskich co chwila przez

fale są porywane; w Normandji np., cofanie się skał w głąb morza, obliczone jest w przecięciu na 6 decymetrów rocznie. O ileż więc zjawiska te, gwałtowniejsze musiały być w oddalonych epokach, których przedstawiamy historją. Wtedy podniesienie temperatury, ciężar atmosfery, nieczystość wód przesyconych metalicznymi pierwiastkami, nierównie więcej sprzyjały wszelkiego rodzaju mechanicznym i chemicznym działaniom, jakie już nigdy się nie powtórzą. Wreszcie źródła mineralne, o jakich dziś istniejące zaledwie nam słabe mogą pojęcie, wyrzucając obficie i nieustannie krzemień, wapień, kwasorodek żelaza i inne pierwiastki, które za zetknięciem ze sobą tworzyły ziemie, alkalia i t. p. związki chemiczne, również przyczyniały się do ustalenia skorupy ziemi.

Pokłady osadowe usłane w łonie mórz, powstałe seryami warstw równoległych (*terrains de sédiment ou terrains stratifiés*, *Bodensatz*, *Floetzgebirge*) są nieocenionym skarbem dla geologa. W nich bowiem znajdują się skamieniałości i ślady roślin pierwotnych, żyjących podczas formowania się tychże warstw, za pomocą których jedynie tworzyć można przybliżoną chronologją geologiczną. Warstwy te mniej obszerne co do przestrzeni niż krystaliczne, nie stanowią ciągłego pokrycia tych ostatnich, a nawet nigdzie zupełnymi nie są. Jestto dowodem nieustannych ruchów falowania skorupy stałej i licznych przemian położenia lądów i mórz. Wzniesione płaszczyzny Limousin i Owernii, w środkowej Francji, należą bezwątpienia do najstarożytniejszych lądów na świecie, w najodleglejszych wiekach geologicznych stanowić już wyspę musiały, na nich bowiem nie ma żadnych śladów warstw osadowych.

Dla uzupełnienia naszego opowiadania, wspomnieć winniśmy o warstwach wyrzuconych. Pirosfera rozrywając skorupę ziemi rozlewała na jej powierzchni roztopioną materją wewnętrzną, która stygnąc dopomagała nie pomatu do ustalenia powłoki zewnętrznej. Tak powstały skały granitowe, potem bazalty, trachity, i wreszcie lawy dzisiejszych wulkanów.

Falowanie skorupy ziemskiej, któremu winniśmy odgraniczenie mórz i wyłonienie się lądów, nie jest jedynym czynnikiem wzruszającym stałą powłokę ziemi. Różnemi czasy powstały pasma gór. Ruch który je wznosił, bezwątpienia innę był natury, od tych o których poprzednio mówiliśmy. Nie oddziaływał na powierzchnię, lecz objawiał się postępując pasmem mniej lub więcej szerokiemi, a siła jego nieskończenie większą być musiała. Czyż można bowiem porównać powolne wiekowe działania, wznoszące lub urywające brzegi na kilka centymetrów rocznie, do zadziwiających katastrof, co wzniosły Alpy lub Kordyliery? A jednak zawsze jedna i taż sama siła, to jest rozszerzenie się stałej skorupy ziemi, kierowała wszystkimi wyżej wymienionemi zjawiskami.

Dzięki uczonym pracom p. Elie de Beaumont możemy z największą dokładnością oznaczyć wiek względny główniejszych pasm gór, to jest możemy powiedzieć, że taki system powstał wpród lub

później od tego a współczesny jest tamtemu. Wiek bezwzględny czyli innemi słowy liczba wieków i tysiący wieków co nas oddziela od przeszłych geologicznych wydarzeń, nie będzie zapewne oznaczoną nigdy inaczej, jak przez przybliżenie: jestto zresztą przedmiot bardzo małej wagi z punktu widzenia nauki. Owóż dla oznaczenia wieku łańcucha gór, jedyną prawie wskazówką są warstwy osadowe. Warstwy te wzruszone z swego równoodległego położenia, nachylone lub przewrócone przez wzniesienie się góry, widocznie istnieć już musiały w epocę gdy ta się pojawiła. Przeciwnie, warstwy które u stóp góry pokrywają pierwsze równoodległymi pokładami, stanowiąc względem nich warstwy sprzeczne (stratification discordante, ungleiche Schichten-bildung) oczywiście nałożone w czasach, gdy góra już istniała. Wiek jęj przeto, trzymający środek między wiekiem pierwszych i drugich warstw oznaczyć można za pomocą skamieniałości, jakie się w nich znajdują. Wyznać musimy że nieraz przytrafiają się tu zawikłania i trudności, które niezmiernie nadużywają cierpliwości i doświadczenia przenikliwości geologa. Cokolwiekbydz jednakże wiemy już, że góry najmniej wzniesione, najpierw się utworzyły, że leśne wzgórza Wandei, Morbihan, Hundsdruck, wcześniejsze są niż Wogczy, że te poprzedziły Pireneje, które znów są starożytniejsze jak Alpy i Himalaja. Twierdzenie to nie może nas dziwić. Ponieważ skorupa ziemska bezustannie zyskiwała na grubości, usiłowanie zatem wzniesienia jęj lub rozerwania powiększać się musiało, tutaj więc proste zastanowienie się i nauka wzajem się wspierają. Można powiedzieć stanowczo, że jeśli powstaną kiedyś jeszcze nowe pasma gór, to przewyższą wszystkie dotychczas istniejące.

Grubość skorupy ziemi, któręj budowę staraliśmy się w skróceniu przedstawić, przez przybliżenie tylko oznaczoną być może. Powszechnie zgadzają się że nie przenosi 25 kilometrów, że jest nieco większą u biegunów a mniejszą pod równikiem. Nachylenie się osi ziemskiej, cokolwiekbydz wyobrażano sobie w tym względzie zawsze było jednakowe, bieguny zatem odbierały od początku mniej ciepła słonecznego, niż kraje podrównikowe. Gdy zaś ilość stygnięcia ziemi, oznaczyć można przez różnicę między utratą własnego ciepła a pochłanianiem nięm ciepła słonecznego, widocznęm jest, że miejsca na które to ostatnie najmniej wywierało wpływu najpierw ostygnąć musiały. Różne obliczenia których szczegóły pominiemy, pozwalają nam przypuszczać, że przewyżka grubości skorupy ziemskiej u biegunów dochodzi 1450 metrów. Widzimy zatem że stosunkowo do promienia ziemskiego (6367 kilometrów) grubość skorupy stałej jest tak nieznaczną, że może być przyrównaną do grubości skorupy jaja względem zawartości jego, a wypukłości najwyższych gór dokładnie przedstawione będą przez chropowatość skorupy jaja.

Pozostaje nam jeszcze do wyjaśnienia czwarta z części składowych kuli ziemskich, to jest pirosfera; gdy jednak w dziedzi-

nach naukowych posługiwanie się hipotezami, które nie mogą być stanowczemi dowodami poparte, niezmiernéj oględności wymaga, zatrzymamy się jedynie na faktach, które zauważyć i sprawdzić możemy.

Zagłębiając się w ziemię, natrafiamy na pokłady, do których słoneczne ciepło nie dochodzi, i gdzie temperatura ciągle jednostajna wyraża prawie dokładnie średnią temperaturę okolicy, szczególnie w krajach gorących. Głębokość téj warstwy zależąca od szerokości geograficznej, wynosi 1 metr pod równikiem, a 28 metrów w okolicach Paryża. Przekraczając tę warstwę temperatura nieustannie się powiększa: fakt ten oddawna znanym jest górnikom. Od połowy zeszłego wieku usiłowano zdać sobie sprawę z tego zjawiska, i termometr zanoszony był do wszystkich głębokości dostępnych dla nas na kuli ziemskiej. Cordier w sławnym pamiętniku przedstawionym w 1827 r. francuskiej akademii nauk streszcza wszystkie prace i poszukiwania swoje i poprzedników, dotyczące wspomnionego zjawiska, a kończąc wywód swój, będący wzorem rozumowania i jasności, wyprowadza wniosek że powiększanie się ciepła w głębi ziemi, następuje w stosunku 1 stopnia centigradu na 27 metrów głębokości. Dziś ogólnie za zasadę do obliczeń przyjęto 1 stopień na 30 metrów, cyfra ta wszakże jest tylko stosunkiem średnio przeciętnym, gdyż w wielu miejscach powiększanie się ciepła gwałtowniejsze jest lub powolniejsze. Ponieważ więc gorąco powiększa się stopniowo i odpowiednio głębokości, zatem u środka ziemi znajdować się musi ognisko rozpalone do białości (foyer incandescient, glühheiss Zustand) czyli pirofera; a przechodząc już pewną granicę, wszystkie skały, wszystkie metale i ciała stałe znajdują się w stanie roztopionéj przez ogień massy. Wybuchy wulkaniczne, źródła gorące i t. p. zjawiska naturalne stanowią dowód powyższej hipotezy.

Co do wysokości tego gorąca pirosfery, przestać należy na przypuszczeniach. Przyjmując za punkt wyjścia powiększenie się ciepła w stosunku 1 stopnia centigradu na 30 metrów głębokości, oraz przypuszczając nieustanne wzrastanie takowego, otrzymujemy za pomocą rachunku temperaturę przeszło 200,000 stopni u środka ziemi. Widocznie cyfra ta jest przesadzoną, gdyż nie możemy sobie wyobrazić gorąca przechodzącego 198,000 stopni, to jest punktu topienia się platyny. Dlatego téż znakomity matematyk Puisseau, przerażony podobnym wypadkiem, zaprzeczał istnienia pirosfery i tłumacząc wysokość temperatury w głębi ziemi, utrzymywał że zachowała ona we wnętrzach swych nieco ciepła gorących przestrzeni niebieskich, które kiedyś przebiegała. Prawdopodobnie po pewnej głębokości przychodzi stan równowagi, poza którą gorąco już więcej się nie powiększa, i Beudant zapewne najwięcej zbliża się do prawdy, przypuszczając że gorąco środkowe nie przechodzi 3 do 4000 stopni.

Zakończymy nasze gawędy pobieżnym rzutem oka na przyszłość ziemskiej kuli.

Ziemia rozrzuca w przestrzeń, nierównie więcej ciepła, aniżeli odbiera go od słońca, przyjdzie więc chwila, że wystygnie aż do środka swego, a wtedy temperatura jęj stanie się tak niską jak temperatura przestrzeni w której się obraca. Geniusz Buffon'a przeczuł to. Wszakże przyszłość ta bardzo jest jeszcze odległą, gdyż oziębienie postępuje w niezmiernie małym stosunku, według obliczeń Fourier'a wpływ ciepła wewnętrznego na powierzchnię ziemi wynosi zaledwie $\frac{1}{30}$ stopnia centigradu i potrzeba 30,000 lat aby się zmniejszył do $\frac{1}{60}$ stopnia. Obliczenia i doświadczenia p. Bischof na roztopionym bazalcie pokazują, że ziemia potrzebowalaby 9,000,000 lat do utracenia 15 stopni z dzisiejszej swęj temperatury. Aczkolwiek stygnięcie postępuje zwolna, powiększa się jednak nieustannie, a jakie będą skutki jego, tego nas studia nad księżycem uczą.

Powierzchnia naszego towarzysza nie pokrywa się nigdy chmurami, a sposób w jaki tarcza jego zaciemnia gwiazdy, pokazuje iż jest pozbawionym atmosfery. Poszukiwania astronomiczne zresztą są tak dokładne i drobiazgowę, że gdyby atmosfera księżyca równie rozrzedzoną była, jak powietrze pozostałe w machinie pneumatycznej po wypompowaniu, w takim jeszcze razie byłaby odkrytą przez naszę narzędzia optyczne. Lecz czy ciągle istniał taki stan rzeczy? Nauka nie waha się odpowiedzieć że nie! Niedyś księżyc miał atmosferę a bardzo prawdopodobnie i morza. Jeżeli bytność warstw osadowych dostrzeganych na powierzchni księżyca przez niektórych astronomów, wątpliwości ulega, za to pewnien jest że woda w stanie pary, albo ciała w stanie lotnym, pokazują się tam w pewnych chwilach. Układ prawie zupełnie wulkaniczny księżyca, kształt kraterów, nadzwyczajne rozmiary niektórych wulkanów, dowodzą że powierzchnia jego niejednokrotnie wzruszaną była przez wybuchy.

Przyjmując hipotezę Laplace'a i przypuszczając tenże sam początek we wszystkich gwiazdach systematu słonecznego, wnioskować możemy że każda z nich raz oderwana od masy pierwotnej, stygnąc poczęła z prędkością tém większą, im mniejszą stanowiła objętość, im więcej rozrzucala światła i ciepła przez promieniowanie, i wreszcie im w większej odległości znajdowała się od słońca. Księżyc będąc 49 razy mniejszy niż ziemia, ostygł 49 razy prędzej a każdy ze stanów przechodnich oraz geologicznych peryodów trwał 49 razy krócej, aniżeli odpowiednie przeobrażanie się ziemi. Ustalenie księżyca zatem jest nieskończenie więcej posunięte niż naszęj kuli, i być może doszło już do środka. Myśli te po raz pierwszy wypowiedziane przez pana Lecoq uczonego profesora fakultetu nauk ścisłych w Clermont, podniesione zostały i rozwinięte przez pana Seemann.

Roztopione przez ogień skały przechodząc w stan stały w obecności wody, pochłaniają pewną jęj ilość, która wchodzi w związki chemiczne z metalami stanowiącemi składowe ich pierwiastki a większa jeszcze ilość wody absorbowaną jest przez wsią-

kanie i dziurkowatość. Tego nas uczy analiza chemiczna wszystkich skał na ziemi. Nie przytaczając obliczeń szczegółowych, przedstawiamy na objaśnieniu, że trzymając się naszej hipotezy, księżyc już oddawna pochłonąłby swe morza, jeśli objętość ich odpowiednią była objętości wód ziemskich.

Co zaś do atmosfery księżyca, przypuszczając ją również odpowiednią ziemskiej, zapełnia ona niezliczone szpary i szczeliny, które nawskroś poprzerzywały kulę księżycową, i w których trzymaną jest przez siłę ciężkości.

Wiadomo że wszystkie ciała, za wychodzeniem z nich ciepła zmniejszają swoją objętość. Szczególniej zaś metale roztopione w wielkich ilościach, przez stygnięcie przechodząc ze stanu płynnego w stały, przedstawiają na powierzchni chropowatości i pęknięcia powstałe w skutek kurczenia się tych metali. Dlaczegożby więc skały księżycowe wyjęte były z pod ogólnych praw fizycznych? Bezpośrednie obserwacje potwierdzają wnioski teoretyczne: na powierzchni księżyca rozeznano pęknięcia i rozpadliny, w skutek wystygnięcia powstałe, a nadto rozmiary tak obliczono. I tak długość ich wynosi od 20 do 250 kilometrów, największa szerokość przechodzi 1,500 metrów, głębokość tylko nam nieznaną. Na widzialnej dla nas połowie księżyca odkryto więcej niż 50 takich rozpadlin (rañures, Falz) krzyżujących się w różnych kierunkach i przerzynających nieraz otwory gór wulkanicznych. co jest widocznym dowodem, że są wcześniejsze od tych ostatnich. Kula księżycowa podobna do wyschniętej i popękanej kuli glinianej, przepętliona rozpadlinami, pozbawiona atmosfery i mórz, stanowi gwiazdę umarłą. Przerażające zimna i straszliwe upały następując po sobie bez żadnych przejść, — oddawna zabiły tam życie organiczne i rozpostarły posępne milczenie śmierci.

Powróćmy teraz na ziemię.

Ziemia będąc znacznie większą od księżyca, daleko wolniej doznaje skutków stygnięcia. Widzieliśmy że skorupa stała, stosunkowo do ogółu ziemskiej materji, jest jeszcze słabą niezmiernie; przyjdzie wszakże czas że powtórzą się na niej zjawiska, jakie już odbyły się na księżycu. Szczęściem dla nas, chwila ta jeszcze nieskończenie jest odległą, i nietylko my, ale i pra-prawnuki nasze spokojnie zasypiać mogą, nie obawiając się tyle razy przez nowożytnych astrologów przepowiadanego końca świata. Stygnięcie ziemi dla niezmierniej jeszcze liczby pokoleń, jest równie nieszkodliwe, jak uderzenie ogona komety. Gdy jednak znaczenie ziemi, z wielu bardzo słusznych względów, daleko więcej nas obchodzi aniżeli wszystkich na świecie księżyców, przytoczmy na zakończenie kilka wyrachowań.

W miarę jak powstawać będą coraz nowe pokłady krystaliczne skutkiem stygnięcia pirosfery. — wody i morza, jak to już mówiliśmy odnośnie do księżyca, pochłonięte zostaną przez tworzenie się związków chemicznych i przez wsiąkanie, na mocy fizycznych praw dziurkowatości i kapilarności. Doświadczenia p. Du-

rocher czynione na roztopionych feldspatach, będących główną podstawą wszystkich skał ogniowego pochodzenia, przy stygnięciu okazują pochłanianie wody od 0,0041 aż do 0,0269 swego ciężaru. Wypadkowa średnia dochodzona na 30 pierwiastkach metalicznych wynosi 0,0127. Doświadczenia Thurmana na 28 gatunkach skał, okazały stosunek absorbowania wody przez wsiąkanie od 0 do 30 na 100.

Wiemy już że oznaczając ciężar kuli ziemskiej przez 100, ciężar pokładów stałych i pozostających w stanie roztopienia, wynosić będzie 99,9958, wód zaś w ogólnej massie 0,0042. Owóż gdyby wody wsiąknięte zostały zarówno przez całą masę materji ziemskiej, przypuszczając ją wystygłą aż do środka, wówczas stopień absorbcyi wody nie wynosiłby jak 0,000042. Ztąd wynika że feldspaty najmniej absorbujące, zdolne byłyby spotrzebować 100 razy więcej wody, aniżeli by jęj zawierała każda cząstka ziemskiej materji. Przyjmując zaś za średnią cyfrę, dla oznaczenia zdolności pochłaniania wody przez pokłady krystaliczne, tylko $\frac{1}{2}$ na 100 (znacznie niższą od rzeczywistości) to warstwy krystaliczne powstać mające w przyszłości, byłyby zdolne zabsorbować 50 oceanów. W obliczeniach tych zwrócić uwagę należy jeszcze, że związki chemiczne wody bezwątpienia przeważnie wpłyną, na przyspieszenie ostatecznego rozwiązania.

Obliczono że wyschnięcie zupełnie wszystkich mórz, nastąpi nierównie wcześniej, aniżeli ostygnięcie dojdzie do środka ziemi. Cała warstwa już ostygła, przesiąkła jest wodą aż do znacznej głębokości, jak o tém przekonywamy się z niezliczonych zalewów w kopalniach tak niebezpiecznych dla górników, a które dzisiaj niezmiernie żywo nas obchodzą, bo nam grożą utratą salin w Wieliczce. Skorupa ziemską jest pewnym rodzajem masy dziurkowatej, w którą woda wciska się tysiącem otworów, zajmując głębiny i krocząc z wolna lecz nieustannie ku środkowi ziemi, w miarę jak dziedzina ognia się zwięża. Antagonizm dwóch żywiołów który się począł na powierzchni ziemi nie ustaje we wnętrzu, a jak dawniej tak i w przyszłości woda przemoże swego przeciwnika. Biorąc na uwagę zjawiska o których dopiero co mówiliśmy, wielu geologów sądzi, że ocean pierwotny zmniejszył się już o $\frac{1}{50}$ część swęj objętości, i że wszystkie wody znikną, wprzód nim skorupa stała dojdzie 150 kilometrów grubości.

Widoczném jest że zniknięcie atmosfery nastąpi nierównie później, nie pozostaje nam jak tylko okazać, że rozpadlity ziemskie jakie powstaną gdy przemiana materji znacznie już będzie posunięta, aż nadto wystarczą na jęj pomieszczenie. Ciśnienie barometru pokazuje nam, że atmosfera posiadając gęstość tęż samą wszędzie co na powierzchni mórz, nie wznosiłaby się wyżej nad 8 kilom. Objętość jęj wynosiłaby w takim razie 4,000,000 myriametrów kubicznych. Gdy zaś według obliczeń objętość ziemi wynosi 1083 milionów myriametrów kubicznych, zatem utworzenie się próżni tylko, na 0,004 objętości ziemi, byłoby dostateczném do pochłonięcia

wszystkiego powietrza otaczającego naszą planetę. Otóż kurczenie się skał jest nieskończenie wyższe, gdyż doświadczenia pp. Delesse i Ch. Deville, przekonywają że przy samej krystalizacji skał roztopionych, zmniejszanie się ich objętości wynosi 0,1. Przedstawiliśmy tylko jedną stronę tej kwestyi, bo nie jest nam wiadomo, czyli były już robione obliczenia prawdopodobieństwa obszerności rozpadlin, które się otworzą w ziemi w skutek jej ostygnięcia.

Gdy nasza planeta przez utratę mórz i atmosfery, przejdzie w stan księżyca, życie powoli zniknie z jej powierzchni. Ciepło słoneczne nie wstrzymywane już przez powietrzną zasłonę, bez przeszkód promieniować będzie w przestwory. Zimne jak lód noce następować będą po dziennem wystawieniu na słoneczny żar. Ziemia stanie się gwiazdą umarłą, jednak zawsze za sobą ciągnąć będzie innego trupa i z nim razem zakreślać swe wieczne elipsy. Lecz i słońce ostygnie, zciemni się i zgaśnie. A potem..... co stanie się z tyloma trupami? nauka milczy, a my kończym gawędę.

Stanisław Kaczkowski.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„L'Académie des Sciences et les Academiciens, de 1666 à 1793” tom jeden, przez Józefa Bertrand członka Instytutu.—Prelekcya Guizota syna we Francuzkiem Kollegium.—„Arnauld di Brescia” rozbiór krytyczny profesora Mezières. — „On Papal Conclaves” napisał Anglik Cartwright, na francuzkie przełożył Scherer.—„Przechodzień” komedya wierszem przez p. Coppès.—Wiadomości literackie.—S p. Lamartine.

Członek instytutu Józef Bertrand wydał książkę daleko więcej zajmującą, niżby to z tytułu wnosić można: „Akademia nauk i akademicy, od 1666 do 1793 r.” Nic suchszego napozór jak kompania sawantów: katalog nazwisk, spis prac, słowem szkielet nauki, biografia bez szczegółów które są jej powabem. A jednak, pan Bertrand z tego przedmiotu złożył tom ciekawy, nawet zabawny. Nauka oczywiście zajmuje w nim pierwsze miejsce.

Akademia Nauk (jedna z pięciu gałęzi Instytutu Francuzkiego) założona została w r. 1666. Minister Colbert zaproponował ten zakład królowi. Początkowo, uczone grono miało się zajmować całą wiedzą ludzką: studia historyczne i literackie, nauki ścisłe i przyrodzone, wszystko to wchodziło w jej zakres. Tym sposobem stawała się współzawodniczką Akademii Francuzkiej i Akademii Napisów. Te, poszły do króla na skargę, skutkiem czego sprowadzono ich młodszą siostrę do roli którą dotąd odgrywa. (Instytut Francuzki składa się z pięciu akademij: Akademia Francuzka, najwyższa instancya piśmiennictwa; Akademia Nauk społecznych; Akademia Napisów; Akademia Sztuk Pięknych i Akademia Nauk).

Początkowo Akademia Nauk, składała się z szesnastu członków. Akademicy mieli pensye i fundusze na doświadczenia. Zakład stracił wiele przechodząc z pod zarządu Colberta w zarząd ministra Louvois, który mało się nią zajmował. Louvois rozróżniał poszukiwania ciekawe od użytecznych i ograniczał prace

akademii do tych ostatnich. Poszukiwania użyteczne były te które miały styczność z usługą dla króla i państwa. Prawda że Louvois obszerne tę służbę pojmował. I tak np. kazał akademii robić rozbiór herbaty, kawy, czekolady, chcąc wiedzieć czem najlepšíj żywicie króla i jego poddanych.

Trzecim patronem akademii był książdz Bignon. Ten widząc że uczona kompania mdleje brakiem powietrza, dał jej lepsze przepisy: powiększył liczbę członków i obiór ich zostawił akademii, nadto umieścił ją w Luwrze. Prace osobiste zastąpiły poszukiwania czynione wspólnie. Jednak uczęszczanie na posiedzenia było obowiązkowe, każdy członek musiał w nich brać udział, albo mówić, albo czytać, inaczej, prezes dawał nagane; opieszalnych pozbawiał części ich praw akademickich, a niepoprawnych wykluczał. Wypędzono wtedy nie jednego próżniaka.

Akademia miała jeszcze inne prawa nad swojemi członkami: żaden bez jej pozwolenia nie mógł położyć godności akademika na tytule dzieła; miarkowała zbyt żywe polemiki. Kiedy astronom Lefevre gwałtownie zaatakował dwóch kolegów, musiał ich publicznie przeprosić. Dziwna rzecz, jak sawanty po wszystkie czasy skłonni są do obelg i kłótni. W akademii za Colberga, doktorzy z chirurgami w ciągłej byli wojnie: jedni drugich znosić nie mogli, rzucali się na siebie jak koguty... akademica ustawicznie musiała interweniować w ich zwady i przywoływać do porządku, bez czego te dwie klasy lekarzy byłyby się zagryzły.

Prace akademickie stanowiło rozwiązywanie kwestyi naukowych, wyrokowanie o wynalazkach i rozdawanie nagród. W programie istniejącym do dziś dnia, minister zaleca uczonym żeby robili jak najwięcej obserwacyi. „To jedyny środek dojścia do świadomości przyczyn wszystkiego co widzimy w naturze, jedyny sposób dowiedzenia się co to jest ciężkość, zimno, gorąco, siła magnesu, światło, kolor; z czego się składa powietrze, woda, ogień i wszystkie inne ciała; na co służy oddychanie zwierząt, jakim sposobem rosną kruszce, kamienie i trawa, akademica powinna badać te wszystkie rzeczy o których prawie nic nie wiemy, chociaż tak są ważne.”

Pole było rozległe. Trudno dziś wyobrazić sobie epokę w której jeszcze wszystko jest do zrobienia, kiedy brakiem metody ścisłej, wyobraźnia każdego kłusuje dowolnie.

Pomiędzy pierwszymi członkami Akademii Nauk, znajdował się doktor króla, Delachambre, który także był członkiem Akademii Francuzkiej, a który wszelkie godności otrzymał z powodu dzieła pod tytułem: „*Nowelles conjectures sur la Cause de la lumiere, sur les débordements du Nil et sur l'amour d'inclination.*” Warto odczytać te wnioski doktora, żeby przy świetle dzisiejszej nauki obaczyć, jak śmiesznie mylą się uczeni.

Akademia niedługo z koła swoich rozpraw wykluczyła problemat kwadratury koła i poszukiwanie wiecznego ruchu. Nie

zniechęciła jednak przez to dociekaczy, tém mniej, ze chęć zysku łączyła się tu z powabem zwyciężania trudności. Rząd ówczesny, wyznaczył znaczne summy za rozwiązanie kwadratury koła. Szczęśliwy wynalazca mógł odrazu posiadać sławę i fortunę. Wynalazców bywało też mnóstwo. Jeden z nich, przed parlamentem zarzucił d'Alembertowi: „że odmawiając przejrzeć jego *rozwiązanie*, ukradł mu nagrodę 150,000, franków które obiecał rząd, a on zasłużył.”

Akademia nauk orzekała nie tylko w przedstawionych sobie kwestyach, ale także w odkryciach które jej przedłożono... Wynalazków było wtedy daleko więcej niż dzisiaj, bo wynalazki były urojone: ktoś, naprzykład, ofiaruje wyciągnąć sól z morza; inny obiecuje dawać siłę bez konsumowania takowej. Trzeci, przynosi model armaty mającej wyrzucać kule z podwójną szybkością. Jakim sposobem? Zwykły nabój miała zastąpić druga armata mała, która wystrzelona, byłaby z kolei swoją kulę wypuściła, tym sposobem nadając jej zarazem własną szybkość i tę która pochodziła z działania prochu. Chassepoty i Remingtony za boki się trzymają czytając o takich wynalazkach... a wszystkie były takie praktyczne jak ta armata. Whiston który po Newtonie objął katedrę matematyki na uniwersytecie Cambridge, zaproponował ułatwienia rozwiązania problemu długości geograficznej przez danie dokładnej godziny okrętom na morzu. Żąda on, żeby na drodze którą chodzą statki, postawić szereg okrętów przytwierdzonych kotwicą na oznaczonych miejscach; byłby to rodzaj wysp pływających. Na każdej z nich, o samej północy wedle londyńskiego zegaru, wypuszczonoby racę, która pękając na wysokości sześciu tysięcy stóp, wskazałaby dokładną godzinę i słyszeć, by ją dała na kilkaset mil w około.

Akademia częściej zniechęcała niż zachęcała wynalazców. Jednogodnie potępiła, a nawet wyśmiała, konduktory. Trzeba czytać jak drwiącym tonem ksiądz Nollet mówi o niejakiem Benjaminie Franklin, zamieszkującym w Pensylwanii. „Niektórzy wierzą, powiada, że pioruny niebios będą odtąd w mocy człowieka: żeby się uchronić od gromu, dość teraz postawić dzidę na dachu. Ktoś zapewniał bez śmiechu, że podróżny w szczerem polu uchroni się od pioruna jeżeli chmurze pałasz przeciwstawi... Bezbronni słudzy kościoła uczuli się przez to pokrzywdzeni, ale im pokazano w książce pana Franklina która jest dzisiejszą ewangelią, zapewnienie, iż ten sam skutek sprawi mocne zmaczanie odzieży, o co podczas burzy nie trudno.”

Dodać trzeba, że to było pisane w 1752 r. i że Akademia Nauk wkrótce potem ustąpiła, przyjęła nawet Franklina w grono swoich zagranicznych współpracowników.

Początkowo, Akademia wiele zajmowała się doświadczeniami: dystylowała rośliny celem zbadania źródła różnaitości ich pierwiastków; dystylowała ropuchy; próbowała dolewania krwi.

Anglicy wtedy zuchwale zastępowali krew chorego człowieka krwią zdrowego i silnego zwierzęcia, mając nadzieję tym sposobem zmienić nie tylko zdrowie, ale charakter pacyenta. Mniemali, że krew lwa zapali największego tchórza, da jemu szlachetną duszę i niezwykłe waleczność. Pewnego razu uczeni londyńscy chcąc wyleczyć waryata, wytoczyli zeń krew, a nalali natomiast krwi silnego i zdrowego na umyśle człowieka. Atoli chory przeto nie odzyskał zmysłów, wyjąwszy może na jednym punkcie: biegał po ulicach Londynu opowiadając, że jest męczennikiem Towarzystwa Królewskiego.

Akademicy francuzcy grzeczniejsi, operowali tylko na psach. Próby nie były szczęśliwe: zwierzę które dało swoją krew, powoli powracało do zdrowia: ale to któremu cudzej krwi nalano, chorowało i zdychało na krótkim czasie. Parlament uwiadomiony o takich wynikach doświadczeń, umyślnym dekretem zabronił uczonym nie potrzebnego i szkodliwego przelewania krwi.

Akademia miała swój stół do dyssekcji: dyssekowała lisy, borsuki, salamandry, kameleony, gazelle, dziki, niedźwiedzie, jeże, bociany, gęsi, tygrycy i dromadera. Raz, rozbierała ciało straconej kobiety. Najpamiętniejszą była dyssekcya słonia z menażery wersalskiej: dokonano jej tamże w obec króla. Ludwik XIV sty się spóźnił, wszedł niespodzianie, a nie widząc anatoma, spytał gdzie jest? Wtedy Duvernay ukazał głowę z wnętrzości zwierza i nie wychodząc z kadłuba, z tamtąd miał prelekcją przepłatana przyjaznemi monarsze komplementami.

Radzono się czasami akademii w przedmiocie projektów dotyczących użyteczności powszechniej, jak kanały, tamy, przewiewanie budynków. Do niej udał się rząd w końcu ubiegłego stulecia, kiedy przedsięwziął reorganizacyą szpitali paryzkich. Darownie ówczesny zarząd Hôtel-Dieu tamował poszukiwania wyznaczonej komisji: przejrzała wszystko, a raport jej odkrył rzeczy, któremu trudno dzisiaj uwierzyć. Po sześciu chorych leżało w jednym łóżku, choroby zaraźliwe mieszano z niezaraźliwemi, żywi pozostawali pomiędzy umarłymi. Krzyki waryatów rozlegały się w sali operacyi, a jęki operowanych słychać było tam gdzie leżeli skazani pod nóż chirurga. Dzięki właniu się akademii, dawno położono koniec temu ohydnyemu nieładowi. Dzisiaj Hôtel-Dieu jest wzorem szpitali.

Rewolucya wielka zniosła akademią jako zakład pozostały po monarchii. Początkowo jednak, żądała od niej usług. Poruczono akademii oznaczenie nowych miar; radzono jej się o przedmiocie kalendarza republikańskiego i wynalazków wojennych. Jednak, nie ocaliły jej oddane rzeczypospolitej usługi. Dlatego, że chociaż oddała swój majątek narodowi, nie wykreśliła ze swego grona członków którzy emigrowali. W 1793 roku, otrzymała rozkaz rozwiązania się. Dozwolono członkom zgromadzić się celem obradowania nad przedmiotami które im mogła prze-

dłóżyć konwencya, ale akademia przestała być ciałem. Zawierucha polityczna i tam doleciała. Dwóch uczonych Haüg i Desmarests, cudem unikli rzezi wrześnieowych. Bocharde de Saron był prezes parlamentu, ostatnie dni życia w więzieniu spędził na obrachunku jądra komety. Lavoisier na rusztowanie poniósł jedną z tych głów, na które, jak powiada Lagrange, natura zdobywa się za ledwie raz w kilka wieków.

Berthollet republikaniu, sam jeden z akademików posiadał zaufanie komitetu zbawienia publicznego, a i ten ciężkie przeżył próby. Pewnego razu, w beczce wódki przeznaczonej dla wojska, znaleziono czarny osad... Trucizna! krzyknęli dozorecy i poaresztowali dostawców. Berthollet któremu powierzono rozbiór płynu, oświadczył, że wódka czysta... „Czysta! zawołał Robespierre, jak śmiesz utrzymywać, że w niej niema trucizny?” Za całą odpowiedź uczoney nalał szklankę podejrzanej wódki i wypił duszkiem. „Odważnys!” rzekł Robespierre i kazał wypuścić dostawców którzy już tylko pod gilotynę wyjść się spodziewali.

Akademia, powiada w końcu pan Bertrand, odrodziła się pod inném nazwiskiem: z dawnych jej członków utworzono pierwszą klasę Instytutu. Kiedy 23 maja 1796 zrestaurowane grono zebrało się poraz pierwszy i zaproponowało uczonym przedmiot do nagrody, powtórzył po prostu ostatni program Akademii Nauk, chcąc przez to okazać, że przyjmując cały jej spadek, zachowuje wszystkie jej tradycye.

Słyszeliśmy w tym tygodniu wykład Guizota syna we Francuzkiem Kollegium. Mówi on tam co srode o poezyi francuzkiej i poetach społeczesnych. Na kursach jego bywa mnóstwo osób: wieniec kobiet otacza katedrę; na gradusach tłum mężczyzn młodych i starych; po prawej i lewej stronie mównicy są małe łozę, gdzie siaduje rodzina i najbliżsi przyjaciele professora. W jednej z tych łóz widać poważną głowę ojca: skoro wchodzi, przyjmują go rzesistymi oklaskami.

Sale we Francuzkiem Kollegium mają w sobie coś surowego, imponującego... Czy to wrażenie sprawia nagość murów, czy majestat wspomnień... jedno i drugie zapewne, dość że tu wchodząc, porzucasz błache myśli i przypominasz sławny frazes: „Panowie! nie zeszlśmy się tu dla zabawy.”

Mówca musi więc dostroić swój wykład do tonu słuchaczy, do powagi miejsca gdzie głos zabiera. W sali wykładów przy bulwarze kapucyńskim, można sobie pozwolić rozmaitych licencyj, które nie uchodzą w świątyni wysokich nauk. Tam publiczność żąda od mowców rozrywki, tutaj światła.

Pan Wilhelm Guizot przypomina ojca i postać i sposobem wykładu: panuje on nad sobą, mówi chłodno, ale jasno, poważnie,

dobranymi wyrazami. Widać że nie recytuje wyuczonej lekcji; prelekcya jego jest improwizacyą, trudniejszą od innych, gdyż wyrażającą pojęcia osobiste i stroniącą od oklepanek. Młody professor byłby zapewne powabniejszy gdyby czasami dał się porwać wzruszeniu; ale to mu się nie zdarza, gdyż systematycznie wystrzega się zapалу, a ilekroć poczuje rozczulenie, ucina mowę. W całym jego wykładzie jest ciepło ciemne, nigdzie ani płomień ani iskra nie błyska. Kurs zajmuje od początku do końca, ale nigdy nie porwie.

Tym razem kiedyśmy go słyszeli, Guizot mówił o Andrzeju Chenier. Zaczął od obrazu owego przeobrażenia literackiego, którego wodzem był Chateaubriand: mówił, że te nowe wpływy idące do Francji z Anglii i Niemiec, musiały natchnąć zwrot do wielkich tradycyi klasycznych, którymi tak długo żyła poezya francuzka. Zanim Guizot doszedł do Chenier'a, zrobił przegląd ludzi którzy *byli mogli* być w owych czasach promotorami koniecznej reakcy; wymienił wielu, zdolnym na wodza wydał mu się Fontanes, Delavigne, Beranger, a nawet Paweł Ludwik Courrier, którego nie spodziewaliśmy się zobaczyć w tej kompanii rymotwórców.

Cała ta pierwsza część lekcji wydała nam się przydługa: nie było główny przedmiot; mówca równie jak słuchacz powinien się doń śpieszyć... a jednak, ilez dygnestyi na tej drodze wcale nie prostej.

Po pół godzianém krążeniu, mówca doszedł nareszcie do swojego przedmiotu. Pokazał najpierw rodzinę Andrzeja Chenier i rozmaite wpływy które jego talent ukształtowały; pokazał go od lat najmłodszych przejętego duchem greckim, posiadającego przedziwne poczucie miary. Na dowód przytoczył następującą anegdotę.

Malarz David zrobił szkic obrazu mającego przedstawić śmierć Sokratesa: filozof z czarą trucizny w rękę, gestykulując rozprawiał z przyjaciółmi. Andrzej młodzieuchny w ówczas chłopiec, skrytykował surowo układ taki — powiedział że jest pretensjonalny, wcale nie starożytny ani filozoficzny — że Sokrates niby chciał się z tej czary, co ubliża i jego surowej enocie i greckiej prostocie. David skorzystał z uwagi — zmazał co było, a odmalował Sokratesa wśród uczni z pogodną twarzą i stoickim spokojem postaci; obok niego postawił stróża więziennego, z czarą trucizny,

Pan Guizot bardzo trafnie mówił o poetycznym geniuszu Andrzeja Chenier. Powiedział że lutnia jego miała strun wiele — a on na wszystkich grał biegłe. Charakterystyka dzieła Cheniera skreślona przez Guizota, przypomniała nam ocenę Juliusza poetycznej służby, podaną przez jednego z najzdolniejszych jego krytyków, który powiada że ani Adam, ani Zygmunt, ani Bohdan

ani sam Jan Kochanowski nie mieli jak Juliusz w jednej lirze języków wszystkich wieków, wszystkich płci — od języka Bogarodzicy, do pamfletu, od rycerskiego słowa do dziewczyny, dźwięk słowicy mającej w swym akcencie.

Guizot mówił, że Chenier w poezyi francuzkiej stworzył typy niewieście i za wielką mu to poczytał chlubę, co nam przypomniało znowu trafne spostrzeżenie naszego krytyka, że poezya polska typu niewiasty polskiej prawie nie wydała. Malczeskiego Marya — to raczej krzyk kobiety, która ani kochanką ani żoną rozwinać się nie może, — mogła być wszystkim, wszelako zduszona jest w chwili upostaciowania swojego. Mickiewicz lepiej i dyplomatyczniej się wywiązał z tego zadania: on Grażynę swoją hełmem przykrył i tak dosadnie, że niewiesz do końca, czy to mąż jest, czy niewiasta? Aldonę u wieży schował i nieprzejrzany murem przed oczyma samego męża ją osłonił. Telimeny za typ polskiej niewiasty brać nie można, a Zosia jest jeszcze małoletnia. Chraktery niewiast Zygmunta, są to notaty na marginesie jego poematów. Juliusza Balladyna jest uosobieniem pewnego wysnówania ballad gminnych wynikiem; Lilla Weneda legiendowym obrazem, albo jedną z tych architektonicznych masek podpierających gżemsy, masek, których czoła wzierają, ale których szyja, pierś i ciało, w płaskości ściany przepada. Jednym słowem, poezya nasza pod tym względem podobna do okrętu Lambry, który rozstrzeliwać kazał żeglarzy swoich skoro się w kobiecie pokochali.

Ale wróćmy do poezyi francuzkiej i Cheniera który jest jedynym z jej najsmuklejszych filarów. Guizot chwalił mianowicie dziewicze tony jego lutni; odczytał parę ustępów z nieśmiertelnej jego sielanki: „ślepy”. Ztąd przeszedł do innego przedmiotu, który żywo zaciekawił słuchaczy. Rodzina Andrzeja Chenier posiada jeszcze wiele rękopisów jego, które wydać zamierza wkrótce: edycya już się przysposabia u księgarza Dentu. Będzie to drugi tom fragmentów. Pan Guizot go przeglądał i zaręcza iż w niczem nie ustępuje tym poezjom które Francuzi umieją już na pamięć. Pierwszy wydawca Henryk Delatouche, wydrukował tylko połowę rękopisów w 1819 roku, obawiając się *znużyć* tą nową poezją nie przysposobioną do niej publiczność. W roku 1869, te wiersze będą niewątpliwie przyjęte z zapalem.

Andrzej Chenier pracował ogromnie, a jako pisarz płodny próbował wszelkich rodzajów. Mnogość prób jego bajeczna! Z fragmentu umieszczonego w jego pierwszym tomie, wiemy iż zamierzał napisać pod tytułem *Hermes*, rodzaj encyklopedyi wszystkich nauk nowoczesnych. Zostaje z tej pracy kilka wykończonych rozdziałów; inne tylko naszkicowane. Chenier pracował szczególniejszym sposobem. Pisał najpierw prozą dla sformułowania swoich myśli; rozmachana ręka, jeżeli tak się wyrazić wolno, wprowadzała w ruch jego wyobraźnię; proza szykowała się sama w wiersze ale bez rymów. W końcu, rym jawił się, także sam,

i wiersze występowały w pełnym splendorze... poczwarka stawała się motylem. Professor dał kilka przykładów tej ciekawej metody, ale trudno je powtórzyć w polskim przekładzie.

Chenier z Wolteryńską namiętnością pobijał przesady. W jego tece zostało wiele tego rodzaju utworów: napisał dwie satyry na szarlatanów takich jak Swedenberg i Cagliostro. Zdaje się że marzył także o sławie teatralnej. Uwielbiał Aristofanesa i sądził że można wskrzesić jego rodzaj komedii wolnej, śmiałej i fantastycznej. Wolter drasnął mimochodem Arystofanesa; w nowym tomie poezyi będzie odpowiedź Andrzeja na ten wybryk filozofa. Śliczny ten utwór, poeta kończy tem zdaniem, że Wolter sam siebie spoliczkował na policzku Arystofanesa.

Starożytna tragedia także wabiła Chenier'a. Zestawił scenario pod tytułem „*Massacre d' Antioche*”. Główną scenę stanowi tam widzenie się Teodozjusza ze świętym Ambrozym.

Poemat na odkrycie Ameryki, sztuka kochania, Hymny patriotyczne, satyra ówczesnej literatury, ułamki wszelkiego rodzaju, zakończają ten tom obiecany. Najwięcej zapewne z wszystkich podoba się wiersz który Chenier pisał w więzieniu, na wąskich skrawkach papieru i przesyłał rodzinie w bieliźnie dawaną do prania. Rodzina zachowuje religijnie ten rękopis. Są tam strofy precudne, te mianowicie, gdzie się oburza na obojętność współwieźni; maluje ich, jak słuchają apelu stróża wołającego na śmierć i odchodzą szczęśliwi że nie są w rzędzie ofiar. „*Ce sera toi demain, in sensible imbécile!*” woła poeta.

Znany tom poezyi Cheniera kończy się wyrażeniem myśli czarnej, grobowej... Może zanim minuta upłynie, pisze wieszcz, przyjdzie na mnie kolej iść pod gilotynę:

„Peut-être le geôlier, noir recruteur des ombres,

„Escorté d' infâmes soldats,

„Remplira de mon nom ces longs corridors sombres”.....

Strofa w tem miejscu ucięta; przedostatni wiersz niema rymu. To zawieszenie ogromny efekt czyni... otwiera wyobraźni perspektywę krwawą, co dreszczem przejmuje i lodem ścina. Onato dała powodzenie tej Stancy. Woryginalie wiersz ten istnieje. Odjął go wydawca Delatouche. Oszustwo literackie okazało się bardzo korzystne. Teraz, w drugim tomie, można już śmierć wytrącającą pióro poecie, usunąć, i wyznać prozaicznie, że pomimo przecucia, nie przerwała mu pisanja.

W końcu prelekcji, pan Guizot prosił słuchaczy żeby wraz z nim dopominali się od pana Denta rychłego wydania zapowiedzianej edycji poezyi Andrzeja Chenier, które będą dyamentem literackim tego roku Pańskiego 1869.

Professor literatury zagranicznej pan Mezieres wydał zbiór krytyczny dwóch dzieł wydanych zeszłego roku w Paryżu, o sławnym agitatorze Arnoldzie z Brescia. Pierwsze pan Guibal napisał pod tytułem: „*Arnauld de Brescia et les Hohenstaufen*” drugie pan Cavel ogłosił pod napisem: „*Arnauld de Brescia et les Romains du douzième siècle.*” To ostatnie studjum kosztujące kilkanaście lat pracy, autor przedstawił w kształcie tezy wydziałowi literackiemu paryżkiemu.

Obaj powyżsi autorowie sumienni i pracowici, przerzuciwszy wszystkie papiery odnoszące się do swojego przedmiotu, nie byli szczęśliwsi od doktora Gregoroviusa: poszukiwania do téj jedynie doprowadziły ich pewności, że trzeba poprzestać na bardzo niepewnej znajomości życia i doktryny człowieka, po którym nie zostało żadne pisane dzieło, którego sądzić trzeba jedynie z nielicznych świadectw jego przeciwników. Trzy listy św. Bernarda, kilka kartek Otona z Freysyngen: oto jedyne dokumenta których mogą się radzić historycy Arnolda. Jeżeli kto, to ten reformator może powiedzieć z poetą: „Nie po mnie, nie, tylko imię *On*, a tém imieniem piastunki na niesforne dzieci będą swarzyć” i t. d. Po Arnoldzie pozostało tylko imię przekazane naszéj epoce przez nienawiść jednych, a miłość drugich. Potępiający go kościoł, wielbiąca go Italia, znają go tylko z tradycyi. Biografia jego mieści się w kilkunastu wierszach.

Arnold urodził się w Brescia, w końcu XI wieku, do Paryża przybył pomiędzy 1115 a 1119, i na uniwersytecie słuchał wykładów Abelarda. Ztąd wróciwszy do Włoch, wygłaszał tam pojęcia potępione przez biskupa Brescia, na żądanie którego papież zabronił Arnoldowi miewania kazań. Arnold wygnany z rodzinnego miasta, schronił się do Zürich, zkąd poszedł połączyć się z Abelardem na koncylium w Sens. Potém podzielał potępienie swojego mistrza i wrócił do Szwajcaryi. Dowiedziawszy się iż Rzymianie podnieśli rokosz przeciw władzy papieżkiej w 1143 r., udał się w roku 1146 do wiecznego miasta i tam starał się uorganizować rząd republikański. W 1155 r. wydany papieżowi Adryanowi IV przez baronów rzymskiej Campanii, skutkiem nalegań cesarza Fryderyka Barberussa, został powieszony, ciało jego spalone, a popioły utopione w Tybrze.

Ot i całe o nim wiadomości.

Jaka doktryna, jakie pojęcia religijne lub polityczne narażyły Arnolda na potępienie, wygnanie i szubienicę? Zgadują, ale nie wiedzą. Nie wiadomo nawet czy był duchownym, czy ubiór zakonny który nosił, należał do jakiego zakonu, czy też świadczył że był *lektorem*. Żaden klasztor nigdy się o niego nie upominał. Wolny wykład jaki mu przypisują, dowodziłby raczej że nie podlegał żadnej władzy duchowej.

Obawa jego wymowy świadczy, iż wywierał na lud wpływ ogromny i że ten wpływ niepokoił kościoł. Dwór rzymski mia-

nowicie mówić mu nie pozwalał. Pierwszy raz na koncylium Laterańskim papież Innocenty II skazał go na milczenie; później tenże sam papież nakazał arcybiskupom Reims i Sens, żeby zamknęli Arnolda w klasztorze. Następca Innocentego IIgo, Eugeniusz IIIci surowo nakazuje duchownym żeby Arnolda unikali i odrzucali jego pojęcia pod karą wykluczenia z kościoła. Nakoniec św. Bernard, stróż wiary, przewodnik duchowy całego chrześcijaństwa, ścigał go bezustanku i wskazywał wiernym jako „nieprzyjaciela krzyża.” Bernard także radzi go zamknąć w więzieniu i trzymać do końca życia pod kluczem.

Jakie były powody tych prześladowań? Jakiej herezyi nauczał Arnold? Jaki jest ten dogmat szkodliwy, który mu zakazało propagować koncylium Laterańskie? Dlaczego Eugeniusz III zowie go głównym narzędziem nieprzyjaciela rodu ludzkiego? Wszystkie te pytania zadaje daremnie biografom Arnolda pan Mezières. Oczywiście, każdyby to rad wiedzieć, ale nie ma sposobu.

W braku dokumentów, są domysły.

Wedle wniosków francuzkich biografów Arnolda, chociaż ten był uczniem najśmielszego filozofa XII wieku, nie poruszał jednak w swoich mowach żadnych kwestyi teologicznych, nie chciał przemieniać dogmatów. Tylko jak sam św. Bernard, jak św. Katarzyna i wielu innych chrześcijan szanowanych przez kościół, wytykał zepsucie obyczajów duchowieństwa i domagał się w tym względzie reformy. Gdyby był się tylko ograniczył na żądaniu tego, nie byłby na się ściągnął burzy. Gwałtownie na niemoralność duchownych powstawało wielu świętych mężów, najwięcej chrześcijańscy poeci, jak Dante i Petrarca, bezkarnie potępiali skazenie sług bożych, nie prześladował ich za to kościół; ale nigdy nie pozwolił przechodzić od słów do czynu, nie pozwalał oskarżycielom reformować wskazane nadużycia.

Arnold wziął się do czynu. Znalazłszy to co mu się wydało być źródłem złego, chciał bez porady kościoła, stosować lekarstwo które za gruntowne uważał. Wedle niego, zepsucie duchowieństwa pochodziło z bogactwa. Ztąd Arnold logicznie wywnioskował, że trzeba duchowieństwo napowrót do ubóstwa zawrócić: odebrać zakonom dobra, biskupom ich znaczenie polityczne, a papieżowi berło.

Zamiar taki Arnold pragnął urzeczywistnić w wiekach średnich, kiedy wszędzie władza polityczna i władza religijna zlewała się w jedną ręce, kiedy kościół nad tén połączeniem pracował.

Reforma tak radykalna, musiała znaleźć echo pomiędzy świeckimi a wywołać protestacye duchownych. Arnold sam dawał przykład ubóstwa i moralności. Sam św. Bernard powiada: „dałby Bóg żeby jego doktryny były tak zdrowe jak jego życie jest surowe.” Takie zachowanie dodawało mu znaczenia u ludu. Mógłże kościół ścierpieć żeby tak przeciw niemu roznamietniano lud? żeby jeden prosty człowiek domagał się jego ogolocenia?

Oczywiście na to przystać nie mógł: milcząc w tym razie, byłby poniekąd zwolnił z przysięgi posłuszeństwa całe niższe duchowieństwo. Papież Eugeniusz IIIci w jednym liście powiada: „Niekörtzy duchowni pragną zniszczyć jedność kościoła; porwani błędnymi doktrynami Arnolda, odmawiają kardynałom i biskupom należnego posłuszeństwa.”

W tym okresie p. Mezières widzi rzeczywiste urazy kościoła do Arnolda. „Te słowa powiada, wskazują dostatecznie za co był potępiony. Na nich opierając się, professor paryzkiego uniwersytetu powstaje na wynoszenie Arnolda do rzędu męczenników, jak to czynią jego biografowie. Nie wie co myślał Arnold o dogmatach, ale to widzi, że chciał zawichrzyć kościół, zrujnować powagę duchowną, pobudzał niższych księży do buntu przeciw wyższym, a ponieważ roznamietniał tłumy, siał wszędzie niezgodę i wojnę. Może zamiary jego były spokojniejsze niż skutki jego przemów. Ale któryż rewolucjonista zna z góry doniosłość rewolucyi którą rozpętuje? Arnold chciał zapewne do końca dzieła pokoju, chciał oczyścić kościół, ale zapalając ogień mający odłączyć złoto od nieczystych kruszców, mógłże być panem płomienia, mógłże zgasić go kiedy chciał? Łatwiej rozbudzić namietności niż je powstrzymać. Dawno prawdę tę uplastycznił Goethe w swojej przypowieści o *Czarnoksiężniku*.

W Rzymie ogłoszenie rzeczypospolitej poprzedziło przybycie Arnolda. Obecność jego nie położyła końca nieporządkom, przeciwnie, powiększyła zawichrzenie. Arnold podzegał walkę pomiędzy Rzymianami i papieżem, zamykając przed nim bramy Rzymu, broniąc papieżowi wstępu do miasta na czele dwóch tysięcy wieśniaków.

„W gruncie, powiada słusznie Mezières, nie może tu być mowy o katach ani o ofiarach, o prześladowaniach i męczennikach. Nie należy zmieniać rozmiaru rzeczy i używać na próżno wielkich słów. Historia w częściej deklamacyi nieobecna. Arnold i papież walczyli z sobą; Rzym i Kampania rzymska była ich placem boju i nagrodą wygranęj. Papież chciał wejść do odwiecznego miasta, Arnold chciał zeń wygnać papieża. Arnold został zwyciężony i zapłacił przegraną głową. Takie było prawo wojenne w owych czasach. Gdyby stronnicy Arnolda którzy zabijali wiernych w kościołach, byli zwyciężyli, niezawodnie nie byłiby się lepiój obeszliz przeciwnikami.”

Pierwszy to podobno wyrok bezstronny na Arnolda z Bre-scia. Dotąd czytaliśmy jego panegiryki albo potępiania. Zkąd wychodzi sąd sprawiedliwy? Z tegoż uniwersytetu na którym Arnold słuchał wykładu swojego mistrza Abelarda i swoje pojęcia ukształcił.

Pan Cartwright w Edimburgu, wydał ksządkę pod tytułem: „*On Papal Conclaves*” (Obiór papieża) którą zaraz przełożono na

język francuzki, zawiera bowiem szczegółowy opis systemu obiorczego, któremu kościół katolicki swoją głowę zawdzięcza.

Obiór papieża, czyli tak zwane *Conclave* nie zawsze w jednakię odbywał się formie. Niegdyś biskupi rzymscy byli wybierani jak inni, przez kler i lud; ale w miarę wzrostu godności stolicy apostołskiej, wzrastało współzawodnictwo pretendentów: Rzym bywał wydawany na łup wojny domowej przez tych, którzy dobijali się o zaszczyt zostania jego najwyższym pasterzem. Te zawichrzeuia podały myśl odebrania komunie przywileju którego używała, a nadania go wyłącznie ciału wysokich dostojników. Tak zadekretował Mikołaj II w 1059 roku. Na przyszłość papieża mieli obierać kardynałowie.

Zaszła zmiana gruntowna.

W sto dwadzieścia lat później Alexander III dopełnił dzieła swojego poprzednika dekretem koncylium, stanowiącém, że większość dwóch trzecich głosów będzie potrzebna do elekcyi papieża. Chodziło o zniweczenie zamachów rozdziału. Przepis ogłoszony przez koncylium Lyońskie w 1274, dopełnił formy obioru papieży. Całe to prawodawstwo było uzupełnione przed końcem XIII wieku, i od owego czasu nie uległo żadnej ważnej zmianie.

Ponieważ obiór papieży poruczony kardynałom, trzeba najpierw wiedzieć co jest kardynał? Powszechnie mniemają że kardynał jest osobą duchowną, że sprawuje urząd religijny; tak nie jest: kardynałat jest dostojenstwem dworu rzymskiego. Tyko, ponieważ ten dwór jest dworem monarchii duchownej, ci co doń należą, muszą się doń stosować, to jest pozostać w stanie bezżennym i nosić ubiór duchowny. Kardynałat nie jest zakonem, ani urzędem w kościele, jak biskupstwo. Kardynał może przestać być kardynałem i ożenić się, jeżeli papież na to pozwoli. Dodajmy, że kardynał świecki nie może zasiadać w konklawie, i że obecnie nie ma żadnego takiego w świętóm kollegium. Pius IX zażądał przed kilką laty, żeby kardynałowie nie będący jeszcze diakrami, zostali nimi. Wtedy kardynał Autonelli wszedł także do zakonu.

Liczba kardynałów oznaczona do siedemdziesięciu; z tych sześciu kardynałów biskupów, pięćdziesięciu kardynałów księży i czternastu kardynałów diakrów.

Z kardynałów składa się rada papieża; oni prezydują w kongregacyach — ale obiór papieża jest ich główném zadaniem. Prawo ich w tym przedmiocie uważane za tak święte, tak obwarowane, że nic nie może przeszkodzić kardynałowi używać tego prawa, nawet interdykt, nawet ekskomunika.

Przejdźmy teraz do obrzędów obioru.

Ze śmiercią papieża zaczyna się bezkrólewie: sekretarz stanu urząd swój składa. Władza wyłączna przechodzi w ręce kardynała kamerlinga: powóz jego eskortują papieskie szwajcary, edykta wychodzą w jego imieniu — na pieniądzach biją jego

herby. Niegdyś opróżnienie tronu apostolskiego stawało się powodem nadużyć. Podczas elekcji Urbana VIII w 1623 roku, wszelkie gwałty krwią zbroczyły ulice Rzymu. Za naszych czasów obiory odbywają się spokojniej. Monsignor Governatore z żandarmami utrzymuje z łatwością spokojność publiczną. Nawet zakłady do których niegdyś dawały pole obiory, znikły, ustępując miejsca niewinnej kombinacji loteryi ugrunтованей na wieku kardynałów.

Dziewięć dni powinno upłynąć pomiędzy śmiercią papieża a otwarciem konklawy — ażeby kardynałowie nie obecni, mieli czas przybyć. Dziesiątego dnia obiory wysłuchawszy mszy i kazania, ulają się do swojego więzienia, które zamykają wieczorem i nie otwierają aż po dokonany obiorze. Dawniej konklawe odbywało się w Watykanie: poseł francuski de Broses zostawił malowniczy opis owczesnej fizjonomii papieżkiego pałacu.

Całe miasto jest w ruchu w chwili budowania konklawy w Watykanie: budują miasto w domu — małe domki stoją w wielkim pokoju. Jestto miasto najmniej wygodne i najduszniesze w świecie. Najpierw mularze zamurują cegłą wszystkie zewnętrzne drzwi pałacu, portyki łóż, czyli galeryi wyższych — wszystkie okna, zostawiając w nich za ledwie szyb kilka, żeby nieco światła weszło do gmachu. Ponieważ Watykańskie komnaty obszerne i wysokie, można w nich stawiać chaty z desek, zostawiając na środku kurytarz wolny do przejścia. Śal najpiękniej malowanych nie dają na ten użytek z obawy uszkodzenia.

Cała ta budowa musi być skończona w ciągu dni dwunastu. Łatwo zgadnąć co za zgiełk i wrzawa być musi przy budowie 70 domków wewnątrz pałacu. Jestto prawdziwe mrowisko, ul rojących się pszczoł. Każde mieszkauie składa się z celi gdzie stoi łóżko kardynała — drugiego pokoiku obok i gabinetu ze wschodami wiodącemi na entresol, gdzie pokój służących. Pomieszkauia ciągną losem. Czy kardynał przybywa czy nie przybywa do konklawe, musi mieć tam swoje mieszkauie i zapłacić kosztu budowy wynoszące na każdego, około sześć tysięcy franków, bo w tym czasie wszystko podwójnie się płaci.

Każdy domek z desek zbity, pokrywa jednostajnie fioletowe płótno; środek każdy mebluje dowolnie. Po bokach są okienka sprowadzające nieco światła z kurytarza. Mieszkańcy cisną się tam jak śledzie w beczce — bez powietrza, bez światła, palą świece o południu, i są wydani na pastwę wszelkiego robactwa, którego w takim zaduchu unikuąc niepodobna. W czasie upałów stan nie do wytrzymania. Po obiorze, zwykle paru kardynałów umiera.

Tak było dawniej. Od czasu śmierci Piusa VII (1823 roku) konklawe już nie mieści się w Watykanie ale w Kwirynale; tam ogromny kurytarz na który wychodzi mnóstwo małych pomieszkau, zastępuje wyz wspomniane konstrukcye. Wyjąwszy umie-

szczenia, wszystko pozostało w dawnym porządku. Skoro się zgromadzą kardynałowie, zamurują drzwi od korytarza, zostawiając tylko okienko, przy którym monsignory mogą widywać osoby upoważnione. Zgromadzenia pilnuje marszałek konklawu zewnątrz, a wewnątrz kamerling pełniący policyą św. kolegium. Obchodzi on wieczorem cele, zważając czy wszystko w porządku; w nocy rozstawia wszędzie warty dla zapobieżenia nocnym schadzkom. Jednak, pociemku ci i owi chodzą, wodzeni przez niepohamowaną miłość intrygi. Kardynał Bouillon opisuje, jak po omacku zaszedł do celi Olloboniego i wręczył mu zobowiązania, od których zależało poparcie stronnictwa francuskiego.

Ponieważ kardynałowie sami sobie nie usługują, mieści się w konklawie cała populacja sług i urzędników: są tam spowiednicy, majordomy, doktorowie, notaryusze, balbierze, cieśle, Bóg wie nie co. Każdy kardynał ma prócz tego kamerdynera i sekretarza z pomocą którego najczęściej robią się układy: sekretarze tacy zwiąż się konklawistami.

Bywają dwa głosowania dziennie. Prezydent de Brosses opisuje jak się odbywał obiór 1740 r.

Wieczór i rano kardynałowie gromadzą się w kaplicy Sykstyńskiej (teraz w Paulińskiej kaplicy w Kwirynale) celem elekcji; siadają w stalach; każdy przed sobą ma katalog świętego kolegium, na którym znaczy liczbę głosów daną każdemu. Trzech kardynałów wziętych z każdego rodzaju, biskup, ksiądz i diakon, mianowani co dzień na prezesów obioru i wygłaszanie wybrańców. Każdy kardynał wykonawszy przysięgę przy ołtarzu, iż postępuje nie mając na celu żadnego ludzkiego interesu, ale wedle sumienia, mając na jedynym względzie większą chwałę Boga i większe dobro kościoła (formuła za każdym razem się powtarza), składa swoją kartkę głosującą w obecności trzech inspektorów, do kielicha stojącego na małym stoliku w środku kaplicy.

Kurtki zawierające nazwiska wybierającego i wybranego, a prócz tego opatrzone jakąś dewizą wyjętą z Pisma Świętego, są zamknięte w kilku kopertach osobno pieczętowanych.

Popołudniowy obiór, rano idzie na nowo w ręce obiorców, ażeby mogli jeżeli chcą głosować na kogo innego. Powiedzieliśmy, że dwie trzecie głosów potrzebne są do rezultatu. Czasami tygodnie upływają nie zmieniając nic w pozycyi stronnictw: każde z nich ma nadzieję wytrwaniem znużyć drugą partya, albo też podkopać ją intrygami. Ztąd długie trwanie konklawu. Obiory przedłużały się tak dalece, że upór obiorców musiano przelamywać głodem. Wedle starego przepisu, po upływie pierwszego tygodnia, odejmowano co dzień jeden półmisek dostojnym obiorcom aż doszli do rosółu: wtedy niemogąc znieść takiego stanu, kardynałowie się poddawali.

Odwieczny obyczaj chce, żeby kandydat na papieża był kardynałem i Włochem. Pierwszemu warunkowi nie odpowiada-

dał Urban V obrany w 1378; drugiemu Flamand Adryan VI nau-
czyciel Karola V. Jest także w zwyczaju, żeby sekretarz stanu
urzędujący w czasie śmierci papieża, nie był obierany. Z tego
wynika, że na przypadek śmierci Piusa IX, kardynał Antonelli
nie mógłby po nim nastąpić.

Dwór francuski, austriacki i hiszpański ma uznane przez
dwór rzymski prawo kłaść swoje veto, za pomocą którego każdy
z trzech dworów może wykluczyć jednego kardynała. Powyższe
dwory dają tajemną prokuracyą jednemu z członków Świętego
Kolegium, a ten wykluczenie oznajmia w chwili stosownej.
Tak kardynał Giustiani był wykluczony przez Hiszpanią w 1831
roku. Austria na ostatniem konklawie postanowiła położyć veto
przeciw Mastai Feretti, dzisiejszemu Piusowi IX. Że zasiadł na
stolicy Apostolskiej, to tylko dzięki temu, że obiory szły bardzo
szybko: poseł gabinetu wiedeńskiego przybył zapóźno.

Co dzień, po głosowaniu, kartki są palone w kominie, które-
go dym wskazuje ludowi rzymskiemu, że konklawe jeszcze się
nie zgodziło.

Raz otrzymana większość zakończy obiory. Wtedy otwie-
rają drzwi, wpuszczają tłum i przedstawiają papieża ludowi. Po-
tém następują obrzędy koronacyjne.

Trwanie konlawu zależy od stanu partyi i okliczności poli-
tycznych. Reakcyja przeciw kardynałowi Lambruschini była tak
gwałtowna, że Piusa IX obrano we dwa dni. Innym razem ani
podobna skończyć tej walki rozmaitych stronnictw. Aldobrandi-
niego obierano pięć miesięcy — nareszcie został opuszczony przez
swoje stronnictwo.

Intrygi bywają gałęziste, a zawziętości straszne. Mimo to
po wierzchu tego nie znać. Kardynał Retz w swoich pamiętnikach
opisuje konklawe 1565 r. i nie może się nadziwić oglądzie jaka
tam panowała. „Grzeczność tam taka jak na królewskich poko-
jach — powiada — koleżeństwo szkolne; a skromność taka jak
w nowicyacie. Mogę powiedzieć śmiało, że będąc obecny na wie-
lu obiorach, nie widziałem ani jednego kardynała, ani jednego
konklawisty unoszącego się; widziałem nawet bardzo mało takich
którzyby się zagrali w dyskusyi. Rzadko tam usłyszysz głos
podniesiony, lub zobaczysz zmienioną twarz. Upatrywałem nie-
raz różnicy w rysach kardynała wykluczonego, i rzeczywiście,
raz jeden tylko ją spostrzegłem. Ostrowidz nie dopatrzy nigdzie
cienia zemsty włoskiej; wykluczony, często pije wieczorem wino
przysłane przez tego, który przeciwko niemu działał. Słowem,
niema nic rozumniejszego, *nic wyższego* jak fizyognomia konlawu.
Wiem że używana tam formy od czasu bulli Grzegorza, wiele
się przyczynia do tego zachowania, ale tylko jedni Włosi na świe-
cie zdolni są wypełnić ten przepis z taką przyzwoitością”.

Margrabia de Crosa, poseł piemoncki w Rzymie podczas
obioru Leona XII w 1829 roku, człek surowy i religijny, całkiem

inny maluje obraz konklawu: o ile kardynał Retz się nim zachwyca, o tyle Crosa oburzony jest i zgorzony. Ten relacją swoją kończy oświadczeniem, że człowiek uczciwy i religijny, chyba zmuszony srogim obowiązkiem, może współuczestniczyć konklawem.

Pan Cartwright, z którego książki wyjęliśmy powyższe wiadomości, bliższym jest posła piemonckiego niż kardynała francuzkiego. Zżyma on się na elastyczność systemu obiorczego, któremu kościół swoich papieży zawdzięcza. Napozór przepis twardej, nieugiętej, ale w istocie nagina się zawsze do okoliczności. Cartwright ma nadzieję, że przyszłe konklawe z dawnych doświadczeń skorzysta. Przeciąg dni dziewięciu, który ma upłynąć od śmierci papieża do otwarcia elekcji, może być skrócony z powodu telegrafów i szybkich podróży. Święte kolegium mogłoby też zebrać się gdzieindziej jak w Rzymie. W 1798 roku Pius VI uwięziony we Florencji, przygotował bullę stanowiącą, że większość kardynałów zebrała na terytorium monarchy katolickiego, jest upoważnioną do utworzenia konklawu *de facto*, i wyzwolenia się z krępujących formalności.

Są i inne w tym przedmiocie rozporządzenia. Grzegorz XVI przestraszony ruchami rewolucyjnymi które zakłóciły pierwsze lata jego panowania, własną ręką napisał akt kasujący kanoniczne zwłoki elekcji. Zapewniają, że Pius IX także przewidział potrzebę skrócenia formalności konklawu na wypadek zawichrzeń mogących nastąpić po jego śmierci. Wszystko więc już z góry obmyślane i ułożone mądrze, a upór kardynałów pewno nie zepsuje planu, skoro chodzi o ich własne istnienie.

Książka pana Cartwright daje dokładne pojęcie ceremoniału konklawów. Autor długo mieszkał w Rzymie i na miejscu zebrał wiadomości dotąd nie drukowane. Kto się głębiej chce poznać z tym przedmiotem, niech czyta dzieło pana Petrucelli della Gattina, wydane przed czterema laty pod tytułem „*Histoire diplomatique des Conclaves.*” Jest to rzut oka za kulisy papieżstwa. O dziele tém pisaliśmy w swoim czasie na tém miejscu; dziś powtórzymy więc tylko, że zawiera nieco faktów nieznanych ale podanych niedokładnie, wiele namiętności, dowcipu, fantazyi; że jest napisane złą francuzczyzną, ale mimo to, wyraziste i dość ważne. Nie można na niem całkowiec polegać, ale go też lekceważyć nie trzeba. Nie jest to właściwie historia konklawów, ale papieżstwa. Zatrzymuje się na końcu XVI wieku.

Do późniejszych wieków czytelnik znajdzie wiele ciekawych szczegółów w relacji kardynała Retz, de Coulanges, prezesa de Bronses, i Stendahl'a, który był w Rzymie w 1829 roku, w chwili obioru Leona XII; znajdzie nakoniec wiele ciekawych wiadomości w relacji Chateaubriand'a, który w tejże epoce był ambasadorem francuzkim przy Stolicy Apostolskiej.

Rzeźbiarz Dubois wystawił w zeszlórocznym salonie śliczny posążek: *Śpiewak florencki*: młodziutki chłopiec, stojący śpiewa przygrywając na mandolinie; jedną ręką dotyka strun, drugą u góry instrumentu przebiera. Nosi ubiór florencki z XV wieku, ubiór elastyczny i cienki, równie stosowny jak draperya do akompaniamentu kształtu, zamiast go pieścić, uwydatnia go uściskiem. Spencer ciasno zapięty, rysuje obrysy jego wytwornego ciała. Na głowie nosi czapeczkę, z pod której bujne włosy wypływają w pierścieniach. Poza wyborna: zdaje ci się że słyszysz głos wychodzący z jego ust pół-otwartych. Nie jest piękny ten śpiewak, ale ma oryginalność uroczą, otwartość i wzruszenie na tej twarzy znać. — „*O! anima Cortese e gentile*” — rzekłbyś do niego, jak Francesca Remini do Danta. Chłopiec jak słowik upaja się swym głosem, usta jego wyglądają jakby chciały całować melodyę. Czysta rasa florencka daje temu muzykowi prawo obywatelstwa w precudnej płaskorzeźbie, na której Lucca della Robia przedstawił kapelę *di Santa Maria del Fiore*.

„*Przechodzień*” pana Coppée przypomniał nam świeżo na scenie tę nadobną figurkę. Jestto bohater jedno-aktowej komedyi wierszem, młodziuchny chłopiec z ludu, Zanetto, który pewnej pięknej nocy stanąwszy pod balkonem Sylwii florenckiej zalotnicy, śpiewa gwiazdom miłosną piosneczkę.

Owóz, tego wieczora Sylwia się nudzi: życie jęj cięży... lazur nocy letniej obareza ją swoją czystością... ma stu kochanków, a nie czuje miłości, pożądana, uwielbiana, nigdy nie uczuła bicia serca. Sylwia dałaby uriańską perłę za każdą łzę zapalu.. Ale wyschło ich źródło. „Miłości! — woła — bądź przeklęta! nie mogę już płakać.”

Rozpacząca kurtyzanka widzi z balkonu małego tubadura, jak prześpiewawszy piosnkę, na ławce się kładzie, i podobna do Diany odwiedzającej Endymiona, schodzi doń z promieniem księżycy i budzi uspiętego. Chłopiec zdziwiony, mniema oglądać anioła. Opowiada Sylwii swoje koczujące życie, swoją wesołą nędzę i sny swoje pod gołym niebem. Ale, wychwalając swe skrzydła, ptaszek złapać się dozwala. Zenetto radby ustalić się u nóg Sylwii, byłby chętnie jęj paziem, prosi żeby mu dała kącik w swym raj. „Umiem — powiada — łódź kierować na jeziorze; umiem zawieszać hamak na giętkiej gałęzi; umiem wodzić charty i ujeżdżać konie. Umiem nadto, w sonecie igrać z rymem złotym, wychowywać sokoły i stroić gitary.”

Sylwia nieznanem uczuciem wzruszona, już ma zadość uczynić życzeniu chłopięcia, ale niegodną się czuje takiego sługi. Dziewicze jego serce ona zbrukałaby swoim tchnieniem... powietrze tego domu otruloby go... Więc Venus nieczysta, nie chce otworzyć drzwi swoich stukającemu do nich Amorowi-dziecku. A kiedy odepchnięty Zanetto mówi że będzie może szczęśliwszy u pani zwanęj Sylwią, której mu wychwalano hojuosć monarszą,

kurtyzanka, żeby go od niej oddalić, znieślawia siebie z ponurą energią. Zaklina go żeby nie wchodził do tego pałacu, żeby ust swoich nie kalał czarą z której piła rozpusta. Zanetto smutny, odchodzi „w stronę jutrzeńki” którą jemu Sylwia wskazuje życzliwie. Na pamiątkę rozmowy unosi kwiatek który zdobił jej włosy.

Zostawszy samą, kurtyzanka zdejmuje maskę anioła, i ukrywając czoło w obu rękach, rzewnie płacze:

„*Que l'Amour soit béni! je puis pleurer encore!*”

Jest delikatna myśl w tym nokturnie na dwa głosy: kurtyzanka wzywa nie zuanęj miłości, a kiedy wywołana, przybywa, cofa się przed jej śnieżną czystością. Jestto także szkic obyczajowy słonecznej Italii, gdzie przedziały klas społecznych rzeczywistości nie istnieją. Wiersz w tej komedii bardzo ładny, nie szukany a wybrany. Obrazy w rymach nie błyszcżą oprawione twardo jak brylanty, ale naturalnie tam rosną i rozkwitają jak kwiaty. Zachwycona publiczność zrobiła autorowi literacką owacyą. Niektóre strofy dyalogu chciano słyszeć powtórnie, jak w teatrze włoskim serenadę Don Juana.

Franciszek Coppée wydał przed kilka laty książeczkę pod tytułem „*Reliquaire*” która jest poetyczną perełką. Ale twarde nastały czasy dla poetów! Uwaga powszechności zwrócona w inną stronę: muza śpiewa na pustyni. Wyjąwszy kilku diletantów, nikt tu nie słyszał o panu Coppée. Teraz dopiero kiedy zasłynął na scenie, zaczęły czytać jego wiersze. W tych dniach ma wyjść ich tomik pod tytułem: „*Poèmes modernes.*”

— Minister Rouher pisze książkę, która zapewne będzie miała rozgłos. Tytuł tej pracy: „*Histoire de l'Opinion publique en France.*”

— Jules Janin wydał w tych dniach nowe dzieło pod napisem: „*L'Interné.*” Książkę tę napisał piórem Wiktora Hugo, które służyło pocie do napisania *Kontemplacyi*, a które pani Hugo zapisała Janinowi testamentem.


— Pan Fetis wydał w jednym tomie z obrazkami „*Historya powszechną muzyki.*” Życiorysy wielkich kompozytorów zajmują szerokie miejsce w tej publikacyi ważnej dla muzyków.

— Pan Arnauld wydał dwu-tomowe dzieło pod tytułem „*La Révolution et l'Eglise.*” Autor, jak wszystkie piękne dusze jest optymistą, a jak wszyscy optymiści widzi rzeczy w różowych kolorach.

— Pan Petruccelli della Gattina napisał po francuzku dramat przedstawiany obecnie w Ambigu-Comique, pod tytułem: „*Famille des Gueux.*” Sztuka osnuta na tle historycznym z czasów hiszpańskiej dominacyi w Niderlandach, odznacza się dwiema namiętnościami cechującymi dziś wszystkich synów Italii.

— Dnia 28 lutego umarł w Paryżu Lamartine, licząc lat siedmdziesiąt ośm. W dzień jego śmierci niektóre dzienniki wyszły w czarnych obwódkach: było jeden z najpopularniejszych ludzi we Francyi.

Polityczny zawód Lamartina był długi i świetny; natura bogato go uposażyła: był myślicielem, pisarzem i mówcą. Ale nie posiadał ani głębokiego przekonania inicjatora politycznego, ani jasnowidzenia męża stanu. Zwroty jego częste i znaczne, były oscylacją potężnej fantazyi. Zakończenie jego pamiętnej mowy w Zgromadzeniu Prawodawczém z powodu obioru prezydenta rzezypospolitej, owe ostatnie słowo napuszyste: „*Alea jacta est*” prawdopodobnie było dewizą całej jego karyery. Jestto wykrzyknik fantazyi, nie wyrok rozumu. Poezya którą gardził, uważając ją jako zabawkę dla przepędzenia czasu, była nawet w polityce jego najwyższą zdolnością. Poezya okaza się wspaniałomyślną: ona tego który nią gardził, unieśmiertelni. „*Les Meditations*” i „*Jocelyn*” przeżyją wszystkie przemiany gustu i trwać będą tak długo, jak Francya, jak ludzkość.



PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

ORBEKA.

(Warszawa, druk i nakład Lewentala, 1869 r.).

Nienajkorzystniej byliśmy uprzedzeni o tej powieści, jużto z szumu dyskusyi towarzyskich, jużto z pewnych wzmianek pisanych; przywiązał się do niej jakiś zarzut skandalu. Ciekawi też byliśmy sprawdzić ten zarzut naocznie, témbardziej iż powieść czyniła rozgłos. Nastęrczyło nam do tego sposobność przeniesienie jej z kolumu *Kłosów*, gdzie się nie powinna była znajdować, do osobnej książki, wydrukowanej najnieudaliej pod słońcem. Po przeczytaniu jej sąd nasz nie zatwierdził zgoła tych niekorzystnych posłuchów: przedmiot tej powieści jest wprawdzie drażliwy, w formie tej może niepodatny dla każdej płci i wieku, (utwory sztuki nie mają obowiązku regulować się do tych warunków); a'e skandalu ani w zadaniu i dążności, ani w sposobie przedstawienia, nie znaleźliśmy żadnego. Autor maluje złe, nędzę moralną, łachmany okrywające brud albo kalectwo, i trzeba zapewne wielkiego talentu, aby treść daną w takich warunkach wprowadzić w sferę estetycznych światel; jednak warunki te pomimo wstrętnej moralnie natury swój, nie są wstrętnemi estetyce. Czemuż są w większej części bohaterowie Szekspirowscy, jeśli nie bohaterami zbrodni? Jak noc, mrok i cień, nie mogą być wyrugowane z utworów pędzla; tak złe, szpetne i śmieszne nawet, musi istnieć w utworach słowa, jako uzupełnienie życia natury i ducha. Chodzi tylko o właściwe i umiejętnie przedstawienie, o odpowiednie użycie. Złe i szpetne są pierwiastkiem nieestetycznym, jeżeli na nie zapatrujemy się zimno i abstrakcyjnie: nadajmy im charakter grozy i przerażenia, które są uczuciami ściśle wiążącemi się z estetyką, a w tej chwili pierwiastki te gotowe są wkroczyć w granice poezyi. Cóż jest brzydszego w porównaniu z innymi twórcami natury, jak żaba; jednak ona umieszczona na pejzażu, w odpowiedniem otoczeniu,

schowana w trawce, gdzieś na krawędzi ruczaju, figuruje z niezaprzeconym wdziękiem. Cóż może być szkaradniejszego jak rozbójnik, gdy czyny jego rozbierane są w sądzie policyi poprawczej? a jednak postać ta samą grozą duszy, odwagą temperamentu, mocą przebywanych trudów i niebezpieczeństw, w poezyi odegrywać może znamienitą rolę. Podły a tchórzliwy złodziej, oszust lub szuler, już się wyłącza od tego przywileju; ich usposobienie nie budzi już grozy, nie uderza nadzwyczajnością, budzi ono tylko proste i prozaiczne obrzydzenie, jak te dokuczliwe pasożyty, co nękają niechlujne ciało.

Krzywizn moralnych, które grożą społeczeństwu, nie możemy wyłączać z utworów estetycznych, a zwłaszcza też z powieści, która może i powinna stać w szeregu dźwigni społecznych. Że przedmiot drażliwy jest sam z siebie, to nie powód aby go unikać, obchodzić, aby autorowie zamykali nań oczy, kiedy powszechność nań je wytrzeszcza. Złe, jeżeli jest w społeczeństwie, nie schowamy go w kieszeń; musimy przyjąć je w rachunek na plus czy minus, musimy się względem niego zdeklarować, każdy właściwym sobie głosem; inaczej ono puszczone samopas, śmielej i swobodniej rozrastać się będzie, z tą werwą, właściwą wszystkim pasożytnym i destrukcyjnym roślinom, które niesłychaną siłą tępią ziarna dla pożytku i przyjemności posiane. Owszem, im złe silniejsze, im więcej zyskuje prerogatyw, im bezczelniej wdiera się w przywileje dobra, tym śmielej atakować je powinniśmy: nie milczeć, nie zasłaniać, nie ignorować, ale zębami i pazurami chwycić się potwora, aby go złamać, ohydzić i powalić. Tym bardziej koniecznym to jest w epoce dzisiejszej, która ze swą wielkością materialną i małością moralną, ze swym bogactwem umysłowym i ubóstwem charakterów, podobną jest do muzeum, gdzie na piedestałach z marmuru i porfiru, z brązu i ze złota, stoją gipsowe lub gliniane mały.

P. Kraszewski w powieści niniejszej uzmysłowia dwie różne namiętności, w dwóch postaciach: kobiety i mężczyzny, a mieści je w świecie który dla braku ideału moralnego i społecznego, dla skrzywień edukacyjnych i bezrządu towarzyskiego, dziwnie sprzyjał rozwijaniu się niskich i egoistycznych instynktów, których owocem występpek. Było to ku końcowi XVIII wieku.

Żył w wiosce Krzywosielcach na Podlasiu, szlachcic złamany nieco życiem, zdradzony w najdroższych uczuciach przez żonę, która odeń uciekła i po rozwodzie przeszła w inne związki. Cichy dworek, książki i muzyka stanowiły całe jego zajęcie. Stary sługa i stary pies, obaj doświadczonej wierności, byli jedynymi jego towarzyszami. Życie jakie w tych warunkach prowadził Walenty Orbeka, nie było zapewne szczęściem, ale zastępowało je poniekąd, tak jak ciepła odzież zastępuje poniekąd ciepło promieni słonecznych. Ten spokój jakim uroczą natura otacza wioskę, udziela się do pewnego stopnia duszy człowieka; jednostajność zajęć nie wymagająca wysiłen i wstrząśnień umysłowych

czyni wprowadzie życie nieco senném, ależ ta senność jest właśnie środkiem łagodzącym rozdrażnienia duszy, działa uspakajająco jak morfina na rozdrażnienie ciała. Orbeka żył w takiej senności i było mu z nią dobrze. Kraszewski, który jest mistrzem w sielance, ilekroć dotknie się szczegółów i uczuć wiejskich, pejzaża, tworzy arcydzieło; to téż i w tej powieści prolog opisujący dworek Orbeki, jego zajęcia i otoczenie, jest istném arcydziełem. Spoglądamy tam na uroczą zieloność pól, oddychamy wonią łąk, zlewamy się duszą w tę harmonię głosów, jakimi przy wschodzie i zachodzie słońca rozbrzmiewa cicha, modląca się do Stwórcy, ustron wiejska. Łagodny i uczciwy z natury charakter Orbeki zrosł się z tém wiejskiém życiem, w którym przebył już czterdzieści lat, nie szukał zmiany, nie pragnął jéj; ale czyż mógł się zadawałniać obecnością, czy ona mu starczyła za przeszłość i przyszłość? Czuł w nim jakoś człowieka, którego duch nie może poprzestać na materyalnych zajęciach, nawet na intelektualnych zadowoleniach; są one dla niego tém, czego to się używa w ostatnim razie: chwilami zrywa się w nim serce i domaga się swych praw, spragnione woła o napój chłodzący, bodajby o czarę trucizny. Niebawem miano mu ją podać.

Szlachcic miernéj fortuny, przez niespodziewany spadek stał się milionerem. Jednocześnie w okolicy zjawiała się jednaz tych stołecznych syren, niewiasta cypryjska, w które tak obfitował koniec ostatniego stulecia. Młoda, pełna niewieściego uroku, wabna, wdowa po dwóch mężach i nie wiedzieć ilu kochankach, zalotna komedyantka, odrazu zrobiła silne wrażenie na niewinnym Orbecie; a przeczuwając w nim dobrą pastwę, przypięła się jak pijawka do myśli przyswojenia sobie jego milionów za jaką-bądź cenę. I to początek katastrofy.

Autor nie żałował farb na odmalowanie Miry, téj patriarchini dzisiejszych dam naszego ciemnego świata: każda z nich spojrzawszy w jéj portret, spostrzeże rysy familijne, choć zaletami nie domierzy całości. Miała ona na zawołanie tysiące masek, stosownie do okoliczności, do usposobień towarzystwa lub człowieka którego chciała na korzyść swą wyzyskać: smutek i wesołość, powagę i żart, dumę i pokorę, wszystko w niej znalazł kto chciał; w sekundę opadała i wznosiła się jedna maska po drugiej, bez wysilenia. Najgorzej uprzedzeni łapali się w sidła jéj sprytu, pogardzający nią lub nienawidzący zdaleka, za zbliżeniem padali na kolana. Uczucia i serdeczności, dobrodusznosci poczciwéj, było w niej pełno wrazie potrzeby, a wszystko to był fałsz, serca nie miała ani tyle co hiena. Do czegoż więc służyła jéj ta komedia, to życie fałszu i podłości? Czyż szukała rozkoszy tak gorączkowych jakich uczciwy stosunek dać nie może, czy szął był potrzebą jéj natury? Przeciwnie: była ona zimną jak lód, uczucie i wszelkie jego dodatnie czy nawet ujemne odcienia, obojętniemi dlań były. Ona pragnęła tylko użycia w całej pełni tego co dać

może bogactwo, czego zapragnie umysł rozpróżniony. Bawió się, świetnieć, ołsniewać, używać świata bez żadnego ze swój strony kosztu, było jej *namiętnością*. Dla zadosyćuczynienia jej, zapędzała innych do pracy i ofiar, zdolną była z najzwyklejszą krwią, istna Cyree, przejść po tysiącach boleści, rozedrzyć tysiące serc. Oszustwo, zdrada, kłamstwo najbezcenniejsze, było powszechną jej grą, środkiem najniebezpieczniejszym; oddanie się sromocie nie kosztowało ją nawet westchnienia. Słowem, ladasznica ostatniego rejestru, jest to ta wykwintna, różowa Mira, która okiem pełnym zalotności strzałów, twarzą gorejącą wyzwaniem stanęła do walki z Orbeką.

Ten nie znał jej zupełnie, nieprzyjaciół był stokroć silniejszym od niej; uległ i nic dziwnego. Ależ każdy nieprzyjaciół, jakkolwiek silny, ma przecież swoją słabą jakąś stronę: odłonięcie jego baterji i planów już dostatecznym jest do wydarcia się z jego objęć. Zauważy się więc że jakkolwiek oczarowany Orbeka zjawiskiem nieznanym, poznawszy je, odczaruje się łatwo. Bynajmniej. Orbeka spotkał się z Mirą w Warszawie. Przyjaciół nie dwuznaczny odłonił mu całą jej wartość, przemawiał do jego rozumu, ale trafił na granit: nie się doń nie przyczepiło. Mira udawała zakochaną, on uwierzył temu jako prawdzie. Chciała by się z nią ożenił, on gotów byłby i na większą gdyby można ofiarę, ale odmówił tego skutkiem ślubu jaki uczynił był (trochę to naciągnięte), że nie ożeni się póty, póki pierwsza żona jego żyje; nie dla niej, ale dla siebie, dla swych wyobrażeń o nierozzerwalności ślubu który wyrzekł był dobrowolnie. Pobita na tym punkcie Mira, nie targowała się wcale; ślub czy nie ślub, w gruncie nie wielką to dla niej stanowiło różnicę: ona potrzebowała jego milionów, nie ręki, a nie mogąc ich osiągnąć drogą uznanego związku, postanowiła zdobyć je drogą ofiary, szczęścia... Zamieszkała z nim w jednym pałacu, kupionym przez Orbekę; z wolna zredukowała go do roli prostego sługi, niemego świadka orgji wyprawianych z innymi, do obowiązków liweranta wszelkich zbytków i uciech, z których sam nic nie korzystał. Orbeka cierpiał, ale się nie krzywił, wołał ją mieć choćby taką niż żadnej: bez niej żyć już nie mógł. Wreszcie dotąd miał prawo obwinać ją tylko o lekkomyślność i próżność, te dają się wytłumaczyć w młodej kobiecie, czas mógł ją zmienić: nie schwytał jej na występku przeciw sobie. Ależ i to niebawem nastąpiło: przekonano go, iż ona najbezwstydniejszej zdrady dopuszczała się pod jego nosem i za jego pieniądze. Zawahał się wtedy, ale tylko na chwilę. Zamiast opuścić, wyrwał ją z tego świata zepsucia, który ją mimowoli jej kałał, i wprowadził daleko, do Włoch. Na tej tam pokucie Mira wymarowała mu resztę z milionów spadkowych: widząc zrujnowaną, odpędziła i wyszła za męża. Orbeka przywlokł się do Warszawy, nędzny, schorzały, spalony rozpaczą; ale o Mirze zapomnieć nie mógł. Przywiązał się do niej jak niewolnik, jak pies. Daremne były namowy przyjaciół aby jak

najprędzej wrócił do dawnego życia w ocalałych jeszcze Krzywosielcach. On czekał na nią w Warszawie, spodziewając się jej. I w istocie zjawiała się znów ta morowa dziewczica. Mąż jej bogacz pozorny, umarł zostawując ją w biedzie. O, jakżeby wtedy Orbeka oddał jej wszystko dla zadowolenia jednego z jej życzeń, ale przyjaciele przewidując ten wypadek, złudzili go że nie już nie posiada, że Krzywosielce są odłuzone. Orbeka przywłókł się do nóg Miry: ta na wieść o jego ubóstwie kopnęła go nogą.

Wrócił więc do rodzinnego guiazda, do dawnego życia: coś się zaczynało w nim zblizniać; przyjaciele sądząc że niebezpieczeństwo minęło, uspokoili go naprawdę co do stanu jego majątku, i możeby spokoj choć gorzki wrócił do jego serca. Ale Mira, po utracie nowego jeszcze męża, znowu znalazła się w kłopotach, a wiedząc także prawdę o majątku Orbeki, jednego szkaradnego poranku znalazła się w Krzywosielcach. W chwilę Krzywosielce były sprzedane i Warszawa znów pochłonęła resztę fortuny Orbeki, tym samym trybem, co dawniej. Orbeka odepchnięty po raz ostatni, assistował jeszcze jednemu ślubowi Miry z bogatym amerykańcikiem, w kościele Św. Krzyża; odszedł z głową zmaczoną, został na łasce przyjaciół, którzy jak mogli pilnowali waryata; a gdy mu ich niestało, wybiegł z izdebki, siadł pod murem, z piosunką na ustach, wesoły, i tak oto zszedł na znanego miastu *Szalonego Walka*, o którym dziwne powiadano wieści, dopóki tej miłosnej karyery nie skończył w szpitalu św. Rocha. Tymczasem kochanka jego za nowym mężem tyła sobie powoli, stała się obyczajną i bogobojną, wzorem statecznych niewiast.

Co tedy autor chciał zcharakteryzować w Orbecie? Zapewne namiętność. Ale rozpatrzywszy się bliżej w objawach, nazwiemyż to namiętnością? Namiętność w języku pospolitym, jest to pewna forma czucia tak silnie w jeden punkt skierowanego, że mięsza ono sąd człowieka, paraliżuje jego swobodę, odejmuje możność rozrządzania samym sobą, odciąga od celu jaki wskazuje rozum, obowiązek, interes dobrze zrozumiany, a nawet prosty instynkt i ogólne natury prawo. Słowem, ażeby istniała namiętność, potrzeba izby zamilkł rozum, i wola stała się bezwładną. Brak woli, przy całej jasności rozumu, nie jest jeszcze namiętnością, ale tylko słabością. Orbeka więc jest tylko słabym: on wie co czyni, zna wartość i rzeczy i swego postępowania; wie że idzie przeciw własnemu interesowi i nie czyni sobie illuzji, ale oprzeć się nie może: w siłę zdobywa się na to tylko aby być słabym. Namiętność pragnie użycia bez końca, aż do zużycia, ona jest wściekłą w żądaniach swoich i granic im nie naznacza. Orbeka przeciwnie, cichy, nie wymagający, jak przed zakochaniem tak i po niém, ogranicza życzenia swe do bardzo skromnych rozmiarów, prawie do bezinteresowności; poprzestaje na byle czém, na ochłapie rzuconym jak psu ze stołu biesiady, aby tylko żył, i za ten nędzny ochłap poświęca wszystko. Jest to tylko brak woli, słabość posunięta do ostatnich granic. A czyż

jest taki człowiek podobnym—zapyta kto. Sam autor przyznaje się poniekąd do niepodobieństwa, mówiąc w przypisaniu: „Jest to wprawdzie studium fizjologii patologicznej, rzekłbym, teratologii duchowej, *stanu wyjątkowego*; ale niemniej, choć ta choroba zwykle nie dochodzi tak idealnych rozmiarów, nie wyradza tak ostatecznych fenomenów, jest ona w lżejszych stopniach pospolitszą niż się zdaje.”

Zupełnie, ale to co do słowa, zgadzamy się na określenie jakie sam autor dał swojemu dziełu. Orbeka jest stanem wyjątkowym, i stan taki, lubo w zmniejszonych rozmiarach bardzo się często napotyka. I toż samo też powiedzieć musimy o drugiej postaci, to jest o Mirze, choć wielka zachodzi między temi dwiema postaciami różnica. Mira ma cel jasno określony i idzie do niego silnie, zmiata przed sobą wszystkie przeszkody, niema, głucha, nieprzystępna, jak przeznaczenie. Orbeka sam nie wie czego pragnie, wlecze się gdzie mu wskażą, spotkania się oko w oko z przeszkodą unika. Gdyby trochę energii, gdyby umiejętność korzystania z położeń zapewniających mu niezaprzeczoną wyższość, Mira byłaby mu powolną jak baranek; kto więc, może nawet byłby ją i z błota wyciągnął, choć w prawdopodobieństwo tego faktu bardzo się zapuszczać nie chcemy.

Otóż bez tych czynników przeciwnych, bez walki elementów różnorodnych, nie ma powieści, w znaczeniu jakie nadało jej życie, na jakim postawiły ją prace mistrzów, i samego Kraszewskiego. *Orbeka* jest prostą anegdotą. Mira nie walczy z charakterem Orbeki, ugina go w pierwszej chwili. Orbeka nie walczy ani sam z sobą, ani z Mirą. W pierwszej chwili powiedział sobie: jestem niewolnikiem, i w tej roli dotrwał do końca. W utworze tym nie się nie modyfikuje, nie niespodziewanego nie wyziera, nie ma tam obrazów trzecich, któreby wyrobiła kombinacja dwóch poprzednich myśli, i tak w kolej; ale są tylko szeregi jednej i tej samej kombinacji, odmiennie tonem, jednakie harmonią. Coraz nowy podstęp Miry, ale tylko podstęp; coraz inna słabość Orbeki, ale tylko słabość, doprowadzająca do złości czytelnika. Mogłoby tych szczegółów być więcej jeszcze albo mniej, z jednej i drugiej strony, całość niechy na tém nie utraciła. Gdyby Orbeka oszalał zaraz po przekonaniu się o zdradzie Miry której dopuściła się jeszcze w jego pałacu, koniec byłby logicznym i utwór dobrze zakończonym; po pięciu czy dziesięciu latach podobnych zająć, zakończenie jest równie dobrém, ale obraz zyskał tylko na przedłużeniu, nie na artyzmie; przybyły nowe szczegóły, nowa myśl żadna.

Artystyczność cała polega tu tylko na samym sposobie opowiadania, dzielnym, wykwintnym, na obrazowaniu szczegółów, które pozostawia w umyśle czytelnika pewną grozę i oburzenie; i to jest właściwy cel moralny, jakiego autor dosięga. Czyżbyśmy przez to chcieli powiedzieć, że autor pisał tę powieść *ad usum Delphini*, na sposób Marmontela, choć się sam od tego broni?

I tego nie powiemy. Miał owszem autor intencję czysto powieściową, nie kazalowaną; postacie jego są żyjące nawet w podrzędnych figurach; a jeżeli zbrakło elementów dramatycznych, to stało się zapewne nie z braku talentu, ale wynikło ot tak z roz-targnienia, z pośpiechu, a może i z umysłu.

Kazimierz Kaszewski.

Wędrowniki Stryjaszka: Kilka obrazków Leona Kunickiego: Warszawa, nakładem S. Arzta, księgarza w Lublinie, 1869 r. (w 12-ce str. 119).

Niewielu mamy pisarzy, którzyby za tło swoich utworów, brali życie ludu naszego. Na czele ich stoi Jan Kanty Gregorowicz, autor *Obrazków wiejskich* i *Zarysów wiejskich*, zmarły *Walery Wielogłowski* i żyjący *Leon Kunicki*.

Wielogłowski odznaczał się oprócz wysokiego talentu, płynnością pióra: ale tém grzeszył, że obrazy swoje malował bez miłości chrześcijańskiej. Mnóstwo jego utworów poświęconych było wyłącznie ujemnej stronie ludowej: z pewną lubością rozkoszował się w opisach pijaństwa, kradzieży, oszustwie czeladzi dworskiej i miejskiej, a nigdzie nie pozostawił jaśniejszej postaci któraby była nauką i wzorem. W jednej tylko powieści *Komornica* uniknął tego zarzutu, bo w niej pokazał i malowidło mistrzowskie i uczucia wiele.

Józef Korzeniowski nazywał Gregorowicza utwory, wiernymi fotografiami, ale i z błędami fotografii. Wszelako na ten zarzut zgodzić się nie możemy. Od chwili gdy sam wpatrzywszy się w życie goralu Huculów w drodze do *Burkutu*, znalazł bohaterów do najlepszego dramatu „*Górale Karpaccy*” Korzeniowski później oddalony od ludu, miał o nim zupełnie błędne wyobrażenia, a wszedłszy w atmosferę salonów, i wyższej warstwy społeczności, w nich tylko czerpał swoje kreacye, tak cudnie oddane.

Gregorowicz ma tę zasługę, że nietylko jest wiernym fotografistą, ale zbliżony do ludu, umiał zbadać jego charakter, pochwycić myśl, podsłuchać mowę i wiernie to wszystko oddać. Nie w jego utworach, a mamy głównie na myśli: „*Zarysy wiejskie*,” ani dodać ani ująć nie można, tak tam wszystko na swoim miejscu, tak organicznie szczegóły wiążą się z całością, do ułożenia wiernego obrazu, który ma dla nas nieopisany powab prawdy. A pociąga więcej ku sobie, szczerą miłością dla tego ludu, który mu daje wątek do powieści. Jakże trudnem było zadaniem umieć wybrać, dopatrzeć i odmalować wiernie, chłopa arystokrate — spekulanta i poetę; a jak tego szczęśliwie dokonał! „*Zarysy*

wiejskie" Gregorowicza, wraz z *Komornicą* W. Wielogłowskiego, są to dzieła długiej trwałości i prawdziwe ozdoby w tej gałęzi literatury naszej.

Trzecim z rzędu pisarzem ludowym jest Leon Kunicki. Wybrał on za przedmiot główny do swych badań, okolice *nad-Bużną*, którą od lat dziecinnych zamieszkał, i z niej czerpie osnowę do swych utworów artystycznych.

Strona ta kraju napozór może najmniej poetyczna. Równina lasami przerosła, zamknięta spokojnym Bugiem, z rozległemi łąkami i pastwiskami, a zasiana mniejszemi wioskami, skromnemi dworami i dworkami drobnej, zagonowej szlachty, przy większych tylko siołach wystrzeliwają wieżyczki drewnianych, ubogich cerkiewek. Lud co je zamieszkuje, mniej ruchawy, spokojny, pracowity a jak każdy Słowianin lubiący pieśń, śpiewający przy żniwie, przy zbiorach siana, i wśród śnieżnej zamieci na *wieczornicach*, obok sutego kominkowego płomienia. Ale nuta tych pieśni smętna i rzewna, jakby za korowodem pogrzebowym nucona—i ochota w karczmie nie tak raźna i wesola i rześka, jaka porywa każdego w Krakowskiem i Sandomierskiem, albo też na Powiślu. Chaty ubogie, niskie, zachowały kształty architektoniczne jeszcze z Piastowych wieków. Do téj nuty smutnej pieśni, dodajmy ubiór ciemnej barwy, zamiast butów *postoly* lipowe, i czapkę z czarnym barankiem. Kobiety nawet nie mają w swym stroju jasnych, barwistych kolorów.

Głębiej nie sięgający badacz, nie dopatry w téj części dawniejszego Podlasia zasobu żadnego, do poetycznego przedmiotu. Czasem tylko długie wybrzeża po *nad-Bużne* zatrzymają jego spojrzenie, i w nich znajduje widoki pełnych wdzięków i prostoty pejzazów. Bujne łąki rozścielają się tu zielonym dywanem: na nich żerują spokojnie bociany, owe ptaki które w wyobraźni tutejszego ludu są wróżbitami wiosny i szczęścia dla chaty kędy się guieźdzą: przeto aby zwabić tak pożądanego gościa uściela mu wieśniak ochoczo a wcześniej wygodne gniazdo, to na szczycie swój stodoły, to na wierzchołkach dębu lub wierzby wyniosłej. Nad spokojnemi wodami rzeki, gromadnie przelatują kuligi, czajki krzykliwe, i jak błyskawica migające rybitwy. Przy trzodach bydła rogatego lub stadach koni i owiec po większej części szarych lub kasztanowatych, pastuszki ciszę tę uroczystą przerywają to wygrywaniem na fujarkach wierzbowych, lub drewnianych albo też na długich li-gawkach.

Jeżeli trafisz na taką zaciszną ustron, to znajdziesz w niej niewysłowiony urok tak sielski, tak pełen prostoty, a dziwny mający powab, że stajesz i wpatrujesz się w ten obraz, jaki ci natura stawia przed oczyma.

Takich wiele pejzazów dał nam L. Kunicki w swoich utworach, a ożywił je wyprowadzeniem na scenę tutejszych ludzi, co zamieszkałi i dwory okazalsze i dworki uboższe, i te chaty niskie zapadłe w ziemię, pod słomianym dachem.

Przeważną stroną jego obrazków jest lud tutejszy: jak dzia-
twa chłopska, dziady zebrzące, flisy i oryle, zarówno jak parobezaki,
gośpodarze i dziewczuchy, są to postacie z którymi nas zapoznał.
Każdą wprowadza we właściwą sferę działania, stawia w walce
z życiem, wydobywa skryte uczucia serca, i wybitne rysy cha-
rakteru.

Sam pełen zacnego uczucia, cichy i spokojny jak ten lud
nadbużny, z melaucholijném usposobieniem, patrzy okiem roz-
ważnego badacza w każdą postać i mimowolnie otacza ją urokiem
poetycznym.

Wieleżto obrazków L. Kunickiego, których bez głębokiego
wzruszenia czytać nie można; a głównym bohaterem jest tylko
prosty djak przycerkiewny, syn chłopski, lub flis śmiały żeglarz.

Z równém upodobaniem wywodzi na scenę *figury* z poza
progów ubogich dworków, i maluje z równym wdziękiem.

Wiele postaci, których dał nam tak wyborne wizerunki,
już z nikło z koła naszego społeczeństwa, jak starego i wiernego
sługi, lub z zaściankowej szlachty. Typy to nieocenionėj wartości.

Przy spokojném usposobieniu, i więcej poetyczno-marzącém
niebrak mu i prawdziwego *humoru*: ten wykazuje zarówno w utwo-
rach swego pióra jak i ołówka, którym umie władać.

W *wędrówkach Stryjaszka*, wziął sobie za cel główny, poka-
zania mieszkańców większych dworów. Stryjaszek bezdzietny,
człowiek wykształcony, a umiejący ukrywać tak naukę swą, jak
i zdrowy pogląd na świat i ludzi, gdy po długiej walce życia, do-
szedł do niezłego mienia, postanawia odwiedzić swoich krewnych,
których miał niemało właśnie w tej okolicy kraju. Wsiadł więc
w swoją *bryczulkę* prostą, wyplataną i niepomalowaną, zaprzągnął
dwa drobne kasztanki, i z woźnicą wiernym Harasymem, wyru-
szył w podróż.

Pierwszy dwór *Peretoczka* zamieszkują bracia *Repkiewicze*,
z podstarzałą siostrą panną Krystyną. Obaj zapaleni myśliwi,
i łowicetwo oddani całą duszą. Ztąd zajechał przed pałac hrabiego
który chociaż w długach po uszy, z dumą Stryjaszkowi pokazuje
z przepychem książęcym przystrojony salon.

Daléj odwiedza dwór *Horodyszczu*, w którym młody pan dnie
na rozrywkach z hulaszczemi sąsiadami, a noce na kartach przepę-
dza. Życzliwie u *Wejcherów* przyjęty jest świadkiem zaniedbane-
go wychowania licznego grona ich dzieci. W dalszej drodze, za-
trzymany we wsi *Ruszczy*, dowiaduje się że dawny dziedzic, po-
szedł z torbami z rodzinnego gniazda, a zasiadł w nim pan Sob-
kowski, przedtém jego ekonom, co go okradł z fortuny, i pod jego
dachem teraz panoszy.

Mały folwarczek w *Zalipiu*, skromna osada wiejska, jest
ostatnim dworem do którego przybywa Stryjaszek. Właścicielem
tego folwarku jest pan Kazimierz, którego niegdyś na rękę piasto-
wał. Tu znalazł, jakto mówią swój swego—i starzec poznawszy

bliziej młodego gospodarza, jego zacność i szlachetny charakter, osiadł stale przy nim, i oddał mu całe swe mienie.

Taka jest treść w ogólnych zarysach nowego utworu L. Kunickiego. Plan prosty, z całą też prostotą oddany. Postacie wprowadzone muszą być wiernymi wizerunkami z żyjących typów, taka z nich prawda i szczerota. Żałujemy że autor nie dał szerszych rozmiarów swęj pracy, zyskalibyśmy więcej zajmujących figur: ale widać ograniczył się tylko na obrębie małej okolicy, odwiedziny każdego z powyżęj wymienionych dworów, stanowią odzielny rozdział w *Wędrówkach Stryjaszka* i dają nam coraz nowy obrazek a w każdym znalazłby ołówek Kostrzewskiego nie mało zasobu i to bardzo wdzięcznego dla siebie.

Książeczka ta, jeżeli nie rozpala wyobraźni *awanturniczymi* przygodami, nie przestaje wszakże zajmować szczerze czytelnika: a te postacie tak swojskie, tak wyrosłe na tęj glebie, na przemiany wywołują to żal, to pogardę, to wstręt; aż nareszcie w *Zalipiu* z niewymowną radością odpoczywamy wraz z *ukochanym Stryjaszkim*. Rozdział ten ostatni artystycznie oddany, znać widocznie że z upodobaniem przez autora był kreślony. Treścią jego tak w ogóle jak w szczegółach jest podanie nam wzoru skromnego ziemianina, jakim być powinien. W nim wyraził sam swe szlachetne myśli i uczucia, którymi wiele poprzednich utworów nacechował. Te *Wędrówki* są skromnym kwiatem, który L. Kunicki składa obok dawnych, aby mu ręka sumiennego krytyka wplotła do wieńca pięknej zasługi.

K. Wł. Wójcicki.

„Zarysy filozofii natury” przez Henryka Levittoux. Doktora Medycyny Uniwersytetu Paryzkiego i byłęj Rady Lekarskięj w Królestwie Polskiem. Warszawa. 1869. W drukarni Gazety Polskiej, w 8 ce.

Z takim tytułem na okładce, ukazała się niedawno książka, o 236 stronicach, której autorem jest Doktor medycyny uniwersytetu paryzkiego p. Henryk Levittoux.

Tytuł książki jest ponętny, ponieważ przedmiot sam z siebie jest bardzo zajmujący, a nadto, literatura polska w podobnego rodzaju dzieła jest najuboższa, i stanowi zupełną sprzeczność z literaturą francuzką, niemiecką i angielską, gdzie znakomite prace podobnej treści liczą się na dziesiątki.

Spis przedmiotów zawartych w książce wskazuje bardzo rozległy program; rozległy tak dalece, że na podobny bardzo niewiele uczonych odważyć się mogło. Spis ten jeszcze bardziej zaciekawia jak tytuł, — czytamy w nim: o filozofii materji i siły, o sile życia i inteligencyi u zwierząt i u człowieka; o jedności typu

w królestwie nieorganicznem i organicznem, o nieśmiertelności duszy, o stworzeniu ziemi i człowieka, o Bogu i naturze, o przewrotach i przyszłości ziemi. Wszystko to zakończone jest „rzutem oka filozoficznym na przyczynę rozwoju i upadku cywilizacyi rodu ludzkiego”.

Przedmowa uderza nadzwyczajną śmiałością krytyki, pewnością siebie, bezwzględnem potępieniem ludzkości za jej wady, (jak i na str. 207), i lekceważenie tych „pseudo-przyjaciół postępu i nauki” którzyby nie chcieli uznać pracy autora.

Chociażby się czytelnik nie bronił od wszelkiego uprzedzenia, już sama przedmowa obudzi w nim niesmak i niedowierzenie. Na poparcie mojego zdania nie mogę przytaczać wszystkich ustępów przedmowy, bo rzecz rozciągnęłaby się zanadto. Oto np. kilka wierszy, na które przypadkowo padło mi oko w tej chwili: „Kościół, który więził Galileusza za prawdę, uznał z postępem czasu fakt, że się ziemia około słońca obraca; *miałżeby nie uznać, że ten który stworzył człowieka, udarował go władzą odkryć i postępu?*” I zkadże to?, albo kościół odmawiał kiedykolwiek człowiekowi władzy odkryć i postępu? Kościół dla różnego rodzaju odkryć i nauki był rozmaicie usposobiony, ale nie zaprzeczał faktu, że Bóg obdarzył człowieka władzą odkryć i postępu.

Takich miejsc w pomienionej książce jest wiele i w nich autor zbija to, co w rzeczywistości nie ma miejsca i wojuje ze swoim własnem *pro i contra*.

Na dowód jeszcze parę przykładów wyjętych z samego dzieła. Na stronicy 184: „*De Humboldt, Elie de Beaumont* i inni geologowie utrzymywali, że wystąpienie wielkiego łańcucha Alp, a jak niektórzy uczeni utrzymują Kordylljerów, jest przyczyną wyjścia oceanu ze swego łożyska i zalania ziemi w czasie ogólnego potopu”. Czytelnik naturalnie nie zrozumiał, jakim to sposobem jedno tylko wyjście oceanu ze swego łożyska, i zalanie ziemi wodą mogło sformować łańcuch Alp, czy też Kordylljerów. Autor także z pewnościąby nie wytłumaczył, jakim sposobem to się dzieć mogło; genialny zaś umysł Humboldta nie tworzył podobnej teoryi i nikt w jego dziełach takowej nie wyczyta. Humboldt był właśnie tego zdania, jakie autor podaje za sąd własny: że wrząca w swych wnętrzościach ziemia podniosła swoją skorupę, która wydymając się ku górze pękła, i to miejsce pęknięcia stanowi dziś grzbiet łańcucha.

Albo na str. 152: „St. Hilaire wykazując jedność typu w królestwie zwierzęcém, rozwiniętego w ogniwach wielkiego jego łańcucha, też kwestyi początku zwierząt ani człowieka nie dotarł.” Więc autor robi obietnicę spełnienia tego, czego inni nie spełnili; nb. obietnicy nie dotrzymał.

„Otóż wytłumaczę, piszę zaraz w następnym wierszu, ...jaki jest możebny logiczny, naukowy początek i rozwój *stworzonych już w zarodku* na ziemi zwierząt i człowieka!”

Jeżeli kto ma mówić o stworzonych już w zarodku zwierzętach i człowieku, w takim razie nie powinien tego nazywać tłumaczeniem początku, bo stworzenie zarodka jest właśnie początkiem, a wszystko następne jest tylko historią rozwoju. Ale wracamy do St. Hilaire'a. Na str. 188: „Idąc tak ciągle w tył (t.j. od wyższych organizmów do niższych), w ciemną noc przeszłości, kto wie, jeżeli geniusz nieśmiertelnego St. Hilaire'a nie miał słuszności w zasadzie, i jeżeli nie uznamy kiedyś dotykalnie, że wszystkie istoty organiczne są tylko rozwinięciem się na początku stopniowem a szybkim pewnego pierwiastka organicznego, wszystkim wspólnego, komórki np. organicznej”.....!! Druga ta wzmianka o St. Hilaire'ze jest w wyraźnej sprzeczności z pierwszą. Z tej drugiej trzeba sądzić, że autor uważa St. Hilaire'a za takiego, który dotarł kwestyi początku zwierząt i człowieka; w pierwszym zaś mówi, że St. Hilaire kwestyi tej *nie dotarł*.

Autor pomienionego dzieła, od początku aż do końca swojej pracy usiłuje przede wszystkim udzielić przekonanie, że cały świat materialny jest modyfikacją jednego pierwiastka, że wszystkie siły są odmianami jednej pierwotnej siły, że materya i siła mają jedno pochodzenie, nareszcie że cały świat materialny i moralny, wypływa z jednego źródła.

Sam o swojej pracy autor tak mówi (str. 35): „wykażemy że wszystkie na pozór tak różne od siebie siły, jak grawitacja np. i siła inteligencji, są jedną siłą, z różnicą potęgi, rozwoju, że są jedną i tą samą siłą, że są przyciąganiem w odpychaniu”. Obiektowi autor nie dotrzymał, jedności tej nie wykazał, bo i nauka wykazała tego nie może. Będzie to najwidoczniejsze z wypisów, które tu uczynimy (1):

Prowadząc rzecz o atomie, autor nie uznaje go za ciało czyli materią, a na zarzut jakoby można uczynić, że w takim razie trzeba uważać atom za zero, a zbiór zer nie może utworzyć materii, odpowiada: „тому nie uważam za zero, lecz jako momentalne istnienie (str. 36).”

Cóż to jest to momentalne istnienie, w którym ciało nie jest ciałem? Takie abstrakcyjne pojęcie jest nieprzystępne dla nauki, jako nie mające żadnej podstawy. Wyrażenie „momentalne istnienie” wymyślone dla tego, ażeby nie powiedzieć że o początku materii nie a nic nie wiemy. Teoria atomów już z samej natury swojej nigdy nie może być niczem innym, jak tylko hipotezą.

Na str. 38 autor, na chwilę, nazywa już atom bardziej po imieniu, to jest „stanem, w którym materya staje się nieokreśloną, staje się ideą”. Staje się tem pro prostu o czem nic nie wiemy, jak również o wszystkim co sięga początku wszechrzeczy.

Świeżych prac o tym przedmiocie jest wiele (p. de Poinso't o atomach eteru świata, Thomasa Younga o atomach wody.....),

(1) Miałem zamiar porządkiem, stronnica za stronnica, wykazać wszystkie, jakie znalazłem omyłki: ale kiedy liczba adnotacyi urosła do cyfry 107. musiałem zaniechać projektu.

ale najciekawszą dla publiczności chcącej mieć pojęcie o teoryi atomów, jest praca Herszla, drukowana w *Fortnightly Review* 1865 r. w której znakomity autor, przez usta rozumnej ale nie uczonj kobiety, śmieje się z tych, co nazywają siebie czystymi materialistami a wierzą w atomy, w których niema zasadniczych pierwiastków do utworzenia materyi. Wielkiej wagi jest także odpowiedź na to Tindala rozprawa, pod tytułem; „Budowa świata”.

O jednym prawdopodobnie pierwiastku, z którego powstał cały świat materialny, na str. 38 tak napisano: „Zdaniem mojem, do czego nauka jeszcze nie doszła (?) do czego jednak dojść może, że jeden jest ostateczny pierwiastek wszystkim ciałom wspólny”

Nauka do tej hipotezy doszła oddawna: już półtrzecia tysięcy lat temu jak Tales nauczał, że wszystkie ciała są odmianami jednej i tej samej materyi. Dziś znówu wrócono do tej samej teoryi z tą różnicą, że w miejsce wody uważają wodoród za najprawdopodobniejszy pierwszy pierwiastek. Traktowanie kwestyi jedności siły jest zupełnie to samo, co i o jedności materyi!

Str. 93. „kwestya jedności siły w rozmaitości jej objawów tak ściśle z pierwszą związana (t. j. z teoryą o jedności materyi), przewodnicząca wszystkiemu, *jeszcze nie tknięta*, nie miałaaby być jedną w typie, różną w objawach swojego rozwoju?”

Więc autor ogłasza siebie za pierwszego apostoła myśli i jedności siły, myśli „przewodniczącej wszystkiemu”.

Co jest przyczyną podobnego traktowania przedmiotu w czasie, kiedy te dwie kwestye: kwestya jedności materyi i jedności siły, szczególnie ostatniemi laty są traktowane z takim zapalem i talentem, a genialnych prac o tym przedmiocie nie zliczyć na palcach!?

Wspomnę tu chociaż o kilku ważniejszych: Herszla, *On the origin of Force* (The *Fortnithly Review* 1865 r.); *Secchi, Unità delle forse fisiche saggio di filozofia naturale*. Dzieło to ogłoszons w 1864 r. Faradeja: Siły przyrodzenia i ich wzajemny stosunek; Growego: Wzajemność sił fizycznych. Oba ostatnie dzieła wydane także lat temu kilka. Odsyłam zresztą do najbardziej znanego pisma: *Revue des Deux Mondes* za rok 1866, gdzie jest piękna praca p. Edgara Sarency, pod tytułem: „*La physique moderne*”. Z tej pracy można się dostatecznie przekonać z jaką energią, ostatniemi laty zwłaszcza, była podejmowana kwestya o jedności materyi i siły.

Autor wprawdzie idzie dalej jeszcze, i tu podobno jest bardziej oryginalnym, dowodząc, że „siła jest essencją materyi, że materya jest wyrazem siły”. Następnie odrzuca ostatecznie różnicę między materją i siłą, lecz utrzymuje, że siła i materya są jedną istotą w różnych tylko warunkach widzianą (?); że chwila stworzenia jest siłą, w materyi, jest materją w sile, jest *verbum*.

Jest to frazeologia zaciemniająca wszelkie pojęcie. Z pisma Śgo wiemy, że na początku było słowo, ale nauka nie dowiedzie jak ze słowa, jak z niczego powstała materya i siła. Dowiedzenie niemożebne, zwłaszcza w tak łatwy sposób jak grą w sąsiada,

i nazywaniem tej chwili poprzedzającej egzystencją materyi i siły, siłą w materyi, a potem na odwrót materią w sile.

Dalej autor bierze się do określenia wzajemnego do siebie stosunku materyi i siły, ale nie zdaje się być zdecydowanym, co ma zrobić z temi fantami, i tak: na str. 134 mówi: „że materya i siła są dwa krańce stworzenia”. Więc należałoby sądzić że są to dwie rzeczy różne; tymczasem niestety, zaraz na następnej stronnicy czytamy że „siła” znaczy materią „że siła i atom, siła i materya w zasadzie są synonimy.” Na tych dwóch stronach znajdzie wszystko: i należyte określenie, np. że atom jest łącznikiem siły i materyi” i że materya i siła jedno i że nie jedno. Po takiej robocie autor robi finał i wyrokuje ostatecznie, że „atom jest siłą” i dodaje „wyjaśniłem”. (135). Ale na str. 169 burzy znowu swoją dokończoną budowę, rozbija ją i decyduje na nowo, że „siła nie jest materią a „materya nie jest siłą” (wiersz 11). Jeżeli czytelnika obejmie żal po zrujnowanej budowie, niech się nie smuci nadto, ale idzie dalej: znajdzie choć w części pociechę w tym samym wierszu i przeczyta, że przecie „jest stan, w którym siła jest materią, w którym materya jest siłą”.

Tegoż samego rodzaju dowodzenie o tem, co było na początku, materya czy siła. Owoż dowiadujemy się, że „cała siła na początku była materią” (138), zatem na początku była materya; ale zaraz po komie mówi się dalej: „materya pochłonęła siłę”. Więc chyba na początku była nie materya a siła, albo też materya i siła powstały jednocześnie, albo nakoniec, siła nie została pochłoniętą przez materię, ale poprostu jest wynikiem materyi?

Toż i o upodobanej przez autora pierwotnej sile, którą nazywa „przyciąganiem w odpychaniu” i która, jak się wyraża na str. 159, jest „najprostszem wyrażeniem siły”. Wszystek świat fizyczny i moralny, jest wynikiem przyciągania w odpychaniu; czy żołądek czuje głód (117), czy dwie istoty się kochają (127), zawsze jest to tylko „przyciąganie w odpychaniu.” Słowem, jak mówi autor, wszystko co było dla nas dawniej tak różnem, jak światło, elektryczność, inteligencya, miłość i t. d. jest dziś jedną i tą samą siłą” (129). A dlaczegoż i dziś wszystko to niema być *nie jedno* dla tego, ktoby nie zechciał uwierzyć autorowi na słowo bez dowodu? Niechby się przyuajmniej autor sam trzymał stale swojego zdania, ale przeciwnie: chcąc wpoić w czytelnika przekonanie, że początkiem wszystkiego jest „przyciąganie w odpychaniu, na str. 133 powiada, że to póty tylko jest prawdą, póki duch człowieka nie zapaści się w siebie: „Duch człowieka, jeżeli się w siebie zapaści, tłumaczy nam, że niema siły odpychania i przyciągania, mądrości i miłości, tylko jest jedna sama w sobie;” a ku koncowi téjże stronnicy przeciwnie: „siła więc ostatecznie jest przyciąganiem w odpychaniu: Jedna *nie może być pojęta* i nie może istnieć bez drugiej”. Nakoniec następuje obwinienie wszystkiego w bawelnę w ten sposób: „pierwsza jest drugą, druga jest pierwszą. Obie są jedną”.

Ze świata materylnego do moralnego i umysłowego, autor przechodzi w sposób bardzo prosty i łatwy, mianowicie, wszystkiemu bez wyjątku przywłaszcza wszystko: „siła przyciągania i odpychania są mądre i kochające; miłość i rozum jest w kamieniu, w zwierzętach i w człowieku” (216); kamień nawet tak jest mądry i czuły, że „w uczuciach i w mądrości może zawstydzić czło. wieka” (138): atom jest także mądry i miłujący (131); powinowactwo chemiczne także mądre i kochające; i czy wzięść tę siłę powinowactwa, czy uczucie Petrarki, czy rozum Salomona, zawsze to będzie miłość w mądrości, mądrość w miłości, przyciąganie w odpychaniu, odpychanie w przyciąganiu (136). Ot i wszystko.

Wprawdzie, (214) „Równie jest trudną rzeczą i *nie pojętą* znaleźć miłość i mądrość w kamienia, jak sprowadzić miłość w mądrości Syna Bożego do praw gravitacyi Newtona; jednak to jest mozebnę, „jednak kamień jest mądry i pełen miłości” a „re-torta pełna jest „gniewu, oburzenia, drapieżności, gwałtu, miłości, zgody i głębokiego rozsądku” (!?),

W dysputach geologicznych pełno jest także najmylniejszych wniosków; jest ich zbyt wiele, ażeby tu można było ich wynotować i rozebrać. Wskażę tu tylko kilka miejsc główniejszych: na str. 141 i 142, o tem jak przy roztopieniu ziemi woda się na nią nie ulotniła; na 147, zkąd się wziął człowiek; na 196 dowodzenie o potopie i krytykowanie uczonych; na 200 o potopie; na 206 nieuzasadnione straszenie ludzkości potopem...

Ostatni rozdział o cywilizacyi, oprócz wzmianki historycznej o rozwoju ludzkości, zwłaszcza umysłowej, napelniony jest nadto temi kwestyami, które w toku całego dzieła ciągle się powtarzają, a które nie mają bezpośredniego związku z cywilizacyą: jak o potopie, o dawności ziemi etc.

Wykazanie przyczyny rozwoju i kilkorazowego upadku oświaty, nie tyle oparte na wywodzie z faktów, ile na własnem moralnem przekonaniu autora, w którym bardziej sam charakter natury ludzkiej, jak towarzyszające złe okoliczności wykazują się jako przyczyna upadku. Za przyczynę zaś wynalazków, postępu i w ogóle cywilizacyi, uważa autor jedynie „*instynkt potrzeby* wpływający z rozmnożenia się rodzaju ludzkiego” (235). Jeżeliby tego jednego instynktu było dostatecznie dla postępu ludzkości pod względem umysłowym, moralnym, przemysłowym.... t. j. w ogóle dla cywilizacyi: w takim razie mielibyśmy cywilizowane społeczeństwa i między zwierzętami.

Oto jest dzieło, któreśmy w głównych rysach rozebrali. Z porobionych dosłownie wypisów widocznem jest, czego mu brakuje. Dla dokładniejszego określenia dodajemy jeszcze, że głównym niedostatkiem dzieła jest brak naukowej podstawy, która byłaby zawsze gruntem do rozmaitych poglądów i kombinacyi. Brak porządku do tego stopnia, że jednego systematycznego wątku nigdzie dojsć nie można. Niekiedy całe rozdziały noszą tytuły nie odpowiednie do zawartej w nich treści, np: w rozdziale o nieśmiertelności duszy, rozprawia się o sile i o innych rzeczach,

ale o nieśmiertelności duszy niema żadnego wywodu. Wprawdzie ku końcowi autor stara się pocieszyć bojaźliwego człowieka, radzi ażeby się nie trwożył, ale nie jest to mowa o nieśmiertelności duszy, tylko o nieśmiertelności krążącej materji, która zehodzącego z tego świata człowieka nie bardzo obchodzi. Brak przytem stałości, stanowczości w zdaniach, co jak widzieliśmy z wypisów, nie pozwala pojąć nawet jakiego sam autor jest zdania w kwestiach, które rozbiera. Widzieliśmy, że na jednej stronnicy, na jednym wierszu nawet, znajdują się najsprzeczniejsze zdania.

Przy takim sposobie pisania, zamęt naturalnie, musi wzrastać stopniowo od początku ku końcowi: to też w wielu miejscach aż myśl się płacze i wypowiada posłuszeństwo, tak trudno jest z uwagą śledzić za autorem. Przyczynia się do tego jeszcze styl ciężki i niewykończony, tak, że czyta się np. jakiś długi peryod napisany w celu dowiedzenia czegoś, ale potem jakby się zapomniało o czem się miało dowodzić, stawi się kropka, i dalej rozpoczyna kwestya nowa, a czytelnik został na koszu. (str. 232 — 233 np. i inne)

Dzieło to nie może przynieść pożytku; przeciwnie, może obudzić lekceważenie dla przedmiotu i dla nauki w tych, którzy kwestyi téj przedtem nie studyowali, dla których ona jest obcą. Rozrzucone dobre uwagi i ciekawe fakta, w liczném złéu sąsiedztwie, tracą wartość. A jednak kwestye poruszone w tém dziele tylko w inny sposób traktowane, inaczej widziane, mają przed sobą wielką i świetną przyszłość.

Bronisław Strzebiński.

*O instytucji hipotecznej w Królestwie Polskiem, przez Karola Hube Pisarza kancelaryi ziemskiej gubernii Warszawskiej.
Część pierwsza, Warszawa, 1869.*

Bardzo użyteczną pomoc w praktyce sądowej przygotował p. K. Hube. Dzieło to jest obrazem instytucji naszej hipotecznej tak udoskonalonej jak żadna w Europie, a tyle już przynoszącej korzyści krajowi naszemu. Z wykładu pana Hube nietylko młodzież sposobiąca się do zawodu sądowego, lecz każdy mieszkaniec, każdy właściciel nieruchomości z największą łatwością praktycznie, jakby dotykalnie, obznajmi się jak najdokładniej z księgą hipoteczną, z przepisami hipotecznymi i z porządkiem tytoletnią praktyką ustalonym. Praca p. K. Hube składać się będzie z trzech części. Autor zamierzył przedstawić w pierwszej części: rys historyczny prawodawstwa hipotecznego w Polsce ze wskazaniem zasad, na jakich prawo teraz obowiązujące polega; w drugiej części: text prawa hipotecznego dziś obowiązującego i łączność z nim mających przepisów, z objaśnieniami i uwagami,

po większej części na polu praktyki sądowej zebranemi, w formie komentarza ułożonemi; w trzeciej części Księgę hipoteczną, z wykazem hipotecznym, aktami i wnioskami, tudzież z decyzjami zwierzchności hipotecznej: tym sposobem daje poznać mechanizm hipoteczny, okazuje jak prawo hipoteczne jest i jak powinno być wykonywane, łącząc teorię z praktyką dla wyjaśnienia pod obu temi względami, zalety systemu hipotecznego polskiego.

Pierwsza część stanowiąca tom jeden, który w tych dniach wyszedł na widok publiczny, odpowiada w zupełności założeniu autora i obejmuje:—okres pierwszy obowiązującego dawnego prawa polskiego—okres drugi obowiązujących praw pruskich i austriackich,—okres trzeci obowiązującego prawa francuzkiego i—okres czwarty, dziś obowiązującego prawa w Królestwie Polskiem. Bez względu na ważną pomoc, jaką p. Hube czerpał z prelekcyi litografowanych Józefowicza i z dzieła zasłużonego w zawodzie sądowym i naukowym Dutkiewicza, zawsze ta praca stanowi szacowny podręcznik, tém ważniejszy, że go p. Hube zbogacił spostrzeżeniami z własnej praktyki hipotecznej. O ukazaniu się następnych części, wiadomość czytelnikom Biblioteki udzieloną będzie.

A. J. S.

Za miesiąc, fotografia bez retuszu. Zdjęt z natury Wołody Skiba. Warszawa. 1869.

Czasy morałów w powieści, czasy pani *Cottin* i pani *de Genlis* minęły bezpowrotnie. Przeklęta zbrodnia nie występuje już w dzisiejszych powieściach w tak jaskrawych barwach swego piekielnego pochodzenia, jak to za dawnych owych pięknych czasów bywało; a z drugiej strony niebiańska cnota w przeczonych eteru blaskach nie króluje po wielu prześladowaniach i nieszczęściach na ziemi, lub też otoczona aureolą męczeństwa w swojej ojczyźnie, w niebie. Były to piękne zaiste, lecz nudne czasy, gdy owe nieśmiertelne typy: *ojca upartego i srogiego, matki męczenniczki* lub *kobiety światowej, córki anielskiej piękności i obyczajów* i t. d. czytały się na każdej karcie... Czasy atoli się zmieniły. Nie bez tego jednakże, żeby nie miało być wyjątków, które są jak powiadają, nieodzowne dla poparcia ogólnej reguły. Nic więc dziwnego, że taki właśnie wyjątek znajdujemy i w dzisiejszej powieści. Znalazł się autor, który obok różnorodnych kierunków, w jakich się dzisiejsza powieść rozwija, nie pogardził i ową dawniejszą jej misją kruszenia kopii za niewinność „piękną jak niebo, jak cherybin miłą,” uciśnioną despotyzmem ojca. P. *Wołody Skiba* w powiastce swojej: „*Za miesiąc*” postawił sobie za zadanie dowieść pewnika, który sformułował: „*Córki upartych i ograniczo-*

nych ojców wychodzą za panów Konstantych. Nie umierają wprawdzie, lecz są nieszczęśliwe." Nie wchodzimy obecnie ani w *nowość*, ani w *wartość* tego pewnika, bo to wymagałoby obszerniejszej rozprawy o tem, jakie ma znaczenie moralizowanie w powieści i jak je traktować należy, co jak uateraz, nie jest moim zamiarem; ale zwrócimy uwagę autora i czytelników, że tego pewnika p. W. S. *nie dowiódł*, być może uważając go już za matematyczny pewnik, który jak wiadomo, nie dowodzi się. Lecz zauważymy, że ten pewnik miał być dopiero ostatecznym rezultatem, a nie podstawą powiastki. Bądź co bądź, my z swojej strony musimy uzasadnić nasze twierdzenie, a w tym celu musimy przytoczyć skróconą treść tej „fotografii bez retuszu,” jak ją autor nazywa.

Mamy przed sobą bardzo niemiłą, a co gorsza, nudne towarzystwo. P. S. wprowadza nas w świat parawanowych postaci, chińskich figurek, słowem automatów, które tylko to mówią i tak działają, jak im każe pióro autora; nie widać w nich iskry samodzielnego życia. Są to p. *Roch*, który po dwudziestu kilku latach nieskazitelnej służby doszedł nareszcie stopnia dyrektora jakiegoś biurowego wydziału; dalej dwóch kandydatów do małżeństwa, protegowanych przez dwie siostry p. Rocha, które jakkolwiek nie bliźniaczki, miały jednak bliźniaczo-podobne usposobienie i t. d. Jak najchętniej opuszczamy to towarzystwo, aby się przenieść do ożywczej oazy, przedstawiającej się oczom naszym pod postacią ślicznej blondynki panny *Lodzia* córki p. Rocha, nieskazitelnego dyrektora. Ta *Lodzia* gdy skończyła 3-cią klasę w 13 roku życia, zapragnęła zostać już w domu, przywdziawszy długą sukienkę, i pomimo kilku zarzutów ze strony nieskazitelnego dyrektora o jej młodym wieku i braku dokładniejszego wykształcenia, rezolutna ta panienska postawiła na swoim. Tak przeszło dwa lata. P. Roch chodził do biura, na pulkę preferansa do swoich przyjaciół, jadł, pił i odpoczywał snem błogim, aby nazajutrz robić to samo i przypominać sobie zarazem dawne czasy, gdy będąc jeszcze bardzo małą figurką biurową, małpował do najdrobniejszych szczechołów całe zewnętrzne i wewnętrzne usposobienie swoich naczelników. A *Lodzia* tymczasem gospodarowała i dośłużyła się, jak mówił p. Roch, rangi *panny na wydaniu*. Ale ażeby mogła dalej po szczeblu rang niewieścich postępować, potrzeba było jakiegoś osobnika, któryby mężką swą dłonią wsparł te usiłowania. P. Roch pomyślał nad tym i zaraz przypomniał sobie, jak nieboszczyk teść, dawny dyrektor wydziału w którym p. Roch pracował, postąpił sobie w podobnym przypadku. Kazał więc oczyścić pokój, wyfroterować podłogę, powlec nowym sukniem stół do gry i wprowadził na wieczorek preferansowy, złożony z grona familijnego, p. *Włodzimierza*, który jest bohaterem powiastki. Trudno co o nim bliżej powiedzieć, gdyż go upomleł p. S. pod względem charakterystyki samemi tylko ogólnikami. Dość że był piękny, pracowity i ukształcony; pracował *naś*

w biurze p. Rocha. Za p. Włodzimierzem zeszedł się rój młodej biurowej, jak niemniej owi kandydaci do małżeństwa protegowani przez dwie bliźniaczo-myślące siostry p. Rocha.

Lodzia pokochała p. Włodzimierza. p. Włodzimierz pokochał Lodzie. P. Roch jednak, który poprzednio przeznaczył był w myśli p. Włodzimierza na męża swój Lodzi, zmienił wkrótce zdanie, a to z tej przyczyny, że p. Włodzimierz fatalnie grał w preferansa. Za to wyróżnił p. Roch z pomiędzy innych prawdziwego bohatera preferansowego p. *Konstantego*, który też z tego powodu zastąpił w myśli p. Rocha miejsce dawniej zajmowane przez p. Włodzimierza. Dotąd szło wszystko jak z płatka, ale widać w księdze przeznaczeń było zapisano, że anielsko-piękna Lodzia nie na kobiercu przysięgnie wieczną miłość swemu paladynowi. Bo oto nadchodzi groźna chmura, z której wypadły pioruny, gruchocące serce bohaterów naszych. Tą chmurą były ni mniej ni więcej tylko imienniny Lodzi. P. Roch przeznaczył jak wiemy, w myśli p. Konstantego za męża dla swój córki, ale nie powiedział jej tego wyraźnie. Lodzia zaś myślała tylko o swoim Włodzimierzu i zaniebala zapytać o wolę swego ojca. Był to pierwszy błąd bohaterki, z którego popłynęły inne, zakończone niby tragiczną katastrofą. Lodzia tak była pędzona nieubłaganą loiką pierwszego błędu, że zaplątała się w sieci, których rozwikłać następnie nie umiała: pięciu konkurentom którzy w dzień imiennin oświadczyli się jej, widziała się zmuszoną w ten sposób odpowiedzieć, że każdy za *miesiąc* był pewny jej ręki. Fatalny termin się zbliżał. Lodzia nie mogła się zdobyć na stanowcze oświadczenie ojcowi swój antypatyjki względem p. Konstantego a swój miłości dla Włodzimierza. Raz wprawdzie zdobyła się na jakieś oddalone napomknięcie w tej materii, ale p. Roch zburczał ją i udaremnił w ten sposób jej usiłowania. Pozostał tylko jedyny, wedle jej wyobrażenia zapewne tylko, a nie autora, środek. „Położyła przed sobą kilka paczek zapalek fosforycznych i biorąc jedną po drugiej oskrobywała na papier ich łebki.... Następnie proszek przygotowany wysypała do szklanki wody i wypła ją, nie zawahawszy się chwili....” Zostawiła promień swych włosów dla Włodzimierza, który często się modli na Powązkach.

Szkoda tej Lodzi! powie zapewne każdy czytelnik po skończonej powieści; ale czy będzie o to winił nieskazitelnego dyrektora?... to pytanie. Autor powiada *tak*; my powiadamy *nie*. Istotnie w całej powieści nie widzimy despotycznego charakteru p. Rocha. On, który wedle wyrażenia autora, był kompletnym zerem; on, który tak łatwo dał się namówić przez 13-letnią dziewczynę do powierzenia jej gospodarstwa; on, który miał tylko tę jedynaczkę, kochaną bez wątpienia jak każda jedynaczka; on nie mógł pragnąć śmierci swego dziecięcia; on byłby przebaczył p. Włodzimierzowi, zadawalającego go pod wszystkimi innymi względami, prócz tego że nie był mistrzem w grze preferansowej.

Jedyném usprawiedliwieniem tego fałszywego wniosku jaki zrobił p. S. byłaby szorstka odpowiedź p. Rocha na owo napomknięcie Łodzia; ale ściśle rzecz biorąc, jest ta odpowiedź albo błędem psychologicznym w przedstawieniu tej postaci, albo też wywołaną była jakimś anormalnym stanem p. Rocha, który nie mógł mieć żadnych następstw. W obu razach nie może ona służyć za *corpus delicti* dla oskarżenia p. Rocha o zabójstwo swjej córki. Tu całej tej katastrofie winna Łodzia i nikt inny. Ona sama nierozważuém swém postępowaniem i brakiem taktu wpadła w niebezpieczną pułapkę. Przytém znouwu muszę zwrócić uwagę na nieutrzymanie właściwego jój charakteru. Ona z początku tak śmiała i rezolutna, tak umiejąca opanować swego ojca, mająca taki praktyczny zmysł w postępowaniu; nie mogła przecież przez dwa lata utracić tych pięknych i potrzebnych każdemu przymiotów, które owszem winny były coraz więcej się wyrabiać i ustalać. Przymioty te powinny jój były pomódz w trudném położeniu i wywikłać ją szczęśliwie a nie zrobić z niej bohaterki z romantycznymi fantazyami i tragicznymi pomysłami. Takie Łodzie stają się z czasem bardzo dobrymi i nawet bardzo miłymi gospodyniami, ale nigdy (rozumie się w zwyczajnych okolicznościach) hugonowskiemi heroinami. P. S. ma gotową odpowiedz. Powiada że to *fotografia* nawet *bez retuszu*, że to *autentyczne* i t. d. Jakkolwiek stało się to powszechnym zwyczajem nie wierzyć zapewnieniom powieściopisarskim tego rodzaju, ja jednakże nie chcę używać tego środka dla odparcia zarzutu. Być może, że istotnie jakaś Łodzia otruła się zapalkami, ale również być może, że autor nie powiedział nam wszystkich motywów, które ją do tego skłoniły, a których może sam dokładnie nie wiedział.

Tyle co do głównej myśli autora i dwóch wybitnie rysujących się postaci. Inne osoby wchodzące do tej fotografii nie zasługują na bliższą uwagę, sam nawet bohater, jakieśmy nadmienili, zostaje w półcieniu, jest zupełnie istotą bierną. Pozostaje więc jeszcze zrobić kilka uwag o wykonaniu zewnętrzném tej powiastki i ogólnym charakterze talentu p. *Skiby*. Powyższe opowiadanie treści nie daje czytelnikowi wyobrażenia o tém, w jaki sposób jest pisana powieść p. S., gdyż to jest mojem zdaniem, zupełném prawie niepodobieństwem; potrzebaby bowiem wypisywać całe charakterystyczne kawałki, odróżniające sposób pisania pana S. od innych. P. S. ma swój odrębny oryginalny *styl*, który wprawdzie przechodzi bardzo często w nienaturalność i przesadę, przez co staje się nudnym. Styl ten nie odznacza się ani *poetycznością*, ani nawet szczególnym jakim *wdziękiem i potocznością*; jest on raczej kombinacją mniej więcej dowcipnych antytez, szukaniem dosyć odległych podobieństw między rzeczami, których ostatecznym celem jest rozśmieszenie czytelnika. To wszystko składa się na wyrobienie stylu żywego, ruchliwego, pełnego skoków, zakrawających na *salto mortale*. Do nadania tego charakteru stylowi przyczynia się oczywiście rodzaj talentu autora. Talent ten bowiem jest bardziej natury satyrycznej i burzącej, lu-

biącej dopatrywać śmieszności i wady społeczeństwa i te bicz-kiem, dość wprawdzie lekkim, chłostać ile sił stanie. W malowaniu też postaci komicznych lub w ogóle ujemnych najwięcej p. S. okazuje zdolności, chociaż wpada często w manierowanie i przesadę. Istotnie pociąg do karykatur zdaje się być przeważnym w pracach p. S., ztąd też nie stworzył dotąd żywych, samostaynych figur, ale jakieś marynetki, skaczące na drucie kierowanym przez autora. Nie znamy powodów, które skierowały na tę drogę talent p. S., ale być może, że zbytne uganianie się o naturalność a raczej chęć ślepego nieraz kopiowania życia, wyrodziła *nienaturalność artystyczną* i brak życia w jego postaciach; być też może, że oddalenie od ogniska, którego ciepłem ogrzewają się jego bohaterowie i bohaterki, spowodowało że objawy społecznego życia, że postacie na to życie składające się, stały się jakimiś stereotypowymi figurami, które się wiecznie odbijają w utworach p. S. Bo o zbytek inwencji nie można posądzać autora „fotografii bez retuszu.” Weźmiemy małego przykład, który objaśni tę okoliczność. Dwie postaci, które w tej fotografii występują pod imionami *Felicyana* i *Filipa*, owych dwóch kandydatów do małżeństwa, protegowanych przez dwie siostry bliźniaczko-myszące; otóż owi dwaj głupi, którzy zrobili zdaje się zakład prześcignięcia się w przymocie, będącym synonimem pewnego domowego zwierzęcia, występują pod innymi nazwiskami w dwóch jeszcze powieściach p. S. t. j. w *Kwiacie z Sumatry* i *Panu Walerym*. Tylko przypadkowe przymioty zmienione, ale grunt ten sam.

Nierównie jednak większe ubóstwo panuje u p. S. pod względem charakterów dodatnich. Charaktery te są to po większej części ideały dawno już nam znane, których treść daje się zamknąć w trzech wyrazach: *szlachetny, pracowity, ukształcony*. P. Skiba nie posuwa się dalej w określaniu tych ideałów i przez to nie daje nam poznać prawdziwego wnętrza tego, co uważa za dobre i piękne. Malowanie uczucia miłości jest u p. Skiby ogólnikowe, zimne, zbyt łada czem. Jest to bezwzględnie zadanie trudne, może najtrudniejsze po tylu poprzednikach powiedzieć coś nowego i zajmującego w tym względzie; ale z drugiej strony na czemże zasadzałby się talent powieściopisarski, jeśli nie na pełnym życiu i prawdy odrysowaniu tego potężnego czynnika w bycie społecznym....

Mylnieby wnioskował z tego co dotąd mówiliśmy, ten, kto by sądził, że odmawiamy p. Skobie powieściopisarskiego talentu. Co innego jest pisać i pisać zdolnie, a co innego stwarzać pewne ideały, kreślić uczucia, w którychby harmonijnie zbierały się i *prawda naturalna* i *prawda artystyczna*. Otóż p. Skiba posiada talent pisarski i to nawet w wysokim stopniu! posiada żywość pióra, dar bardzo trafny obserwacji i tę umiejętność zaciekawienia, która każę doczytywać jego utwory do końca, choć czasami czytanie to nie jest wolne od nieprzyjemnego tu i owdzie ziewnięcia. Ale z drugiej strony po przeczytaniu mówi się niedbale:

szkoda, że na osiągnięcie tak małego celu, na przedstawienie tak szczupłego zakresu pojęć, wypotrzebowano tyle czasu i tyle talentu; co dowodzi, że przynajmniej dotąd nie utworzył p. Skiba żadnego wyższego ideału, który sam jeden dać może pewnemu utworowi mniejszą lub większą trwałość i znaczenie w literaturze. P. Skiba posiada dość znakomite środki pisarskie, ale dotąd używał tych środków do dopięcia bardzo małych celów.

9 stycznia.

Chm.

-
- I. Dramaty Heysego: 1) *Elżbieta Karolina w 5ciu aktach.* 2) *Hans Lange dramat w 5ciu aktach.* II. 3) *Złe języki komedia w 5ciu aktach H. Laubego.*

Niezmierna zachodzi różnica między dramaturgami francuzkimi a niemieckimi. Pierwsi mają pewne powinowactwo w samym już wyborze przedmiotu, w formie opracowania, w dyalogu i werwie; drudzy różnią się od siebie duchem, formą, ideą zasadniczą: słowem zachowują najwybitniejszy indywidualizm. Dość byłoby tu porównać ze sobą Frejtaga, Hebbła, Brachvogla, Heysego i Gottschala. Jeden z drugim tworzą najsilniejsze przeciwieństwo, najodrębniejszy punkt wyjścia. Żaden z nich nie trzyma się zasad uświęconej szkoły, nie należy do pewnego dobrze znanego obozu, ale każdy z najwewnętrzniejszego swego ducha wytwarza sobie właściwy system, pomysł, ideę i jej przeprowadzenie. Waruje to każdego oryginalność, lecz i to prawda że wyradza czasem i wybuchają potworność, jak to ma miejsce np. z dziełami scenicznymi Hebbła.

W obecnym przeglądzie mamy przed sobą kilka utworów dramatycznych Pawła Heysego, płodnego pracownika nie tylko na niwie dramatycznej, ale i na powieściarskiej. Ale kto wie czy ta zbytnia płodność, a raczej ten pośpiech w tworzeniu, nie szkodzi utworom jego dramatycznym. Talent jego naginający się z łatwością do wszelkiego rodzaju formy, nie wiele więcej sprawia sobie zachodu ze sztuką teatralną ile z każdym innym utworem. Pomysł zrodzony szybko w bujnej jego fantazyi, oddaje popędowi pierwszego wrażenia i stwarza dzieło sceniczne, natychmiastowo, świeżo, bez przetrwania go w sobie.

Tymczasem utwór sceniczny potrzebuje dłużej pory ażeby dojrzał, ażeby przesiąkł na wskroś tchnieniem prawdziwie dramatycznym. Tylko wtedy wywiera głębokie wrażenie na słuchaczku, i utrwała je na zawsze. Są sztuki cieszące się chwilowem powodzeniem, zawdzięczają to okolicznościom lub szczęściu, ale tylko

noszące na sobie znamię dojrzałości, trwają wiecznie. Heysego sztuki podobają się na scenach, ale nikt się dla nich nie zapala, nikt gorąco ukazania się ich na scenie nie pragnie i nie czeka. Jest coś, co osłabia całość organiczną; nam się zdaje że jest to właśnie brak owęj konieczności dramatycznej, będącej zawsze wpływem wewnętrznego skupienia, dobrego przetrawienia powziętego planu. Przytem Heyse zanadto hojnie szafuje wyborem przedmiotu i epoki, za często przerzuca widza w najróżnorodniejsze światy: starożytny, średniowieczny i nowoczesny, co wprawdzie świadczy o bogatej zdolności, ale zarazem o pewnym rozproszeniu, szkodliwie oddziaływającym na ostateczne wyrzeźbienie utworu. Tylko potężnym, udaje się wywołać zamierzcze światy, wygrzebać własną intuicyą zastygłego w nich ducha, i czarować dzisiejszych, lubiących wtedy tylko rzymską togę, gdy pod nią bije serce uczuciem i dziś rozumiątem. Ten eklektyzm Heysego w wyborze przedmiotów, połączony z pewną miękkością w traktowaniu, daje się lepiej spożytkować w powieści, niż na scenie. Czytelnicy Biblioteki Warszawskiej poznali już kilka powiastek jego pióra, mogąc ocenić artystyczność w obrobieniu jako i delikatność w cieniowaniu; wypada nam więc teraz zapoznać ich z działalnością Heysego na polu dramatycznym. Zacznijmy od pięcio-aktowego dramatu napisanego wierszem białym p. t. *Karolina Elżbieta*.

Bohaterka tytułowa jest księżną orleańską, żoną brata królewskiego, którym był Ludwik XIV, a córką palatyna Karola Ludwika. Księżna ta, wychowana w ojczyźnie odmiennęj surowością obyczajów, pojowaniem życia i jego obowiązków od kraju a raczej dworu francuzkiego, jaki istniał za panowania króla przezwanego „wielkim,” była ofiarą polityki dynastycznej, nie pytającęj się skłonności gły chodziło o trony, o zwiększenie państwa, o aneksyę plemion. Wydano młodą, głębokich uczuć i wszczępionych w krew cnót domowych księżniczkę, za człowieka zepsutego, zgniętego moralnie, świetnego tylko dworską galanteryą, jakiej wówczas równęj w Europie nie było, i majestatem jaki bił z czoła królewskiego jego brata. Ażeby dać dobrze poznać obyczaj owęj epoki, możeby najlepiej było przytoczyć tu kilka ustępów ze współczesnych pamiętników. Przedstawiają one (pamiętniki księcia St. Simona) z niepospolitą werwą, cały ten tłum różnobarwny pięknych, lekkich i pełnych dowcipu kobiet, pseudo-rycersko eleganckich panów, odbywających setki pojedynków z pokrzywdzonymi mężami, którzy za honor swych żon bili się jedynie z punktu honoru uświęconego modą; stek intryg kończących się dla jednych Bastyllą, dla drugich faworem u dworu, i wreszcie całą tę epokę osnutą na wojowniczym humorze przepysznie pozującego króla, około którego więksi i mniejsi, najznakomitsi i najpotężniejsi, poeci i artyści obracali się niby około słońca, dającego im blask i ciepło. Na dworze tym, gdzie gieniusz, ród historyczny, zasługi znaczyły tyle tylko, o ile je oceniał majestatyczny Ludwik, nic

dziwnego, że każda szersza indywidualność, każdy wybitny i o swoich siłach moralnych stać chcący charakter, uderzyć musiał jak jakaś dziwaczna odrębność, jak jakaś rażąca anomalia, którą obchodzono ostrożnie, zetknięcia się z którą starannie unikali dworacy, te satelity wielkiego planety. W takim położeniu znajdowała się niemiecka księżniczka. Nie mogąc przylgnąć do wstrętnej sobie atmosfery, zaniedbana przez męża uganiającego się codzień za inną miłostką, pozbawiona opieki nad własnymi dziećmi oddanymi obcym rękóm na wychowanie, poczuła się wielce osieroconą, boleśnie zranioną, tęsknie marzącą za krajem, w którym przepędziła swobodne pierwsze lata młodości, w pośród twarzy serdecznych, ogrodów kwiatami zastanych, rówieśnic i rówieśników serdecznych. Jednym z takich rówieśników był hrabia von Wied, oczekiwany właśnie w Paryżu jako ambasador ojca księżnej w sprawie sukcesyi, o którą już stoczono krwawe walki. Młodzieniec to średniowiecznych cnót rycerskich, ognisty, gotów do poświęceń za kraj swój i za księżniczkę pochodzącą z krwi jego panującego, która nadto... wryła się w sercowej jego pamięci osobnym znamięm: pierwszą młodzieńczą miłością. Stosunek ten wspomnień młodości hrabiego i księżnej, zaznaczony lekko, nie zbyt wyraźnie ażeby nie osłabić godności kobiety-małżonki, wystarcza jednak do podniesienia zręcznie przez dworaków uknowanej intrygi.

Księżna niema przyjaciół u dworu. Pani de Maintenon, tajemnie zaślubiona Ludwikowi XIV, nienawidzi jej, bo ta nie uznaje nowego jej stanowiska, bo ta pamięta z jakiej krwi pochodzi a jakimi drogami ona doszła do tronu. A wszak wiemy, że była to kobieta chytra, nieprzebierająca w środkach, mająca u siebie usługi cały legion usługujących zauszników, gotowych, gdy trzeba popełnić choćby zbrodnię. Pani de Maintenon czeka na zemstę cierpliwie, wybierając tymczasem potrzebne jej narzędzie w osobie kawalera de Lorraine, zakochanego w księżnej, ale z pogardą odrzuconego i ze wstrętem. Porę sposobną dojrzała z chwilą przyjazdu młodego ambasadora, hrabiego de Wied. Przyjeżdża on z siostrą, piękną i naiwną dziewczyną, którą przedstawia księżnej i księciu jej małżonkowi. Spodobała mu się też od razu, a sądząc ją po innych, pewnym jest łatwego tryumfu.

Pochop do rozpoczęcia tajemnego działania, biorą nieprzyjacielem księżnej ze sceny (bardzo pięknej w dramacie), jaka zaszła przy wręczeniu przez hrabiego listów wierzytelnych królowi. Hrabia żąda uznania kraju swego, jako niezależnego od Francyi, a zarazem zaniechania pretensyi na złej zasadzie opartych. Prawem albowiem zastrzeżone jest, iż każda księżniczka wychodząca zagranicę za męża, zrzeka się wszelkich praw do rodzinnego swego kraju, wojna przeto toczona-li na mocy urojonego posagu, nie może zwać się sprawiedliwą. Wojna ta niszcząc kraj niewinny, ogniem i mieczem przez siedm lat, sprzeciwia się wreszcie traktowaniom pokojowym ryswickim. W uroczystej przemowie, żąda hrabia dopeł-

nienia paktów pokojowych, wzywając ku swemu poparciu księżnej orleańskiej, jako naturalnej orędowniczki rodzinnego swego kraju. Oburzony król nie chce słuchać ambassadora, głuchy na łzy i prośby klęczącej u nóg jego księżnej, błagającej o litość, o zaprzestanie krwi rozlewu. Odchodzi z oznaką niełaski dla swój bratowej. pozostawiając cały dwór w osłupieniu.

Wtedy to kawaler de Lorraine podsuwa pani de Maintenon podejrzenie, że młody hrabia był niegdyś paziem na dworze księżnej, że był i jest jeszcze gorąco w niej rozkochany. Podsuwa zarazem cały plan intrygi, co dramatowi szkodzi, bo osłabia interes. Polega on na tém, że gdy dwór będzie na polowaniu w St Cloud, książę Orleański który ściga hrabiankę Wied swą miłością, wyciągnie ją na słówko co do tajemnic brata, w pawilonie pałacowym, on (de Lorraine) tymczasem przypilnuje drugiej pary to jest księżnej i hrabiego. Tak się téż stało. Księżna w długiej rozmowie z hrabią, w której oboje oddają się wspomnieniom młodości, nakłania się z wolna do spełnienia tajemnej missyi ambassadora, którą ma być odwołanie się księżnej w sprawie wojny sukcesyjnej, do cesarza i sejmu niemieckiego, iż nie uznaje rozstrzygnięcia pośredniczącego Rzymu. Młody ambassador umie ją nakłonić dawnymi wspomnieniami, pamięcią na starego ojca i kraj wyczekujący od niej ratunku, a trochę i osobistym zapalem, w którym księżna nie może nie widzieć ognistego dla siebie afektu. Niebaczna odbiera od niego przygotowany już blankiet, którego jednak podpisać nie chce, ale każe mu czekać na odpowiedź, wieczorną godziną w rzeczonym pawilonie.

Tu widocznym jest błąd i naciąganie, wynikłe skutkiem umówienia się kawalera z panią de Maintenon, gdyż oboje nie mogli wiedzieć naprzód, że księżna naznaczy schadzke właśnie w tym pawilonie i na dzień polowania.

Schadzka staje się tém niebezpieczniejszą, że król w niełascie swój, zakazuje księżnej znajdować się na polowaniu.

Mimoto o naznaczonej godzinie czeka księżna z bijącym sercem. Nie może przed sobą utaić, że nie samo oddanie blankietu sprowadziło ją w to miejsce, że ją ciągnie mimowoli przykryte popiołem uczucie. Lecz zamiast hrabiego, zjawia się siostra jego hrabianka, której w tém miejscu naznaczył schadzke książę Orleański pod pozorem wyjawienia jej ważnej tajemnicy, czemu niewinne dziewczę uwierzyło. Księżna obawiając się dłużej czekać, wręcza blankiet hrabiance, dopisując na odwrotnej stronie serdeczne pozdrowienie, z poleceniem, iżby go nie oddawała nikomu, prócz bratu. Hrabianka chowa blankiet w zanadrze, a w tém wchodzi ostrożnie sam książę, który ze zdziwieniem dostrzegł odchodzącą swą małżonkę. Prawi jej o swój dla niej miłości, na co gdy oburzona odpowiada z godnością, żąda od niej rózy przyspilonój do piersi, na pamiątkę. Gdy ona jej odmawia, wyrwa ją gwałtem, a z rózą wysuwa się i ów nieszczęsny blankiet, który książę bez ceremonii podniósłszy, czyta. Nie słucha jej prośb, nie widzi jej łez, ale list, szacowny dla swych planów dokument, zabiera.

Zaledwie wyszedł, a za nim zrozpaczona hrabianka, wychodzi z bocznych drzwi księżna z hrabią von Wied, który jest już na tropie intrygi, gdyż wierzchowca księżnej odesłał kawaler de Lorraine. Poznaje z tego przestraszona, że chcą ją umyślnie a wbrew zakazowi króla, naprowadzić przed jego oblicze. Żegna się z nim serdecznie, zawiadamiając go że blankiet oddała siostrze a nie podpisała dlatego, bo nie chce wnieśzaniem się swoim spokojowi ogólnego zakłócać. Głęboko wzruszona, hamując przelewające pierś jej uczucie, kładzie rękę błogosławiając na jego czole, gdy wtém słycać trąbki myśliwskie, a tuż we drzwiach staje pani de Maintenon z kawalerem de Lorraine. Cały wrzący z gniewu, wychodzi hrabia pod pozorem szukania koni dla księżnej, razem z kawalerem; zostaje księżna z panią de Maintenon która zawiadomiwszy ją o przejęciu blankietu, ofiaruje jej zdradliwą przyjaźń i milczenie względem stosunku jej z hrabią. Lecz dumna a niewinna księżna odpowiada jej z taką królewską pogardą, z taką godnością, że chytra Maintenon zrzuca maskę, i pieniać się ze złości wypowiada księżnej otwartą wojnę. Nie zasypia też gruszek w popiele, ale z całą zajadłością zranionej miłości własnej, z całą zręcznością doświadczonej intrygantki, podszczuwa króla na księżnę, żądając głośnej jej niełaski. Król się waha, bo przywykł szanować piękny charakter bratowej, ale czegoż nie dokaże kobieta-żona, zwłaszcza gdy nią jest taka, która jedynie wpływem swym osobistym, zdołała się z niskiego stanu wydostać na szczyśle tronu? Przeszkodziła jej atoli w rozmowie księżna przychodząca prosić króla, ażeby jej pozwolił usunąć się w zacisze klasztorne. Jeszcze nie skończyła, gdy wpada książę opowiadając o pojedynku zaszłym między hrabią von Wied a kawalerem, przyczem daje kompromitująco do zrozumienia: że poróżnienia przyczyną była żona jego, a bohaterem walczącym za nią, jej kochanek. Król w najwyższym gniewie zapomina o prawach międzynarodowych, i każe zamknąć w Bastylli meldującego się właśnie hrabiego; księżnie zaś w gorzkich słowach daje pozwolenie na zamieszkanie w klasztorze z dodatkiem, iżby tam czekała dalszych jego rozkazów.

Lecz w głębi duszy król uczuwa żal. Żal mu jedyniej może kobiety na całym dworze, którą przywykł szanować. W trakcie smętnego zamyślenia w jakie król popadł, wprowadzają samego kawalera przychodzącego prosić o uwolnienie rycerskiego hrabiego, lub o zamknięcie go z nim razem w Bastylli. Coraz bardziej przekonany się król o niewinności bratowej, a gdy i powody polityczne skłaniają go do zawarcia ostatecznego pokoju, biegnie oznajmić gotowej już do drogi księżnej, że pragnąłby widzieć ją na uczmie obchodzącej przywrócenie pokoju rodzinnemu jej krajowi. Przepelniona szczęściem księżna, nazywa króla przyjacielem, a księcia żałującego swego postępowania, po raz pierwszy, mężem.

Z treści krótko podanej, ocenić każdy może całe jej bogactwo, ale zarazem i następstwem jej będące powikłanie, naśladownicze gmatwanie intrygi. Nie ma w całości owego spokoju twórcy, któ-

ry przesuwa przed sobą postacie, rozgrzewając je stopniowo aż do chwili, w której najwyższe patos wyczerpaniem być powinno. Przeszkadza takiemu wewnętrznemu spokojowi, różnolitość akcji rozdrabniająca niezmiernie główne tło, a więc i osłabiająca główny interes, około którego, wszystko inne grupować się winno tylko jako akcesoryja pomocnicze. Piąty wreszcie akt przeładowany wydarzeniami, nie koniecznie związanymi ze sobą logicznie, posługuje się w dodatku aksjomatem wynagrodzenia cnoty, który jeżeli gdzie to w takim historyczno-psychicznym *szauszpilu*, (bo nie mamy na ten wyraz polskiej odpowiedniej nazwy) najniesmaczniej wyglądać musi.

Taki ladaco i najgorszych zasad człowiek jak książę Orleański, poczuwa się nagle, bardzo nagle, do obowiązku moralności, do przywiązania rodzinnego, i przyrzeka być najczulszym mężem. Tak samo kawaler de Lorraine, łotr bez sumienia i płatny zausznik staje się nagle rycersko-drażliwym, gdy konający prawie przychodzi błagać króla o uwolnienie swego przeciwnika. Dwa te charakterki przypominają zbyt żywo, szkicowane postacie markizów z komedyj czy dramatów Scribego. Przyznać jednak trzeba, że plan ułożony jest z talentem, że niektóre sceny wyjść powinny na scenie z porywającą siłą, mianowicie te wszystkie w których działa i mówi księżna. Widocznie w tej postaci rozmyślał się poeta. Król Ludwik XIV przedstawiony zbyt sentymentalnie i z nadto *pozuje* na króla, ażeby można wierzyć że to istotnie ten władzca który rzekł: *L'état c'est moi* i dotrzymał tego. Wygląda on raczej na bardzo poczciwego magnata, właściciela obszernych włości, pragnącego godzić kłócące się ciotki z siostrami w swęj rodzinie, aniżeli na potentata, przed którym swojego czasu drżała Europa.

Z czasów Ludwika XIV do średniowiecznych, z Francji bijącej blaskiem cywilizacyjnym do Pomeranii, to przeskok zbyt gwałtowny, zbyt niebezpieczny, na który nie każdy pisarz chciałby się narażić. Lecz Heyse, jakeśmy to rzekli, jest cokolwiek pod tym względem pretensjonalny. Dziś jest w Rzymie (dramat: Sabinki), jutro we Florencji, pojutrze w średniowiecznych Niemczech, lub znowu w obcej całkowicie ogółowi Pomeranii. Nie można mu zaprzeczyć że zna epoki z którymi idzie w zapasy, ale nie zawsze osiąga koloryt wieku, a czém najgłówniej szkodzi złudzeniu przeszłości, to ideami swemi nowoczesnemi, wykwitłemi na gruncie obecnego wieku, dzisiejszych potrzeb i zasad. Zatraca przeto wierność historyczną, która w tym wypadku jest zarazem artyzmem i umiejętnością dramatyczną. Pisarzowi dramatów przeszłości, potrzeba prócz intuicji, wewnętrznój jeszcze harmonii, filozoficznego spokoju, dalekiego od przymieszki nowoczesnych pojęć i płynących zjad namiętności.

Dramat p. t. „Hans Lange” rozgrywa się właśnie w Pomeranii w roku 1476, a wieśniak jest jego bohaterem. Jest bohaterem

rem rzeczywiście, bo mu autor zachowując dlań całą prostotę i rozuin wieśniaczy, dał czyny-wysadzające go na główną postać dramatu, ale czy cofnąwszy się w owe czasy, możebnym jest przypuszczenie takiego wieśniaka, to inne pytanie. Chłop Hans Lange (pamiętajmy że są to przedreformacyjne czasy) ma butę, jeżeli nie butę, to przynajmniej odwagę słowa i czynu, pojęcie samodzielności i niezależności, których u chłopca w owym wieku dopatrzeć trudno. Pojęcia te są pojęciami dzisiejszemi autora, albo wreszcie dzisiejszego oświeconego i to niemieckiego wieśniaka.

Autor zanadto subiektywnie zespolił się ze swą kreacją, co jój zaszkodzić musiało. Lepiej bezporównania udały mu się inne figury wiejskiego świata: rodziny Hansa. Realizm ich żywotny, zdrowy i na swe czasy najzupełniej możebny. Lecz przypatrzmy się bliżej utworowi:

Zofia księżna panująca Pomeranii, ma męża który gdzieś tajemnicze w dalekich stronach pędzi życie, ma syna Bugslaffa, i marszałka nadwornego, który jest właściwie panującym, bo rządzi państwem, nią i synem. Mąż ten którego przez pięć aktów dramatu wcale nie widzimy, dręczył Zofię, jak widzów zapewnia marszałek, nieugiętą swą wolą i żądaniem ażeby mu oddała skarb posagowy, czego gdy uczynić nie chciała, osadził ją w więzieniu zamkowym, zkąd ją dopiero uwolnił usłużny marszałek, samowładny teraz za to rządca i pan. Czy go księżna kocha miłością występłą jak o tém bąkają dworzanie, czy tylko ulega przez wdzięczność i poddanie się jego przebiegłemu rozumowi, tego poeta żadną miarą wyrazić nie chciał, aż dopiero w przedostatniej scenie piątego aktu dowiadujemy się z ust samejże księżny, że nigdy między nią a marszałkiem miłości nie było. Oświeca to bardzo moralnym i pięknym blaskiem charakter prywatny księżnej, ale mdłym czyni i nienaturalnym węzeł samegoż dramatu, który powinien być rdzennie zapleciony, jeżeli ma być psychicznie logiczną podstawą dalszych wydarzeń. Intrygi albowiem marszałka, nie pozwalające księżnej nigdy pogodzić się z owym niewidzialnym małżonkiem, jakoteż stale dążąc do usunięcia prawego następcy od władzy, nie mają w takim razie należnego wytłumaczenia, rzucając wprost złą a przecież nie dramatyczne światło na samą księżną. Wiele się poświęca dla namiętności, zaślepiającej sumienie, wiele dla interesu jeżeli ten staje się hasłem życia, ale niechcieć zgody z mężem, którego się w gruncie szanuje (jak to wyznaje księżna), odpychać od macierzyńskiego serca i ojcowskiego domu jedynego syna, dla tój tylko przyczyny, że tak zręczny intrygant nakazuje, to za wiele. Księżna cierpi nad tém, że syn odwrócił się od niej sercem, że pozbawiła go ojca, a przecież daje się wodzić na pasku. To się usprawiedliwić dramatycznie nie da, gdy przeciwnie bardzo rozumiemy występłą namiętność matki Hamleta, spełniającą dla niej straszliwą zbrodnię. Wielkie zbrodnie muszą mieć wielkie motywa, jeżeli chcą figurować w tragedyi. Prawda że „Hans Lange” nie jest tragedją, ale snując się dramatycznie, powinien mieć swą dramaty-

czną przyczynę. Czyżby autor umyślnie hamował się w zapędzie? Być może, gdyż niemal we wszystkich jego dramatach dostrzegamy zapęd często nawet tragiczny, i natychmiastowe jego powstrzymanie, jakby żałował smutnego losu bohaterów, który im powinien był zgotować. Takie odmiennie zakończenie, psując całą poprzednią robotę, wskazuje zarazem przeważny zmysł powieściarski autora. W powieści łatwiej doprowadzić bohaterów do ostatecznej granicy upadku materialnego i moralnego, a potem rozwinięciem dalszém, nie troszczącém się o czas, miejsce i okoliczności, tychże podnieść znowu i postawić jak wprzód lub nie wiele odmienniej; ale w dramacie szkodzi to jedności wewnętrznej, konieczności tragicznej, bez której dramatyczny utwór niemożebnym się staje.

Tak więc marszałek Masson od pierwszej sceny działa na zgubę syna księżnej Bugslaffa, stojącego mu na przeszkodzie do osiągnięcia tronu. Zaczął od kierownictwa jego wychowaniem, które mu się w części powiodło, bo Bugslaff dziki, nieugięty, szorstki, odstręcza sobie wszystkich, lecz w tej nieugiętości widzi on jeszcze niebezpieczeństwo dla siebie. Więc radby go zniżyć, popędom jego dzikim dać odpływ pospolity, serce jego i umysł skazić, a najlepszą ku temu drogą wydaje mu się oddanie go na wychowanie chłopu, Hansowi Lange, o którym słyszał wiele. Plan ten upozorowany wążem zdrowiem młodzieńca, wymagającym świeżego powietrza, podsuwa matce. Matka zgadza się po krótkim oporze, a Masson przywołuje Hansa. Jestto ziemianin bystrego rozumu, prostego i odważnego słowa, gotowego czynu i zdrowych członków, a przytém dostatni gospodarz, prowadzący gospodarstwo z ładem i niezwycajną energią. Niezmiernie zdumiony czego chcą od niego u dworu, gdy się dowiaduje o co chodzi, przestraszony wręcz odmawia, bo powiada, „że z chłopskiej skóry podjąłby się zrobić tego chłopca, ale z książętami nie wiedziałby jak się obejść.” Lecz tego właśnie potrzeba marszałkowi, ażeby młody książę zmarł w zaniedbaniu i pospolitych instynktach, więc nakazuje mu wziąć księcia ze sobą. W trakcie rozmowy, wprowadzają Bugslaffa i pokrzywdzonego przezeń kupca, któremu dzikie książętko porwało hartowny nóż szwedzki, a zapłaciło pchnięciem. Kupiec nie wiedział że to książę, więc nazwał go złodziejem, a książę znieść nie mogąc obelgi, pchnął go wziętym nożem. Srogi marszałek każe dumnemu młodzieńcowi przeprosić kupca, na co ten zrywa się i... gdy wyszedł marszałek, płacze. To pochwyciło za serce Hansa, zaczyna z nim rozmowę, obznajamia go z propozycją marszałka, i zachęca do jechania z nim na wieś, gdzie będzie mógł ujeżdżać dzikie konie, gonić wilka w kniei i łowić łososie... Ożywiony Bugslaff przystaje, ale Hans kładzie za warunek, ażeby powściągał ognistą swą naturę, żeby się obchodził z ludźmi po ludzku bo:

„Im wyżej kto urodzony, tćm więcej pamiętać winien, że przed Bogiem mały i wielki równi obadwa. Lecz... potrafiłszy książę spać na słonie, siedzieć na drzewie, a jeść to co my jemy?

„Wszystko— tylko precz z tego zamku, gdzie mnie dusi powietrze, gdzie truciznę piję z każdego kubka!”

Młody książę wkrótce tak się wżyć umiał w proste, a pracowite i czynne życie rodziny Hansa, że razem z parobkami żać chodzi, u wspólnego stołu ze smakiem proste zajada potrawy, a nawet się i potroszę zaleca do córki Hansa, Dorotki, za co ściągnął na siebie gniew zazdrosnego parobczaka Heninga. Hening dopóki panicza nie było, pierwszym był w tym domu, i pierwszym, na co miał dowody, w sercu Dorotki.

Młody książę wesół jest i pełen otuchy, i tylko kiedy wspomni o swym prześladowcy, zaciska pięście, obiecując mu zemstę, ale Hans który owładnął jego charakterem, radzi mu udawać przed marszałkiem głupiego, ażeby się nie zdradził że jeszcze o czém inném myśli prócz o jedzeniu i piciu. Lecz kiedy Masson zjeżdża, i zastaje go w chwili gdy się ugania za całusem Dorotki, w czém mu życzy ironicznie powodzenia, Bugslaff wybucha nienawiścią, którą wnet łagodzi chytry marszałek doniesieniem, że przyjechał niby go odwiedzić na dwór królewski postronny, gdzieby nabrać mógł rycerskiego poloru, i natrzeć się najpiękniejszym kobietom. Olsniony przyszłością, z radością się zgadza; lecz stara matka Hansa, której tenże przywykł słuchać jak wyroczni, ostrzega swego syna o podstępie, a ten mieszając się w rozmowę wtrąca z udaną naiwnością i dobroduszością, że lepijby może książę zrobił, gdyby pospieszył do łóża konającego ojca. Hans bowiem dowiedział się od jezduych, którzy przybyli z marszałkiem, że stary książę raniony w bitwie, dogorywa, więc nie trudno było mu się domyślić, że dlatego radby marszałek następcę tronu pod jakimbądź pozorem za granicę kraju wyprawić. Wściekły Masson nic nie wskórawszy wyjeżdża, a Hans, chcącemu biedz do ranionego ojca, radzi przywieźć w podarunku, zdobyte na nowo, i wydarte władztwo kraju tym, co je sobie nieprawnie przywłaszczyli.

Starcie krwawe i decydujące szybkim już postępuje krokiem. Masson namawia księżną, ażeby ogłoszwszy się rejentką państwa, po śmierci świeżo zaszłej męża, zawezwała do siebie syna, sam zaś stara się zręcznemi pochlebstwami, wysondować magnatów państwa, czyby skłonni byli przychylić się na jego stronę. Lecz von Krokow, Dewic i Puttkammer zrozumieli lisa, i nie wdając się w szerszą politykę a tylko pamiętając że Bugslaff jest prawem dziecięciem księcia, postanawiają skrzyżować mu plany, i nieść mu natychmiastową zbrojną pomoc.

Tymczasem Hans z Bugslaffem gotowi już do drogi, gotowi poruszyć kraj w imię pogwałconych praw następcy; żegnają się z rodziną, gdy wtém żyd Henoch, poczciwy i przywiązany do młodego księcia, wpada zdyszany oznajmiając że podsłuchał na noclegu rozmowę żołnierzy wysłanych przez Massona. Opowiadali oni o śmierci starego księcia i o daném sobie poleceniu, przywiezienia księcia na dwór matki. Jeszcze nie skończył, gdy słyhać tentent koni. Bugslaff przywdziewa czempredziej hałat żydowski

i udaje śpiącego. Żołnierze pod dowództwem zausznika Massona przeszukują dom cały, i byłiby uieochybnie odkryli Bugslaffa, gdyby nie podstęp parobka Henniga, owego rywala księcia, który niby mszcząc się na nim, zdradza tajemnicę wskazaniem drogi jaką tenże miał uciec. Dowódca wskakuje na koń chcąc doścignąć zbiega, ale wprzód zabiera ze sobą Hansa.

Wielce komiczną jest scena, gdy Hansa uwięzionego odwiedza Henning. Hans wypytuje go się o nowiny ze świata, a ten mu opowiada o młóćce, o ocieleniu się czarnej krowy, podając mu zaś jadło i napitek przysłane przez Dorotkę, każe mu się wzmocnić, bo niedługo będzie się cieszył tym światem.

„Zresztą — powiada — niech nie marnieje to jadło. Umrzeć przecie musimy wszyscy, a Dorotce bardzo będzie przyjemnie, gdy się dowie, że wam jeszcze na ostatni raz smakowało.” I potem znowu opowiada mu o zasiewach zimowych, żeby się o nie nie troszczył, boć przecie ma jego, jego, który jak mu wiadomo, dawno już kocha Dorotkę. Lepiejby więc zrobił, gdyby zawczasu pobłogosławił, a nie będzie mu tak przykro w godzinę śmierci...

Napęda to trochę strachu dzielnemu zresztą Hansowi, który zawsze ufa w pomoc swego wychowanka Bugslaffa. I nie omylił się, lecz przedtem odwiedza go księżna, prosząca go w długiej rozmowie, ażeby wpływem swoim wynógł na jej synie poddanie się i złożenie broni. Hans prawi słowa prawdy, przedstawia jej opuszczenie w jakim zostawiła jedynaka dla podszeptów niegodziwego marszałka. Wtém słychać odgłos trąb, dają znać że walka w mieście samém (Rügenwalde) wzrasta, wkrótce znowu, że Bugslaffowi jako zwycięzcy otworzono bramy miasta. Niedługo wchodzi tryumfalnie młody książę; Hans błaga go ażeby pogodził się z matką, na co ten odpowiada:

„Zmarłemu ojcu memu nie zamknęła powiek; ani żona jego ani syn. Mogę przebaczyć *mi* wyrządzoną krzywdę, ale krzywdy wyrządzonej memu ojcu, nigdy!” Matkę skazuje na wygnanie, a Hansa prosi aby wsiadł na konia i był zawsze przy jego boku; lecz zacny wieśniak odmawia zaszczytu, wyrzucając gorzko synowi, że tak srogo ukarał własną matkę.

Piąty akt uważamy za całkiem zbyteczny; osłabia on wrażenie kończące się tryumfem a mogące się skończyć gdy już autor chciał, przebaczeniem matce. Akt ten wygląda jak przyczepiony, i na nim znać więżej niż kiedykolwiek pióro powieścio-pisarza, pragnącego z wszystkimi osobami detalicznie się załatwić.

Hans uprowadził ze sobą księżną matkę, powierzając ją troskliwej pieczy starcy swój i mądrój matki. Księżna cierpi okrutnie, dręczą ją wyrzuty złego obejścia się z mężem zgasłym nie na jej rękę, osierocenie w jakim ją syn pozostawił i obawa o los jego w rozpoczętej dopiero walce, bo zna Massona że ten tak łatwo poddać się nie myśli. Zjawia się Bugslaff, któremu tają pobyt jego matki, lecz nagle dają znać że Masson zbliża się z jezdnyimi. Rzeczywiście wpada zuchwalec, i chce uprowadzić księżną jako

symbol władzy, a z nią jej skarby, o których ona tylko wiedzieć może. W dramatycznej rozmowie z księżną (której podsłuchuje ukryty syn) usiłuje ją przekonać o potrzebie dzielenia z nim razem losu, a gdy oburzona księżna wyrzuca mu nareszcie haniebne jego z nią postęпки, nadużywanie jej powolności kosztam nawet dobrej jej sławy, Masson chce ją uprowadzić gwałtem, lecz w tej chwili wypada z dobytym mieczem Bugslaff.

Nie byłaby się powiodła obrona, bo Masson miał ze sobą hufiec zbrojnych, gdyby nie przebiegły Hans, który wymknąwszy się pod jakimś pozorem, powrócił z gromadą uzbrojonych wieśniaków. Ulegając przeważnej sile, odchodzi sobie najspokojniej burzyciel kraju i buntownik, a po jego dopięro odejściu *w dumnej jak autor* *każe postawić*, wykrzykuje Bugslaff, ów młodzieniec dziki i waleczny: „Za nim, niech pomszczę raz tyloletnią hańbę”.

Nie, to nie jest zakończenie rycerskie, tem mniej dramatyczne. Dwie nienawiści lat tylu, gdy mają ku temu sposobną porę, niszczą jedna drugą lub niszczą się wzajemnie. Ażeby osiągnąć jakie takie pathos, porzebny jest czasem sztylet lub cięcie miecza, zwłaszcza gdy się rzecz toczy w dramacie rycerskim, a nie wewnętrznym i psychologicznym. W ogóle, wyjąwszy scen rodzinnych w domu Hansa, które są bardzo pięknym rodzajowym obrazkiem, dramatyczności prawdziwej wywołującej wzruszenie, wprawiającej w gorączkowe natężenie widzów, ślad tu bardzo mały.

Sztuka ta jednak dla swęj narodowej barwy, podobała się na scenach niemieckich pierwszorzędných jako w Berlinie, Wiedniu, Lipsku i Dreźnie. Na scenę naszą nie dałaby się przenieść, gdyż potrzebaby z nięj usunąć właściwości charakterystyczne narodowe, przez coby utwór stracił największą część swęj wartości.

Wypada nam teraz pomówić słów kilka o najnowszym utworze znakomitego dramaturga i kierownika artystycznego Burgteatru Henryka Laubego. Nosi on tytuł „Złe języki”. Ukazaniem się swoim wywarł wielkie wrażenie w Niemczech, i pobudził złe języki do komentarzy, z których się ustępujący naówczas z kierownictwa Burgteatrem w Wiedniu, nadarł wytlumaczyć usiłuje. Jeżeli mówimy nadarł, to dlatego, że publiczność każda lubi w dramacie czy komedyi wziętęj ze społecznego życia, szukać osobistości wydatnych lub znanych; publiczność lubi żywy komentarz, uzupełniając sobie dramat osobami znajomymi, a osoby znajome dramatem. Świeżo, bo na dziesięć lat przedtęm, skończył w Wiedniu tragiczną, samobójczą śmiercią mąż znany powszechnie, a zajmujący nieposłlednie stanowisko. Jak sobie opowiadano, okoliczności fatalne sprzyjające z ręcznej potwarzy, popchnęły do tak strasznego czynu człowieka nieposzlakowanego i niepospolicie uzdolnionego. Tęto temat drgający prawdą, wyrwany z życia którego bijące tętno każdy mógł dosłyszeć, posłużył za kanwę Laubemu, mającemu zasadę że ażeby ożywić teatr terażniejszości, trzeba go zasilać obrazami obchodzącymi żywo terażniejszość. Lecz posłuchajmy w krótkim streszczeniu własnych słów jego, napisanych z okazji

powyższego dramatu. (Właściwie „Złe języki” mają intytlucyję jak i bardzo wiele sztuk niemieckich „szauzspiel” na co w polskim języku niema odpowiedniej nazwy. Jestto jednak coś pośredniczącego między komedią poważną a dramatem, to co francuzi zowią: *comedie serieuse*).

Oto co mówi: „Przypatrywałem się losom człowieka popadłego w rozpaczliwą ostateczność przezto, że się potwarca przyczepił do pięt jego.

My wszyscy patrzący zblizka, widzieliśmy że potwarz gra tu wielką rolę, ale nie mogliśmy tego dowieść, więc i nie mogliśmy pomódz. A zdarzało się, że wąpiliśmy czasem gdy nas nowy jaki potwarczy wybieg niespodzianie zaskoczył, gdyż zręczna potwarz jest niewyczerpaną komedią intrygi. Potwarca zrazu, sam nie miał zamiaru doprowaździć rzeczy do takiej ostateczności, ale im więcej bronila się jego ofiara, tém większą czuł potrzebę nowych pomysłów ażeby usprawiedliwić i utrzymać w mocy pierwszą potwarz..... Zająście to stawilo mi przed oczami krzyczący fakt, jak obrzymią jest potęga wzrastającej potwarzy, a zarazem jak obfitóm źródłem stać się ona może dla dramatu, dla typowego obrazu..

Znałem spotwarzonego, jako męża niepospolicie uzdolnionego jako geniusz, nazywając tym wyrazem siłę niezależną od jakiegóś nabytej nauki. Nie dziwiło mnie więc wcale, że liczba jego nieprzyjaciół wzrastała. Geniusz wyzywa, bo chce działać samodzielnie, a kto chce być samodzielny, ten obraża cały zastęp mierności nieposiadających twórczej woli, a czujących się w poniżeniu, przed nowymi drogami twórczych ludzi.

Teraz też ujrzałem w nowém świetle przeszkody, tamujące postęp tego człowieka, i teraz zrozumiałem dlaczego znalazły się potwarze stanowiące przeszkody, słowem, los jego wydał mi się szerokiém polem, dającym się wyzyskać jako temat potwarczy.

Przyznaję się w estetyce teatralnej, do zwolennictwa tak zwanej: aktualności (rzeczywistości). Rozumiem pod tém znaczeniem takie wydarzenia, które dla każdego są ważne i ocenieniu przystępne, które charakteryzując terażniejszość, odwzorowują świat społeczny. Nie chcę przez to ograniczać teatru do tego zakresu. Prawdziwy poeta zaczerpie zewsząd siły i wykonania. Mówię tylko o *jednym* z ważnych pomocniczych środków dla teatru, a takim jest niezawodnie wydarzenie lub charakter, które na spółżyjących silne wywarło wrażenie. Nie rozumiem przez to wiernego kopjowania, ale ów powiew życia otaczający zdarzenia lub charaktery. Ten powiew oznaczamy w zwyktėj mowie: „wziąć coś z życia”. Takie prawdziwe motywa łączą publiczność ze sceną, bo pobudzają żywotną wymianę między aktorem a widzem, a teatr podnoszą do wysokości żywotnej instytucji. „Do bardzo wielu komentarzy, porobionych dla pojedynczych osób i scen mojej sztuki, przyznać się nie mogę, gdyż są mi najzupełniej obce”.

Słowa to znaczące, i dające bardzo zdrowe wskazówki dla piszących i dla publiczności. Laube doświadczeniem swém wielo-

letniem, sprawdzał stosunek sympatyczny jaki istnieje między utworem a przyjęciem, między teatrem a publicznością. Sondował on jako dyrektor teatru, usposobienie ogólne systematycznie arcydziełami dramatycznymi, utworami odtwarzającymi czasy starożytne i obrazami wziętymi ze społecznego życia, i nabrał przekonania, że wszystkie trzy rodzaje w połączeniu, to jest w uzupełnianiu się wzajemnym zadawalniają i kształcą publiczność; lecz że przedewszystkiem przedmioty zaczerpnięte z potrzeb, cierpień i radości świata teraźniejszego, zespalają nierozzerwanym węzłem publiczność z teatrem. Arcydziała podawane być winny jako nadzwyczajny przysmak, jako kosztowna potrawa zaostrzająca apetyt, a przeto dająca miarę porównania; lecz utwory odtwarzające życie społeczne, koniecznymi są dla teatru, tak jak chleb dla codziennego wyżywienia.

Rzecz dzieje się zaraz z podniesieniem zaślony u Krzysztofa von Macka, wzbogaconego i świeżo uszlachconego kupca, mającego żonę, poczciwą i prostoduszną gospozię, niechęcą się pogodzić z pańskimi fumami, jakie nagle męża jej napadły, — i dwóch synów Gottfrieda i Ferdynanda. Zaraz w pierwszej scenie poznajemy się z gośćmi pana Krzysztofa, zgromadzonemi z okazji jakiegoś familijnéj fety, o której złośliwi (wymienimy ich po nazwisku) szepczą sobie na ucho, że ma na celu zaręczenie syna Ferdynanda Macka, podsekretarza stanu z hrabianką Karoliną von Zech, córką generała a synowicą prezydenta kraju. Więc najprzód zaliczmy tu najważniejszego z gości, bo najważniejszą grającego — później rolę, *radcę Fiszera*. Jestto wielce, aż zanadto gorliwy urzędnik, wtrącający się do wszystkiego, z uszami rozciągniętymi na kilka mil w około, czychający na ludzkie słowo jak na zbrodnię, na błąd czyjś jak na czyn kwalifikujący się pod paragraf kodexu karnego, upatrujący we wszystkiém złą wolę, w niewinnym uśmiechu zamaskowane szkodliwych tendencyj, w łzach ludzkich fałsz i udanie, w szczerém słowie pychę i zamach na dobro ogólne. Człowiek ten znany jest w całym mieście, i nienawidzony powszechnie, ale dla złego swego języka i postronnych wpływów, cierpiany w towarzystwach. Bywa on téż wszędzie, polując na skandalik jak na łakoma gratkę, a że patrzy przez okulary własnego i najzupełniej odrębnego wyrobu, więc nie dziw że skandaliki wynajduje wszędzie, tam nawet gdzie się o nich nikomu nie śniło. Drugim z gości jest kapitalista *Soda*, który złośliwość i szkodzenie innym praktykuje z amatorsztwa. Nie wierzy on w nic zacnego, nie ma pojęcia o wyższości i honorze, widzi wszędzie podłość, głupotę i intrygę, ale one go tylko bawią, nie ma bowiem żadnych przytém interesownych zamiarów. Trzecim jest *Pranger* właściciel dziennika, widzący wszędzie i we wszystkiém, w pohąbieniu najszanowniejszego człowieka, w zburzeniu szczęścia całej rodziny, w upadku cnoty, w szkaradzie występku, jedynie rozgłos, jedynie artykułik przydatny jego dziennikowi czyli *reklamę* w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu. Im więcej paszkwilów i skandalów, tém więcej prenumeratorów; im

głośniej krzyczą i oburzają się zaczepieni i bezstronni, a cieszą ich nieprzyjaciele, tém więcej gadają o tym dzienniku, tém więcej wrzawy, a wrzawa to targ, to sprzedaż, to interes, to pieniądz. Za takie paszkwile idzie wydawca co najwięcej na kilka tygodni do kozy lub płaci karę, stanowiącą bardzo mały procent od zarobionego powyższym sposobem kapitału. Wszyscy się go boją, wszyscy przyjinują, bo wszakże on zabił tylko piórem, odarł z czci i uczciwości drukowaném tylko słowem, więc nie jest pospolitym zbójcą, którym każdy ma prawo pogardzać. Ale poeta nacechował go nazwiskiem Pranger, które po polsku znaczy: przegierz. Czwartym z kolei jest baron Meno, tajemnicza figura, awanturnik, niepewnego pochodzenia i zasłoną pokrytego sposobu do życia. Należy on do kwartetu jako podrzędny, akompaniujący instrument, z tém tylko odróżnieniem, że nie dba o harmonię kwartetową, ale o uwydatnienie swojej solowej gry, czyli krótko mówiąc: łowi ryby w mętnej wodzie. Tytuł baronowski którego nikt tak dalece nie sprawdza, otwiera mu podwoje złoczone pałaców, i daje przystęp do starania się o posażne panny, któremu to staraniu poświęca wszystkie swoje intryganckie zdolności.

Cały ten szereg, to potwarcy idący naprzód po zdeptanej ślawie tych którym ściskają rękę, to ludzie bez serca, którym najmilszą muzyką łyzy i przekleństwa ich ofiar. Zobaczmy jak się biorą do rzeczy.

Dwie rodziny von Strasów i hrabiów Zechów, są ogniskiem z którego wychodzące promienie ogarniają przedmiot całego dramatu. Zmarły Henryk von Stras był wysokim dygnitarzem, człowiekiem znakomitego talentu, geniuszem prawie. Działalność jego śmiała, widząca daleko, nieoglądająca się na ustawiczne przeszkody, intrygi i zawiści ludzi miernych a zazdrosnych każdej wyższości, której zrozumieć nie mogą, była wielce pożyteczną monarsze któremu służył i ogólnemu dobru. Lecz nieszczęśliwe okoliczności, wybuch wojny, uprawniły syczące, zjadliwe obmowy oskarżające urzędnika o zaprzepaszczanie milionów, człowieka o nikczemność i chciwość. Uprawniły dlatego, bo wielka finansowa operacya na której wiele budował, runęła. Monarcha popierający dotąd śmiałe jego plany, i niezmordowaną pracę, nakłonił ucho zniechęcony niepowodzeniem, zjadliwym podszeptom, a nieszczęsny poddał się rozpaczy, która go nagle hiby uderzenie pioruna zabiła. Pozostała małżonka, kobieta z rozumem i sercem, czcząca pamięć ukochanego męża i jego geniusz, pozostała wraz z dwiema córkami, w nędzy, wystawiona na napaście „złych języków” a mianowicie radzcy Fiszera, który nienawidząc nieboszczyka gdy jeszcze był potężnym, mścił się teraz szatańsko na biednej jego bezbronnej wdowie, i na dzieciach. Prześladowanie rozpoczął on systematycznie, umiejętnie, zawzięcie, z niepominięciem żadnego szczegółku, mogącego zgniebić i tak już zgneębionych. Poddała się ku temu najlepsza sposobność, gdy Ferdynanda Macka, podsek-

retarza stanu, zaręczył ambitny ojciec jego z hrabianką Karoliną Zech, synowicą naczelnego prezydenta kraju. Takie albowiem połączenie wywołało zazdrość i śmiertelną nienawiść, a w ich następstwie intrygi wszystkich interesowanych, których liczba była niemała. Więc najprzód radca Fiszer, obawiający się wpływu parweniuszów Macków, a zarazem przewidujący doskonale, że pogmatwania o jakie się będzie mógł postarać, skompromitują dwie odrazu rodziny, jedną której naczelnika zmarłego nienawidził, a drugą której naczelnika nienawidząc tak samo, bał się jednakże. Drugi, baron Meno konkurent o rękę hrabianki Karoliny, wiedzący doskonale, że ustąpić musi szczęśliwшему rywalowi, jakim jest Ferdynand Mack; dalej Soda rad, że nastąpi katastrofa, której rozgłosem bawić się będzie miasto całe, a on najwięcej, a nareszcie Pranger, łakomie oczekujący zniwa skandalów, mogących wystarczyć na czas długi dla dziennika. Cóż więc ci potwarczy robią? oto zbierają się w jedno, ażeby siłą nie rozpraszać, i słuchają ślepo jednego, który machiawelistycznie nawiązuje węzeł na węzełku, pewny, że tych węzłów żaden już potem miecz nie rozetnie. Radca Fiszer rozpoczyna atak, naturalnie od najsłabszych, od tych którzy się obronić nie potrafią i przez dumę czy inne względy osobiste, obronić nie zechcą. Trapi codziennemi wizytami wdowę, panią Strass, nakazując jej wydać papiery nieboszczyka prywatne, pod groźbą, która się inaczej wnet zamieni ma w drogą karę. Między innymi dowiedział się przypadkiem od niej samej, rozjątrzonej napaściami, że nieboszczyk pozostawił pamiętnik, *czerwoną książkę*, w której spisywał wrażenia swe i poglądy na bieg spraw, na ludzi i stosunki. Tę książkę pragnął posiadać za jakąbądź cenę, domysłając się, że ona mu odka w ręce całą rodzinę Strasów, a przeto i kochającego się oddawna Ferdynanda Mack w pannie Minonie Strass. Ferdynand albowiem został zaręczony z hrabianką Zech mimo woli, nie chce on zerwać stosunku tego nagle i wyraźnie, woli zaczekać na sposobną chwilę lecz kocha już oddawna Minonę, wtedy, gdy ojciec jej żył jeszcze i zaszczycał go swoim zaufaniem. Wtedy prawda, inne to były czasy, rodzina Strassów w wysokim była znaczeniu; głowa jej była ministrem wpływowym, posiadającym zaufanie królewskie, więc i nieprzyjaciele pokątnie szarpali sławę, otwarcie wystąpić nie śmiejąc. Wtedyto, ojciec Ferdynanda, pan Krzysztof Mack, nie miałby był nic przeciw takiemu połączeniu syna, również i baron Meno poprzestawał wówczas na staraniu się o rękę Minony, córki ministra, ale ludzie to jak owe złote rybki wypływające na wierzch wody gdy przyświeca słońce, a zanurzające się w głąb topieli, gdy niebo chmury powlekły.

Prześladowania Fiszera są tak dotkliwe i nieustanne, że obie córki Minona i Hertha, postanawiają bez wiedzy matki którejby duma na tém cierpiała, prosić Ferdynanda o pomoc.

Minona wymownemi słowy maluje stan rozpaczliwy, dodając że nie nędza, ani opuszczenie najdotkliwším są dla nich nieszczęściem, ale to, iż pamięć czcigodnego ojca bezczeszcza podli i za-

wzięci; odwołuje się ona do jego świadectwa, jako pomocnika prac ojca: on wie najlepiej jak zostały użyte miliony, o ubytek których winią dziś zmarłego. Boi się zaś przedewszystkiem gwałtowności matki, która nie może już dłużej znieść napaści Fiszera, żądającego między innymi ażeby prosiła o *łaskę*, wtedy gdy ona żąda tylko sprawiedliwości. Ferdynand podejmuje się gorąco obrony i złożenia dowodu nieskazitelności nieboszczyka, z którym wspólnie pracował, i obiecuje być u nich nazajutrz. Stawia się na słowie. Pani Stras opowiada mu pożycie swe małżeńskie, prace nieboszczyka męża, jego plany, pomysły, nieszczęścia, skutkiem których umarł nagle na aneurizm sercowy, a kończy energicznem postanowieniem nieodstąpienia ani na krok od energicznej obrony czci swego nazwiska, które szańbili potwarcy.

Wizyta Ferdynanda wypadła na drugi dzień po zaręczynach jego uroczystych z hrabianką. Tę chwilę wypatrzył szpiegujący kroki jego Fiszer, więc zaprosił barona i Sodę pod zmyślonym pozorem, na którym się oba dobrze poznali, ażeby odwiedzili wdowę właśnie w godzinie, w której tam będzie Ferdynand. Potrzebni mu oni raz jako świadkowie obelg i rekryminacyi, które spodziewa się wydobyć z rozjątrzonej wdowy, a potem jako rozgłosiciele kompromitującej plotki o Ferdynandzie, iż ten dzień przedtém zaręczony z hrabianką, nie wstydzi się zaraz na drugi dzień romansować z inną (Minoną).

Plan szatański udaje mu się wybornie. Przywiedziona do ostateczności bezbronna kobieta, nie może i nie chce się już powstrzymać, ale wybucha z całą gwałtownością, nie hamując się w słowach, które wróg jej będzie umiał wytłumaczyć dowolnie i jak mu będzie potrzeba. Wydaje się zarazem powtórnie z tajemnicą czerwoną księżki. Cierpienie długo dławione w piersiach, żal i oburzenie za poniewieranie pamięci ubóstwianego przez nią męża, za obecną nędzę i opuszczenie, wylała z taką potęgą wymowy, z tak gruchoczącą siłą prawdy, że musiała w tej chwili zapomnieć o wszystkich względach ubocznych, o ostrożności niezbędnej z niekczemnym wrogiem, który ten wybuch jej umyślnie przygotował i na niego czekał. Nadarmo chcą ją powstrzymać córki i wżruszony Ferdynand.

Zapóźno, tём więcéj, że ową nieszczęsną czerwoną księgę leżącą na stole, skradł baron Meno, dobrze wiedzący na co mu się przydać może.

Cała ta scena porywa dramatycznością zapалу oburzonej kobiety, silną charakterystyką działających osób. Widz czuje się naprzemian wżruszony i oburzony, kocha i nienawidzi działaczy dramatu, co już największym jest dowodem żywotności utworu dramatycznego. Jeden tylko błąd maszyny intrzygi razić tu musi.

Ową księgę czerwoną, na której zależało Strasom, która w ręku nieprzyjaciół musiała się przerodzić w narzędzie zguby, pozostawiono nieopatrznie na stole, w salonie gdzie przyjmowano wszystkich gości bez różnicy. Czyż da się przypuścić, iżby papiery stanowiące o losie całej rodziny, porzucono tak lekkomyślnie

i nieostróżnie, na pierwszym lepszym stole, w pokoju do którego każdemu wejść wolno? O tę książkę głównie nachodzi Fiszer dom Strasów, grozi i prześladuje, pragnąc zmusić moralnie do jej wydania. Pozostawiać ją więc tak nieostróżnie, jestto rachować na szlachetność, której przypuszczać u Fiszera i współników nie mogła, dobrze ich znająca pani Stras. Nic więc dziwnego, że taki baron Meno skradł ją po prostu, i oddał za przewodnictwem sekretarza królowi.

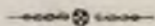
Lecz potwarczy nie poprzestali na jedném: za pośrednictwem towarzysza Prangera umieścili haniebny i bezczelny artykuł w gazecie, kompromitujący Strasów, Ferdynanda, hrabiankę Zech, jej stryja i ojca. Równocześnie zaś Fiszer złożył raport urzędowy, oskarżający wdowę Stras, o posiadanie papierów niebezpiecznych, i paszkwilów wymierzonych na najwyższe osoby. Prezydent hrabia Zech otrzymał rozkaz surowego poprowadzenia śledztwa w całej tej sprawie. Prezydent starał się niegdyś o rękę pani Stras, kochał ją szczerze, a choć nie został wybranym, żał mu jednak nieszczęsnój, zwłaszcza gdy poznał jej córki. Żał mu jej, chciałby ją ratować, ale oskarżenia Fiszera zredagowane zręcznie, opierające się na pozornie stanowczych dowodach, a wreszcie doręczenie księgi czerwonej, zawierającej rzeczywiście pewne ustępy nie dające się usprawiedliwić, pogorszyły rozpaczliwie stan rzeczy. Nieprzyjaciele zacierają ręce. Fiszer czelny i zuchwały nawet w obec prezydenta, przesłuchującego go surowo, pewnym jest w duszy, że księga czerwona dobije ofiary. Ferdynand naraziwszy rodzinę hrabiego, wmięszawszy nieszczęśliwie hrabiankę w zagmatwaną sprawę o której całe miasto gada, widzi nadto w najwyższém niebezpieczeństwie osoby drogie jego sercu, któreby chciał z narażeniem życia obronić. Naprężenie niezmierne. Każdy wyczekuje uderzenia piorunu. Minona tylko w przeciwnościach, w coraz sroższych pociskach nieprzyjaciół zaczerpuje siły, i z wylekłej, o los matki, o zdeptaną swą dziewiczą sławę, przemienia się w lwicę, w bohaterkę gotową domagać się na publicznych placach sprawiedliwości. Wtedy to (w domu hrabiego Zecha zeszli się wszyscy, oczekując królewskiego wyroku) prosi Ferdynand o rękę Minony, a brat jego Godfryd, dzielny i prostoduszny chłopiec, o rękę młodziej jej siostry Herty. Gotowi obaj, dzielić z niemi losy, cokolwiekbądźby wypadło. Lecz pani Stras dziękując im za szlachetne serce odmawia, bo nie chce wciągać w potwarcze koło, w które ją z córkami wpleciono, drugą jeszcze rodzinę, nie chce własném nieszczęściem zakłócać spokoju innych.

Nagle zjawia się sekretarz królewski: wszyscy drżą. Prezydent rozłamuje pieczętkę i czyta. Radość błyszczy na jego twarzy, oko spogląda z tryumfem na podłych potwarców, którzy z uśmiechem ironii natężyli uszu. Bo oto król nie tylko nie wyczytał żadnej zbrodni w czerwonej książce, ale nadto z niej się przekonał o wiernych i pożytecznych usługach nieboszczyka. Każe więc prezydentowi pamiętać o wyposażeniu pozostałej wdowy, a Fi-

szera, jako szkodliwego i podstępного urzędnika, uwolnić ze służby. Uszczęśliwiona wdowa wznosi ręce do nieba, dziękując Bogu za przywróconą cześć ceniom jej męża, a nawet pan Krzysztof von Mack niema już nic przeciw połączeniu swych synów z jej córkami. Być może dlatego, że zna ich niezłomny charakter, któryby w kwestyi honoru i serca nie pytał się o radę nikogo, nawet ojca.

Z samego już streszczenia łatwo osądzi czytelnik, dosadność, żywotność i silną charakterystykę wychodzącą niemal jaskrawo na scenie, niepospolitego i oryginalnego tego utworu. Mianowicie dwa pierwsze akty tryskają werwą, a jako *mise en scene* mogłyby za wzór posłużyć. Akt czwarty cokolwiek przeciążony wydarzeniami rozrywającemi jedność akcji—mały to atoli usterk, który w zlanu się całości, znika.

Edward Lubowski.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

— W poprzednim zeszycie naszego pisma podaliśmy ważną korespondencję profesora Szkoły Głównej Warszawskiej Jana Papłońskiego o Rękopisie Psalterza Małgorzaty, prostującą zmyłki jakie uczony nasz filolog dostrzegł w wydaniu tego pomnika przez Stanisława hr. Dunina Borkowskiego w Wiedniu 1834 r. Otrzymujemy teraz wiadomość, że drogocenny i jedyny ten zabytek języka polskiego, sprowadzonym będzie do Warszawy, i nowe jego wydanie krytyczne ogłoszonym zostanie.

— Porównanie przekładów z obcych języków, z rozmaitych epok literatury naszej, szczególnież téż poezyi i utworów estetycznych, naprowadza na ciekawe wnioski o postępie wzrastającej siły mowy naszej, o formach estetycznych jakie przejmują myśl naszą, o wpływie obcej literatury na naszą i o kierunku indywidualnym piszących. Jako małą próbkę takiego porównania przytaczamy tu przekład poezyi pod napisem: *Róża* z Wiktora Hugo, dwóch naszych literatek pełnych zasług i zdolności. I tak w r. b. w Nrze 9 *Bluszczu* p. Marya Ilnicka ogłosiła taki przekład swój téj pięknej poezyi Wiktora Hugo:

Raz motylowi mówiła biedna
Różyczka w kwiecie:
„Nie léć skrzydlaty, bo sama jedna
Będę na świecie...
Sercami blizcy, jednakie skarby
Mamy oboje,
Podobne blaski, podobne farby
Dane na stroje.
Tylko niestety! gdyś ty skrzydlaty,
Wzlecić nie mogę...
Chciałabym piersi méj aromaty
Choć ślać w twą drogę.
Ale daremno: twój lot w niebiosy
Nazbyt nas dzieli;
To téż co rano w łez srebrnych rosy
Stoję kąpieli.
By wierna miłość nie była bólu
Wieczną torturą,
Sam wrośnij w ziemię, albo mój królu
Mnie porwij górą”.

W r. 1838 w noworoczniku: Pierwiosnek, p. Paulina Krakow
taki swój przekład tego samego utworu ogłosiła:

Biedna róża, głębokie wydając westchnienia
Rzekła raz motylowi, co w górne biegł kraje:
„Patrz, jak odmienne nasze przeznaczenia:
Ty odbiegasz, ja zostaje!
Kochamy się jednakże, od ludzi zdaleka,
Nie dbamy o światy:
Podobniśmy do siebie, bo zdaniem człowieka
Obojeśmy kwiaty!
Lecz ty bujasz w powietrzu, a mnie srogą dtonią
Do ziemi przykuły losy!
Gdyby chociaż mój oddech doścignął swą wonią
Twojego lotu w niebiosy!
Lecz nie! to za daleko!—Tu narcyz uroczy,
Tam cię lilia wabi biała,
A ja tu sama, smutna, spuszczałam w ziemię oczy
Abym tego nie widziała!
Uchodzisz, wracasz znowu i odbiegasz potem,
By w inną zajaśnić stronę.
Cóż dziwnego, że z każdym jutrzeńki powrotem
Me oblicze we łzach tonie!
Jeśli chcesz, byśmy wolni od niezgody siedeł
Mogli szczęśliwie żyć z sobą,
Wrośnij tak jak ja w ziemię, lub mi użyż skrzydeł
Coby mnie niosły za tobą (1)!

— Z Drukarni Gazety Polskiej wyszła z pod prassy *Ustawa Stowarzyszenia Spożywczego w Warszawie pod nazwą Merkury, zatwierdzona przez Ministra Spraw Wewnętrznych d. 1 lutego 1869 r.* Celem tego stowarzyszenia jest dostarczanie członkom swoim artykułów żywności, oraz innych przedmiotów zwyczajnego użytku,

(1) La pauvre fleur disait au papillon céleste:

— Ne fuis pas!

Vois comme nos destins sont différents. Je reste,

Tu t'en vas!

Pourtant nous nous aimons, nous vivons sans les hommes

Et loin d'eux,

Et nous nous ressemblons, et l'on dit que nous sommes

Flours tous deux!

Mais, hélas! l'air t'importe et la terre m'enchaîne

Sort cruel!

Je voudrais embaumer ton vol de mon haleine

Dans le ciel!

Mais non, tu vas trop loin!—Parmi des fleurs sans nombre,

Vous fuyez,

w dobrym gatunku w surowym lub przerobionym stanie, po cenach bieżących handlowych. Dla osiągnięcia powyższego celu, stowarzyszenie może w różnych miejscowościach Warszawy zakładać handle i składy, kuchnie tanie, warsztaty dla przygotowania wyrobów powszechnego użytku, jak odzież, obuwie i t. p., oraz przedsiębrać inne tego rodzaju operacje handlowo-przemysłowe, z zastosowaniem się do obowiązujących przepisów. Pierwotnymi założycielami tego użytecznego dla społeczności naszej stowarzyszenia są: Radca Stanu Julian Statkowski i Antoni Nagórny redaktor *Ekonomisty*.

— Nowy redaktor „Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego” Dr. J. Wszebor ogłosił prospekt na dalsze wydawnictwo tego pisma, które jest najdawniejszém ze wszystkich, w tej gałęzi wychodzących w Warszawie. Jak przeważnie oddał organ ten zasługi nauce, wiadomo jest każdemu kto śledził pilnie za jego rozwojem. Później gdy nowe pisma powstały i ubyłó współpracowników, już nie był w stanie odpowiedzieć w zupełności zadaniu swemu. W świeżym prospekcie redaktor Dr. Wszebor, przyznając słabe strony *Pamiętnika*, zapowiada nowe jego ożywienie, i powiększenie grona piszących. Z wyliczonych imiennie współpracowników, możemy mieć rękojmię rozwoju i podniesienia tego organu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

— Nakładem księgarza J. Kaufmana wyszła broszura obejmująca rozprawę, zajmująca ogólną uwagę p. n. „Jak pielęgnować zdrowie” przez Wilhelma Lubelskiego Dra medycyny.

— W piśmie naszym mówiliśmy już o fundacyi ś. p. Alexandra Stadnickiego, wydania *akt grodzkich* bernardyńskich we Lwowie, dokumentów nader ważnych do dziejów przeszłości. Pierwszy tom tej publikacyi wyszedł pod redakcją Lucyana Tatomira. Do wydawnictwa dalszych wezwano do Lwowa Dra Liskiego z Poznania, autora kilku monografii historycznych.

— W Drukarni I. Krokoszyńskiego w Warszawie wyszła broszura p. n. „Homeopatya uważana ze stanowiska religijno-moralnego” skreślona przez Kazimierza Karpowicza aptekarza, b. nauczyciela i lekarza ass. (w 8ce str. 31).

Et moi je reste seule á voir tourner mon ombre

A mes pieds!

Tu fuis, puis tu reviens, puis tu t'en vas encore

Luire ailleurs,

Aussi me trouves-tu toujours à chaque aurore

Toute en pleurs!

Oh! pour que notre amour coule des jours fidèles,

O mon roi,

Prends comme moi racine, ou donne moi des ailes

Comme à toi!

— Czytamy w Gazecie Warszawskiej: Korrespondencya *Tygodnika Ilustrowanego* donosi, że niedawno zawiązane we Lwowie Towarzystwo naukowo-literackie, mające na celu popieranie postępu nauki i niesienie pomocy pieniężnej literatom, a zostające pod prezydencyą Augusta Bielowskiego i wice-prezydencyą Henryka Szmitta, umyśliło z powodu przypadającej w lutym 1873 r. czterechsetletniej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika, wydać dzieło pomnikowe, będące w całym znaczeniu wyczerpującą o nieśmiertelnym astronomie monografią. Dzieło takie według rozumienia Towarzystwa, może być tylko wspólną pracą uczonych dokonane; chcąc bowiem dać dokładny obraz wieku Kopernika, oraz stanu umiejętności i w ogóle wyobrażeń społecznych za jego czasów, potrzeba być zarówno historykiem jak biegłym w naukach przyrodniczych, matematykiem i astronomem; potrzeba mieć rozległym poglądem objąć cały prąd dziejów umysłowości ówczesnej, aby uwydatnić nowe tory naukowe i cywilizacyjne, na jakie wprowadziły ludzkość nowe Kopernika pomysły. Dalej korespondent wylicza rozgłośnie „w swoim czasie” rozprawy o Koperniku: Sniadeckiego, Krzyżanowskiego, Hubego, drukowane w naszej Gazecie i osobno wydane *Życie Mikołaja Kopernika* przez D. Szulca, następnie warszawskie wydanie dzieła *O obrotach ciał niebieskich*, i powiada, że jakkolwiek znakomite pod wielą względami są powyżej przytoczone dzieła, nie wyczerpują wszakże należyście przedmiotu. Towarzystwo tedy naukowo-literackie lwowskie zamierza do udziału w napisaniu dzieła na cześć Kopernika wezwać uczonych wyłącznie oddających się przedmiotom w związku z treścią onego będącym, i w tym celu programat wydawnictwa już wypracował p. Juliusz Starkel.

Myśl to niezaprzeczenie arcy-szczęśliwa i przedsięwzięcie w wysokim stopniu pożądane; zachodzi jednak pytanie, czy zrobienie czegoś nowego będzie tak łatwe, po owych rozgłoszonych „w swoim czasie” pracownikach? Przynajmniej co do ocenienia stanowiska naukowego i zasług Kopernika w astronomii, próżno się oglądamy dokoła, szukając człowieka, któryby nam rokował prześcignięcie znakomitéj rozprawy Sniadeckiego i pracy nad Kopernikiem Baranowskiego. Co do biografii, po szperaniach zwłaszcza Krzyżanowskiego i Bartoszewicza, także nie łatwo przyjść może do wykrycia nowych szczegółów; ale tu rzecz niejedną lepiej wyświecić, na szerszym tle historycznym odnalować można. Tak np. pochodzenie czeskie przodków astronoma, niewiadomo na czem ufundowane przez Krzyżanowskiego, dałoby się może zebranemi przez niego samego wiadomościami obalić i przenieść do Kopernika z dóbr Pabianickich, do powroźników tegoż imienia we Lwowie. Czas jest dzisiaj uwierzyć tej pospolitej prawdzie, że skoro rzecz będzie dowiedziona, żadnej to ujmy Kopernikowi nie uczyni, że przodkowie jego byli chłopami kapituły krakowskiej. Nadewszystko obraz historyczny wieku Kopernika byłby prawdziwą a piękną

nowością w monografii; Krzyżanowski ledwo o tém natrącił a nikt dokładniej myśli jego nie rozwinął. Nie wiemy, jakie są właściwie granice przedsięwzięcia zakreślone programatem pana Starkla, bo z korespondencyj jasnego wyobrażenia o tém powziąć nie można; a rzecz to nader ważna, gdy może wyrokować o dojsciu lub niedojsciu zamiaru do skutku. Trzeba więc przedewszystkiem ażeby programat pamiątkowego wydawnictwa nie wymagał rzeczy do wykonania niepodobnych."

— W Krakowie z drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego wyszła rozprawa ekonomiczna Mieczysława Marasse, p. n. O wolności parcelowania gruntów, ze względu na stosunki Galicyjskie. (w 8 ce str: 35).

— Znany uczoney Ignacy Domejko, przyjaciel Mickiewicza, professor Uniwersytetu w Coquimbo (Chili), oraz dyrektor wszystkich tamtejszych zakładów górniczych, wydał w końcu roku zeszłego w Saint-Jago: „Mineralogią Chili” jako dopełnienie wydanego tamże przez siebie jeszcze w roku 1860 dzieła p. n. „Początki Mineralogii” Całe dzieła znakomitego mineraloga są w języku hiszpańskim.

— We Lwowie jako organ c. k. Galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego pod redakcją Rudolfa Günsberga professora technologii chemicznej przy Akademii technicznej Lwowskiej wychodzi pismo p. n. Rolnik. W roku bieżącym zeszyty wychodzą stosownie do ogłoszonego prospektu. Nakładem Karola Wilda wyszła część druga Gramatyki języka greckiego Dr. Jerzego Curtiusa, opracowana podług ósmego wydania niemieckiego przez Tomasza Sternala i Zygmunta Samolewicza.

— Dnia 15 lutego r. b. odbyło się uroczyste posiedzenie w Paryżkiem Cesarskiem Towarzystwie Etnograficzném. Była to installacya prezesa p. Rouget. Towarzystwo wiele zyskało w jego osobie, bo jeden z prawdziwie genialnych uczonych, na drodze naukowej, jako Egiptolog, a przytem mąż stanu, członek Instytutu francuzkiego, miał piękną przemowę, dziękując Towarzystwu za zaszczyt z obioru na prezesa. Udowodnił w tój mowie, że w badaniach etnograficznych języki grają rolę podrzędną. Jako przykład wielkich błędów, w tym względzie, wymienił sławnego orientalistę Renana, który policzył Chananejczyków do Semitów, chociaż nie byli nimi z pochodzenia, a tylko przyjęli mowę Hebrajów, którzy ich opanowali; członek Instytutu p. Dulauriez czytał rozprawę o jednym ze znakomych królów małej Armenii. Na témże posiedzeniu stosownie do programmatu ogłoszonego przez toż Towarzystwo w r. 1868, odczytany był raport Komitetu nagród, o rezultatach konkursu na temat *Nestor i Viquesnel*. Komitet składał się z pięciu osób, prezydował w nim znany *Eichhof*. On sam odczytał raport, pytanie było: przedstawić formuły wykładu dla szkół historyi starożytnej i nowożytnej ludów, mówiących językami słowiańskimi, z zastosowaniem do dzisiejszego stanu krytyki. Dwoch pisarzy francuzkich przysłało swoje rozprawy: p. de *Steinbach*

i p. *Emil Hervet*. Obie rozprawy zostały uwieńczone: raport przecież wykazuje niedostatki tak jednej jak i drugiej, dając pierwszeństwo p. Steinbach.

— W okazałym wydaniu wyszły pod ogólnym tytułem: „Biblioteka Ordynacji Krasieńskich.” Rok 1869. Akta podkanclerskie Franciszka Krasieńskiego 1569—1573. Wydał Wł. hr. Krasieński. Objaśnił przypiskami Wł. Chomełowski. Część pierwsza, obejmująca akta od 9 stycznia 1569 do 1 kwietnia 1570 roku. We wstępie napisanym przez Wład. hr. Krasieńskiego czytamy:

„Drugi z kolei tom wydawnictwa naszego, odnosi się do tój samój epoki co i pierwszy, a chociaż różni się zakresem spraw, których dotyczy, w ścisłym z nim pozostaje związku i dopełnia całości. Jeżeli bowiem Dyaryusz sejmu z r. 1565, daje nam poznać wewnętrzny ustrój państwa i dokładny przedstawia obraz życia publicznego w połowie XVI wieku, to akta podkanclerskie, przeważnie ku polityce zagranicznej zwrócone, wtajemniczają nas w działalność gabinetu Zygmunta Augusta, i pozwalają ocenić jego stosunki, znaczenie, taktykę i zamiary. Bogaty to nabytek dla historyka, z jakiegokolwiek zresztą spoglądać będzie stanowiska na dzieje. Franciszek Krasieński, który zbiór ten po sobie zostawił, był długo posłem na dworze cesarskim, ówczesnym *forum mundi*, nim został podkanclerzem koronnym. Wtajemniczony w stosunki międzynarodowe, na tém stanowisku stał się doradcą i kierownikiem dyplomatycznych zabiegów króla, tak jak przedtém, był już prawą jego ręką w najtrudniejszych i najważniejszych kwestjach wewnętrznych. Dostąpiwszy biskupstwa krakowskiego, podczas następnych bezkrólewi, stanowiąc główną łącznię zwaśnionych stronictw i umiarkowaniem własnym pociągał je do zgody. Umarł wcześniej, bo w 52 roku życia, w początkach panowania Stefana Batorego. Akta, które z jego kancelaryi wyszły od 1569 do 1573 r., ułożone w chronologicznym porządku, mogą być uważane jako dalszy ciąg Tomicyanów. Stanowią one w zbiorze po ś. p. Świdzińskim rękopism (zapewnie kopię ówczesną) składający się z 454 kart folio ścisłego pisma, w języku polskim, łacińskim i włoskim. Dokument na str. 12 drukujemy z zachowaniem ortografii pierwotnego wzoru, inne zaś, według nowszej pisowni, z uwzględnieniem cech ogólnych i właściwości gramatycznych. Korespondencyą zaś włoską w tłumaczeniu, łacińską jako dostępniejszą w oryginale podajemy. Wahaliśmy się chwilę, czy czekać aż rękopism cały gotów będzie do druku, aby go ogłosić, czyli też wydawać go częściowo, w miarę opracowania materiału. Poszliśmy tą ostatnią drogą, pewni, że uczona publiczność, nie nazwie pośpiechem tego, co w istocie jest tylko gorliwością.” Tom ten w 4-ce odbity na pięknym papierze, i z niezwykłą starannością typograficzną obejmuje stron 365, oprócz wstępu i XVI spisu przedmiotów.

† Dnia 13 lutego r. b. zakończył życie Marcin Klemensowski oficer wyższy b. wojsk polskich, a następnie Radca Stanu, inspektor ogólnego zebrania Zarządu Komunikacyj. Znako-
micie naukowo wykształcony, oprócz mozolnych zajęć obo-
wiązkowych, wzięt sobie za zadanie ostatnich lat życia. zebrać
wszelkie materyały, do ułożenia wielkiego dzieła: „O dawnej
strategii.” Skrzętnie zgromadzał wszystko co miało z tym
przedmiotem jakikolwiek związek, i bogate zasoby do tój pracy
przysposobil tak w tekście jako téż mnóstwie rysunków, któ-
re sam prawie wykonał. Rękopisma te, przez tak sumienne-
go pracownika zgromadzone, są drogocennym materyałem hi-
storycznym; pragnąć należy żeby albo wydane zostały, albo
złożone były w miejscu dostępném dla badaczy.

† Dnia 16 lutego r. b. umarł w młodym wieku, przeży-
wszy zaledwie lat 31 Jan Łukomski kandydat filologii, b. nau-
czyciel szkół publicznych. Urodzony w Lublinie 1838 r., nau-
ki uniwersyteckie w Moskwie chlubnie ukoń czył. Z prac
swoich ogłosił drukiem: 1) *Wypisy polskie* w dwóch częściach,
z których pierwsza miała dwa wydania. 2) *Praktyczna gra-
matyka polska*, na zasadach historyczno-porównawczych dla
młodzieży. 3) *Żywoty Korneliusza Neposa* w oryginale, z wła-
snemi komentarzami. 4) *Kurs geografii* Pütza (przekład).
5) *Historja powszechna* Iłłowajskiego: (przekład). Odzna-
czał się nadto niepospolitym talentem do poezyi. W *Zbiorze
pieśni duchownych ewangelickich*, który w r. 1866 wydał ks.
L. Otto, znaczna liczba przekładów podpisanych głoską *Ł*, je-
go jest pióra. Zalecają się zarówno mocą jak językiem i arty-
styczną formą. Pozostawił wiele tłumaczeń z obcych języków
poematów i pieśni, w których prawdziwa zdolność i dzielne
władanie mową ojczystą odbija. Strata tego pracownika jest
niemałą. Nawykły do mozolnego trudu, skromny a oddany
z zapalem nauce, nie małe rokował nadzieje dla literatury
naszej, gdy zgasł przedwcześnie!

— — — — —

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

131

1869

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Luty, 1869.

Luty, 1869.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1	Rów.	747.20	746.62	743.24	741.86	744.730	+ 2°5	+ 4°0	+ 5°2	- 3°5	+ 3°80
2		740.94	741.20	740.94	741.86	741.235	4.2	6.7	7.9	4.4	5.80
3	☾	743.38	744.52	748.21	750.06	746.543	2.7	2.6	1.0	- 0.4	1.48
4		760.80	751.25	753.53	758.36	753.485	- 2.1	- 0.3	- 1.9	- 0.9	- 1.30
5		761.57	761.94	760.43	760.24	761.045	1.9	0.2	+ 0.9	+ 1.9	+ 0.18
6		758.54	758.59	758.09	756.47	757.923	+ 2.4	+ 3.0	4.7	1.6	2.93
7		754.24	754.36	751.99	750.55	752.785	1.4	2.7	6.0	4.2	3.58
8		749.30	748.55	744.64	744.07	746.640	5.9	6.2	8.8	8.1	7.25
9		743.90	743.62	743.52	742.92	743.490	8.1	9.0	9.0	7.9	8.50
10		745.79	746.74	745.53	743.04	745.275	4.4	5.8	5.2	5.8	5.30
11	☉	740.34	743.86	746.49	748.82	744.878	5.9	3.6	4.0	1.5	3.75
12		746.64	745.93	746.55	746.77	746.473	2.0	3.5	3.8	0.2	2.38
13	Apoz.	743.40	744.14	750.03	754.87	748.110	- 1.0	0.8	1.8	- 0.6	0.23
14		754.72	753.96	748.90	744.18	750.440	0.2	1.7	3.6	+ 4.0	2.28
15	Rew.	741.63	743.27	745.52	749.00	744.855	+ 1.0	1.7	3.7	2.7	2.28
16		752.88	753.24	752.04	752.99	752.788	0.3	1.4	2.5	4.0	2.05
17		753.76	754.06	753.95	753.31	753.770	2.8	4.0	4.8	2.3	3.43
18		750.82	751.04	750.01	749.58	750.363	- 0.2	3.4	8.3	4.0	3.88
19	☾	749.68	750.24	749.46	749.74	749.780	+ 1.8	4.8	8.3	4.8	4.95
20		748.76	749.36	749.16	750.98	749.563	3.1	4.6	5.6	2.4	3.93
21		754.28	755.46	756.38	757.94	756.015	- 3.6	- 1.7	- 1.0	- 1.9	- 1.30
22		769.39	759.37	758.67	758.54	758.893	4.0	2.7	3.1	4.2	3.50
23		757.87	757.63	757.48	759.15	758.033	3.5	1.5	+ 1.3	1.9	1.40
24		760.26	760.94	759.83	760.20	760.308	5.0	1.7	1.9	1.5	1.58
25		759.43	759.86	758.63	756.52	758.610	1.5	0.9	0.2	2.1	1.08
26	☉	750.15	746.95	743.04	745.73	746.468	1.7	+ 2.9	2.1	+ 1.0	+ 1.08
27	Perlg.	749.34	749.57	745.33	740.96	746.300	+ 0.7	1.6	4.4	2.5	2.30
28	Rów.	741.43	741.93	741.39	740.75	741.375	0.9	1.2	3.9	0.0	1.50
Śr.		750.373	750.647	750.106	750.338	750.366	+1°02	+2° 36	+3°67	+1°90	+ 2.24

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy do wysokości w milim.		Wysok wody na Wiśle.	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnie- czu	na m.	p.
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.	czu	gu	na m.	p.
83.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ2.	Pd1.	Pd1.	Pd2.				3 11
81.0	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	PdZ2.	PdZ1.	PnZ1.	PdZ1.	0.4			3 9
89.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	Z1.				2 9
-	napół pog.	pogodny	pochm.	pogodny	Z1.	PdZ1.	Z1.	Z1.				3 8
81.0	pochm.	pochm.	pochm.	poc. mgła	Z1.	Pd.	Pd1.	Z1.	2.1			3 8
95.5	pochm.	pochm.	pogodny	poc. mgła	Z2.	Z2.	Z1.	PdZ1.	0.8			3 7
88.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	Z1.	PdZ1.	PdZ1.				3 8
79.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	PdZ1.	PdZ2.	Z2.	2.3			3 9
75.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z1.	Z2.	PdZ1.	0.4			4 9
89.0	pochm.	pochm.	poc. dész.	poc. dész.	PdZ2.	Z2.	Z2.	Z1.	6.5			4 5
86.5	poc. dész.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z1.	Z2.	PnZ1.	7.7			4 2
88.3	pochm.	pochm.	pogodny	pog. z ch.	PdZ1.	Z1.	Z1.	Z1.	0.6			5 1
82.8	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdW1.	PnW1.	Pn1.	Z1.				5 1
80.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	PdZ1.	PdZ1.	Z3.	2.4			6 7
67.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z3.	PdZ3.	Z3.	Z3.	8.6	0.3		6 4
92.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ2.	PdZ2.	PdZ1.	0.8	1.2		6 4
85.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	1.2			6 3
81.0	napół pog.	pogodny	napół pog.	napół pog.	Pd1.	PdZ1.	Pd1.	PdW1.				6 4
83.8	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	Pd1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.				6 3
84.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	PdZ.				5 9
66.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	Pn1.	0.1			5 5
-	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	0.3			5 2
-	pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	W1.	PdW1.	W1.	W1.				5 5
-	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	W1.	W1.	PdW1.	PdZ1.				4 9
-	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				4 7
82.8	poc. mgła	pogodny	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW2.	PdZ1.	PdW1.	3.4			4 4
82.8	pochm.	pochm.	pochm.	poc. dész.	PdW1.	PdW1.	PnW1.	PnW1.	0.5	2.2		4 2
-	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PdW2.	Pn2.	W1.	PnW1.	1.8			4 2
84.0									29.5	1.9		4 9.4

	m.	°	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.366	27	8.635
Najwyżej barometr dochodził d. 5 o g. 10 rano	761.94	28	1.765
Najniżej — — d. 11 o g. 6 rano	740.34	27	4.190
Średnia dzienna zmiana barometru	4.356		1.931
Największa dzienna zmiana barometru d. 25—26 o godz. 4 po poł.	15.59		6.912
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	0.118		0.052
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	750.248	27	8.583
Średnia temperatura lutego wynosi	+ 10.24 C.	+	10.79 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.09	"	1.67 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o godz. 4 po poł.	6.9	"	5.5 "
Średnia temperatura lutego jest wyższą o	5.23	"	4.18 "
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	— 2.93	—	2.39 "
Termometrograf wskazał: Maximum: + 110.0 C. = + 80.8 R. d. 5 po poł.			
Minimum: — 5.3 " = — 4.2 " d. 24 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 84.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5.16 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 8.4 setnych od normalnej (92.4).

Ilość wody spadłej z deszczu o do wysokości wynosi 39.5 mil. czyli 17.51 lin. par. ze śniegu 1.9 mil. czyli 0.94 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 41.4 mil. czyli 18.36 lin. par., więcej o 7.1 mil. czyli 3.14 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w lutym spada (34.3 mil. czyli 15.2) lin. par.).

Dni pogodnych 3, napółpogodnych 5, pochmurnych 20.

— deszczu 15: (d. 2, 5, 6, od 8 do 12, od 14 do 17, 26, 27 i 28).

— śniegu d. 4: (d. 15, 16, 21 i 22).

— mgły 3: (d. 5, 6 i 28).

— krup 1: (d. 15).

— wichrów 3: (d. 14 i 15).

Wiatr panujący zachodni i południowo-zachodni.

Luty b. r. był niepogodny, suchy, dżdżysty i bardzo ciepły. Średnia jego temperatura jest + 1.8 stop. R. o 4.2 stop. R. wyższa od normalnej (— 2.4 stop. R.) a o 1.7 stop. R. jak w r. z. W przeciągu 43 lat poprzednich raz jeden tylko t. j. w r. 1843 średnia temperatura lutego była wyższą jak w r. b. Do najcieplejszych należą dni 8, 9 i 10, do najchłodniejszych zaś t. j. takich których średnia temperatura przypadała nieco niżej zera dni od 21 do 25 włącznie. Największe ciepło było 8.8 stop. R. d. 9, największe zimno 4.2 stop. R. d. 24. Największa zmiana dzienna 5.5 stop. R. przypada z d. 2 na 3 w czasie ostatniej kwadry księżyca. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się nie zbyt wysoko, w ogóle jednak stan jego był nieco wyższy jak zwykle. Średnia jego wysokość jest 27 cali 8.63 lin. par. o 0.05 lin. par. wyższa jak w stanie normalnym (27 cali 8.58 lin. par.) Największa zmiana dzienna barometru 6.91 lin. par. przypada z d. 25 na 26 podczas pełni, oraz gdy księżyc znajdował się najbliżej ziemi (w perigeum). Deszcze były częste, lecz krótko trwające, zato śniegi z przyczyny łagodnej temperatury rzadko miały miejsce. Dni deszczu było 15, a śniegu 4; pierwszych o 10 więcej, a drugich o 4 mniej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3,9:6,9:17 5, gdy tymczasem w b. m. jest jak: 3:6:20. Wiatry panujące były zachodni i południowo-zachodni i one też sprowadziły łagodny stan powietrza.

D. 28 koło białe otaczało księżyc.

W nocy z d. 1 na 2 w Dessau, Luksemburgu i we Wschodniej Francji panowała burza z piorunami i błyskawicami. Taką burzą panowała d. 10 w Krakowie, a d. 14 we Lwowie.

D. 13 niezmiernie silny wicher srożył się w zachodniej Europie.

D. 28 w Poznaniu w czasie śniegu błyskało się i grzmiało.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 4 cali 9,4 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 14 po poł. stop 6 " 7 " "

" " najmniejsza " d. 6 rano.... stop 3 " 7 " "

D. 9 lody pod Warszawą ruszyły i spłynęły w ciągu następnej doby.

SYMONOWICZ I JEGO SIELANKI.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Nie z rodziny szlacheckiej ale zamożnej i szanowanej powszechnie urodził się w roku 1557 w mieście Lwowie Symon Symonowicz, autor sielanek. Ojciec jego również Symon, a nazywany w pismach i aktach współczesnych *Brzasinensis* pochodził z miasteczka *Brzezina*, na Mazowszu (1), a osiadł był we Lwowie w roku 1548. Był on tu właścicielem dwóch domów i radcą miejskim, był też magistrem filozofii i sztuk i właścicielem biblioteki, której bogactwo wystawił Dr. Ursinus, (professor akademii zamojskiej) w przypisaniu mu swój *Grammatyki metodycznej*.

Syn uczonego, a wśród pomocy naukowych od lat dziecinnych wzrosły, Symon Symonowicz przejął się wczesnie zamiłowaniem dla nauki, a urodzony poetą, na tle i w kierunku naukowym natchnienia swe następnie rozwinął. Ukształcenie swe wyższe winien był Akademii Krakowskiej. Wróciwszy do Lwowa zamieszkiwał długo przy ojcu, następ-

(1) Tak objaśnia *Janocki* w biografii Symonowicza, umieszczonej przy wydaniu zbioru jego łacińskich poematów z roku 1772; w notatce o Symonowiczu *Józefa Epif. Minasowicza*, umieszczonej tamże, znajduje się wzmianka, że na jednym z rękopismów tego poety w bibliotece *Załuskich* był napis: *is fuit Armenius* (był on *Ormianinem*), wnosili więc niektórzy, iż miał pochodzić z *Brzezan halickich*, gdzie były rodziny *Ormiańskie*; wszakże niektórzy współcześni, jak np. *Puproeki* w *Herbach rycerstwa* wyraźnie go nazywali *Symon de Brzeziny*, nie zaś *Brzezany*.

nie na wsi, trudniąc się gospodarstwem rolném. Naznaczony w roku 1605 testamentem Jana Zamojskiego (hetmana i kanclerza) na przewodnika naukowego synowi Tomaszowi, przeniósł się do Zamościa i tu przebywał do dojścia wychowańca do lat.

Wrócił następnie do ofiarowanej mu jeszcze przez kanclerza wsi Czernęciny, położonej nad rzeką Pur (znaną z siełanek) i tu zamieszkiwał do śmierci. Imię jego było głośne i sławne za życia tak w kraju, jak i w całej Europie uczonej. Był on istotnie jednym z najcelniejszych współczesnych sobie poetów europejskich, piszących językiem Rzymian i był twórcą nowego zwrotu i nowej szkoły w poezji krajowej. Ztąd też wyjątkowym przykładem, stany krajowe na sejmie Warszawskim (w dniu 18 kwietnia 1590) za szczególny dar poetycki udzieliły mu klejnot szlachectwa z herbem Kościeszka; a król Zygmunt III aktem z dnia 23 grudnia tegoż roku nadał mu przywilej i prawo używania tytułu „poety królewskiego”. Umarł w roku 1629 mając lat 72. Umierając przeznaczył testamentem 12,000 złp. na utrzymanie profesora teologii w akademii zamojskiej, na obsadzenie katedr której, główną był Zamojskiemu pomocą, i tejże akademii zapisał bibliotekę swoją z 1425 dzieł składającą się.

Takie są główne szczegóły życia Symona Symonowicza, szczegóły które stwierdzają już istniejące dotąd akta urzędowe, już jednozgodność wszystkich biografów autora (1). Wzmiankowane są nadto i liczne inne, już w biografjach współczesnych, już przez następców; ale w treści tych świadectw tkwi dziwna sprzeczność i ostateczne wnioski, co do niektórych, są dotąd przedmiotem sporu. Szczegóły te przytoczymy tu jednak w zbliżeniu, a to już dla wskazania potrzeby nowych jeszcze badań dla rozjaśnienia życia tej tak znakomitej a zajmującej dla nas osobistości, już zarazem dla ułatwienia drogi w tym celu.

(1) Mianowicie odszukane w ostatnich czasach: akt nobilitacyi (w archiwum Dzieduszyckich we Lwowie) i przywilej królewski (w archiwum głównem Królestwa). O życiu Symonowicza już krócej, już dłużej pisali: z pisarzów dawnych: *Starowolski, Janocki, Epif. Minasowicz, Bayle* i t. p.; z nowszych i współczesnych nam, między innymi: *Benukowski, Juszyński, Wiszniewski, Maciejowski, Bielowski* i wreszcie (najkrytyczniej) *Stan. Węglewski* i *Sobiechzański*.

Współczesny Symona Symonowicza Symon Starowolski w dziele swém: *Życie stu znakomitych pisarzy polskich (Scriptorum Illustrum Polonicorum Hecatontas)* tak pisze o tym poecie: „Dzieckiem w domu, młodzieńcem w akademii Krakowskiej czytaniem najlepszych ksiąg ukształcony, a pierwszą filozoficzną nagrodą spółcześnie z Mikołajem Dobrocieskim za Dekanatu Anzelma z Bożęcina ozdobiony, udał się następnie do Włoch, gdzie czerpał ze świętych piersi owych sławnych Kluwiusza, Witelesca, Mureta i innych.“ Biografia Symonowicza w roku 1630, to jest w rok po śmierci jego pisana, a mająca się dziś znajdować w rękopiśmie, w księgozbiornie Imienia Ossolińskich we Lwowie, przytacza też fakta, dodając nadto, iż z Włoch udał się był poeta do Francji, gdzie się zaznajomił i zaprzyjaźnił z bawiącym tam podówczas Skaligierem, który go następnie odwiedził w Zamościu. „Symonowicz, wyraża rękopism, sam to wyznawał, iż czymkolwiek jest, winien to wszystko Skaligierowi” (1). Trzeci też spółczesny Symonowicza *Paprocki*, wymieniając w *Herbach Rycerstwa* wśród znakomitych mieszkańców miasta Lwowa „Symona de Brzeziny” dodaje: „syn jego *postronne krajiny* zwiedził, obyczaje i języki ich poznał”. Świadczenia te, zdawałoby się, iż nie powinny zostawiać wątpliwości iż Symonowicz po ukończeniu akademii Krakowskiej kształcił się dalej we Włoszech; lecz oto w zbiorze listów Reszki, posła króla Stefana przy dworze Rzymskim, wydanych w r. 1594 w Neapolu (2), znajduje się kilka pisanych do Symona Symonowicza, a w jednym z tych Reszka namawiając poetę aby odwiedził Włochy, tak się wyraża, jakby Symonowicz kraju tego nigdy nie widział. „Ujrzysz tu najprzód, (mówi np. między innymi w liście z roku 1594) Wenecyją, miasto pływające po morzu, ztamtąd popłyniesz do rozległej Padwy, tego siedliska nauk i kunsztów. Ztąd do Modeny się udasz,

(1) O treści tej biografii zawiadomił pierwszy Bielowski w r. 1844 w jednym z dzienników lwowskich i następnie według niej pisał życie Symonowicza do *Życiorysów znakomitych ludzi*, wydania Wójcickiego.

(2) *Stanisłai Rescii etc. Epistolarum liber*. 1594, Neap. Znajdujące się tu listy do Symonowicza umieszczono też były przy wydaniu z roku 1772; a niektóre z nich przełożył i przytoczył *Wisniewski* w *Historji literatury*.

z tą do Bononii naukami i polorem słynącej, z tą do Sienny... potem przybędziesz do Rzymu o siedmiu wzgórkach, do tej Paui świata, królowej miast". O bytności poety we Włoszech nie czyni też żadnej wzmianki Janocki. Z tą też ostatni biografowie Symonowicza, bytność jego we Włoszech stanowczo uważają za powieść zmyśloną. A jednak, — uważać trzeba, — świadectwo współczesnych i świadectwo kilku, nie może być odrzucane stanowczo jako zmyślenie, a to dlatego tylko, że jeden ze świadków wyraża się trochę odmiennie lub raczej trochę dwuznacznie. Starowolski, którego *Hecatontas* wyszło najprzód w roku 1625, a więc za życia jeszcze Symonowicza, mógł nie wątpić, że poeta będzie tę książkę czytał, że będą ją czytać w Zamościu; poprzedników w swą pracę nie miał, a wyrażał się jednak tak szczegółowo, iż wątpić nie można, że wiadomości o życiu autora zaczerpnął lub od niego samego, lub od osób mu bliskich. Biografia bezimiennego z roku 1630 nie mogła być źródłem dla *Hecatontas*, bo o pięć lat jest późniejsza, ani też *Hecatontas* mogło być jedynym źródłem dla tej biografii, bo ta ma wiele nowego i przytacza zdania Symonowicza, które autor jej (spółmieszkaniec jednego miasta) z ust tylko samego Symonowicza mógł słyszeć. Przypuścić więc raczej można, że korespondent Rescius nie wiedział o bytności we Włoszech Symonowicza, lub że jego powyższe słowa były tylko wykładem własnego sposobu widzenia, nie zaś nauczaniem Symonowicza, dla którego w *każdym razie* treść ich nie mogła być nowością (1).

Drugim przedmiotem sporu i wątpliwości jest ten szczegół z życia Symonowicza, kto i kiedy uwieńczył go wieńcem laurowym? Starowolski wyraża, że obdarzył Symonowicza wieńcem poetyckim papież Klemens VIII. Biografia z roku 1630 dodaje, iż doręczenie wieńca nastąpiło na wsi w roku 1593 przez posłów Klemensa VIII w dowód wdzięczności za przypisanie mu poematu *Joel*

(1) *Sobieszczański* (w *Encyklopedyi Powszechnej*) twierdzenie swe o niebytności Symonowicza we Włoszech głównie opiera na tém, iż *Ursynus* w dedykacyi grammatyki ojca Symonowicza wspomina, iż wiele jest winien jego synowi, który go kształcił, że ten przeto z Krakowa, musiał wrócić zaraz do Lwowa. *Ursynus* jednak w całej tej przedmowie, nie wspomina o datach tego kształcenia.

(Klemens VIII był osobiście znanym poecie, gdy jako nuncyusz był w Polsce i starał się o uwolnienie Maksymiliana, jeńca Zamojskiego). Lecz oto Klemens VIII (Aldobrandini) obrany był papieżem dopiero w roku 1592, a listy Reszki do Symonowicza, pisane nawet w roku 1590 mają nadpis: „Poetae laureato”, a nadto w rytmach poety naszego z owego czasu Kacpra Miaskowskiego, mamy wiersz jego do Symonowicza, w którym jest wprawdzie także wzmianka o uwięzieniu, lecz w sposób, iż wniesęby można, że wieńczącym był kto inny jak papież. Wiersz ten w swoim zaczęciu tak brzmi:

Szczęście mi nie zdarzyło, aby oko moje,
Wejrzało na uczoną twarz i czoło twoje
Zdobne różeczką bobkową, którąc on Pan włożył,

(i dodaje):

Oby nam na te trudne czasy (rok 1622) znowu ożył.

Ztąd uczyniono wniosek, że wieńczącym musiał być albo król Stefan, albo Jan Zamojski. Wszakże uwieńczenie poetów przez królów albo osoby prywatne nie było u nas we zwyczaju; najprędzej przypuszczać więc trzeba, że Zamojski z nuncyuszem w skutek *pełnomocnictwa* papieża, uwieńczyli poetę (jak to czynili we Włoszech książęta włoscy). Co zaś do adresów Reszki, to przypomnieć wypada, iż zbiór listów jego wydanym był w roku 1594 i że dla odkreślenia przed cudzoziemcami powagi swego korespondenta, miał prawo już go oznaczać tytułem *laureatus*.

Za szczegół nie rozjaśniony dostatecznie i sporny uważać też można oznaczenie czasu w którym Symonowicz życie swe wiejskie na życie miejskie zamienił. Najpowszechniejszym twierdzeniem biografów jest, że na wsi osiadł dopiero około roku 1601 otrzymawszy wtedy od kanclerza dziedzicznie lub dożywotnie wieś Czernęciny. Rzeczywiście z listów nam znanych Symonowicza listy dopiero od roku 1601 zaczynają nosić podpisy wiosek już Homęcina już Czernęcina (1). List Jana *Douzy*, humanisty belgijskiego

(1) Listy oryginalne Symonowicza umieścił Maciejowski w dodatkach do Piśmiennictwa polskiego. Sobieszczański objaśnia, iż Homęciny i Czernęciny są to dwie różne wsie, i dziś istniejące, w różnych powiatach.

pisany do ojca ze Lwowa (przytoczony u Bayle'a), w którym wspomina o gościnności, jakiej tu doznał od Simona Simonidesa jest z roku 1597; jest nadto autentyczny list samego Symonowicza pisany do kanclerza w roku 1594, datowany także ze Lwowa, i w którym użala się: iż ojciec odmawia mu 1000 złp. obiecanych na zaczęcie dzierżawy, pod pozorem jego niezdrovia. Tymczasem w owym liście Reszki, wzywającym Symonowicza do Włoch, a pisany w roku 1594 znajdujemy wyraźne wzmianki iż Symonowicz już trudnił się wtedy i nawet trudnił gorliwie gospodarstwem wiejskiem. „Nie zdaje mi się mój Symonidzie (wyraża tu, między innymi Reszka) aby jeden rok nieobecności *mijałkowi twemu* jaką klęską zagrażał; i w rolnictwie jest czas wypoczynku. A ponieważ *ustawicznie badasz*, jeśliby się jeszcze jaka tajemnica natury wykryć nie dała, możemy się tu poradzić cieniów Pliniusza. Nikt lepiej od niego nie potrafi cię zawiadomić może nie bez pożytku dla *twojego gospodarstwa*, i tych, co cię we Lwowie *zatrzymują*, jakim sposobem sosny nasze zamieniłyby się mogły na winną latorośl, albo jak zrobić, aby na wierzchołkach drzew jęczmień się rodził” (przekład *Wiszniewskiego*). Wypada ztąd oczywiście wnieść, iż Symonowicz przyjeżdżał tylko do Lwowa dla choroby, dla interesów, może następnie dla pilnowania swój własności miejskiej, lecz dzierżawami trudnić się musiał oddawna, licząc przytém na pomoc ojcowską.

Równie sprzecznie wzmiankują biografowie o właściwym stanie Symonowicza, kiedy bowiem jedni ze słów Paprockiego w wierszu do ojca poety o jego synie:

„Wszak czyni gwałt naturze, ażeby nie rodził.”
(Ogród królewski).

wnosili, iż był księdzem (a ztąd w wydaniu sielanek z roku 1770 przedstawionym jest nawet na wizerunku w ubiorze duchownego, a w życiorysie przy wydaniu Mostowskiego nazwany kanonikiem krakowskim); inni znowu z powodu twierdzenia Janockiego, iż był nieodstępny towarzyszem Jana Zamojskiego w domu i na wyprawach, przyodziali go na wizerunku w *zbroję* (w *Tygodniku Ilustrowanym*, przy życiorysie zkądinąd ładnie napisanym) i t. p.

Różnią się także podania o początku związków Symonowicza z Zamojskim. Według jednych znajomość tę i protekcyą kanclerza wyjednał mu (zaleconemu przez Jakóba Górskiego, swego dawnego mistrza), *Sokołowski*, głośny kanonodzieja króla Stefana i stosunki te wydały następnie poemat: *Flagellum livoris*. Według innych wydanie *Flagellum livoris* było właśnie dopiero źródłem téj znajomości i téj protekcyi. Różnie są określane obowiązki i usługi poety dla kanclerza i t. p.—Bliższe ocenienie świadectw, a mianowicie autentyczności daty i szczegółów owéj biografii z roku 1630, oraz poznanie licznych (mających istnieć) rękopismów Symonowicza może objaśnić kiedy bliżej te wątpliwości i pogodzić sprzeczności; tu zaś dla określenia bliżej właściwości poety, wyliczymy jeszcze główne jego utwory.

Symonowicz był urodzony poetą i mimo nauki, powagę i zawód mistrzowski (1) pisywał tylko poezye. Pisywał je po grecku, po łacinie i językiem krajowym. O jego poezyach greckich czytamy tylko wzmianki (*Paprocki* w *Herbach*, *Janocki* w spisie rękopismów biblioteki Załuskich), łacińskie zjednały mu były właśnie główne protekcyje i wieńce. Utworów łacińskich drukowanych Symonowicza mamy kilkanaście, z tych należały do głównych: *Flagellum livoris* (bicz zawiści) poemat o XIX pieśniach, a wymierzony głównie przeciw zazdrośnikom sławy hetmana Zamojskiego i jego wziętości u króla, którego stał się powinowatym, oraz u szlachty, której przywileje rozszerzył. *Aelinopean* (śpiew żałobny, złożony z 16 strof, 16 antystrof i tyleż epodów), poemat poświęcony sławieniu tegoż po owém głośném rozgromieniu Tatarów między Tarnopolem i Lwowem naprędce zebraném wojskiem, które téż odstraszyło dążący za niemi zastęp Turków. Poemata biblijne: *Castus Joseph* i *Joel-Noenia* na śmierć Jakóba Górskiego, *Imagines dietae Zamo-scianaë*, *Hercules Prodiceus*) napisany dla wychowawca (Tomasza) *Pentiselea* dramat i t. p. Głośni ówczesni uczeni europejscy: Lipsyusz, Puteanus, Seged, Douza, Barley i inni w różny sposób dawali tym poematom wysoki poklask. I poklaski

(1) Są ślady, iż Symonowicz oprócz Tomasza Zamojskiego był przewodnikiem naukowym syna Stanisława Żółkiewskiego, Jakóba Sobieskiego, (ojca króla Jana) i innych.

to nie były wcale skutkiem (jakby to niekiedy wnieść można) znakomitości protektora poety; jednym bowiem z najzarliwszych jego wielbicieli był następnie *Durini*, nuncyusz apostolski w Polsce, bawiący tu już w drugiej połowie XVIII wieku, który nie tylko zebrał i z wielkim kosztem wydał wszystkie dotąd wydane utwory łacińskie Symonowicza, ale też napisał i wydał własny „*Wieniec Poezyi*” pamięci i uczczenia Simona Simonidesa (1) „Pindara polskiego” poświęcony.

Jakież były istotne zalety lub cechy łacińskich Symonowicza poezyj? Zalety rytmów łacińskich Symonowicza odpowiadały istotnie temu, co przez sędziów rytmów łacińskich w wiekach XVI i XVII uważanem było za piękność. Sędziami temi bywali wtedy wyłącznie uczeni filologowie, a warunki piękności w upodobaniach i wymaganiach umysłów owych nie ze wszystkiem odpowiadały wyobrażeniom i wymaganiom w tymże przedmiocie większości sądzącej. Rozsądek, umiarkowanie w kreśleniu obrazów i uczuć, dydaktyka i logika, a nadewszystko wyrażenia i rytmy podobne do starożytnych, to były w ocenianiu utworów warunki przyznania im piękności: im rytm i poezya danego poety podobniejszemi były do którego ze znakomitych poetów dawnych, tém większy dawano mu poklask. Cechy takie były właśnie cechami i rytmów Symonowicza. Lot fantazyi w tych jego utworach był skali pośredniej, uczucia i obrazy nie podnosiły się nad znaną potoczność, ale treść ich tę miała oryginalność, że dotykała przedmiotów miejscowych, rytm był kształtny i silny i przypominał najznakomitszych liryków starożytnych. Jego np. *Flagellum livoris* pisany jest na wszystkie miary Horacyuszowe, a jego *Ae'inopean* tokiem liryk Pindara. Ale oto tenże Simon Simonides, autor uczonych rytmów, w chwilach silniejszych uczuć osobistych, zapomnienia na swą uczoneść, bywał też i autorem utworków skromnych, których treść miała za przedmiot uczucia domowe, uczucia serca i która wyrażaną była mową powszednią,

(1) Symonowicz w wydaniu tém Janockiego nazwany jest *Simonidem Bendońskim*. Sam autor tak w polskich jak w łacińskich wydaniach nazywa siebie jedynie *Simonidesem*, w dwóch jednak wierszach za życia jego wydanych nazwany był przez wydawców także *Bendońskim*. Zkądinąd ani *Starowolski*, ani *Niesiecki* nie wspominają o tém nazwisku.

krajową. Utwórki te, którym dawał skromny napis obrazków wiejskich (sielanek), kładł on zapewne daleko niżej od swych uczonych, a jednak miały mu one zjednać nader trwałszą sławę. Gdy bowiem owe jego tak sławne łacińskie utwory nie miały nad parę wydań i dziś jak we własnym tak i w jakimś kraju całkiem są zapomniane, sielanki jego pociągnęły naśladowników, wydały szkołę, a wydania ich i dzisiaj, w lat 200 ponawiać się nie przestają (1).

Nad témito utworami właśnie mamy teraz obszerniej się zastanowić.

Jestto u historyków naszej literatury powszechne zdanie, że Symon Symonowicz był co do czasu najpiérwszym u nas pisarzem w gałęzi pasterskiej. Zdanie to jednak, ściśle mówiąc, jest mylne. Są ślady, już na lat kilkadziesiąt pierwój próbowali u nas uprawiać tę gałąź niektórzy pisarze, jako to: *Przyrębski*, *Strykowski*, a może i inni. O utworach Przyrębskiego mamy wzmiankę w jednej z *Fraszek Kochanowskiego*, która tak brzmi:

Przyrębski złoty! *skotopaski* twoje
W téj wadze u mnie, żeby się mógł do nich
Teokryt przyznać. *Tak ja trzymam o nich.*

Strykowski w opisie wierszem swojego życia, który położył na czele swój *Kroniki* sam to powiada, iż najpiérwszą formą prac jego poetycznych był wiersz pasterski; tak bowiem tu mówi:

I ważyłem się naprzód Tytyrze *twych pieśni*,
I które w cieniu grają Fauni bogoleśni.

Wyrażenie Kochanowskiego o skotopaskach Przyrębskiego „tak ja trzymam o nich,” zdaje się być jednak wskazówką, iż nie sądził, aby to zdanie miało być powszechne. Wiemy także iż autor *Kroniki litewskiej* i *Gońca enoty* nie był poetą; zdanie więc powyższe o Symonowiczu o tyle może być słuszne, iż rzeczywiście był on u nas najpiérwszym autorem sielanki *dobrej*, twórcą gałęzi; zdaje się nawet że sam

(1) Wydania Sielanek Symonowicza, ile je znamy, nie licząc wydawanych oddzielnie, były: roku 1614, 1626, 1626 (dwa w jednym roku), 1629, 1640, 1650, 1663, 1686, 1767, 1770, 1778, 1805, 1837, 1857, 1864.

był twórcą i tego wyrazu *sielanka*. Przyrębski, jak widzimy utwory swoje nazywał *skotopaski*, Strykowski zaś tego wyrazu *sielanka* używał w innem znaczeniu, to jest w znaczeniu *wieśniaczki*, w Kronice bowiem jego czytamy: „tegoż roku jedna sielanka czworo bliźniąt jednym razem porodziła.”

Jakież były charakter, przymioty i w ogóle wewnętrzne i zewnętrzne cechy sielanek Symonowicza?

Chociaż określenia, przepisy, krytyki tak niegdyś zwanej *klassycznej*, są dziś u nas odrzucane powszechnie, sąd jednak o istocie sielanek, a ztąd i sąd o utworach Symonowicza według niej był i jest wydawany i nie wypadł na zupełną korzyść tego autora. Celem sielanki, według poetyk *klassycznych*, jest malowanie obyczajów ludu wiejskiego; cechą najlepszych szczęśliwość i błogość pierwotna. Tymczasem Symonowicz w sielankach zamiast kreślenia obyczajów pasterzów polskich, kazał nam przysłuchiwać się mowom i śpiewom pasterzów greckich; zamiast widoku błogości, dawał nam obrazy niemiłe: sielanki jego są to więc utwory chybione. Takie są zwykle wnioski.

Jakiż był jednak istotnie ten rodzaj poezyi, który uprawiał Symonowicz i z jakiego stanowiska sądzić go winniśmy?

Niegdyś, pisarz grecki Teokryt kreśląc w utworach swoich uczucia i wypadki z domowego zakresu, dla odróżnienia ich od treści tych *wielkich obrazów* które były przedmiotem epepei i dramatów greckich, nadał był im nazwisko *małych obrazków* (*idilion*). Ponieważ bohaterami takich idylli byli najwięcej pasterze, Rzymianie naśladując ten rodzaj nadali mu nazwisko *bukolik*, a brzmienie to przełożono następnie dosłownie na wszystkie języki nowe (u nas *skotopaski*, *pasterki*). Zaś krytycy wyciągając z przygodnych szczegółów *prawidła* stałe, wniesli, iż istotą a ztąd i koniecznym warunkiem sielanki jest kreślenie obyczajów pasterzów. Ten warunek nie określa jednak właściwie danego rodzaju. Teokryt w swoich obrazkach miał istotnie nieraz na celu kreślenie życia pasterzów, lecz nieraz postacie tych pasterzów służyły mu tylko za formę, to jest za ramy, do wyrażania *allegorycznie* przygód lub uczuć swych własnych, przyjaciół i t. p. Jak niegdyś od pisarzy wschodnich za bohaterów ich powieści, tłumaczów ich myśli, użyte były i używane bywają dotąd *zwierzęta* (apolog), od współczesnych nam *duchy* (bal-

lada), tak twórca idylli greckiej chcąc mieć prawo wyrażać się prosto i jasno, za bohaterów swoich obrazków obierał *lud wiejski*. Idylle Wirgiliuszowe jaśniej jeszcze miały za treść allegoryą, bohaterowie jego bukolik ani z treści swój mowy, ani z swych imion nie byli to wcale pasterze rzymscy i wydziwić się dosyć nie można dla czego krytycy klasycey, którzy zwykle za wzór doskonałej sielanki uważali eklogi Wirgiliuszowe, za istotę rodzaju kładli zarazem: przerys wierny obyczajów pasterskich (1).

Tak uważanej idylli jakież być muszą prawa? Tak pojmowana idylla, istota tego rodzaju, nie wymagają więc iżby koniecznie ich treścią były dzieje rzetelnych pasterzów, i brak tego warunku nie może być poczytywany za ujemność; lecz wzgląd ten dodać wypada, mało z kądinąd wpływa na zmianę wymagań rodzaju. Chociaż bowiem celem sielanki nie jest koniecznie kreślenie rzeczywistych obyczajów, myśli i uczuć danego ludu, jasnym jest jednak, iż skoro raz, taka nie inna forma do pomocy użytą została, forma ta iżby uczyniła wrażenie przedstawiać się rzeczywiście musi w granicach możliwej prawdy. Jak w bajce, lubo jej celem istotnym nie jest kreślenie obyczajów zwierząt, allegorya chybiałaby była, gdyby np. lew przedstawiał się jako podstępny, lis jako wspaniały, mrówka jako próżniaczka i t. p.; lecz każdy użyty działacz przedstawiać się tu musi we właściwym sobie charakterze, tak i w sielance. W sielance tak allegorycznej jak przedmiotowej, jeżeli poeta za bohaterów obrazku swego raz użył figury z ludu: wyrażenia, wyobrażenia, uczucia tych jego bohaterów muszą odpowiadać słowom, uczuciom, pojęciom ludu rzeczywistego.

Te zaś słowa, wyobrażenia, pojęcia ludu wiejskiego jakież są rzeczywiście?

Wieśniak, czyli to rolnik, czy pasterz, nie kształci swój myśli uczenie, nie żyje wśród obszernego świata, nie przebywa rozmaitych zawodów; dzieje domowe, rodzinne, wypadki codzienne, wiejskie, święta coroczne, przygody okoliczne,

(1) U nas np. Ludwik Osieński, który jest najszczegółowszym przedstawcą tego rodzaju krytyki, wyraziwszy w *Kursie literatury* w oddziale: *Poezya pasterska*, iż tylko kreślenie wierne życia pasterzów stanowi ten rodzaj, dodaje: „Wirgiliusz przyswajając Rzymianom rodzaj pieśni Teokryta przeszedł i rzeczą i kształtem i poprawnością wzór, który miał przed sobą.”

obcowanie najwięcej z naturą, istotami natury, to tło, granica, podstawy jego uczuć i pojęć, jego rozmowy.

Słowa których używa dla wyrażenia tych uczuć, tych pojęć albo tych przygód, tém więcej muszą być dalekie od wyższej sztuki; dykcyi bohaterów sielanek nie mogą odznaczać słowa nadęte, rozumowania uczone, szyki i składnie zawile i t. p. Odznaczać ją owszem powinny słowa codzienne, tok mowy jasny i prosty, prostszy niż nawet tok rozmowy potocznej ludzi ukształconych; jeżeli myśl żywsza wiejska, zechce się o jakim obrazie, o jakiem uczuciu silniej wyrazić, wtedy (widzimy to z piosnek wiejskich) podwaja tylko też same obrazy lub wyrażenia, słowa zdobi w rymy i miary i ucieka się do częstych porównań, branych ze sfery tej natury, z którą obcuje.

Taką była wewnątrznie, taką była zewnątrznie idylla *Teokrytowa*, tak pojął rodzaj ten Symonowicz, i tak go właśnie odtworzył w języku polskim, z takiego też nie innego stanowiska ma być sądzonym.

Z 20 sielanek które nam zostawił, trzy tylko lub cztery są *przedmiotowe*, to jest takie, które miały rzeczywiście na celu kreślenie obyczajów ludu wiejskiego: wszystkie inne są *podmiotowe*, to jest takie, których celem było kreślenie uczuć, myśli i dziejów własnych autora, a w których użyte za bohaterów obrazku figury pasterzów były tylko parabolą.

Raz jednak przywdziawszy dobrowolnie na siebie więzy paraboli, to jest używszy do tłumaczenia swych uczuć i myśli świata wiejskiego, autor nie wychodzi nigdzie z tych granic tak w szczegółach swych obrazów, jak w toku słów.

Tak kiedy np. w sielance *Rocznica*, pasterze pod imieniem zmarłego *Datnisa*, opłakują (w rocznicę) zgon kancle-rza, protektora, poety, nie wyrażają się tu słowami odpowiedniami górności przedmiotu, nie mówią jak np. współczesny Grochowski w wierszu na tenże przedmiot: „iż twarz twoją będą w miedzi lać i w marmurze kować,” ale:

Lub na odpusty pójdziem lubo na kiermasze,
Wszędzie cię wspominiemy i potomstwo nasze
Z ust cię nigdy nie puści.

Kiedy pasterze opiewają piękność pasterki, tedy jak z jednej strony nie równają jój wdzięków do rubinów lub

alabastrów, tak z drugiej wyrażają się zawsze i wszędzie swą dykcyą najprostszą. W sielance np. *Mopsus*, pasterze Dametas i Tyrsys w takie tylko i tym podobne strofki śpiewają o swych pasterkach:

Fijołeczek na wiosnę, a gwoździk w jesieni,
Róża w lecie, róża się i w zimie zieleni,
A kiedy się zapalą jagody u Basi,
I róże i gwoździki kwiatem swym zagasi.

albo:

Strużek bieży po łące, rybki w nim igrają.
Kamyki malowane w wodzie się błyskają;
Ale skoro Helenka ukaże swe lice
Nic nie są jasne strugi, nic nie są krynice (1).

Tu jednak, aby odznaczyć ściślej odcienia tej wiejskiej gałęzi, wypada dodać, iż lubo *prostota* i *jasność* są cechy jej nieodbite, od talentu to jednak poety zależy umieć zastosować i odbić różne rodzaje i stopnie tej prostoty. Poezya sielska jakkolwiek jest z treści swój sielska, przeznaczoną jednak w istocie jest nie dla wieśniaków, lecz dla umysłów wyższego wykształcenia; owa więc prostota i jasność uważać się muszą względnie, i sielanka, alegoryczna zwłaszcza, może nieraz objąć i odbić nawet sztuczniejszy obraz i głębszość myśli i mimo to nie wychodzić ze swego rodzaju. Wyobrażenia mitologiczne za czasów Symonowicza, tak były upowszechnione w kraju, że użycie wyrazów takich jak np. *Apollo*, *Wenera*, *Kupido* i t. p. należało do wyrażen najprostszych i samo nazywanie pasterzów nazwiskami pasterzów greckich wznosiło tylko o stopień poezją (allegoryą) bez znoszenia charakteru sielanki. I owszem umiejętnością to właśnie i wdziękiem poezii Symonowicza było, iż umiał nieraz myśli głębszą, przestrożę wyższą, wyższe porównanie, wyrażać obrazem tak prostym, słowem tak jasnym, iż lekcy, przestrogi, rozumowania, zdają się tu raczej malownym obrazkiem a nie dydaktyką.

Tak np. w sielance *Kiermasz*, autor chcąc uczynić wyrzut swym współmieszkańcom miasta, iż niektórzy z nich

(1) Strofka ta była zapewne źródłem tej znanój Mickiewicza: „Wilia naszych”...

trzymali stronę jakiegoś rodzaju rokoszan, wyraża to takim obrazkiem, czyli tym śpiewkiem:

Apollo zawsze młody, Pallas zawsze panna,
 Apollo z łuku strzela, strzela i Dyana,
 Srebrne strzały Dyana z łuku wypuściła:
 Jedną w jawor, drugą w dąb twardy ugodziła,
 Trzecią we lwy, a czwarta ani we lwy, ani
 W jawory, ale kogoś zuchwalszego rani;
 A rani całe miasto, gdzie zbójcy mieszkają,
 Co między swym i obcym różnice nie mają.

W innej sielance na czynione mu śnać zarzuty, iż pisze tylko sielanki, a nie poemata dłuższej treści, autor odpowiada następującą dowcipną strofką:

Zazdrość mówi: „nie mistrz to, co *potrosze* śpiewa
 I co się jako morze z pieśnią nie wylewa!” —
 Apollo zazdrość nogą potrąci i rzecze:
 „Wielka egipska rzeka wiele błota wlecze,
 A pszczołki, co wdzięczny miód w Hymecie zbierają,
 Z małych się a przezornych (przezroczych) strugów napawają.”

Taki był rodzaj stylu, rodzaj fantazyi, które odznaczyły poezją polską Symonowicza. Pierwszy on u nas zamiast naśladowania toków i wyrażeń poezyi rzymskiej, użył w wierszu słów mowy potocznej i odważył się przemawiać w poezyi polskiej słowami raczej wieśniaków polskich jak Horacyuszów; pierwszy też w jej stronie wewnętrznej obrał za przedmiot główny uczucia i wypadki domowe. W sielankach Symonowicza ukazał się mianowicie po raz pierwszy, to jest po raz pierwszy odbił na większą skalę pierwiastek nieznany prawie przedtem w poezyi polskiej: erotyczność. Pierwiastek ten, to jest pierwiastek poetycznej (idealnej) miłości w utworach głównych poetów naszych z wieku XVI nie spotykał się wcale. Łacińskie Kochanowskiego elegie, pisane w jego młodości do Lidy (Paryżanki) oddychały wprawdzie w swém brzmieniu głównie miłością; — Kochanowski sądził nawet jak Bajron, że sama miłość była źródłem jego poezyi (*solus amor docuit blandos me fingere versos!* Eleg.); lecz miłość ta była tu wcale nieidealną i nie była wreszcie wyrażana mową krajową. Wierszyki tego poety polskie do *Pań* i *Dziwek* spotykane śród jego *Pieśni*, były także wszystkie raczej wy-

razem pustoty chwilowej, niż jakiegoś głębszego uczucia. Kochanowski wśród utworów oryginalnych okazał się poetycznym i rzecznym tylko w kreśleniu żalu rodzicielskiego. Charakterystyką rytmów (lubo zkądnąd tak niezliczonych) Reja było wszędzie i zawsze *moralizowanie*, Klonowicza *dydaktyczność* i *satyryczność*, Zbylitowskich *opisowość* i *satyryczność*, Miaskowskiego *religijność* i *wzniosłość*, Grochowskiego *religijność* i *historyczność*; pierwszy dopiero Symon Symonowicz w sielankach okazał się śpiewakiem miłości, poetą *serca*. Pod piórem jego pierwszy raz tak napozór twarda tylko i ostra mowa północna, w kreśleniu uczuć okazała się nawet łagodniejszą i miększą niż południowa rzymska.

Ta prostota, jasność i gracia poezji Symonowicza nie była wcale, dodajmy, skutkiem jakiegóś umysłowej niższości jego od poprzedników, i owszem barwa ta była jednym ze skutków jego naukowości, to jest obcowania bliższego i zaprzyjaźnienia się z treścią utworów greckich. Symonowicz którego natchnieniem był oczywiście duch Teokrytowemu podobny, przeniósł rozmaitość, naturalność i gracyą tego ostatniego, nad strzyżony i chłodny lubo uważany powszechnie za szczyt piękności klassycznej sielskiej, rytm Wirgilego (1).

Śród owych dwudziestu sielanek Symonowicza trzy są przełożone z Teokryta, jedna z Wirgilego, jedna jest w połowie z Wirgilego, jedna w połowie z Teokryta, jedna wreszcie w jednej swój połowie jest z Teokryta, w drugiej z Wirgilego; wszystkie inne (13) są własne. Użył tylko w większej części imion pasterzów greckich i od czasu do czasu powtarza w nich jakiś śpiewek z *Teokryta*, *Moschusa*, *Biona*, *Wirgilego* i innych. Lubo jednak Symonowicz w ten sposób wziął za wzór obcych i utwory ich niekiedy prosto przekładał, cechy te nie odejmują mu wcale przyniotu oryginalnego pisarza. Wszakże i sam Teokryt naśladował nie raz w idyllach swych *Anakreonta* i *Stezychora*. Stezychora

(1) W przypisaniu swych sielanek Wolskiemu, Symonowicz wyraził to jawnie, iż zdaniem jego lubo śpiewak *Eneidy* i *Georgik* dorównał Homerowi, przewyższył Hezyoda, ustępuje jednak Teokrytowi („Lubo Homera rymem głośnym wyrównywa,—Lubo nad Askrejczykiem górą wylatywa,— Gdy mu przyszło, niém zdaniem, na *Sykulskie* muzy,— Nie dogania pasterza pięknej Syrakuzy”).

Żale Dafnisa miały nawet być głównym źródłem rodzaju i charakteru jego poezyi. Talent Symonowicza był mianowicie przez to oryginalnym, iż był twórcą nowej gałęzi, nowego języka w poezyi krajowej, a przez to samo tworzył nowy jej odcień i wśród ogólniej. Tok jego myśli i słowa tak był zawsze jemu właściwym, iż tam nawet gdzie był ściśle tylko tłumaczem, był widny i pewien stopień jego niezawisłości (1).

Mówiąc bliżej o treści, trzy zalecwie lub cztery jak rzekliśmy z jego sielanek mają za przedmiot rzeczywiste kreślenie szczegółów czyli obyczajów wiejskich, wszystkie inne są allegoryczne. Alegorye te dotyczą własnych uczuć, myśli, dziejów serca, przygód autora, a ztąd są zarazem i materiałem do jego biografii.

(1) W sielance np. Kosarze, przełożonej z Teokryta, której treścią jest rozmowa pasterzów: *Milona* i *Battosa*, o ich uczuciach miłosnych; Battos w tekście teokrytowym, kreśląc miłość dla swiej ulubionej Bombiki, tak między innymi woła: „Za konieczną koza, za kozą wilk chodzi; żóraw za plugiem, a ja za tobą szaleję; gdybym jedno miał co niegdyś Krezus, jak mówią posiadał, oboje ze złota w świątyni Afrodyty stanęlibyśmy, ty z pieszczalką i różą lub jabłkiem. ja zaś w szacie i nowemi trzewikami na obywoch nogach. Bombiko ukochana! nogi twoje jak kosteczki, głos cieniutki, lecz duszy twojej nie umiem (nawet) opisać” (przekład dosłowny Węclewskiego).

Słowa te w przekładzie Symonowicza tak brzmią:

„Oracz za plugiem chodzi, za oraczem wrona,
Ja za tobą Bombiko moja ulubiona!
Gdybym miał skarb królewski albo złote bani,
Stalibyśmy oboje ze złota odlani.
Tybyś bębenek albo pieszczalkę trzymała,
Albo różę, albo mi jabłko podawała.
Jabyś stał jako stawam, gdy taniec wywodzę,
Piórko za czapką, gładka skórzenka na nodze:
Bombiko ma najmiłsza! twoja nóżka—mała,
Słówka—jedwabne, łaska—nie wiem jako trwała.”

Batty Symonowicza nie wspomina tu jak widzimy ani Afrodyty, ani Krezusa; zamiast żórawia za plugiem, położona tu wrona, zamiast trzewików na nodze, piórko za czapką i t. p.

U Wirgilego w eklodze 2-jej pasterz Tyrsys śpiewa:

Fraxinus in silvis pulcherrima, pinus in hortis,
Populus in fluviiis, abies in montibus altis,

Dzieje serca (miłosne) i zawód autorski, to były najczęstsze źródła natchnień, przedmioty obrazków i śpiewów Symonowicza. Symonowicz dożył był, jak to wspomniało się wyżej lat więcej 70-u; życzeniem jego było zawsze pojąć małżonkę, ale został bezżenny; łatwo więc wnieść, iż z sercem żywo czującym, uczuciem poetycznym, nie jednego być musiał wśród życia swego bohaterem dramatu miłosnego. Powodzenie i niepraktyczność, te dwa zwykłe udziały w losach poetów, w historii zalotów ich, nie jedno stworzyć musiały uczucie żywsze, w nie jedną sielankę się wylać i w utworach tych zostawić swoje odbicie. Zawód autorski nie mógł także nie tworzyć szczególnych wzruszeń; każde pismo raz ogłoszone musi iść pod sąd, ocenianie tysiąca umysłów nader różnego rodzaju i stopnia ukształcenia, smaku, pojęć i t. p., a ztąd stawać się nieraz przedmiotem pośmiejchów, ironij i t. p., tém to częstsze, jeżeli tém pismem jest poezya, jako w ręce wszystkich idąca; skutki te muszą się naturalnie odbijać już boleśnie, już ironicznie w duszach poetów, i ledwo nie w połowie sielanek Symonowicza znajdujemy ślady tego odbicia. Te ślady były to już usprawiedliwiania się, odparcia, już wykłady pojęć autora o sztuce, a ztąd niektóre z jego sielanek mogą się téż uważać jako poświęcone teorii sztuki. Prócz uczuć erotycznych, autorskich, weszły téż w treść sielanek odbicia i tych żywszych uczuć, rozrywek, obrzędów, które ludziom przeplatają zwykłe życie potoczne, a w których autor brał udział; ztąd śpiewy weselne, śpiewy żałobne, niekiedy wrażenia z życia społecznego i t. p. wcielają się i napotykJą tu także, w treści sielanek.

Saepius at si me Lucida formose revisas,
Fraxinus in silvis caedat tibi, pinus in hortis.

W sielance Symonowicza *Mopsus*, podobnie śpiewa *Tytyrus*:

Piękna jodła na górach, jawor w gęstym boru,
Sosna między ogrody, lipa pośród dworu.
Ale gdy kraśny Dafnis stanie między nami,
Wyższy głową nad wszystkie, wyższy ramionami.

Jestto oczywiście przekład powyższej strofki, ale zaledwo przekładem może się nazwać.

Spójrzmy teraz szczegółowiej w treść każdej.

Pierwsza sielanka Symonowicza ma nadpis: *Dafnis*. Treścią jej jest: narzekanie na niewzajemność. Jestto treść dosyć częsta w poezjach młodych poetów. Mickiewicz w podobnym stanie duszy straszyl swą kochankę balladą *To lubię*, — (to jest obrazem potępionej dziewicy, skazanej na pokutowanie dopóty, dopóki na jej grobie nie wymówił kto słów: „to lubię”). Symonowicz wyraził się tylko lirycznie a formą sielanki. W treści tej straszyl autor kochankę nie jej śmiercią, ale swoją własną. Pasterz *Dafnis* nie mogąc rozbudzić wzajemności w sercu *Filidy*, pociesza się widokiem pięknej natury i swojej trzody; cisnąc zaś go boleść wylęwa w szereg smutnych wspomnień, kreślenie swych zabiegów, swych starań, niewdzięczności kochanki i kończy te wołania wyrazem rozpaczonym i groźnym, iż pośmiechy jej z niego, wywołają w końcu i jego zgon:

Śmieję się zdrowa, okrutnej lwice srogie plemię!
Potem, kiedy nasypią na me oczy ziemię,
Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła:
„Filis sroga nędznego *Dafnisa* zabiła.”

Sielankę tę *Słowacki* (*Euzebiusz*) kładł nad wszystkie *Symonowicza*, za nim *Wiszniewski*. Jej tok i charakter naśladował *Kropiński* w sielance: *Emrod*. Wiersz tej sielanki

..... nie wiele cię znano,
„I krępa, i cyganką czarną przezywano”

powtórzył inném wyrażeniem *Mickiewicz* w *Dziadach*. Jest w tej sielance parę myśli wziętych z *Wirgilego*, parę wierszy z 23 *idylli* *Teokryta*, ale w ogóle całość jest własną autora. *Ekloga* *Wirgilego* tegoż nazwiska: *Dafnis*, ma treść zupełnie odmienną.

Sielanka druga *Wesele* (oryginalna także) jest wyraźnie pocieszaniem się poety po ślubie kochanki (może tejże samej *Filidy*). Przytoczymy z niej kilka wierszy dla wskazania jak w utworach swych *Symonowicz* miał oczywiście na celu nie kreślenie przygód i uczuć rzeczywistych pasterzów, ale swych własnych. *Tyrsys* (pasterz-poeta) spotyka pasterza *Morsona* i wypytuje go o szczegóły wesela *Filidy*.

Tyrsys.

Powiedz mi, Morson, wszak to za *pochwałę mają*
(za godnepochwały),

Kiedy się młodzi ludzie o rzeczach pytają (1),

Co za pieśni śpiewano, kiedy za Damona

Sąsiadka nasza Filis była poślubiona?

Boś ty tam był, a nam się być tam nie zdarzyło,

A mamli prawdę wyznać, i *żał komus było*

(nie był dla żalu).

Morson.

Dobrze tak na leniwe, a teraz kto inny,

Tak grzeczną dziewczkę uniósł do cudzej dziedziny.

Tyrsys.

Tak to bywa, postronni lepsze szczęście mają,

Na cudzém lepsze zboże, dawno powiadają.

Morson.

Bardzo też przebieracie, wszak się wam kłanianio,

A ledwo, iż tak rzekę, do rękę nie tkano.

Tyrsys.

Czego Bóg nie obiecał, dotrzymać nie snadnie.

Dodaje nadto uwagę, iż jakto mówią: „nie jedna różga rośnie wlesie” nagli wszakże Morsona, aby mu powtórzył jakie też śpiewano pieśni w czasie wesela, i za wierne ich powtórzenie obiecuje mu swoją laskę i torbę („*tajstrę i maczugę*“).

Morson powtarza, a pieśni te stanowią napozór główne tło sielanki; są to pieśni i strofki wdzięczne i skromne o *Cyprydzie i Kupidyńie*, już własne Symonowicza, już przełożone z Teokryta, jak np. owa z powiastką grecką:

„Cnój Wenery dziecinę, gdy miód z dzieni kradła” i t. d.

(1) W zaczęciu sielanki I-ój Gawińskiego (jednego z naśladowców Symonowicza) *Alkon* mówi:

Powiedz nam Thyrsy, wszak wiesz, te własności mamy,
Że się o rzeczach nowych radzi więc pytamy.

Zimorowicz, *Gawiński* i inni, oprócz ogólniej formy, w wielu miejscach w podobny sposób powtarzali i przerabiali myśli i wyrażenia sielanek Symonowicza.

a kiedy w końcu opowiadający wspomniał, że śpiewano i o *nieobecny poecie* sielskim, i zdrowie jego przepijano, Tyrsys (uradowany) woła:

Bierz tajstrę i maczugę mój Morsonie drogi,
A jeśli się nawiedzić trafi tamte progi.
Powiedz Filidzie, że się *nazbyt ukwapila*,
Ukwapiona rzecz nigdy z pożytkiem nie była.

Ten rys uszczęśliwienia z niczego, należy także do charakterystyki trafnej umysłu poetycznego.

Sielanka trzecia: *Silenus* jest przekładem z Wirgilego; czwarta: *Kosarze* z Teokryta.

Sielanka piąta: *Baby* własna i zdaje się mieć także za źródło może zazdrość i może zemstę poetyczną. Treścią jej jest rozmowa pasterzów, wyśmiewających Nice, iż w późnym wieku za mąż poszła („I tak li nasza Nice na swe stare lata, za mąż idzie i myśli jeszcze zażyć świata?”), oraz pana młodego, że dostał *Babę*. Żartowanie z wieku osoby trzeciiej (zwłaszcza przez poetę tak czułego smaku jak Symonowicz) mogło mieć tylko za powód jakąś osobistość.

Sielanka szósta: *Mopsus* jest śpiewem dla śpiewu. Dwaj pasterze *Dametas* i *Tytyrus* postrzępszy jak Mopsus szuka straconego ze swęj trzody kozła, zapraszają go do siebie, uprzedzając, że jego strata jest u nich; lecz za nagrodę zwrotu wymagają, aby się zatrzymał czas jakiś dla posłuchania ich pieśni.

Są to właśnie owe śpiewane naprzemian czworowersze w części naśladowane z Teokryta i Wirgilego, z których kilka wyżej przytoczyliśmy.

Sielanka VII *Alkon* całkowicie, a VIII *Dziwka*, w polowie, przekładem są z Teokryta.

Sielanka IX: *Kiermasz*, własna. Tyrsys zatrzymuje Menalkę, wracającego z kiermaszu wcześniej niż inni, zapytuje, co słyszał? a ten mu powtarza słyszane na kiermaszu śpiewki. W ramach tych lekkich napozór śpiewków autor dotyka różnych przedmiotów już krajowych już własnych, tu też między innymi zapisał i swe (tak rzeczywiście) jakie miał uwielbienie dla sztuki poezyi:

Muzy, nadobne Muzy!
Najszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek traci.

Sielanka następna X pod napisem: *Wierzby*, uważać się może jako poświęcona teorii sztuki. Autor w niej oświadcza się wyraźnie przeciw owemu zdaniu, które współcześnie nam sformowało się w twierdzeniu: „sztuka dla sztuki”; i za jeden z warunków pięknej poezji kładzie jej czystość i skromność. W sielance tej autor przedstawia siebie pod postacią nimfy (Najady) domowej rzeki i mówi od jej imienia. Oto jest jej zaczęcie:

Stojąc nad cichym Porem *Nais* żalosciwa
 Jako, prawi, ta woda za wodą upływa,
 Tak lata nasze bieżą, nazad niewrócone;

lecz, za wodami, dodaje, które bieżą, nadchodzą inne, a lata moje skoro raz upłyną, znikną stanowczo. Cóż więc mam czynić? Narzekanie na nic się nie zda; raczej pracujmy, aby została pamięć: „ten nie żył, po kim piękna pamięć nie pozostała”. Tu określa charakter swych zajęć (to jest swojej poezji) i mówi między innymi:

Jeśli mię nigdy taniec długi nie zabawił,
 Jeśli na krotochwilach wiek się mój nie strawił;
 Jeśli na łąkach *kwiatków* tylko nie zbierała,
 Anim się na wesole Fauny zapatrzała,
 Ale *uczone pieśni* w ustach moich brzmiały:
 Te, proszę, aby po mnie na świecie zostały.
 Świadczę wami, o wierzby! co nad brzegi temi
 Stoicie jednym rzędem, *jeszcze maluchnemi*
 Rączkami, żem ja tu z was gałązki łamała,
 A z nich długie piszczalki sobie wykręcała (1).

I z okoliczności tego wezwania opowiada co to są wierzby. Wierzby były to Nimfy jak ona, ale za życie nieczyste zmienione zostały przez Palladę w krzewy, z tém przekleństwem, aby zawsze w błocie i bez wydawania owocu rosły. Skończywszy zaś to opowiadanie mytu (niema go w Owidyuszu), *Nais* dodała:

O wierzby! nie mówię to do was z urągania,
 Ale żem z was początki niegdy brała małe,
 Jeśli będą na świecie prace moje trwale,
 Niechaj trwają w pamięci i wasze przygody,

(1) Poeta wyraża tu, jak widzimy, między innymi, iż ma nadzieję, że jego *uczone pieśni* (poemata łacińskie) żyć będą wiecznie i że będąc jeszcze dzieckiem, już zaczął być pisac.

Może być, że kto korzyść weźmie z waszój szkody
 Jako ja teraz biorę, i karzę się wami.
 I wolę nad pustemi schadzać tu brzegami,
 Niżli się popisywać u gminu podlego.

Wolę, wyraża tu Symonowicz, raczej żyć w zapomnieniu, niż w zły sposób szukać popularności.

Jak Wierzby, tak też teorii poświęcona jest sielanka *Orpheus* (XVI), a natchnięta była zapewne jak i poprzednia, posłyszaniem krytyk niesłusznych.

W sielance tej pasterz *Lycydas* opowiada *Menalce* (sam autor) jako był świadkiem, iż ludzie żartowali i z osoby jego i jego pieśni. „Kiedyś, mówi, wczoraj grał na fujarce, a było się ku tobie zwróciło:

Rzecz jeden: nowy się Orfeus narodził,
 Będzie za sobą bydło i niemy zwierz wodził,
 Patrzcie, jako te krowy nadstawiają ucha!...

Menalkas.

Wiem ja to, że nie wiele mam u nich przyjaźni,
 Ale...

niechaj oni swemi
 Obyczajmi się rządzą. ja będę mojemi,
 I lub (lubo) się oni z mego graunia pośmiewali,
 Bodaj mię raczej grubi ostowie słuchali,
 Niżby się miał ocierać mój głos o ich uszy!

i zamiast odpowiadania i usprawiedliwiania się z zarzutów, kreśli dalej przydłuższą (sielanka *Orpheus* ma wierszy 230 i jest najdłuższą z sielanek Symonowicza), ale szczytną pochwałę poezji, która jest główną treścią utworu. Opowiada tu między innymi, jakie cudowne skutki sprawiała lira za starój Grecyi, jak mianowicie śpiew Orfeusza wzruszał bogi, ziemię i same piekła; wiersz zaś ten i pochwałę kończy autor następnem niby przeproszeniem:

Cóż ja czynię? nie o tem zaczęła się mowa,
 Ani mej nucie służy chwała Orfejowa,
 Ale ten ma obyczaj piszczałka ze trzciny;
 To śpiewa, co przyniosą do języka śliny.

Sielanki: XI, XII i XIII: *Ślub, Kołacze i Zalotnicy* oryginalne, a są ze sfery godów małżeńskich.

Sielanka: *Ślub*, było najpierwszy utwór Symonowicza dokonany po polsku. Wiersz ten nazwany następnie sielanką napisany był z okoliczności ślubu Adama *Sieniawskiego* z Anną z Kostków i był wydrukowany pod napisem: *Ślub opisany przez Simona Simonidesa na feście Inci Pana Adama Hieronima Sieniawskiego* (roku 1593, inne sielanki Symonowicza wyszły dopiero w 1614). Pan młody żeniąc się nie miał więcej jak lat 20, Symonowicz w wierszu swym zdaje się wyrażał bojaźń powszechną, aby zawierający się związek nie pozbawił kraju ręki rycerskiej już wstawionej w licznych wyprawach; autor zwracając się więc w tym wierszu do panny młodej, opowiada jej przygodę Wenery, gdy zakochana w 15-letnim Adonisie uwiódłszy go wcześniej do miłości, wnet ujrzała i jego śmierć. Wiersz ten pisany po polsku, bo przeznaczony dla panny młodej miał już wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne cechy sielanek późniejszych autora i oczywiście powodzenie jego było mu zachętą do uprawiania następnie głównie tego rodzaju. Sieniawski który żył jeszcze lat 23 był stale jednym z przyjaciół i wielbicieli poety.

Sielanka *Kołacze* jest jedną z przedmiotowych i najwięcej krajowych.

Narieczona niespokojnie wygląda przybycia dawno już niewidzianego narzeczonego; srocza krzeczce i przepowiada przybycie. Przybywa. Stawia na stół wino, *kołacze*, a pary tańczące kolejno śpiewają strofy; jak szczegóły tak i tok wiersza oddychają tu obyczajami i miarą śpiewów krajowych, zarówno jednak odznacza je i uczucie.

Oto jest kilka wierszy z zaczęcia:

Srocza krzeczce na płocie—będą goście nowi.
 Sroczo! umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała?
 Z którejś strony goście jadące widziała?
 —Jedzie z swoją drużyną panicz urodziwy,
 Panicz z dalekiej strony, pod nim koń chodziwy,
 Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
 Panno! gotuj się witać, już wjeżdża we wrota.
 Już z konia pozsiadali; wszystko się po dworze
 Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze.
 Kędyś się nam zabawiał, mój panicze drogi!..
Pełna jest trwogi miłość, i w każdy kąt ucha
 Przykłada;—raz ją bojaźń, raz ciesz się otucha.

Czyli cię krotchwile jakie zabawiały?

Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały

Ani słoneczko jasne. Komuż do wesela

Przyjść może, gdy miłego nie ma przyjaciela?

Sielankę: *Zalotnicy* przytoczymy poniżej całą.

Sielanka XIV: *Pomarlica* (pomór) dostarcza także jak się zdaje, szczegółów do biografii autora.

Pasterz *Wonton* rzuciwszy służbę dworską i powróciwszy do wsi swojej, znajduje ją spustoszoną i wyniszczoną; przeklina więc życie dworskie, swoich zastępców i nie mogąc się dalej utrzymać przy gospodarstwie, zmuszony jest rzucić na zawsze swe domowe kąty, te kąty, w których tyle prześpiewał, i z uczuciem je żegna....

już was proste pieśni

Bóg żegnaj, Bóg was żegnaj satyrowie leśni.

Ciebie, piszczalko moja, niech ma ten dąb suchy!

Minęło to, że przez cię kraj ten nie był głuchy.

Darmo, przezorny *Purze*, lejesz hojne zdroje,

Już nie będą pijały z ciebie woły moje.

Narzekania te, opowiada dalej sielanka, nie pozostały bez skutku; sąsiedzi czyli towarzysze zatrzymując przybyli na pomoc *Wentonowi* i mógł pozostać.

Sielanka *Czary* w połowie jest z *Teokryta*, w połowie z *Wirgilego*.

Sielanka XVII: *Pastuszy*. Treścią: rozmowy i śpiewy dwóch pasterzów, nie ustępujące w gracy i śpiewom innych sielanek, ale, jako obejmujące zapewne jakieś alluzje do szczegółów i wypadków czasowych i miejscowych, dla dzisiejszego czytelnika nie odznaczone są żadną nową treścią.

Sielanka XVIII: *Żenicy*, wyłącznie przedmiotowa. Według *Mickiewicza* „najpiękniejsza to i najbardziej narodowa z sielanek”.

Żniwiarki *Pietrucha* i *Olechna* pracują w polu. Nadchodzi *starosta* i oszczędzając trochę *Pietruchę* napędza je do pracy. Gdy odszedł, *Pietrucha* śpiewa o nim złośliwą piosnkę, w której obiecuje, że mu wyswatają babę za żonę.

Olechna.

Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę,

Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone,

Albo na grzbiet upstrzony za to winszowanie,
Słyszysz, jakie Maruszcze daje tam śniadanie?

Pietrucha.

Dobry on bardzo człowiek, by go nie psowała
Domowa swacha, ta go właśnie osiodłała...

I Pietrucha śpiewa znowu pieśń o staroście. W pierwszej odważyła się śpiewać, iż starosta nie jest słońcem na niebie; teraz odważa się radzić, iżby mu stał się podobny, jak słońce pojął żonę, jak słońce był im przychylnym. Dla dawniejszego pracownika rolnego dwie były największe w świecie wielkości: słońce na niebie, a ekonom na ziemi, piosnka ta sięga więc możliwej wzniosłości wiejskiej, lecz zarazem ma całą prostotę toku i charakter piosnki wiejskiej krajowej.

Oto jest kilka z niej strofek:

Słoneczko! śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Ty piękny dzień promieniami swojemi oświecasz,
Ty wzajem księżycowi noc ciemną polecasz,
Jako ty bez pomocy nie żyjesz na niebie,
Niechaj i nasz starosta przykład bierze z ciebie.
Na niebie wszystkie rzeczy dobrze są rządzone,
Księżyc u ciebie żoną, niech on też ma żonę.
Słoneczko! śliczne oko, dnia oko pięknego,
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Gdy ty na niebo wschodzisz, gwiazdy ustępują,
Gdy księżyc wschodzi, z nim się gwiazdy ukazują.
Siła gospodarz włada, siła w domu czyni,
Ale czeladka lepiej słucha *gospodyni*.
Niechaj ma żonę, będzie się domu trzymała
Czeladka, nie będzie się często odmieniała i t. d.

Starosta zasłyszawszy tych strof, udobruchany zbliża się do pracownic i pozwala udać się do południowej stawy.

Pietrucho! prawieś mi się sianem wykręciła,
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie siorpy, kupami do jądła siadajcie,
W kupach jedźcie, po chrustach się nie rozchadzajcie.

Charakter robotnic i ekonoma wybornie tu od początku do końca zachowany. Jedyna też to sielanka Symonowicza, której bohaterowie mają nawet imiona krajowe, w której też od początku do końca nie ma wzmianki o mitologii i bożkach greckich.

Sielanka XIX: *Rocznica*. Pasterze w rocznicę śmierci *Dafnisa* śpiewają żal po nim i jego pochwały. Jestto właściwie wymowna i tkliwa elegia Janowi Zamojskiemu w rocznicę jego śmierci napisana, a formą sielanki wyrażona.

Sielanka XX: *Epitalamium Heleny* jest przerobieniem Teokrytowój *Helenes Epitalamios*, zapewne z okoliczności czyichś godów.

Taką jest treść, taki wewnętrzny i zewnętrzny charakter sielanek Symonowicza; lecz dla zupełniejszego przedstawienia talentu i charakteru pióra, przytoczyć winniśmy jeszcze chociaż jeden z jego utworów w jego całości. A na ten cel wybieramy sielankę XIII *Zalotnicy*. Sielanka ta, zdaniem naszym, jest najcelniejszą z sielanek Symonowicza. Oprócz bowiem prostoty, gracy i innych zalet wspólnych wszystkim, łączy i cele dodatnie. Treść ogólna sielanki téj jestto obraz zalecania się dwóch pasterzów. W części, autor (niby podżyły pasterz *Mopsus*) powiada, iż gdy się sam nie ożenił dotąd, a żenić się mu już nie pora, tedy przynajmniej rozpamiętywać będzie zaloty obce i śpiewa o dwóch: *Amynty*, który się zalecał do nadobnej i bogatej pasterki *Neery*, i *Licydy*, który sam biędny zalecał się do biędnej także i niezbyt urodnej, ale pracowitej *Lykorys*. Obraz który jest śpiewem pasterza nad uspioną w krzakach kochanką jest sławieniem miłości idealnej; drugi, w którym rzezający sieczkę pracownik zaleca się do dojącej krowy kochanki, jest wymownem sławieniem *pracy*. Nazwiska greckie są tu tylko okrasą alegoryczną. Oto jest ta sielanka:

ZALOTNICZY.

Mopsus (t. j. sam autor) (1).

Przyjdzieli ten czas kiedy, że ja *swe zabawy* (o swoim ślubie)
 Będę śpiewał? czyli już Bóg tak niełaskawy
 Mieć mię raczy, że nigdy przyjaciel nie siędzie
 Przy mym boku i dom mój wieczną pustką będzie?
 Miłości nieszczęśliwa! nigdyś pięknej strzałki
 We mnie nie utkła! po co noszę te piszczałki? (co mi z poezyi?)

(1) Sroga *Filis* nie zabita była *Dafnisa*. Symonowicz dożył ósmego blisko krzyżyka, a w szóstym widzimy, marzył jeszcze o nowych *Filidach*. Że wszystko, co mówi tu *Mopsus* stosował autor do siebie, dowodem literalnym jest wymienienie (w wierszu 14) *Sieniawskiego*. Szczegóły te jawnie téż świadczą, iż nie był księdzem.

Po co pieśni? po co mi te *stada igrają* (co mi z dostatków)?

Szczęśliwsze stada, bo wždy uciechy swe mają!

Ja nie mam, a już starość nad grzbietem się krzywa

Zawiesza i co chwila sił pierwszych ubywa.

Ale wždy pieśni moje! ze mną zostawajcie,

Ani mnie do samego grobu opuszczajcie.

O pieśni! nigdy na was nie padnie śmierć głucha,

Póki wam cny *Sieniawski* wierzy swego ucha.

Zachowajmy się cudzem, gdy swego nie mamy.

Nie dziw, że starzy młode lata wspominamy.

Wspomnijmy, jakie stroił *Lycydas* zaloty.

Jakie *Amintas*. Miłość ma swoje kłopoty.

Licydas do *Likory*, ta trochę patrzyła

Krzywooko, lecz dobrą gospodynią była.

Amintas do *Neery*; siła było za tą

Posagu, bo się babką chępiła bogatą.

I często nowe chusty sprawowała na się

I w srebrnym na każdy dzień chodziwała pasie.

Onój trefnie żartować, onój w taniec było

Rej wodzić, onój samój co żywo (1) służyło.

Ledwo się o północy do domu wracała,

Bo jako jedynaczce matka folgowała.

Wtenczas była pognąła kozy do chruściny:

Kozy w chruście, ona u gęstěj leszczyny

Legła w chłodzie na trawie i smaczno zasnęła.

(Wilczaszku! żeś tam nie był, strawka cię minęła)

Tamże pędził *Amyntas* na pola przyległe,

A gdy do kupy zgania owce swe rozbiegłe

Trafił na śpiącą. Co w nim za myśl wtenczas była

Trudno trafić; atoli źle mu nie radziła.

Kto pragnie przyjaciela, wstydem go nabywa.

Cnota nad zakazanie nie chce być skwapliwa.

Staął tylko by wryty. Ona twardo spała

A wtém trzoda pasąc się blisko nadchadzała.

On do trzody:

Owieczki! *lekko* następujcie,

Śpi tu piękna *Neera*, spania jój nie psujcie.

(zamiast zbudzenia, *Amyntas* ochrania owszem sen kochanki i myśl swą rozwija tylko w różne drobne odcienia idealne z chwili płynące, wskazujące na stosunek śpiącej do wiatru, do słońca, do owadów i t. p.).

Śpi tu piękna *Neera*, przyjdź wietrzyku chłodny,

Przyjdź wietrzyku i czynj jój sen wdzięczny, łagodny;

Pozwalam ci i włosy obwionąć na czele,

Pozwalam, ach, niestety! ty i w ucho śmieje

(1) Wszystko, co żyło.

Możesz pszemrać możesz i wargę całować,
A ja nieborak, muszę przyjaźni folgować.

Lekko, owieczki moje! lekko postępujcie

Spi tu piękna Neera, spania jej nie psujcie.

Słoneczko! o słoneczko! nie zajrzy nam cienia,

Pohamuj małą chwilę ostrego promienia,

Uchyl się za ten obłok! blask śpiącemu szkodzi,

Jabym zasłonił, ale tknąć mi się niegodzi.

I ty się nie przebiegaj jaszczurko zielona!

Bo cię prędko dosięże maczuga toczona.

Lekko, owieczki, lekko następujcie,

Spi tu piękna Neera, spania jej nie psujcie.

Muchy, bezecne muchy! siła dodziewacie (dojmujecie)

Zaję wam i zajrzę wam; większą wolność macie

Niżli ja. Na co się was tak wiele zleciało?

Albo wam miło kęsać białe, miękkie ciało?

I ciebie tu komarku zła śmierć posadziła?

Ukasiłeś, że przez sen wargami ruszyła.

Lekko owieczki moje, lekko następujcie,

Spi tu piękna Neera, spania jej nie psujcie!

Śnie! jedni cię do śmierci czarnej przyrównują,

Drudzy mistrzem przyszłego życia nazywają,

Ja wieszczem, ja *prorokiem*. Dziś mi się przyśniła

Neera, że w kościele ze mną wspólna była.

Była matka i babka i sąsiad nie mało.

Po chwale Bożej—już się to w południe działo—

Kapłan stał przy oltarzu—myśmy też tam stali,

Kapłan mówił, a myśmy jego słów słuchali.

Wiązał stulą, wzajemne rozdawał pierścienie,

Boże! niech się nademną kona Twe przejrzenie.

Lekko, owieczki moje, lekko następujcie,

Spi tu piękna Neera, spania jej nie psujcie.

Na co mi ojciec zbioru tak wiele zostawił?

Na co dom tak budowny i folwark postawił?

Na co się ja o dobre mienie pieczoluję?

Komu śpiżarnie, komu dostatki gotuję?

Tobie piękna Neero, ty to będziesz miała.

Ty, jako swego, będziesz ze mną zażywała.

Śnie wdzięczny! zwiastuj to dziś nadobnej Neerze

A niechaj omylenia nie uznam w tej mierze!

Tak *Amyntas*. Zaloty zasię Licydowe

(A było prosty najmit) bywały takowe.

Wtenczas Likorys krowy w dojniku doła,

Licydas sieczkę rzezał.

— „Zawsześ mię żywiła

Ręko moja! *kto w Bogu duży a pracuje,*

Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Dziś sieczkę rzezesz, sieczka nie rzeze się sama,

Likorys! przy tej ręce będzie dobrze *nama* (liczba podw. zam.

nam).

Ręko moja! kto Bogu dufa i pracuje,
Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Panem się nikt nie rodzi Siła zostawiają
Dzieciom rodzice, siła dzieci utracają.

Praca skarb najpewniejszy. Kto się spuści na nie,
I za żywota ma chleb i po nim zostanie.

I ty Likorys! u mnie nie będziesz żebrała,
Nie będziesz, gdy nie będziesz ze mną próżnowała.

Ręko moja! kto Bogu dufa i pracuje,
Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Widziałam cię i w *tańcu*, i tak mi się zdało
Iżec tamto igrzysko namniej nie przystało.

Lubo cię w płasy wzięto lub do *gonionego*,
Trudno ciągnąć kto nie ma umysłu do czego

Piękniej ci u roboty; w tejsz przodek miała,
U robotys mi najprzód do serca przystała.

Ręko moja! kto Bogu dufa i pracuje.,
Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Pomnisz, kiedyśmy byli pospołu na żniwie (1)

Pszenicę wtenczas żęto na siedzianej niwie—

Zagon twój był wedle mnie; tak ci tam służyło

Szczęście, żeć sierpa w rękę ledwo dojrzyć było.

Jeszcześ nam przyspiewała. Przyznać ci się muszę,

Chcąc się tobie przeciwieć siliłem się z dusze

I mówiłem do siebie: Boże, jeśli zdarzysz,

Niech taki zawsze robi wedle mnie towarzysz.

Ręko moja! kto Bogu dufa i pracuje,

Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Widziałem, pod kądzielą kiedyś siadywała,

Samać się o wrzeczona nić z palca puszczała:

Jedwab' nie będzie taki. U ciebie i spanie

Najpóźniejsze, u ciebie i najrańsze wstanie.

Tobie czeladź nakarmić, tobie pochędożyć

Wszystko w domu, i wszystko na miejscu położyć.

Ława zawsze chędogo, pomyte naczynie.

Mówiłem: komu cię Bóg da, z tobą nie zginie.

Ręko moja! kto Bogu dufa i pracuje,

Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Jeśliś mi przyjacielem? podobno nie zgadnę...

Gdyś chusty polewała (myła) onegdaj czeladnie,

Były też tam i moje, a iż w ręce były

Przyjaznej, przed innemi jawnie to świadczyły.

Biało mię sobie nosisz, noś mię sobie biało! (2)

Równemu z równym zawsze na świecie przystało.

(1) Jest tu wszędzie drobiazgowo przejęcie się autora odcieniami położeni i prac wiejskich.

(2) „Dobrze o mnie trzymasz, trzymajże dobrze.”

Chędogo choć ubogo, bodaj się święcily
Ręce twe zakasane, bodaj memi były!

Ręko moja! kto Bogu dufa a pracuje,
Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Dworniczko! ty się teraz przesypiasz w południe,
Likorys krowy doi. Nie bardzo to cudnie
Spać we dnie gospodynięj; jeszczeć się nie dała
Znać czeladka; znać, żeś jej mało doglądała:
Teraz masz wierną, potem nie wiem jaka będzie,
Jakobys sama siadła, gdzie Likorys siedzie.
I kropła tam nie zginie i niezadojone (nieukrzywdzone)
Cielęta, i mleka są skopce napelnione.

Ręko moja! kto Bogu dufa i pracuje.
Do ostatniej starości nędze nie uczuje.

Koso! palec to... (mówiąc uraził się w palec) czyli kto zaloty
Albo się zamyśliwa, a przy kosie stoi stroji,

Prędzej w palec zawadzi? O! moja Likory!
Wiesz ty jakom cierpliwy i jakom nieskory.
Róbwia już raczej na się, służba nie na wieki,

Niech ja twój pewien będę, ty mojej opieki.

Ręka rękę umywa, noga wspiera nogi,
Przy wiernym przyjacielu żaden nie ubogi.

Więcej Bóg ma niż rozdał, jest nasza u niego
Cząstka też, nie opuszcza On człeka żadnego.

A kto w zakonie Jego prowadzi swe życie,
Wszystko się zdarza, wszystko płynie tam obficie.

Dufajmy Mu, a On nam niechaj błogosławi,
I kiedyż ten dzień będzie, gdy nas obu stawi
Przed ołtarzem?

Tak śpiewał, a już sieczki *wielka kupa* była,
I Likorys namyślnie u krów się bawiła.

Sposób w jaki autor objaśnia tu czytelnika o pomyślnych rozwiązaniach, odpowiada delikatności słów w monologach; o pierwszym dał do zrozumienia przez figurę snu proczego, o drugim przez wyrażenie przychylności, z jaką Likorys słuchała słów wielbiciela.

Taki jest wewnętrzny i zewnętrzny charakter sielanek Symonowicza. Przyczyną wielkiej popularności i częstych przedruków utworów tych, nie był wcale brak poetycznych utworów w literaturze krajowej. Gałąź poezji była owszem jedną z najbogatszych w naszej dawniej literaturze. Juszyński wyliczający poetów polskich, tylko do połowy XVIII wieku wyliczył 1500 nazwisk i 500 anonimów; wśród utworów ich było wiele niezwykłej objętości i nie małej wartości.

Z wielkiej téj liczby kilku jednak zaledwie (ci, o których wzmiankowaliśmy wyżej) zyskało śród kraju głośność i powszechniejszą wziętość; innych mimo ich poetyczną płodność (jakimi byli np. u nas poeci z XVI i XVII wieku: *Kołąkowski, Żabczyk, Chlebowski, Witowski, Krajewski, Paszkowski* i t. d.), nasze dzisiejsze historye literatury nie wspominają nawet nazwisk; innych nazwiska błyszczą wprawdzie wśród tych historyj, ale wyłącznie jako pisarzyw innéj gałęzi (jak np. Krzysztof *Warszewiecki, Starowski*, jakkolwiek byli autorami obszernych nawet i nader gładko pisanych poematów w języku krajowym). Ale kiedy w ten sposób już nazwiska poetów, już pamięć o ich utworach kolejno w kraju ginęły, losem było dwóch z nich, lub raczej dwóch poetycznych ich utworów mieć powszechną i ciągłą wziętość, pozyskać zwolenników i naśladowców i potworzyć stałe zwroty i szkoły. Utwory te były to *Treny Kochanowskiego* i *Sielanki Symonowicza*. *Treny Kochanowskiego* wydawały przez lat 200 tłum naśladowców. Tyleż i przez takiz prawie przeciąg i *sielanki Symonowicza*. Poeci mianowicie: *Zimorowicz, Wieszczycki, Gawński*, następnie redaktorowie *Zabaw przyjemnych i użytecznych* (pismo, które sprawiło było okres w smaku poetycznym krajowym) (1), *Naruszewicz, Zabłocki, Węgierski*, w dalszém następstwie: *Kniaznin, Karpiński* i inni odznaczyli i rozwinęli tę drogę.

Spółcześnie nam te *małe obrazki* (sielanki) zmieniły nazwisko i formę; wszakże od czasu do czasu rodzaj ten (zawsze głównie przez *Symonowicza* zaczęty) ma i artystów i zwolenników i mieć ich bezwątpienia zawsze będzie, zawsze mieć musi. Z utworów tego rodzaju, z ostatnich czasów za najpiękniejszą przedmiotową sielankę w naszej literaturze uważać się może *Wiesław Brodzińskiego*, subiektywną: *Dudarz Mickiewicza*.

(1) W każdym prawie numerze tego dwutygodnika, który wychodził przez lat 7 (1770—1777) była jakaś sielanka.

ABDALLAH,
CZYLI
CZTEROLISTNA KONICZYNA.
POWIEŚĆ ARABSKA

Edwarda Laboulaye.

PROLOG.

„W Imię łaskawego i miłosiernego Boga, który dał nam trzcinę do pisania, i codziennie naucza człowieka czego człowiek nie umie (1).” Nie jestto romans Abu-Zeyd’a ani życie Ez-Zahira, ani nawet jedna z tych pięknych historyj, jakie w dnie świąteczne deklamują lub śpiewają w kawiarniach Kairu: to prosta opowieść słyszana w pustyni z ust wielbłądnika Ben-Achmed, gdy pewnego wieczora koczowaliśmy wspólnie około studni Błogosławieństwa. Noc zapadała, gwiazdy gasły na niebie, wszystko zatonęło we śnie, wiatr, ziemia i ludzie, i tylko wejrzenie samego Boga ogarniało wszechświat. Nam znużonym podróżą i skwarem dziennym, opowieść ta wydała się przezczystą wodą dającą orzeźwienie i życie; oby mogła stać się równie użyteczną i dla innych wędrowców tego padołu płaczu! oby mogła dać im spokój, pozwoliła marzyć i—zapomnieć!

(1) Koran, XCVI, 8.

I.

RADOŚĆ W DOMU.

Niedawno jeszcze temu, w bogatym mieście Dżeddach, po nad brzegami morza Czerwonego, żył bogaty kupiec egipski nazwiskiem Hadzi-Mansur. Był to, jak mówiono, stary niewolnik wielkiego Ali-Beya, który w wojnach egipskich służył z kolei, a czasem i jednocześnie: Frankom, Turkom, Mamelukom i Mehemet-Alemu. Podczas walki każda strona liczyła na niego, iż dostawi jej żywność, broń i wielbłądy, a jednak po bitwie uskarżał się zawsze na niewdzięczność zwycięzcy, któremu nikt równiej nie okazywał gorliwości, choć z drugiej znowu strony, nikt nie nabywał równie za bezcen spuścizny po zwyciężonych. Zaczne to rzemiosło zjednało usłużnemu Mansurowi ogromne bogactwa, ale zarazem i pewne nieprzyjemności. Zazdrośni zaskarżyli go jako szpiega, fanatycy zbatożyli jako zdrajcę, nawet dwukrotnie miał już być powieszony, gdyby nie litość pewnego baszy, który wzięwszy milion piastrow, nie wahał się uwolnić człowieka, co niewinność swą tak niezbitemi stwierdzał dowodami. Mansur był jednym z tych ludzi, których podobne wypadki polityczne bynajmniej nie zrażają. Któż może zważać na takie drobnostki; jeśli więc osiadł w Dżeddach po skończonej wojnie, to tylko dlatego, iż uważał że stały i regularny handel, był obecnie jedynie możliwą drogą powiększenia i tak już ogromnego majątku.

I w tym nowym zawodzie szczęście i powodzenie sprzyjało zarówno przezornemu Mansurowi. Powszechnie twierdzono, że dom jego wysadzany był złotem i dyamentami. Co prawda, Egipcyanin ten wcale nie był lubiony; dla Arabów był obcym przybyszem, a nadto uchodził powszechnie za niemilosierznego wierzyciela; nikt jednak nie okazywał mu niechęci ani pogardy, bo w Dżeddach nikt nie ośmieliłby się pogardzać człowiekiem, który korcem mierzył pieniądze. I dlatego jak tylko Mansur pojawił się w bazarze, wszyscy wybiegali naprzeciw niego, współubiegając się o zaszczyt potrzymania mu strzemięcia i ucałowania ręki. Kupiec przyjmował te hołdy ze skromnością człowieka znają-

cego przywileje bogactwa; trzydzieści lat skąpstwa i przebiegłości, wszystkich pocziwych ludzi do stóp jego rzuciło.

Jednak szczęście tego ulubieńca ślepej fortuny nie było zupełnym; i jego czoło zasepiała troska: nie miał potomstwa. Ilekroć przechodził przed domem jakiego biedaka, i postrzegł ojca otoczonego gronem synów, będących nadzieją i chlubą rodziny, odwracał głowę, westchnienie zazdrości i żalu wydierało się z jego piersi. Ileżto razy, siedząc samotnie w głębi sklepu zapomniał o fajce, i zamiast przesuwając paciorki różańca lub odmawiać ustępy Koranu, przesuwając z wolną ręką po siwiejącej brodzie, i w tajni serca swego myślał z przerażeniem, że coraz dalej zapędzał się w lata, a nie ma żadnego z krwi swojej potomka, co by mógł prowadzić po nim handel. W razie śmierci, hasza stawał się jedynym jego spadkobiercą: któż zapewni, że nie sprzykrzy mu się czekać zbyt długo? a w takim razie nikt mu nie zabroni pozbyć się cudzoziemca bez rodziny i przyjaciół, i zagarnąć wszystkie jego tak drogo okupione bogactwa i skarby.

Takięto myśli i obawy zatruwały życie Egipcyanina; to też radość jego nie znała granic, gdy jedna z żon jego, rodem Abissynianka, zwiastowała mu że wkrótce zostanie ojcem. Posłyszawszy to, pocziwiec mało nie oszalał z radości, i jeśli to być mogło, od tej chwili stał się jeszcze skąpszym i chciwszym: musiał przecież zwiększać majątek swego dziecka. Zamykał się w skarbcu, godziny całe liczył i wazył złoto, rozkładał złotolite materye, wydobywał z kryjówek swoje rubiny, perły, dyamenty, i rozmawiał z niemi jakby z żyjącymi istotami, i zapowiadał nowego pana, który równie jak on będzie je pieścić, kochać, ukrywać. Jeśli wyszedł na miasto, każdy kogo spotkał musiał rozmawiać z nim o synu, ponieważ będzie to syn, boć przecie Bóg nie może odmówić tego swemu wiernemu słudze; i nie mógł wyjść z podziwienia, widząc jak ludzie spokojnie zajmują się handlem i pilnują swoich interesów, kiedy cała ludność Dżeddach powinna tą jedną tylko żyć myślą: że Bóg w niezmierzonej sprawiedliwości zsyłał nareszcie błogosławieństwo swoje, na dom obrotnego i szczęśliwego Mansura.

Ziściło się oczekiwanie Egipcyanina, i aby nic nie zbrakło do jego szczęścia, urodził mu się syn, i to jeszcze w najlepszej godzinie, najszczęśliwszego miesiąca. Kiedy nare-

szcie ósmego dnia, wolno mu było zobaczyć to tak długo upragnione dziecię, ze drżeniem zbliżył się do palmowej kołbki wyłożonej bawełną, w której pod haftowanem złotem przykryciem, spoczywał dziedzie Mansura. Lekko uchyliwszy zasłonę, ujrzał dziecię prawie tak czarne jak jego matka, ale mocno zbudowane, i widział jak małemi rączkami przyciągało do siebie bawełnę ze swęj kołyski. Zobaczywszy to kupiec oniemiał z podziwienia, oczy jego zrosiły się łzami, i po chwili, zapanowawszy nad wzruszeniem, wziął dziecię w objęcia i zbliżając je do ust: „Bóg jest wielki, szepnął mu do ucha; wyznaję że jeden jest tylko Bóg, a Mahomet jego prorokiem.” I uspokoiony tą modlitwą, zaczął z miłością przyglądać się synowi. „Wielki Bóg dał mi ciebie, mówił, dopiéro ośm dni liczysz, a okazujesz tyle siły i wdzięku, jak gdybyś miał już rok życia. Twarz twoja jaśnieje jak księżyc w pełni!...” I nagle zwracając się do matki zapytał: jakież dałaś mu imię? „Gdybym, na moje nieszczęście była powiła córkę, byłabym wybrała jakie ma nosić imię, ale ponieważ mam syna, zaszczyt ten do ciebie należy; tylko nie wybieraj imion bardzo wyszukanych, aby nie budzić zawiści złych oczu.”

Mansur zamyślił się, wtém usłyszał hałas na ulicy. Właśnie przed jego oknami przechodził derwisz perski, popychając przed sobą osła obładowanego żywnością, a gromada dzieci gouiła za heretykiem, obrzucając go razami i obelgami. Jak człowiek który ani szuka, ani boi się męczeństwa, derwisz przyspieszał nieco kroku, znieważając zarazem swych nieprzyjaciół. „Bądź przeklęty, Omarze! (1) wołał okładając osła, i niechaj będą przeklęci wszyscy tobie podobni.” Ach! zawołał Mansur, otóż nowy dowód że szczęście sprzyjać mi nie przestaje; nazwę syna mego Omarem, tak skromne imię odwróci złe oko i ustrzeże go od uroku.”

Gdy już nowo-narodzonego złożył do kołbki, weszła do pokoju Beduinka z dzieckiem na rękę; była wysokiego wzrostu i miała twarz odkrytą, stosownie do zwyczajów pustyni. Ubiór jęj był więcęj jak skromny, ale chód tak po-

(1) Zachodzi tu igraszka słów nie dająca się przetłumaczyć: *homar* po arabsku znaczy osioł.

ważny, postawa tak pełna godności, że można było wziąć ją za sułtankę.

„Dziękuję ci, Halimo, żeś przyszła, rzekł Mansur; nie zapomniałem że Yussuf, mąż twój, umarł w moich usługach, broniąc ostatniej mojej karawany: nadeszła chwila, w której mogę ci dowieść, że nie jestem niewdzięczny. Wiesz czego żądam od ciebie. Wprawdzie, nie mogę syna mojego zrobić szeryfem, ani zielonym turbanem przyozdobić jego głowy, ale mogę wychować go jakby był synem szeryfa, pod pięknym namiotem, wpośród szlachetnych Beni-Amerów. Przyjęty do twój rodziny i wychowywany razem z twoim synem, kochany mój Omar nauczy się lepiej odemnie władać językiem arabskim, i wpośród twoich zjedna sobie przyjaciół, którzy później zawsze gotowi będą stanąć w jego obronie. Ja zaś, z méj strony, potrafię ocenić i wynagrodzić twoje poświęcenie. Niech przyjaźń dzieci naszych rozpocznie się z dniem dzisiejszym, niech od dziś już w jednej spoczywają kolebce. Jutro zabierzesz obu, aby razem wzrastali w pośród waszego pokolenia: Omar będzie twoim synem, jak Abdallah moim. Oby szczęście nie odstępowało ich nigdy, i kwiatami uścielało im drogę życia!

— Niechaj Bóg strzeże ich od przeklętego szatana, odpowiedziała kobieta, pochylając głowę. Pochodzimy od Boga i wracamy do Boga.

Mansur spojrział na nią z uśmiechem, bo był jednym z tych ludzi, co choć zawsze miał Boga na ustach, w gruncie nie bardzo w niego wierzył. Nadto już długo żył na świecie i zbyt dobrze poznał ludzi, i dlatego nie przypuszczał aby Bóg mięszał się bardzo w sprawy tego świata; ale za to wierzył niezachwianie i bał się bardzo dyabła. Jedynym złym uczynkiem jaki wyrzucał sobie w całym życiu, było to: że w czasie podróży do Mekki rzucił siedm kamieni wielkiemu dyabłowi z Jamrat, zawsze albowiem obawiał się zemsty ukamionowanego szatana. Wprawdzie chlubił się z pięknego tytułu Hadżego (1), który tak tanim nabył kosztem, a który podnosił go w oczach klientów; z największą pobożnością mówił o Kaabie (2), tym rubinie z raj, który nasz

(1) Hadżi czyli święty, jest to tytuł nadawany tym, co odbyli pielgrzymkę do Mekki.

(2) Dom święty, czyli główna świątynia Mekki.

ojciec Abraham złożył w świętej Mekce, ale w gruncie duszy lękał się skutków swęj nieprzezorności, i byłby już chętnie zrzekł się nawet nazwy Hadże'go, byle tylko dyabeł darował mu jego zuchwalstwo.

II.

HOROSKOP.

Wieczorem tegoż dnia, w chwili gdy księżyc wschodził na niebie, a dzieci spały spokojnie obok siebie, mądry Mansur wchodził do swego pokoju, prowadząc za sobą obdartego, z rozczóchraną brodą derwisza, który bardzo jakoś przypominał owego wyklętego rano heretyka. Był to jeden z tych bezwstydných żebraków, wyczytujących z gwiazd losy innych ludzi, a nie umiejących sobie samym zapewnić powodzenia, którymi ludzie pogardzają i znieważają, ale zawsze potrzebują ich usług, i którzy istnieć będą na świecie tak długo jak złość szatana, oraz chciwość i łatwowierność ludzi.

Halima patrzyła niechętnie, gdy podejrzana ta figura stanęła przy kołysce dzieci; Mansur rozkazał jęj wyjść z pokoju: musiała być posłuszną. Jak tylko Beduinka się oddaliła, Egipcyanin wskazał derwiszowi swego syna, i żądał aby powiedział mu jego horoskop.

Astrolog baczenie przypatrzył się dziecku, następnie wszedł na dach domu i długo wpatrywał się w gwiazdy, poczem wziął kawał węgla, zakreślił nim wielki kwadrat, podzielił go na różne przedziały, poumieszczał w nich planety, i nareszcie oznajmił, że niebo nie jest nieprzychylne dziecięciu. Wprawdzie Mars i Wenus były obojętne, ale za to Merkury, lepsze okazywał chęci. Oto wszystko co mógł powiedzieć za dwa cekiny, jakie dostał od Mansura.

Kupiec zaprowadził wróżbitę do pokoju, i pokazując dwa dublony (1), rzekł: „Czyż nic już więcj dowiedzieć się nie można? czyż gwiazdy wypowiedziały już wszystkie swoje tajemnice?”

— Sztuka jest nieskończoną, odparł derwisz, porywając dublony, mogę powiedzieć ci jeszcze pod jakim znakiem zodyaku, dziecku temu żyć przeznaczono.

(1) Dublon czyli uncya hiszpańska ma około 80 fr wartości.

I wyjmując z za pasa tabliczkę kabalistyczną i brązowe pióro, astrolog wypisał imię dziecka i matki jego, stawiając każdą literę w oddzielnym rzędzie; następnie zliczwszy liczbę liter, utkwiał w Mansura błyszczące wejrzenie, i rzekł tajemniczo:

— Szczęśliwy ojczel! syn twój urodził się pod konstelacją Wagi! Jeśli będzie żył, może wszystkiego spodziewać się od losu.

— Jakto! jeśli żyć będzie? — zawołał Mansur — cóż wyczytałeś w tej przeklętej tabliczce? Czy jakie nieszczęście zagraża memu synowi?

— Tak jest — odrzekł derwisz — nieszczęście jakieś nieokreślone; widzę tylko że najlepszy przyjaciel będzie największym jego wrogiem.

— Ach! — zawołał Egipcyanin — cożem ja zrobił!... czyliż to dziecię beduińskie, które włożyłem do kolebki obok mego syna, miałyby kiedyś stać się jego mordercą?... Gdybym w to wierzył, zadusiłbym go natychmiast.

— Niechże Bóg broni — odpowiedział wróżbita — jeśli już życie twego syna związane jest z życiem tego dziecięcia, jednym ciosem zabiłbyś oboje. Nic nie zapowiada, żeby biedny ten Beduin, którego przeznaczeniem żyć pod namiotem, miał być kiedyś najlepszym przyjacielem najpierwszego bogacza w Dzeddah. Zresztą nikt nie uniknie swego przeznaczenia; możnaż odmienić wyrok nakreślony piórem aniołów?... Co komu przeznaczono, stać się musi.

— Zapewne — odpowiedział kupiec — ale Bóg (którego Imię niech wielbione będzie) w księdze nad księgami powiedział: „Nie popychaj się do zguby własnymi rękami” (1).

— Dzień śmierci — odrzekł poważnie derwisz — jest jedną z pięciu tajemnic, od których klucz Bóg w swoim zatrzymał rękę (2). Przypomnij sobie historią człowieka siedzącego obok Salomona, w dniu kiedy Azrael przyszedł go odwiedzić. Przerazony spojrzeńiami przybyłego, człowiek ów zapytał Salomona, kto jest ten straszny nieznajomy, a dowiedziawszy się że to anioł śmierci, rzekł do Salomona: Zdaje mi

(1) Koran II 191.

(2) Tamże XXXI, 34.

się że chce mnie zabrać; rozkaż wiatrowi aby mnie uniosł do Indyi. Król wydał rozkaz, wiatr był posłuszny. Wtedy Azrael rzekł do Salomona: „Patrzyłem ze zdziwieniem na tego człowieka, bo mam rozkaz zabrać duszę jego w Indyach, a napotkałem *go w Palestynie*.”

Nie ucieczesz przed śmiercią, w przepaści głęboko,
W najtajniejszym zakątku dopędzi grom srogi:
Najmędrszy kto tej śmierci spojrzy oko w oko
Bez zuchwalstwa i bez trwogi.

To powiedziawszy astrolog skłonił się i chciał odejść, ale Mansur zatrzymał go za suknię.

— Czy chcesz jeszcze zapytać się o co?—rzekł derwisz patrząc bystro na Egipcyanina.

— Tak—odpowiedział—ale nie śmiem mówić. Jednak ponieważ zdajesz się być mi przychylnym, wybaczysz słabość ojca, niespokojnego o losy syna. Mędrzec, co tak biegle jak ty czyta w gwiazdach, zapewne nie poprzestał na tém, a ciekawość jego dalej sięga. Mówią, że są ludzie którzy mocą nauki poznali wielkie imie Boga, które objawione było tylko prorokom i apostołowi, (niech on będzie błogosławionym!) i że dość je wymówić, aby wskrzeszać umarłych i zabijać żyjących; że imie to wstrząsa światem, zmusza siły piekielne i samego nawet Eblisa (1), żeby był posłuszny jak niewolnik. Czy nie znasz czasem podobnego mędrca, i czy mniemasz, że dałby się nakłonić do oddania przysługi człowiekowi, który nie uchodzi za niewdzięcznego?

— Jesteś uosobiona przezorność—odrzekł pół głosem astrolog, zbliżając się do Mansura—i można ci zaufać; ale słowa, to wiatr, a najpiękniejsze przyrzeczenia to jak senne mary, pierzchające nad ranem.

Za całą odpowiedź, Mansur wsunął prawą rękę w długie rękaw derwisza, i jeden swój palec włożył w jego rękę.

— Jedna kiesa! (2)—rzecze pogardliwie wróżbita—to wartość jednego wielbłąda. Któż byłby tak nierozumnym, aby z narażeniem życia trudził szatana dla takiej drobnostki.

(1) Jedna z nazw, jaką Arabowie nadają szatanowi.

(2) Kiesa ma około 125 fr. wartości.

Egipcyanin wyciągnął drugi palec i patrzył na wróżbitę, którego twarz okazywała najzupełniejszą obojętność; po chwili milczenia westchnął ciężko i trzeci wyciągnął palec.

— Trzy kiesy — rzecze astrolog — to wartość niewolnika i niewiernego; tą ceną nie opłaci się dusza muzułmanina. Najlepiej rozstańmy się i zapomnijmy nierozważnych słów twoich.

— Nie opuszczaj mnie — zawołał Mansur — całą ręką chwytając dłoń derwisza; pięć kies, to summa znaczna, więcęć ofiarować nie mogę. Jeśli chcesz koniecznie, dodaję duszę moją, tak więc wspólne niebezpieczeństwo daje ci rękojmię że dochowam tajemnicy.

— Dawaj więc pięć kies — odpowiedział czarodziej — przyjaźń moja dla ciebie dokona reszty; przyznaję, że od pierwszego wejrzenia uczułem do ciebie jakiś nieprzeparty pociąg: oby słabostka ta nie kosztowała mnie zbyt drogo!

Mansur przyniósł pieniądze, derwisz kilkakrotnie zważył je w rękę i najspokojniej schował w kieszeń; potem wziął lampę, trzykrotnie obszedł wkoło kolebkę, mrużąc jakieś dziwaczne wyrazy; przesunął światło przed czołem dziecięcia, kilka razy rzucał się na ziemię w czterech rogach pokoju: za nim postępował Mansur drżący z obawy i przerażenia.

Po tych ceremoniach, które Mansurowi wydawały się bardzo długie, czarodziej postawił lampę na ławce stojącej pod murem, i wyciągając z kieszeni małe pudełeczko, wziął z niego szczyptę czarnego proszku, i rzucił na palący się knot. W téjże chwili czarny dym, wychodzący jakby ze ściany, napełnił cały pokój; i zdało się Mansurowi że w kłębach tego dymu dostrzega piekielną postać i płomieniste oczy Afrytesa (1). Derwisz pochwycił go za rękę, i obaj padli na ziemię, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Mów — rzekł derwisz przerywanym głosem — mów, ale pod karą śmierci nie odwracaj głowy. Wolno ci objawić trzy życzenia. Eblis przyszedł, Eblis ich wysłucha.

— Chciałbym — wyszeptał Mansur — chciałbym żeby syn mój był całe życie bogaty.

(1) Tak zwą duchy piekielne.

— Dobrze—odrzekł głos dziwny, zdający się wychodzić z głębi sali, chociaż przed chwilą Mansur wyraźnie tuż przed sobą dostrzegał widziadło.

— Dalej chciałbym—rzekł znowu Egipcyanin—aby syn mój zawsze dobrém cieszył się zdrowiem; bo na cóż zdałby mu się majątek gdyby nie miał zdrowia.

— Dobrze—odpowiedział tenże sam głos.

Nastała chwila milczenia; Mansur wahał się jakie ma trzecie wyrazić życzenie.

— Czy mam żądać żeby miał rozum, pomyślał; nie, to zbyt cenne, jest moim synem, będzie przebiegłym jak ja.

Wtém nagle stanęła mu w pamięci przepowiednia derwisza.

Ponieważ, myślał sobie, zagraża mu najlepszy przyjaciel, więc jeden jest tylko sposób ocalenia go: niechaj nie kocha nikogo i myśli tylko o sobie. Zresztą co to warto troszczyć się o innych, szkoda życia; zazwyczaj im więcej dobrego wyświadczamy ludziom, tém silniej przekonywamy się o ich niewdzięczności.

— Chciałbym—rzecze po chwili—aby syn mój był doskonałym egoistą.

— Dobrze—odpowiedział znów głos, z zgrzytem piekielnego śmiechu.

Straszny ten śmiech tak przeraził Egipcyanina, że pozostał jak skamieniały, i dopiero po chwili wróżbita pociągnął go za poję i kazał powstać.

Wtém nagle silny płomień buchnął z lampy, zdawało się że cały pokój stanął w ogniu. To nagle przejście z ciemności do rażącego światła, odurzyło Mansura, z przerażeniem rzucił się do drzwi, chcąc się przekonać że jeszcze żyje i że nic nie zmieniło się w jego domu.

Kiedy derwisz wdziawał płaszcz i sandały, z najspokojniejszą miną człowieka otraskanego z wszelkimi strachami, Halima wbiegła do pokoju, i co prędzej przysunęła się do kolebki. Przez cały przeciąg czarów była w drugim pokoju, przeraziła się mocno, ujrawszy wybiegającego tak nagle Mansura. W jęj twarzy malował się żywy niepokój, pochyliła się nad kołyską, zwilżyła palec i przesunęła nim po czołach dzieci, odmawiając zaklęcie odczyniające uroki.

Spojrzała na derwisza a widząc go tak spokojnym uspokoiła się zupełnie, i ostro wyrzucała sobie że posądziła o czary tego pobożnego człowieka, którego twarz tak świętym jaśniała spokojem. Zbliżyła się do derwisza z głęboką pokorą i rzekła całując skraj jego płaszcza:

— Święty człowiecze, syn mój jest biędnym sierotą a ja biędna nie mogę ofiarować ci nic prócz nieograniczonej wdzięczności; proszę cię....

— Dobrze, dobrze—przerwał astrolog—wiem już o co prosisz. Wszak prawda, chcesz żeby syn twój był bogaty?... nie potrzebujesz do tego mojej pomocy. Niechaj zostanie kupcem i niech kradnie jak stary Mansur; niech zostanie baszy buzukiem i rabuje swych braci; niechaj będzie derwiszem i niech pochlebia i kłamie; wszelkie niegodziwości i występki prowadzą do majątku, szczególniej jeśli się z nimi złączą najobrzydliwsze ze wszystkich, chciwość i skąpstwo. Oto cała tajemnica życia, a teraz bywaj zdrowa!

— Nie tego pragnę—zawołała ździwiona Beduinka—źle robisz szydząc ze mnie tak niemiłosiernie. Syn mój będzie uczciwym człowiekiem, jak był jego ojciec; ja tego tylko pragnę aby był szczęśliwym na świecie.

— Cnotliwym i szczęśliwym!—zawołał derwisz śmiejąc się jakimś szatańskim śmiechem—dziwne żądanie, i jeszcze odemnie żądasz jego spełnienia.... Moja kobiecino, zachciało ci się czterolistnej koniczyny, której od czasów Adama nikt nie widział jeszcze; niech więc syn twój ję szuka, a jeśli znajdzie, zapewniam cię że nic mu nie zbraknie do szczęścia.

— Jakaż to jest czterolistna koniczyna?—zapytała niepokojna matka; ale już derwisza nie było. Byłże to człowiek czy szatan? niewiadomo, dość że nikt nigdy go już nie widział. Wzruszona Halima pochyliła się nad kolebką i wlepiła wzrok w twarzyczkę syna, który zdawał się przez sen do niej uśmiechać. „Śpij spokojnie, dziecię moje, i licz zawsze na miłość matki, rzekła po chwili. Nie wiem jaki jest ten talizman o którym mówił derwisz, ale synu duszy mojej! będziem szukać razem i coś mi w sercu szepcze że go znajdziesz. Szatan jest chytry, a człowiek słaby, ale Bóg kieruje sercami wiernych i dokonywa co pragnie.

III.

WYCHOWANIE.

Powierzając Beduinie wychowanie Omara, Mansur dał nowy dowód zwykłej swojej przezorności. Halima otoczyła niemowlę troskliwością matki, czuwała nad niem prawie pilniej niż nad własnym dzieckiem. Wychodząc z namiotu nie własnego syna nosiła na ręku lub plecach, ale swego *Et taki-ra* (małego kupca) jak powszechnie nazywano Omara u Beni-Amer'ów. A jednak jakże to wielka między dwoma braćmi zachodziła różnica! Abdallah był wysoki, wysmukły, silny, zwinny, a jego piękna twarz, pełne wyrazu oczy, smagława cera, zadowolniłyby najwięcej wymagających ojców; kiedy przeciwnie syn Mansura, czarny, pękaty, z krótką i grubą szyją, zdradzał Egipcyanina, wypadkowo zabłąkanego w pustyni. Ale cóż to wszystko obchodziło Beduinę? wszakże obu własnym karmiła mlekiem; i kto wie nawet czy jak prawdziwa matka, w gruncie duszy nie dawała może pierwszeństwa dziecieniu, co więcej potrzebowało jej miłości.

Wzrastając, Abdallah przedstawiał coraz wybitniej wszystkie szlachetne cechy swęj rassy. Patrząc jak pod namiotem matki bawił się z Egipcyaninem, zdawało się że czuje się jego panem i gospodarzem, i dumnym że może wykonywać prawa gościnności. Choć tylko sześć miesięcy starszy był od Omara, z własnej woli został jego stróżem i opiekunem i największą miał przyjemność posługiwać mu, bawić go i bronić. We wszystkich zabawach i uroczystościach musiał zdobyć najlepsze miejsce dla małego kupca, a gdy następowała jakaś zwada lub kłótnia, Abdallah odważny, silny, śmiały jak prawdziwy syn pustyni, sam tylko zawsze stawał do walki.

Omar chętnie uznawał tego rodzaju przewagę, jak gdyby wtedy już rozumiał jak wielkie korzyści można ciągnąć z tak nieobrachowanej przyjaźni. Leniwy i ociężały nie lubił nawet wychodzić z namiotu, i gdy Beduin biegał, przelatował pod nogami koni, współubiegał się ze zrebietami i wskakiwał na wielbłądy nie czekając aż ugną kolana, Egipcyanin całe dnie spał lub siedział na macie, z założonemi nakrzyż nogami. Jeśli znalazł się w towarzystwie innych

dzieci, zawsze bawił się z nimi w kupca, i nieodrodny syn Mansura umiał zawsze przehaudlować daktyla na cytrynę, cytrynę na pomarańczę, pomarańczę na kawałek korala lub inny jaki klejnot. Zaledwie mając lat dziesięć, uznał już że najlepszy użytek jaki można zrobić z różańca, jest posługiwać się nim do rachunku. Dla Abdallaha był po swojemu wdzięcznym i kochał go po swojemu; ilekroć tenże wracał do mieszkania, Omar witał go tysiącznemi pieszczoty, ponieważ zawsze przynosił granaty, banany, morele lub inne jakie owoce, które dostawał od sąsiednich gospodyń, ujętych jego uprzejmością i wdziękiem. Omar tak się podchlebiał, tak pieścił brata, że zawsze wydurzył od niego co tylko zapragnął; ale ta przebiegłość jego nie większą pewnie sprawiała mu radość, nad tę jakiej doznawał szlachetny Beduin, mogąc zadowolnić życzenie ukochanej istoty. Każdy z nas rodzi się z jakimś charakterem i skłonnościami, które jak ciężki naszyjnik całe życie dźwigać musi; lis choć karmiony przez lwicę zawsze lisem pozostanie, a syn handlarza nigdy nie zamieni się w Beduina.

Dzięki staraniom Halimy, skończywszy lat dziesięć, Abdallah umiał już wszystko co winien umieć Beni-Amer. Syn Yusufa umiał na pamięć rodowód swojej rodziny i pokolenia; znał pochodzenie, imię, maść i przymioty wszystkich koni; w nocy z gwiazd, w dniu po cieniu poznawał godzinę. Nikt lepiej od niego nie umiał zmuszać wielbłądów do przykłonienia, nikt rzewniejszym głosem nie śpiewał owych smutnych pieśni, których dźwięk skraca im drogę i przyśpiesza pochód, pomimo utrudzenia i gorąca. Patrząc na tę młodzieńczą odwagę, łzy radości zraszały lica Halimy, i dumną była że dała światu człowieka, że dziecię które wykarmiła stanie się chlubą arabskiego ludu i kochankiem swego pokolenia.

Halima była prawdziwą muzulmanką; wiedziała że w Bogu jedynie znaleźć można mądrość, siłę i pociechę; i dlatego jak tylko dzieci skończyły siedm lat życia, kazała im odprawiać obowiązujące pięć modlitw i odbywać ablucye. Rano gdy pierwsze brzaski jutrzzenki zajaśniały na niebie, w południe, po południu gdy słońce pochylać się zaczyna, wieczorem gdy już niknie na horyzoncie, i nareszcie gdy noc zaczynała rozstaczać swe cienie, Omar i Abdallah rozciągali

na ziemi przeznaczony do modlitwy kobierzec, i zwróceniu ku Mekce powtarzali święte słowa, streszczające całą religią mahometańską: „Wyznaję, że jeden jest tylko Bóg, a Mahomet jego Prorokiem”. Po skończonej modlitwie, Halima lubiła powtarzać dzieciom zasady Aiszy, ulubionej żony Proroka, nieporównanej dziewicy, matki wiernych, które obrała za regułę całego swego życia. „Nie zapominajcie nigdy tych zasad, mówią, niechaj staną się przewodnią życia waszego gwiazdą, bo to spuścizna po samym Proroku, najczystszy dyament prawdy:

„Wyznawaj że jeden jest tylko Bóg; zachowuj ściśle swoją religię; kształć umysł i serce; trzymaj język na wodzy; powstrzymuj gniew; strzeż się źle robić; przestawaj z dobrymi; osłaniaj błędy bliźniego; rozdawaj jałmużny biednym i wierz że w wieczności otrzymasz nagrodę”.

Oto co odpowiedziała Aisza pewnemu muzułmanowi, który zasięgał jej rady.

I tak wzrastali oba chłopcy, otoczeni tak tkliwą i tak jednakową miłością matki, iż nigdy ani na myśl im nie przyszło, że nie są rodzonymi braćmi. Jednak pewnego dnia, wszedł do namiotu posiwiały starzec, trzymając w ręku drewnianą, biało pomalowaną tabliczkę, na której narysowane były piękne czarne litery. Szeik ten głośną w całym pokoleniu cieszył się sławą: mówiono powszechnie że kiedyś uczył się w Kairze, w szkole umieszczonej przy przepysznym meczecie El-Azar, tym jasnym zdroju światła, napełniającym serca wiernych radością i chlubą, a niewiernych rozpaczą i zazdrością. Był on tak bardzo, tak bardzo uczony, że umiał wyczytać w Koranie i wypisać na tablicy dziewięć-dziesiąt imion Boga, i cały *Fattach* (1). Ku wielkiemu podziwieniu Beduina, starzec rozmówiwszy się po cichu z Halimą, która dała mu worek z pieniędzmi, przywołał syna Mansura, i nim tylko zajmować się zaczął; najpierw popieścił go czule, a potem posadził obok siebie, dał w rękę tabliczkę, i pokazawszy jak trzeba kiwać głową i ciałem dla wspomnienia pamięci, kazał mu śpiewając cały powtarzać alfabet. Omarowi tak podobało się to nauczanie, że po pierwszej już

(1) Jest to pierwszy rozdział Koranu i codzienna modlitwa muzułmanów.

lekcyi wiedział ile jest liter w alfabecie; to téż szeik uściskał go odchodząc, i powiedział że jeśli nadal równie pilnie uczyć się będzie, zostanie kiedyś uczeńszym od swego nauczyciela. I wyszedł, nie spojrzawszy nawet na Abdallaha.

Biędny chłopczyzna który chętnie byłby się uczył, posmutniał bardzo, i dlatego chcąc mu oszczędzić przykrości, przed drugą lekcją wyprawiono go w pole, pilnować matczynego stada. Halima oddała go pod opiekę brata swego, starego pasterza; był on kulawy i jednooki, ale rozumny i zdolny dobrej udzielić rady. Pobożny ten muzułmanim, dzielny żołnierz, odbył wiele podróży, wiele widział i wiele przeboleł. Dawny współtowarzysz Yusufa, ojca Abdallaha, walczył obok niego i został ranny w jego obronie; ostatnia już podpora podupadłej rodziny, sam i bezdzietny, kochał siostrzeńca jak własnego syna.

Onto głównie sprzeciwił się aby Abdallah nie korzystał z lekcyj udzielanych Omarowi; nie chciał wy kierować go na uczonego. „Chcesz, mówił doń, umieć więcej niżeli sam Prorok? (którego niech Bóg osłania i wspomaga)? I cóż będziesz czytał? czy Koran? Nie na nędznym kawałku papieru ale w sercu twojem należy wyryć święte jego słowa. Czy inne jakie książki? Alboż to Koran nie obejmuje całej mądrości? wszakże to dla zuchwałych umysłów, co gdzie indziej szukają prawdy, napisano: „Ci którzy zamiast Bożej innę szukają mądrości, podobni są do pająka budującego sobie mieszkanie; mieszkanie pająka które lada podmuch wiatru unieść może. Gdybyż oni wiedzieli... (1) Ludzie książkowym tylko bogaci rozumem, są jakby osły dźwigające cudze skarby: cała ich korzyść że im obciążają grzbiety. Człowiek nie po to przyszedł na świat żeby cudze zbierał myśli, jego przeznaczeniem działać. Idź śmiało naprzód, synu mój, zachowaj w duszy prawość a w sercu bojaźń Bożą, a gdy dojrzejesz, Bóg da ci rozum i mądrość, jak ją dał synowi Jakóba. Onto wynagradza sprawiedliwych jak to sam powiedział (2).

Słowa te budziły zapał w sercu Abdallaha. Codziennie gdy skwar nie dozwalał opuszczać namiotu, Hafiz objaśniał synowi Yusufa ustępy z świętej księgi, i kazał mu je powta-

(1) Koran, XXIX, 40. (2) Koran, XII, 22.

rać na pamięć; tym sposobem powoli nauczył się całego Koranu. Chłopczyzna, podobny w tém do piasku pustyni, co nie roniąc żadnej, pochłania wszystkie krople deszczu, powtarzał i śpiewał nieustannie tę rymowaną prozę, przewyższając wszelką poezję, jak słowo Boże przewyższa wszelkie mowy ludzkie. Dzień i noc powtarzał sobie te święte zasady, w których wymowa i mądrość mieniają się i stykają z sobą, jak perły w naszyjniku. To też gdy dobry jaki muzułmanin, chciał wyprawić ucztę współtowarzyszom lub uczcić mogiłę przyjaciela, zapraszano zawsze starego pasterza i jego ucznia, aby im powtarzali cały Koran lub niektóre, najpiękniejsze jego ustępy, a Beni-Amerowie, siedząc w około na ziemi, upajali się rozkoszą słowa Bożego. „Bóg jest wielki, wołali z uniesieniem, a sam anioł Gabryel nie mógł być piękniejszym od tego młodzieńca, nawet w owęj chwili, gdy składał w serce Proroka objawienie wiekuistej prawdy”.

Ale oprócz tekstu Koranu, Hafiz uczył jeszcze swego siostrzeńca słów proroka, przechowanych przez jego przyjaciół ku zbudowaniu wiernych. Uczył czterech wielkich obowiązków, jakie Bóg wkłada na tych co pragną być zbawieni; takimi są: pięć modlitw codziennych, obowiązkowa jałmużna, post ramadanu i wędrówka do Mekki; dalej wpa-jał w niego wstręt do siedmiu wielkich grzechów, wyradzających siedemset innych i zabijających dusze; grzechami temi są: bałwochwalstwo, zbrodnia, której, jak to wyraźnie napisano (1) Bóg nie przebacza nigdy; morderstwo, oskarżenie fałszywe uczciwej kobiety o złamanie wiary małżeńskiej; krzywda wyrządzona sierotom; lichwa; ucieczki z szeregów w wyprawie przeciw niewiernym; nieposłuszeństwo rodzicom”. Codziennie, po ukończeniu lekcyi, kazał synowi swęj duszy, powtarzać sobie obietnicę Bożą, stanowiącą jedyną naszą siłę i nadzieję:

„Kto będzie posłuszny Bogu i wielkiemu Prorokowi, pójdzie do nieba z tymi dla których Bóg był miłosierny, z prorokami, z ludźmi szczerymi, z męczennikami i sprawiedliwymi. Taka jest wola dobrego Boga który wie o wszystkiém (2).

(1) Koran, IV, 51. (2) Koran IV, 71 72.

Często także Hafiz opowiadał uczniowi swemu, historię któregoś z tych niezliczonych proroków, w których spoczywała prawda Boża, zanim pojawił się Mahomet. Jużto mówił o pierwszym ojcu naszym Adamie, któremu, w niezmierniej dobroci swojej, Bóg objawił nazwy wszystkich istot. Na rozkaz Pana, aniołowie, te istoty powstałe z ognia, uwielbiali człowieka powstałego z gliny; jeden tylko niewdzięczny Eblis, którego pycha popychała do zguby, odmówił posłuszeństwa. Na nieszczęście, ulegając pokusie, Adam i Ewa zakosztowali zakazanego owocu, za co zostali wygnani z raju. Adam wyrzucony został na wyspę Serendib, gdzie dotąd pozostał ślad jego stopy, Ewa zaś spadła do Dzeddah, aby tam dwieście lat żyć w samotności; ale nareszcie Bóg ulitował się nad osamotnionymi małżonkami, i anioł Gabryel połączył ich na górze Arafat, około tego cudownego miejsca, gdzie Abraham i Izmael mieli następnie wznieść świętą *Kaabę*.

To znów kulawy pasterz opowiadał jak Bóg ukazał Abrahamowi królestwo niebios i ziemi, aby poznał prawdę pewnych nauk. Wychowany w wierze swych ojców, syn Azara wielbił gwiazdy; gdy noc roztoczyła swe cienie, ujrzał gwiazdę i zawołał: „Oto mój pan!” Gwiazda zniknęła, wtedy rzekł: „Nie lubię tych co nikną.” Wszedł księżyc, Abraham rzekł znowu: Oto mój pan! i gdy zaszedł, zawołał: „Gdyby Pan mną nie kierował, byłbym zbłądził.” Ujrzawszy wschodzące słońce, rzecze: „Ono będzie moim panem, bo jest daleko większe!” A gdy i słońce zaszło, wykrzyknął: „O ludu mój! jam nie winien że bałwochwalcą, wznajesz wiarę” (1). Syn Azara zrozumiał nareszcie, że gwiazdy rozsiane na niebios błękitnie, są tylko objawem potęgi wszechmocnej prawicy, równie jak ślady pozostałe na piasku świadczą o przejściu wędrowca.

Jako dobry muzułmanin, Abraham poznawszy prawdę skruszył wszystkie bożyszcza swego ludu, z wyjątkiem jednego Baala, któremu zawiesił na szyi siekiereę zniszczenia; a gdy rozwścieczeni Chaldejczycy, pytali go kto tak okrutnie obszedł się z ich bożkami: „To Baal—odrzekł Abraham—zapytajcie go dla przekonania czy wam odpowie? Bożyszcze

(1) Koran, VI, 74—78.

nie może przemówić—odparli; ale zaledwie to wyrzekli, zmieszali się, i jeden drugiemu mówił: „Jesteś bezbożnikiem! Ale jak tu oświecić tych co nie patrzą choć mają oczy? dla takich ludzi sama prawda jest oślepiającym światłem. Rozwścieczony Nemrod, król Chaldejczyków, kazał wrzucić Abrahama na stos gorejący. Daremne okrucieństwo! sam tylko Przedwieczny jest panem życia i śmierci; z rozkazu Boga ogień pochłaniał tylko niewiernych, dla Abrahama zaś stos zamienił się w prześliczną łąkę, a ogarniający go ogień stał się jakby cień roztaczającym krzewem. Tak to Bóg broni i podnosi sprawiedliwego, a poniża pysznego.

I nigdy nie zbrakło mu tych ślicznych przypowieści, liczniejszych i piękniejszych niż gwiazdy w letniej nocy rozsiane na niebie. Hafiz opowiadał je tak jak słyszał od ojców, a Abdallah powtarzał z tymże samym zapałem i wiarą.

Jedną z tych cudownych przypowieści, Abdallah często powtarzać musiał Halimie, która nadzwyczaj lubiła jęj słu chać; była to przypowieść o Jobie, tym doskonałym słudze Bożym, co w pośród największych cierpień z poddaniem zwracał się do Boga. Daremnie żona Joba, stroskana widokiem jego cierpień, chciała złożyć cześć Eblisowi aby utracone odzyskać szczęście; odrzucił pomoc przeklętej ręki, a ilekroć mógł unieść z barłogu swe stoczone od robaków ciało, zasyłał do Pana Zastępów tę rzewną modlitwę, która wyjednała mu miłosierdzie i przebaczenie: „Panie! nieszczęście mnie przygniata, ale Ty jesteś najmiłosierdniejszy ze wszystkich miłosierdzie okazujących” (1). Piękne słowa, któremi tylko prawdziwa wiara natchnąć zdoła.

Hafiz był wiernym mahometaninem, ale był to także Beduin dumny ze swego pochodzenia, żołnierz lubiący proch i boje. „Synu mój—powtarzał często Abdallahowi—nie zapominaj ani na chwilę o wielkich przywilejach jakie nam wyjednał Prorok, a których powinniśmy bronić do ostatniej życia chwili. Chcąc nam życie uczynić łatwem, Bóg dał nam ogrody, orzeźwiający źródła, durrę (2), nieprzeliczone

(1) Koran, XXI, 83.

(2) Durra czyli sorgo, rodzaj zboża.

trzody, palmy i owoce; a chcąc to życie nasze oprzemienić sławą, dał nam krew szlachetną, kraj który nigdy nie był podbity, swobodę nigdy niewydartą. Jesteśmy królami pustyni. Nasze zawoje to dyademy wieńczące nasze czoła; nasze namioty są dla nas pałacami, naszym szańcem są nasze pałasze, naszym prawem słowo samego Boga. Ojciec twój poległ w walce, jest więc męczennikiem. Mało który z przodków twoich spokojnie pod namiotem zakończył dni swoje; większa część z mieczem w ręku polegli w pustyniach; oni wskazują tobie jaką masz iść drogą; oni zrozumieli znaczenie słów Bożych: „Niechaj ci którzy dla przyszłego życia poświęcają doczesne, walczą nie zstępując z drogi bożej. Ktokolwiek walczy w sprawie religii, czy padnie czy zwycięży, zostanie wynagrodzonym. Uciechy doczesnego życia prędko przeminają, a dla bojących się Boga, prawdziwem dobrem jest życie przyszłe (1).”

Jak koń nawykły do walki, na odgłos trąbki ryje ziemię kopytem i rozdyma rozognione nozdrza, tak rozpłomieniał się i młody Abdallah, gdy Hafiz mówił mu o bitwach: serce mu drżało, oczy ciskały błyskawice, krew rumieniła policzki: „O Boże mój! wołał, dozwól aby kolej moja prędko nadeszła, dozwól mi zwalczyć niewiernych, dozwól abym się stał godnym ludu i kraju w którym się urodziłem!”

Jakże pięknem było to dziecko pustyni! Nosił on za zwyczaj długą niebieską suknię, przepasaną skórzanym, kilka razy okręconym pasem; na twarz i szyję jego spadały długie kędziory czarnych włosów, a oczy błyszczały z pod kaptura tak łagodnie uroczym blaskiem, jak bladawe planety drżące na niebios sklepieniu. W ręku trzymał włócznię owiniętą srebrnym drutem, jakby stal błyszczącą, i chodził zwykle powoli z wdziękiem dziecka i powagą męża. Mówił mało, nie śmiał się nigdy. Kiedy wracając z pastwiska, niósł jagnięta w fałdach swęj długiej sukni, a owieczki leciały za nim becząc i obcierając łebki o jego rękę, młodzi jego towarzysze pasterze, stawali przypatrując mu się; zdało im się że to ów przez jedenaście gwiazd uwielbiany Józef. A gdy wieczorem, z niezwykłą siłą podnosił kamień wspólnej studni, i poił trzodę swoją, kobiety, zapominając napełnić swych

(1) Koran, IV, 76—79.

dzbanków, przyglądały mu się z niewymowném zajęciem, wołając: „Jest równie piękny jak był jego ojciec,” a mężczyźni dodawali: „I będzie równie jak on mężny i odważny”

IV.

P O Z N A N I E .

Lata minęły od chwili jak Halima przyniosła do swego namiotu spadkobiercę bogatego Mansura. Omar miał już lat 15 a nie znał dotąd tajemnicy swego urodzenia. Nie jednokrotnie ostre żarty współtowarzyszy dawały mu uczuć że nie był Beni-Amerem, i że w żyłach jego nie płynęła krew tak czysta jak krew Abdallaha; ale choć wszyscy nazywali Omara małym kupcem, nikt w całym pokoleniu nie wiedział czyim był synem, a on sam myślał że jest sierotą, z miłosierdzia wychowanym przez Halimę, i że przeznaczeniem jego życie i umrzeć w pustyni.

Kiedy pewnego wieczora obaj bracia wracali z pola, z niemałym zadziwieniem postrzegli przed drzwiami namiotu wielbłądy w bogatej uprzęży, a przed nimi biało ubranego niewolnika, trzymającego lejce muła, kosztownym pokrytego kobiercem.

— Zkąd się tu wziął ten muł i kto na nim przyjechał?— zapytał Omar niewolnika.

— Jest to muł twego ojca—odrzekł niewolnik, który z rysów poznał łatwo syna Mansura—przyjechaliśmy po ciebie z Dzeddah.

— Któż więc jest moim ojcem—zapytał żywo wzruszony Egipcyanin.

— Ojcem twoim—mówił niewolnik—jest bogaty Mansur, syndyk kupców z Dzeddah, sułtan synów Egiptu. Ilekroć, czy to w przystani czy w porcie, pojawią się jakie transporta towarów, najpierw przedstawiają je twojemu ojcu, który rozrządza nimi według swego upodobania. Ojciec twój ma swoje składy i licznych niewolników w Yambo, w Suez, w Kortunie i w Kairze, a majątek jego jest tak ogromny, że służy jego sami załatwiają wszelkie interesa, nie przenoszące stu tysięcy piastrow.

— Gdzież jesteś, ojcze mój! — zawołał młodzian wpadając do namiotu. Chwała niech będzie Bogu który mi dał ojca tak godnego méj miłości! I rzucił się w objęcia Mansura z uniesieniem, które wielce rozradowało starego kupca: Halima ciężko westchnęła.

Z wielkiém zmartwieniem Beduinki, zaraz nazajutrz wybrano się z powrotem do Dżeddah; biedna Halima bolała nieskończenie nad tém rozłączeniem z dzieckiem, które przez lat tyle wychowywała. — Bywaj zdrów, synu méj duszy, równie mi drogi jak własne me dziecię — wołała płacząc i okrywając go pieścizotami; Omar nie był tak czułym, porzucał matkę z radością więźnia odzyskującego jednocześnie wolność i majątek. Abdallah odprowadzał brata do Dżeddah. Mansur chciał pokazać Beduinowi jakie to znaczenie w tém wielkiém mieście nadaje ogromny majątek, i o ile kupiec z Dżeddah wyższym jest od wszystkich pasterzy pustyni, a nadto dać mu uczuć że i on i matka jego powinni się uważać za arcy szczęśliwych, iż przez lat 15 mogli kochać i usługiwać Omarowi; w jego przekonaniu, było to aż nadto dostateczne do spłacenia długu wdzięczności. Najczęściej dopiero po za grobem bogacz poznaje swoją głupotę i próżność.

Przybywszy do Dżeddah, Omar mało nie szalał z radości; zdawałoby się że to wygnaniec wracający do rodzinnej ziemi po wielu latach rozłąki. Wszystko go cieszyło i zachwycało: wąskie ulice, wielkie kamienne domy, port w którym wyładowywano przeróżne towary, i różnorodne tłumy dążące do bazaru. Oczom jego nowe co chwila przedstawiały się obrazy. Turcy, Syryjczycy, Grecy, Arabowie, Persowie, Indyanie, czarni wszelkich odcieni; żydzi, pielgrzymi, derwisze, żebracy, bogaci kupcy jadący na kosztownie przystrojonych osłach; kobiety przybrane w wielkie czarne mantyle, podobne do widziadeł, którym tylko oczy widać było; wielbłądnicy krzykiem wśród tłumów kierujący sobie drogę; Arnauci śmiałej i groźnej postawy, dumni swą damasceńską bronią i jaskrawém odzieniem; Turcy siedzący poważnie przed kawiarniami, z fajkami w ustach; niewolnicy pędzeni na targ: wszystko to wydawało się Omarowi jakimś rajem ziemskim, piękniejszym niż jego marzenia. W tak wielkiém i ludném mieście ileżto rzeczy można sprzedać i kupić! a już w ciągu drogi nauczył się od ojca, jakimi

summami opłaca się prawość kadego, sumienie szeika a nawet cnotę i sprawiedliwość samego baszy.

Dom Mansura stał w rogu wązkiej i ciemnej ulicy. Powierzchność była więcj jak skromna, z ulicy widać było tylko dolne piętro, mury bielone wapnem i okryte trzciniowemi matami; okna pierwszego piętra tak starannie były ocienione zielenią i zasłonami, że ani słońce ani oko ciekawych zajrzeć do nich nie mogło. Pokoje były wielkie, ściany obite kobiercami tureckimi, a w około nich sofy pokryte aksamitem, haftowanym złotem. Jak tylko podróżnicy weszli do pokoju, zaraz postawiono gerydon misternej roboty, a na nim tace z zamrożonemi owocami. Jeden niewolnik oblewał różaną wodą czarniawe ręce Omara, i podał mu serwetę oszytą złotą frendzlą, drugi palił kadzidła przed Mansurem, który przygarniał ku sobie ręką dym woniejący. Następnie podano wyborną mokrę w złoconych filiżankach z chińskiej porcelany, oraz przeróżne sorbety i przysmaki; poczem weszło trzech innych niewolników, przystrojonych w czerwone szaty, jaskrawe naszyjniki i bransolety, i podali fajki na długich jasmynowych cybuchach: trzej współbiednicy w milczeniu zasiedli obok siebie na ziemi.

Milczenie to dość długo trwało; Mansur cieszył się radością okazywaną przez syna, i podziwieniem jakie w jego przekonaniu musiało przejmować Abdallaha. Tymczasem twarz Beduina żadnego nie zdradzała wrażenia, i w pośród tego nieznanego sobie przepychu i zbytku, był równie poważny i spokojny jak i w pustyni w pośród swoich owiec; bo czemże są wszelkie mamony świata, dla człowieka co wyższej, trwalszej wygląda nadgrody, nadgrody jaką Bóg zgotował dla wiernych sług swoich?

— No, jakże, mój synu!—rzekł nareszcie Mansur do Abdallaha—jestżeś zadowolniony z twojej podróży?

— Ojcie—odrzekł młodzieniec—dzięki ci za gościnność tak szczerą, serce twoje przewyższa wartością wszystkie twoje skarby.

— Dobrze, dobrze—odparł kupiec—ale teraz pytam jak ci się podoba Dzeddah, i czy chcesz pozostać z nami?

— Nie.—Miasto wasze jest nieczyste, powietrze tchnie zarazą, wodzie brak świeżości. A potem cóż znaczą te tłumy rozpróżnionych derwiszów, roztaczających publicznie

swój bezwstyd i chciwość? żołnierze, których zuchwałstwa szablą ukarać nie wolno? niewolnicy jakby po to jedynie utrzymywani, abyśmy zapomnieli własnych rąk używać? Bodajto pustynia! przekładam nasze najgwałtowniejsze wichry, nad ciężką, duszącą atmosferę tego więzienia. U nas pod namiotami wszyscy są wolni; każdy umie być mężem i z włócznią w ręku sam sobie wymierzyć sprawiedliwość. Wyganiamy psa co żebrze przez podłoseć; ponizamy pysznego nie umiejącego uszanować tych co więcój od niego warci. Niech żyje wolne życie na pustyni!

— Złote słowa twoje, mój synu—odrzekł Mansur głaszcząc ręką długą swoją brodę—Wahabita nie przemawiałyby surowiej. I ja tak myślałem, gdy będąc dzieckiem, powtarzałem słyszane od mamki nauki; ale pozostań z nami czas jakiś, zostań kupcem, a gdy przekonasz się jak bogactwo daje najostatniejszemu z ludzi znaczenie, władzę, wpływy i przewagę; jak mocarze świata, kobiety, święci nasi nawet, schylają kolana przed tym tak pogardzanym przez ciebie kruszczem, niebawem zmienisz zdanie i polubisz nawet nie-miłe miast naszych wyziewy. Pięknie to żyć wolnym jak skowronek w niezmiernych puszcach przestrzeniach, ale nie zapomnij że i skowronki prędej czy później zazwyczaj wpadają w sidła; tak synu mój, pieniądz jest królem świata, i nadchodzi dzień, gdy tak najuczciwszy jak i najprzebieglejszy, zarówno zostaje sługą bogatszego.

— Wiem o tém—odparł Abdallah— że pożądlivość synów Adama jest nienasycona, i chyba dopiero w mogile zaprzestaną łaknąć coraz więcój; ale przynajmniej na pustyni łut honoru więcój wart jeszcze niżli centnar złota. Z pomocą bożą żyć będę jak moi przodkowie; kto nic dla siebie nie żąda, zawsze wolnym pozostanie. Więc bywaj zdrów, Mansurze; bywaj zdrów bracie! od téj chwili rozchodzą się nasze drogi: oby ta którą obierasz, doprowadziła cię do celu, do którego każdy wierny zmierzać winien!

— Żegnam cię, dobry mój Abdallahu—odpowiedział Omar—każdy z nas spełnia swoje przeznaczenie. Co komu przeznaczono, to go nie minie; tyś się urodził żeby żyć pod namiotem, ja abym został kupcem. Bywaj zdrów, nigdy nie zapomnę przyjaźni łączącój nas od lat dziecinnych, i bądź

przekonany, że jeśli kiedy zapotrzebuję pomocy dzielnej dłoni, zaraz udam się do ciebie.

— Dziękuję ci bracie — odrzekł Beduin — i obejmując wpół syna Mansura, uściskał go serdecznie, nie ukrywając łez jakie strumieniem popłynęły mu z oczu.

Omar przyjmował dość obojętnie te dowody przywiązania, a gdy nareszcie Abdallah oddalił się smutny, rzekł do ojca swego. — Jakże mogłeś zostawiać mnie lat tyle u tego Beduina, a gdybyś też był umarł, to jakbym się zgłosił dla objęcia spadku, starszyzna miasta powiedziałyby niezawodnie: „Nikomiu z nas nigdy nie było wiadomém, aby stary Mansur miał syna” a wtedy hasza zostałyby jedynym twoim spadkobiercą. Teraz, ojcze, prowadź mnie co prędzej do bazaru, przedstaw mnie przyjaciółom twoim kupcom, i załóż mi sklep, abym mógł robić majątek. Palce moje płoną żądzą przygarniania złota, nie lękaj się, jeszcze będąc na pustyni obmyślałem sobie jak postępować z ludźmi, aby nic nie ryzykując wielkie ciągnąć zyski. Bądź spokojny, nie będziesz potrzebował rumienić się za syna.

— Synu mój — rzecze Mansur — wznosząc ku niebu drżące dłonie, złota mądrość z ust twoich płynie; ale najpierw już późno, a potem nie masz na sobie odpowiedniego ubrania. Jutro zaraz pójdzem do bazaru i cały Dzeddah pozna moje szczęście i chlubę.

Omar noc całą przemarzył o bogactwach i złocie, a Mansur ani oka nie zmrużył, tak go radowała myśl że odrodzi się w synu, który będzie jeszcze chytrzejszym, przebieglejszym, nieużytszym i skąpszym od niego. Ach! wołał w upojeniu, jestem najszczęśliwszym z ojców! Derwiz powiedział prawdę: jeśli Omar uniknie grożącego mu niebezpieczeństwa, któż może przewidzieć jak olbrzymie rozmiary przybiorą bogactwa mego domu?

Szaleniec! zapomniał że złoto wtedy tylko jest błogosławieństwem jeśli je rozdajemy, staje się zaś trucizną dla tego co je gromadzi i chowa. W sercu zajętem skąpstwem zamieszkuje wróg szczęścia ludzkiego, a biada temu kto szatana obrał za współtowarzysza!

V.

NOWY SALOMON.

Nazajutrz, równo ze dniem, Mansur poprowadził syna do kąpieli i kazał podać mu suknie odpowiednie obecnemu stanowisku. Omar przywdział jedwabną suknię, przerabianą w jaskrawe różno-barwne pasy, przepasaną kosztownym kaszmirowym pasem, szeroki kaftan z najpiękniejszego sukna, i białą haftowaną myckę otoczoną muślinowym turbanem: elegancki ten strój wyszedł z pracowni najpierwszego krawca w Dżeddah. Wprawdzie tak jaskrawy ubiór bardziej jeszcze uwydatnił ostry wyraz twarzy i czarniawą cerę Egipcyanina; krawiec jednak innego widać był zdania, bo nie mógł się nachwalić wdzięków i powabów tak przystrojonego Omara, i dowodził że zobaczywszy twarz jego, piękniejszą jak księżyc w pełni, wszystkie damy z Dżeddah zakochają się w nim na zabój. Przy śniadaniu, Mansur dawał synowi potrzebne rady i przestrogi, potem podano muły; Omar skromnie jechał za ojcem, i udano się drogą wiodącą do bazaru.

W rynku zatrzymali się przed sklepem; był on nie wielki jak wszystkie tu w ogóle, ale za to mieścił w sobie najkosztowniejsze przedmioty. Szale indyjskie, atłasy, termołamy, brokatelle chińskie, kobierce z Bassory, yatagany w prześlicznych srebrnych pochwach, cybuchy z wielkimi bursztynami wysadzone kamieniami, różańce z czarnego koralu, naszyjniki z cekinów i pereł: słowem, w tym prawdziwym zakładzie potępienia, znalazłeś wszystko co kobiety przywodzi do zguby, a mężczyzn do ruiny i upadku. Przed sklepem była kamienna estrada; tu Mansur usiadł na poduszce, założył nogi nakrzyż i zaczął palić fajkę; Omar wziął w rękę różaniec i spuściwszy oczy, niby odmawiał pacierze: widzimy że młodzieniec ten mógł poszczycić się przebiegłością starca.

Postrzegłszy swego syndyka, wszyscy kupcy wstali i przyszli razem odmówić *fattah* i powiedzieć mu dzień dobry; każdy z zadziwieniem poglądał na nieznanego młodziana, i pytał cicho sąsiada kto to taki: czy krewny Egipcyanina? czy tylko młody niewolnik przybrany tak koszto-

wnie dla zwabienia kupujących? Mansur głośno przywołał szejka, i rzekł wskazując Omara:

— Oto mój syn, mój wspólnik i spadkobierca.

— Twój syn?—zawołał szejk—nikt nigdy nie słyszał żeby bogaty Mansur miał spadkobiercę.

— Chcąc syna mego ustrzedz od uroku, wychowywałem go tajemnie i w oddaleniu, i miałem zamiar przedstawić wam go dopiero dojrzałym młodzieńcem; ale czując że starość się zbliża zmieniłem zdanie, i jeśli pozwolicie, od dziś dnia zaliczę go do waszego grona, aby się nauczył sztuki kupna i sprzedaży.

— Mansur zawsze mądry i przezorny—odpowiedzieli kupcy; i jeden przed drugim zaczęli szczęśliwemu ojcu winszować podobnego syna. — Niech Allah strzeże drzewo i lato-rośl jego!—wołali.

Życzenia te pochlebiały niewymownie staremu Egipcyaninowi; potem znów szejk głos zabrał:

— Przyjęte jest u nas, iż gdy choćby najbiedniejszemu urodzi się syn lub córka, zaprasza współbraci aby się cieszyli z nim razem; czy zapomniałeś o tém, Mansurze?

— Raczcie odwiedzić mnie dziś wieczór, a przyjmę was całym sercem—odrzekł starzec.

W godzinę potem, posłannik Mansura obchodził bazar z wielkim bukietem w ręku, i ofiarując każdemu kupcowi jeden jakiś kwiat, mówił mu:

— Odmów *fattah* za Proroka; a gdy tenże skończył modlitwę: Mansur zaprasza cię dziś do swego domu na kawę—dodawał.

— Mansur jest wzorem wspaniałomyślnych ludzi—odpowiadał każdy zaproszony—jeśli Bóg pozwoli, dziś wieczorem pójdziem pozdrowić syndyka.

O naznaczonej godzinie, Egipcyanin i syn jego przyjmowali kupców w swoim małym ogródku, gdzie wspaniała uczta oczekiwała zaproszonych. Były baranki nadziewane migdałami i pistacyami, sosy śmietanowe przyprawione korzeniami, różane i fijołkowe galarety, najpyszniejsze ciasta i sorbety: jedném słowem nie szczędzono niczego, byle uczyć jak należy tak znakomitych gości. Po raz pierwszy w życiu Mansur zapragnął, aby i biedni cieszyli się jego radością,

i dlatego rozdawano im przed furtką resztki uczty i małe srebrne pieniążki; było to dostatecznym aby całą ulicę wypełnić krzykiem i błogosławieństwem, i aby echa całego miasta słały imiona szlachetnego Omara i bogatego Mansura.

Gdy już podano kawę i zapalono fajki, szeik wziął Omara za rękę, i rzekł do kupców:

„Oto syn naszego przyjaciela; pragnie on mieć zaszczyt należenia do naszego zgromadzenia: proszę każdego z was aby odmówił *fattah* za Proroka.

Podczas gdy trzy razy odmawiano modlitwę, szeik szalem okręcał Omara, zawiązując węzeł po ukończeniu każdego z kolei *fattah*; na zakończenie obrzędu, młodzian pocałował w rękę szeika i wszystkich z kolei kupców, poczynając od najstarszego. Radość błyszczała w jego oczach; był kupcem w Dżeddach, był bogatym: świat stawał przed nim otworem.

Przez resztę wieczoru rozmawiano wyłącznie o handlu; Omar milczał przysłuchując się uważnie słowom starszych, którzy chętnie dawali rady i przestrogi młodzieńcowi, co je z takim przyjmował uszanowaniem. I tak uczono go, że chcąc dobrze sprzedać, należy zacenić za żądany towar poczwórną jego wartość, nigdy nie tracić zimnej krwi i nie unosić się gniewem. Handlować, jest toż samo co łowić ryby na wędkę; trzeba więc tak opłacać, zmanić i znużyć kupującego, aby chcąc nie chcąc kupił zalecany towar. Bawić się z różańcem, ofiarować kawę lub faikę, rozmawiać o rzeczach najobojetniejszych, nie zmarszczyć nigdy czoła, umieć nieznacznie podniecać żądzę nabywającego: wszystko to rzeczy wielkiej wagi dla kupca, i nikt nie wyuczy się ich odrazu. „Ale, dodawali, pieszcząc Omara, nie bój się mój synu, jesteś w dobrej szkole; żaden żyd ani Armeńczyk nie dorówna pod tym względem mądrymu Mansurowi.

— Więc o to tylko chodzi, pomyślał sobie Omar; w takim razie obejdę się bez ich rady. Zawsze i wszędzie myśleć tylko o sobie, dogadzać słabościom lub namiętnościom ludzkim, i tym sposobem wyłudzać od nich pieniądze i wyzuwać z majątku otumanionych nim szaleńców: wszystko to umiałem jeszcze w kolebce, i choć na małą skalę, praktykowałem już na pustyni... Nie upłynie sześciu miesięcy

a dzisiejsi moi nauczyciele zmuszeni będą przyznać że stanę się ich mistrzem.

W kilka dni później, wypadło Mansurowi udać się do sądu, w jakiejś sprawie z której nie wiele sobie robił, bo już tajemnie odwiedził kadego, i dlatego był pewnym wygranęj. Wziął z sobą syna, aby go nauczyć wcześniej że należy liczyć się ze sprawiedliwością. Posiedzenia odbywały się w dziedzińcu jakiegoś meczetu; kady zaś był to człowiek otyły, dość przystojny, który nie wiele mówił i nigdy nic nie myślał; nosił ogromny turban i miał zawsze jakąś zadziwioną minę, co wszystko razem zjednało mu rozgłosną sławę poważnego i sprawiedliwego sędziego. Tym razem audyencya była bardzo liczna; najznakomitsi kupcy zasiedli w półkole na dywanach, naprzeciwko sędziego; Mansur i szejik zajmowali najpierwsze miejsca: wpośród nich siedział Omar, nadzwyczaj ciekawy w jaki sposób należy być posłusznym prawu, i jak go omijać i podchodzić.

Najpierw przywołano sprawę młodego Banianina; miał na sobie wolne, w pasie nieprzewiązane ubranie, cerę pomarańczową, chód zniewieściaty. Niedawno przyплыł z Indyi, i skarżył się że został oszukany przez jakiegoś współzawodnika Mansura.

„W Delhi, gdzie dotąd mieszkałem, mówił on, odziedziczyłem w spadku po ojcu, skrzyneczkę pełną dyamentów; zamierzyłem sprzedać je w Egipcie, i żyć sobie bogato za otrzymane pieniądze. Skutkiem burzy wylądowałem w Dzeddach, a rozkosze pięknego miasta zatrzymały mnie tu czasowo. Pewnego razu, zapotrzebowałem pieniędzy; wtedy zapewniono mi że mogę i tu korzystnie sprzedać moje brylanty. Udałem się więc do bazaru i prosiłem aby mi wskazano najznakomitszego kupca drogich kamieni: odpowiedziano mi że najbogatszym kupcem jest Mansur, a najuczciwszym jubiler Ali. Udałem się więc do tego ostatniego. Jak tylko się dowiedział o celu mych odwiedzin, zaczął mnie traktować jak syna, i ani chciał w bazarze mówić o interesie: poszliśmy do jego domu. Kilka dni z rzędu podejmował mnie suto, nadskakiwaniem pozyskał moje zaufanie; dał najprzód potrzebną mi wówczas sumę, aż nareszcie raz podpoiwszy mnie dobrze, zażądał abym mu pokazał moje dyamenty. Podałem mu skrzyneczkę, zaczął się przyglądać

kamieniom, nareszcie, wruszając ramionami, rzekł z udaną litością.

„Mój synu, twoje kamienie małą bardzo mają wartość w Arabii i w Egipcie; skały pustyni dostarczają nam ich korcami, mam ja ich pełne kufry.”

I aby dowieść prawdy słów swoich, otworzył jakieś pudełko, wyjął z niego brylant daleko większy niż wszystkie znajdujące się w mojej skrzyneczce i dał go towarzyszącemu mi niewolnikowi.

— Cóż się teraz ze mną stanie? zawołałem z boleścią; kamienie te stanowią cały mój majątek. Miałem się za bogatego, a teraz jestem biedny i opuszczony, sam jeden, zdala od rodziny i kraju.

— Synu mój, odpowie niczemny oszust, od pierwszego wejrzenia wzbudziłeś w sercu mojem przyjaźń i współczucie. Dobry muzułmanin nie opuszcza przyjaciół w nieszczęściu; zostaw mi więc twoją szkatułkę z kamieniami, a przez życzliwość zapłacę ci za nią tak jakby nikt nie zapłacił. Otóż wybierz sobie w całym Dzeddach co ci się tylko podoba, a bez względu co zechcesz, choćby to było złoto, srebro, lub korale, zobowiązuję się, za dwie godziny dać ci tego tyle ile ważą twoje indyjskie kamienie.

— Wróciwszy do siebie i wytrzeźwiawszy, zacząłem rozmyślać nad tym układem; poradziłem się kilku znajomych i wkrótce przekonałem się że Ali wywiódł mnie w pole. Niewolnikowi memu dał, jak się pokazało, prosty kawałek kryształu, a dyamenty są przeciwnie daleko radsze w Dzeddah niż w Indyach, i stokroć więcej warte są jak złoto. Dotąd mimo domagań moich, Ali nie chce zwrócić mi szkatułki; cała moja nadzieja w sprawiedliwości twojej, czcigodny sędzio! Cudzoziemiec, bez rodziny i przyjaciół, w ręce twoje składam losy moje; nie pozwalaj wyrządzić mi tak strasznęj krzywdy, a niechaj nędznik który pragnie mnie oszukać, przez całą wieczność wrzący łyka ukrop.

Ali bronił się w ten sposób. „Przesławny słuگو boży, rzekł do kadego; w tém wszystkim co mówił ten młody cudzoziemiec, tyle jest tylko prawdy, żeśmy zawarli umowę, którą dotrzymać gotów jestem. Jest też o czém mówić że dałem kryształ niewolnikowi, przecież każdy rozsądny człowiek winien to za prosty żart uważać. Czyliż gwałtem wy-

darłem mu jego szkatułkę? moją to wina że potrzebując pieniędzy przystał na podane z méj strony warunki? I on który sam nie dotrzymuje słowa, śmie jeszcze zarzucać mi oszustwo? któż więc jest winnym?

— Młodzieńcze, rzecze kady do Banianina, czy możesz dostawić świadków którzyby zaprzysięgli że Ali oszukał cię pod względem wartości twego towaru? w przeciwnym razie, według prawa, muszę obwinionemu nakazać przysięgę.

Świadców nie było, więc przyniesiono Koran, i Ali, kładąc prawą rękę na świętej księdze, powtórzył trzy razy: „Przysięgam w Imię wielkiego Boga i w imię słowa Jego zawartego w tej księdze, iż bynajmniej nie oszukałem tego cudzoziemca. I zwracając się do zgromadzonych dodał: a to co dziś zeznaję, zeznam i na sądzie ostatecznym, kiedy Bóg sam będzie sędzią, a aniołowie świadkami.

— Nieszczęsny! — wykrzyknął Banianin — powiększyłeś liczbę tych co do piekielnej pójdą otchłani, zgubiłeś duszę twoją.

— Bardzo to być może — rzekł z cicha szeik do Omara — ale i to pewna że wielkie zyskał bogactwo. Zręczny łotr z tego Alego.

— Zapewnie że nie głupi — dorzucił stary Mansur — sprawa zaczyna być ciekawą.

Omar uśmiechnął się tylko; i kiedy już Ali upajał się pewnością wygranej, zbliżył się do zrozpaczonego cudzoziemca. — Czy chcesz, rzekł mu, abym dopomógł ci wygrać twój proces?

— O! dobrze — zawołał Indyanin — zawstyć tego nędznika, wykaż jego oszustwo, a potem żądaj odemnie wszystkiego co tylko jest w méj możności. Ale tyś jeszcze prawie dziecko, cóż możesz mi pomódz?

— Nie kłopotz się moim wiekiem, i zaufaj mi śmiało. Przystań na warunki Alego, tylko pozwól żebym ja wybierał czém ma ci zapłacić, i nie obawiaj się niczego.

— Kto wszystko stracił, nie lęka się już niczego — odrzekł smutnie młody cudzoziemiec, i zwiesił głowę na piersi jak człowiek wszelkiej pozbawiony nadziei. Po chwili jednak zbliżył się do kadego i rzekł z uszanowaniem:

— Panie i sędzio mój! pokorny twój niewolnik o jedną jeszcze łaskę błaga miłosierdzia twego; niech więc układ

będzie wykonany kiedy już tak chce prawo, ale racz pozwolić, abym nie ja ale ten młodzieniec oznaczył czém ma mi zapłacić Ali za moje dyamenty. Kady zgodził się na to.

W całym zgromadzeniu głucho zapanaowało milczenie, Omar wstał i nisko skłoniwszy się kademu, rzekł do złotnika:

— Ali, zapewne przyniosłeś z sobą szkatułkę, więc proszę powiedz ile ona waży.

— Oto jest — odrzekł — waży dwadzieścia funtów, i raz jeszcze powtarzam, wybierz co sam chcesz, a byle rzecz ta znajdowała się w Dżeddach, zobowiązuję się dostarczyć ją za dwie godziny, — w przeciwnym razie układ nasz będzie nie ważny. Wiadomo że słowo moje święte i że go zawsze dotrzymuję.

— Dobrze więc — rzekł Omar. Otóż — dodał, podnosząc głos — żądamy dwadzieścia funtów mrówczych skrzydeł, w połowie od samców a w połowie od samic. Według umowy dajemy ci dwie godzin czasu na odstawę towaru.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał przerażony jubiler — to rzecz niepodobna! Potrzebowałbym dla spełnienia śmiesznego tego żądania, najmnień sześciu miesięcy czasu i pracy kilkudziesięciu ludzi. Takie żądanie, to wyraźne drwiny z prześwietnego sądu i z prawa.

— Czy znajdują się w Dżeddach skrzydlate mrówki? — zapytał poważnie kady.

— A jakże — odpowiedzieli śmiejąc się zebrani kupcy — domy nasze są niemi przepełnione, i byłoby wielkiem dobrodziejstwem wyzwolić nas od tój plagi egipskiej.

— W takim razie — zawyrokował kady — Ali obowiązany jest dopełnić warunku, lub zwrócić szkatułkę. Młody ten cudzoziemiec popełnił istne szaleństwo, sprzedając swe dyamenty za odpowiednią wagę, i teraz jest szalony domagając się zapłaty tak dziwną monetą; w pierwszym razie wszelkie korzyści były po stronie Alego, w drugim przeciwnie Banianin odzyskuje co stracił. Ale stało się; a że prawo nie ma podwójnej miary i wagi, i jednakowo przysługuje wszystkim, bez względu komu większe przypadną korzyści, zatem rozkazujemy Alemu dostawić przeciwniej stronie, w zakreślonym czasie, dwadzieścia funtów mrówczych skrzydeł lub oddać szkatułkę.

„Mądrze osądzone! wykrzyknęło całe zgromadzenie, podziwiając rozum i sprawiedliwość sędziego. Banianin nie posiadał się z radości, ścisnął i całował Omara, nazywając go swoim zbawcą i panem; nadto wyjął ze szkatułki i ofiarował mu trzy najpiękniejsze dyamenty, wielkości słowiczego jajka. Omar pocałował z uszanowaniem prawą rękę Baniana, schował brylanty do kieszeni, i spokojnie wrócił zasiąść znowu przy ojcu, bynajmniej nie zmieszany spojrzeniami jakie zwracali nań wszyscy obecni.

— Dobrze, dobrze mój synu—rzekł Mansur—Ali jeszcze nowicyusz; nie przegrałby sprawy, gdyby był przed jej wprowadzeniem odwiedził kadego. Teraz na mnie kolój, korzystaj z przykładu.

— Hola! młodzieńcze!—zawołał powstrzymując Indyana, który chciał wyjść unosząc szkatułkę. Proszę prześwietnego kadego aby zatrzymał jeszcze dyamenty, a może się pokaże iż jest tu ktoś mający większe do niej prawo, niż ów cudzoziemiec lub przebiegły Ali. Młodzieńcze, mamy z sobą rachunek do załatwienia.

Obecni poglądali z zadziwieniem na nowego pretendenta do szkatułki. Mansur tak rzecz rozpoczął.

„Dnia onegdajszego, jakaś zakwefiona dama weszła do mego sklepu, i kazała sobie pokazać naszyjniki; nie jakoś nie przypadają jej do gustu, wtém wychodząc już postrzegła zapieczętowane pudełko i prosiła koniecznie aby go rozpieczętować i pokazać jej co w sobie zawiera. W pudełku tém znajdował się prześliczny garnitur z topazów, którego nie mogłem sprzedać, ponieważ był zamówiony dla baszy Egiptu. Oznajmiłem to nieznajomój damie, ale nalegała koniecznie abym jej przynajmniej pokazał ów garnitur, przeznaczony na podarunek dla sułtanki. Nie tak to łatwo oprzeć się zachciankom kobiecym, i nie darmo powiedziano że jest na świecie trzy rodzaje nieprzepartego uporu, którego nikt jeszcze pokonać nie zdołał: upór książąt, kobiet i dzieci. I ja także nie umiałem się oprzeć naleganiu nieznajomój, odpieczętowałem pudełko. Dama z zachwyceniem zaczęła przyglądać się naszyjnikowi, przymierzyła go raz i drugi, a następnie oznajmiła że musi go posiadać, chociażby miał nie wiedzieć wiele kosztować, a gdy stanowczo odmówiłem sprzedaży, wyszła, ciskając mi groźby i złorzeczenia. W go-

dzinę potem, młodzieniec ten wszedł z kolei do mego sklepu, i powiedział mi że od posiadania tego naszyjnika zależało życie jego i owęj damy, i zaklinał mnie, błagał, całował po rękę, powtarzając ze łzami: „Ojcze, żądaj w zamian co tylko chcesz, ale odstęp mi ten naszyjnik, ratuj moje i jej życie.” Na nieszczęście moje, mam jakąś słabość do młodych ludzi, i choć wiedziałem że narażam się na niebezpieczeństwo rozniewania baszy, mojego władcy i pana, nie umiałem oprzeć się tak rozpaczliwej prośbie.

— Zabierz więc naszyjniki— rzekłem cudzoziemcowi— ale przyrzeknij dać mi w zamian co mi się podoba.— Wszystko co żadasz— odpowiedział— albowiem winien ci będę życie— i zabrał naszyjnik. Wprawdzie nie było świadków tej naszej rozmowy, dodał zwracając się do Indyanina, ale sam powiedz, czy skłamałem aby słówko?

— Prawdę powiedziałeś— odrzekł— i miej mnie za wytłumaczonego jeśli dotąd nie spełniłem zobowiązania; przed chwilą poznałeś powód. Ale teraz, kiedy dzięki synowi twemu, odzyskałem majątek, powiedz, czego żadasz?

— Czego żądam?— odrzekł Mansur, skinieniem głowy dając znak kademu, który wpatrywał się w cień odbijający od palmowego drzewa— żądam tej szkatułki i wszystkiego co w sobie zawiera. Nie będzie to za wielkie wynagrodzenie dla człowieka, co z twojej przyczyny naraził się na niebezpieczeństwo utraty życia, stając się nieposłusznym paszy. Prześwietny sędzio! wielkość twoja raczyła oznajmić przed chwilą: że prawo winno szanować wszelkie układy; cudzoziemiec ten przyrzekł dać mi co sobie upodobam, otóż oznajmiam że nic nie podoba mi się tylko jego dyamenty.

Kady podniósł z wolna głowę i spojrzął po zgromadzeniu, jak gdyby chciał z twarzy wyczytać ich myśli, potem zaczął gładzić brodę i w głębokiej pograżył się zadumie.

— Ali przegrał dwa razy— rzekł śmiejąc się szeik do Omara. O! jeszcze się nie urodził taki szeszwany lis, coby sprytem i przebiegłością przewyższył Mansura.

— Zginałem— wykrzyknął Indyanin. Omarze! czyż dla tego mnie ocaliłeś, abym teraz w straszniejszą jeszcze spaść przepaść? Ubłagaj ojca aby miał litość nademną, a po drugi raz staniesz się moim zbawcą.

— No! mój synu—rzecze Mansur—jesteś sprytny i przebiegły, to prawda, ale zaraz się przekonasz że nie możesz mierzyć się z ojcem. Kady nas rozsądzi, spróbujże jeszcze raz narzucić mu swój wyrok.

— Dziecinna igraszka—odparł pogardliwie wzruszając ramionami—ale kiedy chcesz tego, dobrze; wiedz więc że przegrasz sprawę.

I mówiąc to wstał, włożył piasra w rękę Indyanina i przyprowadziwszy go przed sędziego, rzekł:

— Prześwietny sędzio! młodzieniec ten gotów jest dotrzymać swego zobowiązania, i oto co ofiaruje szanownemu Mansurowi. Jest to piasra. Sama przez się, moneta małej jest wartości (1), ale racz tylko spojrzeć na odbite na nią cyfry sułtana, naszego najjaśniejszego i najpotężniejszego władcy. (Niechaj Bóg skarże i pognębi wszystkich nieposłusznych w czemkolwiek Jego Wysokości!).

A zwracając się do Mansura, dodał: Otóż tę to nieocenioną cyfrę ofiarujemy tobie; wszakże podoba ci się? a więc jesteś zapłacony; boć przecież nie powążysz się powiedzieć że cyfra najjaśniejszego naszego pana nie podoba się tobie, gdyż byłoby to zniewagą dla padyszacha, zbrodnią pociągającą za sobą karę śmierci. I w takim razie, zapewne najszanowniejszy nasz sędzia nie zostałaby twoim współnikiem; on który zawsze był i będzie najwierniejszym sługą wszystkich sułtanów.

Skończył: wszystkie oczy zwróciły się na kadego; wydawał się więc nieprzenikniony jak kiedykolwiek; przesuwając ręką po czole, jakby czekając aby Mansur wprowadził go z kłopotu. Stary kupiec był zmieszany i zakłopotany; milczenie sędziego i obecnych przejmowało go obawą: zwrócił na syna wzrok błagalny.

— Ojciec mój—rzekł wtedy Omar—pozwól temu cudziemcowi aby ci podziękował za lekcję ostrożności, jaką podobało ci się udzielić mu nabawiając go strachem. Pojmuje on dobrze że ty sam kazałeś mi stanąć w jego obronie, i że cała ta sprawa jest tylko igraszka. Każdy odgadł to łatwo, bo inaczej czyżby syn występował przeciwko ojcu?

(1) Piasra ma wartość 10 gr.

Któż kiedykolwiek powątpiewał o rozumie i szlachetności Mansura?

— Nikt niezawodnie— przerwał kady jakby nagle ze snu zbudzony— a ja mniej niż ktokolwiek inny, i dlatego pozwoliłem ci mówić, mój młody Salomonie. Chciałem uczcić w tobie mądrość twojego ojca; ale drugi raz, nie przywódcz tu imienia Jego Wysokości: ostrożnie z ogniem! Sprawa skończona. Naszyjnik ten wart był 100,000 piastrow, wszakże tak, Mansurze? niechaj więc Indyanin wypłaci tobie tę summę a wszystko będzie dobrze.”

Pomimo całej skromności, Omar nie uniknął wdzięczności Indyanina, i pochwał obecnych kupców. Rozrzewniony cudzoziemiec chciał oddać mu całą skrzyneczkę, i pomimo oporu, pochwycił cugle muła na którym jechał Omar, i idąc obok odprowadził do samego domu, tego, którego nazywał głośno najmędrszym i najszlachetniejszym z ludzi. Z drugiej znowu strony, wszyscy kupcy stokrotnie winszowali Mansurowi tak genialnego syna; i po dziś dzień jeszcze mówią w Dzeddach o owęj sławnej audyencji, wciągu której tak wielkim zajaśniała blaskiem, mądrość młodzieńca, którego poważny sędzia tak trafnie nazwał nowym Salomonem.

Wróciwszy do domu Mansur wybuchnął gniewem:

— Doprawdy nie rozumiem cię, mój synu— zawołał— miałem już w rękę tak ogromne skarby, i tyś mnie ich pozbawił. Także to rozumiesz interesa? także to szanujesz ojca?

— Cierpliwości, ojczcze— odparł spokojnie Omar. Dziś pozyskałem już sławę przezorności i uczciwości; sława ta nie zamrze, a wywołane wrażenie pozostanie niezmiennem. Dobra opinia, mój ojczcze, to skarb nieoceniony, stokroć cenniejszy niż owe dyamenty. Każdy dziś lęka się i niedowierza przebiegłemu Mansurowi, ale każdy zaufa tak wyprobowanej prawości i nieskazitelnej uczciwości Omara. Wędka zarzucona: niechno się rybki nawina!

Mansur zdumiał. Pragnął godnego siebie syna, a teraz zaczął się lękać czy Eblis nie zanadto go wysłuchał. Wprawdzie uwielbiał Omara, ale tak piekielne wyrachowanie w tak młodym wieku, mogło przerazić nawet takiego co całe życie rachował tylko i obrachowywał. I mamyż wyznać na wstyd i upokorzenie starego kupca? to przedczesne doświadcze-

nie lodem ścinało jego zimne serce: ten mędrzec piętnastoletni zdumiewał go i przerażał...

VI.

CNOTA WYNAGRODZONA.

Stary Mansur żył jeszcze lat pięć, i mógł cieszyć się owocami danego synowi wychowania: powodzenie jego nie znało granic. Ku końcowi życia zdał cały handel w ręce Omara; widział iż bogactwo jego domu bajecznych dosięga rozmiarów, i jak się to zwykle dzieje, poważanie publiczne w odnośnym wzmagalo się stosunku. I jakżeż mogło być inaczej, skoro Omar posiadał wszystkie niezbędne w świecie warunki powodzenia: dużo pieniędzy, mało namiętności, żadnych skrupułów. Nikt nigdy nie mógł się poszczycić równie genialnym darem robienia interesów, równie gorącym umiłowaniem złota, nikt równie głęboko nie pogardzał ludźmi. Tak więc Mansur mógł umierać spokojnie; tak długo żył na świecie, w starości nawet żadnej nie podlegał chorobie; wszystkie marzenia jego zostały urzeczywistnione; zostawiał potomka który potrafi utrzymać i powiększać nieustannie owe bajeczne bogactwa z takim nabyte mozolem, a jednak utrzymują że kończył życie wściekłą miotany rozpaczą, wyrzekając głośno że nikt go nigdy nie kochał; przeklinał swe szaleństwo i drżał na sam widok swoich skarbów, jak gdyby to złoto piekielnym dziś już gorzało ogniem, i paliło mu piersi i czoło.

Omar z wielkiem poddaniem przyjął wieść o śmierci ojca;—interesa oddaliły go od łoża umierającego, interesa pocieszały po stracie; trzeba przyznać że pod tym względem bezprzykładnie umiał panować nad sobą, sam widok piasra osuszał łyzy jego i wszelkie koł zmartwienie.

Ogromny odziedziczony po ojcu spadek, zamiast zasycić rozpłomienił jeszcze chciwe żądze Omara. Żadna sposobność zysku nie uszła jego uwagi; zdawałoby się, że siedząc w małym domku swoim jak pajak kryjący się w pajęczynie, czarodziejskim jakimś sposobem niewiedomie przyciągał w swe sieci wszystkie skarby świata. Ryż i cukier z Indyi, z Yemenu gummy i kawa, kość słoniowa, proszek złoty, niewol-

nicy z Abissynii, zboże z Egiptu, jedwabie z Syryi: wszystko to dostawiały mu nieustannie okręta i karawany. Trzeba jednak przyznać że bynajmniej nie chełpił się z bogactw swoich; zobaczywszy go na ulicy, w wyszarzanéj sukni, w nędznym turbanie, jak szedł ze spuszczoną głową, przesuając paciorki prostego różańca, niktby nie przypuścił żeby mógł posiadać choćby tysiąc piastków. W rozmowie jego nic nie zdradzało bogacza: z maluczkimi obchodził się poufale, z kolegami był dobroduszny i dziwak, pochlebiał wszystkim od których mógł się czegoś spodziewać, a tym którzyby mogli mu szkodzić najgłębszy okazywał szacunek. Gdyby mu wierzyć, to mylono się bardzo uważając go za bogacza; towary jakie sprowadzał nie należały do niego, brał je na rachunek cudzoziemskich korrespondentów, pokładających w nim swoje zaufanie, na które bardzo się żalił, bo go na znaczne narażało straty. Kupował najpiękniejsze niewolnice, najwytworniejsze pachnidła, najlepszy tytuń, najkosztowniejsze materye, ale było to zawsze na rachunek jakiegoś baszy lub kupca zagranicznego. Mówiono wprawdzie pocichu że wszystko to pozostawało w domku Egipcyanina, (czegoż bo to ludzie nie mówią) ale nikt nic nie wiedział pewnego. Omar nie miał przyjaciół, nikogo nie przyjmował w domu, a wszelkie interesa załatwiał w bazarze. Czy był biednym czy bogatym, mędrceem czy samolubem, pokornym czy obłudnikiem, klucz od téj tajemnicy spoczywał w ręku szatana.

Omar był także nadzwyczaj przezornym; znał wszelkie drogi i dróżki jakimi można było trafić do urzędników i dygnitarzy w Dzeddah; wcale nie był szczodrym, i powtarzał często tę świętą zasadę Koranu: „że rozrutni i marnotrawcy są rodzonymi braćmi szatana.” ale w potrzebie umiał być hojnym, i ktokolwiek oddał mu kiedy jakąś przysługę, nigdy nie pożałował tego. Baszowie często zmieniali się w Dzeddah; wiadomo że ździerstwo tych rządców weszło prawie w przysłowie, najbogatsi kupcy musieli często opłacać im okup, pod pozorem pożyczek nigdy nie zwracanych; jeden tylko Omar wolny był od téj plagi. Zanim tydzień upłynął, potrafił zostać przyjacielem a nawet, jak mówiono, bankierem nowego baszy, i zawsze zagrażająca mu burza na inną spadała głowę: to téż wszyscy koledzy podziwiali go i zazdrościli mu zarazem.

Raz jednak gwiazda jego zasępiła się i zbladła. Odwołano do Konstantynopola baszę, który w trzy miesiące, za zbyt widocznie, wielki zrobił majątek, a następcy przykazano być uczciwym człowiekiem, ponieważ chciano przypodobać się Francuzom, których wtedy potrzebowano. Nowy basza nie darmo był Turkiem, umiał sobie radzić, wiedział jakim sposobem można łatwo zjednać względy zwierzchniej władzy. Zaraz nazajutrz po przybyciu do Dżeddah, udał się przebrany do najpierwszego piekarza i najzamożniejszego rzeźnika, i zakupił u nich pewną ilość chleba i mięsa. Uprowadzony o tém nadzorca targu (*Mohtesib*) oczekiwał w ulicy ze swemi wagami i podwładnymi; zważono w obec licznie zgromadzonego ludu, kupiony przez baszę chleb i mięso. Okazało się że na dwunastu funtach chleba, brakowało dwa łuty, a na ogromnej ćwierci baraniny jeden łut. Zbrodnia została udowodnioną, kara niezwłocznie nastąpić miała. Oburzony basza nie szczędził wymówek i obelg nędznikom co się tuczylu krwawym potem ludu, i słusznym uniesiony gniewem, nie chciał słuchać ich obrony i tłumaczenia; kazał ściągnąć z nich ubranie, związać i batożyć na placu, a nadto na wyraźny jego rozkaz, piekarz został przybity za ucho do drzwi swego sklepu, a rzeźnik zaś przywiązany do okna wielkiego meczetu, a przez nos jego przeciągnięto drut żelazny i zawieszono na nim skradziony łut mięsa. Ucieszony tłum nie szczędził zniewag i obelg nieszczęśliwym winowajcom; w całym mieście wychwalano za to Boga i Proroka; basza został nazwany zbawcą i przyjacielem ludu, wzorem sprawiedliwości, nowym Harun-al-Raszydem, a sława tego znakomitego czynu doszła do stolicy, i padyszach uśmieł się szczerze, a niewierni Zachodu o mało nie umierali ze wstydu i zazdrości.

Wieczorem, tegoż dnia, kupcy wynajęli okręt mający odpłynąć do Egiptu, ponieważ dowiedzieli się nagle, że obecność ich jest konieczna w Kairze. Omar został, śmiejąc się w duchu z przerażenia kolegów, i pomyślał sobie: „Cnota, to towar którego nie znajdzie na targu, zatem kto jój zapotrzebuje musi drogo zapłacić,” poczem udał się do bazaru i spotkawszy przypadkiem sekretarza nowego baszy, zaprosił go do sklepu i przez pomyłkę nałożył mu tytoniu w jakąś przepyszną fajkę, przeznaczoną dla sułtana.

W rozmowie, Omar powiedział: „nie dobrze to wymierzać sprawiedliwość ludowi, bo raz rozbałamucony stanie się wymagającym, a wtedy ani myśleć o wielkich i korzystnych interesach.” Sekretarz patrzył na swoją piękną fajkę, i uznawał że Omar ma rozum.

Przewidywania Omara ziściły się, niestety! Zaraz w pierwszy dzień targowy, rozruch zrobił się w mieście; zboże podskoczyło w cenie o dziesięć piastrow na ardebie, złośliwi i niechętni utrzymywali, że głównie winien temu Omar, który wykupił wszystko zboże. Tłum krzyczał i złorzeczył, a najgłośniej wrzeszczało dwóch ludzi: rzeźnik z przekłutym nosem i piekarz o jedném uchu; i tak wczorajsi złodzieje nagle wyrosli na bohaterów; wszyscy zaczęli ubolewać nad biednymi ofiarami, a im głośniej krzydzeli, tém więcéj wynoszono i uwielbiano ich cnoty.

Wzburzony lud prędko przechodzi od słowa do czynu; już liczny tłum miał wyłamać drzwi domu Omara, gdy wtém ukazał się urzędnik policyjny z żołnierzami, z poleceniem stawienia kupca przed baszą. Łatwo pojąć wzruszenie Omara; przyjął urzędnika z wielką pokorą, i dość długo całował jego rękę jakby nie mogąc ust oderwać od niéj; nareszcie naczelnik policyi wysunął swoją dłoń ściśniętą i prędko włożył do kieszeni, widać chciał obetrzeć ją z pocałunków winnego, które mogłyby skalać jego prawicę. Jednak urzędnik a więc i eskorta jego, grzecznie obchodzili się z synem Mansura, nie wymyślali mu, nie rzucali obelg, z wielkiém niezadowolaniem tłumowi, który bardzo miłuje sprawiedliwość, i chętnie patrzy na poniewieranie obwinionego, szczególniej jeśli to człowiek możny i bogaty, a nie dość na tém, naczelnik sam pocieszał Omara, mówiąc mu aby ufał w sprawiedliwość baszy. „Jak przeznaczono tak się stanie,” odpowiadał Egipcyanin, przesuając paciorki różańca.

Bramy pałacu były otwarte, korzystając z tego tłumy zaległy dziedziniec, w pośrodku którego siedział basza, poważny i niewzruszony, skinieniem ręki uspakajając wzburzenie. Wystąpiło dwóch oskarżycieli: rządca oznajmił że mogą śmiało wszelkie składać zeznania: „Moim obowiązkiem, rzekł głośno, jest wszystkim wymierzać sprawiedliwość; nie daruję żadnemu złodziejowi i krzywdzicielowi, bez względu czy jest bogatym czy biednym.”

— Bóg jest wielki a basza sprawiedliwy!— wołał ucieszony tłum. Wtém stanęło przed sądem czterech drżących ze strachu kupców, którzy całując koran, zeznali pod przysięgą, że Omar zakupił od nich wszystko zboże sprowadzone z Egiptu.

„Śmierć! śmierć winowajcy!” wrzeszczała tłuszcza. Basza dał znak że chce wysłuchać oskarżonego, znowu nastąpiło milczenie.

— O panie mój i władco!—zawołał Omar, padając na ziemię, i kornie uderzając czołem, sługa i niewolnik twój głowę swoją w twoje ręce składa. Bóg miłuje tych co umieją przebaczać, a im więcej maluczkim jest winowajca, tém szlachetniej nie pomiatać nim i nie gnębić! Wszakże Salomon oszczędził biedną mrówkę. Prawda jest że kupiłem w porcie Dzeddah kilka ładunków zboża, co przecież żadnemu kupcowi nie jest wzbronioném; ale sami tylko nieprzyjaciele moi nie wiedzą, że kupiłem je na rzecz naszego miłościwego padyszacha. Zboże to przeznaczone jest dla wojsk, które z rozkazu twego, potężny baszo, strzegą drogi i dają opiekę pielgrzymom wędrującym do Mekki; tak powiedział sekretarz, Waszój Wysokości, dając mi pieniądze na to kupno, którego tak biedny jak ja człowiek, nie miałby czém zapłacić. Daruj, panie mój, że dotąd nie dostawiłem ci jeszcze zakupionych tysiąc ardebów zboża; naczelnik zaświadczy, że chciałem tego dopełnić właśnie w chwili aresztowania.

— Co ty mi znów gadasz o tysiącu ardebów zboża?— krzyknął grzmiącym głosem gubernator.

— Przebacz mi, potężny baszo!—odrzekł Omar bardzo wzruszonym głosem, ale tak jestem zmieszany, że się mylę w rachunku. Chodzi tu nie o tysiąc, ale o tysiąc pięćset ardebów, a spojrzawszy na zmarszczone czoło baszy dodał: czy nawet jeśli się nie mylę o dwa tysiące ardebów.

— Trzy tysiące ardebów— rzekł sekretarz, podając baszy jakiś papier. Oto rozkaz wydany temu kupcowi, pisany jest moją ręką, i opatrzony pieczęcią Waszój Wysokości.

— Czy pieniądze na to kupno zostały mu wyliczone?— zapytał ułagdzony basza.

— Tak, panie mój—odrzekł kłaniając się Omar. Rozkaz był mi wręczony, przez obecnego tu naczelnika, a sekre-

tarz Waszój Wysokości, zaliczył mi wczoraj na to kupno 200,000 piastrów; winienem więc dostawić do paszaliu 3,000 ardebów zboża, lub zwrócić podniesione na ten cel 200,000 piastrów.

— Jak śmieliście narobić tyle hałasu i wrzawy? — zawołał groźnie basza, spoglądając dzikim wzrokiem na przerażonych oskarżycieli. Także to szanujecie władcę mojego, najpotężniejszego padyszacha? trzebaż aby żołnierze czuwający nad bezpieczeństwem pobożnych pielgrzymów zdążających do Mekki, umierali z głodu na puszczy? Związać mi zaraz obu tych nędzników i wyliczyć im po 30 batów. Sprawiedliwość dla wszystkich! nie ma łaski dla potwarców. Kto oskarża niewinnego i pozbawia go dobrej sławy, większą czyni mu krzywdę, niż gdyby go pozbawił życia.

— Prawda, prawda! — wołał tłum — basza jest sprawiedliwy.

Wyrok zapadł: czterecl żołnierzy pochwyliło rzeźnika, bardzo zadowoleni że wolno im będzie w własnej sprawie wymierzyć sprawiedliwość, i związawszy mu nogi, trzech go trzymało, a czwarty, z całą siłą, wyliczył w pięty trzydzieści razów. Rzeźnik ten był to śmiałek swego rodzaju, nie wyrzekł słowa skargi; sam liczył głośno każdy raz odebrany, a po skończonej kaźni, wyszedł, niesiony prawie na ręku przyjaciół, tylko na Omara wściekle rzucał spojrzenia.

Człowiek z przebitym uchem nie był takim bohaterem; za każdym odebrany razem, wykrzykiwał rozpaczliwie: Allah! Kiedy już wyliczono mu dwanaście kijów, Omar zbliżył się do baszy, pocałował ziemię, prosił i wyjednał łaskę dla winowajcy, a nie dość na tem, bardzo ostentacyjnie włożył mu w rękę durosa i oznajmił że pozostało mu jeszcze około trzydzieści ardebów zboża, które rozda najbiedniejszym mieszkańcom w Dzeddah, poczem odszedł do domu. I taż sama tłuszcza która przed chwilą chciała poszarpać go w kawałki, licznemi teraz obsypywała go błogosławieństwami, a on? jak uprzednie groźby, tak obecne pochwały przyjmował z jednaką pokorą, z jednaką obojętnością a może i pogardą.

„Chwała Bogu, rzekł sobie, wróciwszy do domu; wprawdzie basza grubo mnie obdarł, ale teraz już nie potrzebuję się go obawiać!

I bezpieczny z téj strony, syn Mansura puścił się na śmielsze jeszcze spekulacye, i złote, jak to mówią robił interesą. I tak pewnego dnia, handlujący niewolnikami dowiedzieli się z niemałym zadziwieniem, że od wczoraj cena ich towaru w dwójnasób się podniosła; na nieszczęście cały transport sprzedali onegdaj; Omar wykupił wszystkich niewolników, w skutku jak mówił poleceń odebranych z Egiptu. W następnym miesiącu było także samo zdarzenie z ryżem; potem znów z tytuniem, woskiem, z kawą, z cukrem i z prochem; wszystkie te towary niespodzianie podnosiły się w cenie: cóż, kiedy sami tylko pełnomocnicy Omara korzystali na tém. Targi i handel w Dżeddach ożywił się bardzo, bogactwo miasta wzrastało, wszyscy co umieli okupić przychylność Egipcyanina robili majątki, ale drożyzna tak się wzma-gała, że biedniejsi mieszkańcy musieli wynosić się z miasta.

A Omar? zawsze skromny i pokorny, całe dnie przesiadywał za kantorem: płaszczył się i nadskakiwał wszystkim których mógł potrzebować, i nieustannie obliczał na różańcu swoje miliony, z całego zbierane świata. I w głębi duszy mówił sobie: że choć pogardzany, jest jednak panem ludzi, i że gdyby mu wypadł jaki interes do którego by potrzebował łaski samego sułtana, miał dość pieniędzy aby go kupić razem z całym jego serajem.

Tak wielkie bogactwo nie uchodzi bezkarnie; majątek równie jak dym nigdy zupełnie ukryć się nie zdoła. Mimo całej swój pokory, Omar odebrał zaproszenie od wielkiego szeryfa Mekki, aby raczył przybyć do Taifu: chodziło o pewną przysługę, którą on jeden tylko mógł oddać potomkowi Proroka. Kupiec nie bardzo się cieszył z zaszczytu który go spotykał; lękał się jakiejśto usługi zażądają od niego. „Bogacz, mówił sobie, ma dwa rodzaje nieprzyjaciół: jednych u szczytu, drugich w mętach społeczeństwa; panów i biednych. Biedni są jak mrówki: wynosząc po ziarneczku, w końcu cały dom wypróżnią; panowie znowu, to jak lew, ów król złodziei, co jednem uderzeniem łapy zabić może człowieka, tak oni jednym podpisem i przyłożeniem swój pieczęci mogą obedrzeć nas ze skóry. Ale człowiek chytry i cierpliwy, łatwiej uwolni się od lwa, niżeli od mrówek. Najpierw tedy trzeba dowiedzieć się czego odemnie chce sze-

ryf: jeśli myśli mnie oszukać, to mu się nie uda; jeśli zapłaci odpowiednio temu co zażąda, to i owszem.

I takimito przejęty uczuciami dla naczelnika wier-nych, Omar wybrał się w drogę do Taifu; wkrótce widok pustyni inny kierunek nadał jego myślom: namioty i kępy drzew palmowych porozrzucane na piasku, przywiodły mu na pamięć dziecinne jego lata; po raz pierwszy może od chwili rozstania, przypomniał sobie młecznego brata swego Abdallaha. „Kto wie, pomyślał, czy czasem nie będzie mi potrzebny?”

VII.

B A R S I M.

Kiedy syn Mansura myślał tylko o zwiększaniu ogromnych swoich bogactw, jak gdyby nigdy śmierć od nich oderwać go nie miała, Abdallah przeciwnie rośł w pobożność, mądrość i cnotę. Jak niegdyś ojciec jego i on także przeprowadzał karawany między Yambo, Mediną i Mekką. Bystry jak młody rumak bujający po stepie, przezorny jak siwa broda, wkrótce pozyskał zaufanie najznakomitszych kupców. Choć tak młodym był jeszcze, zawsze polecali go pielgrzymom, gdy w świętym miesiącu zbiegali się wierni całego świata, aby obejść siedm razy około świętej Kaaby, spocząć na górze Arafat i składać ofiary w dolinie Mina. Wyprawy te nie były wolne od niebezpieczeństwa, i niejednokrotnie Beduin własne naraził życie, w obronie tych którzy jego powierzyli się opiece; ale zawsze bił się tak dzielnie, że w końcu lęka-no się i na całej drodze szanowano jego odwagę. Stary Hafiz nigdy nie opuszczał ukochanego ucznia, i choć dotknięty kalectwem umiał być mu użytecznym. Wszędzie gdzie tylko są ludzie, znajdują się odważne serca i dzielne ramiona, ale nie zawsze można znaleźć wiernego przyjaciela i mądrego doradcę.

To życie w pustyni przeplatane niepokojem i niebezpieczeństwami, wielki miało urok dla syna Yusufa. Żyć jak dzielny i wolny Beduin, a jeśli trzeba, umierać jak żołnierz, równie jak niegdyś jego ojciec, oto wszystko czego żądał Abdallah: marzenia jego nigdy nie sięgały dalej. Jednak

mała chmurka zasepiała czyste, pogodne duszy jego niebo; Halima mówiła mu o derwiszu, i syn puszczy zawsze marzył o owém tajemniczém zielu, darzącém szczęściem i cnotą.

Gdy raz wyjawił Hafizowi marzenia swoje, on widział w nich objaw pokusy szatana.

— Na co daremnie łamiesz sobie nad tém głowę? — mówił. Czyliżto Bóg nie uczy nas w Koranie czém Mu się podobać możemy? Bóg nie ma dwojakiéj woli; czyńmy co On nakazuje, o nic się zresztą nie troszcząc, bo i bez nas potrafi dokonać co zamierzył.

Ale słowa te nie uspiły ciekawości Abdallaha. Wszakże sam Hafiz tyle dziwnych opowiadał mu cudów, w które on wierzył najzupełniej, czemużby więc i ten talizman nie miał być prawdziwym? czemużby wierny nie mógł go pozyskać? My, ludzie prości, myślał sobie Abdallah jesteśmy ciemni i nieumiejętni; ale mogę przecież badać o to pielgrzymów i podróżnych. Bóg rozsiał prawdę po całym wszechświecie; kto wie czy jaki hadży ze Wschodu czy z Zachodu nie zna tajemnicy którą zgłębić pragnę? Nie! to nie ślepy traf zrządził że derwisz taką a nie inną dał odpowiedź mojej matce; tak było przeznaczoném, i z pomocą Bożą dojdę prawdy.

Niezadługo potém Beduin przeprowadzał do Mekki karawanę podróżnych przybyłych z Egiptu; był pomiędzy nimi doktor, który wiele bardzo mówił, śmiał się nieustannie i nie wątpił o niczém. Jak mówiono, był to Francuz który wyrzekł się błędu i wstąpił do służby baszy; Abdallah postanowił go wybadać.

Przechodząc łąką zerwał kwitnącą gałązkę koniczyny, i pokazując cudzoziemcowi, zapytał:

— Czy ziele to rośnie w twoim kraju?

— A jakże — odrzekł tenże — wy nazywacie je *barsim* my zaś *trifolium*. Jestto koniczyna alexandryjska; należy do rodziny strączkowatych, ma kielich rurkowaty, koronę nie opadającą, liście podzielone na trzy, a niekiedy nawet na cztery lub pięć listeczków, ale są to wyjątki nader rzadkie, które my nazywamy potwornemi.

— Więc nie ma w twoim kraju koniczyny coby zawsze miewała po cztery listki?

-- Nie, młody mędrze, takiej koniczyny nie ma na całym świecie. Ale dlaczego pytasz mnie o to?

Abdallah zwierzył mu się i powtórzył słowa derwisza.

— Moj kochany — odrzekł doktor — derwisz ten zażartował sobie z twój matki; żądała od niego niepodobieństwa, i on też kazał ci uganiać się za niepodobieństwem.

— I dlaczegoż Bóg nie miałby stworzyć czterolistnej koniczyny, gdyby taka była Jego wola? — zapytał Beduin, dotknięty pogardliwym uśmiechem cudzoziemca.

— Oto dlatego, młody synu pustyni, że w pewnym danym dniu, ziemia zrodziła wszystkie rośliny, poczem siła jej rodzajna zupełnie się wyczerpała. Od czasu króla Salomona, nie już nowego nie ma pod słońcem.

— A gdyby Bóg zechciał zrobić cud jakiś -- zapytał Hafiz, który zbliżył się do rozmawiających — czy i Jego wszechmocność także się już wyczerpała? Czyliż Ten co w przeciągu dwóch dni, wywiódł z dymu siedem niebios i siedem światów, i umieścił w odległości pięciuset dni drogi jedne od drugich; Ten kto nocy dzień osłonić rozkazał; kto wszędzie rozsiał życie, nie może dodać źdźbła nowój trawki do milionów roślin jakie stworzył na pożywienie i dla przyjemności człowieka?

— Zapewne — odparł szydersko doktor — jestem zbyt dobrym muzułmanem abym miał temu przeczyć. Bóg mógłby nawet zesłać piorun od którego zapaliłbym fajkę, co mi oto zgasła, mógłby ale nie chce, i nie dość na tém, Bóg chce żebym w braku pioruna, zażądał od ciebie krzesiwka i hupki. Potem zaczął spokojnie nakładać sobie fajkę, śpiewając jakąś cudzoziemską piosenkę.

— Przekłęci niechaj będą bezbożni! — zawołał kulawy. Chodź mój synu, nie zbliżaj, się już do tego poganina którego oddech śmierć zionie. Jako karę za grzechy nasze, Bóg dał Frankom naukę z której czerpią swoją siłę, ale taż sama nauka stanie się karą za pychę tych niewiernych pogan, i prędzej jeszcze popchnie ich w bezdenną przepaść zatracenia. Szaleńcy! pragnąc zaprzeczyć wszechmocy Boga, szukają dowodów w nieustannych cudach Jego dobroci. Precz od nas, niewierny — zawołał podnosząc ręce ku niebu, jak gdyby przyzywał grom Boży na głowę renegata; precz, niewdzięczniku, co się odwracasz od Pana! Bóg widzi głębie

twój duszy, umrzesz w twój zapamiętałości a wiekuistém pożywieniem twojém, będzie drzewo piekielne ze swémi gorzkiemi owocami i zatrutemi cierniami.

Na samym końcu karawany szedł Pers z białą brodą, w czarnej barankowej czapce; był on najbiedniejszy i najstarszy z całej gromady: wszyscy obchodzili się z nim pogardliwie, ponieważ pochodził z heretyckiego plemienia. Zdawało się że starzec zupełnie obojętnie dźwigał brzemię lat biedy i samotności; do nikogo nie mówił, jadł mało i cały dzień palił tytuń. Jechał pochylony na nędznym wielbłądzie, przesuując nieustannie w palcach dziewięćdziesiąt dziewięć paciorków swego różańca, podnosząc ku niebu chwiejącą głowę i szepcząc tajemnicze słowa. Łagodność i cicha pobożność starca wzruszyły serce Abdallaha; zbyt jeszcze młody aby mógł nienawidzić kogokolwiek, zbliżył się do heretyka, z postanowieniem rozpoczęcia rozmowy.

Piękna, pełna życia twarz i wielkie rozumne oczy młodego przewodnika, uderzyły derwisza; uprzedzając zwierzenie rzekł do niego z miłym uśmiechem:

— Synu mój, oby Bóg dał ci rozum Platona, naukę Arystotelesa, sławę Alexandra i szczęście Kozroesa!

— Dobrze mówisz, mój ojczcze—zawołał młodzieniec—właśnie pragnę nauki; nie pogańskiej umiejętności, ale wiedzy prawdziwego muzułmanina, któremu wiara otwiera skarby prawdy.

— Mów więc, synu mój—odrzekł starzec— a może będę mógł być ci użytecznym. Prawda jest jak perła, ten tylko ją posiada, kto dobiegł krańców życia, i zakrwawił sobie ręce o skały czasu. To czego szukasz, ja znalazłem może, i może będę mógł udzielić ci pożądanego światła, które traci już swą wartość dla moich gasnących oczu.

Ujęty taką dobrocią, Abdallah opowiedział wszystko derwiszowi który słuchał go w milczeniu. Gdy przestał mówić, zamiast odpowiedzi, starzec wyciągnął z dywanika na którym siedział źdźbło białej włóczki, i rzucił je na wiatr, a potem miotając się jak w gorączce i dziwnie jakoś patrząc na Abdallaha, zaimprovizował następujące wiersze:

O ty piękny cyprysie! smutny tulipanie!

Młodzieńcze z czarniejszemi od nocy oczyma,

Patrz jak ten pylek znika nagle, niespodzianie...
 Tak i dni nasze nikną, i tych nic nie wstrzyma.
 Kropla wody w pustyni, ginie kropla licha,
 Piękna róża ów listek wędnie i usycha,
 A życie najpiękniejsze w zmianie niebezpiecznej,
 Jest ciągiem łez rozstania do krainy wiecznej.

W tym ogromie światów mnogiem
 Tylko Bóg sam jest prawdą, Bóg wielkością jedną.
 Bo sam tylko Bóg jest Bogiem.

Gdy pragniesz w księdze świętej, tak jak nam potrzeba,
 By anioł-stróż twoje imię zapisał dla nieba,
 Unikaj jadu zmysłów, chroń się przed zmysłami
 Bo Bóg odrzuci serce które świat popłami.
 Ciało grób.—Ten w niebieskim pozostanie grobie,
 Kto swe grobowe rozerwie ukrycie,
 I cały w nieskończonej miłości utonie;
 Życie w Bogu jest śmiercią — śmierć w Bogu to życie!

— Słowa twoje rozpłomieniają mnie — rzekł Abdallah —
 ale to nie jest odpowiedź.

— Jakto! więc nie zrozumiałeś mnie, synu mój — odpowiedział mistyk? Nie ma na świecie czterolistnej koniczyny, nie tu więc szukać jej należy. Koniczyna czterolistna jest tylko symbolem, oznaczającym niewysławioną nieskończoność. Dam ci poznać tajemnicę, mocą której można ją posiadać. Poskrom twoje zmysły, zostań głuchym, niemym, niewidomym; oderwij się od świata i bądź jak wędrowiec w królestwie nicości, a gdy serce twoje bić już przestanie, gdy włożysz na głowę piękną koronę śmierci, wtedy to, synu mój! znajdziesz wiekuiłą miłość, i zjednoczysz się z nią jak kropla wody padająca w niezmierną oceanu. Tam jest prawdziwe życie! Miłość istniała już wówczas gdy nic nie istniało jeszcze, wszystko zaginie, jedna miłość pozostanie; jest ona pierwszą i ostatnią; jest Bogiem, jest człowiekiem, jest twórcą i stworzeniem; jest szczytem wysokości i niezgłębioną otchłanią; jest wszystkim.

— Starcze — odrzekł przerażony Beduin — wiek osłabił twój rozum, bluźnisz sam nie wiedząc o tém. Sam tylko Bóg istniał przed istnieniem świata, i On tylko pozostanie gdy niebiosy opadną i zgniotą ziemię swym ciężarem. Bóg tylko jest pierwszym i ostatnim, widowym i utajonym, jest On wszechwładnym i mądrym, wszystko zna i wszystko może (1).

Starzec nie słuchał; zdawało się że marzył: usta jego poruszyły się, oczy były nieruchome, widzenie jakieś odrywało od ziemi tę ofiarę omamień szatana. Abdallah zbliżył się do Hafiza, i powierzył mu nowy swój zawód.

— Moje dziecię — rzekł kulawy — unikaj szaleńców upajających się własnymi marzeniami, jak inni dymem opium lub wyciągiem z konopi. Są to bałwochwalcy uwielbiający sami siebie. Biędni szaleńcy! czyliż to oko stworzyło światło? czyliż rozum człowieka stwarza prawdę? Biada temu, co wytwarza z mózgu swego świat lżejszy i próźniejszy od bańki mydlanej! biada temu, kto na tronie Bożym osadza człowieka! Zgubiony kto raz wkroczył w krainę marzeń i urojeń, wkrótce traci właściwe pojęcie o Bogu, wiara jego słabnie, wola niknie, dusza obumiera, rozpoczyna się panowanie ciemności i śmierci.

VIII.

Ż Y D.

Młodość jest wiekiem pragnień i nadziei, i dlatego mimo dotychczasowych niepowodzeń, niezrażony Abdallah nie przestawał pytać wszystkich podróźnych udających się do Mekki, licząc zawsze na jaki traf szczęśliwy; ale daremnie badał Persów, Syryjczyków, Egipcyan, Turków, Indyan: żaden z nich nie słyszał nigdy o cztero-listnej koniczynie. Hafiz ganił ciekawość która wydawała mu się grzeszną, ale Halima zachęcała syna, pocieszając go nadzieją że kiedyś jeszcze napotka mędrca, co będzie umiał go oświecić!

Pewnego dnia Abdallah siedział przed namiotem, smutniejszy jakoś niż zwykle, i rozmyślał czy nie wypadnie mu opuścić namiot i pokolenie swoje, i puścić się w świat daleki szukać talizmanu co dotąd zawsze uciekał przed nim; gdy wtém wszedł do wioski żyd jakiś, prosząc o gościnność. Był to starzec bardzo niskiego wzrostu, w poszarpanej odzieży, i tak okropnie chudy, iż zdawało się że to szkielet tylko. Wsparty na kij, ledwie powłóczył nogi owinięte w zakrwawione szmaty; podnosił niekiedy zwieszoną głowę, i spoglądał w około jakby błagając litości. Jego żółte i pomarszczone czoło, zaczerwienione powieki, ściągnięte usta

Patrz jak ten pylek znika nagle, niespodzianie...
 Tak i dni nasze nikną, i tych nic nie wstrzyma.
 Kropla wody w pustyni, ginie kropla licha,
 Piękna róża ów listek więdnie i usycha,
 A życie najpiękniejsze w zmianie niebezpiecznej,
 Jest ciągiem łez rozstania do krainy wiecznej.

W tym ogromie światów mnogim
 Tylko Bóg sam jest prawdą, Bóg wielkością jedną.
 Bo sam tylko Bóg jest Bogiem.

Gdy pragniesz w księdze świętej, tak jak nam potrzeba,
 By anioł-stróż two imię zapisał dla nieba,
 Unikaj jadu zmysłów, chroń się przed zmysłami
 Bo Bóg odtrąca serce które świat poplami.
 Ciało grób.—Ten w niebieskim pozostanie grobie,
 Kto swe grobowe rozerwie ukrycie,
 I cały w nieskończonej miłości utonie;
 Życie w Bogu jest śmiercią — śmierć w Bogu to życie!

— Słowa twoje rozpłomieniają mnie — rzekł Abdallah —
 ale to nie jest odpowiedź.

— Jakto! więc nie zrozumiałeś mnie, synu mój — odpowiedział mistyk? Nie ma na świecie czterolistnej koniczyny, nie tu więc szukać jej należy. Koniczyna czterolistna jest tylko symbolem, oznaczającym niewystawioną nieskończoność. Dam ci poznać tajemnicę, mocą której można ją osiąść. Poskrom twoje zmysły, zostań głuchym, niemym, niewidomym; oderwij się od świata i bądź jak wędrowiec w królestwie nicości, a gdy serce two białe już przestanie, gdy włożysz na głowę piękną koronę śmierci, wtedy to, synu mój! znajdziesz wiekuistą miłość, i zjednoczysz się z nią jak kropla wody padająca w niezmierzoną oceanu. Tam jest prawdziwe życie! Miłość istniała już wówczas gdy nic nie istniało jeszcze, wszystko zaginie, jedna miłość pozostanie; jest ona pierwszą i ostatnią; jest Bogiem, jest człowiekiem, jest twórcą i stworzeniem; jest szczytem wysokości i niezgłębioną otchłanią; jest wszystkim.

— Starcze — odrzekł przerażony Beduin — wiek osłabił twój rozum, bluźnisz sam nie wiedząc o tém. Sam tylko Bóg istniał przed istnieniem świata, i On tylko pozostanie gdy niebiosy opadną i zgniotą ziemię swym ciężarem. Bóg tylko jest pierwszym i ostatnim, widowym i utajonym, jest On wszechwładnym i mądrym, wszystko zna i wszystko może (1).

(1) Koran LVII 1—4.

Starzec nie słuchał; zdawało się że marzył: usta jego poruszyły się, oczy były nieruchome, widzenie jakieś odrywało od ziemi tę ofiarę omamień szatana. Abdallah zbliżył się do Hafiza, i powierzył mu nowy swój zawód.

— Moje dziecię — rzekł kulawy — unikaj szaleńców upajających się własnymi marzeniami, jak inni dymem opium lub wyciągiem z konopi. Są to bałwochwalcy uwielbiający sami siebie. Biędni szaleńcy! czyliż to oko stworzyło światło? czyliż rozum człowieka stwarza prawdę? Biada temu, co wytwarza z mózgu swego świat łżejszy i próźniejszy od bańki mydlanej! biada temu, kto na tronie Bożym osadza człowieka! Zgubiony kto raz wkroczył w krainę marzeń i urojeń, wkrótce traci właściwe pojęcie o Bogu, wiara jego słabnie, wola niknie, dusza obumiera, rozpoczyna się panowanie ciemności i śmierci.

VIII.

Ż Y D.

Młodość jest wiekiem pragnień i nadziei, i dlatego mimo dotychczasowych niepowodzeń, niezrażony Abdallah nie przestawał pytać wszystkich podróźnych udających się do Mekki, licząc zawsze na jaki traf szczęśliwy; ale daremnie badał Persów, Syryjczyków, Egipcyan, Turków, Indyan: żaden z nich nie słyszał nigdy o cztero-listnej koniczynie. Hafiz ganił ciekawość która wydawała mu się grzeszną, ale Halima zachęcała syna, pocieszając go nadzieją że kiedyś jeszcze napotka mędrca, co będzie umiał go oświecić!

Pewnego dnia Abdallah siedział przed namiotem, smutniejszy jakoś niż zwykle, i rozmyślał czy nie wypadnie mu opuścić namiot i pokolenie swoje, i puścić się w świat daleki szukać talizmanu co dotąd zawsze uciekał przed nim; gdy wtém wszedł do wioski żyd jakiś, prosząc o gościnność. Był to starzec bardzo niskiego wzrostu, w poszarpanej odzieży, i tak okropnie chudy, iż zdawało się że to szkielet tylko. Wsparty na kij, ledwie powłóczył nogi owinięte w zakrwawione szmaty; podnosił niekiedy zwieszoną głowę, i spoglądał w około jakby błagając litości. Jego żółte i pomarszczone czoło, zaczerwienione powieki, ściągnięte usta

zaledwie pokrywające dziąsła pozbawione zębów, rozczochrana broda w nieładzie spadająca na piersi, wszystko to razem zdradzało cierpienie i nędzę. Przybysz spostrzegł Abdallaha, i wyciągając do niego drżącą rękę, wyszeptał osłabionym głosem:

— Panie namiotu, nie odpychaj wędrowca!

Pogrążony w zadumie młodzian, słów tych nie dosłyszał. Starzec trzykrotnie powtórzył prośbę, i na swoje nieszczęście odwrócił głowę w stronę sąsiedniego namiotu, w którym murzynka karmiła dziecko. Postrzegłszy żyda co prędzej ukryła niemowlę, aby go ustrzedz od złego oka, i wychodząc z mieszkania, krzyknęła na biednego żyda: „Precz, trędowaty; chcesz stać się nam zwiastunem nieszczęścia? niech cię Bóg przeklnie tylokrotnie, ile włosów w twój ję brodzie!” I zwołując psy, poszczuła nimi nędzarza. Starzec chciał uciekać, ale nogi zaplątały mu się i upadł krzycząc przeraźliwie.

Krzyk ten obudził z zadumy Abdallaha; w tejże chwili pobiegł na pomoc żyda, odpędził psy, pogroził niewolnicy, i podniósłszy zebraka, na rękę poniósł go do swego namiotu. Tam zaraz obmył mu ręce i nogi, opatrzył rany, a Halima podała mleko i daktyle.

— Synu mój, dozwól niech cię błogostawię—zawołał starzec ze łzami—błogostawieństwo choćby najinniejszego z ludzi, nigdy nie jest małą rzeczą w oczach Pana. Niech Bóg da ci mądrość, spokój i cierpliwość; niechaj oddala od ciebie zazdrość, smutek i pychę! Oto błogostawieństwo jakie Pan zapewnia ludziom równie jak ty szlachetnym.”

Wieczorem wszyscy zasiedli pospołu do skromnego posiłku; Hafiz, Abdallah i żyd długo rozmawiali z sobą, chociaż kulawy czuł w gruncie pewien wstręt do syna Izraela. Abdallah słuchał z zajęciem opowiadań starca o długich jego podróżach, a jakże to wiele zwiedził krajów! Znał dobrze Maskat i Indye, był w kraju Franków, przebył puszcze Afryki, teraz zaś przez Sudan przybywał z Egiptu i przez Syryę wracał do Jerozolimy.

— Zaczny gospodarzu mój—mówił żyd—nie bogactwa ja szukałem po świecie; nie jednokrotnie czekało mnie przy drodze: mijałem je nie wstrzymując kroku. Mędrcy nasi powiedzieli, że jak czerwona uprząż białemu koniowi, tak

ubóstwo przystoi dzieciom Abrahama. Już lat 50 tułam się po świecie, przebywając piaski i morza, trudy i nędze, szukając słowa Bożego i świętej tradycji. Bóg przekazał Mojżeszowi na górze Sinai słowo nie pisane; Mojżesz, święty ten zakład powierzył Jozuem, Jozue siedmdziesięciu starcom, starcy prorokom, a prorocy synagodze; po upadku Jerolimy, mistrze nasi spisali to słowo w Talmudzie, ale jakże to ono jest niedokładnem? Chcąc ukarać grzechy naszych ojców, Bóg skruszył w dłoni prawdę, i szczątki jój rzucił na cztery wiatry świata. Szczęśliwy kto zdoła zgromadzić te rozproszone części, szczęśliwy kto odnajdzie choć jeden promyk Bożego światła! Taki może nie dbać, choć dzieci wieku obrzucają go pogardą i nienawiścią; zniewagi są dla jego duszy tém czém burza dla ziemi: rozdziera ona jój łono, ale zarazem odświeża i użyźnia.

— A człowiekiem tym, ty jesteś mój ojciec — rzekł Abdallah, tak żywo zajęty słowami swego gościa, iż zapomniał że mówi do niewiernego. Więc odkryłeś ten skarb nieoceniony? więc posiadałeś całą prawdę?

— Jestem tylko nędznym robakiem — odpowiedział żyd — ale od lat dziecinnych badałem mistrzów, rozpytywałem o tajemnicę Zakonu, i szukałem w kabale bogactw nie popłaczających na targowisku świata; chciałem poznać język liczb, dający klucz do wszelkiej prawdy. Bogu tylko wiadomo o ile doszedłem zamierzonego celu, i Jemu jednemu należy się cześć i chwała. Jest rzeczą pewną, że Anioł Razel wtajemniczył Adama w tajemnice kreacyi, a któż jest w stanie dowieść że objawienie to zaginęło? Człowiek któryby zdołał podnieść choć jeden róg zasłony okrywającej prawdę, niczego już nie potrzebuje się spodziewać ani obawiać, może umierać, bo nie żył daremnie.

— Powiedz mi, ojciec — zapytał drżącym głosem młody Beduin — czy tradycja twoja nie mówi o świętym ziele, dającym zarazem mądrość i szczęście?

— I owszem — odпові z uśmiechem starzec — między innymi cudami, Zohar (1) wspomina i o tém ziele.

— Wszak jest to koniczyna czterolistna?

— Być może — odparł żyd, marszcząc brwi — ale z kądzie wiesz o tem?

(1) Księga kabalistyczna.

Kiedy syn Yusufa skończył swoje opowiadanie, starzec rzekł, spojrzawszy na niego z czułością:

— Mój synu, często się zdarza, że nędzarz lepiej od bogacza odwdzięcza doznaną gościnność, bo sam Bóg płaci za biednych i opuszczonych. Kiedyś, dawno już temu, odkryłem w głębi Persyi tajemnicę której poszukujesz; i widać Bóg dlatego skierował kroki moje pod twój namiot, abym stał się dla ciebie zwiastunem prawdy. Słuchaj więc mój synu, co mam ci objawić, i słowa moje głęboko wyryj w sercu twojem.

Hafiz i młody Beduin przysunęli się do starca, który cichym i tajemniczym głosem mówił co następuje:

— Wszak wiecie, że wypędzając z raju pierwszego ojca naszego Adama, Bóg pozwolił mu zabrać z sobą drzewo daktylowe mające dać mu pożywienie, oraz wielbłąda z tejże saméj co człowiek ulepionego gliny, i który nie może żyć bez człowieka.

— To prawda — rzecze kulawy. Przyszedłszy na świat, młode moje wielbłądy nie dożyłyby jutra, gdybym nie podtrzymał im głowy i nie przysadzał do piersi matek: wielbłąd i człowiek wzajem dla siebie stworzeni.

— Gdy płomienisty miecz wypędzał występnych, Adam rzucił rozpaczliwe wejrzenie na niebo które musiał opuścić, i jako ostatnią pamiątkę z dotychczasowego miejsca pobytu, zerwał i uniósł gałązkę mirtu. Anioł nie sprzeciwił się temu; pamiętał że przed chwilą jeszcze, z rozkazu Bożego, oddawał pokłon temuż samemu śmiertelnikowi, który teraz litość w nim jedynie budził.

— I to prawda — przerwał kulawy. Była to też sama gałązka mirtu, którą Choabib dał później zięciowi swemu Mojżeszowi; z niéjto powstała owa laska Proroka, z którą w rękę pilnował swéj trzody, a następnie z jéj pomocą cuda czynił w Egipcie.

— Ewa także — mówił dalej starzec — spoglądała ze łzami na te drzewa i kwiaty, których nigdy już nie miała oglądać; pragnęłaby zatrzymać się przy każdym krzewie, ale ognisty miecz nie dozwalał, niemiłosiernie pędząc naprzód: trzeba było ustępować przed przekleństwem. Zbliżając się już do wrót niebieskich, Ewa w przechodzie zerwała rajskie ziele; Anioł wiedziony litością znowu udał że tego nie widzi.

Ewa sama nie wiedziała jakie ziele trzyma w zamkniętej ręce, bo uciekając nie patrzyła co zrywa. Na nieszczęście, i tym razem nie umiała zapanować nad swą ciekawością, i otworzyła rękę zanim przeszła fatalny próg. Przypadek zrządził że zerwała najcudniejsze w całym rajy ziele: była to koniczyna czterolistna. Jeden jój listek był czerwony jak miedź, drugi biały jak srebro, trzeci żółty jak złoto, czwarty błyszczący jak dyament. Zdjęta podziwieniem, Ewa przystanąła chcąc przypatrzeć się swemu skarbowi; wtém dotknął ją płomienisty miecz, zatrwożyła się, ręka jój zadrżała, i listek dyamentowy upadł w raj, a trzy inne wiatr uniósł na wsze świata strony; lecz gdzie nareszcie padły? Bogu tylko wiadomo.

— Jaktó—zapytał młodzieniec—więc nikt nie widział ich od owój chwili?

— Nikt, o ile wiem—odrzekł żyd—i bardzo być może ze cała ta opowieść jest tylko alegoryą, kryjącą jakąś głęboką prawdę.

— Nie, nie! to być nie może—zawołał Abdallah. Ojcze, proszę cię, pomyśl tylko, zbadaj wspomnienia twoje, a może przypomnisz sobie coś co nas na ślad naprowadzi. Za jaką-bądź cenę muszę odszukać tę roślinę; chcę tego koniecznie, i przy pomocy Bożej posiędę ją prędzej czy później.

Starzec oparł czoło na dłoni, i długo tak siedział w głębokiej pograżony zadumie; Abdallah i Hafiz nie śmieli prawie oddychać, aby nie zakłócić jego rozmyślań.

— Daremnie natężam pamięć moją—rzekł nareszcie—nie już przypomnieć sobie nie mogę; może czegoś więcej dowiemy się z mojej księgi. To mówiąc wyciągnął z kieszeni zażółcony rękopism, oprawny w czarną, zatłuszczoną skórę, i zwolna przerzucał karta po karcie, przyglądając się bacznie kwadratowi geometrycznym, kołom, trójkątom i alfabetom, pomieszany z liczbami, z których jedne zaczynały się od *alef* a inne od *tau* (1). Oto, zawołał, cztery wiersze powtarzane w Sudanie, które może odnoszą się do naszego ziela; ale nie mogę dobrze zrozumieć ich znaczenia.

Jest ziółko tajemnicze,
Nie dojrzy go ludzkie oko;

(1) Ostatnia litera alfabetu hebrajskiego.

Nie szukaj go tu na ziemi,
Bo ono w niebie wysoko.

— Cierpliwości, młodzieńcze—rzekł widząc niepokój Beduina—jedne słowa wielokrotne mogą mieć znaczenie. Ciemny motłoch chciałby zaraz na powierzchni pochwycić prawdę, mędracy gonią za nią aż na dno przepaści, i dosięgają jej nareszcie, dzięki pomocy najpotężniejszej, świętej dekadzie Sefirotów (1). Nie znasz słów jednego z naszych mędrców, rabina Halafta, syna Dozzy:

Nie szukaj nieba w górze, gdzie myśl się rozkruszy,
Gdzie księżyc srebrny, gdzie słońce ogniste;
Niebo, mój synu, zamknięte w twój duszy,
A raj, to serce czyste.

Tak, dodał, podnosząc głos, dostrzegam błady, oświecający mnie promyk. Widać Bóg chce dać ci czego pragniesz, skoro dozwolił żeśmy się spotkali z sobą; ale strzeż się uprzedzać woli Jego płonną i występłą ciekawością. Postępuj według prawa Bożego, zachowuj przykazania, miej niebo w duszy, a może właśnie w chwili gdy najmniej będziesz się tego spodziewać, znajdziesz nagrodę o jakiej marzysz. Jest to wszystko co wiedza moja zwiastować ci może.

— Dobrze mówisz, starcze—rzekł Hafiz; a kładąc rękę na ramieniu Abdallaha, dodał:—Synu mój duszy, Bóg jest panem dnia i godziny: bądź więc posłuszny, czekaj Jego woli”.

IX

STUDNIA ZBAJDY.

Dla Abdallaha noc minęła prędko i rozkosznie: w sen-
ném marzeniu niejednokrotnie widział ową tajemniczą koni-
czynę. Nazajutrz chciał koniecznie zatrzymać nadal w na-
miocie dobroczyńcę który wrócił mu nadzieję, ale starzec
odmówił stanowczo.

— Nie zostanę, synu mój—rzekł on—nie powinienem
więcej jak jedną noc spędzić pod twoim namiotem. Piérwsze-

(1) O Sefirotach zobacz Munok'a, *Pałestyna* str. 519.

go dnia przybyły jest gościem, drugiego ciężarem, trzeciego dnia już cuchnie. Ty nie masz mi się już o co pytać, ja nic nie mam ci do powiedzenia, więc najlepiej rozstańmy się. Przyjm raz jeszcze najserdeczniejsze dzięki moje, i pozwól pomodlić się za ciebie, a choć kibbla nasza odmienna (1), to przecież oba jesteśmy synami Abrahama, i jednego uwielbiamy Boga.

I zaledwie najżywsze nalegania syna Yusufa, zdołały skłonić starego żyda, że wsiadł na wielbłąda i o dzień drogi odprowadzić się pozwolił. Hafiz bardzo polubił nieznajomego, a młody Beduin miał nadzieję że może starzec udzieli mu jeszcze jakich objaśnień w tak żywo obchodzącym go przedmiocie; ale widok pustyni inne starcowi przywodził na myśl wspomnienia, i zapomniał zupełnie o wczorajszej rozmowie.

— Jeśli się nie mylę—rzekł on do starego Hafiza—na tej właśnie drodze leży studnia, którą kazała niegdyś wyświ-drować sułtanka Zebajda, podczas swęj pielgrzymki do Mekki?

— Tak jest— odrzekł kulawy— jest to pamiątka jaką pozostawił po sobie krajowi Harun-al-Raszyd; kalifowi także temu i małżonce jego, zawdzięczamy najpiękniejsze nasze ogrody.

— Cześć pamięci jego: ludzie zapomną prędkiej czy później wszelkiej najroźgłośniejszej sławy, będącej owocem bezużytecznego rozlewu krwi i szalenie zmarnowanych pieniędzy, a pamięć jego zawsze żyć będzie w wdzięcznych sercach współbraci.

— Mówisz jak potomek Izraela—odrzekł Hafiz. Wy jesteście narodem żyjącym tylko handlem, jest on dla was treścią i celem życia: Beduin inne ma przekonanie. Wojna jest największém dobrem na ziemi: nie jest męczyzną kto śmierci nie zajrzał w oczy. Jakże to błogo godzić w pierś wroga, jeśli jednocześnie własne narażamy życie; jak chlubnie pokonać go i pomścić co kochamy! Nieprawdaż, Abdallahu?

— Masz słuszność, mój wuju; dusza rwie się do boju, ale radość jaką nas zwyciężka nawet upaja walka, ma także

(1) Kibbla jest to strona nieba, w którą zwracają twarz podczas modlitwy: Mahometanie zwracają się ku Mekce, Żydzi ku Jerozolimie.

swoją odwrotną stronę. Nie mogę zapomnieć dnia tego, kiedy napadnięty przez Beduina który pistolet przykładał mi do skroni, oręż mój w jego utopiłem piersi; padł bez życia: jakże to wielką, ale zarazem jak krótką była moja radość! Patrząc na martwe jego oczy, na usta pełne krwi i piany, mimowolnie przyszło mi na myśl że człowiek ten miał matkę, i że jakkolwiek mogła być dumną iż poległ śmiercią walecznych, niemniej jednak pozostanie osieroconą, i będzie płakać i rozpaczać, i będzie tak niepocieszoną, jak niepocieszoną byłaby matka moja, gdyby mi wydarto życie. Nadto człowiek ten był muzułmaninem, a więc bratem moim.

— Może i masz słuszość, starcze—rzekł zwracając się do żyda—piękna to rzecz wojna; ale kto jak kalif walczył z pustynią, kto dzikie puszcze zamieniał w urodzajne pola, szerząc wszędzie obfitość i życie, o, ten więcej jak sławny, ten jest wielki i wzniosły! Szczęśliwi ci co żyli za czasów dobrej Zebajdy!

— I czemuż nie naśladujesz tego co tak uwielbiasz?—zapytał starzec półgłosem, jakby chciał mówić tylko do Abdallaha.

— Nie rozumiem cię—odrzekł młody Beduin.

— Ja tém mniej—dodał kulawy.

— Bo młodość jeszcze dobrze nie przejrzała, a nawyknienie zaślepia starość. I zkądże się wziął w tém miejscu ten bukiet drzew akacyi, kiedy wkoło nieurodzajna roztacza się ziemia? Czemu owce zieloną tu prawie gryzą trawę, kiedy już piasek wszechwładnie zapanował na całej przestrzeni? Czemu te ptaszki latające między owcami, dziobią zielenią jeszcze kielkującą ziemię? Patrzycie na to codziennie i dlatego właśnie nie zastanawiacie się nad tém; nie dziw, ludzie zwykle tak robią: jakże to gorąco uwielbialiby słońce, gdyby nie wracało co rano.

— Masz słuszość—rzekł Abdallah—nigdy nie zwracałem na to uwagi, pod tą zielenią musi być woda, może która z urządzonych niegdyś przez kalifa studni.

— Czyby nie można jako przekonać się o tém?—zapytał kulawy.

— Nie potrzebowalbyś czynić tego pytania, gdybyś równie jak ja posiwiiał nad Talmudem—odrzekł żyd. Słuchaj

więc co mówi jeden z naszych mędrców, a poznasz że wszelka mądrość zawiera się w naszym Zakonie.

„Zanim Salomon się ukazał, słowa Zakonu podobne były do owój studni, której orzeźwiająca woda w tak bezmierną znajduje się głębokości, że nikt dostać jej i napić się nie może. Cóż uczynił wtedy człowiek rozumny? Oto powiązał z sobą wielkie liny, przywiązał do nich wiadro, potem spuścił je w studnię, zaczerpnął wody i napił się. Takto i Salomon przechodził z jednej do drugiej allegoryi, od jednej do drugiej rozprawy, aż nareszcie zgłębił słowa Zakonu”.

— Ktoby odkrył to źródło — znalazłby prawdziwy skarb — rzekł pasterz — zostań z nami, cudzoziemcze, będziemy robić wspólne poszukiwania; dopomożesz nam twoją wiedzą, a my święcie oddamy ci część twoją.

— Nie — odrzekł żyd — kto zaślubia naukę, zaślubia ubóstwo; od lat pięćdziesięciu jak pojąłem tę oblubienicę moją, tak dobrze żyjemy z sobą, że nie myślę się rozwodzić. Bogactwo, to kochanka zbyt wymagająca, ogarnia wszechwładnie całe serce i życie człowieka: zastawiam ją młodym.

Słońce chyliło się ku zachodowi; starzec zsiadł z wielbłąda, podziękował towarzyszom, i uściskawszy serdecznie nie pozwolił dalej towarzyszyć sobie.

— Bądźcie o mnie spokojni — rzekł żegnając się — ten komu pakunkiem ubóstwo, starość strażą, a Bóg współtowarzyszem, nie potrzebuje się niczego obawiać.

I raz ostatni żegnając ich i błogosławiąc, starzec śmiało zapuścił się w pustynię.

X.

LISTEK MIEDZIANY.

Nie trudno było nabyć ów kawałek ziemi, w którym bystre oko wędrowca odgadywało ukryte źródło; kilka feddanów (zagonów) nieurodzajnych piasków nie wiele kosztują na pustyni. Halima dostała kiedyś od Mansura dwadzieścia durośów, przechowywała je na dnie starego naczynia: była to summa aż nadto dostateczna do urzeczywistnienia najdroższych życzeń Abdallaha. Zawsze przezorny Hafiz, oznajmił że zamyśla urządzić w tém miejscu schronienie dla trzody

swojój, i zaraz po nabyciu, naznosił dużo chrustu i gałęzi, aby ukryć przed zazdrosném okiem, tajemnicze dzieło, jakie zamierzali przedsięwziąć.

Gdzie tylko są kobiety i dzieci, nie zbraknie ciekawych i dużo mówiących; wkrótce w całym pokoleniu o tém tylko gadano, że Hafiz i siostrzeniec jego kopią w ziemi szukając skarbu. To téż ilekroć późnym wieczorem pędząc trzodę do wspólnej sadzawki, postrzegano dwóch nierozłącznych przyjaciół, okrytych kurzem i piaskiem, żartownisie wcale ich nie oszczędzali: „Co to za jeden? pytano, wskazując Hafiza lub Abdallaha: jestże to szakał kryjący się w swój norze? derwisz urządzający sobie celkę? lub też starzec który sobie grób kopie? — Gdzież znowu, odpowiadano, to czarownicy świdrujący w ziemi otwór, którym pójdą do piekła.”

„Cierpliwości, wołały inne głosy, dostaną się tam niezadługo” i śmiechy i szyderstwa jak grad się sypały, bo dotąd nie wynaleziono jeszcze wędzidła, zdolnego powściągnąć języki i zamknąć usta ciemnych i zazdrośnych.

I tak miesiąc przeszło Abdallah i wuj jego pracowali z niezmordowaną gorliwością, ale robota nie bardzo postępowała; piasek się osypywał, często jedna noc kilkodniową niweczyła pracę. Halima pierwsza straciła cierpliwość, i wyrzucała bratu że uległ szalonym zachciankom młodzika. Z początku Hafiz stawał w obronie zamierzonego przedsięwzięcia, ale w końcu i on się zniechęcił i zaprzestał kopać. — Bóg karze mnie za słabość moją, mówił; bardzo zawiniłem słuchając tego nędznego oszusta, który po prostu, zadrwił z nas sobie. Można było spodziewać się czego innego, od tych odwiecznych nieprzyjaciół Proroka i prawdy?

Abdallah postanowił walczyć z przeciwnościami.

— Bóg mi świadkiem, powtarzał, że nie dla siebie tylko pracuję, ale głównie dla mojego ludu. Mniejsza o trudy moje, jeśli mi się nie uda; mniejsza jak długo pracować będę, jeśli skutek uwieńczy podjęte usiłowania. I przeszło miesiąc pracował nad cembrowaniem studni, a zapobiegłszy tym sposobem osuwaniu się ziemi, zaczął kopać dalej z niezmordowaną wytrwałością.

Około połowy trzeciego miesiąca, Hafiz, ulegając namowom Halimy, postanowił ostatni raz jeszcze spróbować przemówić do przekonania upartego siostrzeńca, tak szalone-

go, że łudził się jeszcze nadzieją, kiedy dawno już wuj jego dawał mu przykład mądrości i rezygnacji. Ale nie tak to łatwo było powiedzieć kazanie Abdallahowi, będącemu na dnie studni, wynoszącej już obecnie przeszło trzydzieści łokci głębokości; Hafiz położył się na ziemi, i kładąc głowę w otwór, krzyczał głośno:

— O! dziecię upartsze od muła, czy przysiągłeś zakopać się w tej studni potępienia?

— Wuju mój—odpowiedział Abdallah głosem zdającym się wychodzić z głębi piekła—kiedy tu jesteś, to bądź łaskaw pociągnij za sznur i wysyp ziemię z koszyka; tym sposobem robotą pójdzie prędkiej.

— Nieszczęsny!—mówił znowu Hafiz, a głos jego zdradzał zarazem i gniew i litość — czyż już zapomniałeś nauk jakie dawałem ci w dzieciennych latach twoich? czyż tak mało masz szacunku i przywiązania dla mnie i dla matki twojej, że martwisz nas dobrowolnie? Czyż zapomniałeś już pięknych słów koranu: „Błogosławieni, którzy uchronią serce swoje przed chciwością!” czyż sądzisz.....

— Ojczel! ojczel!—przerwał nagle Abdallah—czuję wilgoć, słyszę... widzę już wodę... ratunku! ratunku! ciągnij kosz albo zginę!

Hafiz pochwycił linę i z największym wysileniem ledwie zdołał wywindować kosz a w nim ukochanego siostrzeńca, bez przytomności, całkiem pokrytego mułem. Woda huczała i przewracała się w studni. Powróciwszy do zmysłów, Abdallah słuchał z rozkoszą szmeru przybierającej wody; gwałtowne wzruszenie miało jego sercem, gęste łzy spadały z oczu Hafiza. Nagle szmer ustał zupełnie; wtedy Hafiz zapalił pęk suchych gałęzi, rzucił je w otwór, i mniej niż dziesięć stóp pod powierzchnią ziemi, ujrzał jasny odbłysek tryskającego źródła. W jednej chwili spuścił dzbanek i zaczął czerpnąć wody: była słodka i zimna. Abdallah padł na kolana i czołem uderzył o ziemię; wuj poszedł za jego przykładem, a potem uściskał i przeprosił siostrzeńca.

W godzinę potem, nie zważając na dopiekający skwar, dwaj Beduini urządzili przy źródle wielkie koło z wiadrem do nabierania wody, obracane przez dwa woły, i ta skrzy-

(1) Koran, LIX, 9.

pięca *sakieh* rozlewała wodę na poźółkłe łany, przywracając ziemi jój świeżość wiosenną.

I zaprzestano chodzić wieczorem do sadzawki; trzoda i pasterze zatrzymywali się przy źródle, a wszyscy ci co niedawno tak gorzko szydzili z Abdallaha, głosili teraz jego chwałę. „Przewidywaliśmy to, mówili starzy. Szczęśliwa matka co ma takiego syna! powtarzały kobiety. Szczęśliwa ta co zostanie żoną tego młodziana! myślały dziewczęta. A każdy dodawał: Niech będzie błogosławiony sługa Boga i dzieci jego dzieci!”

Gdy wieczorem zebrało się całe pokolenie, syn Yusufa nabrał dzban tój wody tak orzeźwiającej jak woda studni Zem-Zem (1), i podał najpierw matee swojej, potem każdemu z kolej, a sam napił się ostatni. Zbliżywszy naczynie do ust, i przechylając je aby się napić, poczuł w ustach coś zimnego: był to listek metalowy, zaczerpnięty z wodą ze źródła.

— Co to jest? mój wuju — zapytał, podając go Hafizowi — czyliż miedź taka kryje się w łonie tój ziemi?

— O! synu duszy mojej! — wykrzyknął głęboko wzruszony starzec — zachowaj troskliwie ten skarb najdroższy; Bóg zsyła go tobie jako nagrodę twój odwagi, wytrwałości i pracy. Czyliż nie widzisz że jest to miedziany listek koniczyny? ziemia roztworzyła swe otchłanie aby oddać ci to nieocenione rajskie ziele. Prawdę więc jest wszystko co mówił nam zacny syn Izraela; zatém, synu, miej nadzieję, miej nadzieję, ufaj, i czekaj! Chwała bądź Bogu niezrównanemu, jedynemu, wszechpotężnemu; On jeden wielki i wszechmocny!

XI.

OGRODY IREMU.

Ogrody umajone różnobarwną zielenią, orzeźwiane żywemi źródłami, pełne owoców pochylających się ku ręce, palm, granatów i wiekuistego cieniu; taki to raj obiecuje

(1) Święta studnia, znajdująca się w Mekce, w obrębie świątyni. Według tradycyi, jest to toż samo źródło, które anioł wzbudził na puszozy, aby ukoić pragnienie Agary i Izmaela.

wiernym księga prawdy (1). Abdallah już na téj ziemi zakosztował przedsmaku tego raj. Kilka zaledwie lat upłynęło, a już siedziba jego pokryła się szatą niezrównanej piękności; w około namiotu rozciągał się ogród tchnący świeżością i błogim spokojem, radujący wzrok i serce. Prześliczne białe powoje otaczały swemi zwojami akacje i drzewa oliwne; wiecznie zielone żywo-płoty mirtowe, osłaniały swym liściem duże kwatery na których sadzono durre, jęczmień i melony; a świeża woda płynąca dwudziestu spadkami, obmywała stopy młodych drzew pomarańczowych; tuż obok rosła winna latorośl, banany, morele, granaty, i cudne kwiaty cały rok kwitnące. Smutek nie miał przystępu do tego ziemskiego raj; tu róże, jaśminy, mięta, narcyzy, piołun błękitno-kwiatowy (*Shich*) zdawały się uśmiechem swym wabić przechodnia, który zarazem nasyczał się ich widokiem i rozkoszował wonią. Tak cudny gaj nie uniknął bystrego oka ptaków; ci przyjaciele owoców i kwiatów, zlatywali się tu ze wszystkich stron nieba, i dziwna rzecz, możnaby myśleć że ptaszyny znały rękę której zawdzięczały te skarby pożywienia. Rano, gdy Abdallah wyszedł z mieszkania, aby na uperlonéj rosą murawie rozciągnąć modlitewny kobierzec, wróble witały go radośnym krzykiem; dzikie gołębie, kryjące się w cieniu szerokich liści figowych, ujrawszy go, gruchały czulej, pszczoły siadały mu na głowie; motyle radośnie latały w około niego, i wszystko razem, kwiaty, ptaki, brzęczące owady, szemrzące wody, wszystko zdawało się kochać Abdallaha i czule składać mu dzięki, i wszystko zarazem wznosiło duszę jego do Tego co mu dał spokój i dostatek.

Abdallah skarbem swoim podzielił się z współbraćmi; w końcu ogrodu urządził głęboki basen, w który woda bystrym spadała strumieniem, i mimo skwarów lata, nęciła swym orzeźwiającym chłodem. Ptaki latające w około, zdaleka przywabiwały tu karawany. „Co to za woda? pytali zdumieni wielbłądnicy; od tylu lat przebywamy tę puszcze, a nigdy dawniej nie widzieliśmy téj cysterny. Czyżbyśmy zabłądzili? Napełniliśmy na cały tydzień bukłaki nasze; aż tu trzeci dzień nie upłynął i napotykamy wodę. Czyż z łaski

(1) Koran, XIII, 35; I.V, 68; LXXVI, 14.

Allaha oglądamy ogrody Iremu (1)? i czyż on przebaczy pysznemu co poważyl się w głębi puszczy raj zbudować sobie.

A Halima odpowiadała wielbłądnikom: — „Nie, nie są to ogrody Iremu ani wytwór pychy; to co widzicie jest dziełem pracy i modlitwy. Bóg błogosławił synowi memu Abdallahowi.”

I odtąd studnia ta otrzymała miano studni Błogosławieństwa.

XII.

DWÓCH BRACI.

Trzy rzeczy zachwycają oko, mówi przypowieść: przeczra wód, zieloność i piękność. Halima wiedziała dobrze czego brakuje temu rozkosznemu, tak świeżą wodą skrapianemu ogrodowi, i dlatego często powtarzała synowi: że nie godzi się poddawać zapomnieniu nazwiska ojca swego. Ale Abdallah jakby nie słyszał tego; mógłże myśleć o ożenieniu, kiedy cała dusza jego czém inném była zajęta? Całe godziny wpatrywał się w listek miedziany i nieustannie zapytywał siebie, jakich czynów, jakich cnót potrzeba było, aby podobać się Bogu i otrzymać od Niego upragnioną nagrodę. A dwie namiętności nie mogą jednocześnie zamieszkać w sercu człowieka.

Pewnego wieczora, kiedy stary Hafiz ulegając prośbom siostry, używał całej siły swój wymowy aby koniecznie skłonić to młodą żrebię do nałożenia wędzidla, z oddali dały się słyszeć wystrzały zwiastujące zbliżanie się karawany. Abdallah wstał i wyszedł naprzeciw wędrowców; Hafiz i Halima smutnie spojrzeli po sobie: znowu namowy ich spełzną na niczem!

(1) Szeddach, król Adów, posłyszawszy o rajy i jego rozkoszach, postanowił założyć pałac i ogrody, któreby przepychem i pięknnością współzawodniczyły z rajem. Gdy już ukończył, z nieba dał się słyszeć straszny krzyk, który zniszczył dzieło pychy, a przynajmniej uczynił je niewidzialnym, i dopiero niejaki Ibu-Kelabah miał je odnaléżó za panowania Kalifa Moowiaha. Ogrody Iremu są równie sławne u Arabów, jak wieża Babel u Hebrajczyków. Koran, LXXXIX, 6 i nast.

Powrócił niezadługo wprowadzając do namiotu młodego jeszcze, ale ciężkiego i otyłego człowieka. Przybysz pozdrowił kulawego i jego siostrę, a potem przypatrując się bacznie Beduinowi, zapytał:

— Czy to jest pokolenie Beni-Amer, i czy jestem w domu Abdallaha, syna Yusufa?

— Abdallah ma zaszczyt przyjmować was, panie, i wszystko co mam jest na wasze rozkazy.

— Jakto!—zawołał przybyły—więc dziesięć lat nieobecności zmieniły mnie do tego stopnia, że jestem obcym w tym domu? Czyliż Abdallah zapomniał już brata? czyż matka moja jednego już tylko ma syna?

Cóż to była za radość zobaczyć się po tak długim rozłączeniu. Abdallah nieustannie ścisnął Omara; Halima chodziła od jednego syna do drugiego, a stary Hafiz mówił sobie w duszy: że człowiek jest bardzo złośliwym bydlęciem. Ileżto razy, najniesłuszniej jak się pokazuje, oskarżał syna Mansura o niewdzięczność; nie byłoż to ciężkim grzechem?

Kiedy po skończonym posiłku podano fajki, Omar uścisnął czule rękę brata, i rzekł:

— Jakżem szczęśliwy że mogę cię uściskać, a tém szczęśliwszy że przychodzę oddać ci przysługę.

— Powiedz o co chodzi, bracie mój—odrzekł syn Yusufa. Nie wiem jaką mógłbyś oddać mi przysługę, ponieważ od Boga tylko mogę się czegoś spodziewać lub obawiać; ale często niebezpieczeństwo niewidomie zbliża się do nas, a wtedy nic nam nie zastąpi przyjacielskiego oka.

— Nie idzie tu o niebezpieczeństwo ale o majątek—odrzekł syn Mansura. Powiem ci co mnie sprowadza.

Wracam z Taifu, gdzie mnie powoływał wielki szeryf.

„Omarze, rzekł on do mnie, wiem że jesteś najbogatszym i najrozumniejszym kupcem w całym Dżeddah; znają cię w pustyni, imię twoje jest w poważaniu u wszystkich pokoleń, a na widok twój pieczęci, każde pokolenie podejmie się dostarczyć wielbłądów aby przeniosły twe towary, i dzielnych obrońców coby strzegli ich bezpieczeństwa. Wszystko to zjednało ci u mnie wielki szacunek, i przyzwałem cię aby ci tego dowieść.”

Gdy szeryf powiedział te słowa skłoniłem się z uszanowaniem; czas jakiś głąskał brodę, nareszcie mówił znowu:

„Basza Egiptu, rzekł z pewnym wahaniem się, basza Egiptu który bardzo ceni przyjaźń moją, równie jak ja jego względy, przysłała mi niewolnicę mającą stać się ozdobą mego haremu, a którą przez uszanowanie dla ręki co mnie nią obdarza, tylko jako żonę przyjąć mogę. Basza wyświadcza mi wielki zaszczyt, przyjmuję go też z wdzięcznością, choć, prawdę mówiąc, w moim wieku, i mając przy sobie ukochaną kobietę, rozsądniej byłoby nie narażać spokoju domowego. Niewolnica ta jest daleko ztąd, żądam więc od twojej przeczności i mądrości, abys ją tu sprowadził. Nie może ona wylądować w Dżeddah, gdzie Turek rozpościera swe rządy; trzeba żeby łądem przybyła z Yambo, zostającego pod moim zwierzchnictwem. Długa jest droga z Yambo do Taifu, a po pustyni włączają się różne bandy wędrownie i mieszkają zuchwałe pokolenia, nieuznające władzy mojej. Mam powody dla których nie chcę teraz wypowiadać im wojny, a nie mogę znowu narażać się na zniewagę. Potrzebuję więc człowieka rozumnego i przeczornego, któryby udał się do Yambo, niby w własnym interesie; ty jeden możesz każdej chwili przedsięwziąć tę podróż, bez zwrócenia niczyjej uwagi: wszyscy będą przekonani że jedziesz sprowadzić jaki ważny transport, i nikt nie poważy się napadać kupca mającego w kraju tyle stosunków i przyjaciół.”

Tak mówił do mnie szeryf. Chciałem wymówić się od tej niebezpiecznej łaski, ale pan spojrział na mnie groźnie, a gniew władcy, to jak krzyk lwa rozjuszonego: niepodobna go drażnić, bez narażenia się na pewną zgubę. Więc musiałem się zgodzić na jego żądanie.

— Głowo wiernych—odpowiedziałem—prawda że Bóg pobłogosławił moim trudom, i że mam kilku przyjaciół w pustyni. Ty jesteś panem, rozkazuje więc: ja będę posłusznym.

— Dobrześ zrobił—odrzekł Abdallah—to daje sposobność walczyć z niebezpieczeństwem i pozyskać sławę.

— I dlatego właśnie przyszedłem do ciebie—odpowiedział syn Mansura. Gdzież znalazłbym godniejszego nad ciebie współtowarzysza tak szlachetnej wyprawy, bracie mój drogi, najodważniejszy z odważnych; gdzie przeczorniejszego nad mądrego Hafiza, gdzie mężniejszych od twoich współtowarzyszy? Beduini rozproszeni wśród pustyni nie widzieli mnie nigdy, znają tylko moje nazwisko, i zresztą zamiast

bronieć mojej karawany, mogliby na nią napaść i zrabować, jak to już niejednokrotnie miało miejsce: stan rzeczy się zmienia, gdy ty i twoi, będziecie mi towarzyszyć. Ty więc zarządzaj całą wyprawą, i niech na ciebie spada zaszczyt za jej przeprowadzenie. Mówię do ciebie z całą szczerością; ja jestem tylko kupcem, ty zaś człowiekiem czynu, umiejącym radzić i sobie i innym. Na stepie utrzymują że jestem bogaty i zazdroszczą mi mienia, a to już naraża na niebezpieczeństwo; ciebie zaś wszyscy boją się i szanują; samo imię syna Yusufa jest potężną bronią, a osoba twoja stanie za liczne zastępy. Bez ciebie nic, z tobą wszystkiego dokonać mogę; z twoją pomocą mogę szczęśliwie przeprowadzić wyprawę, od której zależy moje bezpieczeństwo i życie. Czyż zawiodłem się licząc na ciebie?

— Nie—odrzekł Abdallah—jesteśmy ogniwami jednego łańcucha; biada temu ktoby go zerwać zapragnął! Wyruszymy jutro, i co bądź wypadnie, zawsze będę obok ciebie: obowiązkiem braci nie rozłączać się w dniach próby.

XIII.

K A R A W A N A .

Tego jeszcze wieczora wszystko było przygotowane do podróży; bukłaki napełniono wodą, zaopatrzone się w żywność i paszę, obejrzano uprzęże. Abdallah wybrał najsilniejsze wielbłądy i najpewniejszych przewodników, oraz dwunastu towarzyszy wypróbowanej odwagi, goniących za niebezpieczeństwem i walką. Każdy miał sobie za zaszczyt towarzyszyć synowi Yusufa: wejrzenie jego nakazywało szacunek, słowo chwyciło za serce. Zawsze gotów dobyć szabli, podać rękę pomocy i poświęcić się dla drugich, Abdallah był najdzielniejszym przywódcą, najtkliwszym przyjacielem; obok niego każdy czuł się tak spokojnym jak jastrząb szybujący pod obłokami, lub umarły spoczywający w grobie.

Hañiz całą noc spędził bezsennie, czyścił strzelby, probował prochu, odlewał kule, ostrzył szable i sztylety, a było to ulubione zajęcie jego, którego nigdy nie odstępował nikomu.

Jak tylko gwiazdy blednąć zaczęły na niebie, karawana ruszyła w pochód; na czele postępował Abdallah obok Omara, a na samym końcu Hafiz, czuwający nad wszystkiem, odzywający się często słowem nagany lub zachęty. Wielbłądy postępowały zwolna jeden za drugim, przewodnicy szli obok śpiewając. W środku karawany posuwał się powoli pyszny wielbłąd z rasy Omanów, przystrojony w złoto-lite materye i kosztowne pióra, niosąc na grzbiecie wspaniałą lektykę obitą złotogłowem i axamitem: był to ekwipaż przyszłej żony baszy. Dwunastu jeźdźców na przeslicznych rumakach otaczało lektykę; pierwsze promienie wschodzącego słońca łamały się różnobarwnie o srebrne kule ich siodel, damasceńską broń i czarne burnusy (*Abayas*), bogato haftowane złotem. Zaraz za lektyką posługacz Abdallaha prowadził jego wierzchowca; klacz ta była chlubą całego pokolenia, przedmiotem zazdrości i pożądania wszystkich Beduinów. Nazwano ją Gołąbką (*Hamama*), bo była tak biała, tak łagodna i tak szybkolotna jak ta królowa lasów.

Abdallah przybrany jak prosty wielbłądnik, szedł piechotą obok jadącego na mule Omara; w ręku trzymał długi kij śpiczasto okuty żelazem. Karawana przechodziła okolicę własnego pokolenia, nie było się więc czego obawiać, i obaj bracia mogli spokojnie rozmawiać o przeszłości; a gdy słońce zajaśniało w całej pełni i gorące powietrze zaczęło rozstrajać i ludzi i zwierzęta, syn Yusufa zbliżył się do pierwszego przewodnika, i poważnie powolnym głosem zaczął śpiewać jedną z tych pieśni osładzających utrudzającą i nudną podróż wśród stepów.

Sam Bóg tylko jest wielki!
 Kto jest Ten? co tu przed nami
 Wstrząsa ziemią, niebiosami,
 Zapala błyskawice i grzmi piorunami?
 Góry piasku roznosi na wiatrach w obłoki,
 W suche łożyska wylewa potoki?
 Kto jest Ten? pytasz drżącym wyrazem;
 A tu ci jednym głosem odpowiedzą razem
 Uragan, ziarnka piasku i deszczu kropelki:
 Sam Bóg tylko jest wielki.

Sam Bóg tylko jest wielki!
 Kto jest Ten? co w naglej zmianie
 Potężnie a niespodzianie,

Chwyta burze i burze topi w oceanie?
 Kto słońce stroi w jasne z chmur zasłony,
 Kto falami srebrnemi płucze brzeg zielony?
 Kto jest Ten? pytasz drżącym wyrazem,
 A na to jedną masz odpowiedź razem
 Z wiatru, i z ziemi naszej rodzicielki:
 Sam Bóg tylko jest wielki!

O cudowna, niepojęta potęga Imienia Bożego! Na odgłos tych pochwalnych pieni, zwierzęta nawet zapomniały o swoim znużeniu i pewnym postępowały krokiem, wielbłądnicy podnosili opuszczone głowy: dźwięk tych słów orzeźwił wszystkich jak krople ożywczej rosy. I nie dziw: moc duszy nadaje hart ciału, a dusza z Boga tylko czerpie swoją siłę.

Tak minął pierwszy dzień podróży; nazajutrz należało przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Hafiz najpierw udał się na zwiady, a gdy tylko księżyc zajaśniał na niebie, puszczono się w drogę postępując cicho i ostrożnie i wcześniej zatrzymano się na nocleg; następnych dni też samą zachowano ostrożność, aż nareszcie po dziewięciodniowej podróży, karawana ujrzała mury i wieżycę miasta Yambo.

XIV.

K A F U R .

Karawana niedługo bawiła w mieście; bryg z sułtanką i jej niewolnicą w przeddzień już wpłynął do portu, a że Omarowi śpieszno było do Dzeddah, więc po kilkunasto-godzinym wypoczynku w dalszą puszczono się drogę.

Kiedy stanęli w miejscu wylądowania, przyplłynął do brzegu mały statek i wysiadły z niego dwie kobiety, owinięte w szerokie czarne materyalne płaszcze (*habarah*); twarze ich osłaniały długie, białe, muślinowe zasłony (*burko*) spadające aż do nóg, i zwyczajem wschodnim oczy tylko widać było. Omar głębokim ukłonem powitał nieznajome i zaraz poprowadził je do oczekującej na nie lektyki. Na rozkaz Abdalaha dromader przykląkł; jedna z kobiet wskoczyła lekko i usiadła układając powabnym ruchem fałdy swój szerokiej sukni; druga niby poważnie zbliżyła się do lektyki, aż nagle,

zwracając się zerwała z siebie mantyllę i zasłonę, i zarzuciła je na głowę syna Mansura, obwijając mocno w około szyi, jak gdyby chciała go udusić; poczem zwinnie jak kot wskoczyła do lektyki, i ruchem małpki obracając się do Beduinów, wykrzywiła się pociesznie, śmiejąc się głośno z ich zadziwionój miny.

— Kafur, każę cię obić— zawołała głośno zakwefiona dama, wstrzymując się od śmiechu; ale niewolnica nie ulękła się groźby, ujęła się pod boki i wysadzając głowę przez drzwiczki lektyki, czekała tylko żeby Omar wywikłał się z krępujących go osłon, pokazała mu język i zaczęła przedrzeźniać.

Omar nie posiadał się ze złości, posunął się prędko ku owęj *istocie* co poważyła się lekceważyć go i znieważać szyderstwem, i postrzegł z niemalém zadziwieniem, że nie tylko Beduini ale sam nawet poważny Abdallah nie mógł wstrzymać się od śmiechu, wzruszeniem ramion wskazując mu wroga, nad którym niepodobna było szukać zemsty. Była to młodziutka, przerażająco brzydka murzynka. Twarz okrągła i płaska, maleńkie oczki prawie pozbawione białka, nos rozplaszczony, niemal nie odstający od policzków, przez który przeciągnięta była duża srebrna, poza usta spadająca obrączka; usta nadzwyczaj szerokie, zęby bielutkie jak u małego pieska, broda tatuowana niebiesko: oto wierny obraz młoděj niewolnicy. Aby lepiej uwydatnić brzydotę, poobwieszano ją kosztownościami i ozdobami. Na wierzchu głowy powiewał pęk piór z jakiejś jaskrawej papugi; włosy, czyli raczėj gęsta wełna pokrywająca jēj głowę, pozaplatana była w małe warkoczyki przetykane cekinami; w uszach, podziurawionych jak sito, wisiała niezliczona liczba kolczyków różnorodnej barwy i kształtów; na piersiach błyszczał pięciorzędny naszyjnik błękitno-emaliowany; najprzeróżniejsze bransolety aż po łokcie obciążały ręce, a na nogach, po nad kostką, błyszczały szerokie srebrne obręcze. Taką była Kafur, ulubienica pięknej Lelii.

Waryatom wszystko wolno; są to wybrańcy Boga: ciało ich błąka po ziemi, lecz dusza przebywa w niebie; to tóż z wyjątkiem Omara który żywą czuł do niěj urazę, cała karawana polubiła biędną murzynkę. Ani wąpili że nie była przy dobrych zmysłach; gadała i śmiała się nieustannie, nie oszczędzała nikogo i wygłaszała dziwaczne zdania.

I tak, dość długo przypatrywała się synowi Mansura, który nawpół leżąc na mule, postępującym tuż obok lektyki, otoczony swymi niewolnikami, palił tytuń perski w pięknej jaśminowej fajce; wypaliwszy podał ją jednemu z niewolników, a gdy tenże przeładował ją tytuniem, rozłoszczony Omar uderzył go w twarz. „Pani moja—zawołała Kafur — spojrzno na tego starowinę, co wsunął nogi w wielkie papucie a sam zatonął w ogromnej poduszce; to żyd: pani moja, miejmy się na baczności, za durosa obiliby nas, a za cekina sprzedałby pierwszemu lepszemu.” Lelia zaśmiała się serdecznie, a Omar zaczął się gniewać i wygrażać murzynce. Ani wątpić, Kafur widocznie cierpiała pomieszanie, bo nikt zdrów na umyśle nie nazywałby przecież starowiną i żydem człowieka, co piastry liczył na miliony.

Nieza długo przysłała kolej na Abdallaha, odbywającego właśnie przegląd karawany. Ślicznie mu było w wojennym stroju jaki przywdział obecnie, i oczy wszystkich zwracały się z upodobaniem na młodego przywódcę. Biały jego burnus drapował się w powiewne fałdy; u pasa błyszczały cyzelowane kolby pistoletów i srebrna rękojeść kindżała; zawój z czerwonej i żółtej materyi ocieniał oczy, uwydatniając zarazem blask i dumę wejrzenia. Jakże był piękny i zachwycający! wszystkie serca rwały się ku niemu, i sama nawet Gołąbka zdawała się być szczęśliwą i dumną ze swego pana. Co chwila podnosiła na wiatr swą prześliczną główkę, ogień tryskał z jej szerokich nozdrzy, a patrząc jak pędziła, zawracała się, osadzała w miejscu i znów puszczała galopem, zdawało się że jeździec i wierzchowiec jedną stanowili całość, jedną kierowali się wola. Gdy Abdallah zbliżył się do lektyki, jeden z wielbłądników rzekł do Kafury:

— Przypatrz się, młoda murzynko, i przyznaj sama że nigdy w pośród niezgrabnych Egipcyan lub w twoim Magrebie, nie widziałas tak pięknego ani tak szlachetnej postawy jeźdźca.

— Pani moja—rzekła Kafur pochylając się na kark wielbłąda—popatrz tylko na ten piękny strój, na tę powabną postać, śliczne, kończate, jakby utoczone palce i na te spuszczone oczy. Czyż nie spojrzysz na nas piękny ptaku?— wołała do młodego Araba. Eh! to kobieta przebrana, to dzie-

wica pokolenia... Wielbłądniku, zdejm ją z konia i wsadź do naszej lektyki, będzie to najwłaściwsze dla niej miejsce.

— Milcz, poganko— zawołał zniecierpliwiony Abdallah—trzebaż na kłódkę zamknąć ci usta, chcąc powstrzymać jadowity twój język.

— Nie myślę się—zawołała Kafur śmiejąc się głośno—to jakaś kobiecina; mężczyzna nie szukałby zemsty w znieważaniu kobiety. Chodźże, chodź, kochanko, kobiety winny się kochać wzajemnie. Tyś piękna, ja także, ale moja pani piękniejsza od nas: spojrz tylko.

Oko nieraz myśl uprzedza; Abdallah mimowolnie spojrział w lektykę, Kafur pochwyciła i uniosła zasłonę swój pani; przerażona Lelia rzuciła się w głąb lektyki i skutkiem szybkiego tego ruchu zasłona się rozdarła, a mantylla opadła z jej ramion. Piękna Lelia krzyknęła głośno, jedną ręką zasłoniła twarz a drugą uderzyła Kafurę, która żałośnie płakać zaczęła. Wszystko to jedną, krótką trwało chwilkę.

— Jakże ona piękna—pomyślał syn Mansura—musi być moją!

— Chwała Panu który stworzył tę istotę zachwycającą!—szepnął zcicha syn Yusufa.

Któż zdoła wypowiedzieć ile jedna chwila może zawierać w sobie rozkoszy lub boleści! Kto opíše jak cudna ta postać, co jak błyskawica błysnęła i znikła, przez oczy weszła do głębi duszy Abdallaha; karawana postępowała dalej, a on pozostał jakby przykuty do miejsca w którym objawiło mu się urocze to zjawisko. Lelia dawno już twarz swoją okryła znowu zasłoną, a jednak Abdallah oczyma duszy widział ciągle przed sobą zachwycającą postać uśmiechniętej kobiety. I zamknawszy oczy, widział mimowolnie czoło białe jak alabaster, policzki świeże jak róże rajy, włosy czarne jak heban i spadające w pierścieniach na szyję gazelli, jakby gałązki daktyla złożonemi obciążone gronami. I zdało mu się że te maleńkie koralowe usta przyzywają go słodko, że te cudne oczy błyszczące jak dyamenty wpatrują się w niego drżąc lubym blaskiem, jak fijołki poranną lśniące rosą. Uczuł że serce jego wyrwało mu się z piersi, wsparł głowę na dłoni i łzy zrosiły twarz jego.

Jednak karawana ciągle postępowała naprzód, i stary Hafiz zamykający pochód zbliżył się niebawem do swego siostrzeńca, a zdziwiony milczeniem i nieruchomością mło-

dego przywódcy, który stał jakby przykuty do miejsca, położył rękę na jego ramieniu, pytając:

— Czy się co stało? mój synu.

Abdallah drgnął jakby człowiek nagle z głębokiego snu zbudzony, i po chwili odpowiedział złamanym głosem: — Tak, mój wuju.

— Nieprzyjaciel blisko — zawołał kulawy i oczy mu zapalały — dostrzegłeś go zapewnie; chwała Bogu: kule zagrają!

— Nigdzie nie widzę nieprzyjaciela, wuju, inne grozi mi niebezpieczeństwo.

— Więc cóż się stało? dziecię moje — zapytał zaniepokojony starzec — możesz chory? masz trochę gorączki; powiedz: wszak wiesz że umiem leczyć.

— Nie jestem chory, mój ojcze, ale dajmy teraz temu pokój: powiem ci wszystko jak się zatrzymamy dla wypoczynku.

— Przerażasz mnie, synu mój, bo skoro ani niebezpieczeństwo ani gorączka nie jest powodem twego niepokoju, więc widać zła jakaś namiętność wstrząsa duszą twoją. O! strzeż się, synu méj duszy! z pomocą Bożą można odeprzeć zuchwałych, można przełamać gorączkę, ale jest wróg stokroć straszniejszy, z którym walka bardzo jest niebezpieczna a zwycięztwo bardzo trudne: wrogiem tym jest serce nasze.

XV.

HISTORIA SUŁTANA KANDAHARU.

Gdy karawana zatrzymała się dla wypoczynku, Abdallah poprowadził wuja na bok, aby pomówić z nim swobodnie. Kulawy zasiadł na swoim dywaniku i milcząc nakładał fajkę, a młody Beduin owinięty w swój długi burnus, położył się koło niego na ziemi i czas jakiś leżał tak nieruchomie; nareszcie pocałował rękę starca, mówiąc: „Wuju mój, błagam Boga o Jego pomoc i opiekę; co Bóg chce stać się musi: wszelka siła i wszechmocność w Nim spoczywa i od Niego pochodzi.” Poczém mocno wzruszonym głosem opowiedział staremu swoją przygodę.

— Synu mój — odrzekł pasterz — otóż jesteś ukarany za to że nie słuchałeś rad matki twojej i moich. Szczęśliwy,

kto powodowany jedynie żądzą przekazania potomkom nazwiska rodzica swego, wybiera sobie w własnym swoim pokoleniu cnotliwą i posłuszną żonę; biada temu, przeciwnie, kto serce swoje rzuca na łup cudzoziemce! Kobięta ta pochodzi z Egiptu, a czegoż dobrego spodziewać się można z téj ziemi niewoli? Od czasów Józefa wszystkie kobiety są tam zepsute, wiarołomne i zdradliwe, godne córki Zulejki (1).

— Ależ, wuju mój, tu nie ma żadnej zdrady: wypadek zrzucił wszystko.

— Mylisz się, mój synu: nie wypadek to bynajmniej kieruje postępowaniem tych podstępnych czarodziejek, wszędzie zastawiających swe sieci.

— Więc sądzisz że mnie kocha!—zawołał zrywając się młody Arab—o nie! to niepodobna!... Za dwa dni staniemy w Taifie... za dwa dni rozłączymy się na zawsze... a ja czuję że kochać ją będę do ostatniej życia chwili...

— Tak, ty zawsze kochać ją będziesz, a ona!... pierwsza błyskotka jaką otrzyma od swego nowego pana, zatrze zupełnie obraz twój w jej pamięci. I z serca twego zrobi sobie igraszkę, zabawkę, którą rzuci i złamie gdy ją bawić przestanie... Czyż zapomniałeś już co mówi Koran o kobiecie, o téj istocie niedoskonałej i zmienniej, wzrastającej wśród cacek i strojów (2)? „Rozumem kobiet—szaleństwo, a religią ich—miłość. Są one jak kwiaty które zachwycają oczy i rozkoszą upajają zmysły; ale ostrożnie, bo kwiaty te oddychają trucizną: biada temu co się do nich zbliży, wkrótce bowiem pod śmiertelnym legnie całunem.” O! zaufaj mojemu doświadczeniu; więcej daleko rodzin upadło przez kobiety niż przez wojny; a im męczyzna szlachetniejszy, tém większe grozi mu niebezpieczeństwo.

Posłuchaj, synu mój, opowiem ci historię sułtana Kandaharu. Był on prawowiernym, choć żył za czasów ciemnoty, zanim prawda islamu zajaśniała światu; był mędrcecm chociaż księżęciem. Chcąc zostawić dzieciom godne siebie dziedzictwo, układał zbiór wszelkich maksym będących objawem przezorności ludzkiej. Filozofowie indyjscy zebrali dla niego bibliotekę, która nie opuszczała go nigdy, chociaż do przenoszenia jej aż dziesięciu wielbłądów potrzeba było. „Zbierz-

(1) Tak nazywają Arabowie żonę Putifara.

(2) Koran XLIII, 17.

cie mi główną treść i zasady wszystkich tych umiejętności, rzekł raz król;—spełniono rozkaz, i pozostał tylko łądunek jednego wielbłąda. Ale i tego było za wiele; król wybrał kilku starych braminów którzy krócej jeszcze streścili te owoce długiego doświadczenia. I tak najpierw ułożono dziesięć tomów, później pięć, a nareszcie jeden tylko i księgę tę ofiarowano sułtanowi w futerale aksamitnym, nabijanym złotem. Monarcha ten długo panował, a świat i życie mało już miały dla niego tajemnic; wziął więc książkę i przeglądając zaczął wymazywać z niej wszystko to, co zwykle od razu zwraca uwagę ludzi. Co jest najniebezpieczniejsze dla synów moich? myślał sobie: nie chciwość, bo to przywara starców, nie ambicya i duma, bo dla księżąt są one cnotą. Zatem mogę wymazać wszystko co się do tego odnosi. Nareszcie trafił na ustęp o namiętnej miłości, i tu żywo uderzyła jego umysł prawda zawarta w pewnej przypowieści; rzucił więc księgę w ogień i jedną tylko wyczytaną w niej maxymę przekazał dzieciom swoim, nazywając ją kluczem skarbcza życia. A czy wiesz jaka była ta przypowieść?

KAŻDA KOBIETA JEST ZDRADLIWA, A NAJWIĘCEJ TA
KTÓRA KOCHA CIEBIE.

O wierzaj mi! synu mój, korzystaj z przypowieści przekazanej synom swoim przez tego sułtana, przezorniejszego niż Salomon, mędrszego niż prorok. Nie zapominaj nigdy że piękność kobiety, jest jak pochwa naszych pałaszy, pod błyszczącą powłoką śmierć kryjąca w sobie: nie zmierzaj do własnej zguby. Pamiętaj o Bogu, pamiętaj o twoich dawnych i prawdziwych przyjaciółach, i powiem więcej: miej litość nad matką twoją i nad starym Hafizem.

— Masz słusność, wuju mój—odrzekł smutnie Abdallah, i położył się, nakrywając głowę burnusem. Po raz pierwszy w życiu nie wierzył w prawdę słów wuja, po raz pierwszy w życiu zapomniał o czterolistnej koniczynie.

(Dokończenie nastąpi).

O BADANIACH

ROZBIORU WIDMA SŁONECZNEGO, ORAZ INNYCH CIAŁ NIEBIESKICH.

PRZEZ

J. Kowalczyka.

Rozliczne zjawiska światła były ciągle przedmiotem wielostronnych badań, które jednak tylko z wolna prowadziły do pomyślnych wypadków. W miarę ważności swojej stawały się osiągnięte wypadki źródłami dalszych poszukiwań, które bez względu na czas, jaki je od siebie dzielił, łączyły się z sobą w całość obejmującą coraz więcej praw tłumaczących zjawiska światła, i odkrywającą coraz więcej szczegółów wiodących do bliższego zbadania samej przyczyny tych zjawisk. Z pośród długich prac i wytrwałych usiłowań, których wynikiem jest obecnie wysoki stan całej nauki o świetle, wyróżniły się badania widma słonecznego, a w ślad za nimi także rozszerzenie tych badań do widma światła innych ciał niebieskich.

Od wieków spoglądał człowiek z podziwem na piękność barw, jakie rozciąga widok tęczy na niebie; długo patrzył on tylko, a nie mógł odgadnąć przyczyny czarującego zjawiska. Dopiero Newton takowe wytłumaczył i wykazał, że barwy tęczy są koniecznym następstwem rozkładu światła zwyczajnego, białego, na szereg barw, które w skład jego wchodzi; onto pierwszy umiał za pomocą szklanego pryzmatu wywołać grę tych barw tęczowych i tym sposobem wskazał nową drogę badań, która po upływie dwóch blisko wieków doprowadziła do wypadków, rzecz można zadziwiających.

Doświadczenie Newtona polega na przeprowadzeniu promieni zwyczajnego światła, przez pryzmat szklany ustawiony na kierunku, w którym te promienie przebiegają; jeżeli bowiem przez niewielki otwór, np. w okiennicy zrobiony, dostaje się światło słonecz-

ne do pokoju ciemnego, widzimy na przeciwległej ścianie biały obraz tego otworu; jeżeli atoli w bliskości otworu znajduje się szklany pryzmat i światło słoneczne wnikając do pokoju przez niego przechodzi, nie ujrzymy już na tém samym miejscu ściany białego światła, ale w niewielkiem zboczeniu dostrzeżemy jasny, podłużny obraz z barwami tęczowemi. Taki obraz za pośrednictwem pryzmatu szklanego wywołany i będący skutkiem rozkładu zwyczajnego światła słonecznego na tęczone barwy w skład jego wchodzące nazywa się widmem (spectrum) światła słonecznego. Przyczyna tego zjawiska tkwi w samym świetle, którego różnobarwne promienie tworzące razem światło białe przechodząc przez pryzmat szklany ulegają różnemu załamaniu, a więc po wyjściu z niego także różnemu zboczeniu od ich pierwotnego kierunku; pośrednictwo zaś pryzmatu przyczynia się jedynie do rozdzielenia od siebie tych różnobarwnych promieni, które w całości swojej tworzą pomienione widmo.

Na pierwszy rzut oka wydaje się widmo światła słonecznego nieprzerwanym szeregiem barw z wolna przechodzących jedna w drugą i zmieniających się kolejno w porządku następującym: czerwona, pomarańczowa, żółta, zielona, niebieska, indygo i fioletowa; po bliższém jednak przypatrzeniu się można dostrzedz zupełnie ciemne linje rozrzucone nieregularnie w odcieniach pojedynczych barw w kierunku poprzecznym widma. Te ciemne linje dostrzeżone najprzód przez Wollastona, a później przez Fraunhofera bliżej badane leżą zawsze w tych samych częściach widma, i zatrzymują zawsze jednakie względem siebie położenie, bez różnicy miejsca i czasu, w którym widmo się tworzy, oraz bez względu na to, czy światło pochodzi wprost od słońca, czy też dosięga pryzmatu jako światło słoneczne odbite od innych ciał ziemskich albo niebieskich.

Znaczenie tych linii ciemnych w widmie słonecznym było długo nie wytłumaczonym zjawiskiem i dopiero w półwieku przeszło po ich odkryciu, a mianowicie w roku 1859 odgadł Kirchhoff takowe i wyjaśnił naturę tych linii, które są najlepszym dowodem, że w świetle słonecznym do nas dochodzącem brakuje właśnie takich promieni, które mogłyby po przejściu przez pryzmat ukazać się na miejscu linii ciemnych. Sposób, który jedynie mógł prowadzić do wytłumaczenia obecności i znaczenia linii ciemnych w widmie słonecznym, wymagał porównania tego widma z widmem światła takich ciał ziemskich, których własności i skład chemiczny są dokładnie znane; w celu porównania potrzeba było najprzód wywołać światło ciał takich, a potem badać widmo tego światła. Jakoż Kirchhoff wraz z Bunsenem umieli skutecznie wykonać jedno i drugie zapomocą przyrządu, nazwanego spektroskopem, w którego skład wchodzi lampa wydająca światło, pryzmat szklany tworzący widmo tego światła, oraz lunety i inne części służące do jak najściślejszego badania tego widma.

Doświadczenia robione wykazały, że wszystkie chemicznym sposobem wywołane promienie gorejącej lampy wydają światło, którego widmo odmienné jest od słonecznego; dalej, że w razie gdy pomiędzy okiem a rozżarzoné ciałem wydającym światło znajdują się pary ulotnionych ciał ziemskich, widmo powstałe przedstawia linie ciemne; wreszcie, że na miejscu tych ciemnych linii tak pod względem liczby jak wzajemnego ich położenia występują w widmie linie jasne, gdy pomienione pary lub w ogólności gazy zapalają się i płoną. Dla bliższego zrozumienia rzeczy pomysłmy sobie światło rozżarzonych zapomocą prądu elektrycznego węgli, do których jest domieszana soda i z któremi równocześnie płonie; z tego światła skierowanego na pryzmat szklanny powstaje widmo nieprzerwane rozżarzonych węgli, a na niem jasna, żółta linia, która jest cechą sodu. Jeżeli atoli do lampy spektroskopu włożymy kawałek metalicznego sodu, wtedy takowy w skutek ciepła ulatniając się otacza lampę swoją parą, ta zaś pochłania to samo światło, które przedtém wydawała będąc w stanie płonącym; w taki sposób ujrzymy na widmie linią ciemną na tém samym miejscu, gdzie była wprzód żółta jasna. Te jasne linie w widmie światła ciał ziemskich są tak osobliwą ich cechą jak linie ciemne w widmie słoneczném.

Nie ulega wątpliwości, że słońce jest ciałem, którego wewnętrzna część bez względu na to czy ona jest stałą, płynną, czy gazową, jest główném źródłem światła i że taż wewnętrzna część otoczona jest rozżarzoną atmosferą, która również jest świecąca ale w niższym stopniu. (Idyby w téj atmosferze słońca nie było takich części składowych, które pochłaniają światło, wtedy widmo słoneczne przedstawiałoby tylko szereg barw tęczyowych nie poprzerrywanych żadnemi liniami ciemnemi; ale gdy rzecz się ma przeciwnie, przeto najbliższym wnioskiem, jaki co do linii ciemnych widma słonecznego wyprowadzić się daje jest to, że też linie są skutkiem pochłonięcia niektórych promieni światła słonecznego przez gazy wchodzące w skład atmosfery słońca. Ale! jakież to są gazy i jaka ich natura? Równoczesne porównanie linii jasnych w widmie ciał ziemskich ulotnionych i świecących z liniami ciemnemi dostrzeżanemi w widmie światła słonecznego wykazało, że różnym liniami ciemnym odpowiadają jasne linie widma różnych ciał ziemskich, że zatem w atmosferze słońca znajdują się te ciała ziemskie, których widmo przedstawia właściwą im grupę linii jasnych, gdyż tylko te ciała a nie inne w stanie ulotnionym a nieświecącym mogą na odwrót w miejscu linii jasnych wywołać ciemne przez swoją im właściwą siłę pochłaniania światła.

Badania Kirchhoffa doprowadziły przeto nietylko do wyjaśnienia linii ciemnych widma słonecznego, ale oprócz tego wykazały że w atmosferze słońca znajdują się pierwiastki chemiczne napotykanne na ziemi. Pierwiastki wchodzące według badań Kirchhoffa w skład atmosfery słońca są: wodor, sod, magnez, żelazo, wapno,

nikiel, chrom, miedź, cynk, baryt, i prawdopodobnie stront, kobalt i kadm.

Ważność odkrycia i sposób robienia spostrzeżeń, które doprowadziły do takich wypadków da się dopiero godnie ocenić z dalszych badań, jakie w ostatnich latach robiono nad widmami światła różnych ciał niebieskich; rozbiór bowiem widma światła tychże ciał utworzył, można powiedzieć, nową gałąź astronomii, rozciągając prawa chemii i fizyki do ciał niebieskich, a więc do tych przedmiotów, od których mieszkaniec ziemi nie odbiera żadnych innych wskazówek mogących potwierdzić lub sprostować domysły o ich naturze, oprócz jedynéj i wyłącznéj wskazówki, jaką jest światło od tych ciał do oka naszego dochodzące. To światło staje się przy pomocy rozbioru widma jedynym zwiastunem tych rozlicznych i najodleglejszych światów, o których przedtém nawet z pomocą wielkich teleskopów bardzo mało mieliśmy wiadomości pod względem ich własności, jakimi się częstokroć pomiędzy sobą różnią.

W dalszym ciągu zastanowimy się zatem nad badaniami widma, jakie przedstawia światło różnych ciał niebieskich. Z pośród prac na tém polu dokonanych są najgłówniejsze Huggins'a i Millera, lubo oprócz tych dwóch badaczy są jeszcze inni, jak Donati, Janssen, Secchi, którzy tym przedmiotem bliżej się zajmowali, a nawet Secchi w niedawnym czasie ogłosił wypadki swoich licznych spostrzeżeń w rocznikach Collegium romanum. W reszcie nadmienić wypada, że to nowe pole badań niedawno dopięro stanęło otworem, oraz że wymaga znacznych środków, jakimi nie każdy, nawet chcący, rozporządzać może, i dlatego jeszcze wiele pozostawia miejsca, gdzieby daleko większa liczba badaczy znaleźć mogła odpowiednie stanowisko działania.

Stosownie do źródeł, z których światło pochodzi, przedstawiają także widma pod wielu względami znaczne różnice pomiędzy sobą; wszystkie jednak rozdzielić się dają na trzy główne rodzaje. Do pierwszego należą widma, które bez względu na grę barw, jaką przedstawiają, nie są poprzerywane żadnemi ciemnymi ani jasnymi liniami. Jeżeli np. w lampie spektroskopu umieścimy węgle i rozżarzymy je prądem elektrycznym do białości, światło tych węgli skierowane na przyrząd szklany przedstawi widmo własności pomienionych. Podobne widmo wydałoby żelazo, wapno, albo magnez w stanie rozżarzenia. Widma pierwszego rodzaju powstają z rozkładu światła pochodzącego od ciał nieprzezroczystych i nie przyczyniają się wcale do wykrycia chemicznej natury rozżarzonych ciał, które światło wydają.

Drugi rodzaj obejmuje widma, na których występują oddzielone od siebie linie jasnych barw, dające się z łatwością odróżnić na tle ciemném; takie linie jasne są wyłącznemi cechami pojedynczych ciał, których światłem wywołane zostały. Badania tego rodzaju widma przekonały, że ciała wydające światło, którego widmo w ten sposób się przedstawia, są w stanie gazowym płonącym, czyli świecącym. I tak srebro przeprowadzone w stan pary

plonącej wydaje światło, którego widmo przedstawia linie jasne, zielone; sod domieszany do rozżarzonych węgla wywołuje widmo z liniami jasnymi, żółtymi. Przez porównanie widma takich ciał ziemskich z widmem światła jakiego nieznanego ciała, można wykryć czy w takowym znajdują się pierwiastki ziemskie.

Do trzeciego rodzaju należą widna poprzerywane w odcieniach różnych barw liniami ciemnymi, które pochodzą z tego samego źródła, co światło, na którego widmie się pokazują. Te linie ciemne są dowodem, że światło rozchodząc się z swojego źródła przechodzi przez pary, które pochłaniają niektóre jego promienie i nie pozwalają im wraz z innymi dosięgać naszego oka. Oprócz słońca przedstawiają także gwiazdy tego rodzaju widma.

Ponieważ planety, nawet tak wielkie jak Jowisz, oraz gwiazdy stałe i w ogólności wszystkie ciała niebieskie w porównaniu ze słońcem wydają bardzo słabe światło, przeto wszelkie badania widma ich światła nasuwają daleko więcej trudności i wymagają znacznie większych środków pomocniczych, aniżeli przy widmie słonecznym. Do skoncentrowania światła ciał niebieskich wypada użyć prawie największych dzisiaj lunet; Huggins, który przez kilka lat podobnymi obserwacjami się zajmował, używał lunety blisko sześć łokci długości mającej. Wielkie jej szkło przedmiotowe zgromadzało światło ciał niebieskich w ognisku jako punkty bardzo jasne i ograniczone; spektroskop Huggins'a był także odpowiednio zastosowany i wszystkie obserwacje były oparte na bezpośrednim i równoczesnym porównaniu widma ciał ziemskich z widmami światła ciał niebieskich. Nie wchodząc w szczegóły środków i sposobów, jakich używał Huggins wraz z Millerem do badań widma różnych ciał niebieskich, przytoczyny w dalszym ciągu osiągnięte wypadki.

Księżyc i planety. Ponieważ te ciała nie mają własnego światła, jak słońce i gwiazdy stałe, ale błyszczą odbiciem światłem słonecznym, przeto widma takiego ich światła są podobne do widma słonecznego, i odmianę od tegoż o tyle stanowią, o ile światło które im słońce przesyła, przechodząc przez atmosferę tych ciał zmianie ulega.

Co do księżyca wykazały obserwacje Huggins'a i Millera same ujemne wypadki. Różne części tarczy księżyca dawały także różną ilość światła, nie dostrzeżono jednak najmniejszej zmiany w liniach widma badanych części, ani co do względnej ich mocy, ani co do znikania lub pojawiania się linii. Widmo światła księżycowego nie wykazało najmniejszych śladów atmosfery księżyca. Spostrzeżenie pod tym względem robione bardzo się nadawało do wykrycia najmniejszych nawet oznak atmosfery, gdyby jaka otaczała księżyc; blisko bowiem jego tarczy znajdowała się dosyć duża gwiazda stała (ϵ Piscium) i to właśnie wtedy, gdy tylko część tarczy księżyca była oświetlona, a gwiazda pomieniona miała być zakrytą przez ciemny brzeg tej tarczy. W chwili bliskiej zakrycia gwiazdy przez ten brzeg ciemny, badał Huggins widmo gwiazdy;

lecz ślady atmosfery księżyca niczem się nie objawiły. Gdyby jaka atmosfera otaczała księżyc, która mogłaby bądź przez właściwe sobie części składowe, bądź też przez pierwiastki z temi częściami pomieszane, pochłonać jaką część światła gwiazdy, wtedy na widmie tejże pokazałyby się ślady takiego pochłonięcia przez wystąpienie linii ciemnych bezpośrednio przed zakryciem gwiazdy. Wreszcie gdyby nawet atmosfera księżyca nie miała w ogólności żadnej siły pochłaniania niektórych promieni światła, musiałaby przecież posiadać pewną, chociażby bardzo małą gęstość, inaczej nie zasługiwałaby nawet na nazwisko atmosfery; a wtedy przy samym zakryciu gwiazdy, więc w chwili, gdy jej światło dla naszego oka zupełnie znika, całe widmo tej gwiazdy nie mogłoby odrazu wraz z samym światłem zniknąć, lecz jego niebieskie i fioletowe promienie musiałby zniknąć później, aniżeli czerwone; wszelako całe widmo gwiazdy znikło tak równocześnie i w jednej chwili jak sama gwiazda zakrywszy się za ciemny brzeg księżyca.

Pod względem atmosfery wykazało bardzo świetne widmo planety Wenus, na którym ciemne linie nader wyraźnie występują, że takowa co do składu swojego ma pewne podobieństwo do atmosfery ziemskiej.

Widma planet Jowisza i Saturna są oprócz różnicy jasności, jaką zresztą w samym świetle tych planet dostrzegać się daje, do siebie podobne, i na nich występują osobne linie ciemne jako oznaki pochłaniającej światło atmosfery, podobnej do atmosfery ziemskiej, lubo inne jeszcze ciemne linie, które się pokazują na widmach pomienionych planet, prowadzą do wniosku, że w atmosferze ich znajdują się gazy albo pary takich pierwiastków, których w ziemskiej atmosferze nie ma wcale. W widmie Marsa zauważono kilka grup linii wyłącznic jemu właściwych, które zdają się być w związku z czerwoną barwą planety.

Gwiazdy stałe. Rozbór widma gwiazd stałych jako mających własne światło, daleko więcej niż przy planetach, wykazał szczegółów cechujących naturę tych ciał i pod tym względem przewyższył wszelkie teleskopy, które niezaprzeczenie wielkie usługi czynią, gdy chodzi o wyznaczenie położenia gwiazd, lub o wyszukiwanie bardzo małych a raczej słabym światłem błyszczących przedmiotów na niebie; lecz co do samej ich natury wcale nic wykazać nie są w stanie. Przypuszczenie, że gwiazdy stałe są prawdziwymi słońcami, otoczonemi szeregiem planet podobnie jak w układzie słonecznym, było niczem więcej nie popartą analogią; dopiero rozbiór widma tych gwiazd zdołał postawić pewniejsze na to dowody. Huggins badał przeszło 60 gwiazd stałych większych, które na pierwszy nawet rzut oka blaskiem swoim nader wyraźnie od innych się odróżniają. Widma tych gwiazd wykazały w rzeczy samej wielkie podobieństwo do słonecznego, a pod względem wewnętrznego składu naprowadziły na wniosek, że gwiazdy stałe mieszczą w sobie wiele pierwiastków wspólnych słońcu i ziemi; wszelako niektóre z badanych gwiazd przedstawiały nader odmienne od innych

widmo świadczące także o obecności odmiennych pierwiastków. Dla bliższego poznania tego przedmiotu przytoczymy kilka przypadków, mogących dać lepsze o rzeczy wyobrażenie.

Widmo gwiazdy Aldebaran (α Tauri) i Beteigeuze (α Orionis) badane ściśle przedstawiło znaczny szereg linii ciemnych, z których blisko po 80 w każdym widmie dokładnie mierzono. Z temi widmami porównane równocześnie widma płonących ciał ziemskich, na których jak z poprzedzających uwag wiemy, występują linie jasne pojedynczym ciałom właściwe, dały poznać jakich ciał linie jasne schodzą się z ciemnymi liniami widma gwiazd pomienionych. Jakoż z porównania okazało się, że z ciemnymi liniami widma Aldebarana schodzą się linie jasne: wodoru, sodu, magnezu, wapna, żelaza, bizmutu, telluru, antymonu i rtęci; te zatem pierwiastki ziemskie uważać można także za pierwiastki w mowie będącej gwiazdy lub atmosfery ją otaczającej. Porównanie widma drugiej gwiazdy, t. j. Beteigeuze z widmami światła płonących ciał ziemskich wykryło zgodność linii ciemnych z jasnymi liniami: sodu, magnezu, wapna, żelaza, bizmutu, które zatem poczytać wypada za pierwiastki tej gwiazdy, albo jej atmosfery.

Wynik tych porównań nie opiera się na zgodności tylko pojedynczych linii, ale przeciwnie na zgodności większej ich liczby grupami pojawiającymi się w różnych częściach widma; rozumie się przytém, że słabe światło gwiazd nawet wielkich lubo przedstawia szereg znaczny linii ciemnych, wszelako nie pozwala wszystkich porównać z liniami jasnymi ciał ziemskich, i z tego powodu można przyjąć z wielkiem podobieństwem do prawdy, że więcej zgodnych z sobą linii wykazałyby porównywane widma, gdyby temu nie stało na przeszkodzie słabe światło gwiazd, pozwalające tylko wyraźniej przedstawiające się linie poddać ściślejszej obserwacji. Wreszcie wiele z tak znacznej liczby linii ciemnych, jakie występują na widmach gwiazd stałych, można przypisać nie tylko takim pierwiastkom ziemskim z którymi porównane nie były, ale także pierwiastkom nieznanym na ziemi i będącym wyłącznymi częściami składowymi gwiazd, albo ich atmosfery; takimi mianowicie częściami, które odpowiadając fizycznym warunkom całości, w której skład wchodzi, mogłyby tworzyć związki odmienne od ciał ziemskich i nadać tym odległym od nas światom charakter odrębny.

Z porównania widma innych gwiazd przytoczymy tu jeszcze następujące:

Sirius (α Canis majoris) ma pierwiastki: sod, magnez, żelazo i wodor.

Wega (α Lyrae), sod, magnez i żelazo.

Pollux (β Germinorum), sod, magnez i żelazo.

β Pegasi, sod, magnez i prawdopodobnie baryt.

Badania widma gwiazd stałych przyczyniły się także do wytłumaczenia różnych barw, jakie na pierwszy rzut oka dostrzegać się dają na wielu gwiazdach, osobliwie zaś wielkich. Przy pięknym pogodzie można z łatwością zauważyć, że niektóre z gwiazd nie

błyszczą czysto białym światłem; lecz przeciwnie jedne z nich mają światło czerwone, u innych zaś światło przybiera barwę pomarańczową albo żółtą. Takie gwiazdy uważane za pomocą lunety jeszcze wyraźniej stwierdzają odmienność barwy swojego światła od innych, i częstokroć w bliskości swojej mają mniejsze i słabsze światłem błyszczące gwiazdy barwy niebieskiej, zielonej albo fioletowej. Zastosowanie rozbioru widma do takich gwiazd doprowadziło do wniosku, że w wszelkiem prawdopodobieństwem wszystkie gwiazdy wydają światło białe, lecz że takowe zmienia swoją barwę dopiero w dalszém rozchodzeniu się, osobliwie przy przejściu przez atmosferę, która te gwiazdy otacza i nie wszystkie promienie wchodzące w skład światła białego w jednakiem mierze pochłania. Z badań ściągających się do barwy gwiazd przytaczamy wypadki rozbioru widma Siriusa, oraz gwiazd α Herculis i β Cygni.

Sirius jest gwiazdą w naszych okolicach nieba najświetniejszą i w czasie pogodnym, gdy już znacznie wzniesie się nad poziom, ma światło, które uważać można za typ białego światła gwiazd. Widmo Siriusa podobnie jak innych gwiazd białym światłem błyszczących przedstawia wprawdzie wielką liczbę linii ciemnych, lecz takowe są bardzo delikatne i słabe, oraz z małemi wyjątkami tak na całym widmie rozrzucone, że w ogólności odmiennie pierwotnej białości gwiazdy nie są w stanie. Na całym widmie Siriusa dostrzegać się dają tylko cztery mocniejsze linie ciemne, z których dwie wykazują wodor jako jego część składową. Podobne widma przedstawiają inne gwiazdy białym światłem błyszczące.

Gwiazda α Herculis jest podwójną; większa z tej pary gwiazd ma światło pomarańczowe. Widmo tejże przedstawia w odcieniach barwy zielonej i niebieskiej, a nawet czerwonej mnóstwo bardzo wyraźnych linii ciemnych, gdy tymczasem odcień pomarańczowy i żółty prawie w zupełności swój blask pierwotny zatrzymuje i nadaje światłu gwiazdy przeważnie barwę pomarańczową.

Gwiazda β Cygni jest także podwójną i w wielkiej lunecie występuje przeciwieństwo barw bardzo wyraźnie w obu pojedynczych gwiazdach tę parę stanowiących, z których jedna większa jest barwy pomarańczowej, druga zaś mniejsza barwy niebieskiej; lecz dopiero widma obu tych gwiazd wykazują przyczynę takiej odmiany ich światła. Gwiazda bowiem większa pomarańczowem światłem błyszcząca przedstawia widmo, na którym linie ciemne występują najliczniej i najwyraźniej w odcieniach promieni niebieskich i fioletowych, gdy tymczasem odcień pomarańczowy ma nie wiele słabych linii ciemnych i z tego względu przeważa w świetle gwiazdy sprawiając na oku naszym wrażenie światła pomarańczowego. Na widmie drugiej gwiazdy dostrzegać się dają linie ciemne w bardzo znacznej ilości w odcieniu promieni żółtych, pomarańczowych i w części czerwonych, w odcieniu zaś niebieskim jest ich najmniej; ta też barwa przeważa w świetle gwiazdy.

Zastanawiając się nad takim wynikiem rozbioru widma gwiazd stałych, mimowoli niemal nasuwa się pytanie, co jest powodem tak

rozlicznych objawów światła tych gwiazd? Bez względu na to, czy gwiazdy są ciałami stałymi, czy płynnymi, czy więcej lub mniej różnią się od naszego słońca, zdaje się być pewnym, że jako źródła światła, które od nich odbieramy, są materią do białości rozżarzoną. Światło od nich wszystkich wychodzące, można jak się wyżej rzekło, uważać z wszelkiemi prawdopodobieństwem za światło białe; a co się tyczy różnej barwy gwiazd, o której badania widma tak przekonujące dają dowody, nie pozostaje nic innego jak tylko uciec się do sposobu podobnego, jak przy tłumaczeniu linii ciemnych widma słonecznego.

Jak przy słońcu pochłanianie promieni światła, które do nas nie dochodzą i w widmie przedstawiają szereg ciemnych linii przypisałimy jego atmosferze, tak w gwiazdach podobne zjawisko przeczytać należy także za wpływ ich atmosfer, które bez względu na swój skład chemiczny muszą posiadać siłę pochłaniania niektórych promieni i nie pozwalają im dostać się wraz z innymi do naszego oka. Barwa zatem gwiazd stosować się musi do tych promieni, które w mniejszym stopniu ulegają pochłanianiu ich atmosfer i w większej liczbie do nas dochodzą.

Powyższemu sposobowi tłumaczenia różnej barwy gwiazd zrobiłby może kto zarzut, że sięga zbyt daleko a nie uwzględni wpływu atmosfery ziemskiej, która przecież widocznie zmienia barwę księżyca, słońca, i gwiazd, gdy takowe znajdują się blisko poziomu i pokazują się przeważnie w świetle barwy czerwonej. Na taki jednak zarzut odpowiedź nietrudna; bo jakkolwiek nie można odmówić atmosferze ziemskiej, osobiwie w bliskości poziomu, wpływu wywołującego zmianę barwy światła ciał niebieskich, wszelako, byłoby to z dokładnymi badaniami widma w sprzeczności, gdyby ten wpływ rozciągnąć chciano do wszystkich objawów światła, jakie się w widmach różnych ciał niebieskich przedstawiają. Gdyby bowiem atmosfera ziemska miała wyłączny wpływ na zmianę barwy światła gwiazd, widma tychże badane w różnych stanach atmosfery i na różnych miejscach ziemi musiałyby koniecznie być od siebie odmiennymi, a przecież takiej zmienności widma zależnej od pomienionych okoliczności nie dostrzeżono nigdzie. Oprócz tego gdyby atmosfera ziemska miała taki donośny wpływ na zmianę barwy gwiazd, takowe znajdując się pod tym wpływem musiałyby pod względem barwy swojego światła ulegać jednakię zmianie, a więc nie byłoby także dostatecznego powodu, dlaczego jedna gwiazda miałaby się przedstawiać w świetle białem, druga w pomarańczowem a inna w niebieskiem. Różność zatem barwy gwiazd koniecznie odnieść potrzeba do dalszych przyczyn, o których wyżej była mowa, to jest do siły pochłaniania niektórych promieni światła przez atmosfery, którymi gwiazdy są otoczone.

Gwiazdy zmienne. Ze zjawisk jakie w świetle gwiazd stałych spostrzegać się dają, nader osobiwemi są peryodyczne zmiany blasku, którym ulega światło wielu gwiazd nazywanych zwykle zmiennymi. Spostrzeżenia astronomiczne wykazały, że takie gwia-

zdy świecą raz mocniejszym, drugi raz słabszym blaskiem, i że ta zmiana odbywa się w pewnych granicach, oraz w pewnych, różnym gwiazdom właściwych, przedziałach czasu. Uważając pilniej blask gwiazd zmiennych nie trudno dostrzedz, że takowy od swojej najmniejszości dochodzi zwolna po upływie pewnego czasu do największości, od której znowu maleje i przechodząc naodwrot wszystkie stopnie przemiany dosięga swojego największego blasku. Takie zjawiska są pomiędzy gwiazdami nie rzadkie, ale cóż może być ich powodem? Albo chemiczna przemiana, której gwiazda ulega, albo obecność innego ciała ciemnego, zatem dla nas niewidzialnego, które powstrzymuje promienie gwiazdy lub też przez atmosferę swoją pochłania i nie dozwala im dostać się do naszego oka. Badania widma takich gwiazd zmiennych robione w różnych peryodach blasku wykazały tę uwagi godną okoliczność, że w liniach ciemnych widma zachodzi zmiana, te linie bowiem nie zawsze jednak i w tej samej liczbie się pojawiają. Gwiazda Beteigeuze (α Orionis), która jest zmienna, ale w małym stopniu, była w lutym roku 1866 w największym swoim blasku; na widmie jej w tym czasie uważanem nie dostrzeżono jednak linii ciemnych, które przed dwoma laty wyraźnie występowały i bardzo dokładnie mierzone były. Porównanie zatem widma tej samej gwiazdy zmiennej w różnych peryodach jej blasku jest nader ważną rzeczą, gdyż w razie stwierdzenia zmiany linii w różnych czasach na widmie występujących, można dopiero odgadnąć możliwą przyczynę w mowie będącego zjawiska.

Oprócz gwiazd zmieniających zwolna blask swojego światła, o których właśnie była mowa, są jeszcze inne, które z zadziwiającą, powieścić można, szybkością tę zmianę odbywają; są to tak zwane gwiazdy nowe. Takie gwiazdy jaśnieją na niebie częstokroć tak szybko wzmagającym się blaskiem, że zawsze były uważane jako zjawiska nadzwyczajne. Lecz pomimo to nie były one nowemi gwiazdami w ścisłym znaczeniu tego słowa, gdyż ich blask przemięjał zwykle z taką szybkością, z jaką się wzmagał, poczem gwiazdy wracały znowu do dawnego swojego stanu i pozornie ginęły dla oka nieuzbrojonego, przywykłego tylko większe przedmioty na niebie rozróżniać; przy pomocy jednak lunet takie gwiazdy były przed swoją krótkotrwałą świetnością i po takowej widziane, o czém mogą przekonać spostrzeżenia astronomiczne, z których położenie niektórych takich gwiazd częstokroć daleko pierwój było wyznaczone. Niektóre z gwiazd nowych przewyższają blaskiem swoim najświetniejsze ciała niebieskie, jakimi są Sirius, Wega, Jowisz, i dosięgają nawet blasku planety Wenus w jej największej świetności. Taką była gwiazda w konstellacyi Kassyopei w r. 1572 za czasów astronoma Tycho de Brahe, który ją obserwował; lecz po siedmiu miesiącach zmaląła do tego stopnia, że gołym okiem dostrzeżoną być nie mogła. W r. 1604 pojawiła się także podobna gwiazda w konstellacyi węży i jaśniała mało co słabszym blaskiem od poprzedzającej; po piętnastu jednak miesiącach gołe oko dostrzedz jej

nie było w stanie. W nowszych czasach pojawiły się dwie takie nowe gwiazdy; jedna w r. 1845, a druga w r. 1866, które postradawszy swój blask przemijający zeszedły do rzędu gwiazd 10^{ej} i 11^{ej} wielkości, a więc stały się z świetnych gwiazd bardzo małymi gwiazdkami, które dopiero przy pomocy dobrej kilkstopowej lunety można dostrzedz.

To osobliwe zjawisko tłumaczono dawniej w różny sposób. Tycho de Brahe uważał takie gwiazdy za nowe rzeczywiście twory zwiększające niezmierną liczbę już istniejących ciał niebieskich; Riccioli mniemał, że podobne gwiazdy tylko jedną swoją połową świecą, a druga jest ciemna, i że stają się widzialnymi wtedy, gdy Stwórca nagle ziemię ku nim zwróci połową obrotu; późniejsza hipoteza utrzymywała, że gwiazdy takie z chyżością przewyższającą nawet chyżość światła zbliżają się na raz z takiej odległości, w jakiej ginie ich światło i nie może tym samym sprawić wrażenia na nasze oko, aż dopiero po znacznym zbliżeniu się do nas gwiazdy.

Nie zastanawiając się bliżej nad temi hipotezami przejdźmy do nowszych sposobów badania takich gwiazd, t. j. do rozbioru widma ich światła. Powyżej nadmieniliśmy, że w ostatnich latach, a więc już wtedy, kiedy badania widma wytłumaczyły nie jedno trudne zjawisko światła, pojawiła się także nowa gwiazda, a mianowicie w maju r. 1866 w konstelacji Korony północnej i blaskiem swoim dorównała Perle Korony (*Gemma*, α *Coronae borealis*), największej z gwiazd tę gromadę tworzących. Położenie tej gwiazdy za pomocą obserwacji astronomicznych wyznaczone przekonywa że już daleko pierwej była widziana, ale jako mała, gotém okiem niedostrzegalna gwiazdka. W czasie wielkiego blasku gwiazdy uważali Huggins i Miller niejednokrotnie widmo jej światła i przekonali się o nader ciekawej jego postaci; takowe bowiem przedstawilo się jako widmo podwójne, mieszane, na którym równocześnie występowały linie ciemne, podobnie jak na widmach gwiazd i słońca, a oprócz nich cztery linie jasne. Pomnąc na warunki, w jakich powstają jedne i drugie linie widma, nietrudno przyjsć do wniosku, że światło gwiazdy w mowie będącej wypływało z dwóch źródeł. Widmo bowiem ciemnymi liniami poprzerywane wykazuje, że światło gwiazdy pochodząc od materji rozżarzonej, stałej lub płynnej, przebywać musiało podobnie jak przy słońcu i innych gwiazdach atmosferę gazów otaczających gwiazdę i mających znacznie niższą ciepłotę; te też gazy pochłaniając wielką liczbę promieni światła spowodowały wystąpienie linii ciemnych. To zatem widmo z liniami ciemnymi stwierdziło zupełne podobieństwo własności gwiazdy z słońcem i innymi gwiazdami. Lecz na widmie gwiazdy pokazały się równocześnie linie jasne, i światło, które je wywołało, musiało mieć inne źródło, aniżeli to, którego widmo poprzerywane jest liniami ciemnymi. Tém zaś osobnem źródłem musiało być światło płonących gazów, pomiędzy któremi, jak przekonaly dwie główne linie jasne, wodor odgrywał ważną rolę. Wreszcie wielki blask wszystkich linii jasných jest dowodem, że gazy płonące miały

daleko wyższą ciepłotę, aniżeli atmosfera gwiazdy. Zastanawiając się nad temi objawami widma, jak również nad szybkością, z jaką zmieniał się blask gwiazdy, który w ciągu dwunastu dni zmalął do tego stopnia, iż wielka i świetna przedtém gwiazda, stała się małą i gołym okiem niedostrzegalną, można nieomal z zupełną pewnością, że gwiazdę ogarnęły nagle płomienie gorejącego gazu wodorowego. Gwiazda sama mogła być miejscem jakiejś gwałtownej katastrofy połączonej z nadmiernym wywiązaniem się gazów, których wielką część stanowił wodór, i ten płonął łącznie z innymi pierwiastkami znajdującymi się na powierzchni gwiazdy. Gazy płonące wydawały światło, którego cechę stanowiły linie jasne widma, a oprócz tego podniosły ciepłotę rozżarzonej już materii i tém samem zwiększyły jej światło oraz blask gwiazdy. W miarę stopniowego zużywania się gazu wodorowego w tym procesie płomienia zmniejszały się płomienie ogarniające gwiazdę, która wraz z atmosferą otaczającą ją utracala swój blask i wracała do dawnego stanu. Nie należy przytém mniemać, że przypuszczalna katastrofa, o której co mówiliśmy, odbyła się równocześnie z pojawieniem się wielkiego blasku gwiazdy; mogła ona daleko wcześniej się odbyć a nawet już wtedy przeminąć, kiedy o niej ziemia za pośrednictwem światła odebrała wiadomość. Bo jakkolwiek światło jest nader szybkim zwiastunem każdego zdarzenia wywołanego siłą ognia, przecież także potrzebuje czasu do przebycia przestrzeni; a czas ten w miarę odległości gwiazd od ziemi może liczyć się nie na dni, ale lata, i blask gwiazdy, który dla nas był nowym, mógł w rzeczy samej daleko wcześniej powstać i przeminąć, a odnośnie do źródła, z którego pochodził, mógł już należeć do bardzo dawnych zdarzeń.

Gwiazdy mgliste. Skoro rozbiór widma okazał się tak dzielnym środkiem badania światła ciał niebieskich, zastosował go Huggins do innych jeszcze ciał, jakie na niebie się pojawiają. Takimi ciałami są gwiazdy mgliste czyli mgławki, przedmioty słabo błyszczące i dające się nawet przy pigknęj pogodzie z bardzo małemi wyjątkami dopiero zapomocą lunet rozróżnić; wtedy wydają się jakby małe, słabem światłem olśnione obłoczki, które w mocniejszych lunetach wykazują rozliczne kształty, jakimi oprócz względnej wielkości różnią się pomiędzy sobą. Mgławki rozrzucone są po wszystkich okolicach nieba i od czasu wynalezienia, oraz stopniowego ulepszenia lunet stały się ważnym przedmiotem astronomicznych spostrzeżeń. Zapomocą wielkich lunet bowiem można się przekonać, że jedne z tych ciał niebieskich są zbiorowiskiem pojedynczych bardzo małych i obok siebie błyszczących gwiazdek, czyli że są tylko gromadkami albo kupkami gwiazd; drugie zaś mgławki uważane nawet przez największe dotąd używane teleskopy, zawsze przedstawiają się jako obłoczki słabo błyszczące i w tych nie można dostrzedz żadnego śladu, iż się składają z gwiazdek obok siebie bardzo blisko położonych. Wszelkie teleskopy bez pomocy rozbioru widma tych odrębnych na niebie ciał, nie

wykazały niczego pod względem ich natury. W. Herschel, który bardzo wiele zajmował się podobnemi przedmiotami, utrzymywał, że obłoczki są częściami materji pierwotnej, z której powstały inne gwiazdy, oraz że przy ścisłych i ciągłych badaniach możebną będzie rzeczą rozpoznać w nich niektóre z przemian, jakim uległo słońce, planety i gwiazdy stałe, zanim z błyszczących obłoczków stały się takimi, jak są obecnie, ciałami.

Zobaczmy teraz co wykazały spostrzeżenia Huggins'a, który od r. 1864—1866 badał widmo światła przeszło sześćdziesięciu mgławek. tak gromadek gwiazd jak obłoczków. Za pierwszy przedmiot swojego badania w sierpniu r. 1864 obrał on mały, ale stosunkowo do innych wyraźnie błyszczący obłoczek w konstellacji Smoka; widmo światła tego obłoczka przedstawiło się całkiem odmiennie od widma gwiazd; nie było już, jak przy tych, olśnione różnobarwném światłem, lecz tylko wydało się nadzwyczajnie delikatną i nieprzerwaną smugą, na której poprzecznie występowały trzy linie jasne w nierównej od siebie odległości i wyrazistości. Taka cecha widma wskazuje, że światło, które wywołało jasne linie, pochodzi od płonącego gazu; tudzież że światło wywołujące nieprzerwaną delikatną smugę co do swojego pochodzenia nie jest tamtemu równém, lecz zdaje się wypływać z środka, który tworzy nieprzezroczysta rozżarzona materya obłoczka, świetniejsza wprawdzie od reszty jego massy, ale odmienna od gazu płonącego.

W celu bliższego poznania chemicznej natury tego gazu porównywał Huggins widmo obłoczka z widmem światła trzydziestu pierwiastków ziemskich. To bezpośrednie porównanie, trudne samo przez się, wymagało nader trafnego postępowania i zastosowania spektroskopu; przekonało wreszcie, że najjaśniejsza z trzech pomienionych wyżej linii widma najbardziej zbliżała się do jasnych linii cechujących widmo azotu i schodziła się z najwyraźniejszą z tychże; najbliższa zaś jasna linia widma obłoczka schodziła się z jasną, zieloną linią znamionującą widmo wodoru; tylko pośrednia z wszystkich trzech pomienionych linii nie miała odpowiedniej sobie w całym szeregu trzydziestu ziemskich pierwiastków użytych do porównania; najniżej wprawdzie oddalała się od linii barytu, jednak nie zesła się z takową.

Jako przykład całkiem odmiennego widma przytaczamy widmo mgławki w konstellacji Andromedy; jest ona w porównaniu z innymi wielka, podobna kształtem do komety i przy pogodnym niebie gołym okiem dostrzegalna. Widmo jęj pozornie nieprzerwane wykazuje tę uwagę godną właściwość, że na niem wcale odciń czerwony i część pomarańczowego nie występuje, a oprócz tego najwyraźniejsza część jego wydaje się niejednorodną i jakby różnobarwnie nakrapianą; jasnych linii widmo całkiem nie przedstawia i z tego względu jest podobniejsze do widma gwiazd, auzeli w poprzedzającym obłoczku.

Zastosowanie podobnego badania zrobione do innych mgławek, przekonało o wielkiej pomiędzy nimi różnicy; bo gdy trzecia

część z badanych sześćdziesięciu przeszło przedmiotów przedstawiała widmo z jedną, dwiema lub trzema takimi jasnymi liniami, jak obłoczek w Smoku, reszta ich podobnie jak mgławka w Andromedzie dawała nieprzerwane widmo bez wszelkich linii jasných.

Takie wypadki rozbioru widma mgławek porównane z obserwacjami, jakie robił Rosse swoim olbrzymim teleskopem, stwierdziły przynajmniej co do tych sześćdziesięciu, któremi Huggins się zajmował, że mgławki dające widno z liniami jasnymi zdają się być prawdziwymi obłoczkami, t. j. ciałami jedną całość stanowiącemi; jakoż i teleskop Rosse'a nie dozwolił w nich rozróżnić śladu pojedynczych oddzielnych gwiazdek. Przeciwnie zaś mgławki, na których widmie nie występują linie jasne, są gromadkami drobnych gwiazdek, które także Rosse w swoim teleskopie przeważnie jako takie uważał. Co do chemicznej natury swojej, obłoczki prawdziwe są gazem świecącym, zaś gromadki gwiazdek są zbliżone do reszty ciał niebieskich, lubo nie we wszystkich przypadkach mają tę samą naturę, jak gwiazdy odrębnie świecące.

Do komet niektórych również zastosowano ten sposób spostrzeżeń. Na widmach ich występowały linie jasne, albo punkt jasny w środku słabego nieprzerwanego widma; z tego względu komety byłyby najbardziej swoją naturą do obłoczków zbliżone.

Z poprzedzających słów łatwo ocenić ważność tego, nowego sposobu badania światła ciał niebieskich, który w dziesięciu zaledwo latach doprowadził do tak świetnych wypadków (1), chociaż ze względu na liczne i wielkie środki pomocnicze, osobliwie przy badaniu drobnych przedmiotów, był przez nie wielu tylko badaczy zastosowany. Jeżeli atoli, czego spodziewać się należy, w dalszym rozwoju znajdzie większe rozpowszechnienie, stać się może w badaniach światła w ogólności, a w astronomii fizycznej w szczególności tęp, czém prawa Newtona pod względem ruchu ciał niebieskich.

(1) W ostatnich nawet czasach posłużył do zbadania jednego z najwybitniejszych zjawisk dostrzeganych przy zaćmieniu słońca, t. j. wyskoków słonecznych (protuberances). Obserwacje robione w Azyi d. 18 sierpnia 1868 r. podczas zaćmienia słońca wykazały, że na widmie wyskoków występują trzy linie jasne; ztąd wynioskowano, że same wyskoki są nagromadzeniami płonących materij gazowych, otaczających rozżarzone słońce i złożonych głównie z wodoru. Uczony francuzki Janssen, wysłany przez Akademię francuzką do Azyi, wpadł na sposób obserwowania wyskoków w każdym czasie, nie tylko podczas zaćmienia; odkrycie to przyczyni się wielce do ostatecznego zbadania budowy fizycznej słońca. Niezależnie od Janssen'a udało się także anglikowi Lockyer'owi w Londynie obserwować widmo wyskoków całkiem niezależnie od zaćmienia słońca, i z spostrzeżeń jego wynika, że owe materje gazowe otaczają prawie jednostajnie słońce warstwą grubą na 8000 kilometrów.

Z PETRARKI.

CANZONE II.

W pieśni tej zwraca się poeta ku Jakóbowi Colonnici, zagrzewając go do popierania na dworze francuzkim wyprawy Krzyżowej na niewiernych, na czele której stanąć miał Filip Walezyusz. Działo się to około r. 1333.

Ohi aspettata in ciel, beata e bella....

Wyczekiwana w niebie duszo błoga,
Którą Pan wybrał służebnicą sobie,
I której ziemskich uczuć naszych szata
Nie jarzmem cięży, lecz jest ku ozdobie:
Zkąd twój istocie lżejsza bywa droga,
Którą z padołu człowiek w niebo wzlata —
Oto znów w pomoc łodzi twój, gdy świata
Ślepym obłędem tył podawszy, rwie się
 Ku pożądanśzej przystani,
Dążą wiatrowie tchem zachodnim gnani!
O! niech ją wolną dawnych pęt, poniesie
Tchnienie ich środkiem ciemnej łez otchłani,
Gdzie swoich dość i cudzych dość boleści,
 Aż wprost przy wschodnim ją kresie,
W który swym tęsknym wzrokiem tkwi, umieści.

Może żarliwe, namaszczone modły,
Zdołały wzruszyć miłosierną Chwałę,
Może żalości ludzkich orszak łzawy.
Choć ich zbyt mało było, czy zbyt małe,
By swą zastugą choć o włos odwiodły
Z ich niecofniętych dróg przedwieczne sprawy.
Lecz ten co rządzi Niebem Król łaskawy,
Z świętego miejsca kędy tkwi u krzyża
 Spojrzy, aż w piersi ze stali
Karolowego następcy rozpali
Zemstę, choć szkoda iż jest nie dość chyża,
Bośmy jęć długie lata wyglądali!

A na sam głos Mocarza, gdy swój lubój
 Małżonce w pomoc się zbliża,
 Drży Babilonia (1) pewna swojej zguby.

Z brzegów Garonny aż do gór, od brzegu
 Rodanu, Renu, aż po słone wody,
 Biegną pod znaki krzyża zbrojne tłuszcze.
 I w upragnieniu niebieskiej nadgrody,
 Od Pireneów, kędy się rozbiega
 Szlak w aragońskie i hiszpańskie puszcze,
 I w stronę Anglii, wkoło której pluszcze
 Zimny prąd znany w Gadytańskiej stronie,
 Aż do miejsc, gdzie brzmi godowo
 Przenajświętszego Helikonu słowo,—
 Przeróżne mowy, odzieże i bronie,
 Do szczytnych dzieł w miłości się przyzową.
 I jakaż świętsza, chwalebniejsza sprawa,
 Bądź w żon, bądź w dzieci obronie,
 W słuszniejszym gniewie do obrony stawa?

Jest część padołu, której w podział dano
 Śniegi i szrony niemal w wieczne gości—
 Tak tam daleko od słonecznej drogi!
 Tam w skąpe dzionki skrytej w mgie światłości,
 Wśród której śmierć jest rzeczą pożądaną,
 Lęgną się wieczne spokojności wrogi.
 Lud ten, w przystępie pobożności srogięj,
 Ilekroć wściekle w mroźny miecz zadzwoni,
 Turki, Chaldeje, i karci
 Wszystkich, od których biorą pokłon czarci,
 Po nad brzegami morza krwistęj toni,
 Wtedy to poznasz jak są mało warcil
 Nadzy, trwożliwą, zbitą stając zgrają!
 Nie ujrzysz miecza w ich dłoni,
 Gdyż ciosy swoje wiatrom powierzają!

Teraz czas staręj odjąć kark ohydzie!
 Czas jest, by zradnie kryjąca nam oczy
 Została także wziętą precz zasłona!
 I niech nam zabrzni w uszach dźwięk uroczy
 Rycerskich słów i męztwa, który idzie
 Z nieśmiertelnego łaski Apollona!
 Co mowa zacznie, pismo niech dokona.
 Bo gdy Amfiona, bo gdy Orfeusza
 Czynów, nikt nie ma za dziwa,

(1) Pod nazwą Babilonii, Petrarca zawsze rozumie Saracenów,
 w ogóle pogan.

Tém mniéj: że syny swe, Italia tkliwa
 Boskiej nauki głosem tyle wzrusza,
 Że w jéj obronie wręcz się miecz dobywa.
 Bowiem przy prawdzie stoi ta pramatka;
 Więc żadna rycerska dusza
 Nie znajdzie godniej walczyć do ostatka.

Gdys wiedzy skarbów nigdy dość nie syty
 Przerzucać rad szacowne dziejów karty,
 Od czego wczesnie duch ci w Niebie tonie,
 Wiesz, że od syna wilczycy rozżartéj
 Aż do Augusta, któremu w zaszczyty
 Tryumfujące trzykroć kwitło skronie,
 Rzym stawał chętnie w cudzych krzywd obronie—
 Iż zawsze krew swą niezbyt wielce ceni.

Więc dziś tém mniejsza mu wina,
 Gdy w mądrą myśl szafować krwią poczyna,
 By byli pomstą wiinni krzywd splaceni,
 Z pomocą Maryi Chwalebnego Syna.
 I czyż myślicie: że się wróg wymyka
 Od śmierci wśród krwi strumieni
 Jeśli Pan wzmacnia jego przeciwnika?

Wspomnij zuchwały zamach Kserksesowy,
 Kiedy chcąc zgwałcić naszych ziem krawędzie,
 Mostem znieważył dumne wód kotliny—
 A licznych mężów zgon ci widny będzie,
 I w łzach żałoby liczne perskie wdowy,
 I krwią spławione wały Salaminy.
 I nie téj chwili wspomnienie jedynéj,
 W której nieszczęsny najazd wytracano,
 Brzmi wrogom śmierć jak najwcześnieij—
 Lecz i Maraton, i śmiertelne cieśni,
 W których Leonid z garstką tkwił wybraną,
 I tyle innych które znajdziesz w pieśni.
 Ztąd wielce czas jest: przed zrządzeniem Bożem
 Ugiąć i myśl i kolano,
 Iż tak chwalebnych spraw doczekać możemy!

O pieśni moja! léc w italskie strony!
 Ich brzegów oczom moim nie zakrywa
 Morze, ni góra, ni rzeka,
 I tylko miłość, której światłość żywa
 Sprawia, żem tyle czarem jéj olśniony,
 Iż męztwo moje też się nie wyrzeka.
 Leć! lecz miłosnej nie rzucaj zabawy—
 Bo pod lekkimi zasłony
 Legł Amor, równie ucieszny, jak łzawy.

Felicjan.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wspomnienie Lamartina. — „Les Bleus et les Blancs” pięcio-aktowy dramat
Alexandra Dumasa: wizerunek Saint-Just’a. — Sen Alfonsa Karr’a. —
Nie ma swobody bez prostoty. — Wiadomości literackie. — Dzieło medy-
czne Raciborskiego.

W ostatniej *Kronice* naszej przesłaliśmy doniesienie o śmierci Lamartina, który właśnie wtedy Bogu ducha oddał; dzisiaj powracamy do tego świeżo zamkniętego grobu, gdyż kronikarz paryzki ubliżyłby sobie i czytelnikom swoim, čonosząc im w dwóch słowach o skonie nowoczesnego Pindara.

Tém skwapliwiej powracamy do Lamartina, że nie tylko o niego chodzi, ale o dobrą sławę Francyi. Dostojna ta piastunka swoich wielkich mężów, raz jeden okazała się nie wyrozumiałą dla cierpiącego starca nie zwykłej miary; ale tę nie dobrą chwilę, okupiła tak gorącym zwrotem ku niemu, że odrazu wszystkie winy swoje względem niego zmasała: godzina sprawiedliwości wybiła dla Lamartina wraz z godziną jego śmierci.

Na zaszczyt narodu powiedzieć trzeba, że w obec trumny poety, nikt nie wystąpił z naganą; przeciwnie, przepraszano go poniekąd, za wyrządzone mu za życia krzywdy. Zapomniano uraz, pretensyj, a przypominano jedynie piękne strony tój wzniosłej duszy, wszystkie cnoty prawego męża, wszystkie brylanty jego geniuszu, któremi jako wskrzesiciel umarłej poezyi, pokrył niegdyś, nagość pijanego materializmem narodu.

Jeszcze nie przebrzmiały hymny żałobne które zaintonowała Francya na cześć Lamartina uczuwszy naraz w swém łonie wielkie miejsce próżne; jeszcze nie przebrzmiały rzewne wyrazy posłane przez Wiktora Hugo za trumną mistrza z którym *pięćdziesięcioletnia* łączyła go przyjaźń; jeszcze nie zwiędły kwiaty posypane na jego grobie, w cichłej kaplicy przez wieśniaków, którzy go kochali jak

dobroczyńcę: jeszcze Paryż nie otarł łzy którą uroił nad skonem *przedostatniego* swojego wieszczka... Pod temi wrażeniami kreśląc to wspomnienie Lamartina, zaczynamy od okolenia, wśród którego kształcił się ten subtelny umysł, który tak wielkie umiał wzbudzić zachwyty. Kolebka geniusza, wszystko tłumaczy.

Nad brzegiem Saony, o kilka mil od Lyonu, wśród łąk i wiosek, na stoku góry, leży miasteczko Mâcon. Tam urodził się Lamartine w małym domku, który tak pięknie opisał; tam przeżył pierwsze lata w wieśniaczej chacie, gdzie rodzice wygnani z pałacu Milly, schronili się przed terroryzmem. Matka Lamartina chociaż wychowana na płochym dworze książąt Orleańskich, była niewiastą przykładną i kochającą matką. Pani de Genlis wspomina ją jak świętą. Wychowanie dawała dzieciom surowe; syna Alfonsa który był piękny i wąty jak anioł, mianowicie hartowała, mówiąc że te promienne dziecię musi wyrość na człowieka. Przyuczała go więc do czarnego chleba, twardej pościeli, do stoty i do zapasów. Syn przyjmował matczyną naukę, jak grunt dobry dobrze przyjmuje ziarno. Wieśniacy dziwili się że taki mały, a już się smucić umie, mieszczenie podziwiali rozum dziecięcia; jedni i drudzy unosili się nad pięknoscią chłopca tak dziwną, że nikt nie mógł przejść około niego obojętnie.

Pani Genlis daje wizerunek siedmioletniego Lamartina: „Oczy miał ciemno szafirowe, jak matka, czoło szerokie; radość jakaś wewnętrzna oświecała całą jego twarzyczkę; włoski jedwabne, błyszczące jak dojrzały owoc kasztanu, spadały potokiem na opaloną szyję. Wysoki nad swój wiek, giętki był i lekki; skórę miał delikatną jak matkę, jak ona rumienił się i bladł za lada wrażeniem: każde wzruszenie serca odzwierciedlała twarz. Więcej do dziewczyny niż do chłopca podobny, piękny był jak Endymion.

Matka wychowana z rzymska w Saint-Cloud, z surową powagą pełniła obowiązki życia. Miała zwyczaj, pomiędzy dniem skończonym a snem, czynić rodzaj obrachunku moralnego, z którego wyjść miała korzyść dnia jutrzejszego. Skoro już wszyscy w domu spoczywali, kiedy słychać już tylko było równe oddychanie dzieci śpiących w łóżeczkach około jéj łoża, szmer wiatru w drzewach i szczekanie psa podwórzowego, pani Lamartine otwierała po cichu drzwi od gabinetu pełnego książek pedagogicznych i historycznych, siadała przy biurku i wyjąwszy z szuflady szaro oprawny poszyt, pisała przez blisko dwie godziny. Pisała historią domową, roczniki godzin, wypadki wewnętrzne i otrzymane z nich wrażenia. Były to wylewy niespokojności i smutku, wybuchy wdzięczności, wesela i modlitwy, wszystkie nuty czulej duszy która kocha, cierpi, błogostawi i wzywa pomocy Boga.

Nauką wczesną nie obarczała synów. Mały Alfons pędził życie na dworze w zupełnej swobodzie i ciągłym ruchu. Trzeba było jednak pomyśleć o nauce. Wujowie wystali go do szkół

Lyońskich. Ale się ich zamiar nie udał. Zamknięty w ciemnych murach i ujęty w twardą dyscyplinę szkolną, Lamartine myślał jedynie o ucieczce, a upatrzawszy raz drzwi otwarte, umknął do Milly. Matka przyjęła go w objęcia, a uczuwszy bicie śmiertelnie wystraszonego serca, spostrzegłszy fatalnie uderzoną głowę tą szkołą miejską, postanowiła sama kształcić to zbyt wrażliwe dla objętych nauczycieli dziecko.

Owoce matczynego wychowania były „*Les Meditations poetiques*” które wydał dwudziestoletni Alfons Lamartine.

Na dobę przed wybuchem rewolucyi lipcowej 1830 roku, cały Paryż czytał „*Les Harmonies poetique*.” *Medytacje*, to od wieków jedno i zawsze toż samo młodzieńcze rojenie, w *Harmoniach* już są zale po tej ubiegłej młodości. Kontemplacya zesła na ziemię... rojenia zastąpiły czyny. W tych wierszach jeszcze rodzinne biją źródła i śpiewa słowik upojony miłością, wszystko jeszcze tchnie wiosną... tylko już słońce zaszło.

Przy akompaniamencie *Harmonii Poetycznych* wybuchła owa nagła, nadzwyczajna rewolucya, która w ciągu trzech dni wyrugowała pracowitą monarchią. Lamartine, jako poeta chrześcijański, idący w prostej linii od Ludwika świętego, podobnie jak Karol X, pokłonił się z uszanowaniem odjeżdżającemu królowi Francyi, i Nawarry, a sam także zapragnął opuścić na czas jakiś ojczyznę, żeby wejść w siebie, zbadać własne uczucia, zanim weźmie udział w walce stronnictw, która zapowiadała się groźna. Chcąc zupełnej samotności, wyjechał na Wschód. „Pragnąłem, powiada, dotknąć własną ręką tej ziemi będącej ziemią naszej pierwotnej rodziny, ziemią cudów.”

Straciwszy w Palestynie jedynaczkę córkę Julią, nie mając już komu wykładać zjawisk pustyni, Lamartine wrócił do Francyi, poczawszy że ona musi potrzebować głosu człowieka ukrzepionego bliższym widokiem Boga.

Jakoż się nie omylił. Wejście Lamartina do Izby Deputowanych, pamiętne i budujące. Przyniósł on do tej wrzawy, spokojnego i pogodnego ducha, pomiędzy prywaty postawił przekonanie silne i bezstronne, myśl wzniosłą. Tak jak poezją miał odrębną, tak i politykę wyrobił sobie osobną, unoszącą się ponad niskim interesem materyalnym, ponad tą areną w której zażerają się stronnictwa. Szerokie zakreślił sobie pole walki i szedł zawsze prosto do przeszkody. Daremnie zazdrośni mieszczenie wołali: „*Paroles de Poëte!*” Dalej widzący twierdzili że te słowa opatrne, nie wątpliwie były natchnione: Lamartine o przyszłości ludzkości mówił tak cudnie, jakby mówił o przeznaczeniach poezyi. Ci co go wtedy słyszeli, czuli radość niezmierną: co żyło biegło podziwiać tę piękną postać, tę powagę giestu i blask oczu, słyszeć mowę *natchnionego*, którego każde słowo porywało dusze...

Trudno wyobrazić sobie coś wspanialszego jak dysputę Lamartina z Franciszkiem Arago: pierwszy bronił poezyi, drugi nauki. Broniąc poetów przeciw matematykom, Lamartine dowodził że

wielcy poeci są prawdziwymi prawodawcami rodu ludzkiego. Wiedział sam przez się, że poezya jest zarazem materyą i duchem świata, kompletnym językiem człowieka. Jako język Boski, pierwotny, była pierwszą nauczycielką ludzkości: w kolebce, mówiła ję o Bogu; o wojnie i miłości, w wieku młodzieńczym, o filozofii i polityce w wieku dojrzałym. Ona kołysze dziecię, ona zapala młodzian, ona usypia starca i grzebie go swoją dobroczynną ręką... Arago odpowiadał nie mniej poważnie ze swego stanowiska. A cały naród słuchał i powtarzał ich słowa.

Byłyto prawdziwe uczty umysłowe! prawdziwe splendory Francyi, bo jak świat światem, nie było i nie będzie świetniejszej ozdoby narodów jak lira Pindara, lub fletnia Wirgiliusza.

Myśl absorbowała całego Lamartina. Wyczerpywał przy-
pływ sił nadwyzajnych, wymową i rymotwórstwem. Nigdy on nie szafował życiem inaczej. Żadna z jego poetycznych miłości nie wyszła z jego głowy. Najbliżsi przyjaciele nie mogą wymienić ani jednej jego kochanki, ani razu nie podsylił kroniki skandalicznej, chociaż wszystkie kobiety w nim się kochały. Wkońcu paryżanki zniechęcone jego chłodem, przezwwały go: „Lamartine le Chaste.”

Jules Janin opowiada, że pewnego razu po jakimś balu, Lamartine otrzymał ze dwadzieścia mniej więcej pachnących bilecików, i nie rozpieczętawszy żadnego, w ogień wrzucił. „Zaprawdę, dodaje Janin, znamy wielu uczciwych ludzi, ale ani jednego poety któryby w podobnym razie tak postąpił jak Lamartine.”

Więc nawet kwiaty materialnego życia, nawet rozkosze ziemskie, nie nęciły go wcale: pozostawał w zupełnym od uciech zmysłowych odczuciu. Do interesów ziemskich miał wstręt, a nawet odrazę, która w końcu doprowadziła go do ubóstwa. Nie dało się ono we znaki dopóki starczyło natchnienia; zabiło jednak sen słodki, pozbawiło dumań przy szumie strumienia, śpiewu słowika i zapachu ulubionego jasmínu. Lamartine z Paryża przeniósł się do Moncean, i tam wśród winnic siedział i pisał, bez chwili wypoczynku. W Monceau, w ciągu lat kilku, napisał: „*Histoire de la Restauration*” „*Constituans*” „*Genevieve et Raphaël*” „*le Tailleur de Pierres*” „*Revolution de 1848*” „*Histoire de l'Empire Ottoman*” i „*l'Histoire des Girondins.*”

Girondyści byli poniekąd przedmową do rewolucyi 1848 roku. Lamartine powołany do czynu, nie wyszedł może z wszystkich ówczesnych trudności, a raczej niemożebności, jakby byli życzyli ludzie nie znający tych niemożebności; ale to pewna, że z nich zawsze wyszedł górą. Sam jeden był odważny i nie stracił zmysłu w owęj straszliwej burzy. Zrujnował się ostatecznie mając w rękę najwyższą władzę, stanowisko na którym się zwykle ludzie bogacą. Po tém, rozczarowany, usunął się na zawsze z widowni politycznej, i do ostatniego dnia żył z pióra, odmówiwszy ofiarowanej sobie przez Cesarza prezydentury Senatu wraz z obietnicą spłacenia długów, a od Francyi do której się odwołał, nie otrzymałszy żadnej pomocy. W prozie umarł, nieszczęśliwy!

Skoro się w Paryżu rozeszła pogłoska o śmierci Lamartina, każdy poczuł że zniknął jeden z najznakomitszych ludzi tego wieku. Jednak, to wzruszenie powszechne, chociaż wielkie, nie dorównywało zapałowi z jakim powitała Francya jego pierwsze utwory poetyckie. Pochodzi to ztąd, że perspektywa wiele znaczy w ogólnym efekcie życia ludzkiego. Chwała nie składa się jedynie z siły talentu, ze świetności czynów, ale także z pewnego powiązania okoliczności. Do uzupełnienia chwały ziemskiej, potrzeba jeszcze szczęścia lub zręczności... trzeba mianowicie umrzeć w porę. Szczęśliwi, chociaż nie zasłużeni, ci co znikają bez ostatecznej próby, którzy umierają nie pokazawszy w sobie granic naszego wspólnego człowieczeństwa, ci którzy znikają z ludzkich oczu, w długim powłoku światła.

Warto zdać sobie sprawę z tego efektu perspektywy który się zowie *chwałą*. Rozmaitość zdoiności, jej nie szkodzi, byle nie było przejść zbyt rażących. Lamartine pokazywał się współczesnym w zbyt różnych postaciach. Inni téż pisali prozą i wierszem, byli politykami i literatami: Chateaubriand nabywszy literacką sławę, został ministrem, a mimo to jednolitość jego życia nie ucierpiała w oczach potomności. Ale Lamartina zawód polityczny jest prawie drugim życiem: od jego eterycznych pieśni zbyt daleko do trybuna przemawiającego do ludu z ratusza. Powszechność nie może pojąć takiej wszechstronności człowieka, więc powątpiewa o jego szczerości. Wszechstronność geniuszu Lamartina pomniejszyła wrażenie jakie zostawił. To także mu szkodzi, że nie był zawsze równy sobie: zmuszony pisać dla zaspokojenia dłużników, zostawił wiele dzieł miernych. Nie kazi to jego charakteru, przeciwnie, podwyższa go, dowodząc że nawet kosztem swęj chwały spłacał długi: ale ta perspektywa o której wspomnieliśmy, na tém cierpi i ęmi w oczach potomności, promienne wybuchy, którymi geniusz Lamartina naznaczył swoją drogę.

W dwudziestu leczech wydał pierwsze swoje „*Medytacje*” najpiękniejszy owoc swojego pióra. W 1835 wydał „*Jocelin'a*”. Był to wielki wypadek literacki. Później, zdumiona Francya ujrzała go na mownicy. Nakoniec, w 1847 roku, mówca, przedzierzgnął się w historyka i napisał „*Historję Girondystów*”.

Z wszystkich dzieł, to, największe sprawiło wrażenie we Francji: czytano je z gorączkowym zajęciem... nigdy jeszcze nic podobnego nie czytano jak opis zamachu Karoliny Corday, Obłężenie Lyonu, jak śmierć Girondystów. Historia zdawała się odrodzoną, powiększoną, zachwyty był—upojenie. Ale wrażenie było zbyt gorące żeby trwało, dzieło zbyt eteryczne, żeby mogło wiecznym pozostać; wiecznie dowodzić ono będzie tylko wszechstronności Lamartina.

Szczytem jego zostaną jego pierwsze poezye liryczne. Francji nie mającej epopei, więcj jeszcze brakowało elegii. Lamartine pierwszy odkrył Francji tajemnice duszy, kazał mówić uczuciom niewysłowionym... nadał strofie akcent seraficzny—nadał dźwięk i melodyę najmniej muzykalnemu z języków. Ileż w tych strofach

zadumania, ile muzyki przypominającej szum wietrzyka wiosennego w rozplakanych brzozech, tego najmilszego akompaniatora marzeń miłośnych. Cóż piękniejszego w tym rodzaju jak *l' Isolement; Le Lac, Preludes, Crucifix?* *Medytacje* nie mniejszym były wypadkiem w historii poezyi francuzkiej, jak *Geniusz Chrześcianizmu* w historii jęj prozy.

Dzisiejsi Francuzi czują daleko mniej wdzięk tych poezyi niż je czuli w 1820 roku. Rzecz bardzo naturalna. Młodzież za Restauracyi była synami tych ludzi którzy służyli Napoleonowi. Wyrosła wśród zwycięstw i dwóch abdykacyi, Austerlitz i Waterloo, widziała upadek wielkiego Cesarstwa, patrzyła na klęski jakie za sobą ciągnie wojna. To oddziaływało na dusze. Po upadku Rzeczypospolitéj i Cesarstwa, nastąpiło wielkie rozczarowanie, wielka próżnia. Ztąd rozpaczliwe nudy Chateaubrianda i melancholizna kontemplacya Lamartina. W Lamartynie nie ma nadziei, śmiertelnie jest smutny...

Jakaś namiętna nieokreśloność duszy nadaje w jego dziele nowy wyraz tradycyjnym tematom poezyi. W *Harmonijach* widzimy religią bez dogmatu ani obrzędu; wiarę która nie świeci ani pociesza: czysta kontemplacya nieskończoności. Natura także u niego doznała przeobrażeń: poeta nie chwyta jęj strony malowniczej, ale się z nią jednoczy. Bada ją jako odwieczną zagadkę— jęj wieczne odradzanie przeciwstawi ułomności ludzkiej. Toż samo w przedmiocie miłości. Miłość dlań nie jest epikureizmem ani męską siłą podbójczą, ale jakąś sensualnością nadziemską, pragnieniem nie ugaszonym przedmiotu nie obecnego, na tym padole płaczu. Gorąca ta żądza przysłoniona welonem precudnym, wyrażona czarownym językiem poezyi nieujętej, przenikającej jak zapach fiołków. Lamartine nie był malarzem, nie posiadał ani rysunku ani kolorytu, ale był muzykiem, samowładnym panem harmonijnych motywów. Czytając go, doznajesz wzruszeń więcej niż napotykasz myśli; zdaje ci się że pijesz napój czarodziejski: obrysy rzeczywistości mieniają się w oczach, a czytelnik topnieje... żeby rozplynać się jak dźwięk w nieskończoności i wsiąknąć w łono natury, jako jeden z jęj pierwotnych żywiołów.

Takiego przeobrażenia dokonał Lamartine we francuzkiej poezyi, która przed nim była tylko sztuką rymotwórczą. Czytając strofy Lamartina, niektórzy ujrzeli ideał: życie ich się od owęj epoki datuje. Całe jedno pokolenie nosiło przy sobie *Medytacje*, czytało je na każdym miejscu i o każdej dobie, upajało się tą szczytną nieokreślonością. Ale jeżeli zdolność natchnienia takich wzruszeń jest tryumfem sztuki, nie na tém najwyższa sztuka się zasadza.

Poezya elegijna tak uroczą w wieku kiedy człowiek w całym świecie szuka jedynie echa wzruszeń własnych, jest niższym rodzajem poezyi. Powab jęj ograniczony: więzi dusze w określonym kole. Goethe to przedziwnie wyraził: „Ten jest poetą, kto umie przyswoić sobie świat i malować go”. Wtedy jest nie wyczerpanym i zawsze może być nowym. Ale natura osobista wnet wyrazi tę

odrobinę, którą ma w sobie, a wtedy gubi się w manieryzmie. We wszystkich epokach cofnięcia albo rozwiązania, dusze zajęte są sobą; we wszystkich epokach postępu, zajmują się światem zewnętrznym. Nasz czas jest czasem cofnięcia, jest też osobisty”.

Cóż się więc stało z Lamartinem? świat poszedł na przód, zmieniły się usposobienia, a pisarz postarzał. Wielki poeta dla tych co go będą czytać w przyszłości, nie będzie jednak tak wielkim jak był dla swoich współczesnych: pozostanie jako wspomnienie innego wieku. Człowiek dzisiejszy, wychowany wśród półwiekowego pokoju, świadek, nie wielkich katastrof społecznych, ale wielkiego rozwoju przemysłowego, inżynier, chemik, wekslarz, zajęty zarabianiem i wydawaniem pieniędzy, oddany interesom materialnym, zhytkowi, zabawie—czyż zrozumie *Harmonije* albo *Medytacye*? Czyż dzisiejszy Francuz aby raz powtórzy pamiętny dwuwiersz, który w 1820 r. powtarzali wszyscy nieustannie:

„Que ne puis-je, porté sur le char de l'Aurore
„Vague objet de mes vœux, m'élancer jusqu'à toi”!

Ztąd ważna nauka dla poetów osobistych. Hugo jest daleko mniej poprawny pisarz niż Lamartine, gorszy purystę, niecierpliwi klasyka; ale w gruncie jest większym poetą: służył wyższej sztuce, stworzył potężniejsze dzieło, okazał więcej twórczości, ogarnął wyobraźnią świat szerszy, nie jedną chwilę ludzkości.

Lamartine jednak, choć w drugim rządzie wieszczów postawiony, nie przestaje być jednym z pierwszorzędných apostołów myśli Boskiej, jednym z najszczytniej natchnionych poetów Francji. Przy jego trumnie to nas najwięcej smuci, że nie widzimy jego spadkobiercy... nie tylko jego, ale żadnego z ludzi zakomitych którzy odchodzą....

„Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie według miary krawca ale Fidiasza;
Żeby też jedna pierś tak jak pierś Memnona.
Żeby też jedna! Ha! to mnie przestrasza!”

Kto natchnie do cnoty? Kto da moralne pokrzepienie które tak cudnie działa na wyższe dusze... Kto zawezwie umysły do polotów szczytnych? Kto ugrzęzłych w materji zaklnie w imię ideału? Nikt, bo niema przodownika duchowego, powagi uświęconej półwiekową sławą nieskazitelnej cnoty.

Uczyły też głęboko tę stratę we Francji wyższe, myślące dusze. Wyrazem ich czucia ten ustęp, którym Jules Janin zakończy artykuł poświęcony pamięci Lamartina:

„Zegnamy ciebie, mistrzu, przyjacielu który nie mogąc nas wielkimi uczynić, radowałeś nas wymawiając nasze nazwiska swoim sympatycznym głosem. Przychylne twoje wejrzenie dawało nam pokrzepienie, pociechę, rozkaz dobroczynienia, pozostania na dobrej drodze. Kochaliśmy cię gorąco, słuchali zawsze i zawsze

szli za tobą. Teraz pozostaliśmy sami... daremnie szukając twojej gwiazdy, znajdując zaledwie twoje echo. Spij więc, i przebacz, jeżeliś nie przebaczył przed śmiercią, niewdzięcznemu ludowi który nie na twój pogrzeb poszedł, ale za karawanowym przepychem człowieka jutro zapomnianego. (Pogrzeb p. Troplong).

„Każdy niech weźmie co mu należy: jeden nagrodę tu, nisko, drugi nagrodę tam, wysoko. Drakona sławnego z praw nietościwych, niesiono na stos z pachnącego cedru, w purpurze siedem razy farbowanej. Pogrzeb miał okazały! Cześć, zaszczyt, hekatomba Drakonowi!

„Dobremu Theokrytowi uroczystość wiejska, wieniec z Cytusu, libacya z mleka kóz jego, i strzelający ogień z winogrodu który sadził. Płaczą go nimfy Sycylii, a pasterze z Idy zbierają święte popioły w drewnianą urnę swojej roboty. Echo wzgórz owych, wiecznie powtarzać będzie chwałę uwielbianego poety”.

W teatrze Châtelet widzieć teraz można rzecz ciekawą: żywy portret konwencyonisty Saint-Just'a. Ramami do tego wizerunku jest pięcio-aktowa sztuka Alexandra Dumasa: „*Les Bleus et les Blancs.*” Szkoda że zamiast pięciu aktów Dumas nie dał dwóch: na zapełnienie tak długiej reprezentacji już mu nie staje tchu.

Rzecz dzieje się za czasów *terroryzmu*, w chwili kiedy eskapucyn Schnajder oskarżyciel publiczny przy trybunale rewolucyjnym strazburżskim, gilotynuje ludzi gromadami, a Pichegru i Hoche nieprzyjacielowi Ren wydzierają. Saint-Just zjeżdża do Alzacy z rozkazu rządu; młodziuchna postać Karola Nodier, krąży romansowo wśród tej krwawej akcji.

Nadużycia okrutnego Schnajdera których Strazburg był winowajcą, porywanie przez niego kobiet i prowadzenie pod nóż niewinnych ofiar, stanowią wątek na którym Dumas haftował. Dwa pierwsze akty ożywione gorączką przedstawionej epoki, zapowiadają zajmującą sztukę; ale począwszy od trzeciego aktu, rewolucyjny dramat dobrze zaczęty, grzęźnie w oklepankach. Zajęcie ustaje, węzeł pęka, jestto już tylko szereg rewolucyjnych epizodów nie powiązanych wcale. Sztuka nie zyskała powodzenia, bo wojna stanowczo w teatrze skończona: świstaniu kul odpowiadają gwizdki parteru. Jedynym powabem dramatu wizerunek Saint-Justa: ten widzieć warto.

Trafiając w gust powszechności, Dumas przedstawił Saint-Justa w apoteozie: z marmuru Parosu wyłobit owego młodzieńca skamienionego przez okrucieństwo. Historyczna ta postać warta żeby się nad nią zastanowić, tembardziej że jest mnóstwo takich którzy w muzeum swojej wyobraźni stawiają posąg Saint-Justa pomiędzy posągiem Nemezis i Apolina Pityjskiego.

Jakoż, z daleka, ze swoją surową pięknoscia, wymową lapidarną i lakonizmem wyroczeni, Saint-Just czyni wrażenie spar-

tańskiej statui ożywionej duchem starożytnym. Sztwywny, prosty, jakby z jednej sztuki ulany, z włosami płasko spadającymi na wyniosłe czoło, wyglądał jak syn Likurga. Twarz jego nieruchoma, rysy regularne, oczy stałe, bez wejrzenia, mają urok tragicznej maski przeniesionej w dramat 1793 roku. Ale ten urok znika po bliższym obejrzeniu tego bohatera wielkiej rewolucyi. Fanatyzm nie jest cnotą, okrucieństwo nie czyni geniusza.

Baudot, kolega Saint-Justa, co go widział z bliska w konwencyi, i w armii nadreńskiej, wydał o nim sąd, na który się dziś powołują najpierwsi francuzcy dziejopisowicze: „Potomność — pisze on; — nie zdoła zrehabilitować Saint-Just'a: na wieki pozostanie jemu nazwa *exterminatora*. Wiele lat upłynęło, a jeszcze drżą na jego wspomnienie, tak strasznym był ów człowiek.”

Saint-Just wierzył zapewne w swój krwawy systemat jak Mahomet w swój Koran; ale wiara nie usprawiedliwia zbrodni popełnionej w jég imieniu. Gdyby tak było, należałoby więcéj wielbić Torquemada niż Saint-Justa: pochodnia inkwizytora na całe wieki wypaliła w Hiszpanii pojęcia które chciał wygubić, a topór Saint-Justa zabił we Francyi tylko ową republikę, którą toporem chciał zaprowadzić.

Potworny system którego dwoma głowami był Saint-Just i Robespierre, wymyka się dyskusyi: nie wiadomo jak ująć ten miecz obosieczny który ciął na oślep. Most mużułmańskiego sądu ostatecznego, ostry jak brzytwa, łatwiejszy był do przebycia, niż ta linia polityczna po nad którą unosił się ów duch żałoby. Oskarżające jego mowy są jako sieci rzucone w tłum, gilotyna błyska w tych ponurych odezwach; daremnie upiększone żywemi słowy: jedyném z nich wyjściem, śmierć. Zasady Saint-Justa przerażające!

Sęp krążący nad szalonym potokiem przy świetle piorunu, to uosobienie owéj czarnej retoryki.

Kodeks rzeczypospolitój znalezionej w papierach Saint-Justa, zdradza jego dziwną niepraktyczność. Jestto osobliwsza mieszanina sielanki i Lacedemony. Warto odczytać kilka paragrafów tego projektu urządzenia rzeczypospolitój francuzkiéj:

— „Dzieci należą do matki do lat pięciu, jeżeli je karmi; następnie do rzeczypospolitój aż do śmierci.

— Odziane w płótno w każdéj porze roku; karmione wspólnie, tylko korzeniami, owocami, jarzyną, mlekiem, chlebem i wodą.

— Wszystkie dzieci zachowują jednakową odzież do lat szesnastu. Od lat szesnastu do dwudziestu nosić będą ubiór wyrobnika; od dwudziestu do dwudziestu sześciu, ubiór żołnierza, jeżeli nie będą urzędnikami.

— Nie mogą oblec stroju sztuki zanim w obec ludu nie przepłyną wpraw rzeki, w dzień *Święta młodości*.

— Każdy człowiek dwudziesto-pięć latni obowiązany jest oznajmić w świątyni jacy są jego przyjaciele. Jeżeli człowiek

opuszcza swojego przyjaciela, obowiązany wytłumaczyć ludowi w świątyni, powody tego czynu. Jeżeli odmówi tłumaczenia, będzie wygnany.

— Jeżeli człowiek popełni zbrodnię, jego przyjaciele będą wygnani.

— Ludzie którzy nieposzlakowanie przeżyli długie lata, będą nosili białe szarfy. W sześćdziesięciu latach przyjdą po nie do świątyni w dzień *święta Starości*, a jeżeli nikt ich nie oskarży, otrzymają szarfę.

— Każdy właściciel nie mający rzemiosła, winien uprawiać ziemię do lat pięćdziesięciu.

— Każdy obywatel zdawać będzie rachunek co rok w świątyni, z użytku swojego majątku.

Takimuto ideałowi Saint-Just poświęcał ludzkie hekatonby. Uwierzyć trudno że to rzeczywisty plan organizacyi społecznej, ta sztuczna Sparta postawiona wśród sielskiej dekoracyi. Drakoński kodeks rządzi w tej sielance, topór błyszczący wśród kwiatów, tygrys krąży około ludzkiej trzody w tej urojonj Arkadyi.

Świetnym ustępem krótkiego zawodu Saint-Justa jest jego missya do nadreński armii: wtedy promień chwały przesuwa przez jego czoło. Ale jakże tyranizował, jakże nożem popychał generałów francuzkich do zwycięstwa! Przegrana w jego oczach była zbrodnią. Hoche przez Saint-Justa oskarżony, o mało że nie był zgilotnowany. W Strasburgu głowy ścinać kazał jak kapustę. Z kolei kazał aresztować owego oskarżyciela publicznego Schneidera, kiedy tenże gwałtem poślubił córkę bogatego mieszczanina. Po ślubie Schneider wjechał do Strasburga ze swoją damą, czterema końmi, eskortowany przez straż z gołymi pałaszami. Tak jeżdżą tylko arystokraci! To dostateczny powód do ścięcia. Zbrodnie jakich się dopuścił nie szły w rachunek, tylko konie! Z łózka porwany Schneider, poszedł pod pręgierz, a potem był zgilotnowany.

Głównym ustępem sztuki Dumasa jest właśnie to uwięzienie z czasów terroryzmu. Wystawa historyczna dramatu, przepyszna. Kostiumy, dekoracye, wszystko ze ścisłą prawdą dziejową oddane. Dla poznania zewnętrznej strony owej epoki, warto zobaczyć ten ostatni utwór Dumasa. Między tysiącami ludzi wyszukano człowieka zupełnie podobnego do Saint-Justa. Istny ten chodzący portret historyczny, ogromne czyni wrażenie.

W teatrze Porte-Saint-Martin przedstawiono z ogromném powodzeniem pięcio-aktowy dramat pana Sardou, p. t.: „*Ojczyzna*.” W tym rodzaju, całkiem dla siebie nowym, Sardou pozyskał owacye większe niż we wszystkich swoich poprzednich sztukach, będących fotografią mieszczańskich obyczajów. Tutaj, jak to już z tytułu wnosić można, całkiem o co innego chodzi. Dramat przebiegają z końca w koniec, dwa prądy: jeden polityczny, drugi miłośny.

Alfons Karr porzucił Niceę na usilne żądanie przyjaciół, przybył do Paryża i znowu się wmięszał do ruchu literackiego. Ale zaledwie tu przybył, już żałuje swojego ogrodu. W „*Osach*” tak o tym swoim powrocie do stolicy mówi:

— „Oddawna przywykłem żyć i działać jak mi się podoba, i dobrze mi z tém było, bo jakakolwiek może być ilość głupstw które człowiek wymyśli i popełni, liczba ta ma swoje granice: istna korzyść popełniać tylko swoje własne głupstwa.

„Tym jednak razem usłuchałem doradców. Poza Paryżem prawili oni, nie ma zbawienia! nic się nie widzi, nie słyszy... widzieć i słyszeć można tylko w Paryżu. Trzeba koniecznie jechać do Paryża”.

Więc nasz poeta po długim wahaniu, pożegnał błękitne morze i swój ogród zielony, pożegnał lubą samotność i ruszył w drogę. Wahał się, mianowicie z przyczyny ogrodu i otaczającej go okolicy. Spóźnił wyjazd o dni piętnaście z powodu kwitnienia anemonów... Nie widzieć w kwiecie anemonów, to przechodzi siły botanika „kto wie ile jeszcze razy będę je widział? ile jeszcze chwil w tajemniczym paśmie dni moich?”

Opuścił je wszelako w najpiękniejszym rozkwicie, tak że już barwne hyacenty, tulipany, przesliczny Irys Guza pozostał czekając na promień słońca; wielki wrzos biały Śroziemnego morza, już lasy uwonił; jaskry pokryły skały złotymi gwiazdami, pączki piwonii nabrzmiały... Karr to wszystko opuszczając, pyta z bolem serca, ile jeszcze kwiatów rozwinie się i zwiędnie podczas jego nieobecności? A to morze niebieskie! jakże się obejść bez niego? Ha! co począć? Niech się dzieje wola Boża! Trzeba jechać, kiedy koniecznie chcą przyjaciele. Podróż nie długa: mil sto pięćdziesiąt, dzięki drodze żelaznej przeleci się w godzin trzydzieści.

Karr smutny, zły, siedział w wagonie który go ku Paryżowi unosił. Znikło morze, noc przyszła, a z nią sen głęboki.

Przybywa do Paryża, patrzy i poznać go nie może. Tenże to Paryż który porzucił przed piętnastu laty? Ach! jakże zmieniony... jak źle sądził stolicę francuską z daleka!

Sztuki zachęczone długim pokojem i bezpieczną przyszłością, szlachetnie wybujały. Wszystkie szerokie drogi brzeżą domy, z których każdy jest pomnikiem architektury; każdy dom inny; każdy okrąg ma swój charakter odrębny. Wyobraźnia architektów tak długo bezpłodna, znalazła wreszcie kształty nowe, przestała być zlepkiem pięciu stylów starożytnych, stała się oryginalną.

Na ulicy ani jednego żołnierza: rozpuszczono i odesłano do pluga całe prawie wojsko.

Mnogość nowych budynków spowodowałaniżenie ceny mieszkań. Okręgi dawniej zamieszkałe przez wyrobników, oczyszczono; wąskie ulice zastąpiono szerokimi, przy których stoją dwa rzędy domów prostych, ale wygodnych, pełnych pokoi zdrowych i tanich. Wyraźnie zażartowano z poety mówiąc mu że domy

wyrobników zastąpiono w Paryżu pałacami, że pod pozorem oczyszczenia miasta dla wyrobników, oczyszczono je z wyrobników.

Sklepy skromne, ale porządne, pełne towarów, których czystość, taniaść, gatunek pod surowym dozorem, nic do życzenia nie pozostawia. Ponieważ konsumenci nie płacą już rujnujących sklepów kupieckich, wszystkie towary są tanie. Urzeczywistniono jedyny postęp prawdziwy który dać może cywilizacya, to jest: żyć z jak najmniejszym trudem, z jak najmniejszą troską i pracą.

„Czyż już niema policyantów?” pyta Karr, i spostrzega ich kilku, ale zajętych wyłącznie porządkiem ulic, krążeniem powozów i bezpieczeństwem przechodniów. Policyanci sprawdzają wagi i miary po sklepach. Nie mają już, jak dawniej, miny hardziej: wyzywającego obejścia; wiedzą że są w służbie publicznej i postępują jak najrzeczniej.

Poeta spotyka kobiety, i znowu się dziwi, jak go fałszywie w tym przedmiocie poinformowano. Uczciwe kobiety nie współzawodniczą już na ulicach z zalotnicami; ubierają się w domu, a wychodzą na miasto w skromnym ubiorze ciemnego koloru, jedynie dbając o to żeby na siebie nie zwracać uwagi. Nie popisują się publicznie ani z kibicią, ani z puklami; zroszwały przecież że jedyny sposób zwyciężenia ulicznic, jest nie walczyć z nimi.

Przebudowanie Paryża już skończone. Nie ma śladu rozwalin, pozaczynanych budowli, owych składów desek i kamieni, owego błota bieżącego, ugniecionego z wapna i gliny. Porządnie, obszernie, wspaniale...

Wszyscy bogaci, w pozłacanych mieszkają pokojach; każdy ma konie i powozy, a kto chodzi piechotą, to jedynie dla zdrowia.

A jakie zmiany w sklepach bławatnych! Młodzież silna i zdrowa z nich ustąpiła... obyczaje ogromnie polepszone: młodzi ludzie zawstydzili się wrszecie, że odbierają kobietom rzemiosło. Nie ma już kupczyków, krawców, kielnerów, perukarzy. Igłę, i wszelkie rzemiosła nie wymagające męskiej siły, zwrócono kobietom, którym dawniej mężczyźni zostawiali to jedynie zatrudnienie, z którego sami wyżyć nie mogli. Z tego powodu zmniejszyła się prostytutcyca. Kobieta zarabiająca na życie, łatwo męża znajdzie. Nie zdarza się już prawie dzieciobójstwo, bo i w tym przedmiocie opinia tak się zmieniła, że uboga oszukana dziewczyna znajdzie przytułek w zakładach, gdzie prócz swojego, wychowuje cudze dzieci.

Na ulicach bezpiecznie w dzień i w nocy. Ponieważ policyanci nie trudnią się już polityką, czuwają rzeczywiście nad publicznym dobrem. Na zawołanie biegną z pomocą każdemu. Zresztą, i złodzieje i zbójcy teraz postępują honorowo. Rozczuleni względami jakimi ich otacza społeczność i sądownictwo, jeszcze trochę kradną, ale nie wiele, nie czyniąc złego przechodniom, odbierają zegarki. Nie oni wprawdzie zaczęli zniesienie kary śmierci, ale poszli za przykładem magistratu i sędziów przysięgłych. Kradzież teraz odbywa się w sposób przyjemny. Złodziej mówi:

— *Oserai-je, monsieur, vous prier de me confier votre montre?*

— *Comment donc! monsieur.* Oto jest mój zegarek. Ostrzegam, że się nieco spóźnia.

Złodziej dziękuje. Właściciel prosi go tylko żeby mu raz ostatni powiedział godzinę, dowiedziawszy się woła „*Mille Grâces.*” „*Il n'ya pas de quoi*” odpowiada złodziej, i tak się rozchodzą.

Żebraków nie widać wcale. Ponieważ życie tanie, liczba ich naturalnie się zmniejsza. Zresztą, każda gmina teraz swoich ubogich utrzymuje, zna stopień i przyczynę ubóstwa każdego. Pomagają tym którzy nie mogą pracować. Dla tych co pracować nie chcą, przytułkiem jest dom roboczy, wzorowo urządzone, gdzie próżniacy mają odzież i pomieszkankę za użyteczną pracę. Są tu jeszcze ubodzy, ale żebractwo nie jest już rzemięstwem, w którym można zarobić więcej pieniędzy niż pracując. Kanalizowano miłosierdzie publiczne, przez co ubodzy uwolnieni zostali od żebraków, wrogów swoich.

Z pobliskiego domu dolatuje poetę śmiech... Co takiego? To konferencya, wolny odczyt, który rząd zostawił pod strażą zdrowego rozsądku, jemu poruczając wymiar sprawiedliwości względem głupich lub szalonych teorii. Wesotość Gallicka zastępuje na tych zebraniach policję. Śmiech wszedł do kodeksu karnego i pełni ten urząd nader pożytecznie.

„Ach! jakżem szczęśliwy żem powrócił do Paryża! Jakże tu rzeczywiście wszystko się na dobre zmieniło!”

Kiedy tak myśli Karr, głos silny z zewnątrz woła: „*Fontainebleau! Cinq minuter d'arrêt!*”

Zbudzony nagle z miłego snu, Karr dowiaduje się że jeszcze nie jest w Paryżu. Śnieg sypał w okna... sen zniknął jak majak pustyni... Zbyteczna mówić że przybywszy o szóstą, pięćdziesiąt minut do stolicy, zastał rzeczywistość wprost przeciwną swojemu marzeniu.

Widoczny jest w umysłach francuzkich zwrot do swobody; ale swoboda nie może istnieć, a mianowicie nie może trwać, bez prostoty obyczajów, a tu potrzeba zbytku z każdym dniem rośnie.

Skończ się to, ale jak? Niektórzy marzyciele domagają się wydania przepisów *Zachowania*, ułożenia rodzaju kodeksu mieszkań, stroju, jadła i t. p. Prawa takie wydawali Cezary rzymskie, ale okazały się daremne. Tylko przykład dany z góry, może zreformować zbytek. Szwedzi nie zbytkowali za Karola XII, ani Prusacy za Fryderyka Wielkiego. Dzisiaj na Zachodzie, nie myślą o daniu dobrego przykładu prostoty.

Za naszych czasów każda wielka pani śmiałaaby się szczerze gdyby jej kto powiedział iż żona Karola Wielkiego wiedziała ile ma szynek w spiżarni, a jak jej kto jedną porwał, zaraz to dostrzegła. Karol Wielki, wedle kronikarza Eginharda, ubiorem nie wyróżniał się od ludu. Prałaci francuzcy nie dają też przykładu prostoty: wiadomo że współubiegają się z kobietami o kupno koronek. Pewien wikary niedawno wielkiej narobił zawiści pokazując

damom zbiór koronek angielskich, francuzkich i belgijskich, w których wykłada słowo tego Boga, który przez całe życie miał tylko jedną suknię grubą, którą Mu matka utkała.

Smutno pomyśleć, że jedyna nadzieja przemiany w niestałości Francuzów, w tej niestałości wiecznej, która sprawia że moda, ustawa, polityka, wada, zaleta, forma rządu lub spódnicy, dlatego nie będzie, że była.

Ze śmiercią Lamartina są cztery opróżnione krzesła w Akademii Francuzkiej. Niezadługo rozpoczną się obiory na miejsce pp. Viennet, Berryer i Empis. Kandydatów niebrak. Oto ich spis: August Barbier; Duvergier de Hauranne; hrabia Haussonville; Jules Lacroix; Leon Laya; Armand Pontmartin; Toofil Gautier; Leon Halévy; hrabia de Champagny; Ksawery Mormier; Kamil Rousset.

— Ernest Renan dał do druku drugi tom „*Apostotów*” (Św. Paweł). Następnie wyjdą dwa drugie tomy „*Les Origines.*”

— *Życie Franklina*, przez pana Mignet, wyjdzie w wydaniu ludowém, taniém.

— Dumas syn wydał powieść pod tytułem: „*Les Madelaines repenties.*”

— Professor Mezières ogłosił studyum pod napisem: „*La Société française, études morales sur le temps présent.*”

— Akademia Francuzka rozdzieliła nagrodę Bordina pomiędzy pp. Leconte de Lisle, tłumacza Homera, któremu we Francyi po Andrzeju Chenier, miłość starożytnéj Grecyi najpiękniejsze natchnęła rytmy, i Franciszka Coppée, autora jedno-aktowéj komedyi wierszem „*Le Passant*” z której zdawaliśmy sprawę w przeszłym numerze Biblioteki. Pan Coppée żądał żeby całą nagrodę oddano panu de Lisle, jego starszemu bratu w Apolinie, ale akademia nie uczyniła zadość jego życzeniu, gdyż na poparcie młodéj sławy pana Coppée przybył właśnie tom wierszy „*Poèmes modernes*” w którym śliczne znajdują się strofy. Poezya liryczna zdaje się być rzeczywistém powołaniem pana Coppée.

— Juliusz Manier który wydał zeszłego roku karty statystyczne nauczania ludowego we Francyi i Europie, przedstawił teraz oczom, dla większego działania na zmysły „postęp wychowania dawanego we Francyi przez kongregacye duchowne.” Obok plastycznego obrazu, podaje następujące cyfry:

W 1846 roku było we Francyi 49,751 szkół świeckich; w 1866 było ich 52,366, więcéj o 2615. W 1846 było we Francyi 8,805 szkół księzych; w 1866 było ich 18,305, więcéj o 9500. Do sal ochrony kongregacye przyjmowały cztery piąte całej liczby dzieci. Zatem liczba kongregacyj religijnych wzrasta, a ochron świeckich maleje. Wychowanie elementarne szybko przechodzi z rąk świeckich w ręce duchowne.

— Doktor Raciborski wydał w Paryżu ważne dzieło medyczne. Pisma tutejsze dają obszerne sprawozdania z téj pracy i rękują mu nie zwykłą sławę. Dzieło o 631 stronnicach z chromolitografiami, wyszło w księgarni Baillièrè. Wypisujemy tytuł dla użytku lekarzy polskich którzyby jeszcze o téj publikacyi nie wiedzieli:

„Traité de la menstruation, ses rapports avec l'ovulation, la fécondation, l'Hygiène de la Puberté et de l'Age critique, son rôle dans les différentes maladies, ses troubles et leur traitement.”

Florenca, d. 25 marca 1869 r.

W dniu 15 marca z Neapolu powróciłem do Rzymu. Ponieważ jednak pomimo zamówienia nie znalazłem mieszkania w hotelu, ponieważ nie chciało mi się ani mieszkać pod strychem, ani płacić ceny bajeczne, więc przebywszy trzy dni w Rzymie, jak ptak na gałęzi, uciekłem do Tappi. Tappa, szczególny nie obojętny, jest to dzisiejsze przezwisko Florenccy, zwłaszcza u klerykalnych dzienników; pochodzi stąd, że przenosząc tu stolicę powiedziano, iż jest etapem do Rzymu, z kąd Tappa Florenccy, a tappini Florenccy.

Neapol duże miéscisko, w którym czas niepogodny mnie przesładował. Jakkolwiek więcej jest o nim do pisania niż o Ryczywole, mniemam jednak iż lepiej uczynię biorąc Rzym za osnowę niniejszego listu.

W Rzymie, dokąd zaledwie dochodzi odgłos ze świata żyjących, gdzie się przebywa jak w krainie cieniów i niemal uszczypnąć się trzeba, żeby się przekonać że się jeszcze żyje: czem się zając jeśli nie przeszłością?

Nie zapuszczając się zbyt głęboko w studia archeologiczne, starałem się jednak bliżej niż ogół podróżnych, obeznać ze stanem badań co do topografii dawnego Rzymu, z usiłowaniami odszukania i odtworzenia jego zabytków. Dla zwiedzających Rzym, szczegóły które tu podam, nie będą może obojętne.

Anglicy, Niemcy, Francuzi mają w swoich językach przewodniki dla podróżnych nader dogodne i których w każdej niemal księgarni dostać można. Niemiecki Bädker istnieje i w francuzkiem tłumaczeniu; jest wcale praktyczny i niezapuszczającemu się głębiej wystarcza.

Takie przewodniki nie są dziełem uczonych, są tylko zdań ich odgłosem; podają za pewnik twierdzenia co do których między uczonemi toczą się spory, nie przedstawiając ani stanu tych sporów, ani powodów dla których na jedną lub drugą stronę się przechylają.

Więcej nieco naukowej barwy ma podręcznik Nibby'ego: *Itineraire de Rome*, w dziesiątém wydaniu w r. b. wyszły. Jest to

pod pewnym względem wyraz oficjalnej rzymskiej archeologii. Nie wiem kto sporządza nowe coraz poprawniejsze wydania pod dawną firmą, bo Nibby umarł jeszcze przed 1849 rokiem. Był to zasłużony, ale dość poziomo rzeczy biorący archeolog, którego orzeczenia niejednokrotnie przypominały mi styl dawniejszej Redakcyi Kurjera Warszawskiego.

Trudno się jednak bez niego obejść; żadne inne dzieło w zupełności go nie zastąpi.

Fundament topografii starożytnego Rzymu założył Nardini w dziele wydaném w r. 1660 p. t. Roma antica. Czwarte wydanie tego dzieła sporządził wspomniany Nibby w r. 1818.

W wieku bieżącym odznaczyli się: Fea (Nuova descrizione etc. 1820), i pierwszy archeolog rzymski Canina (L'Indicazione topografica, trzecie wydanie 1841).

Za naszych też czasów i inne narody, szczególnie Niemcy wzięli się do badań nad topografią rzymską. Epokę w tych badaniach stanowić miało i w części stanowi, zbiorowe dzieło uczonych niemieckich, p. t. Beschreibung Roms von Platner, Bunsen, Gerhard, Röstel, Urlichs, wydane w Stuttgardzie i Tybindze w latach 1830—42.

Istnieje skrócenie tego obszernego dzieła w jednym tomie, w Rzymie jednak dostać go nie mogłem.

Wiele zdań wygłoszonych przez archeologów niemieckich nie utrzymało się. Tak np. wiadomo, że Kapitol miał dwa wierzchołki, z kąd jego nazwa: bifrons, na jednym z nich wznosi się dziś kościół Ara-coeli, na drugim jest pałac Caffarelli i t. d. Powszechne było zdanie, że kościół Aracoeli stanął na miejscu świątyni Jowisza Kapitolijnskiego; na drugim wierzchołku bliżej Tarpejskiej skały inieszczono zamek (Arx) i świątynię Juno-Moneta. Wspomnieni archeologowie niemieccy chcieli to rozmieszczenie przemienić: świątynię Junony i zamek wskazali przy kościele Aracoeli. To zdanie przecież (za którym jeszcze idzie przewodnik Bädekera) znalazło w samych Niemczech przeciwników (Goettling, Braun); z Włochów i obcych nikt za niem nie poszedł i można je uważać za odrzucone.

Z późniejszych prac niemieckich przywieść można Beckera, Handbuch der Römischen Alterthümer, erster Band. Topographie. Leipzig 1843.

Braun, Die Ruinen und Museen Roms. Braunschweig 1854.

Na uwagę zasługuje opis starożytnego Rzymu p. t. Ancient Rome, przez Thomas'a Dyer (Anglika). Lecz dzieło to odznaczające się trzeźwością sądu i znajomością prac tak włoskich jak niemieckich archeologów, których obustronne argumenta streszcza, jakkolwiek wydane w r. 1864 jest przecież (jak o tém sam autor ostrzega) tylko oddrukiem odnośnego artykułu w słowniku starożytności Smitha i pisane było w r. 1856; późniejszych więc odkryć uwzględnić nie mogło. Gdyby nie to, poleciłbym je przed innymi czytającym po angielsku.

Okolicznością bowiem nie mały wpływ mającą na postępek badań archeologicznych, są przedsiębrane prace około odkopywania wysoko gruzami zawalonych pomników. Odnajdują się przytém napisy i inne wskazówki rozstrzygające rzecz stanowczo, gdy uczone dociekania archeologów tyłko do przypuszczenia doprowadzić są w stanie. Kamali sobie głowę uczeni do jakiego pomnika mogła należeć kolumna samotnie wznosząca się na forum. Wszelkim przypuszczeniom koniec położyło przedsięwzięte kosztem księżnjej Devonshire odkopanie spodu kolumny (w r. 1813), na którym umieszczony napis objaśnia, że była postawioną w r. 608 ery chrześcijańskiej przez prefekta Rzymu Smaragda, na cześć Cesarza Fokasa.

Rząd papieski oddawna ustanowił kommissaryat starożytności, który po Winckelmanie dziedzicznie niemal sprawują członkowie rodziny Viscontich (po Winckelmanie od 1769 Giambatista Visconti, po nim syn tegoż uczeńszy od ojca Ennio Quirino Visconti, dziś synowiec ostatniego Pietro Ercolano uważany za nader szczęśliwego w odkryciach).

Kommissaryat ten kieruje odkopywaniami, które obecnie na koszt rządu prowadzą się głównie przy dawniej przystani rzymskiej nad Tybrem (Emporio di Tevere) i w Ostii.

Gorliwie się tym przedmiotem zajeli Francuzi za czasów swojej administracyi w Rzymie; w r. 1863 cesarz Napoleon zakupił od neapolitańskich Burbonów ogrody Farnezyjskie, zajmujące znacznieszą część Palatynu. Systematycznie, wielkim kosztem przedsięwzięte zostało z jego rozkazu odkopanie i uprzątnienie zwalisk zalegających tę górę, pod przewodnictwem p. Rosa. Roboty które jeszcze z parę lat potrwają, odsłoniły szczątki pałaców Cesarów (Flawiuszów, Tiberyusza, Caliguli i Nerona), przysłużyły się wiece do rozjaśnienia topografii Rzymu, lecz pod względem zabytków sztuki nader skromny osiągnęły rezultat; zwłaszcza w stosunku do łożonego kosztu.

Oprócz tych systematycznie i na wielką skalę prowadzonych robót, do wielu odkryć doprowadzają: przypadek lub skromniejsze usiłowania pojedynczych osób i prywatnych stowarzyszeń. Z ostatnich wymieniamy: angielskie (brittish) archeologiczne towarzystwo, które w styczniu r. b. swoim kosztem odkopało bramę Kapeńską, (porta Capena), przytykającą do tejże część muru Serwiusza Tulliusza i wodociągu. (Po sprawdzeniu ich rozmieszczenia, te szczątki znowu zasypane zostały).

Coraz nowe odkrycia wpływają na zmianę wyników archeologicznych badań, a to tak dalece, że kiedy np. wspomniany Dyer piszący w r. 1856, dawne forum rozpoczyna od kolumny Fokasa ku wschodowi, Nibby w r. 1869, właśnie w tym punkcie Forum dawne zakończy, utrzymując, że kolumna postawioną została na Forum Cezara, będącém rozprzestrzenieniem dawnego Forum.

Obok prac około topografii dawnego Rzymu, zasługują na wzmiankę usiłowania odtworzenia w pierwotnym kształcie planu

pomników, które bądź przekształceniu późniejszemu uległy, bądź tylko w gruzach się przechowały.

Wspomniony już archeolog Canina wydał plany przywróconych do pierwotnego kształtu budowli starożytnego Rzymu w dziele p. t. *Gli edifizii di Roma antica* 4 vol-fol.

Obecnie ogłoszoną jest przedpłata na podobneż plany fotograficznie z rysunków wykonane, z tekstem w dwóch językach, włoskim i francuzkim. Wydawcy w prospekcie nie nazwali się, mówią tylko o sobie tyle: że wydaniem kieruje towarzystwo artystów (*societé d'artistes*) w *Stabilimento di belle arti* w Rzymie.

Zapowiedzianych jest plansz 60, stanowiąc mających tyleż zeszytów, cenę zeszytu naznaczono w Rzymie na 3 frcs; za granicą franco na frcs cztery. Zeszytów wyjść ma najmniej dwa co miesiąc; pierwsze dwa rozesłane na próbę z prospektem, mieszczą w sobie świątynie Jowisza Kapitolńskiego i Wenery.

Wykonanie fotografii jest staranne, lecz z prospektu nie dowiadujemy się w jakim stosunku praca niniejsza zostaje do dzieła Caniny. Tekst dołączony do planów zamieszcza wprawdzie liczne odwołania się do starożytnych pisarzy; nowszych jednakże badań archeologicznych nie streszcza, tylko apodyktycznie orzeka, że tak jest a nie inaczej, jak wydawcy podają.

Co do okolic Rzymu, tych w naszym wieku pierwszą ważniejszą mapę nakreślił i wydał w r. 1827 Sir William Gell z udziałem Nibby'ego. Już po śmierci tego ostatniego wyszło w r. 1849 drugie poprawione przezeń wydanie rzeczonój mapy z opisem dołączonym, p. t. *Analisi della carta topografica dei dintorni di Roma*. Tomów 3 wydanie drugie. Na większą skalę sporządzona jest karta kampanii Rzymskiej Caniny (w r. 1843) poprawiona w roku 1856. Wspomnieć nadto wypada kartę okolic Rzymu wydaną w Berlinie u Schroppa r. 1853.

Nareszcie księgarz Piale w Rzymie wydał w r. 1862 plan kampanii Rzymskiej w stanie dawnym i nowoczesnym, na skalę 1:10000 dedykowany lordowi Vernon i używający wziętości.

Plany dawnego Rzymu (samego miasta) usiłowano skreślić jeszcze w XVI wieku. Zwykle i na planach nowoczesnego Rzymu wskazane są ważniejsze dawne ruiny.

Co do historyi miasta tę wydaje w 3 tomach Alfred Reumont w Berlinie: (*Geschichte der Stadt Rom* 1867). Dotąd wyszło tomów 2 i część 3go: pierwszy do upadku państwa, drugi do 1420 r.

Historyą Rzymu w średnich wiekach napisał również Niemiec Gregorovius: *Geschichte der Stadt Rom im Mittelalter*. Stuttgart 1858—65, tomów 6. W r. b. zaczęto drukować drugie wydanie tego dzieła. Tom pierwszy już wyszedł.

F. Z.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Czy w literaturze naszej było dwóch współczesnych sobie Stanisławów Sarnickich?

(Zadanie do ostatecznego rozstrzygnięcia).

W krytyce Historii literatury Juliana Bartoszewicza, przez uczonego Józefa Łukaszewicza drukowanej w Bibliotece Warszawskiej na rok 1861 (Tom III str. 393) i powtórnie teraz przy rozbiorze p. Antoniego Bądzkiewicza Literatury Polskiej Rycharckiego umieszczonym tamże w T. I z r. b., czyniono obu wspomnianym pisarzom zarzuty, iż z dwóch Sarnickich utworzyli jednego, czyli że Stanisława Sarnickiego katolika, historyka, zrobili kalwinem, pastorem w Niedźwiedziu, gdy już z dzieł Janockiego powinni byli wiedzieć, o istnieniu dwóch tegoż samego imienia i nazwiska osob: to jest jednego świeckiego autora Roczników i Statutów, który był wojskim krasnostawskim, drugi zaś pastor w Niedźwiedziu, w końcu senior zborów kalwińskich w dystrykcie krakowskim, jest tylko autorem kilku dzieł polemicznych. Spór to mało napozór znaczący, zasługuje jednak na bliższą uwagę, choćby dlatego, aby raz przecie dotrzeć pod tym względem prawdy, zwłaszcza że nie tylko pp. Bartoszewicz i Bądzkiewicz, ale przed nimi inni w większej nierównie liczbie byli tegoż samego za jednym zdania, a w mniejszej za dwoma.

Nie mając zatem na celu niczyjjej obrony, radzi tylko wyjaśnić, co może być jeszcze wątpliwe, sprawę o Sarnickich wytaczamy na nowo przed sąd publiczności.

Rzecz się tak ma:

W literaturze naszej XVI stulecia przez lat 33, to jest od 1561—1594 roku, były drukowane dzieła lub dotąd pozostały w rękopismach, w językach łacińskim i polskim, a w przedmiotach

religijno-polemicznych, politycznych, geograficznych, historycznych i prawniczych i o sztuce wojskowej, wyszłe z pod pióra Stanisława Sarnickiego. Podług swęj treści, powodu powstania, napisów na tytule, lub wskazówek wewnątrz znajdujących się, religijno polemiczne pisał od 1561—1566 roku, znany dobrze w dziejach wyznania helweckiego w Małéj Polsce minister zboru w Niedźwiedziu, potém jeden z seniorów zborów kalwińskich w dystrykcie krakowskim; inne zaś od 1575—1594 roku są już świeckiego autora, który był szlachcicem ruskim, właścicielem posiadłości ziemskiej w Bełzkiem, wreszcie wojskim krasnostawskm.

Współcześni piszący o dziejach wyznań religijnych, lub w ogóle o literaturze naszego kraju, wyżéj wspomniane dzieła przyznawali jednemu i temu samemu Stanisławowi Sarnickiemu, który jakoby pierwotnie gorliwy kalwin, za nadejściem niepomyśluch czasów, za przykładem wielu innych opuścił broniąną sprawę, zostawszy wedle jednych katolikiem, inni zaś twierdzą iż usunąwszy się tylko w zacisze wiejskie, zajmował się pożytecznemi dla ziomków literackimi pracami.

Tak pomiędzy innymi utrzymuje Kacper Cichocki kanonik i proboszcz sandomieński, w dziele niéstusznie jezuitie Sawickiemu przyznawaném, pod tytułem: *Alloquiorum Osiecensium Libri V* drukowaném w roku 1615, gdzie w księdze I na str. 93 czytamy o Sarnickim, iż ten zniechęcony niepowodzeniem, nagle opuścił stan duchowny kalwiński a przywdziawszy szlachecką zbroję wrócił do wiary przodków i grona obywateli. Zdanie co do tożsamości osoby potwierdzają dawni jego współwyznawcy współcześni i późniejsi, a dobrze rzeczy świadomi dziejopisarze kościoła ewangelickiego Andrzej Węgierski w dziele *Historia kościoła słowiańskiego* wydaném w r. 1652 p. t. *Systema historico chronologicum Ecclesiarum Slavonicarum* na str. 413 i Stanisław Lubieniecki w swéj *Historii reformacyi w Polsce ogłoszonéj po jego śmierci* w r. 1685 p. t. *Historia reformationis polonicae Lib. 2 p. 131*. Zgadza się pod tym względem najbliższy tych czasów Szymon Starowolski w swoich pochwałach ludzi uczonych *Scriptorum polonicarum Hecatontas 1625, Elogia 46*, tudzież biegły w dziejach domowych i rodowodach szlachty heraldyk Kacper Niesiecki (T. III str. 40) który dokładnie pisze: „Sarnicki po różnych uacyach peregrynując chwycił się tóż był kalwińskiej wiary, którój żwawo broniąc, zasłużył sobie u swoich że go superintendentem obrali, potém jednak porzuciwszy tę funkcję, a jednakże nie błędy, na ziemiańskiej fortunee siedząc, nadzieją się karmił że za prace swoje w różnych do druku podanych księgach podjęte, miał więcéj i w honorze i fortunie profitać.” Wreszcie nie wątpił o tém najgruntowniejszy z naszych bibliografów biskup J. A. Załuski w swéj *Bibliotece historyków* str. 2 i 24. Na mocy zaś powagi tytu. powtórzyli W. Mizler in *Collectio magna* I p. 232, Bentkowski, Michał Wiszniewski, W. A. Maciejowski, Bartoszewicz, że nie przytaczamy innych o brak krytyki już obwinionych, np. Siarczyńskiego, Chodynieckiego i t. p.

Zkąd zatem właściwie powstała wiadomość że było dwóch współczesnych sobie Sarnickich?

Najdawniejszy znany nam w tej sprawie wniosek uczynił Jan Bogumił Krauze professor historii w Uniwersytecie Lipskim, który w przedmowie do drugiego tomu Historii Długosza drukowanego w Lipsku 1712 r. skreślił rozprawę o dziejopisarzach polskich i od str. 32—45 dość obszernie rozwiódł się o Sarnickim i jego dziełach. Doczytawszy się zaś w tychże i innych że autor był zaszczytowany zaufaniem i opieką królewską, zajmował się obok literatury ziemiaństwem, pracował lat 10 nad historią, pisał także o sztuce wojskowej i sprawował godności świeckie, zdawało mu się niepodobnym aby tenże sam mógł być kiedyś „duchownym i innowiercą, chociaż za tém przemawiały znane mu świadectwa Cichockiego i Starowolskiego. Według jego przeto zdania, dopuścić raczej wypadało bytność dwóch tegoż imienia i nazwiska współczesnych sobie osób. Rzuconą w ten sposób wątpliwość podjął ostry i surowy krytyk naszych pisarzy Dawid Braun w dziele wydanem w roku 1723 p. t. *De Scriptorum poloniae* na str. 40. Zebrał on i roztrząsał troskliwie wszystkie po temu dowody, z jednej i drugiej strony, ostatecznie jednak nie mógł się na żadną zdecydować; gdyż o ile historyka Sarnickiego znalazł w dziełach pisarzem świeckim, o tyle w przekonaniach i wyrażeniach tamże znajdujących się nie wątpliwym różnowiercą. Zresztą tyle odkrył śladów przemawiających za i przeciw, iż naprawdę nie wiedział czego się trzymać.

Dopiero śmiało i stanowczo w tej mierze wydał wyrok Daniel Janocki znakomity bibliotekarz Biblioteki Załuskich, znalazłszy w rękopismach teże, list Jakóba Górskiego znanego w literaturze teologa, do Piotra Myszkowskiego biskupa krakowskiego z dnia 15 marca 1573 roku, w którym piszący donosi o nastąponiej śmierci Stanisława Sarnickiego kalwina. List ten tak silnie trafił do przekonania Janockiego, iż na zasadzie tegoż rozdzielił Sarnickiego na dwie osoby i pierwszy w r. 1779 skreślił chociaż pobieżnie odrębne każdego życie (*Janociana T. II str. 238—245*).

Według niego tedy jeden Stanisław Sarnicki szlachcic, rodem z krakowskiego, nauki odbywał w Wittemberdze, gdzie słuchając wykładów Lutra i Melanctona przeszedł na wyznanie helweckie. Za powrotem do kraju został ministrem w Niedźwiedziu, czynny na sejmach i synodach w sprawach różnowierców, odznaczając się wymową i pismami, mianowany był seniorem dystryktu krakowskiego i jako taki znajdował się na synodzie w Sandomierzu 1570 roku, wreszcie umarł w r. 1573.

Drugi jemu współczesny szlachcic ruski, herbu Ślepowron, katolik zawsze gorliwy, chociaż nauki pobierał w Królewcu na kościele Alberta księcia pruskiego. Wprawdzie z powyższego powodu w pismach swoich przychylnie wyrażał się o ewangelikach, sam jednak trzymał się stale wiary ojców. Od młodości pilnując roli i dworu, był wojskim krasnostawskim, wydawał dzieła wierszem i prozą i żył jeszcze przy końcu 1593 r. Za Janockim poszli

Kazimierz Chromiński w rozprawie o Literaturze polskiej 1806 r. a nawet tak gruntowny jej znawca Józef Łukaszewicz, który nadto od tylu lat korzystnie pracując nad dziejami naszych różnowierców, musi mieć słuszone do tegoż zdania przyczyny. Co do nas nie wdając się w szczegółowy opis życia i dzieł Sarnickiego, zwłaszcza że w skróceniu znajduje się już w Encyklopedyi Powszechnej Orgelbranda (T. 22 str. 970), chcielibyśmy rozważyć o ile są niewzruszone główne dane, aby na ich mocy ustalić się mogła niezaprzeczone bytność dwóch tegoż samego imienia i nazwiska osób.

Przedewszystkiém ośmielamy się mniemać, iż list o śmierci Sarnickiego w r. 1573, przywiedziony przez Janockiego, zawierał jak dotąd często się zdarza, wiadomość co najjnniej przedwczesną. Byłby na to nawet istotny dowód, gdyby można sprawdzić przytoczone przez Hoffmana (*De typographiis str. 37.*) dzieło mieszczące odpowiedź na artykuły Sarnickiego podane przez niego na sejmie 1578 r. Lecz i tak szczegóły życia które w jego własnych dziełach znajdują się, tudzież ślady archiwalne dotyczące się tej rodziny, aczkolwiek rozproszone, zebrane razem, dostarczają niewątpliwe dane sprzeciwiające się owemu rozdzieleniu, a co większa przekonują że Janocki pomięszał wiadomości prawdziwe z domyślnemi. Według niego dwie rodziny szlacheckie tegoż samego nazwiska, jednocześnie mieszkaly w Krakowskiém i na Rusi. Otóż akta metryki koronnój i akta sejmowe obejmujące czynności właścicieli ziemskich z tej epoki, nie zawierają żadnych śladów o piérwszych, a wszystkie odnoszą się do osiadłych w Belzkiem. Tam znajdujemy Jana Sarnickiego właściciela wsi Lipsk i Zakłodzie nad rzeką Pur położonych; po którego zgonie żona Elżbieta z Gorzkowskich wraz z pełnoletnimi synami Janem, Mikołajem i Stanisławem, często występują (Ks. Metr. 54 f. 192, 88 f. 301, ks. 90 f. 79, 133 f. 456 138 f. 11 *Conventionalia* ks. 4 f. 14 f. 405, ks. 15 f. 862, ks. 43 f. 747, 839). Wszyscy téż heraldycy nasi nie znają innych, i zgodnie z temi aktami co do miejscowości dają jednemu Stanisławowi Sarnickiemu wyżej wymienionych ojca i matkę, wieś zaś Lipsk dziś miasteczko Lipsko w Galicyi w obwodzie Żółkiewskim, znane jest iż było gniazdem rodziny Sarnickich herbu Ślepowron. On sam także wydawszy z druku, Opis Polski pod wyrazem Lipsk, wskazuje iż był dziedzictwem familii i miejscem jego urodzenia; a wymieniając tamże *Kinsberg* (Królewiec) przytacza iż w mieście tém pobierał nauki na koszcie księcia Alberta pruskiego; dalej zaś pod wyrazem *Górka*, wspomina iż współuczniami jego byli Górkowie, rodzina należąca wówczas do najgorliwszych ewangelików. Opiekun zatem stojący na czele reformacyi, szkoła wyłącznie jej celom poświęcona, tudzież szkolui towarzysze, dopatrzeć w nim współwyznawcę pozwalają. Ruski szlachcic Sarnicki mógł być tedy ewangelikiem.

Rok urodzenia mamy podobnież w dziełach jego oznaczony; czytamy albowiem w przedmowie pisanój w r. 1592 do statutów drukowanych w roku 1594, iż mu wtedy 60 lat już minęło. Wszel-

ka przeto działalność jego w tym przeciągu czasu, nie sprzeciwia się tożsamości osoby. Podróżował on, powiada Starowski za granicą (Elogia 46) i powrócił do kraju z Genewy będąc uczniem i ulubieńcem Kalwina, podług współczesnego Wargockiego (*Apoloogia str. 93*). Opuszczamy znane dzieła, tudzież urzęda które następnie pomiędzy wyznawcami piastował, oraz czynności jego w latach od 1556—1570. Nadmieniamy wszakże, iż w prowadzonej przez niego żarliwej polemice piśmiennej z przeciwnikami, wywyższał się zawsze ze swojego szlacheckiego pochodzenia. Zresztą najdokładniejszych o nim w tym czasie wiadomości dostarczył zaśluzony w literaturze Józef Łukaszewicz w dziele p. t. *Dzieje kościoła wyznania helweckiego w dawnj Małopolsce* (Poznań 1853). Tam na roku 1570 przy opisie zjazdu w Sandomierzu, w którym Sarnicki senior dystryktu krakowskiego brał jeszcze udział, ustają wszelkie o nim wzmianki. Nie idzie jednak za tćm aby zniknął zupełnie ze świata, owszem chcąc poprzeć zdanie Cichockiego o zniechęceniu i zrażeniu się od bronionj sprawy przez Sarnickiego i zarazem potwierdzić co napisał Niesiecki, iż tenże zmienił stan ale nie wyznanie. Czas ten właśnie odpowiednio wypadła.

Wiadomo że zgoda sandomińska, a raczej zwady jakie po niej powstały, były bardzo dla reformacji w kraju niepomyślne. Najznakomitsi jej zwolennicy: Radziwiłł Sierotka, Chodkiewicz i wielu innych, powróciło na tćno katolickiego kościoła. Nastawały już nieprzyjazne dla niej czasy. Różnowiercy naciskani przez Jezuitów lub zmuszeni ówczesnym stanem rzeczy, tćmnie sprawę swą opuszczali. W ich liczbie mógł być Sarnicki. W każdym razie dopiero w r. 1575 ukazuje się z druku pod tćm imieniem i nazwiskiem dzieło świeckiej treści, z podpisem na tytule: iż autorem tego jest Stanisław Sarnicki szlachcic ruski, a w r. 1582 wychodzi inne tegoż dzieło historyczne, napisane w r. 1580, nad którćm sam powiada że 10 lat pracował. Otóż daty te wspierają wielce wniosek: że Sarnicki szlachcic, minister kalwiński, przestawszy się zajmować przedmiotami religijnymi, w tych latach, a nie wprzód, będąc zawsze szlachcicem ruskim, wyłącznie oddawał się rzeczom świeckim, zaś dziesięć lat zajmowania się historją wypadła właśnie od roku 1570, czyli od czasu kiedy niknie ślad działalności jego w kościele kalwińskim. Mamy tedy wytłumaczony jeden punkt sporny co do jego zatrudnienia w tym przeciągu lat. Z tegoż samego źródła pochodzi wiadomość iż z polecenia króla Stefana pisał swoją historją, a w aktach Metryki koronnej znajduje się przywilej tego monarchy wydany w Warszawie dnia 22 marca 1578 r., na drukowanie i wyłączną sprzedaż pod karą 10,000 dukatów: *Historji wojen Commentarii bellici* pisanj przez Stanisława Sarnickiego, szlachcica poddanego i pod opieką jego będącego (*nobilis subditus et cliens noster*) (Ks. Metr. 118, f. 344); które to komentarze, niewiadomo, czy pod tym tytułem wyszły z druku, lub tćż są to późnij ogłoszone jego *Roczniki (Annales)*, albo pozostawione w rękopiśmie księgi hetmańskiej. Cóżkolwiek-

bądź, rzecz ta objaśnia się w następnym jego dziele: opisu Polski drukowanej w r. 1585, gdzie na czele umieszczony jest list Jakóba Sienińskiego kasztelana lwowskiego, jednego z najgorliwszych ewangelików w Polsce do Stefana Batorego. W którynto liście czytamy: że Sarnicki znany był dobrze królowi, że czyny jego jak należało w kilku pismach drukiem wystawiał; wdzięczny zaś monarcha miał go wziąć pod szczególną swoją opiekę i w urzędowym dyplomie łaskę i obronę zapewnić. Znajdujemy więc przyczynę, a nadto wyraźne ślady osobliwej protekcji, której snadź autor dla swój przeszłości i wyznania potrzebował. Za tём ostatniem przypuszczeniem przemawia także powstanie wyżej wymienionego dzieła, ułożone ono bowiem zostało z zebranych materyałów, gdy Sieniński będąc w r. 1582 wyznaczony przez króla Stefana do opisanja kraju, przybrał sobie do pomocy Sarnickiego, nie tylko z powodu jego zdolności, ale i dlatego że był jego dawnym przyjacielem i współwyznawcą. Ztąd w dziele znajduje się wiele szczegółów i osobny nawet ustęp o herbie Dębno, poświęcony dla uczczenia rodziny i opisu życia i spraw Sienińskiego, który umieszczony przy końcu, niedostaje w wielu egzemplarzach, dlatego że mógł być z łatwością przez katolików odjęty, jako korzystny dla rozkrzewiciela socyanizmu i założyciela znanj ich szkoły w Rakowie. Dodajmy do tego że w toku Roczników historycznych Sarnickiego, drukowanych własnym jego kosztem naprzód podobno w skróceniu w r. 1582, a potём obszerniej w r. 1587, znaleźć można łatwo nie jedno zdanie przychylnie ewangelikom i wcale nie katolickie, jakeimi są np. w ks. 6, str. 213 i w ks. 7, rozdz. 12, 15, 18. Przytoczona zaś w ks. 6, str. 261 własna jego „Historja kościelna” którą on miał napisać, aczkolwiek dotąd nieznaną, jest zawsze śladem poprzedniego stanu autora. Zważając wreszcie że współczesne duchowieństwo katolickie, drukując w Krakowie i Zamościu w latach 1603, 1604 i 1617, spisy ksiązek w kraju zakazanych, umieszczało zawsze Stanisława Sarnickiego w klasie pierwszj, czyli tam gdzie byli wskazywani autorowie dzieł, bezwarunkowo zabronionych. Wszystko to trafia do przekonania, o tożsamości osoby i czyni prawdopodobnym, że jeden i ten sam był poprzednio duchownym, następnie świeckim pisarzem a przytём pozostał zawsze wiernym swoim przekonaniom. Gdy zaś z latami ostygł w zaciętości, był także w dziełach i wyrażeniach swoich bardzo umiarkowanym i oględnym, mógł przeto arcy-katolicki Zygmunt III bezpiecznie obdarować go za poniesione trudy i koszta urzędem wojskiego krasnostawskiego. Lecz posada gdzieindziej dochodna, nie musiała być dla niego dostateczną, skoro autor jeszcze przy schyłku życia, starał się podnieść swój majątek styrany, jak pisze na usługach kraju. W zamiarze tedy poprawienia swego losu „w starości, według jego słów i nie będąc wcale jurystą,” zajął się wygotowaniem zbioru praw krajowych. Z tą pracą jeździł po sejmikach i sejmach przedstawiając ziomkom jej użyteczność i potrzebę. W końcu nie nad obietnice nie wskórawszy, wydru-

kował ją podzieloną na kilkanaście ksiąg, z których każdą komu innemu z dostojników tak duchownych jako i świeckich, bez różnicy wyznania przypisał. W wyborze swoim trzymając się wyłącznie interesu przedsięwzięcia, pierwszą księgę ofiarował królowi Zygmuntowi III, a przy jej dedykacji podpisał na dole: *Datum Lipsiae in Rusi, vni oyczystey, anno 1592 octava septembris*, która to data jest ostatnim jego życia śladem.

Pozostaje jeszcze kwestya: czy tenże sam Sarnicki mógł być kiedy wojskowym, chociaż jest autorem dzieła o tej sztuce; dzieła które stawiano także na dowód przeciwny tożsamości osoby. Pierwszy Krauze wyczytawszy w jego Rocznikach (na str. 345) wzmiankę o napisanej przez niego *Campiductoriae libellus*, tudzież w wierszu Jana Jaskrowicza wydrukowanym w pochwałach Starowolskiego na cześć Sarnickiego, iż ten pozostawił po sobie pracę o sztuce hetmańskiej (*Campiductoribus artem*) wprawdzie nie mógł jej oznaczyć dokładnie, ztąd jednak i z napomknienia Cichockiego wnosil o rycerskim stanie autora, wahając się tylko co do rodzaju broui. Za nim poszedł Braun, a nawet Wiszniewski przyznawał, że „Sarnicki opuściwszy stan duchowny kalwiński służył potem wojskowo, co i napisane przez niego dzieło o strategii i taktyce potwierdzać zdaje się, lubo niewiadomo pod jakim znakiem i jak długo na żołnierce strawił” (Tom VII, str. 406). Rzeczony dzieło według innych miało być drukowane w Wenecyi pod tytułem: *Campiductoriae libellus*, tak przynajmniej utrzymywał Mizler (T I, str. 233). Otóż spór i w tym względzie objaśnić się daje. Skoro Sarnicki nie będąc „wcale jurystą” wydał przeciw dzieło prawnicze, to mógł nie służąc w wojsku pisać także i o tej sztuce, jak to uczyniło kilku innych naszych dawnych autorów. I rzeczywiście przez lat szesnaście zbierał on po temu materiały, nad którymi trzy lata pracując wygotował w języku łacińskim *Commentarii militares*, następnie obszerniej na polskie sam je przełożył pod tytułem: „*Księgi hetmańskie z dziejów rycerskich wszystkich wieków zebrane i praktyka hetmanów naszego wieku, objaśnione ku ćwiczeniu młodych ludzi*.” Ogromne to dzieło składające się z dziesięciu ksiąg, obejmuje we wszystkich szczegółach co tylko do ówczesnego zawodu rycerskiego, wypraw wojennych należało. Autor korzystał z cenniejszych pisarzy dawnych i nowszych, którzy o sprawie wojennej pisali. Życzył sobie Sarnicki aby te księgi drukiem ogłoszone zostały, ale Stefan Batory, któremu przypisane były nie zezwolił z przyczyny jakoby dlatego, żeby postronne narody w sztuce wojennej nie doskonalili się. Z tego lub innego powodu pozostały tedy w rękopiśmie, przechowanym dotąd w kilku kopiach. Obejmują one kilkaset arkuszy i ozdobione są wielą rysunkami machin, wojennych szyków, obozów i bitew; pomiędzy którymi są bitwy pod Dombrową, Obertynem, Orszą i t. p. Ciekawy ten rękopis znajduje się teraz w bibliotece Ossolińskich we Lwowie i w bibliotekach w Dzikowie i Podhorcach. Wiadomość zaś o nim tudzież niektóre wyjątki umieszczone w Czasopiśmie Ossolińskich na

r. 1830 i w Ojczystych Spominkach Grabowskiego. O ile więc ten rękopism znamy, nigdzie w nim niema żadnej wzmianki o wojskowym kiedy stanie autora, obecności w opisywanych wyprawach, lub stosownej do przedmiotu jego właściwości, gdy o braciach swoich czynnie służących wtedy w kraju wojskowo, wspomniéé przy wskazanych zdarzeniach nie zaniedbał. Niema téż o tém śladu w źródłach archiwalnych, ani w innych dziełach Sarnickiego, owszem powiada on wyraźnie, iż nauki wśród gospodarских nabywał kłopotów. Co téż potwierdza plan, treść, źródła i przeznaczenie samego dzieła, które w cichym zakątku i bez właściwego usposobienia mogło być i było z łatwością wykonane. Człowiek tak wysoko ukształcony, chciał być zawsze swoim bliźnim pożytecznym; szukał więc i wynajdował po temu przedmioty, niekoniecznie może w widokach zysku lub chwały, o co go pomawiał Niesiecki.

Zestawiając powyższe dane: czy wniesiona sprawa o Sarnickich dostatecznie się wyjaśni; niech to bezstronnie prawdę miłujący czytelnik osądzi, a w każdym razie za niepowabną szperanię wybaczy.

F. Max. Sobieszczański.

*Zarząd gospodarski, przez Leona Kąkolewskiego.
Warszawa. 1869 r.*

Uboga nasza literatura rolnicza, w dzieła gospodarze poddyktowane samodzielnością doświadczeń i praktyki autorów, z upragnieniem wita prace tego rodzaju, wsparte spostrzeżeniami piszących z własnego doświadczenia; po większej części bowiem to co dotąd posiadamy, jest albo tłumaczeniem lub kompilacją dzieł agronomicznych francuzkich i niemieckich. Nic téż dziwnego, że w dziełach téj kategorii zalecane przepisy postępowania, nieraz w innych okolicznościach właściwe, u nas pod innemi warunkami klimatu, wpływów ekonomicznych i stanu kultury, nie okazują się zawsze praktycznemi i stają się przyczyną zawodu, rodzącego wstręt do korzystania z nowych zdobyczy na polu wiedzy agronomicznej, wykrytych z postępem i rozwojem nauk przyrodniczych i ekonomicznych.

W interesie postępu i rozwoju rolnictwa naszego, pożądaniemi więc są prace samodzielnego zapatrywania się na stosunki rolniczo-ekonomiczne kraju, do którychto prac zaliczyć można, wydany nakładem *Gazety Rolniczej* „Zarząd gospodarski.”

Dziełko to, jak sami tytuł objaśnia, obejmuje wyłącznie wszelkie szczegóły dotyczące umiejętnego i racjonalnego zarządu, a zarazem jest niejako wskazówką należytego kierunku wszelkich produkcyjnych prac rolnika. Autor znając administracyjne usterki naszych gospodarstw, dotyka prawie najważniejszej jego strony,

a wnikając w potrzeby organizacyjne, w szeregu przedstawionych prawd, nie ogranicza się na samym rutynicznym poglądzie, ale wyświeca zarazem ogólne elementarne prawdy ekonomiczne, mogące służyć za przewodnika w odmiennych położeniach pojedynczych gospodarstw.

Celem bliższego zapoznania z przedmiotem i zapatrywaniem się autora, przejrzyjmy pokrótce treść dziełka, pozwalając sobie zarazem poczynić w szczegółach niejaki uwagi.

W części pierwszej przystępuje autor najpierw do rozbioru głównych czynników produkcji rolnej, za jakie uważa: *grunt* czyli rolę, *kapitał* służący do wprowadzenia w ruch sił produkcyjnych, *rozporządzalne siły robocze i przymioty umysłowe*. Obznajmiając z wzajemnym oddziaływaniem tych czterech czynników i z wpływami jakie na produkcję wywierają, różnicę, jaka zachodzi pomiędzy przemysłem rolniczym a handlowym, uwydatnia autor głównie tćm, że kiedy pierwszy nie zawisłym jest od przestrzeni, przemysł rolniczy głównie od obszerności swego warsztatu czyli gruntu zależy, i podlega zarazem siłom przyrody, na które tylko pośrednio oddziaływać można. Z przyjęciem i zastosowaniem sposobów uprawy, radzi tćż przedewszystkiem stosować się do pewnych danych okoliczności, tak pod względem przymiotów gruntu, klimatu, położenia ludności, punktów zbytu i t. d.

Szkoda jednak wielka, że autor ograniczył się na ogólnikach i nie dał dotykalszych pod tym względem wskazówek dla naszego rolnictwa, a mianowicie pod względem ogólnego kierunku produkcji, i rozwoju kultury krajowej, co byłoby bardzo pożądanćm.

Mówiąc o kapitale, tym bardzo ważnym dziś czynniku produkcji, autor dzieli kapitały na *stałe* czyli *nieruchome*, których obecność w pewnym rozwoju jest konieczną dla produkcji, i na kapitały *ruchome* czyli *obiegowe*, zmieniające swą postać i używane stosownie do woli posiadacza.

Podział taki pod względćm głównego określenia, jest rzeczywiście zasadny, w szczegółach jednak mało pouczający dla mniej umiejętnych, aby w praktycznym zastosowaniu potrafili wyróżnić użyte kapitały. Sądzimy nawet, że w obec dzisiejszego rozwoju rolnictwa i coraz powszechniejszego zapotrzebowania nawozów sztucznych, zaprowadzania nawodnień, osuszań i t. p. potrzebnćm jest koniecznie wyróżnianie kapitałów używanych na *melioracye* czyli *ulepszenia*, a to z uwagi ich rozmaitego procentowania i obiegu.

Przechodząc nastćpnie do trzeciego czynnika produkcji rolniczej, dotyczącego *rozporządzalnych sił roboczych*, od którego zawisłym jest kierunek gospodarstwa w miarę ilości i kosztów robocizny, autor zwraca uwagę na korzyści robocizny wydziałowej tak dla gospodarzy jak i robotników, co rzeczywiście powinno być staraniem rolników, skierowanćm do ogólniejszego rozpowszechnienia.

Przystępując dalej do czwartego czynnika produkcji, dotyczącego *osobistych przymiotów kierującego gospodarstwem*, rozwija autor racjonalny i zdrowy pogląd, jednoczący teorią i praktykę, z których każda osobno wzięta jest jednostronną i nie wystarcza dziś do należytego pokierowania, prac rolniczych. Słusznie też twierdzi następnie, że uniejętnemu zarządowi obok praktyki, potrzebną jest gruntowna znajomość nauk przyrodniczych jak: chemii, fizyki i t. d., aby na wyrozumowanych zasadach opierając swoje poglądy, umiał obrać najprostsze drogi do właściwych celów prowadzące.

W dalszym ciągu mówi autor o dochodach brutto, o cenie ziemi, stanie urodzajów, kosztach produkcji, konkurencji targowej, własności produktów, co do przechowania się bez zmiany, o usiłowaniach prawodawczych, środkach zamiany, środkach komunikacyjnych o odległości targów czyli punktów zbytu, dochodzie czystym, i o tak zwaną rencie gruntowej.

Pod rentą gruntową rozumie autor tę część czystego rolniczego dochodu, jaka pozostanie po potrąceniu z dochodu ogólnego, kosztów produkcji, odsetków czyli procentów od kapitałów rolniczych i zysku przedsiębiorczego.

Jestto definicya renty gruntowej jak ją chce uważać autor zbijając tém określeniem pojęcia o rencie Ricarda i twierdzenia wielu innych ekonomistów, nie dające się zastosować w praktyce. Nie można jednak podzielać również i zapatrywania się autora, ani też dopatryć praktyczności, skoro każe szukać renty gruntowej po za kosztami, procentami i zyskiem, kiedy właśnie w praktycznym pojęciu, renta gruntowa nie jest czem inném, tylko ową częścią czystego zysku, jaki przynosi nam ziemia po potrąceniu procentów od jej wartości i kosztów produkcji z odsetkami. To więc co pozostaje nadto, czyli to co jest zyskiem, jest ową rentą, mającą toż samo znaczenie, jakie ma dywidenda w przedsiębiorstwach przemysłowych, z tą jedynie różnicą, że w rencie gruntowej oprócz kapitału i inteligencji, przyjmuje udział naturalna rodzajuność ziemi, czego w dywidendzie przemysłowej nie ma.

I tak: jeżeli wartość morga pewnej ziemi ocenia się na rsr. 50, a kosztą produkcji pewnego artykułu wynosiły rsr. 10, to wraze otrzymania 20 rsr. dochodu brutto z téjże morgi, potrąci się 5% od wartości ziemi, zatem rsr. 2 $\frac{1}{2}$, kosztą produkcji w ilości rsr. 10 i procentu od tegoż kapitału wydanego na kosztą produkcji, przypuścimy pożyczonego na 10%, a zatem rsr. 1, czyli razem rsr. 13 $\frac{1}{2}$. Odjąwszy tę summę od dochodu brutto, reszta w ilości rsr. 6 $\frac{1}{2}$ będzie już czystym zyskiem czyli ową rentą gruntową, w której odbiera swe wynagrodzenie kapitał, praca i inteligencya o tyle, o ile przyczyniły się do podwyższenia przyrodzonej żyzności gruntu.

Dziś inaczej w praktycznym zastosowaniu renty gruntowej obliczać nie można, odkąd z postępem ulepszeń rolniczych, nie

poprzestaje rolnictwo na wyszukiwaniu jedynie tylko przyrodzonej żyzności gruntu, ale kiedy kapitał, praca i inteligencya, głównymi stały się działaczami.

W drugiej części mówi autor o wyborze i urządzeniu gospodarstw, zestawiając korzyści i niekorzyści tak zbyt wielkich, jak i zbyt małych posiadłości, niezapewniających ogólnego dobrobytu kraju: gdyż widzimy że tam, gdzie jeden lub drugi system przeważa, zewszę w jego następstwach rozwija się nędza i tworzy się tak zwany proletaryat rolniczy, który przy podzielności gruntów na same wielkie własności, stanowi proletaryat wyrobniczy jak w Anglii, a który przy zadalekiem rozdrobnieniu, jest proletaryatem właścicieli i dzierżawców, jak we Francyi i Irlandyi.

Najodpowiedniejszemi zdaniem autora byłyby więc gospodarstwa średnie, w których dają się osiągać korzyści z użycia machin, i gdzie mogą być wprowadzane z większą łatwością ulepszenia gospodarcze.

Taki układ gospodarstw, zawisłym jest jednak od wielu okoliczności miejscowych i nie wszędzie w ogólnem zastosowaniu przedstawiałby bezwzględne korzyści, a jak u nas nie wszędzie jeszcze odpowiedni stosunek zaludnienia, warunkowałby powodzenie tego rodzaju gospodarstw.

Sądzę że z biegiem czasu najekonomiczniejsze ugrupowanie się własności ziemskich pod względem obszerności samo przez się nastąpi, byle nie krępowały właścicieli bezzasadne ograniczenia prawodawcze, tak co do podzielności jak i łączności gruntów.

Dalej mówi jeszcze autor, o sposobach władania gospodarstwem, o stosunkach przy témże władaniu zachodzących i o nabywaniu gospodarstw, odradzając słusznie nabywania za pożyczane pieniądze, od których wyższy procent opłacać trzeba, aniżeli zapewnić może rzeczywisty dochód gruntowy.

W końcu dotykając kwestyi *administracji i dzierżaw*, zwraca piszący uwagę na potrzebę długoterminowych umów dzierżawnych, jako najpierwszego warunku zachowania posiadłości od zupełnego wyniszczenia, gdyż w takim tylko razie jest interesem dzierżawcy stałe pomnażanie produkcji, co jest zarazem korzyścią właścicieli w stopniowém pomnażaniu się urodzajności gruntów, a tém samym wartości majątku.

Taką jest w szczegółach treść dziełka, ze znajomością rzeczy opracowanego, które ziemianom polecić można.

Zygmunt Jaroszewski.

Odpowiedź na krytykę pana Bronisława Strzemińskiego, zamieszczoną w zeszycie IV Biblioteki Warszawskiej, za kwiecień 1869 r.

Pan Bronisław Strzemiński, autor krytyki mojego „Zarysu filozofii natury, na wstępie zaraz z ukrytą ironią, robi nacisk: że „praca moja w 8 ce i że z 236 tylko stron druku złożona, a traktuje tak rozległy przedmiot, na który „niewielubcy uczonych odważyć się mogło”. Tytuł książki, jest mowi, ponętny, ponieważ przedmiot sam z siebie jest bardzo zajmujący, a nadto, literatura polska, w podobnego rodzaju dzieła jest najuboższą, i stanowi *supelną sprzeczność z literaturą francuzką, angielską i niemiecką*, gdzie znakomite prace podobnej treści, liczą się na dziesiątki”.

Daléj krytyk z ujmą dla pracy mojej przypisuje Talesowi, półtrzecia tysiąca lat temu żyjącemu, myśl, że wszystkie ciała są odmianami jednéj i téj saméj materji (wody), czego jednak Tales nigdy nawet ogólnikowo o siłach nie powiedział. Zdanie więc Talesa, które należy jeszcze do Egipcyan a najprawdopodobnie, do najstarożytniejszych poetów greckich (1) jeżeli się może odnieść, to tylko do jednéj części pracy mojej, *do materji*; nigdy do całej pracy, gdzie mowa jak wiadomo i o siłach. Daléj str. 139. Bibl. Warsz. w tymże samym ustępie dodaje: że *dzis wrócono do téj saméj teoryi z tą różnicą, że w miejsce wody (pierwiastka złożonego) uważają: „wodoród, za najprawdopodobniejszy, pierwszy pierwiastek wszechbytu, że moje traktowanie kwestyi jedności sił, jest zupełnie toż samo”*. Otóż, na wstępie zaraz mojej repliki, odpowiem szanownemu krytykowi, że na dziesiątki się nie liczą dzieła, ani w literaturze francuzkiej, ani angielskiej, ani niemieckiej tyczące *syntezy wszechbytu, to jest tak co do sił, zaczawszy od sił prostych, do władz intelligencyi, jak i co do materji, idąc od atomu przez królestwo roślinne, zwierzęce, aż do człowieka*, lecz że moja praca, acz w 8 ce i z 236 stron złożona i w zarysie naszkicowana, jest jedyną w tego rodzaju literaturze.

Byli fizycy, którzy w dawniejszych jak i w obecnych czasach o siłach prostych i ich syntezie pisali. Byli naturaliści, którzy traktowali o siłach *organicznych roślinnych lub zwierzęcych*, o siłach nawet *ducha*, jak Flourens, którzy królestwo *roślinne* lub *zwierzęce* do jednego typu sprowadzić usiłowali jak E. G. St. Hilaire, Darwiu (2) (Flourens jak wiadomo napisał *analizę* nie zaś *syntezę* sił organicznych i władz intelligencyi); lecz nie znajdzie dzieła naukowego z ogólnym na całą kreacyą, a metodycznie rozwiniętym, poglądem!

(1) De dogmate Thalesis... an. 1700 & Hall. Tom I.

(2) Darwin w dziele o pochodzeniu gatunków, wyprowadza rośliny i zwierzęta z jednego typu, lecz o siłach nie mówi, ma więc analogią z tą częścią tylko pracy mojej, gdzie mowa o roślinach i o zwierzętach.

Starożytni, zdaniem krytyka uważali *wodę* (ciało złożone) za pierwiastek wszechbytu; o czém wszyscy wiedzą. Dodamy, że uważali również, *ogień, powietrze i ziemię*. Pan Strzemiński w najnowszych dziełach, „*niepoliczonych w ich mnogości*” wyczytał jako treść dzisiejszej wiedzy, dzisiejszej filozofii natury, że *wodoród jest pierwiastkiem wszechbytu*, tak co do sił, jak i co do materyi (wszechbyt nic innego nie wyraża), że więc *wodoród jest pierwiastkiem wszystkich władz intelligencji.....!*

Z takiego poglądu na naturę, każe się krytyk domyślać, że nie stoi na wysokości dzisiejszego stanu nauki, więc też uważałem za stosowne w pierwszej chwili na nie odpowiadać. Że jednak zamieścił zdanie swoje o książce mojej w piśmie poważnem jak Biblioteka Warszawska, nakazującym ulność i wiarę, na zarzuty jego odpowiedzieć muszę.

„*Przedmowa*, mówi recenzent, uderza nadzwyczajną śmiałością krytyki i pewnością siebie, (bez pewności siebie, bez przetwarzania gruntownego materiałów, brać się do pracy nie wolno), bezwzględnień potępianiem ludzkości, za jej wady; (tak, za jej kapitalny grzech *wyzyskiwania się wzajemnego*) i lekceważenie pseudo przyjaciół nauki i postępu, (a któżby ich szanował?) którzyby, dodaje krytyk „*nie chcieli uznać pracy mojej*”.

Recenzent dowiódłszy dotąd już za wiele *a priori* nie przychylnego usposobienia dla mojej pracy, dodaje: „choćby się czytelnik nie bronił od wszelkiego uprzedzenia, już sama przedmowa autora obudza w nim niesmak i niedowierzanie! Na poparcie mojego zdania nie mogę, mówi krytyk, przytoczyć wszystkich ustępów przedmowy (dlaczego? to obowiązek krytyka usprawiedliwić swój zarzut) bo, pisze dalej, rzecz rozciągnęłaby się za uadto”.

„Takich miejsc, mówi krytyk, jest w mojej książce wiele; w których zbijam to, co w rzeczywistości nie ma miejsca i wojuje ze swoim własnem *pro i contra*”. Pytam gdzie są te miejsca, niech krytyk je wskazuje? Lecz pospiesza niebawem z dowodem, nibyto między *tysiącami dowodów* wyjętym i mówi „ze Humboldt był właśnie zdania, jakie autor podaje za sąd własny: że wrząca w swych wnętrzościach ziemia podniosła skorupę, która wydymając się ku górze *pękła* (sic). Nie wiedziałem, że wierzchołek pasma Alp jest otwarty, że jest kraterem! i że to miejsce pęknięcia stanowi dziś grzbiet łańcucha Alp! Pęknięcie, otwór stanowi grzbiet łańcucha Alp! I to ma być doktryna Humboldta przeziemnie powtórzona? Nigdy i nigdzie nic podobnego nie pisałem. Nie szło w pracy mojej, o czém każdy przekonać się może czytając rozdział „*stworzenie Ameryki*” o dowiedzenie jakim sposobem powstawały Alpy, lecz że wystąpienie Alp, nie mogło spowodować potopu powszechnego, biblijnego. Wylania bowiem, jak powiedziałem woda oceanu na glob cały przez wystąpienie Alp, nie mogła w brew zdaniu Humboldta i Elie de Beaumonta, spowodować powszechnego potopu uiszczającego wszystko co żyło z wyjątkiem po parze zwierząt każdego gatunku i czło-

wieka (1). Jeden jeszcze dokument, jakobym z samym sobą wojował, jakobym raz powiedział że St. Hilaire początku zwierząt ani człowieka *nie dotarł*, drugi raz że *dotarł*: dlatego, że wypowiedziawszy zdanie moje, w jakich granicach wielki ten mistrz zasłużył się nauce i do jakich kwestyę w mowie będącą doprowadził, doszedłszy do ostatecznego pierwiastka *wszechbytu* na drodze materji *do atomu*, powiadam: „St. Hilaire więc miał słusność *w zasadzie*.” Toż samo, bez ujmy dla St. Hilair'a mógłbym powiedzieć o Lamarku, który, chociaż wszystkie istoty organiczne zwierzęce wprowadza tylko z polipow, miał słusność *w zasadzie*. Toż samo mógłbym powiedzieć o *Arystotelesie*, którego nawet zacytowałem w pracy mojej, który wywodził wszystko z materji, toż samo mógłbym powiedzieć o Herschlu i o Laplasie, których teoria początku ziemi i wszystkich ciał niebieskich (nie nie mówią o królestwie organiczném) z masy eterycznej materji, z masy atomów rozsianych na początku w przestrzeni bez granic, (*już więc stworzonych*) które grupując się, w ciągu wieków ze stanu mgły eterycznej, przeszły w stan ciał niebieskich w przestrzeniach dziś krążących, chociaż Kartezjusz (2) jeszcze tę teorię dziś w nauce królującą, wziął od Keplera, a Kepler od Leucippa!

Toż samo mógłbym powiedzieć o Maillecie, co krytyk powiedział o Talesie uważającym *ciało złożone* za pierwiastek ostateczny materji.....! chociaż żaden z tych uczonych i filozofów do ostatecznego pierwiastka wszechbytu, tak pod względem sił jak i materji nie dotarł, że jednak mieli słusność w zasadzie: to jest, że cały *wszechbyt* jest jednym w porządku, w pierwiastku, a różnym w różnaitości rozwoju.

Omylił się także krytyk twierdząc, że uczeni dzisiejsi uważają *wodoród* za pierwiastek wszechbytu. Dzisiejsza nauka tego nigdzie nie powiedziała. Dalej p. S. naucza mnie, że rozwijać zarodek stworzenia, nie znaczy tłumaczyć jego początek. Zapomniał, że mówiąc o *atomie*, wytłumaczyłem o ile wolno bez obrażenia godności nauki, początek stworzenia w *atomie*. Rozwijając zaś zarodek materji, już stworzonej, tłumaczyłem tylko, jak już stworzona, rozwijała się ażeby przybrać różnaitość nieobliczoną a stopniową form jestestw, królestwo organiczne roślinne i zwierzęce stanowiących. Po tem wszystkiém szanowny krytyk zaprzecza mojemu dowodzeniu, że cały świat materialny, jest rozwinięciem pierwotnego typu materji, i że wszystkie siły od sił grawitacyi do sił organicznych, roślinnych i zwierzęcych....., do władz ducha rozwojem jednej pierwotnej siły, którą nazwałem *przyciąganiem w odpychaniu*: że materya i siła mają jedno pochodzenie, że cały świat materialny i moralny wypływa z jednego źródła

(1) Może nawet rassy całej, która zamieszkując podnóże góry Himalaja mogła ocalać.

(2) Descartes systeme des Tourbillons. Debrouillement du chaos.

że jest wyrażeniem się siły w pewnym do siebie stosunku dwóch swoich zasadniczych własności przyciągania i odpychania, gdyż dodaje „że nauka tego wykazać nie może”

Krytyk uważa moje dowodzenie za abstrakcyjne, tylko dlatego, że mojej pracy nie zrozumiał. Pyta bowiem, „co to jest momentalne istnienie w którym ciało nie jest ciałem, w którym ciało jest siłą?”

Na str. 47 mojej książki ma odpowiedź na swoje pytanie, gdzie tłumacząc proces związków i rozkładów chemicznych według mojego poglądu, wyraźnie powiadam: „każda ostateczna cząsteczka powierzchni cynku, a raczej każdy jej atom (trzymając się terminu dziś w chemii używanego), wróci w tej operacji na pół drogi do stanu swego początku, do siły; stanie się t_{em}, co fizycy nazywają ciałem nieważki_{em}, stanie się ciepłem i światłem, w pewnych warunkach widzialnem, w innych niewidzialn_{em}, stanie się iską elektryczną i połączy się z atomem kwasorodu (tlenu) wody, który t_{ez} w drogę ku sile w tej chwili się podniósł i zespolą się razem, dając początek cząsteczce najmniejszej fizycznie nowego związku, nowego ciała. Światło, mówię dalej i ciepło (siły fizyczne) nie są ciałami, nie są materją, lecz są stanem pośrednim między siłą a materją, są siłą w drodze jej działania, w drodze jej przejścia w materję, są więc materją, jeszcze nie wyrażoną i dla tego są materją nieważką. Dalej mówię, że stan nieważki, że nawet atom dopiero, którego istnienie jest momentalne, według mego poglądu, jest łącznikiem idci z materją, że po za tym obrębem, idea jest idea, a materją materją. Że więc jest stan, w którym ciało czyli materją, nie jest jeszcze ciałem, gdyż jest w drodze jeszcze do siły i odwrotnie”.

Wracam do mojego wyrażenia *momentalne istnienie*: otóż, jeżeli kawałek cynku umieszczony w danej ilości wody i kwasu siarczanego do rozłożenia danej ilości wody i utworzenia nowego związku potrzebuje pewnego, określonego czasu, godziny np.; czas jakiego potrzebuje atom cynku do połączenia się z atomem tlenu wody, w procesie tylko co przywiedzionym, jest tak nikły i nie ujęty, że nazwałem go *momentem*. Ciągłość takich momentów, nieskończenie szybko po sobie następujących w czasie związków chemicznych, stanowi dopiero proces działania chemicznego, czyli rozkładu i związku między danemi ciałami. Dodam, że w takim *momencie czasu*, atom cynku np. przez trzy stany jeszcze przechodzi: 1. wychodzi ze stanu materji jako ciało i jeszcze jest ciałem, 2. przechodzi w siłę, czyli w stan nieważki i 3. zespoliwszy się w tej drodze z innym atomem stanowi napowrót atom złożony, stanowi znowu materję, stanowi ciało. Otóż w drugim *stanie*, czyli w chwili kiedy przestaje być ciałem ażeby został siłą, przez intuicyę pojmujemy, że jest moment w którym będąc ciałem jednocześnie prawie przestaje być ciałem i staje się siłą, w którym odwrotnie będąc siłą, jednocześnie prawie staje się ciałem, jest ciałem. *Jest więc stan, powiedziałem, w którym materją*

jest siłą, w którym siła jest materją, w którym materja nie jest materją, w którym siła, nie jest siłą, lecz materją. Byt atomu stoi na granicy materji i siły, jest ideą w świetle materji, jest materją w dziedzinie siły, i stau ten jest atomem, jest momentem stworzenia, czyli przejścia idei w materję. Że po za tym obrębem momentu stworzenia w atomie, idea jest ideą a' materja materją wbrew doktrynie Kanta i Leibniza, który bez względnie materję i ideę uważali za jedno.

Dalej krytyk mówi: „na str. 38: autor na chwilę nazywa już atom bardziej po imieniu, to jest stanem w którym materja staje się nieokreśloną, staje się ideą:” i dodaje „staje się tęgą po prostu o czem nie nie wiemy, jak również o wszystkim co sięga początku wszechbytu”. Zapomniał krytyk, że wyraziwszy zdanie moje, moje pojęcie atomu na str. 34 mówię „dalecy jesteście od zaślepienia, żeśmy odgadli tajemnicę stworzenia, szanując zdanie Mallebrancha, który mówi, że dobrze jest wczas i jasno zrozumieć, że są rzeczy zupełnie dla nas niepojęte, a dodamy, że są granice, których bez narażenia się na lekkomyślność przekroczyć nie wolno, powiadam tylko, że natury atomu, że stworzenia, inaczej po ziemsku pojąć, ani wyrazić nie umiemy”.

Pan B. S. pisze dalej: „Świeżych prac o tym przedmiocie jest wiele p. de Poinsont, o atomach eteru światła, Thomasa Younga, o atomach wody, Herszla, On the orygin of force: Secchi, Unità della forza fisica saggio di filozofia naturale: Faradaja, siły przyrodzenia i ich wzajemny stosunek: Growego, Wzajemność sił fizycznych. Edgara Sarency, La physique moderne”. Z umysłu zacytowałem wszystkich autorów przez krytyka wzmiankowanych. celem dowiedzenia raz jeszcze, jakoby Anglia, Franoya i Niemcy liczyły dzieła treści pracy mojej na dziesiątki, kiedy wszystkie traktują tylko o siłach fizycznych, żadne o siłach organicznych, ani o władzach ducha nie traktuje. Zkąd pytam przyszła myśl krytykowi, cytować literaturę obcą, kiedy ta, ma tylko analogię z tą częścią mojej pracy, w której mowa o siłach fizycznych. Gdzież teraz są dzieła wyjąwszy St. Hilaira i Flourensa, (o Darwinie nie mówię, gdyż ten myśl całą wziął od St. Hilaira i od Goethego szczególnie w dziele o pochodzeniu gatunków, gdzie całą teorię swoją tak głośno dzisiaj, zbudował na powinowactwie wyboru (affinité par election v. par selection) gdzie są dzieła obejmujące syntezę sił prostych, organicznych i intelligencyi, kiedy St. Hilaire ograniczył się na zwierzętach, Goethe na roślinach, a Flourens na analizie, władz intelligencyi i sił organicznych zwierzęcych?

Krytyk będąc jak widzę tylko fizykiem, nie dziwnego że kwestye filozoficzno-fizyologiczne i t. p. znalazł dla siebie za ciemne. Co do syntezy mojej sił, jeżeli jej nie zrozumiał, nie moja w tém wina.

Idę dalej. Co do mądrości w kamieniu, jakkolwiek w pracy mojej, dostatecznie myśl moją rozwinąłem i wyraziłem, powtórzę, że nie znam mądrości nie mądrój. Kiedy więc w kamieniu, a przez kamień rozumiem całą naturę tak zwaną nieorganiczną, jest mą-

drość, więc jest *mądrość mądra i kochająca*, a więc *mądrość pojmująca się w sobie*. Wytłumaczę się raz jeszcze i na zarzut, jakoby kamień, jako odrębna istota, nie znał swego *ja*, i że swęj mądrości jak i wszechświat na zewnątrz, to jest po za strefą swego istnienia działalności swęj, swęj mądrości nie objawia jak *człowiek*, który ma mózg, odpowiem: kamień, to jest świat, nieorganicznym zwany, względnie milczący i głuchy, tak dobrze oddziaływa na całą naturę, jak cała natura na niego, że w najsolidarniejszych i na prawach mądrości opartych zostaje z nią związkach, że jako w każdej chwili pod tysiącem form, drogą oddychania i trawienia w organizm nasz wchodząc, formę i życie organiczne przywdziewający, jest żywy! Ze natura jest ręką, tam gdzie nie ma ręki, że jest *mózgiem i sercem* tam, gdzie pozornie wieczna obojętność i milczenie panuje.

Mózg zraniony w pewnej danęj okolicy, jak powiedziałem, przestaje być organem intelligencyi i w miejscu zranionem ulegając już tylko siłom prostym staje się materią prostą.. kamieniem. Wyleczmy ranę, intelligencya wraca! W stanie normalnym, mózg będąc układem materyi w sposób sobie właściwy jaśniej inteligencyą z uznaniem się w sobie samym; zraniony kiedy wrócił do praw materyi prostęj, kiedy został kamieniem, nie zgasała w nim intelligencya ani uznanie swego *ja*, skoro wyleczony, skoro wróciwszy do pewnego pierwotnego układu cząstek materialnych go stanowiących, kiedy stawszy się napowrót dobrą pryzmą, intelligencyą zajaśniał. Gdzie był duch, gdzie była inteligencya, mówię, na str. 139 mojęj pracy, kiedy mózg nie żył a dodam kiedy był kamieniem, to jest kiedy do świata nieorganicznego (w punkcie zranionym) należał? żył w Bogu.

Otóż po tēm zboczeniu wracam do kwestyi i mówię: że cała natura pracuje, ażeby najmniejszy jęj prosek był mądrym, ażeby prawu mądrości i miłości w nięj nie zaprzeczał, ażeby jęj nie zawstydział, ażeby wzamian całej naturze w swoim zakresie mądrze służył. Kamień nie jest mądry i nie kocha jak człowiek, mózg skaleczony nie ma intelligencyi mózgu zdrowego, uwzględniając jednak jego naturę, że nie widzimy w nim intelligencyi człowieka, to pochodzi od układu w nim materyi. Wskrzęś pryzmę, materye, podnieś ją w układzie jęj cząstek do układu cząstek stanowiących człowieka, a ducha przez nią uwidzisz. Uwzględniając więc prawo natury tylko co wzmiankowane, kamień w naturze swęj jest mądry, jako cząstka natury żyjącej, gdyż działalność swoję na zewnątrz objawia w sposób sobie właściwy i wplywom natury zewnętrznięj ulega, jako rozkładający się, jako rosnący, jako ZARODEK SIŁY, a więc zarodek *życia*, jako Boga a więc mądrość w sobie dzierżący, jako w każdej chwili zdolny zajaśnić życiem, jako żywy! jako w mądrości i miłości poczęty, którą to mądrość, jak powiedziałem, Bóg pozwolił zrozumieć człowiekowi a do której ostatecznych tajemnic w swojem *Ja*, złożył klucze na wieki.

„Intelligencya, mówię na str. 76 jest tak dobrze w istotach organicznych, jak i w martwych, jak w kamieniu, *że jest*, jakkolwiek w zarodku najprostszym, milczącym, w *przyciąganiu*, w *odpychaniu*. Rozwińmy atom, rozwińmy *atomy* do potęgi organizacyi człowieka, a siła prosta w nich zamknięta, intelligencją zabłyśnie!... Bóg, dodaje, stwarzając w **Sobie** naturę, nie więcej nad to nie uczynił.”

Co do nieśmiertelności duszy, jeżeli również dowiodłem, że nie ginie w naturze, że dusza wraca do Boga, łatwo pojąć, że kiedy wróci na łono najwyższej mądrości, to jako jej cząstka nie pozbawiona wolnej woli, tém jaśniejsz i wybitniejsz będzie znać swoją indywidualność.

Wezwać znowu, choćby ludzkość całą do upamiętania się w tém, co kapitalny jej grzech stanowi (*dziżność wzajemnego wyzy-skiwania się*) czy to jest wadą dzieła lub ujmą dla autora?

Z potopami też nie występowałem jako prorok, lecz jako człowiek naukowy: dowodząc że to co było (potopy), co się na mniejszą lub większą skalę codziennie powtarza, że się w każdej chwili na wielką skalę powtórzyć może i powtórzy! *Tęcza*, jak wiadomo krytykowi nie ochroniła w roku zeszłym kilkunastu tysięcy mieszkańców okolic Peru od potopu 9 mil kwadratowych sięgającego!

Krytyk dalej, w mojej definicyi siły *przyciąganie w odpychaniu* nie może pojąć, jak dwa wyrazy mogą tworzyć jeden, i śmieje się z mojego orzeczenia, przez które chciałem tę jedność o dwóch własnościach wyrazić, *że przyciąganie w odpychaniu* jest jedną siłą: jakbym powiedział mówiąc o żyjącym człowieku: duch człowieka odrębnie wzięty poza granicą kreacji jest bez znaczenia dla człowieka, człowiek bez ducha jest martwym; duch wielony, ciało ożywione jest jednostką bytu, jest człowiekiem.

P. Strzeżniński nie rozumiawszy mnie dodaje: „niechby się autor przynajmniej trzymał stale swojego zdania, ale przeciwnie chcąc wpoić w czytelnika przekonanie, że początkiem wszystkiego jest *przyciąganie w odpychaniu*, na str. 133 powiada: „że to pomyślnie jest prawdą, póki duch człowieka nie zapuści się w siebie”.

Krytyk wyrwawszy zdanie samo w sobie bez znaczenia, opuścił z umysłu ustęp, który na str. 132 je wyprzedza, gdzie mówi: „w człowieku więc jak i w ciałach prostych jest ta sama siła przyciągania i odpychania w jedną siłę zlaną (*w duchu*) to jest mądrości w miłości, czyli przyciągania w odpychaniu podniesionego do najwyższej na ziemi potęgi siły!

Przyciąganie i odpychanie to są dwie siły, mądrość i miłość, to są dwie siły. Przyciąganie w odpychaniu jest jedna siła. Jeżeli się w siebie *duch* nasz zapuści, tłumaczy nam, że jest mądrość w miłości, czyli że nie ma dwóch sił, lecz *że jest jedna siła*, że mądrość jest miłością, że miłość jest mądrością. *Ze gdzie jest mądrość, tam jest i miłość, i odwrotnie. Powiem więc, że*

prawdziwa mądrość jest toż samo co miłość i odwrotnie. „*Ze pierwsza jest drugą, że druga jest pierwszą, że obie są jedną siłą!*”

Nazywa krytyk pracę moją „*frazeologią zaciemniającą wszelkie pojęcie*” i mówi „z Pisma Sgo. wiemy, że na początku było Słowo, ale nauka nie dowiedzie, jak ze słowa, jak z niczego, powstała materyja i siła. Dowiedzenie NIEMOŻEBNE, zwłaszcza w tak łatwy sposób, jak *grę w sąsiada*”. A przez Bóg żywy, więc według krytyka piszącego recenzję dzieł naukowych XIX stulecia *słowo jest niczem*, więc słowo nie jest ani materyją ani siłą?!

Słowo, bez gry w sąsiada, jest *ideą wyrażoną*, jest STWORZENIEM! Pytam po tem wszystkiem, czy krytyk jest na wysokości z autorem i czy miał prawo wziąć się do krytyki dzieła filozoficznego?

Teorię stanu sferoidalnego tłumaczącej możebność fizyczną dotykálną, nieparowania wody w bardzo wysokiej temperaturze, rzuconej np. na platynę do czerwoności rozpaloną, której użyłem pierwszy, na poparcie teorii stworzenia ziemi Buffona, krytyk nie zrozumiał. Niech pryśnie wodą na rozpaloną duszę od żelazka do prasowania, i patrząc na sferoidalne toczące się na jej powierzchni kulki nieparującej wody, prawdę zobaczy, i wątpić o nią nie będzie.

Dużo tedy postawiwszy rozlicznych zarzutów, a zdania swego na jednym punkcie nie usprawiedliwiwszy, przychodzi krytyk do oceny ostatniego rozdziału pracy mojej, w którym mówię o przyczynach rozwoju i upadku cywilizacyi, w którym za przyczynę rozwoju naznaczam *instynkt* potrzeby, wypływający z rozmnożenia się rodu ludzkiego.

Krytyk zapominając, że na str. 219 mówię i o dwóch innych instynktach człowieka, jako zasadniczych postępu cywilizacyi, jak 1. o instynkcie mowy i 2. o instynkcie abstrakcyi, czyli rozumowania.... przychodzi do konkluzyi: „*że jeżeli pierwszego instynktu było dostatecznie, dla postępu ludzkości pod względem umysłowym moralnym i przemysłowym, to jest: w ogóle dla cywilizacyi: w takim razie, mielibyśmy cywilizowane społeczeństwa i między zwierzętami*”.

Na taki zarzut nie mam odpowiedzi. „*Oto jest dzieło, mówi krytyk któreśmy w głównych rysach rozebrali*” zostawiwszy tylko szkielec, złożony z faktów, które dopiero w ręku „*innych światła przyszłość czeka*”. Zaprzeczył mi nawet zdolności zrozumienia zebranych własną ręką faktów, kiedy zakończając swoją pracę mówi: „*Dzieło to, nie może przynieść pożytku: przeciwnie, może obudzić tylko lekceważenie dla przedmiotu i dla nauki!*” „*Rzucone dobre uwagi i ciekawe fakta w liczném złém sąsiedztwie tracą wartość.*” A jednak po tem wszystkiem sam mówi „*kwestya poruszone w tem dziele, tylko w inny sposób traktowane mają przed sobą wielką i świetną przyszłość!*” Kończy krytyk swą pracę wzmianką o stylu i za główniejszą przyczynę niejasności

mojej książki, uważa: „styl jej ciężkim i niewykończonym. Otóż, nie umiem pod tym względem, jak i pod względem wartości naukowej całej mojej pracy pogodzić zdania krytyków, kiedy p. J. O. w N. 5 Przeglądu Tygodniowego (1) w zmiauce o pracy mojej powiada: „autor w dziele swoim, przeprowadza czytelnika od atomu do słońca słońce rzutami pełnymi myśli, życia i wymowy. Zasługa autora jest, że postawił filozofię na gruncie ściślejszym. Całe dzieło napisane z jednostajną werwą, daje się czytać bez utrudzenia. Bogate w nowe pomysły, jest znakomitszym nabytkiem dla naszej naukowej literatury”.

Odpowiadać więcej na krytyki, widząc w nich tak uderzające sprzeczności zdania, nie będę. W uczciwej myśli podjąwszy tę pracę, oczekiwać muszę w cichości sądu sumiennego, który zarówno jej błędy, jak i zalety, jakie są, bezstronnie i gruntownie wyświeci.

(1) Obacz odpowiedź w Nrze 9 i 14 tegoż pisma.

Dr. Levittour.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Kupiec wenecki”. Komedia Szekspira, przekład Augusta Jeskiego w 5-iu aktach a 8-iu obrazach. — „Zemsta pani hrabiny”. Komedia w 3-ch aktach, napisana przez Z. Sarneckiego.

Jeden z najznakomitszych estetyków tak się wyraził o komediach i pół-dramatach Szekspira: „W sztukach tych zdaje się, iż się widzi samego Szekspira stojącego na progu i ostrzegającego publiczność w prologu na wzór aktora, ażeby nie popadła w błąd, i ażeby sobie dobrze te zapamiętała słowa: Nie bierzcie zbyt seryo wszystkiego co posłyszycie, gdyż ja gram sam siebie. Mózg mój zapełniony marzeniami, chciał sobie z nich ułożyć obraz, więc je ułożył. Pałace, dalekie krajobrazy, przezroczyście obłoki pławiące swemi punkcikami horyzont poranny, blask szkarłatny pławiącego się w ogniu zachodzącego słońca, białe kolumnady gubiące się w przejrzystém powietrzu, jaskinie, chatki, pochod fantastyczny wszystkich ludzkich namiętności, niesforna gra niespodziewanych przygód: oto tło i forma barw i uczuć które gmatwam, zacieśniam w węzeł, oto kłębek z błyszczącego jedwabiu, którego nitki pomotaue i pokręcone, naprowadzają kapryśnie umysł w nieskończony i pokrzyżowany labirynt. Nie szukajcie w tym obrazie skończonego układu, zajęcia wzrastającego lub jedności, nie szukajcie umiejętnej oszczędności w działaniu. Nie — bo przed oczyma mam nowelle i romanse, które układam w sceny. Mało mnie obchodzi zakończenie, ja się jedynie bawię chęć po drodze. Nie tyle podoba mi się przybycie do celu, ile sama podróż. Czyż mam koniecznie zdążyć szybko i prosto? Czyż koniecznie i przede wszystkim chcecie wiedzieć, azali biedny Kupiec wenecki uniknął noża Szyloka? Przypatrzcie się raczej dwom zakochanym, siedzącym w noc gwiazdzistą u stóp pałacu. Posłuchajcie spokojnego marzenia, które jak woń pachnąca wydobywa się z głębi ich serca:

(Lorenzo do Jessyki)

„Jakże łagodnie odbija się na murawie jasność księżycal —
Usiądźmy tutaj — niechaj dźwięk muzyki popieści ucho nasze,

Rozkoszny spokój i noc, kojarzą się wdzięcznie z harmonią miłości. Usiądź Jessyko, przypatrz się tym gęstym kwiatom posypanych złotem, jak rzeźbią powierzchnię niebios. Wszystkie aż do najmniejszych kulek niebieskich, śpiewają w swym obrocie niby cherubiny — wszystkie opasują nieskonczonym orszakiem chóry młodych aniołów, gdyż takim jest harmonijny koncert dusz nieśmiertelnych. Lecz dopóki dusze nasze tkwią zamknięte w tej grubej powłoce z kruchej gliny, dotąd nie możemy ich słyszeć”.

„Czyż niemam prawa zatrzymać się, gdy widzę tłuste policzki bufońskiego fagasa, jego gesta, podrygi, gadulstwo, niemamże cieszyć się komedią jego wesołości? Lub znów przechodzi dwóch szlacheckich paucików. Słucham ognistych metafor, czatując na ich dowcip; a tam znów dostrzegam w kąciuku naiwną i figlarną twarzyczkę młodej dziewczynki. Zabronicież mi wielbić jej uśmiech, jej nagły rumieniec, dziecinne wykrzywienie różanych usteczek lub wabułość prześlicznych poruszeń? Chyba się wam bardzo spieszy, że was nie wabi szczebiotanie jej świeżego i dzwicznego głosiku? Wszakże to rozkosz prawdziwa, widzieć tyle następujących po sobie uczuć i figur! Czyż wyobraźnia wasza tak jest ciężką, że się obejść nie może bez mechanizmu geometrycznej intrygi, któryby nią dopiero zatrząsał? Moi widzowie XVI-tego wieku wzruszali się daleko łatwiej. Promyzelek słońca zablakany na poczerniałym murze, szalona piosenka zaśpiewana wśród tragicznego smutku, zajmowała ich tak samo jak najczarniejsza katastrofa. Po straszliwej scenie w której Szylok nóż ostrzy, ażeby przesyć nim pierś Antonia, słuchali jeszcze bardzo chętnie moi widzowie małej sprzeczki małżeńskiej i wzajemnego droczenia się, które zakończyła sztukę. Dusza ich, niby ruchliwa i giętka woda, wznosiła się i opadała w jednej chwili, równo z wrażeniem poety, a uczucia ich płynęły lekko w łózysku przezeń wyzłobioném. Pozwolili mu włóczyć się po drodze, nie broniąc mu dwóch równocześnie podróży. Nie gniewali się, gdy kilka nawet intryg plątało się w jednej, byle je tylko wiązała jedna, najcieńsza choćby nitka. Lorenzo wykradł Jessykę, Szylok nie dopełnił zemsty, kochankowie Poreyi nie odgadli tajemnicy skrzynek, Poreya przebrana za sędziego odbiera od swego męża pierścień, który przyrzekł nie oddawać nikomu; te trzy czy cztery komedye osobne a powiązane, gmatwały się i rozwijały razem jak warkocz, którego węzowe pierścienie lśnią stu barwami. Widzowie moi zgodzili się na nieprawdopodobieństwo”....

Przytoczyłem ten piękny ustęp dla łatwiejszego zrozumienia utworów poetycznych genialnego twórcy, tak odmiennych idealnością swoją a zarazem rzeczywistością, odrębnym krojem i polem od dzisiejszych, zwanych komedią. Krytyk powyższy patrzy na komedię z innego jeszcze stanowiska, bo nie z konieczności i wymagania odwzorowań rzeczywistego świata, jego dotykalnych stosunków, jego socyalnych lub moralnych tendencyj. Uważa on

komedya jako rzecz lekka, skrzydlata, unosząca się w marzeniu, a której złamałoby się skrzydło, gdyby się ją zamykało w ciasnym więzieniu zdrowego tylko rozsądku. Niechaj się rozwija przed oczami jak sen rozkoszny i błyskawiczny, jak zjawisko jednej chwili lśniące i gazowe, które znika tam zkład się wyłoniło. Zjawisko sprawiło złudzenie, to dosyć, bo wszakże miło jest porzucić na chwilę świat realny, i pozwolić odpocząć umysłowi choćby w nieprawdopodobieństwie. Logika nieubłagana ścisła nas żelaznymi okowy, czyż nie słodko wyrzec się jej na chwilę i błąkać w przygodach, żyć życiem romansu i wiedzieć że się nim żyje? Szekspir nie pragnie zwodzić, nie pragnie nawet aby wierzone w świat przezeń stworzony; to też ażeby rozkoszować się tym światem, nie trzeba w niego wierzyć. Złudzenie ogarniające widza, powinno wywołać na usta jego uśmiech. Ten uśmiech to czar poezji, to hołd oddany fantazyjnemu światu, zaludnionemu hesperyjskimi ogrodami, cudnymi kobietami, kąpiącymi się w kaskadach uczuć, które dobywają z pod serca zakochani w nich rycerze. Przepyszne złudzenie, którego się słucha z biciem serca, z naprężoną uwagą, z tajemnym życzeniem ażeby trwało wieki!

Lecz... w tej wiązance kwiatów pełnych woni, uśmiechów szczerych, słów serdecznych, muzyki melodyjnej; wkraść się jeden ton ponury, przykry, bolesny, niemal dysharmonijny, na przygluszenie którego i zatarcie niemilego wrażenia, wymyślił poeta akt piąty. Płynęliśmy dopiero w złocistych gondolach, szaleliśmy szalonym karnawałem weneckim, żartowaliśmy z świetną młodzieżą dumnej Wenecji, zaglądaliśmy pod maski najpiękniejszych kobiet, uczuwając dreszcz, gdy na nas spojrzwały palącym czarnym okiem: aż nagle wśród naszego upojenia, różowych marzeń i przyrzeczeń tajemnego niezmiernego szczęścia, przeraził nas człowiek ponurego wejrzenia, zaciętych warg, ochryplej mowy, człowiek, tak, to zawsze człowiek, lecz... żyd. Garstkę plemienia którego on był synem, wciśniono w zaułek miasta wzniesionego majestatycznie nad morzem, i pozwolono jej w zamkniętych ścianach modlić się odmienną formą, wzywać Jehowę, błagać Jego pomocy! Pomocy, i za co? Wszak ta garstka opływa w piękne dziewice, w złoto, którym kupić może tyle! Wszak tej garstki życie zabezpieczone, całość i mienie prawami, których się trzyma ściśle i święcie kraj wenecki. Więc chyba pomocy na uzbrojenie się nadludzką cierpliwością, milczącym wytrwaniem, spokojem i rezygnacją w tych chwilach, w których się dumnemu wenečanowi zachciewa płuć na żyda i na jego plemię Chyba pomocy boskiej na uzbrojenie serca swego kamienną powłoką wtedy, gdy to serce bije uczuciem godności ludzkiej tak samo jak inne? Nieinaczej, lecz plemię to zahartowane w kilkowiekowych cierpieniach, umie cierpieć, znosić i milczeć, — czasem tylko jednostka jaka nieposkromiona, niezrezygnowana wybucha nagle z gwałtownością górskiego strumienia, powstrzymywanego długi czas zagrodą,

i niszczy wszystko w swym piorunnym rozlewie, wszystko choćby i siebie. Taką jednostką jest żyd stary, lichwiarz, Szylak. Od dziecka pił gorycze, połykał pogardę, liczył uderzenia, dłał wściekłą zemstę, aż gdy nadeszła chwila... zawył z roskoszy odwetu, wyciągnął drapieźnie szpony, gotów rozszarpać na sztuki. Dajcie pokarm jego zemście, jego wygłodzonym wnętrzościom, a żadna hiena nie dorówna mu w apetycie! Straszny i haniebny to człowiek, nieprawdaż?... a jednak wybaczenie mu, on kocha plemię swoje, i religię swoją, i obyczaj, kochając zaś, cierpi nietylko za siebie lecz i za swych współbraci, za ponizienie lat tyłu, za pogardę wiekową i dno duszy wygryzającą, beznadziejność! Nie zna on miłości chrześcijańskiej, nie zna przebaczenia, rezygnacji, tego owocu nowego Objawienia. Wyznanie i obyczaj przekazane mu wiekową tradycją, wzmocnione wychowaniem, trzymały go ustawicznie w pewnej, ściśle odznaczonej odrębności plemiennej, odrzucającej miłość wszechświata, uczącej prawie słusznosci odwetu, owego krwawego, oddającego ząb za ząb, oko za oko.

Z tą odrębnością miał się zmierzyć Chrześcianizm w postaci sędziów weneckich i przyjaciół Antonia, proszących o miłosierdzie nad skazanym prawnie i o przebaczenie. Co chrześcianowi dyktowały zasady wiary, tego zrozumieć nie mógł żyd, zwłaszcza żyd poniewierany i deptany.

Postać taka w epoce, w której żył Szekspir, prosiła prawie o uwiecznienie, takiemu zwłaszcza jak Szekspir. Poeta jest nietylko wieszczem przeszłości, ale i przyszłości. Przepowiada czasem intuicyjnym duchem przyszłość, ale i niezawodnie odgaduje przeszłość, jej tajemnice, walki i cierpienia z których złożyła swe pasmo. Plemię nienawidzone, pogardzone, wykluczone z wszelkich praw obywatelskich, służące za pośmiewisko każdemu, kto tylko nazwał się mógł chrześcianinem, nie mogło nie uderzyć, nie zastanowić głęboko pisarza ludzkości. Atoli dziwna rzecz, sądząc z toku poczętego charakteru Szylaka, z zakroju całości i z tytułu wreszcie samej komedyi; wyrokować można prawie na pewno, że Szekspir uległ modzie, czy jak kto chce, duchowi społecznej sobie epoki, i miał pierwotny plan zabawienia się tym pogardliwie ośmieszonym żydem, do czego nadto wybornie się nadawała obca inwencya dziwnego wydarzenia. Poeci najwięksi nawet, ulegają czasami naciskowi chwili, wspomnieniom zaszczerpienym od lat dziecięcych. Z takiej inspiracji poczęty Szylak, byłby wyszedł komiczno-potwornie, na dzisiejsze czasy wstętnie i niemożliwie. Ale geniusz przeważnie tragiczny Szekspira, wnet go uniósł rącho w wysokie sfery, zkąd się patrzy na małuczką ziemię, nie okiem codziennego spektatora, ale okiem sięgającym naprzód, daleko przed siebie i wysoko ponad siebie; okiem filozofa ludzkości. I oto nieznacznie prawie a jednak potężnie, zmienia się pogardliwa i godna śmiechu postać z cierpiącego bohatera, w silnego zapaśnika nieuznaną wprowadzie idei, w człowieka, który choć mści się potwornie i sprawę przegrywa,

ryje się jednak w pamięci niezatartém piętnem pewnej niezaprzeconej wielkości.

Na takim przeistoczeniu charakteru i planu, na takim wszczępieniu bolesnego epizodu w kwiatami zdobne ramy obrazu, wygrywa postać Szyloka i pamięć poety, ale zaprzeczyć nie można, że sam epizod zakończony (jak na tutejszej scenie) samą niemal sceną wyroku, staje się dysakordem, każąc mimowoli zapomnieć o wesołych poprzednich przegrywkach. Potrzeba koniecznie zatrzeć wrażenie tragiczne, o które niechodzi przecie w tej komedyi, nie już całym piątym aktem, gdyż ucierpiałaby na tém sceniczność, dramatyczność i wymagania dzisiejsze odmiennie od dawnych nawykłe, ale kilkoma scenami odslaniającemi nam znów pogodne niebo i słowa miłosne zakochanych. Przerobienie umiejętnie w tém miejscu jest konieczne i nieuniknione, jeżeli sztuka ma mieć właściwy sobie charakter i pewną skończoność.

Na tutejszej scenie, po wyroku Doży, Poroya i Neryssa odbierają napowrót pierścienie od swych kochanków, i rzecz się w kilku słowach wyjaśnia. Przyczepiona ta scenka wcale nie wystarcza, gdyż albo lepiej zakończyć na wyroku, nie zaspakajając widza o dalszy los kochanków, albo już trzeba kilkoma scenami ostatniego aktu, przejście nowe do pogodnej komedyi przygotować, umozębnić, tak, ażeby mimowoli przykre wrażenie sądu, zatrzeć się mogło. Inaczej sztuka nie wychodzi ani jako dramat, ani też jako komedya, jak przecież autor sobie życzył.

W ogóle tutaj potrzebaby się trzymać wzorów scen większych, co do przerobienia scenicznego. Burgteater naprzykład wiedeński wystawiając „Kupca Weneckiego”, tak sobie poradził: Sceny odgrywające się przed domem Szyloka, jakoteż sceny starających się o rękę Porocyi ścieśnił, złożył w jedno, przez co tok sztuki nabrał spokoju, a stracił gorączkowość przerw. Główna jednak zmiana dotyczyła ostatniego aktu. Jak wiadomo, wielka scena sądu zakończyła akt czwarty, w piątym zaś odgrywającym się w siedzibie Porocyi w Belmont, rozwijają się i kończą miłosne zatargi trzech par kochanków: otóż jakieśmy powyżej rzekli, bezwarunkowo przeciwni jesteśmy odegraniu całego piątego aktu, gdyż długość jego i pewna odrębność, zepsułyby główne zajęcie wywołane epizodem Szyloka, a wreszcie prawa estetyczne, przede wszystkim zaś dramatyczne nie pozwalają ażeby tak silne wrażenie (sprawa Szyloka) dalszym aktom i odmienną akcją całkowicie osłabło. Gradacya coraz silniejsza w dramacie, pierwszym jest jego warunkiem; potrzeba tylko uczynić inny rozpodział, sceny niektóre inaczej powiązać, a zajęcie da się skoncentrować, łagodząc zarazem przykre wrażenie Szyloka. Burgteater przeto zaczyna ostatni akt sceną sądową w sali Dożów, która wypełnia trzy jego części, poczem po scenie króciuchnej z przemianą pierścionków następuje zmiana dekoracyi, przenosząca widza w zaciemniony park Belmontu. Widz dobrze się czuje usposobiony do wysku-

chania pięknych słów Lorenca i Jessyki (przeplatanych muzyką), poczem po bardzo treściwem skróceniu tekstu, widzi przybywające przy świetle pochodni całe towarzystwo z Wenecyi i ostateczną zamianę pierścionków, służącą za wyjaśnienie. Taki układ nie tylko naprawia i stwarza niemal jedność akcji, ale nadto wywiera przyjemne wrażenie, dające zapomnieć krwawą zemstę Szyloka i wyrok powalający go jak piorun o ziemię. Przerobienie takie nie ubliżające wielkiemu poecie, trzyma się wiernie jego życzenia, bo zatrzymuje wrażenie komedyi.

Szekspir czerpał z dwóch materyałów w napisaniu „Kupca weneckiego”, znajdując się one osobno w zbiorze średniowiecznych łacińskich opowiadań p. t. *Gesta Romanorum*. Jedna opowiadka zatytułowana: „O umowie między rycerzem a kupcem”, użytą już była dawno przez Szekspira do komedyi noszącej nazwę „Żyd”, która jednak zaginęła. W niej to (powiastce), mieści się zuany ów oblig krwawy, srogi kłopot rycerza i ratunek ofiarowany przez kobietę, (tak jak to jest w Kupcu); nie ma tam tylko przyjaźni z Antoniem i rysunku charakterystycznego żyda—lichwiarza. Tych dwóch ostatnich okoliczności pierwowzór, znalazł poeta w zbiorze włoskich nowelli znanych jako *Il pecorone, Giovanniego Fiorentino*, które to dziełko ukazało się najprzód w Medyolanie w roku 1554, potem zaś w opracowaniu angielskiem, dziś także już zagubionem. Motyw inwencyjny trzech skrzynek, odszukał poeta w drugiej opowiadce zbioru *Gesta Romanorum*. Tak ona tam brzmi: Jeden z królów Apulii posyła córkę swoją przez morza do Rzymu, gdzie poślubić ma syna Cesarza. Okręt się rozbija, a królowę połkniętą przez wieloryba, wyciągają później dopiero z jego wnętrzości. Cesarz przyjmuje ją, a chcąc zbadać czy jest godną syna jego, poddaje ją tym samym próbom, których wymaga Porcja od swych konkurentów. Potrzeba tu jeszcze zaliczyć do źródeł z których Szekspir zbudował swego „Kupca,” Balladę o której atoli wnioskować tylko można, że jest dawniejszą od „Kupca”. Cokolwiek bądź dramat i ballada mają pewne wspólne rysy, których nie znaleź w innych źródłach. Ballada ta zawartą jest w *Percys Reliques of Ancient English Poetry* (1) a zaczyna się od słów: „*In Venice town not long ago*” (2).

Jako rok napisania „Kupca”, naznaczają rok 1594.

Przedstawienie było świetne tak pod względem zewnętrznej wystawy, pięknych dekoracyj p. M. Gronskiego, dorobionj muzyki St. Moniuszki jako i całości, która wypadła nadszpodziewanie dobrze. Każdy z artystów grających najpodrzedniejszą rolę, niósł swą cegiełkę ochoczo i zgrabnie, aż się też i przyłożył do budowania całe okazałego gmachu. Nie było tego dysonansu, który raził w „Zbójcach” ani tego gorączkowego pośpiechu, który zdradza niepewność lub niedbałość w przygotowaniu. Niewielkie role,

(1) Zbiór dawnych angielskich poezyj.

(2) W mieście Wenecyi niedawno temu.

które przypadły w udziale większości artystów, ogłosili ze zrozumieniem toku całości, co za niemałą poczytuje się im zasługę w obec praktykowanej niedbałości na próbach, gdzie aktor, pod-rzędniejszą grający rolę, zwykł troszczyć się tylko o siebie, niewie-dząc i nierozumiejąc zgoła reszty. Próby powinny oswajać wszy-stkich grających bez wyjątku, z treścią i duchem całego utworu; tym tylko sposobem utwór wyjść może wykończony w najmiej-szych, a często tak niezmiernie ważnych szczegółkach. Zarzuca-my tu tylko konkurentom Poreyi, że rozprawiając tak wiele o jej cudownej piękności, nie okazują swego zachwycenia zewnętrznie, w chwili, gdy stają przed jej obliczem. Słowa malujące barwnie i obrazowo piękność jej nadziemską, nie przypadają do sztywności poruszeń i martwoty fizyonomii. Innych nie dostrzegliśmy błę-dów, a w liczbie pochwał należnych i zasłużonych, pomieścić trze-ba jedną przedewszystkiem, panu Surewiczowi grającemu dozę Weuecyi. Służy on sztuce już od lat trzydziestu kilku, a ciepło młodzieńcze, rutyna wyborowa, czynią go dziś jeszcze wielce przy-datnym tutejszej scenie.

Najglówniejsze role przypadły, jak według słuszności wy-pada, panu Królikowskiemu i pani Palińskiej.

P. Królikowski, artysta przeważnie twórczy, wyszukuje zaw-sze w rolach jakie mu przypadną, punktu ciężkości, według którego reguluje przybrać się mający charakter. To wyszukiwa-nie będące świadectwem artystycznej medytacyi, sprawia, że cha-raktery raz przez siebie oddane, zatrzymuje na zawsze, pewnym będąc siebie w każdym już poruszeniu, w najcichszej modulacyi głosu, w każdej zmianie fizyonomii. Diatego to artysta ten nie daje się opanować nigdy wrażeniom chwili, wpływającym źle lub dobrze na samą grę.

Do niepospolitych także przymiotów p. K. policzyć trzeba owo uszlachetnianie, rozszerzanie na dramatyczniejszy diapazon ról, rażących szorstkością lub jaskrawością pojedynczych miejsc, albo też wstrętnych w ostatecznym swym zewnętrznym objawie. Uszlachetnianie to, które się odbywa procederem nadzwyczaj sub-telnym, będącym jedynie w mocy niepospolitego artysty, nie przeistacza bynajmniej charakteru, ani zamiarów autora. Ono je tylko wyjaśnia, uzupełnia i uplastycznia. Szyloka naprzykład możnaby grać dwojako: albo uwydatniając i podnosząc jaskrawo-ustępy chciwości, zawziętości i zemsty odmiennego wiarą lichwiarza, a osłabiając uczucia jego jako znieważonego ojca, poniżonego i pogwałconego człowieka i obywatela, — albo przeciwnie miarku-jąc, przytłumiając nieledwie odrębności wstrętne jednostki pogar-dzonej, a podnosząc do potęgi dramatycznej uczucia ogólnoludzkie, mające przystęp do każdego serca. Tak naprzykład: niechaj Szylok w scenie z Tubalem, mówi z jednostajnym naciskiem o porwanój Jessyce i o zmarnotrawionych klejnotach, albo co gorzej niech ból nad stratą tychże podniesie akcyą i głosem, trzymając się przytém wiernie tekstu, a Szylok nie wzbudzi najmniejszej litości, nie

wzruszy, przeciwnie oburzy lub wywoła śmiech zadowolenia w chwili, gdy go osiąga skutek wyroku.

Szylok w tój scenie takie ma słowa:

„Aj, tak, tak, niema dyamentu, który mnie kosztował dwa tysiące dukatów w Frankfurcie, *teraz dopiero, dosięgło przekleństwo nasze plemię, nigdy nie czuł ile teraz!* Dwa tysiące dukatów i prócz tego jeszcze inne drogie klejnoty. Chciałbym, ażeby córka moja leżała trupem u nóg moich z *temi kolczykami w uszach*, chciałbym ażeby ją pogrzebiono u nóg moich, *wraz z dukatami w trumnie...* O strato nad straty! Złodziejka uciekła z takimi skarbami, a ileżto jeszcze wydałem na to, ażeby złodziejkę schwytać!”

Wypowiedzenie słów tych z naciskiem, z rozmyślném podniesieniem ich znaczenia, czyni z Szyloka figurę nie tylko wstrętną i słusznie pogardzaną, ale nadto cały poprzedni jego ustęp wyliczający krzywdy wyrządzone od wieków plemieniu izraelskiemu, i apostrofa do równości uczuć i wrażeń wszystkich ludzi, traci na swęj sile tragicznej.

Szekspir był przedewszystkiem artystą. Tworząc dobierał typu, wszędzie obdarzał go wysokimi przymiotami i błędami, światłem i cieniem, bo z kontrastu wypływa harmonia. Nie miał on przeważnie na celu rehabilitowania pogwałconego żyda, (choć odczuł jakeśmy to rzekli bolesne jego położenie), tem mniej nie miał na celu podawania go w ohydę. Przedewszystkiem chodziło mu o skończouość kreacyi, dlatego dziwić się nie trzeba, że podniesienie grą artysty ciemnych stron Szyloka lub jasnych, wytworzyć z niego może dwie odmienne od siebie ostatecznym zakrojem postacie. Z upływem czasu, z uregulowaniem się nowych stosunków, potrzeb i nowych poglądów na ludzkość i społeczeństwo, ogół żyjący, inném, praktyczném, tendencyjnym okiem patrząc się lubi na kreacyą sztuki. Może to duch czasu, ale to niezawodna, że ogół nie lubi już sztuki dla sztuki, lecz pragnąłby widzieć realniejszy jęj związek z życiem terażniejszości. Ztąd wynika, że Szylok grany z równém rozdzieleniem siły na wszystkie jego charakterystyczne cechy, uderzy niezawodnie potęgą poetyczną, ale wyda się cokolwim figurą przestarzałą, zamierzochłą, niemającą bezpośredniej styczności ze stanem obecnego postępu. Otóż nigdzie może tyle, ile na scenie potrzebném jest dzieło reformy. W wielu Szekspirowskich sztukach reforma ta, pod którą rozumiemy tu ogładzenie pewnych rażących dziś szorstkości i skrócenie odpowiednie dzisiejszym wymaganiom scenicznym, jest niezbędną, reforma zaś ważniejsza należy do talentu samychże aktorów. Tak naprzykład doświadczenie nauczyło, że Ryszard III, jeżeli nie jest bardzo umiejętnie cieniowany, jeżeli nie wypuszcza wręcz niektórych krwawych słów swęj roli, wzbudza w publiczności szmer niewiary i niezadowolenia. Po tylu okrucieństwach spełnionych, gdy Ryszard III w IV akcie ma jeszcze powiedzieć „że i Anna powiedziała dobranoc światu”. Dawison

grający Ryszarda, jakkolwiek wyrazy te zaledwie wyszeptał, wywołał mimo to burzę niezadowolenia w publiczności. Zadużo było już tych okrucieństw i tragedya przez to mało co nie padła. Mniej utalentowany aktor, byłby całą tę scenę, jeżeli już nie całą tę znakomitą rolę, odrazu zwałił, wywołując niesmak. Aktor przeto dwojakie ma zadanie: modyfikowania artyzmem jaskrawości sprawiających zbyt drastyczne wrażenie, i *tendencyjne* niemal podnoszenie tych odcieni, które się z korzyścią dla dzisiejszych potrzeb wieku (a bez szkody dla kreacyi poetycznej) uwydatnią dają.

Pan Królikowski tej to trzymał się zasady, i dlatego, krwiozerczego Szyloka sympatycznym prawie zostawił w pamięci widzów.

W scenie z Tubalem, w której niezmiernie umiejętną jest gradacya psychologiczna, w której cios za ciosem jaki odbiera Szylak, łagodzi uadzieja zemsty na zbankrutowanym równocześnie Antoniu, dowiódł p. Królikowski wielkich swych zasobów. W ostatnich słowach przy odejściu: „Zobaczymy się na Kahale” czuć człowieka przygnębionego do ziemi, uderzonego piorunem nieszczęść, ale dyszącego otuchą zemsty, bliżkiej i już prawie pewnej. Ta zemsta wydała się teraz koniecznością, potrzebą człowiekowi, którego społeczeństwo ogołociło ze wszystkiego, wydarło cześć, spokój rodzinny i mienie. Zasługa to gry aktora. W scenie przed sądem stopniował p. Królikowski niecierpliwość odwetu, aż do chwili niczem niepowstrzymanego wybuchu arcykunsztownie, wywoławszy szept zgrozy. Miarkowanie się w efektach, takie tu szerokie następczających pole, cenimy wysoko; scena ostrzenia noża prosi prawie o „szarżę” której sobie załować nie zwykli inni artyści; p. Królikowski umiarkował ją spokojem, a podwyższył grę fizyonomii, zamionując wewnętrzne tłumienie wściekłego gniewu. Słowem w najmniejszym szczegółku znać dotknięcie mistrza. Nie chcemy tu chwalić komuniakami p. Palińskiej, zasłużonej artystki, ale istotnie studia głęboko w rzecz wnikające, uwidocznily się i tym razem. Od sceny nużącej pozbawionej wszelkiej akcyi przyjmowania konkurentów, aż do wyznania miłości Bassaniowi, zachowała okrągłość i jednolitość, podnosząc piękną dykcją, erotycznie ustępy.

Przebrana za prawnika broniącego sprawy Antonia, umie sytuacją tragiczną utrzymać na stopie tragicznej; z poza surowej grozy młodego oblicza, niktby nie poznał przebranej kochanki która zespoliła cześć swego kochanka z życiem własnym. Widz pamiętny tylko że tu chodzi o los człowieka, o los szlachetnego przyjaciela. Są tacy, którzy radziby mieć w Porcy i w tej nawet chwili wyobrazenie przebranej kochanki, broniącej z większym zapalem, z kobietą nawet namiętnością sprawy, która ją oburza jako niesprawiedliwość i jako krzywda drogich sobie osób; lecz zależy to od pojęcia samej artystki, której reguł w tym wypadku przepisywać nie można. Porcy mogła być graną w ca-

łości od początku do ostatka, porywczą i namiętnie, hamują się jedynie uczuciem tkliwem dla Basania, lub mogła być grana tak jak ją odegrała p. Palińska, ze spokojem czystego uczucia, wybuchającego raz tylko jeden, to jest w chwili gdy Basanio trafną wybiera skrzynekę, i do nóg jej miłośnie pada. Cokolwiekby p. Palińska dowiodła, jaki rodzaj ról należy się jej z prawa wrodzonych zdolności.

Chcielibyśmy z kolei przemówić o kilku nowościach wystawionych na obydwóch scenach, ale nie naszą to winą że „Livia Quintilia” dramat jednoaktowy p. Rzętkowskiego dwa razy był tylko grany, komedia zaś p. t. „Nieśmiały,” przerobienia p. Kaszewskiego nie wiele więcej, że przeto dotąd napróżno czekamy sposobności ujrzenia obu tych utworów na scenie. To już daleko szczęśliwiej, a nawet niezwykajnie szczęśliwie wypadło z komedią 3-aktową p. Sarneckiego p. t. „Zemsta pani hrabiny.” Grano ją albowiem aż 4 razy w jednym tygodniu. Możemy więc pomówić o niej słów kilka.

Zemsta tej p. hrabiny nie jest bynajmniej krwawą, sztyletową, jedną z tych któremi się posługują markizy francuzkich dramatów, ale zasadza się przeciwnie na zręcznej intrydze salonowej usnutej z potwarzy i kłamstwa, tej zdawkowej monety niektórych salonów, mających pretensyę nazywać się salonami wielkiego świata. Świat pani hrabiny, lubo w nim występuje i jakiś margrabia de Villaret (figura nam najzupełniej obca) i hrabia Janusz, angielskich a nie krajowych przyjemności zwolennik, jest przecie nie światem prawdziwej arystokracji rodowej, którą bądź co bądź, nie godzi się zawsze i stale malować na czarno, ale światem pół-panków, ludzi bogatych a przynajmniej z bogatymi pozorami, stojących w pośrodku pomiędzy obywatelem wiejskim a podejrzanego pochodzenia hrabią lub baronem. W światku tym, idiomem zwyczajnym jest język francuzki, polski zaś do tego zepsuty o tyle, o ile potrzeba nim przemówić nie do kamerdynera, bo ten bywa Francuz lub Anglik, nie do rządcy, bo ten Niemiec, ale do szewca, krawca i innych najpospolitszych śmiertelników.

Światek ten czei jedno bożyszcze: złoto i znaczenie. Przed niemi zgina kark, chowa w kieszeń sumienie, zapiera się serca, jeśli go przypadkiem miał. Mężczyźni i kobiety tej sfery są to (idziemy śladem autora wskazanym komedyi) lalki pięknie postrojone, eleganckie, prawiące sobie słodkie grzeczności, nazywające się przyjaciółmi tak długo, dopóki tego wymaga interes. Gdy ten ustaje, demaskują bateryę, nie zeują się do tymczasowego fałszu, ale w milczeniu kierują się do odwrotu.

Takich stosunków ofiarą pada niejaki Wacław Zawiejski bogaty obywatel, który nagle utracił znaczną część majątku. Wypiera się go cała koterya, a panua Julia, lalka jakich wiele, dyga przed nim bardzo grzecznie, mówiąc z rumieńcem najmłodniejszym: „Nigdy pana nie kochałam.”

W tém miejscu mógł autor stworzyć dalszą scenę bardzo piękną, bardzo dramatyczną. Mógł z bladego Wacława stworzyć potężny, czujący się w sobie charakter, mógł z boleści i upokorzenia jakich tenże doznał, odcisnąć na duszy jego piętno silnego postanowienia, ochoty do dzielnego czynu, druzgoczącego jednością swoją, nędną krętaninę kółka najpospolitszych sercem i umysłem ludzi. Tymczasem zamiast tego, dramatyzował autor zewnętrzny efekt, pojedynkiem odbytym na scenie, który nawet hukem pistoletowym nie zdołał poruszyć nikogo.

Wacław po pojedynku zjawia się dopiero w ostatniej scenie, ostatniego aktu. Ale o jego żywocie dalszym, o jego sercu, przekonaniach i cierpieniach (a przecież to jedna z głównych figur) nic a nic nie wiemy. Wpada jak *Deus ex machina* i żeni się odrazu. Prawda, że mógł wiedzieć o panie Julii, odrodzonej zupełnie, od jej brata Gustawa, ale kiedy ten brat przez osm miesięcy nie pisał do matki i siostry ani słowa? A hrabina, nerwus całej intrygi? Zaprzeczyć nie można że jest konsekwentną i zręczną, że nie przeistacza swęj natury nawet wtedy, gdy nagle, po odebraniu dotykalmęj nau czki od męza, przeistacza się i zaczyna go znajdować *aimable* i zaczyna go kochać. Jest ona trafnie lubo z cudzoziemska schwyconą postacią, ale gdyby autor jednym szerszym pociągiem pióra (co nawet cokolwiek zaznaczył) usprawiedliwił bezsercowe jej postępowanie jakim epizodem z przeszłości, byłaby i cała zemsta prawdziwszego jeszcze nabrała kolorytu.

Nie rozpisujemy się szczegółowo, boć głównemi figurami w znaczeniu komedyi, i w robocie jako wartości, są: hrabina, Julia i Wacław. O Julii dałoby się powiedzieć najwięcej i to na pochwałę. Jej charakter przeprowadzony z konsekwencyą psychologiczną, świadczy o zdolności wyrobienia się w tym kierunku. Z bezsercowej lalki, zajętej tylko strojami, niemyślącej o męzu tylko jak o człowieku dającym karę, liberyę i bale, przeradza się pod wpływem katastrofy uderzającej zarówno jej serce jak i spokojność rodzinną, dziewica szlachetna, ulegająca wprawdzie woli matki, ale już z jasnowidzeniem, że jest ofiarą poświęconą dla złota, i że czyni krzywdę człowiekowi który ją szczerze ukochał. Dwa te promyki jasnowidzenia przekształcają ją, odradzają moralnie, i stawiają na wysokości, w obec której matka jej, pospolita matrona, hrabina i bankier Goldberg bardzo smutną odgrywają rolę. Akt też III do większej swęj połowy, najwięcej ma zalet, najwięcej wartości dramatycznej i architektonicznej.

Hrabia Janusz, nieprawdziwy a przynajmniej oklepanego znaczenia w I akcie, później zwłaszcza w akcie III, nabiera cech oryginalnych, i przy pracowitszem przerobieniu mógłby się nawet stać typem.

Razi niezmiernie w tej komedyi nieumiejętność budowy, i brak akcyi posunięty do tego stopnia, że są sceny w których gdy dwie osoby rozmawiają, inne nie wiedzą co począć ze sobą. Tak naprzykład w akcie I na balu, gdy Gustaw wskazując na siedzących

razem: hrabinę Julię i Wacława, powiada: „Jak widzę, ci państwo bardzo ożywieni.” Tymczasem trzy te osoby nic do siebie nie mówiły, a nawet nie udawały że mówią, co już naturalnie wina gry. Albo w akcie trzecim, gdy hrabina rozmawia z matką Julii, Julia bardzo długo siedzi przy stoliku, prawda że pod wpływem wzruszenia, i nie wtrąca się ani jednem słówkiem. Co się zaś tyczy samej budowy, cały akt pierwszy, ułatwiający sobie wprowadzić bałem wchodzenie i wychodzenie różnych figur, wygląda jednakże jako zbiór scen niezręcznie powiązanych ze sobą. Toż trzeba powiedzieć o scenach, w których inni podsłuchują przez dobry kwadrans, na przykład hrabia Janusz w akcie pierwszym, lub Wacław w akcie ostatnim. Podsłuchiwanie, środek bardzo zużyty lubo często nieunikniony, da się doskonale usprawiedliwić gdy budowa idzie składnie, lub gdy w samej intrydze leży jego przyczyna; ale psuje wszelki efekt i razi nienaturalnością, gdy jest po prostu użyte jako *malum necessarium*, jako niemożność wybrnięcia dalej.

Radzimy także znaczące obcięcie francuzczyzny, nie stanowiącej znamienia charakterystycznego, raczej gmatwaninę, psującą artyście jego werwę. Żadnego to nie stanowi dowodu, że ktoś paple po francuzku a choćby i cała koterya, iżby tę stronę zewnętrzzną kopiować i stawiać jako cechę typową, gdyż tym sposobem Szylak powinienby mówić po żydowsku albo zepsutym włoskim językiem, tymczasem Szekspir włożył mu w usta tenże sam język co innym. W komedyi mieliśmy eksperymenta z francuzczyzną, ale w takim razie były one satyrą, a tu autor nie używa jej w tym celu. Mimo tych niedostatków i większych nawet usterków, nie można nie uznać w p. Sarneckim zdolności spostrzegawczej, umiejaczej pochwycić zło i śmieszności żyjącego społeczeństwa, nie można mu też zaprzeczyć umiejaczejności charakteryzowania i szczególnej czeseni inweucyi. Są to zalety, z których się wyrabiają z czasem dobrzy pisarze dramatyczni, a p. Sarnecki z pierwszym dopiero wystąpił utworem. Droga przed nim daleka, którą przy ochocie, zamiłowaniu jakie oczywiście posiada, i studyach o które się postarać zechce, przebyć można zwycięzko, z zadowoleniem własnem i innych. Mamy niewielu autorów dramatycznych, więc cieszyć się nam trzeba, ilekroć uowa zdolność pojawi się na horyzoncie pisarskim, a że p. Sarnecki jest zdolnością, to przyznać można.

Gra artystów wypadła pomyślniej, gra zaś pani Bakalowiczowej była świetnym popisem. Artystka ta znakomitych zdolności, umiała z roli swęj w „Zemście” roli Julii wydobyć tyle skarbów uczucia, inteligencji w spojrzeniu, ruchliwości w twarzy, że chwilami podnosiła sytuacją do nastroju dramatycznego, na przykład w akcie trzecim. Naiwność szczerą, dziecięcą, spieszczoną, przechodząca nagle w surową powagę kobiety wyższego serca i umysłu, to przeskok bardzo trudny. Pani Bakalowiczowej nie sprawił on najmniejszej trudności. Nigdy może huczne oklaski

nie były tak rzetelnie zasłużone, i nigdy może nie wydały się tak małą nagrodą za taki artyzm.

Obok takiej artystki, zebrał wawrzyny do których już przywykł, p. Żółkowski w roli Goldberga. Nie będziemy wchodzić w szczegóły jego roli podobnej do roli bankiera w „Dziejach serca” p. W. Szymanowskiego. Naturalnie że p. Żółkowski nie był podobnym, ale stworzył znowu inny typ bankiera.

Pani Niewiarowska (hrabina Aurora) gdyby się tylko wyrzec chciała (w porozumieniu z autorem) francuzczyny, grałaby wcale dobrze. Za słabo tylko cieniowała nagłe przejście z dumy do pokory w scenie z Januszem, gdy ją ten ściska za rękę, ucząc posłuszeństwa, i za ostro obchodzi się z Julią w chwili, gdy jej radzi pojąć za męża Goldberga. Wszakże tu dotyka bolesnej rany delikatnego serca. Wić o tém bardzo dobrze, bo zna świat, i zna położenie rzeczy które sama wywołała. A wreszcie sama hipokryzja nakazuje jej większą słodycz i delikatniejsze obejście.

Pan Świeszewski (Wacław) roli swój blado zarysowaną przez autora, nie silił się wzmocnić i wypełnić, a przecież główną to bywa zasługą aktora, gdy umie zastąpić autora w niedociągnięciu liiii, w niewypowiedzeniu ostatniego słowa. Jużto w ogóle spostrzegamy w nim od niejakiego czasu zaniedbanie, nad którym tém bardziej ubolewać przychodzi, im więcej od przeszłości pana Świeszewskiego wymagaćby się miało prawo. P. Grzywiński małą rolę starego generała odegrał z prawdą i powagą. Rolę podrzędną i mało znaczną margrabiego de Villeret, odegrał z trafnością i sobie właściwem zrozumieniem p. Stolpe. Wielką pożytecznością zaleca się ten artysta, i żal nam prawdziwie, że go tak rzadko widzimy na scenie. P. Tatarkiewicz w roli hrabiego Janusza dowiódł, że mu i siły nie zbraknie, gdy ta odpowiednio zastosowaną jest jego organizacyi. Kształci się on widocznie i wyrabia, krótko mówiąc baczy, by nie zasnął gruszek w popiele. Nie o wszystkich powiedzieć to można.

E. Lubowski.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Kwiecień 1869 r.—W roku 1866 drukowaliśmy w naszym piśmie jak i w oddzielnej odbitce, rozprawę Alexandra Przeddzieckiego, o najdawniejszej pieśni naszej kościelnej, *Bogarodzica*, z powodu odkrytego przez tegoż badacza w Częstochowskim rękopiśmie z XV wieku, odpisu tejże pieśni z nutami podłożonemi pod pierwszą strofę. Teraz do pomienionej rozprawy przybywa dopełnienie, gdy w rękopisach bogatej biblioteki Jagiellońskiej znalazł p. Przeddziecki jeszcze dwa odpisy pieśni Bogarodzica; jeden, z samego początku XVI wieku, drugi, z drugiej połowy tegoż wieku, ale za to opatrzonej *melodyą* do trzech pierwszych zwrotek i przekładem łacińskim całej pieśni. O tém ciekawém odkryciu, złożył uczony badacz sprawozdanie, które wydrukował w tomie XXXVIII Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego i wynalezioną melodyę załączył.

— *Pamiętka.*—Wiek młody to kwiat życia; wspomnienia z tych chwilek, to pociecha na lata dalsze; a ocalona pamiętka z młodości, to obrazek zawsze żywy, który stanowi prawdziwą rozkosz serca. Taką pamiętkę utworzyło sobie kółko kolegów i przyjaciół z dawnych uczni b. Uniwersytetu Alexandrowskiego w Warszawie.

O tej pamiętce Kurjer Codzienny zamieścił wzmiankę, acz szczerą i chętną, lecz zbyt szczupłą i niezupełną; dlatego obszerniejszą podajemy o niej wiadomość.

W roku 1829 u Adama Bagniewskiego i Antoniego Szatenkiego, co środa zbierało się gronko kolegów i przyjaciół, a mianowicie: Romuald Hube, Józef Hube, Ignacy Maciejowski, Franciszek Maciejowski, Kazimierz Plichta, Bolesław Brzozowski, Andrzej Moraczewski, Ludwik Zeuschner, Wincenty Majewski, i Gaspar Dryll; — wszyscy niedawni wówczas magistrowie b. Alexandrowskiego Uniwersytetu w Warszawie.

Wesoła gawędka przy szklankach skromnego napoju, myśl poetyczna, improwizacye stosowne i poważne w rzeczach naukowych dyskusyje, tworzyły dobry humor i wiązały jednem uczuciem zebranych.

W takim gronie dnia 7 stycznia 1829 r., Wincenty Majewski zaimprovizował do Adama Bagniewskiego, mającego wkrótce wstąpić w związki małżeńskie, kilka następujących zwrotek:

Powiedz Adamie, wiele w tym pokoju,
Wyszło za ciebie ciepłego napoju;
Czyliś się często złał Bachusa potem:
Powiedz Adamie, czy pamiętasz o tém?

A choć dla ważnej bardzo tajemnicy
Wziąłeś mieszkanie na Orlej ulicy,
Trunkiem się pasuj z miłości kłopotem,
Radzą ci szczerze, nie zapomnij o tém.

I my też bracia stali na złe losy,
Młodzieńcze wznieśmy dla radości głosy;
Podwójnym szklanki wychylmy obrotem,
I w każdy tydzień pamiętajmy o tém.

A jeśli kiedy niewidoma władza
Zdała od siebie nas porozprowadza,
Tego pokryje lata, tego złotem,
Żeśmy dziś razem, pamiętajmy o tém.

Wiersze te, przy obecności powyżej wymienionych osób spisane, pozostały w zachowaniu Bagniewskiego, jako własność wszystkich, jako miła młodocianej towarzyskości pamiątka. W celu odświeżenia jej po latach czterdziestu, z owych dwunastu towarzyszy młodości, siedmiu tylko, dziś letnich i zasłużonych mężów, miało sposobność zebrania się znowu w jedno grono. Zebranie to miało miejsce u Rzeczywistego Rady Stano Adama Bagniewskiego b. dyrektora głównego b. Kom. Rząd. Przychodów i Skarbu i nateraz wyłącznym jego staraniem. Brali w niem udział: rzeczywisty tajny radca senator Romuald Hube; rzeczywisty radca stanu członek senatu z prawem przewodniczenia Antoni Szateński; rzeczywisty radca stanu Franciszek Maciejowski b. członek senatu i b. professor Szkoły Głównej Wydziału Prawa i Administracyi; radca kollegialny Gaspar Dryll sędzia appellacyjny; Ludwik Zeuschner b. professor w Krakowie a następnie w b. Akademii Medyko-Chirurgicznej Warszawskiej, i mecenas

Wincenty Majewski. Inni jakoto: Kazimierz Plichta, Ignacy Maciejowski, Andrzej Moraczewski i Bolesław Brzozowski życie zakończyli, a Józef Hube nieobecny jest w kraju.

Na tém zebraniu odczytaną została powyżej zamieszczona improwizacya, a w dalszym ciągu tych zwrotek, Wincenty Majewski, znowu zaimprowizował siedem zwrotek, z których jedną przytaczamy:

Ach! pamiętamy te chwile radosne,
Te myśli czyste i tę życia wiosnę,
Czary młodości niesione polotem:
Dziś lat esterdsięci. Pamiętamy o tém.

Na tym wieczorku przyniesiony Kurjer Warszawski z d. 7 stycznia 1829 r. Nr. 6 ze środy, odczytany został.

Uznano, że jeden w nim artykuł ma jakoby związek z terazniejszym po latach czterdziestu zebraniem. Zawiadamia on o dziele Huffelanda „Makrobiotyka” czyli „sztuka przedłużania życia ludzkiego” jakie wówczas wyszło w przekładzie polskim, jakoby wróżba o długim życiu zebranych i nadziei, że może się spełnić polecenie pod karą w ostatniej zwrotce objawione. W każdym razie zebrani postanowili, jeśli Bóg dozwoli, za lat 10 znowu w jedno zgromadzić się kółko. Będzie to lat 50 od pierwszego zebrania i ma stanowić jeśli nie złote wesele, to zawsze złote wspomnienie, o jakim mówi nasz poeta Bohdan w swoich Rusalkach, streszczając je w słowach:

Wszakże cały szczęścia wątek
Tworzy jakaś cudów ohwilka,
Jakiś obraz, uczuó kilka,
Kilka z młodszych lat pamiętek.

— Nakładem Gustawa Sennewalda księgarza wyszło w 3 tomach: „Powszechne ogrodnictwo, czyli nauka zakładania ogrodów, uprawy roślin użytecznych a w szczególności pielęgnowania roślin warzywnych, kwiatów i drzew owocowych, z zastosowaniem do potrzeb kraju, napisana przez Michała Czepińskiego ogrodnika i właściciela ogrodów w Warszawie.” Dzieło to przez biegłego praktyka napisane, miało już poprzednio dwa wydania: publiczność sama dobrze oceniła wysoką jego wartość, rozkupieniem całego z nich nakładu. Obecnie G. Sennewald (syn) wydawnictwo ojca swego, pragnąc zastosować lepiej do potrzeb obecnej chwili, powierzył trzecie wydanie niniejsze p. Karolowi Langie'mu członkowi Towarzystwa Naukowego Krakowskiego

i królewskiego Towarzystwa ogrodniczego w Berlinie, a zarazem członkowi komitetu c. k. Towarzystwa gospodarczo-rolniczego w Krakowie i rady gospodarczemu towarzystwa sadowniczego tamże, który je starannie przejrzał i pomnożył. Dzieło to, pierwotnie w jednym tomie wydane, teraz składa się z trzech, wielu drzeworytami ozdobione. Wydrukowane w Drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellonskiego, odznacza się staranną i piękną edycją, obok ważności swjej treści. W kraju jak nasz rolniczym, wydawnictwo tak użyteczne dla ogółu, powinno znaleźć silne poparcie.

— Nakładem Józefa Kaufmana wyszła broszurka o 47 stronnicach p. n. Jak pielegnować zdrowie. Skreślił Wilhelm Lubelski Doktor medycyny. Jest to odbitka z kalendarza illustrowanego J. Kaufmana.

— Zeszyt pierwszy *Biblioteki Rolniczej*, wydawanej nakładem Adama Mieczyskiego, wyszedł z druku i zawiera następujące prace: *Konferencye rolnicze*. Nawozy chemiczne Jerzego Ville, tłumaczenie Polikarpa Szlązkiewicza. *O uprawie buraków cukrowych na Ukrainie* (z jedenastoma drzeworytami) przez Piotra Grodzickiego. *Jakiemi drogami dojdziemy do osiągnięcia z krów dojnych najwyższej możliwej korzyści* (z 9 drzeworytami) przez Alexandra Trylskiego. *Kronika bibliograficzna pism peryodycznych i dzieł gospodarskich*, za styczeń, luty, i marzec 1869 r.

Cena 12 zeszytów *Biblioteki Rolniczej* (każdy po 8 arkuszy druku) wynosi rs. 8. Dla prenumeratorów *Gazety Rolniczej* 4 ruble za 12 zeszytów.

Skład Główny w Redakcyi *Gazety Rolniczej* przy ulicy Solnej Nr. 715 w Warszawie, a dla panów księgarzy w Księgarni Gebethnera i Wolffa ulica Krakowskie Przedmieście Nr. 415 w pałacu Hrabiego Stanisława Potockiego.

— *P. Julian Ochorowicz*, student nauk przyrodzonych w tutejszej Szkole Głównej zamyśla wydawać pod ogólnym napisem: *Psychologiczne pytanie XIX wieku*, szereg rozpraw tyczących się jednej z najbardziej dziś uprawianych nauk. Jako pierwszą, wstępną rozprawę wydał obecnie książkę p. n: *Jak należy badać duszę? czyli o metodzie badań psychologicznych*, rozprawa konkursowa Juliana Ochorowicza, uznana za najlepszą z nadesłanych i uwieńczona medalem srebrnym przez wydział filologiczno-historyczny Szkoły Głównej Warszawskiej. Nakładem autora. Warszawa w Drukarni Karola Kowalewskiego. 1869. stron 95 w 8 większej. Cena kop. 60 (złp. 4).

— Wyszła broszurka p. n. *Teorya Darwina*. Podług popularnej prelekcji Ludwika Buechnera opracował Bronisław Reichman, student Nauk Przyrodzonych w Szkole Głównej Warszawskiej. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego. 1869. stron. 30. Cena kop. 30 (złp. 2).

— Pan Józef Goldszmitt ogłosił: „Biblioteczkę gawęd i powiastek Żydowskich”. Publikację swoją rozpoczął od wydania: „Córka handlarza, obrazek z czasów epidemii w Warszawie.” (Warszawa. w Drukarni Al. Ginsa 1868. w 12 ce.) Nadto tenże sam pisarz pod ogólnym tytułem: „Wizerunki wsławionych żydów XIX wieku”, w roku zeszłym, wydał zyciorys S. M. Montefiorego, a w r. b. Achillesa Fould'a, dołączając w drzeworytach trafne ich popiersia.

— Towarzystwo lingwistyczne w Paryżu, obrało na swego członka jednego z naszych filologów, profesora Szkoły Głównej Jana Papłońskiego i zaprosiło do współpracownictwa w wydawaném piśmie: „*Memoires de la Société de linguistique de Paris*.” Pierwszy tom téj publikacji wyszedł z druku 1868 roku, a pomiędzy pracami uczonych filologów francuzkich pierwsze miejsce trzyma Michał Bréal profesor w Collège de France.

— A. Zygmunt Helcel, pomimo skołatałego zdrowia i obłożnej choroby, prowadzi bez przerwy druk swego dzieła *Pomniki prawodawstwa polskiego*, o którym już w naszym piśmie wspominaliśmy, i obecnie arkusz 70 wyszedł z pod prasy.

— Dr. Karol Estrejcher b. podbibliotekarz Biblioteki Szkoły Głównej Warszawskiej, a obecnie bibliotekarz przy Uniwersytecie Jagiellońskim, od wielu lat przygotowywał katalog bibliograficzny wszystkich dzieł przez Polaków wydanych, tak w ojczystym jak w obcych językach. Ogromna ta praca, utworzyła dzieło wielkich rozmiarów, i nieocenionj wartości dla literatury naszej. Zaczyna się od roku 1800, a dochodzi do dni obecnych. Obejmie najmniej pięć tomów jak Encyklopedia Powszechna S. Orgelbranda, który okazywał chęć zajęcia się tém wydawnictwem, po ukończeniu Encyklopedyi. Teraz otrzymujemy wiadomość, że Komisya bibliograficzna w Krakowie, uchwaliła wydawać tę szacowną pracę, która zyska nie mało, że będzie pod okiem autora dokonana. Oprócz spisu dzieł pisarzy bieżącego stulecia, których liczba do 10,000 wynosi Dr Estrejcher wzbogacił swoje dzieło wiadomościami skrętnie zbieranemi i do ich zyciorysów. Dla zajmujących się literaturą krajową, dzieło to będzie niezbędną pomocą.

— Na posiedzeniu oddziału nauk przyrodniczych i lekarskich Towarzystwa naukowego krakowskiego, dnia 13 marca, p. W. Pol złożył na użytek oddziału, nabyty po długich zabiegach i kosztem niemałym zbiór map odnoszących się do Tatrów, odznaczający się niezrównaną dokładnością wykonania. Ponowił zarazem wniosek przez siebie poruszony, aby podług tych map sporządzono zbiór dokładny w zmniejszonych rozmiarach, mogący służyć za tło do przyszłych poszukiwań w zakresie nauk przyrodzonych, tudzież aby do tego zwołano komisję już poprzednio w tym celu wyznaczoną.

W uwzględnieniu tego życzenia, zaproszono wzmiankowaną komisję, złożoną z Dr. Altha, Kuczyńskiego, Karlińskiego, Żebrawskiego i wnioskującego Pola, aby wzmocniwszy się jeżeli za stosowne uzna, zajęła się rozbiorem naukowym warunków tego zadania i orzeczenia pod względem jego najodpowiedniejszego wykonania wygotowała i złożyła komitetowi Towarzystwa dla powzięcia stanowczej uchwały.

— Komisya archeologiczna zawiązana blisko trzy lata temu we Lwowie pod przewodnictwem p. Mieczysława hr. Potockiego, dała już liczne dowody swej pożytecznej działalności na całej przestrzeni Galicji Wschodniej. Między członkami i czynnością i energią góruje p. Stanisław Kunasiewicz Dr. praw, dający w wielu razach komissyi bardzo chwalebny inicjatywę.

Komisya uratowała już od zupełnej zagłady:

1) Sześć pomników, wydobytych z katakumb kościoła „Bożego ciała” OO. Dominikanów we Lwowie, nieocenionych dzieł sztuki, bo zabytków wczesnej i najświetniejszej epoki odrodzenia. Dalej uratowała od poniewierki:

2) Obraz historyczny, będący zabytkiem XVI wieku, dziś już dzięki staraniom p. Kanasiewicza zupełnie wyrestaurowany przez p. K. Szlegla.

3) Ornaty, kapy, dalmatyki i stuły z namiotów Wielkiego Wezyra z pod Wiednia.

4) Tryptyk w kościele sw. Mikołaja, mogący być ozdobą jednego z pierwszych muzeów archeologicznych.

5) Skarbiec przy katedrze obrządku łacińskiego.

6) Pomnik Stanisława Jaszowskiego zmarłego w r. 1843, literata i dziennikarza we Lwowie.

7) P. Kunasiewicz też częścią od poniewierki, częścią od zupełnej zagłady uratował wiele zabytków, znalezionych przy roz-

kopywaniu gruntów pod budującą się obecnie kolęją lwowsko-brodzką.

8) Komisyja prowadzi starania celem ochrony od zagłady walącego się kościółka św. Jana, najstarszego zabytku Lwowa, bo starszego niż miasto samo. Wydała już broszurę p. t. „*Wiadomość historyczna o kościele św. Jana*” z której dochód przeznaczono na restauracyę kościoła.

9) Prócz tego Komisyja postanowiła ciągle wydawać albumy fotograficzne miejscowych pamiątek, a to celem rozbudzenia w publiczności zamiłowania do zabytków przeszłości i popierania starań około ich naprawy podejmowanych. „Album pamiątek Żółkiewskich,” znakomicie wykonane w zakładzie fotograficznym p. Szejnoka we Lwowie jest pierwszym i godnym uznania krokiem na tej drodze, który też rzeczywiście ogół przyjął z radością i współczuciem. Do tego albumu wydano również za staraniem p. Kunasiewicza objaśnienie historyczne i artystyczne pod napisem: „*Kościół farny w Żółkwi, jego dzieje i pomniki wraz z listem Karola Szajnochy o grobowcu Jakóba i Konstancyi Sobieskich.*” (Lwów, 1869. str. 51 w 8-ce). Przychylając się do prośby p. Stanisława Kunasiewicza p. Szajnok przeznaczył znaczną część z rozprzedaży albumu żółkiewskiego na rzecz restauracyi pomników wydobytych z kościoła OO. dominikanów we Lwowie. Również p. Władysław Zawadzki autor tej broszury i nakładcy księgarze pp. G. Seyfarth i D. Czajkowski przeznaczają całkowity czysty dochód z rozprzedaży tej broszury na rzecz restauracyi tychże samych pomników dominikańskich we Lwowie.

— P. Adam Bełcikowski b. docent Szkoły Głównej Warszawskiej, obecnie stale zamieszkały w Krakowie, wydał w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego studjum literackie: „*Wacław z Potoka Potocki.*” Jak sam przedmiot, tak i jego obrobienie zasługują na poważny rozbiór.

— We Lwowie nakładem Wilda, wyszedł tom IV *Słowników historycznych* Karola Szajnochy. Tom ten obejmuje: 1) Dama Rozanda. 2) Hieronim i Elżbieta Radziejowscy. 3) Bohdan Chmielnicki. 4) Świętowit. 5) Starożytna Sfinga z napisem słowiańskim. 6) Obyczaje pierwotnych Słowian. 7) Siostra Kazimierza Wielkiego we Włoszech. 8) Dyabeł wenecki. 9) Szlachcio chodaczkowy. 10) Staropolskie wyobrażenia o kobietach.

— Tenże księgarz, wydaniem drugiej połowy trzeciego tomu dzieła H. T. Buokla: „*Historya cywilizacyi w Anglii*” zamknął

całość swego wydawnictwa rozpoczętą przed ośmiu laty w przekładzie Władysława Zawadzkiego.

— W Poznaniu księgarz M. Jagielski zaczął wydawać *Bibliotekę ludową*. Nadeszła do nas serya I i obejmuje: 1) O Twardowskim czarowniku. 2) Czarownica. 3) O spaleniu 14 mniemanych czarownic w Doruchowie. 4) Madejowe łożo. 5) Chłop i diabeł (w 12ce str. 99).

— P. Antoni Stanisławski zasłużony professor Charkowskiego Uniwersytetu ukończył przekład całej *Boskiej komedii* Dantego. Tłumaczenie wykonane jest białym wierszem: o ile zyskuje przez ten sposób na wierności, tracić musi na wdzięku artystycznym. Znawcy pracę p. Stanisławskiego przenoszą nad znany przekład Juliana Korsaka: obaj po 12 lat życia poświęcili na swe tłumaczenia. Dla pojęcia Dantego, i jego nieśmiertelnego poematu, praca p. Stanisławskiego będzie drogocezną pomocą. Przypominamy, że zmarły przed kilką laty ś. p. Ludwik Kamiński, tłumacz Pope'go, przełożył całe *Piekło*, wierszem rymowym, i ściśle zastosowanym do miary oryginału. Wyjątki drukowaliśmy w naszym piśmie. Jestto jedno, z najwyborniejszych tłumaczeń Dantego, i żałować musimy, że zmarły poeta, nie pozostawił nam całości.

— Korrespondent Gazety Warszawskiej z ostatnich dni marca r. b. donosi z Krakowa, że na tameczną Wystawę Sztuk Pięknych p. Górecki młody malarz nadesłał z Paryża dużych rozmiarów obraz: „Ostatnia komunia młodej dziewczyny.” Winniśmy sprostować tak grubą omyłkę. Malarz Górecki, syn znanego poety Antoniego, a małżonek najstarszej córki Mickiewicza, Maryi, od lat kilku już spoczywa w grobie, pozostawivszy młodą wdowę i troje sierot. Był to znakomitego talentu artysta, który w kwiecie wieku zakończył życie. Obraz pomieniony nadesłała wdowa, dla sprzedania go, przyciśnięta potrzebą, i wkrótce pokazał się on i na naszej w Warszawie Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem.

— Na wystawie stowarzyszenia artystów (Kuunstverein) w Medyolanie, był obraz pędzla p. Alexandra Świeszewskiego, przedstawiający widok w Pieninach. Obraz ten, powszechnie zyskał pochwały i nabyty został do Filadelfii w Ameryce.

— W Berlinie, Towarzystwo naukowe akademików polskich d. 9 stycznia r. b. (jak wyczytujemy w Pamiętniku Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego w Zeszytcie na kwiecień r. b.) otrzy-

mało sankeyą uniwersytecką i zaraz też rozpoczęło swoje czynności. Podzieliło się na cztery wydziały: prawniczy, filozoficzno-historyczny, techniczny i lekarsko-przyrodniczy. Oddział lekarski siedemnastu liczy członków, piętnastu lekarzy, jednego chemika i jednego farmaceuty. Od 1 maja to Towarzystwo naukowe liczące obecnie 66 członków, posiadać będzie własną czytelnię.

— *Grażynę* Adama Mickiewicza na język serbski przełożył p. Nowakowicz professor literatury serbskiej w gimnazyum belgradzkim. Przekład ten dokonany białym wierszem odznacza się zarówno wiernością, jak oddaniem należytem piękności oryginału.

Korrespondencya.

— P. M. P. w K. Artykuł „O romantycznych gramatyki polskiej” jakkolwiek zawiera niektóre uwagi użyteczne, gdy całość nie odpowiada swemu zadaniu, drukowanym nie będzie.

† Dnia 18 lutego r. b. zakończył życie w Warszawie Józef Antoni Czajkowski w 54 roku wieku, nauczyciel szkół publicznych i pisarz. Zasiłał swemi pracami tak nasze pismo, jak *Przegląd Warszawski* i *Przegląd Naukowy*. Oddzielnie wydał: *Gramatykę języka polskiego zawierającą naukę rozbioru i składni*. Był przez czas krótki redaktorem *Czytelni Niedzielnej* pod głównem kierownictwem pani Petrowowój, która to pismo założyła i swoim prowadziła nakładem.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

803

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Marzec, 1869.

Marzec, 1869.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycowe	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		737.17	737.02	734.88	735.75	736.205	- 0.6	+ 0.1	+ 0.4	- 3.5	- 0.90
2		733.64	733.42	731.15	730.37	732.145	1.3	0.1	1.1	1.3	0.35
3	☾	733.44	734.99	738.42	741.67	737.130	0.4	2.3	5.8	+ 0.2	+ 1.98
4		742.88	742.82	740.78	741.44	741.983	1.5	0.0	- 0.7	- 1.5	- 0.95
5		747.24	748.68	748.49	748.19	748.150	2.3	- 1.0	- 0.2	2.0	2.43
6		745.92	745.64	744.50	744.53	745.148	3.5	2.5	- 2.9	3.6	3.13
7		745.64	746.14	747.28	748.83	746.973	3.3	1.0	0.0	1.3	1.40
8	Apoq.	749.41	749.31	748.64	748.67	749.008	2.9	1.1	+ 1.0	1.6	1.15
9		747.75	748.19	746.72	746.66	747.283	2.5	+ 0.6	1.9	1.1	0.25
10	Rev.	745.77	745.79	745.03	743.84	745.108	1.9	1.2	1.9	0.5	+ 0.15
11		740.56	738.85	736.11	736.11	737.908	3.3	0.9	1.3	+ 1.0	- 0.03
12	☉	735.31	734.90	732.72	731.69	733.655	+ 0.4	2.5	3.1	1.5	+ 1.88
13		731.06	732.54	736.98	740.55	735.283	0.6	1.2	0.7	0.4	0.73
14		744.56	743.41	742.68	741.31	742.480	0.3	1.9	2.1	1.3	1.40
15		739.08	739.02	740.10	742.20	740.100	1.0	2.1	3.1	2.5	2.15
16		743.86	744.94	745.90	747.01	745.528	1.9	2.5	6.0	1.4	2.95
17		747.54	747.65	747.44	748.25	747.720	1.4	4.4	5.9	3.4	3.78
18		748.95	749.39	749.90	750.94	749.895	2.1	3.3	4.2	1.9	2.88
19	☽	749.64	749.83	748.70	747.49	748.915	1.3	3.2	5.0	3.1	3.15
20		744.45	744.49	743.50	743.82	744.065	2.0	5.2	5.8	3.6	4.15
21		743.70	744.38	744.59	745.13	744.450	3.1	4.7	6.0	4.0	4.45
22		744.84	745.29	745.09	745.87	745.273	2.3	2.5	4.0	3.8	3.15
23		747.31	748.20	749.34	749.62	748.868	1.8	2.0	3.4	2.5	2.43
24	Perig.	750.21	750.98	748.83	747.81	749.228	1.3	1.7	3.1	1.0	1.78
25	Now.	745.86	745.21	744.58	745.61	745.240	- 0.7	1.5	2.3	- 1.5	0.40
26	☾	747.13	747.04	744.95	743.50	745.655	3.1	- 0.2	1.9	1.9	- 0.85
27		741.36	740.44	739.63	740.58	740.603	2.5	+ 1.0	3.2	0.0	+ 0.43
28		743.24	744.83	746.63	747.93	745.658	0.1	3.1	5.0	+ 1.2	2.30
29		749.34	749.86	750.26	752.31	750.443	0.4	3.9	5.3	0.0	2.33
30		752.76	752.64	750.46	750.38	751.560	1.5	4.2	6.9	3.4	3.25
31		749.24	748.36	746.22	745.92	747.435	1.9	3.9	6.6	1.9	2.60
Śr.		744.083	744.318	743.881	744.351	744.158	- 0.48	+ 1.75	+ 3.03	+ 0.59	+ 1.22

Średnia dzienna wilgotność	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy co do wysokości w milim.		Wysok wody na Wiśle.			
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnie- gu	dot.	cali		
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.			na m.	p.		
-	poc. śnieg	poc. śnieg	napół pog.	pogodny	W1.	PdW1.	W1.	W1.			1.5	4	2	
87.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	Pn1.	PnW1.			4.6	4	0	
87.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	Fn1.				2	9	
-	pochm.	pochm.	poc. śnieg	poc. śnieg	PnZ1.	Pn2.	Pn3.	PdW3.			7.3	3	7	
81.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W1.	PdW1.	Pd1.			4.8	3	7	
85.3	pochm.	poc. śnieg	poc. śnieg	poc. śnieg	Z2.	Pn2.	PdW2.	Pd2.			3.6	3	7	
92.3	pochm.	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			4.1	3	7	
89.5	poc. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	Pn1.	PnW1.	PnW1.				3	7	
84.5	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pochm.	Pn1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			0.7	3	6	
84.3	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			3.0	3	5	
86.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PdW1.	PdW1.			0.2	3	3	
90.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				3	2	
93.5	poc. śnieg	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	W1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			7.9	2	5	
86.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW3.				3	4	
92.5	poc. dész.	poc. dész.	pochm.	pochm.	PdW2.	Pd2.	Pd1.	Pd1.			3.0	3	6	
89.8	poc. mgła	pochm.	napół pog.	pogodny	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			1.9	3	7	
91.8	poc. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	PdW1.			0.6	4	3	
91.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.				5	5	
88.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.				7	5	
88.0	poc. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.				8	11	
86.5	pochm.	pochm.	pochm.	poc. dész.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			0.4	9	6	
91.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PdZ1.	Z2.			1.2	9	3	
86.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	PdZ2.	PnW1.	PnW1.			0.3	8	11	
90.5	poc. mgła	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	Pn1.			0.2	8	6	
-	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnZ1.	PnZ1.	Pn2.	PnW1.				8	5	
-	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn2.	PnW1.	PnW1.				8	6	
80.5	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PdW1.	PdW1.				9	2	
78.3	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	W1.	W1.				9	11	
69.3	pochm.	napół pog.	napół pog.	pogodny	W1.	W1.	PdW1.	Pd1.				8	10	
68.8	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.				8	0	
62.0	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdZ1.	PdZ1.				7	1	
Śr.											7.3	36.0	5	9.3

	m.	°.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	744.158	27	5.882
Najwyżej barometr dochodził d. 30 o g. 6 rano	752.76	27	9.696
Najniżej — — d. 2 o g. 10 w.	730.37	26	11.770
Średnia dzienna zmiana barometru	3.580		1.587
Największa dzienna zmiana barometru d. 13—14 o godz. 6 rano	11.50		5.098
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	4.470		1.982
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	748.628	27	7.864
Średnia temperatura marca wynosi	+ 1°22 C.	+	0°98 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.15		0.92
Największa zmiana dzienna temperatury d. 3—4 o godz. 4 po poł.	6.5		5.2
Średnia temperatura marca jest wyższą o	0.59		0.48
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	+ 0.63	+	0.50
Termometrograf wskazał: Maximum: + 7°8 C. = + 6°2 R. d. 30 po poł.			
Minimum: — 3.8 „ = — 3.0 „ d. 6 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 82.2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 4.6 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 5.1 setnych od normalnej (87.3).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 7.3 mil. czyli 3.24 lin. par., ze śniegu 38.0 mil. czyli 16.84 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 45.3 mil. czyli 20.08 lin. par., więcej o 3.3 mil. czyli 1.46 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w marcu spada (42.0 mil. czyli 18.62 lin. par.).

Dni pogodnych 2, napółpogodnych 3, pochmurnych 26.

— deszczu 6: (d. 15, 16, 17, 21, 22 i 24).

— śniegu d. 11: (d. 1, 2, 4, 5, 6, 7, 9, 10, 11, 13 i 25).

— mgły 5: (d. 8, 16, 17, 20 i 24).

Wiatr panujący północno-wschodni i południowy.

Marzec b. r. był niepogodny, śnieżny i ciepły. Średnia jego temperatura jest + 1,0 stop. R. o 0,5 stop. R. wyższa jak w stanie normalnym (+ 0,5 stop. R.) a o 0,1 niższa jak w r. z. W pierwszej połowie miesiąca przy niebie zachmurzonym, panującym wietrze północno-wschodnim, padał obficie śnieg, a powietrze było wilgotne i dość chłodne; w drugiej połowie wiatr zmienił się na południowy i pomimo zachmurzonego nieba powietrze było suche i ciepłe. Największe ciepło dochodziło 6,2 stop. R., d. 30 największe zimno — 3,0 stop. R. d. 6 rano. Największa zmiana temperatury 5,2 stop. R. przypadła z d. 3 na 4 podczas ostatniej kwadry księżycy. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się bardzo nisko, przyczem nie wiele stan swój zmieniał. Średnia jego wysokość jest 27 cali 5,88 lin. par. o 1,98 lin. par. mniejsza jak normalnie (27 cali 7,86 lin. par.). Największa zmiana dzienna barometru 5,10 lin. par. przypadła z d. 13 na 14 o godzinie 6 rano. Deszcze padały rzadko, zato śniegi, jak to wspomniano powyżej, obficie spadły w pierwszej połowie miesiąca. Wody z deszczu i śniegu spadło co do wysokości 20.08 lin. par. o 1,46 lin. par. więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 4,5 : 9,0 : 17,5, gdy tymczasem w b. m. tenże stosunek jest jak: 2 : 3 : 26. Wiatry panujące były północno-wschodni i południowy.

D. 1 silny huragan nawiedził m. Paryż.

D. 4 w wielu miejscach w Galicyi panowała burza z piorunami i błyskawicami.

D. 17 w okolicach Nadreńskich i w pobliżu m. Bona było dość silne trzęsienie ziemi.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stóp 5 cali 9,3 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 28..... stóp 9 „ 11 „ „

„ „ najmniejsza „ d. 13..... stóp 3 „ 3 „ „

ABDALLAH,

CZYLI

CZTEROLISTNA KONICZYNA.

POWIEŚĆ ARABSKA

Edwarda Laboulaye.

(Dokończenie).

XVI.

N A P A D.

Dla znużonych fizycznie, noc staje się lekarstwem; ale przeciwnie, zabójczy niemal wpływ wywiera na tych, których moralne dręczy cierpienie lub ciężki przygnięta smutek. Tak i syn Yusufa bezsennie spędził noc całą i aż do rana dręczyły go różne myśli i urojenia; dotknięty nieuleczonym szałem, czuł, że przestał być panem swój woli i sił swoich; jużto miotła nim jakaś niepojęta dotąd gorączka, to znów ogarniało straszne zwątpienie rozpaczy. Nieprzeparta siła pociągała go nieustannie ku owój lektyce i biegł co prędzej, a gdy już dojeżdżał, zawracał nagle, ale choć uciekał jak najdalej, zawsze i wszędzie widział przed sobą te przesłiczne, urokliwe oczy. Jeśli dostrzegł zdaleka, że jeździec jakiś zbliżał się do lektyki, jeśli widział że syn Mansura zaczyna coś mówić do siedzących w niej kobiet,

puszczał Gołąbkę galopem jak gdyby uganiał się za wrogiem, potem zatrzymywał się nagle i stał jakby przykuty, nie śmiejąc ani się cofnąć, ani ruszyć naprzód. Harce te trwały cały poranek, a biedna Gołąbka z ziajana, okryta pianą, spinała się i stawała dęba, po raz pierwszy w życiu nie rozumiejąc swego pana, i chwilami jak on szalejąc.

Stary Hafiz groźnie spoglądał na lektykę; Lelia siedziała w głębi z zasłoniętą twarzą, otulona w mantylkę, i samą tylko Kafur widzieć można było, ale i ona stała się teraz smutna i milcząca jak kamienna figura.

Uspokojony z téj strony, Hafiz obejrzał się upatrując siostrzeńca, i postrzegł że bezmyślnie buja po stepie. Było to dlań dowodem że dusza Abdallaha bolesną odniosła ranę; zawrócił konia i popędził za nim:

— Odwagi! synu méj duszy—rzekł mu—czuwaj nad sercem twojém; mężczyzna winien umieć panować nad cierpieniem, muzułmanin winien umieć poddać się losowi.

— Ach!—zawołał młodzieniec—Bóg tylko wie co ja cierpię! tchu mi już braknie w piersi, straszny ból szarpie serce. O! raczój śmierć niż takie życie! Pragnę niebezpieczeństw, walki, krwawych z wrogiem zapasów, pragnę i przyzywam śmierci!

— Są to szalone i grzeszne żądania i słowa—odrzekł starzec—nigdy więc nie objawiaj podobnych. Sam tylko Bóg jest panem życia i śmierci, On wie najlepiej kiedy ma nas do siebie powołać; zdarza się jednak że chcąc nas ukarać, słucha niekiedy szalonych próśb naszych.... Ale co to jest? zawołał, zeskakując nagle z konia i wpatrując się baczenie w ślady pozostałe na piasku; patrz, uzbrojona horda przejeżdżała tędy, wszędzie ślady kopyt końskich, a ani znaku przejścia wielbłądów. Widać nieprzyjaciel nie daleko, kiedy tak świeże ślady przejścia jego pozostały na piasku; i ty, dowódca karawany nie zauważyłeś tego, i narażasz nas na śmierć: otóż przekonaj się do czego doprowadza namiętność.

Na te słowa Abdallah ocknął się z odrętwienia i obaj zaczęli rozglądać się po stepie, ale w około bezładna tylko pustynia przedstawiała się ich oczom. Droga wiła się w pośród olbrzymich stert czerwonego granitu, które rozrzucone wśród piasku, wyglądały jakby jakieś odwieczne zwaliska. Tu i owdzie przerzynały grunt szerokie wyrwy

i głębokie rozpadliny, wyschłe łożyska istniejących tu niegdyś strumieni, wyglądające jakby otwarte groby czekające na podróźnych. Jak okiem zasięgnąć, nigdzie na całej przestrzeni nie widać było ptaka, gazelli, ani czarnego punktu gdzieś na horyzoncie; w około szare niebo i grobowe milczenie, a napadnięty w tój niezmierzonej pustyni, w własnej tylko szabli i w Bogu mógł pokładać nadzieję ocalenia.

Stary spał konia i pobiegł do karawany, uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie; Beduini uszykowali się w szeregi i postępowali milcząc jak w nocnym marszu, i sam tylko odgłos skrzypiącego piasku słyszeć się dawał. Po godzinie takiej drogi, która się wszystkim jak wiek długą zdawała, doszli do wzgórza leżącego na zawrocie drogi; Hafiz wyprzedził karawanę, podjechał na pagórek, i zsiadając z konia w połowie drogi, rzucił się na ziemię i pełzając przesuwając między skałami. Dostawszy się tak na szczyt wzgórza, bacznie rozejrzał się w około, potem znowu zszedł po cichuteńku do miejsca gdzie zostawił wierzchowca, i wsiadłszy nań galopem przybiegł do Abdallaha; z twarzy jego równie spokojnej jak przedtem nie wyczytać nie można było.

— Nieco w oddali widać białe namioty, rzekł, a nie są to Beduini, ale Arnanci z Dzeddah. Liczba ich znaczna i wyraźnie czyhają na nas; jesteście zdradzeni, ale mniejsza o to, przekonają się że skórę naszą cenimy drożej niż zapłacić myślą. Dalej, synu mój, idź gdzie cię obowiązek wzywa!

Hafiz obejrzał broń, wybrał sześciu najodważniejszych jeźdźców i udał się z nimi na wzgórek. Zaledwie Abdallah stanął na czele kolumny, dym biały ukazał się nad skałą, usłyszano świst kuli i wielbłąd jeden padł zabity. Strzał ten wielkie spowodował zamieszanie, karawana ścisnęła się bezładnie, wielbłądy przewracały się jedne na drugie; przewodnicy uciekali po za szeregi, jeźdźcy wyrwali się naprzód. Cała karawana podobna była do lasu wstrząśniętego burzą. Korzystając z zamieszania, banda złoczyńców, których ubiór zdradzał Arnantów, rzuciła się ku lektyce i otoczyła ją dzikie wydając krzyki. Daremnie Abdallah z mężnymi towarzyszami swymi starał się dotrzeć do nich: zaczajeni Arnanci strzelali z ukrycia i wielu już położyli trupem. Trzy razy młody dowódzca chciał się rzucić na niewidzialnych wrogów,

i trzy razy grad kul gwizdzących w około zmusił go do odwrotu.

Abdallah drżał wściekłością miotany, a tuż za nim postępował przerażony Omar; pierwszy raz w życiu namiętność tak silnie nim zawładnęła, iż zapomniał zwykłej przeczności i pędził za Abdallahem, drąc na sobie suknie w uniesieniu złości, i o tém tylko myśląc, aby mu cudnej nie porwali Lelii.

„Naprzód! naprzód bracie!” wołał nieustannie.

I znowu probowali przedrzeć się do lektyki, gdy nagle dały się słyszeć szybko po sobie następujące strzały; to stary Hafiz z pagórka spadał niespodzianie na Arnautów, strzelając i rąbiąc ich bez litości.

Złoczyńcy cofnęli się przerażeni nieprzewidzianym napadem, a Abdallah galopem puścił się ku lektyce; Omar i stary Hafiz podążali za nim.

— Powoli, synu mój—wołał kulawy—oszczędzaj konia: nic nie nagli.

— Wuju mój, gdzie jest Lelia?—pytał Abdallah—zgubiona jeśli ją porwą.

— Stary szaleńcze!—rzekł Omar—mówisz że nic nie nagli, czyż myślisz że rozbójnicy czekać na nas będą! Dwa-dziesięć durosów temu, kto ubije dromadera ciągnącego lektykę!

Usłyszawszy to jeden z Beduinów wycelował i strzelił do biednego zwierza, nie zważając że mógłby zabić którą z siedzących w lektyce kobiet; wielbłąd zachwiał się i upadł wywracając z sobą lektykę.

— Wybornie, młodzieńcze—rzekł szydersko Hafiz—spoglądając na Beduina; Arnauca powinniby ci podziękować, bo zabijając dromadera wielką oddał im przysługę. Teraz już sułtanka zgubiona, bo łatwo im opanować przewróconą lektykę.

Jakoż w tejże chwili rozbójnicy otoczyli lektykę, i porwali z niej kobietę z zastoniętą twarzą, okrytą wielką czarną jedwabną mantyllą. Abdallah poznał ubior Lelii. Na rozkaz dowódcy przybranego w kosztowne szaty, jeden z jego szeregowców posadził obok siebie na koniu porwaną kobietę, i uciekł z nią galopem.

Zobaczywszy to syn Yusufa, rzucił się na wroga jak orzeł przerzynający obłoki.

— Psi synu! — krzyknął do dowódcy — jeśli jesteś dowódcą pokaż nam oblicze swoje: czy dlatego masz tak dzielnego rumaka, abyś lepiej zmykał z placu boju?

I strzelił doń z pistoletu.

— A! żydowski synu! — wykrzyknął kapitan zawracając — pokażę ci że szabla moja łąknie krwi twojej.

— Naprzód, dzieci prochu! — krzyczał stary Hafiz — strzelajcie i rąbcie, lepsza śmierć niż hańba. Szarżujcie śmiało, kule nie zabijają samowolnie; co Bóg chce, stać się musi; czego nie chce, nie nastąpi nigdy!

Abdallah i Arnauta biegli ku sobie co koń wyskoczy; kapitan w jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej dobytą szablę. Abdallah sztylet tylko dzierzył w dłoni, i pędził, tak wyciągnąwszy się na koniu, iż głowa jego kryła się prawie w grzywie Gołąbki. Arnauta strzelił doń i chybił; konie zetknęły się z sobą i obaj jeźdźcy wzięli się w zapasy. Zapaleniec Abdallah wależył teraz jak lew rozjuszony, czuł że siły jego spotęgowały się bezmiernie, pochwyił w pół wroga swego i sztylet utopił mu w gardle; krew trysnęła strumieniem, Arnauta drgnął i przechylił się na siodle: wtedy Abdallah porwał go i z passą cisnął o ziemię.

— O! ten już nigdy nic pić nie będzie — rzekł kulawy pochylając się nad trupem, i zabierając kosztowną broń jego.

Śmierć kapitana, mężstwo Beduinów, ostro nacierających na wroga, jakby pszczoły którym miód zabierają, krzyki wielbłądników przybiegających ze swemi fuzyami na odsiecz współbraci, rozstrzygnęły nareszcie los walki; hufce Arnautów znikły wśród kurzu i dymu, i tylko najodważniejsi pozostali w ariergardzie, broniąc odwrotu któremu nie myśleli przeszkadzać zwycięzcy. Jednak zwycięstwo to drogo kosztowało Beduinów, wielu ciężkie odnieśli rany.

— Jakto, bracie mój — rzekł Omar, a oczy jego pałały ogniem — pozostaniemyż tu spokojnie, gdy złoczyńcy ci porwali nasz skarb najdroższy?

— Naprzód! towarzysze moi — krzyknął Abdallah — zadanie nasze nie skończone, musimy odbić sułtanę.

— Ależ ona jest tu — odezwało się kilka głosów. Abdallah nagle się odwrócił i ujrzał przed sobą Lelię wypro-

wadzoną z przewróconej lektyki: suknie jej powalane były krwią i kurzem, twarz blada, włosy rozrzucone w nieładzie, a mimo to piękną była jak niebiańska huryska.

— Kogóż te psy niewierne uprowadziły?—zapytał kulawy.

— Moją niewolnicę—odrzekła Lelia. Jak tylko walka się rozpoczęła, Kafur ubrała się w moją mantylkę, a mnie okryła swoim burnusem.

— Doskonały podstęp! — zawołał śmiejąc się jeden z Beduinów — te psie syny wzięli małpę za kobietę.

— Teraz, przyjaciele, ruszajmy co prędzej—krzyczał syn Mansura, pożerając Lelię oczyma. Nie żałuj pani utraconej niewolnicy, rzekł do niej; dostawimy ci inną; za dwieście dukatów można podobną kupić w Dzeddah: będę najszczęśliwszy mogąc ci ją ofiarować.

— Ruszajmy—wołali wielbłądnicy—banda jest bardzo liczna i pewnie w nocy znów na nas uderzy.

Hafiz milczał i tylko patrzył na Abdallaha.

— Nie!—rzekł zdjęty litością młodzian—nie możemy pozostawić biednej murzynki w mocy tych nędzników.

— Co komu przeznaczone to go nie minie—rzekł Omar, którego teraz całkiem opuścił wojowniczy zapał. Zastanów się, bracie, a przyznasz że byłoby szaleństwem narażać życie nasze i tych prawowiernych muzułmanów, i gonić za poganką którą za kilka dni z łatwością zastąpimy inną. Czekają na nas w Tairie, trzeba podążać; i miałżebyś nas odstąpić właśnie wtedy, gdy lada chwila możemy potrzebować twój pomocy?

— Nie opuszczaj mnie, Abdallahu! — rzekła młoda kobieta, zwracając na niego swe cudne, wyraziste oczy.

Syn Yusufa zawahał się nieco, ale po chwili kładąc rękę na sercu, aby powstrzymać gwałtowne jego bicie, zawołał:

— Nie, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że Beduin nie dotrzymał słowa. Gdyby mi powierzono pakunek kawy lub cukru, a złodzieje mi go zabrali, goniłbym za nimi aby go odzyskać, a miałżebym stworzenie Boże pozostawić w ich mocy? Kto ma dzielne ramię i szlachetne serce, niechaj rusza ze mną!

Wszyscy milczeli; nareszcie jeden z Beduinów rzekł:

— Many kilku mocno rannych, a skoro sułtanka ocailona, spełniliśmy więc nasze zobowiązanie.

— Synu mój! — rzekł z przekąsem stary Hafiz — widzę że tylko w moich i twoich żyłach płynie krew zapaleńców; ruszajmy więc, a z pomocą Bożą odbijemy murzynkę.

— Żegnaj mi, bracie — rzekł Abdallah ściskając Omara — czuwaj bacznie nad młodą cudzoziemką, a jeśli po dwóch dniach nie będę z powrotem, powiedz szeryfowi żem zginął spełniając swój obowiązek; powiedz matce mojej, żeby nie płakała po mnie!

I nie odwracając głowy syn Yusufa zwrócił się ku drodze wiodącej na pustynię, w towarzystwie jednego tylko Hafiza, który zerwał z niego burnus, a derę wielbłądnika zarzucił mu na ramiona. „Teraz nie w lwia ale w lisią skórę przyoblec nam się trzeba,” rzekł śmiejąc się głośno.

Omar śledził ich wzrokiem, a gdy już zniknęli w oddali pomyślał sobie: Jakżeby to dobrze było, gdyby nie wrócili z tej awanturniczkiej wyprawy, łatwiejby sobie poradził z szeryfem niż z tym młodym zapaleńcem. O! bo ciężka to sprawa z takimi szaleńcami, co to nic nie rozumują i nie obrachowują; bodaj to spekulanci! tych zawsze można podejść lub oszołomić, i że tak powiem, kupić za pół ceny.

Abdallah jechał w głębokiej pogrążony zadumie; z oddali dolatywał go odgłos nawoływań wielbłądników i postępującej w przeciwną stronę karawany. Rzucił więc wszystko co kochał i biegł szukać całkiem obcej sobie niewolnicy; nie jednokrotnie jednak chciał obejrzeć się poza siebie, ale lękał się spojrzeń wuja, który nie spuszczał z niego oczu i zdawał się czytać w głębi duszy. Gdy już ostatni odgłos oddalającej się karawany zaginął w przestrzeni, Abdallah zatrzymał się mimowoli, i Gołąbka zwróciła się nagle rozdąwszy nozdrza, jakby pragnąc dopędzić oddalonych przyjaciół; wtedy Hafiz położył rękę na ramieniu młodzieńca mówiąc:

— Synu mój! ocknij się, i na właściwą zawróć drogę.

XVII.

S U L T A N K A.

Po godzinnéj drodze dostrzeżono nareszcie namioty Arnautów; oboz rozłożony był między zaroślami, wśród których spokojnie pasły się ich konie.

— Zatrzymajmy się tu — rzekł Hafiz, podsuwając się ku skale, której szczyt złociły jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca — mamy jeszcze sześć godzin czasu.

Spętawszy konie, kulawy zaczął zbierać suche gałęzie, układał z nich małe stosy i otaczał nabojami i bawełną; poczem, dobył z worka kawał suszonego mięsa i garść daktyłów, zjadł je, nałożył fajkę i zaczął palić najspokojniej.

— Teraz, synu mój — rzekł do siostrzeńca — prześpię się trochę. Zakochani nie szukają spoczynku, ale starcom sen jest niezbędny; obudzisz mnie gdy wielka Niedźwiedzica z towarzyszkami pojawi się na niebie.

I za chwilę zasnął snem sprawiedliwego, a Abdallah wsparłszy głowę na dłoni myślał o tój którą ocalił, a której nigdy już pewnie nie ujrzy.

Kulawy sam się obudził przed nadejściem oznaczonej godziny, i z czułością spojrzął na zadumanego towarzysza.

— Widzisz, dziecię moje — rzekł — przyzywałeś niebezpieczeństw, aby wśród nich zapomnieć swego szaleństwa, i Pan cię wysłuchał... Ale nie trać odwagi; dwóch przyjaciół mogących ślepo polegać na sobie, i z najstraszniejszego ognia cało wyjść potrafią.

Podszedłszy pod sam obóz, dwaj Beduini ukryli się wpośród cierni i krzaków, i pełzając ku namiotom przekonali się, że nieprzyjaciel nie lękał się napadu i żadnych nie przedsięwziął ostrożności. Wszyscy spali spokojnie, ogień pogaszono, jedna tylko warta postawiona była w znacznej od obozu odległości, i światło w jednym tylko błyszczało namiocie. Dwaj przyjaciele podsunęli się cichuteńko i położyli na piasku; cień ich osłaniał, mogli więc patrzeć niepostrzeżeni.

— Milczmy i słuchajmy — rzekł kulawy — a może dowiemy się co zrobili z murzynką.

Trzech mężczyzn, których ubiór zdradzał wyższe stanowisko w oddziale, siedziało na dywanach w około stołu (1), na którym stała jeszcze zastawa po kawie, i palili fajki na długich, okazałych cybuchach. Lampa stojąca na środku jasno oświecała ich twarze. Prowadzili bardzo ożywioną rozmowę.

— Fatalny dzień! — rzekł jeden z oficerów — kto by pomyślał że kapitan padnie z ręki jednego wielbłądnika.

— Kochany Hassanie — odrzekł najmłodszy z biesiadników — często czyjeś nieszczęście dla innych szczęściem się staje; skoro kapitan zginął, nam się należy dowództwo.

— Masz słuszność, kochany Mohamecie — rzekł Hassan — ale któż z nas trzech zostanie wodzem?

— Sprzedaję wam moje prawa — odezwał się trzeci, milczący dotąd wojskowy, który plecami odwrócony był do Abdallaha. Powiadają, że porwana przez nas kobieta jest krewią baszy Egiptu; dajcie mi ją a zaraz wracam do Epiru. Jam już stary i nie wiele dbam o kobiety, ale szeryf innego zapewne jest zdania; dla niego niewolnica ta warta co najmniej pięć tysięcy durosów.

— Zgoda — rzekł Hassan — Kara-Chitanie (2) ustępuję ci praw moich do tój branki.

— Ale ja nie — odrzekł Mohammed — mam lat dwadzieścia pięć, i nie sprzedaję kobiet. Bardzo mi się uśmiecha sama myśl poślubienia sułtanki i zostania krewnym baszy. Oddajcie mi księżniczkę, a zrzeknę się moich praw do dowództwa: jeszcze mam czas być kapitanem.

— Możem się porozumieć — rzekł siwobrody — jeden weźmie szpadę dowódcy, drugi kobietę, a ja pieniądze.

— Dobrze — rzekł Hassan — dam ci 2000 durosów.

— A cóż mi da Mohammed?

— Mohammed — odrzekł śmiejąc się młodzian — przyrzeka ci co tylko zażądasz. Komu całym bogactwem nadzieja, może się nie targować.

— Masz piękną klacz czarną, więc ją zabiorę.

(1) Stoly te, zwane *kursi*, są to jakby taboret 15 do 18 cali wysokie.

(2) Po turecku Kara-Chitan znaczy *czarny szatan*.

— Stary żydzie!—krzyknął Mohammed—jeśli się poważysz dotknąć mojej klaczy, roztrzaskam ci głowę.

— Więc nie posiędziesz sułtanki—odparł siwo-brody.

— I któż mi zabroni?

— Ten, co wcale się ciebie nie lęka—odrzekł Kara-Chitan.

To powiedziawszy przeszedł w głąb namiotu, i dotykając ręką zasłony przedzielającej go na dwoje, rzekł: Tam jest nasza branka, chodźże ją zabrać.

Mohammed dobył kindżał, i współzawodnicy zaczęli sobie wygrażać i znieważać się wzajemnie; Hassan rzucił się między nich prosząc i przekładając, ale nie mógł przywieść do upamiętania.

— Już ich mamy—szepnął kulawy do ucha Abdallahowi. Ja ich wywabię z namiotu, a ty chwytaj dziewczynę, uprowadź nasze konie, i choćby do świtu czekaj na mnie w Czerwonych skałach.

Hafiz czołgając przysunął się do przygotowanych pęków gałęzi i chrustu, pokładł je około najodleglejszych namiotów, włożył w środek każdego i pozapalał siarkowane knoty.

Nareszcie udało się Hassanowi pogodzić zwaśnionych i uradowany Kara-Chitan przypasał do boku przepyszną szpadę, na którą Mohammed poglądał z zazdrością.

— Oddajcież mi sułtankę, skoro ją kupiłem—rzekł nareszcie.

— Słusznie—odrzekł siwo-brody i uchylając zasłonę głośno zawołał na brankę. Po chwili ukazała się kobieta z zasłoniętą twarzą, owinięta w egipską mantyllę; młody Arnauta zbliżył się do niej i rzekł słodkim głosem:

— Pani, wiadomo ci zapewne, że wojną ma swoje prawa; otóż już nie do szeryfa, ale do mnie należysz. Okupiłem cię mojem złotem, byłbym chętnie okupił cię choćby ceną krwi mojej.

— To trochę za drogo—odrzekła kobieta.

Abdallah zadrzał usłyszawszy dźwięk jej głosu.

— Piękność jest nieocenionym skarbem—rzekł Mohammed—złoto całego świata, nie opłaciłoby wdzięków twoich, urocza hurysko.

— Dość byłoby dać dwie kiesy—odpowiedziała szyderskim głosem.

— O! piękna pani, szeryf innego jest zdania. Głowa wiernych oddałby połowę skarbów swoich, gdyby w tej chwili mógł być na mojem miejscu i ciebie posiadać.

— Jeśli karawana nie zatrzymała się w drodze, piękna Egipcyanka jutro będzie w Taifie—odpowiedziała kobieta.

— Więc któż ty jesteś?—zapytał Mohammed.

Zamiast odpowiedzi, Kafur odrzuciła zasłonę, ukazując swe czarne oblicze i bielutkie ząbki. Murzynka zrobiła tak filuternie szyderską minę, że siwobrody Arnauta nie mógł wstrzymać się od śmiechu; wściekłość Mohammeda nie znała granic.

— Biada temu kto powążył się zadrwić ze mnie!—krzyknął, groźnie spoglądając na Kara-Chitana—ciężko to przypłaci prędzej czy później; ty zaś, podła żmijo, zaraz zginiesz z méj ręki.—I wściekłym uniesiony gniewem, porwał za pistolet i strzelił do biednej dziewczyny. Murzynka zachwiała się i upadła wydając krzyk boleści i przerażenia; w téjże chwili odgłos drugiego strzału rozległ się w namiocie i Mohammed padł śmiertelnym ugodzony ciosem.

— Do broni!—krzyknęli dwaj dowódcy, chwytając za oręż.

Abdallah wpadł do namiotu z pistoletem w rękę. Kafur ochłonawszy z przest్రachu, w mgnieniu oka przewróciła stół, zgasila lampę, i małą swą ręką pochwyciła dłoń Abdallaha, ciągnąc go w głąb namiotu. I jak gdyby doskonale widziała pomimo ciemności zalegającej namiot, podniosła róg zasłony, przeszła przez pokój kobiet i wyszli z namiotu; wtedy Abdallah wziął murzynkę na ręce i uciekł na pustynię.

Na głos wodzów cała banda zerwała się jak jeden człowiek; wielu żołnierzy wpadło do namiotu, ale już tam nie zastali nikogo.

— Na koń!—krzyknął Hassan—żywy czy umarły, zdrajca nie uniknie naszej zemsty!

W téjże chwili lont zapalony wpadł między krzaki; przerażone konie zaczęły się rzucać i mięsać bezładnie, i jednocześnie zewsząd ozwał się krzyk: ogień! ogień! Pożar

objawił się w czterech rogach obozu, i jednocześnie słyhać było że strzelano do warty.

— Towarzysze!—zawołał kapitan—to formalny atak, wróg na nas naciera; dalej! naprzód!

Kulawy leżał przyłożywszy ucho do ziemi; usłyszawszy zbliżających się Arnautów, zawołał:

— Bóg jest wielki! Abdallah już bezpieczny.

I ukrył się w przydrożnym krzaku, a gdy już hufiec go minął, wskoczył na spotkanego konia i puścił się ku pustyni, nie troszcząc się o kule co chwila przelatujące nad jego głową.

XVIII.

LISTEK SREBRNY.

Abdallah z ciężarem swoim dobiegł wkrótce do skały, przy której pozostawił spętane konie; posadził murzynkę przed sobą na siodle i puścił się galopem: koń Hafiza biegł za nim. Jak gdyby z wiatrem idąc w zawody, całą godzinę pędził tak bez ustanku, poczem uspokojony nie słysząc pogoni, zwolnił biegu i obejrzał się w około, aby zmiarkować gdzie się znajduje i skierować do miejsca w którym miał oczekiwać na wuja.

Podczas téj drogi Kafur przycisnęła się mocno do Abdallaha i siedziała tak milcząca i nieruchoma, i dopiero gdy zrozumiała że niebezpieczeństwo minęło, odezwała się cicho do swego zbawcy:

— Więc i ty byłeś pojmany?

— Nie, dzięki Bogu — odrzekł Abdallah.

-- Więc po cóż przyszedłeś do wrogów twoich?

— Po co? żeby ciebie wyswobodzić: zdaje mi się że to rzecz jasna.

Odpowiedz ta mocno żdziwiła Kafurę; pomyślała chwilkę i znowu zapytała:

— A dlaczegoż chciałeś mnie oswobodzić?

-- Ponieważ powierzono cię mojej opiece.

— O! więc weź mnie sobie na zawsze, Abdallahu, bo nikt inny nie otoczy mnie taką opieką.

— Nie mogę, nie jestem twoim panem—odpowiedział młody Arab — należysz do Lelii.

Kafur westchnęła i zamilkła. Przybywszy do skał Czerwonych Abdallah wziął w objęcia murzynkę, aby ją zsadzić z konia; dziewczę wydało krzyk przytłumiony.

— Co tobie?— zapytał Arab.

— Nic, panie mój — szepnęła — jestem raniona, i przy świetle gwiazd pokazała mu zakrwawione ramię. Kula przesunęła się koło łopatki i rozerwała ciało. Abdallah obejrzał ranę, obtarł krew i obandażował; Kafur spoglądała na niego z niewypowiedzianém zdziwieniem.

— Dlaczego zajmujesz się mną, kiedy nie należę do ciebie?

— Cicho, poganko, widać że nie znasz słów zapisanych w księdze prawdy: „Uwielbiajcie Boga i nie dawajcie Mu równego. Bądźcie dobroczynni dla waszych rodziców, sierot, ubogich, pokrewnych; czyńcie dobrze pielgrzymom, sąsiadom i cudzoziemcom, towarzyszom broni, biednym i niewolnikom. Bóg nienawidzi pychy, próżności i skąpstwa (1).”

— Jakże to piękne! rzekła wzruszona Kafur, tylko wielki Bóg mógł tak postanowić.

— Milcz i śpij—przerwał młodzieniec — jutro czeka nas długa droga, a ty potrzebujesz spoczynku.

To mówiąc Abdallah wziął murzynkę na kolana, otulił burnusem, i głowę jej oparł na swoim prawem ramieniu. Zasnęła wkrótce, ale sen jej był niespokojny, nieustannie szeptała jakieś wyrazy i Abdallah czuł mocne serca jej bicie. Powoli jednak uspokoiła się i spała tak słodko, że zaledwie słychać było jej oddech. Młody żołnierz kołysał zwolna to dziewczę, którego ojcem został chwilowo losem walki, i patrząc na biedne stworzenie, pomyślał ile to wycierpiała matka jego zanim go odchowala, i w tej chwili wszystkie myśli jego zwróciły się ku Halimie.

I tak przedumał wszystkie godziny nocy, a serce jego zaległ błogi, nieznany mu spokój. W około uroczysta panowała cisza, żaden wietrzyk, żaden szmer nie zakłócał spokoju ziemi, a na pogodném niebie błyszcząły miliardy światła, od wieki wieków słuchające rozkazów Przedwiecznego.

(1) Koran IV 40.

Ten uroczy spokój wszech-stworzenia orzeźwiał duszę Abdallaha; pod jego wpływem zapomniał o obecném niebezpieczeństwie, i o jutrzejszych troskach i kłopotach.

Zaledwie jutrzeńka zaczęła przeświecać na horyzoncie, w oddali dało się słyszeć szczekanie szakala, i odgłos ten powtórzył się trzy razy. Wtedy Abdallah zaczął także go naśladować, odpowiedano mu coraz bliżej, nareszcie zdyszany wierzchowiec zatrzymał się przed skałą. Hafiz wyszedł cało z niebezpieczeństwa.

— Widzisz, siostrzeńce — zawołał śmiejąc się—figiel nasz udał się doskonale: uwędziliśmy ich jak szczury. A teraz jedźmy dalej, nie dajmy czekać na siebie w Taifie.

Czerwonawe światło zabłysło na wschodzie; Abdallah rozciągnął modlitewny kobierzec, i dwaj towarzysze zwróciwszy się ku Mekce, dziękowali Wszechmocnemu że ich od wszelkich ochronił niebezpieczeństw.

— Abdallahu—rzekła Kafur, padając na kolana przed swoim wybawcą—jesteś moim Bogiem, odtąd ciebie tylko czcić i uwielbiać będę.

— Milcz, poganko!—zawołał syn Yusufa.— jeden jest tylko Bóg, któremu nie ma równego, Bóg Przedwieczny, Niezmierzony, Wszechmocny! Jego jednego wielbić, i do Niego tylko modlić się należy.

— Niechaj więc Bóg twój moim będzie Bogiem: wyrzekam się bożka, co by mnie nie był osłonił od zabójstwa.

— Twój bożek—odrzekł Abdallah—jest ślepy, głuchy, i niemy; pewnie to jaki kawałek drzewa butwiejący gdzieś w głębi Magrebu?

— Nie—odpowiedziało dziewczę—bożek mój był przy mnie i zdradził moją ufność. Oto jest—rzekła, zdejmując z głowy pęk piór—weź go i zniszcz, nie wierzę już w niego i przeklinam.

— Więc ten pęk piór był twoim Bogiem?—zapytał kulawy śmiejąc się.

— Tak—odrzekła—jestto Bóg którego matka dała mi przy rozstaniu, gdy mnie sprzedała. Patrz tylko jaki on piękny!

I łamiąc pióra które rzucała miotając na nie obelgi, wyjęła potem ze środka srebrną blaszkę i podała synowi Yussufa.

— Wuju mój — zawołał tenże uniesiony radością — patrz, oto z głębi Magrebu, Bóg zsyła nam srebrny listek koniczyzny. Tobie to poczęści winien go jestem, dzięki ci! Cześć i chwała miłosierdnemu Bogu!

Dwaj przyjaciele, upojeni niewypowiedzianą radością, serdecznie uściskali murzynkę, a ona nie pojmując powodu tych pieszczot, spoglądała na nich błyszczącymi od łez oczyma, zadziwiona i szczęśliwa, bo pierwszy raz w życiu czuła że jest kochaną.

XIX.

T A J E M N I C A .

Nareszcie nad wieczorem dwaj przyjaciele dostrzegli w oddali swoją karawanę, wijącą się jak wąż w drożynie; ostatni promień zachodzącego słońca złościł bladawym blaskiem białe domy Taifu, odbijające od drzew zieleni jak dzikie róże kwitnące na krzaku. Z przebyciem dziedziny piasków minęło niebezpieczeństwo, i zarazem zbliżał się kres podróży. Sam widok Taifu, gorzkim smutkiem przejął Abdallaha, boleść miotła sercem, a na myśl że na zawsze utraci już Lelię, rozpacz ogarniała duszę i prawie odbierała przytomność. Beduini powitali radośnym krzykiem powrót swoich towarzyszy; Omar czule uściskał brata, ale Abdallah zimno przyjmował to wszystko, i dopiero rozstanie z murzynką żywo go wzruszyło. Biedne dziewczę przytuliło się do niego i objąwszy gorącym uściskiem, nie chciało opuścić swego zbawcy, aż Abdallah surowym głosem musiał rozkazać, aby wróciła do swój pani. Usłuchała, ale odchodząc gorzkimi zalała się łzami; syn Yusufa powiódł za nią przeciągłym wejrzeniem: w tej chwili zrywał się ostatni węzeł łączący go z Lelią.

Kiedy już Kafur dochodziła do lektyki, Omar zawołał jój i pokazując dwa trzymane w ręku przedmioty:— Chodźno tu, córko szatana— rzekł nawpół szyderskim nawpół groźnym głosem— czy wiesz jaka jest różnica między tym kańczugiem a tym naszym z pięciu sznurów perel?

— Taka sama jak między bratem twoim a tobą — odrzekła. Jeden piękny jak tęcza niebiańska, drugi straszne pomiotło, które wartoby w piekielnym spalić ogniu.

— Odziedziczyłaś dowcip twego ojca szatana — odrzekł spokojnie Omar — więc pewny jestem że dobry zrobisz wybór. Czy chcesz posiąść ten naszyjnik?

— O tak! — odpowiedziała — i oczy jój zabłyśły. Lecz czegoż żądasz odemnie w zamian?

— Bardzo małej rzeczy. Za godzinę wejdiesz do harem szeryfa, wszyscy tam będą ciekawi cię zobaczyć, z ławością więc będziesz mogła przystąpić do żony szeryfa, sułtanki Fatymy. Otóż dam ci ten naszyjnik, jeśli zobowiązesz się powtórzyć jój kilka słów, których cię nauczę.

— Dawaj więc naszyjnik — rzekła Kafur wyciągając rękę — i powiedz co mam powtórzyć sułtance; przyrzekam że nie zapomnę ani słowa.

— Kiedy stanąwszy przed sułtanką, rozśmieszysz ją swoją małpią postacią i ruchami kota, powiesz jój pocichu: „Pani, mam dla ciebie zlecenie od przyjaciela twego.” Będzie cię słuchać uważnie, wtedy powtórzysz jój co do słowa:

„Piękny księżycu majowy, wiedz że nowy księżyc wschodzi zaczyna. Jeśli nie chcesz aby zakłócił pogodę nocy twoich, powstrzymaj słońce w znaku Bliźniąt. Nalegaj, proś, błagaj, domagaj się i weź sobie za godło: miłość jest jak szaleństwo, wszystko przebaczyć jój trzeba.”

— Powtórz mi jeszcze ostatni ustęp — rzekła Kafur. Dobrze, teraz już umiem. „Miłość jest jak szaleństwo, wszystko przebaczyć jój trzeba.” Spełnię twoje polecenie, ale jeśli mnie zapewnisz że z tego nie wyniknie nic złego dla twego brata?

— Nic a nic — odrzekł Mansur przygryzając usta. Wcale to nie dotyczy Abdallaha, i żadne ztąd nie grozi mu niebezpieczeństwo, a w takim nawet razie, słowa te stałyby się dla niego deską ocalenia. No, idź już do pani twojej, ani słówka nie mów o tém nikomu, a jeśli zrobisz co żądam, wynagrodzę cię wspaniale.

Daktyl dojrzewa, rzekł do siebie, ale któż go zerwie? Pozbyłem się przecie pięknego Abdallaha, teraz muszę koniecznie podniecić zazdrość sułtanki i szeryfa nabawić kłopotu. Jestto zadanie trochę niebezpieczne, ale bądź co

bądź trzeba koniecznie, żeby Lelia opuściła harem — w takim razie będzie moją.

Powróciwszy do swój pani, Kafur zdziwiła się bardzo ujrawszy ją bladą i zmienioną; piękne oczy Lelji gorączkowym jaśniały blaskiem.

— Co tobie, moja piękna pani?—zapytała niewolnica — płaczesz w chwili gdy szczęście twoje się zbliża? Będziesz mieć cztery niewolnice do usług; dostaniesz przepyszne atłasowe i aksamitne szaty, kaszmirowe szale, i pantofelki naszywane perłami i złotem. I nosić będziesz przepyszne naszyjniki z gwiazd brylantowych i drogich kamieni, a na twych cudnie utoczonych rączkach, błyszcząc będą kosztowne bransolety ze szmaragdów, rubinów i opali. Czyż kobieta może pragnąć czegoś więcej? Wyjeżdżając z Egiptu cieszyłaś się, byłaś szczęśliwa: cóż jest powodem téj zmiany?

— Tyś jeszcze dziecko, nie pojdziesz mnie — odrzekła Lelia omdlewającym głosem.

— O! przestałam już być dzieckiem, pani moja — odparła Kafur; wszak mam lat trzynaście, jestem więc kobietą, możesz mi zaufać!

— Ach! biedna moja Kafur — rzekła Egipcyanka; jeśli nie chcesz stracić serca, nie otwieraj oczu. O! pocóżem ujrzała pięknego tego młodzieńca! Gdyby nie on, z radością weszłabym do haremu, a dziś... będę tam jak umarła wśród żyjących.

— Więc kochasz Abdallaha? — zapytało dziewczę, żywo wzruszone tém niespodziewaném zwierzeniem.

— Czy go kocham! możnaż ujrzyć go i nie pokochać? W raju nawet piękniejszej nie ujrzy postaci! Cóż to za urocze spojrzenie, jak słodki dźwięk głosu! a imię jego tchnie jakąś niebiańską wonią. I pytasz czy go kocham!... Na jawie, serce moje nim tylko i dla niego żyje; we śnie o nim tylko marzy i usycha z miłości. O! czemuż nie urodziłam się pod namiotem! czemuż ten Beduin nie jest rodakiem moim! wtedy rzuciłabym się w jego objęcia i pewnieby mnie nie odtrącił!...

— Więc jedź z nim na pustynię — odrzekła Kafur — powiem mu aby cię porwał.

— Możeszże myśleć o tém? zapominasz że jestem niewolnicą i należę do mego pana. A zresztą, czyż mniemasz że Abdallah byłby zdolnym nie dotrzymać przyrzeczenia? Obiecał doprowadzić mnie do szeryfa i spełni swe zobowiązanie.

— To powiedz szeryfowi, żeby ci dał Abdalaha za męża.

— Milcz nieszczęsna! takie żądanie stałoby się dla nas wyrokiem śmierci.

Kafur zamyśliła się głęboko i cichutko powtórzyła sobie zlecenie Omara, potem popatrzyła na Lelię, i rzekła:

— Powiedz mi—pani moja, czy w razie gdybyś została żoną Abdallaha i zamieszkała z nim w jego namiocie, czy zatrzymałabyś mnie przy sobie?

— A jakże—moje dziecię; lubię cię bardzo i nie opuszczę nigdy.

— Więc całe życie moje byłabym twoją i Abdallaha niewolnicą?

— Bez wątpienia—ale dlaczego zadajesz mi to pytanie?

— Przysiąż mi to, odrzekła Kafur uroczystym głosem, i spuść się na mnie. Nie pytaj mnie, nie potrząsaj pogardliwie głową, tylko wykonaj mi żadaną przysięgę.... Cóż ci to szkodzi, skoro nie zamierzasz mnie sprzedać ani odpędzić?

— A więc dobrze. Jeśli tedy pójde za tego, którego ukochałam jak duszę moją, ty na zawsze pozostaniesz z nami; przysięgam ci to w Imie Boga łaskawego, miłosiernego, Pana i władcy wszechświata.

— Pani—jam biędna nieoświecona poganka, nie rozumiem znaczenia tych słów, przysiąż mi poprostu na Boga Abdallaha.

I tak rozmawiając weszły nareszcie do haremu, gdzie zastały liczne współtowarzyszek grono. Kafur śmiejąc się i skacząc wbiegła do wielkiej, rześisto oświeconej sali, w której stały stoły zastawione srebrem i kwiatami; Lelia zaś pod pozorem znużenia podróżną, przeszła do przygotowanego dla niej pokoju, aby tam mogła płakać swobodnie. Ale łzy, to boleść daremna, bezskuteczne lekarstwo na cierpienie z którego wyleczyć się nie chcemy. „Kto się upija winem, budzi się wśród nocy, mówi mędrzec z Chirazu, ale kto się

upoił miłością, nie zbudzi się aż dopiero w poranku zmarłychwstania (1).”

XX.

CIERPLIWOŚĆ LISA.

Abdallah chciał odjechać tegoż samego wieczora; Hafiz także niecierpliwie wyglądał chwili powrotu do domu, bo zdało mu się że w swój ulubionój pustyni, siostrzeniec jego zapomni o swych cierpieniach i smutkach. Na nieszczęście szeryf zawiadomił, że nazajutrz chce na uroczystém posłuchaniu podziękować dowódcom karawany: niepodobna było usuwać się od takiego zaszczytu.

Nazajutrz wczesnym rankiem udano się do pałacu; dziedziniec jego zaległy tłumy Beduinów, przybranych w błękitne suknie i szkarłatne, na ramiona zarzucone burnusy; każdy z nich pragnął uścisnąć dłoń odważnego Abdallaha i przezornego Hafiza. Omar cicho rozmawiał z kulawym; po raz pierwszy Egipcyanin skarżył się na tę niebezpieczną podróż i na szeryfa, który dla swój fantazyi tylu odważnych na pewną niemal śmierć narażał. Hafiz uczuwał słuszność dowodzeń Omara, a zapał z jakim je popierał, radował bardzo syna Mansura.

Czarni niewolnicy wprowadzili gości do sali wyłożonej bogatym kobiercem, w około której stały sofki obite zieloną, złotem nabijaną materyą. Wszystkie ściany były gołe, tylko na jednej z nich wisiał piękny pałasz turecki, bogato wysadzany topazami i rubinami. Był to podarunek sułtana. Omar zwrócił na niego uwagę kulawego, który choć przed chwilą powstawał na zgubną słabostkę szeryfa, jednak teraz z wielkiem poszanowaniem skłonił się przed głową wiernych. Odebrawszy pokłony wszystkich zgromadzonych, szeryf klasnął w ręce i natychmiast podano kawę i fajki. Beduini zasiedli na ziemi i wszyscy zaczęli w milczeniu palić fajki; wtém Abdallah drgnął: w tłumie służby czekającej na rozkazy pana, dostrzegł Kafurę, która ręką wskazała na swoją szyję. Nie mógł odgadnąć, czy jemu lub komuś innemu dziewczę

(1) Gulistan, przekład Defremery str. 240.

daje znak jakiś: nikt jednak inny, a tém mniej jeszcze Omar, nie podniósł na nią oczu.

Potomek Proroka zdawał się zatopiony w głębokiem rozmyślaniu. Był to starzec okazałej powierzchowności; długa biała broda i wielkie zapadłe oczy dodawały mu powagi. Miał na głowie okazały turban; ubrany był w długą suknię z najpiękniejszego błękitnego kaszmiru, przepasaną purpurowym, złotem przetykanym pasem, za którym błyszczał przepyszny sztylet wysadzany drogiemi kamieniami; wszystko to razem nadawało mu bardzo wspaniałą powierzchowność. W gruncie duszy był to mędrzec myślący tylko o sobie. Bez litości dla każdego co zakłócał mu spokójność, był łagodnym i dobrym dla wszystkich nie stających na zawadzie jego namiętnościom lub nawykniom. Władza nie zepsuła starego szeryfa; słucał chętnie prawdy ilekroć nie dotykała go osobiście, i znosił z poddaniem wszelkie najbezczelniejsze kłamstwa i pochlebstwa swych dworaków i służących. Był to człowiek wyższym obdarzony umysłem, lubił bardzo poezję i powieści i miał tylko jedną słabostkę, trochę dziwną w jego wieku: koniecznie chciał być kochanym. Dzięki téj tajonej żądzy, którą piękna Fatyma poznała w pierwszym zaraz dniu ich z sobą spotkania, potrafiła swego władcę i pana zmienić w najposłusznieszego sobie niewolnika; spełniał pokornie wszelkie jój zachciewki, bo umiała wmówić w niego, że wymagania i kaprysy są dowodem miłości kobiety. Mając lat sześćdziesiąt, dogodniej wierzyć wszystkiemu niżli nieustanne staczać walki, to téż unikając burzy szeryf zawsze ustępował, szczęśliwy jeśli mu za to czułą płacono pieszczotą. Ale w dniu tym żadna chmurka nie zasępiła pogody jego domowego nieba; naczelnik wiernych był w doskonałym humorze, uśmiechał się gładząc palcami swoją białą brodę, wyglądał jak człowiek na w pół tylko przebudzony, pragnący powstrzymać rozkoszne widzenie z senném ulatujące marzeniem.

Skończywszy drugą fajkę, szeryf zabrał głos, i wykwintnemi słowy podziękował Beduinom i Omarowi za odwiedziny i oddaną przysługę. Zamiast odpowiedzi na tak dobrotliwe słowa, syn Mansura powstał z miną zbrodniarza zdjętego niewymowną trwogą, i padając na kolana przed potomkiem Proroka, zaczął z pokorą całować nogi jego.

— Synu Alego i Hasana—rzekł przerywanym głosem—wiem na co zasłużył niewolnik, który na nieszczęście naruszył skarb powierzony mu przez pana. Znam mój występki i z poddaniem przyjmuję karę, jaką sprawiedliwość twoja za stosowną uzna.

— Wstań—rzekł z dobrocią szeryf—co przeznaczone stać się musi. Bóg nie jednaką miarą dzieli śmiertelnych szczęściem i niepowodzeniem, a to aby mógł poznać wiernych i z pomiędzy nich wybrać świadków swoich (1). Co zaś do wyrządzonej mi przez tych nędzników zniewagi, sam wybiorę dzień i godzinę zadośćuczynienia. Cierpliwości! bo z nią i przez nią wszystkiego dokazać można.

— Niestety!—odrzekł klęcząc syn Mansura—nie o samą napaść tu chodzi; brat mój Abdallah i ci dzielni Beduini odparli napastników. Ale napadli na nas niespodzianie, chwil kilka niewolnica była w ich mocy, i ci zbrodniarze bez czci i wiary zerwali osłaniającą ją zasłonę, i niecne ich spojrzenia sprofanowały piękność, która dla wszystkich winnaby być świętą.

— Dość już—przerwał szeryf, niezadowolniony z całej tej rozmowy.—Sam tylko mogę stanowić o rzeczach dotyczących mego honoru. Cierpliwości!

— Cierpliwości!—powtórzył kulawy—toż samo mówił lis udający umarłego.

— Cóż mówił ów lis?—zapytał szeryf, spoglądając surowo na Hafiza, którym przecież nie obawa, ale całkiem inne miało uczucie.

— Był w pewnym miejscu lis, który się starzec zaczynał—mówił Beduin—wyrzekł się więc już polowania i wszelkich przygód, i tylko codziennie ze swęj nory wchodził do sąsiedniego kurnika. Żył tedy sobie tak spokojny i swobodny, tyjąc coraz więcej. Aż pewnego razu zadługo zabawił się w kurniku, i gdy chciał wyjść, słońce dawno już wzeszło i każdy swoim oddał się zajęciom. Trochę niebezpiecznie było wracać do swęj nory, nie chcąc się tedy narażać, lis postanowił położyć się przy drodze i udawać nieżywego. Cierpliwości—mówił—cierpliwość mnie zbawi.

(1) Koran, III, 134.

— Pierwszy przechodzień przeszedł nie zważając na lisa, drugi potrącił go nogą aby się przekonać, czy rzeczywiście nie żyje; trzeciem z kolei było przechodzące dziecko, które dla zabawy wydierało sierć z jego wąsów.

„Cierpliwości—mówił sobie lis;—dziecko to nie wie co robi; nie ma zamiaru ubliżyć mi; lepiej znieść przykrość niż narażać się na śmierć.”

„Potem nadszedł strzelec z strzelbą na ramieniu:

„Pazur tego zwierzęcia doskonale leczę zanokcicę—rzekł sobie, i wyciągnął nóż z kieszeni.

„Cierpliwości—rzekł lis—lepiej żyć z trzema łapami, niż umierać z czterema.”

I pozwolił się okaleczyć.

Nareszcie nadeszła kobieta z dzieckiem na rękę.

Z zębów tego zwierzęcia—rzekła sobie—zrobię dla dziecka mego naszyjnik, który będzie go strzegł od uroku.”

— Znam tę bajkę—przerwał szeryf—gdy kobieta się nachyliła, lis ugryzł ją w twarz.

— W mojej historii inaczej stoi—odpowiedział poważnie stary Hafiz;—tam jest powiedziane; że kto raz zacznie targować się z sumieniem, już coraz dalej brnie na tej drodze. Lis pozwolił wyrwać sobie zęby, powtarzając: cierpliwości! cierpliwości! i powtarzał tak pokąd złoczyńca jakiś nie wydarł mu nareszcie serca. Wtedy to dopiero przekonał się, ale niestety! zapóźno, że największym, najgroźniejszym niebezpieczeństwem, jest.... cierpliwość.

— Zaczynam temu wierzyć—rzekł szeryf—a to od chwili, jak jeden Beduin poważa się w własnym moim pałacu, pleść tak niedorzeczne brednie. Tylko nieokrzesany pastuch może tak źle oceniać moją pobłażliwość i ubliżać mojej dobroci. I czyjaż wina że karawana została napadnięta w zupełnie bezpiecznej okolicy, którą spokojnie przebywają wszyscy kupcy, jeśli nie tych co obrali na przywódzcę niedoświadczone dziecko, które przez litość oszczędzałem? Nikt nigdy nie odważa się napadać na dwunastu dzielnych i dobrze uzbrojonych Beni-Amerów; jeśli więc Arnauci natarli na was niespodzianie, to widać ktoś zgotował zasadzkę, w którą popchnęło was szaleństwo lub zdrada.

— Panie—rzekł syn Mansura, wznosząc błagalnie ręce, masz zupełną słuszność, i w tém właśnie moja jest wina.

Wybierając na dowódcę karawany mego brata i przyjaciela, nie powinienem był zapominać, że w naszym wieku łatwo dać się zaślepić namiętności. Wypadek nas zgubił; zaledwie rozpoczęliśmy naszą podróż, młody nasz przewodnik, olśniony pięknnością niewolnicy, stracił głowę i zapomniał przedsięwziąć niezbędnych środków ostrożności.

— Co ja słyszę! zawołał szeryf, a oczy jego gniewem zabłyśły. — Więc nie słuchaliście moich rozkazów i zapomnieli należnego mi uszanowania. Biada śmiałkowi, co poważał się taką wyrządzić mi zniewagę! przekonacie się zaraz że potrafię ją pomścić. Ty, nieogłędny kupcze, będziesz ukarany za twą nieprzezorność, a ty młodzieńcze drogo przypłacisz twe szaleństwo.

I naczelnik wiernych przywołał murzyna szeroki miecz dzierżącego w dłoni, i wskazując na Omara i Abdallaha, machnął ręką w powietrzu. Był to wyrok ich śmierci.

Beduini zadrżeli i smutnie spojrzeli po sobie, ale żaden, i sam nawet Hafiz nie ważył się sprzeciwić woli potomka Proroka. Omar spokojnie wysłuchał wyroku, spojrzął w około siebie jakby przyzywając pomocy, nareszcie podniósł rękę, dając jakiś znak murzynce, ale ona nie zdawała się żadnej nań zwracać uwagi. Syn Mansura gniewnie brwi zmarszczył: Niech piekło pochłonie derwisza, szepnął; byłoby prawdą co powiedział kiedyś? Czyż ufność jaką położyłem w tym Beduinie miałaby mnie przywieść do zguby? Czyżbym tego szaleńca kochał więcej niż mniemałem?

Abdallah spojrzął na oprawcę i uśmiechnął się dumnie.

— Biedne dziecię, rzekł Hafiz ściskając siostrzeńca — ja to stałem się przyczyną twój zguby.

— Nie, mój ojcze, odparł młodzieniec, sam tylko Bóg jest Panem życia i śmierci. Uspokój się więc, nie szemrz przeciw Jego woli, i staraj się pocieszać matkę moją. Nie bolewaj nademną, bo mnie miłsza śmierć niż życie.

Potem zwracając się do Omara, który nie spuszczał oka z murzynki, wyciągnął ku niemu rękę:

— Bracie mój, rzekł, przebacz mi w imie tój, co cię wykarmiła i wychowała jak najtroskliwsza matka.

I skłoniwszy się szeryfowi z uszanowaniem należnym naczelnikowi wiernych, ukląkł i pochylił głowę.

— Czekał! krzyknęła Kafur, powstrzymując ramie niewolnika, i padając na kolana przed szeryfem. — Jam winna wszystkiemu, ponieważ zerwałam zasłonę z twarzy méj pani; mnie więc zabij, panie! ale ocal Abdallaha.

— Wygnać mi precz tę poganę — krzyknął szeryf — i bić dopóki nie zamilknie.

— Murzyn porwał biedną Kafur.

— Łaski! łaski! krzyczała, i rozpaczonym wysiłkiem wydzierając się z rąk niewolnika, znowu przypadła do kolan szeryfa, który odtrącił ją grubijańsko. Litości! litości! wołała błagalnie; panie mój! Abdallah jest niewinny, jest tu inny winowajca — wtem nagle spojrzawszy na zmienioną twarz Omara, zerwała się prędko, i wyciągając rękę do szeryfa, zawołała jakby w natchnieniu: Nie bądź okrutnym, panie mój, nie zapominaj że miłość jest jak szaleństwo, wszystko przebaczyć jéj trzeba.

— Czekać! krzyknął szeryf do kata. — Dziwna rzecz, myślał sobie; też same słowa powiedziała mi Fatyma dziś rano, nie chcąc wytłumaczyć ich znaczenia.... Zbliź się, dziecię moje, rzekł łagodnie do Kafur; powiedz mi kto cię słów tych nauczył.

— Anioł, z którego ust płyną tylko słowa pociechy i litości.

— Czy znasz ich znaczenie?

— Tak, odrzekła ze drżeniem. Abdallah nie słyszał ich nigdy, ale Omar doskonale zna tę tajemnicę. Zapytaj go Panie, a on ci odpowie.

— O panie i władco mój! rzekł Omar półgłosem, padając do nóg szeryfa; murzynka powiedziała prawdę. Znam doskonale te słowa, one są powodem a może i wytłumaczeniem méj winy. Niepodobna podejść serca trawionego zazdrością. Kiedy, panie mój, zavezwałeś mnie do Taifu, wiedziano już jakie masz wydać mi zlecenie, i zanim wyszedłem z twego pałacu, wymożono na mnie szalone przyrzeczenie, któremu aż nadto byłem wierny, i stosownie do danego polecenia skompromitowałem niewolnicę. Mógłbym oprzeć się woli téj, którą ty panie swoją zaszczycasz miłością? Szczęśliwy kto zdoła tak niepohamowaną namiętność zbudzić w sercu kobiety! czyliż szczęście tak wielkie nie zniewala do pobłażliwości?

I kłamiąc tak bezczelnie syn Mansura wpatrywał się w twarz szeryfa, jaśniejącą coraz większą pogodą. Teraz już Omar zaprzestał błagać starca w którego rękę spoczywały śmierć i życie; widząc że trafił do celu, zaczął na tenże temat pochlebiać mu coraz więcej, i wkrótce słodkimi słówkami zażegnał ostatnie poszepty gniewu kiełkującego jeszcze w duszy starca.

— Wstań kupcze, przebaczam ci — rzekł nareszcie szeryf—przebaczam i temu dumnemu Beduinowi, co nie zadrzał nawet przed mieczem kata. Dowiodłem wam, że niczego się nie lękam i umiem ukarać zniewagę, dość mi na tem: oszczędzam życie wiernych moich, aby je szlachetnej jakiejś poświęcili sprawie. Młodzieńcze, rzekł, spoglądając na Abdallaha z dobrotliwym uśmiechem—nie zapominaj że odtąd życie twoje do mnie należy; liczę na ciebie i współtowarzyszy twoich, że potraficie pomścić wspólną naszą zniewagę.

Za całą odpowiedź, syn Yusufa z głębokim wzruszeniem ucałował rękę szeryfa; Hafiz zaś głośno objawiał swoją radość i wdzięczność.

— Chodź tutaj, córko nocy — rzekł szeryf do Kafury—czyż nic już więcej nie powiedziała ci sułtanka?

— Przeciwnie—odrzekła śmiało, przybierając tajemniczą minę—sułtanka powiedziała mi jeszcze: że jeśli przebaczasz jój tak szaloną miłość, pragnie abyś dał jój dowód wzajemności.

— Mów—rzekł łagodnie starzec—mógłżebyś odmówić coś biednej istocie, która kocha mnie aż do szaleństwa?

— Sułtanka lęka się, abyś panie nie odrzucił jój żądania, bo powiada że tylko miłość równie wielka jak ta, którą ona kocha ciebie, mogłaby skłonić cię do spełnienia jój prośby.

— Mówże o co chodzi; czyż nie widzisz że umieram z niecierpliwości?

— A więc, panie, sułtanka błaga ciebie, abyś jój nie narzucał rywalki, i odtrącił tę cudzoziemkę zbezczeszczoną spojrzzeniami Arnautów i Beduinów.

— Mniejsza o to — rzekł naczelnik wiernych z łagodnym uśmiechem.—Czyliż po tém co się stało miałbym niewolnicę tę moją zaszczyścić łaską? o nigdy! nigdy! Całe życie po-

zostanie nędzną niewolnicą, i skończy dni swoje w najodleglejszej części haremu.

— O! to nie dość dla sułtanki, której duszę szarpie zazdrość i niepokój; pragnie ona, aby Lelia na zawsze opuściła twój pałac. „Niechaj mój małżonek i kochanek duszy mojej, mówiła ona, da mi jeszcze ten ostatni dowód miłości; niech odda tę niewolnicę tym, co ją tu przywiedli. Wpśród przybyłych Beduinów znajdzie się niezawodnie odpowiedni dla niej małżonek, a wtedy będę szczęśliwa, bo sama tylko kochać i uwielbiać będę pana mojego serca i życia.”

— Jakże kobiety są słabe! — wykrzyknął potomek Proroka. Słusznie Koran zaleca nam pobłażliwość, ponieważ rozum i siła nam tylko dostały się w udziale. Podobna zazdrość Fatymy jest szaleństwem, i nie powinienbym zważać na nią; ale podoba mi się dowieść jej, że tak władza jak i miłość moja nie zna niepodobieństwa. Idź, przyprowadź tu Lelię i oznajm zarazem sułtance, że niewolnica ta niezwłocznie opuści harem. Taka jest moja wola, i nakazuję aby wszyscy byli jej posłuszni.

A zwracając się do Beduinów, dodał:

— Proszę was, przyjaciele, bądźcie sędziami mego postępowania. Co mam robić z Egipcynką, którąście mi przywiedli? Poszanowanie mój godności nie dozwala mi wziąć ją za żonę, względ na paszę nie dozwala zatrzymać ją jako niewolnicę. Otóż posłuchajcie: jeśli który z was zechce ją pojąć za małżonkę, dam mu za nią przyzwoity posag; w przeciwnym razie wydam ją za jakiego bogatego kupca z Medyny lub z Mekki.

— Bóg jest wielki! — zawołał syn Yusufa, chwytając dłoń Hafiza. — Wuju mój, nie szukajmy już czterolistnej koniczyny, nie dbam o nią, bo oto znalazłem szczęście.

— Odwagi! synu mój — rzekł kulawy — potrzebna ona zarówno w szczęściu jak w niedoli; a odwracając się do szeryfa, dodał: Sądzę, że nie ma potrzeby aż tak daleko szukać męża dla cudzoziemki, bo oto jest młodzieniec mogący pochlubić się urodzeniem, majątkiem i sercem, i który chętnie pojmie ją za żonę.

— Panie — odezwał się Omar, pokornie kłaniając się szeryfowi — nie odważyłbym się nigdy podnieść oczu na kobietę powierzoną mojej straży, ale skoro rzeczy się zmie-

niły, więc jeśli pozwolisz, proszę cię o rękę Lelii. Jako niewolnica paszy, przywykła ona od dzieciństwa do wygod i zbytku haremu; jadąc tu marzyła o szczęściu i majątku, zapewne więc ciężkoby jój było przywyknąć do życia w namiocie, bo bogactwo jest niezbędnem dla kobiety, co urodziła się i wychowała w pałacu. Poważam się więc prosić Waszj Wysokości, abys temu oddał Egipcyankę, kto największy zrobi jój zapis, a będzie to ostatni dowód względności i łaski dla kobiety, co wszystko twojój zawdzięczy wspianolomności.

— Słuszne żądanie—odrzekł szeryf--niech zaraz przyprowadzą tu Egipcyankę; a ja czekam i słucham warunków, jakie przedstawiają pretendenci.

— Zginałem! wuju—szepnął syn Yusufa.

— Nareszcie Lelia będzie moja, rzekł do siebie Omar. Kafur popatrzyła na obu braci i pobiegła do haremu.

XXI.

KTO DA WIĘCÉJ?

Przed przybyciem niewolnicy, Hafiz zbliżył się do syna Mansura.

— Młodzieńcze—rzekł—posłuchaj starca, na którego kolanach igrałeś dziecięciem. Powiadają, że jesteś bajecznie bogaty; kobiety zazwyczaj gonią za majątkiem, i najbogatsi kupcy z Egiptu i z Syryi, będą sobie mieć za zaszczyt spokrewnić się z tobą. Nie kochasz, więc możesz wybierać swobodnie. Abdallah przeciwnie, serce i duszę oddał kobiecie którą ocalił. Bądź szlachetnym, nie zagradzaj mu szczęścia, a jednym tym czynem spłacisz cały dług wdzięczności, jaki zaciągnąłeś względem niego i Halimy.

— Brat mój jest niecnym samolubem—odparł Omar—ileżto już wycierpiałem z jego przyczyny. Wié on dobrze, że upodobałem sobie tę Egipcyankę, i muszę ją posiadać za jakąbądź cenę, a jednak występuje jako mój współzawodnik. I cóż mu z tego przyjdzie, że z jego powodu stracę z jakie sto-tysięcy piastrów? jakąż ztąd odniesie korzyść? Niechaj

się wyrzeczcie Lelii, a zapomnę może, że po dwakroć naraził mnie na niebezpieczeństwo utraty życia.

— Szczęście twoje że jesteś muzułmaninem—odpowiedział kulawy—gdyby nie to, dziś jeszcze nauczylibyśmy cię, że dwa łuty ołowiu więcej ważą niż wszystko złoto twoje. Ale nie ciesz się przedwcześnie, Bóg nie opuszcza wiernych sług swoich, i może dziś jeszcze Abdallahowi swojej udzieli pomocy.

Omar pogardliwie wzruszył ramionami, i poszedł na przeciw Lelii.

Egipcyanka weszła zasłonięta wielką zasłoną, okrywającą ją od stóp do głowy, a jednak mimo to zdawało się biednemu Abdallahowi, że dostrzega wielkie ogniste oczy, przesywające go palącym spojrzeniem. Kafur szła za swoją panią. Czy mówiła z sułtanką? nie wiadomo; tylko na jej szyi błyszczał naszyjnik z różowych koralii, za kosztowny dla niewolnicy. Od czasu do czasu wybiegała na balkon dochodzący do sali, i tam z niewidzialnymi osobami, tajemnicze jakieś zamieniała słowa. Na balkonie tym, cały niemal harem był obecny; wszystkie niewolnice zajęły się żywo losem Lelii, życząc szczęścia i powodzenia synowi Yusufa.

Abdallah pierwszy głos zabrał:

— Całym moim majątkiem—rzekł—jest źródło odkryte przezemnie w pustyni, i piękny ogród który przy nim zasadziłem. Mam jeszcze piękną broń odziedziczoną po ojcu i doskonale wytressowanego wierzchowca; i oto wszystko co posiadam. Jeśli raczysz przyjąć ofiarę moją, wszystko to oddaję tobie, Lelio, oddając ci zarazem duszę i życie moje.

— Wszystko to niewarte stu tysięcy piastrow—odparł zimno Omar. Tu, w samym Taifie, posiadam piękny ogród pomarańczowy, w którym szeryf raczył spoczywać kilkakrotnie; ogród ten wart przeszło dwakroć-stotysięcy piastrow: daruję go Lelii i dodam jeszcze za drugie dwakroć brylantów i kosztowności.

— Co do kosztowności, to i Abdallah posiada równie drogocenne. Oto szkatułka warta więcej niż wszystkie twoje obietnice.

Wszyscy obecni z niewymownym zadziwieniem patrzyli na Hafiza, który z pomocą Kafury otworzył piękną szkatułeczkę z kości słoniowej, pełną prześlicznych kolczyków,

bransolet, naszyjników i różnych kosztowności. Abdallah krzyknął mimowolnie. Poznał drogocenną bransoletę, którą widział na ręce Lelii w dniu napadu Arnautów, oraz przeszliczny naszyjnik koralowy, który przed chwilą jeszcze Kafur miała na szyi. Chciał przemówić, Hafiz dał mu znak aby milczał.

— Śliczna mi rzecz, używane kosztowności. Nie pytam zkąd pochodzą te szczytki kobiecój garderoby i nie zaprzeczam względnej ich wartości; ale nie pozwolę przewyższyć się hojnością, i dlatego ofiaruję 300,000 piastrow.

— Obiecać a dać, to zupełnie co innego — rzekł kula-wy — nie poprzestaniemy na słowach.

Za całą odpowiedź, Omar wydobył z za pasa pugilares, i wyjął z niego kilka papierów, które podał szeryfowi.

— Panie — rzekł — oto polecenia, jakiemi zaszczycałeś mnie przez kilka miesięcy, i które spełniłem w zupełności. Wynoszą milion piastrow; czy Wasza Wysokość raczy wyświadczyć swemu niewolnikowi tę wielką łaskę, i poręczyć za mną do jutra?

— Niech się stanie jak żądasz — odrzekł szeryf — więc poręczam za ciebie na sto-tysięcy piastrow.

— Kiedy o taką tylko chodzi summe — odezwał się jeden z Beduinów — nie opuścimy towarzysza w niedoli, i zarazem damy nauczkę temu samolubnemu kupcowi. Oto pałazsze nasze, wykupimy je za sto tysięcy piastrow. I wyjmując swój yatagan, Beduin rzucił go pod nogi szeryfa, spoglądając z pogardą na Omara. Chcąc dać przykład całej bandzie, Hafiz rzucił także broń swoją.

— Odbierz broń twoją — rzekł naczelnik wiernych do Beduina — ja poręczam za ciebie i twoich towarzyszy. Jesteście moją siłą i chlubą, niech więc Bóg broni, abym was kiedykolwiek zobaczył rozbrojonych. Omarze, dodał, namysł się dobrze zanim nowe objawisz przyrzeczenia; często gorzki żal zastępuje nasyconą namiętność; łatwo znaleźć kochankę, ale trudno odzyskać utraconych przyjaciół.

— Naczelniku wiernych — odrzekł dumnie syn Mansura — posłuszny woli twojej wdałem się w tę sprawę, i nie zatrzymam się w połowie drogi, chyba w razie jeżeli zechcesz wydać mi rozkaz taki — gdyż o twoje jedynie troszczę się za-dowolenie. Aby raz już skończyć tę nudną sprawę, ofiaruję

milion piastrow; nie jestto za wysoki zapis dla kobiety którą Wasza Wysokość raczyłeś zaszczycić swoją opieką.

— Ale czyż majątek twój pozwala na tak szalone ofiary? — rzekł potomek Proroka—dobrze o tém wiedzieć.

— Rozkazuj, szeryfie — odrzekł kupiec—i majątek i życie moje do ciebie należą.

Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu. Stojąca dotąd Lelia padła bezsilna na sofkę; Abdallah smutnie zwiesił głowę; Hafiz i Beduini odgrażali się Omarowi, który pogardliwie spoglądał na nich. Kafur pokazywała dziwne jakieś migi, i nareszcie pobiegła na balkon. Wszystkich oczy zwróciły się na szeryfa, który wahał się widocznie.

— Dałem słowo—rzekł nareszcie powolnym głosem naczelnik wiernych, zwracając się do Beduinów — i jesteście świadkami że wszystko odbyło się jak należy. Kupiec ten, wasz towarzysz podróży, ofiaruje milion piastrow, jeśli więc nikt z was nie postąpi więcej, niewolnica do niego należeć będzie.

— A któżby na pustyni posiadał podobną summe! — zawołał kulawy — tylko dusze zaprzędane szatanowi, mogą tak piekielnemi rozporządzać bogactwami; my wolni synowie pustyni, mamy tylko pałasze i dubeltówki, i nadejdzie dzień w którym wykażemy ich wartość.

— Zapominasz o kosztownościach posiadanych przez Abdallaha — rzekł Omar z szyderskim uśmiechem.

— Ach! bracie mój — zawołał syn Yusufa — cóżem ci zawinił że tak boleśnie ranisz serce moje? Mogłemże się spodziewać iż z twojej dłoni odbiorę cios zabójczy.

— A toż znowu co! — zawołał szeryf, widząc że dwóch czarnych niewolników postawiło przed Abdallahem wielką szkatułkę srebrną, misternej roboty.

— Panie — odpowiedział jeden z niewolników -- jest to skarb syna Yusufa.

I otworzywszy szkatułkę, zaczął wyjmować z niej nadzwyczaj kosztowne klejnoty; na pierwsze wejrzenie widać było że warte są przeszło milion piastrow.

— Szczególna rzecz, pomyślał szeryf, jak ta rywiera dyamentowa i te bransolety topazowe, podobne są do garniturów jakie ofiarowałem sultance. — Kto kazał to przynieść? zapytał niewolnika.

— Panie mój—odpowie kłaniając się czarny niewolnik — miłość jest jak szaleństwo, wszystko przebaczyć jęj należy. I skłoniwszy się odszedł.

Abdallah sam nie wiedział czy to jest rzeczywistość, czy senne marzenie; Omar nie posiadał się ze złości.

— To jakaś piekielna zdrada, uraknął syn Mansura; ale stało się, muszę postawić na swoim, i zwracając się do szeryfa rzekł głośno:

— Głowo wiernych, daję dwa miliony piastrów.

Lecz w tęgże chwili znowu weszło do sali czterech niewolników niosących przeróżne kosztowności: bogate zastawy stołowe, srebrne lampy, drogocenne czary, i jak pierwszym razem wszystkie te bogactwa złożyli u stóp Abdallaha. Za pierwszym rzutem oka, szeryf poznał wspaniałą serwis, stanowiącą jedną z główniejszych ozdób jego harem; był to podarunek sułtana, który pewnego razu z bólem serca ofiarował Fatymie, aby przebłagać zagniewaną piękność.

— I któż kazał znosić tu te wszystkie kosztowności?— zawołał z gniewem.

— Panie—odpowiedzieli niewolnicy, kłaniając się nisko—miłość jest jak szaleństwo, wszystko przebaczyć jęj należy.

— Wybatożyc tych zuchwalców—zawołał naczelnik wiernych—jak śmia odpowiadać mi przypowieściami! Kto was tu przysłał?

— Kafur—odrzekł drząc ze strachu jeden z niewolników.

— Sprowadzić mi tu zaraz tę djabelską córkę: jeśli jęj nie przeszkodzę, gotowa mi wszystko powynosić z pałacu.

Jeszcze ci czterej niewolnicy nie zdążyli wyjść z sali, weszło znów sześciu innych niosąc ogromny kosz, napakowany sukniami i najrzadszemi materyami; na czele orszaku szła Kafur, przywodząc mu z powagą Imana. Naczelnik wiernych zawołał ją do siebie, i biorąc za ucho, rzekł:

— Powiedzcie mi nareszcie co znaczą wszystkie te niedorzeczności?

— Miłość jest szaleństwo—odpowiedziała poważnie Kafur—wszystko przebaczyć jęj należy.

— Więc śmiesz mięszać sułtankę do tego wszystkiego?

— Sułtanka jest tam—odpowiedziała spokojnie Kafur, wskazując na balkon—wie o wszystkim, widziała i słyszała wszystko, i jest bardzo rozgniewana.

— A toż o co?—zawołał bezmiernie zdziwiony szeryf.

— Powiada ona, iż widzi dobrze że załujesz iż dla niej wyrzekłeś się Lelii; odgaduje, że ten nikczemny kupiec jest tylko podstawiony i licytuje ją dla ciebie, i wie dobrze że tylko gwałtowna namiętność mogła cię tak zaślepić, iż wystawiasz na takie upokorzenie tych dzielnych Beduinów, będących chwałą i siłą twego państwa! „Kiedy już przestał mnie kochać, mówiła, nie chcę jego darów ani dobrodziejstw; zabierz więc wszystkie te klejnoty i stroje w które lubiłam się ubierać chcąc mu się podobać. Zanieś to wszystko Abdallahowi, niech do ostatniej chwili walczy w mojej sprawie. Jeśli pan mojej duszy powróci do mnie, oddam chętnie wszystkie skarby świata; jeśli mnie porzuci, chcę zachować tylko drogie miłości jego wspomnienie.

Szeryf spojrzął z pod oka na balkon, i zdało mu się, że widzi przez kratę śliczną małą rączkę, szarpiącą w uniesieniu gniewu bogatą koronkową chusteczkę; i jednocześnie usłyszał przytłumione łkania i westchnienia. Opuścił smutnie głowę; jakoś w tej chwili namyślił się że przyjaźń Beduinów korzystniejszą dlań będzie niż wdzięczność Omara, i powziął odpowiednie postanowienie.

— Nigdy nie stanę się współnikiem niegodnej słabości—rzekł uroczystym głosem—i nigdy nie cofnę raz powziętego postanowienia. Przedsięwziąłem zapewnić przyszłość kobiecie którą moją zaszczytam opieką, ale summa sto-tysięcy piastrów jest zupełnie na ten cel dostateczną. Niech więc teraz Lelia sama stanowi o swoim losie, a któregokolwiek z współzawodników wybierze, kupca czy Beduina, miasto czy pustynię, zobowiązuję się uszanować jej wolę i innym nakazać aby ją szanowali.

— Ani Dawid, ani Salomon nie wydaliby mędrszego wyroku—zawołał uradowany Hafiz.

Obaj bracia stanęli przed Lelią: Abdallah drżący bojaźnią i nadzieją, słowa wymówić nie był w stanie, i tylko utkwiał w niej oczy pałające niewysłowionem uczuciem; Omar przejęty gniewem i zazdrością, mówił do pięknej Egipcjanki:

— Pamiętaj o przyszłości, i nie poświęcaj temu Beduinowi kwiatu twój młodości i piękności. Czy wiesz że pod namiotem czeka cię życie żebraczki i niewolnicy? Prześlizne ręczki twoje nie do tego stworzone, aby młóciły zboże, doły owce, przedły wełnę, zbierały trawę i gałęzie. Czyliż Beduin ten jest w stanie urządzić ci piękne łązieuki, dostarczać najdroższych pachnideł, kosztownych klejnotów i otoczyć zbytkiem do którego jesteś przyzwyczajona? Czyliż będzie umiał malować brwi i rzęsy twoje, skrapiać twe piękne włosy kwiatem pomarańczowym, ambłą i piżmem? Ja dam ci liczne niewolnice do usług, kosztowne stroje i diamenty błyszczące jak oczy twoje; i nie będziesz u mnie sługą ale wszechwładną panią, a wszelkie twoje zachcianki i kaprysy będą dla mnie rozkoszą i prawem.

Lelia odwróciła się od niego, i biorąc drżącą wzruszeniem rękę Abdallaha, położyła ją na swojej głowie, mówiąc: „Jestem niewolnicą mojego pana. Jestem cudzoziemką i kraj ten obcym dla mnie, ty staniesz się odtąd dla mnie ojczyzną i podporą; jestem sierotą, ty zastąpisz mi rodzinę i będziesz mi ojcem, matką, bratem. O luby mój! dodała półgłosem wznosząc na niego oczy, więc nareszcie będę twoją i mogę ci wyznać że jesteś moją radością, ukochaniem i życiem.” I śmiejąc się i płacząc zarazem, całowała ręce przyszłego męża.

Naczelnik wiernych patrzył z rozrzewnieniem na ten odnładzający go widok. „Może to trochę za ostra nauczka dla Fatymy, pomyślał sobie, ale kontent jestem że trochę upokorzę sułtaukę, wyleczy się przecie na jakiś czas ze swiej szalonej zazdrości.”

Omar milczał, ale jego zmieniona twarz i brwi groźnie zmarszczone, zdradzały dziką boleść i srodze upokorzoną pychę.

— Synu Mansura — rzekł kulawy — powiniенbyś teraz ożenić się z Kafurą. Dusza twoja jest równie czarną jak jej skóra; mielibyście dzieci godne ich dziada, szatana.

— Okrutny jesteś mój wuju — zawołał Abdallah. Gdyby Omar był na mojem miejscu, nie dokuczałby nam tak srodze. Bracie — dodał, podając rękę Egipcyaninowi — przebacz mi szczęście moje.

— Jesteś przebieglejszym niż ja — odrzekł Omar — winszuję ci powodzenia; i wyszedł wściekłą złością miotany.

— Bodaj to młodość — rzekł Hafiz — człowiek jest wtedy dobrym, ufa ludziom i wierzy w cnotę. Jam stary i doświadczony; jeśli więc na mojej drodze napotkam złego człowieka, zdeptuję go jak gadzinię, aby nie ukąsił kogoś.

XXII.

P R Z Y B Y C I E.

Łatwiej zachować pieniądze w ręku rozrzutnika lub wodę nosić sitem, niż osiedlić cierpliwość w sercu kochanka. Jeszcze dzień nie zaświtał, ptaki nie porzuciły gniazd swoich, a już syn Yusufa zbudził towarzyszy i szykował wielbłądy obciążone podarunkami szeryfa i sułtanka. Jakże to niecierpliwie wyglądał swój ukochanej którą Fatyma zatrzymała u siebie, aby jej opowiedziała dzieje miłości swojej. Gdy nareszcie Kafur otworzyła drzwi haremu i ukazała się w nich brzydsza i weselsza niż kiedykolwiek, z piersi Abdalaha wyrwał się krzyk podziwienia i radości. Cóż to za kobieta wyszła za niewolnicą i z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę? jestże to Lelia?

Tak, to ona! Oko kochanka się nie myli, ale to już nie owa pyszna Egipcyanka przeciążona klejnotami, ale Beduin-ka od lat dziecinnych żyjąca pod namiotem. Lelia miała teraz na sobie długą błękitną suknię, ściągniętą u szyi i aż do stóp spadającą; na nią zarzuciła czerwony wełniany burnus okrywający jej głowę, a lśniące czarne włosy pozaplatane w niezliczoną liczbę warkoczy zakończonych koralami, spadały aż na czoło, dodając wejrzeniu słodczy i blasku. W tej skromnej szacie, z odkrytą twarzą i bosemi nogami, piękna Lelia wyglądała jak królowa pustyni; była świeża i pogodna jak jutrzienka, to też Beduini patrzeli na nią z radością i kornie pochylali czoła.

Ruszono w drogę. Niedawno minioną burza odmłodziła otaczającą ich przyrodę; trawki zwilżone rosą piękniejszą lśniły zielenią, świeżo rozkwitłe kwiaty radowały się i uśmiechały do tych dusz szczęśliwych. Lelia nie kryła się

teraz w głębi lektyki, Abdallah tuż obok jechał na swój Gołębce, i wsparłszy rękę na krawędzi lektyki, nie przestawał mówić o miłości swojej. Kafur nigdy jeszcze nie była tak śmiałą ani tak wielomowną.

— Abdallahu—mówiła Lelia—ciężka dłoń twoja przechyla lektykę, niedługo będziemy musiały iść piechotą.

— Nie lękaj się, gwiazdo moja—odpowiedział syn Yusufa—nie odmawiaj mi tej rozkoszy abym cudną rączkę twoją w mojej trzymał dłoni.

— Niewdzięczny!—zawołała Kafur—zapomniałeś o mnie zupełnie, ty czarny Beduinie, który porywasz żonę kalifa Mohawiaha.

I wesoła jak skowronek zaczęła nucić „piosnkę Beduinki” (1).

O! weź sobie ten strój złoty,
Ten strój dany dla mnie jednej;
Weź to złoto i klejnoty
A powróć mi burnus biedny.

Precz z haremom!—gdzie myśl ginie,
Kędy nudy, niepokoje;
Daj powietrza, daj pustynie,
Bo w pustyni szczęście moje.

Zanieś nad zdrój—w to ustronie
Gdzie wielbłądy, gdzie są konie,
Gdzie gwar słodki i hulaszczy;
Przybądź beduinie młody
I wyrwij mnie do swobody
Z rąk starego, z osłej paszczy.

Tak podróżując dzień cały nie czuli ani gorąca ani znużenia; bo zapominamy o wszystkiem, gdy po cierpieniu nastąpi radość. Zresztą teraz już Hafiz podjął się przywodzić karawanie, Abdallah więc nie potrzebował opuszczać skarbu który Beduini z tryumfem odprowadzali na pustynię.

Wieczór zapadał gdy dostrzeżono zdala namioty Beni-Amerów. Słońce chyliło się ku zachodowi; przesliczna tęcza odznaczała się na niebie jak różnobarwna wstęga; różo-

(1) Śpiewka ta pod nazwą „Piękna Beduinka” jest bardzo sławna w pœród Arabów. Burton zamieścił ją w swoim „*Personal narrative of a pilgrimage to el Medinah and Meccah.*” London, 1856, t. III, p. 262.

wawy blask rumienił piasek pustyni, a na wierzchołkach piramid z granitu iskrzyły się złotawe promienie umierającego słońca. Z oddali różne dochodziły szmery, szczekanie psów i gruchanie turkawek: wtém nagle głośny krzyk powitał powrót wędrowców.

— Co to za krzyk? — zapytała Lelia.

— To głos matki mojej — odrzekł Abdallah zeskakując z konia — będziesz tu miała dwa kochające cię serca.

Jakoż niebawem ukazała się Halima, i zadziwiła się niewymownie ujrawszy tak długą karawanę.

— A toż co — rzekła wskazując na pakunki — czyż syn Yusufa sprzedał swoją broń i konia i został kupcem?

— Matko moja — odrzekł Abdallah — przywiódłem ci nicocenione, największe na świecie dobro, córkę, która będzie cię kochać, szanować i pomagać w pracy.

Wysiadłszy z lektyki, Lelia rzuciła się w objęcia Beduinki, która patrzyła na nią z zadziwieniem, i zapytała zaraz o imię jej ojca i nazwę pokolenia. Zobaczywszy Kafur, nie mogła wyjść z podziwienia na co się zdało podobne stworzenie, i pomimo przełożeń Hafiza, weszła pod namiot smutna i zamyślona, bo nie miała żadnego pociągu do cudzoziemek. Zdjąwszy ładunki z wielbłądów, Abdallah przyszedł zasiąść pod namiotem, wtedy Lelia wzięwszy naczynie z ciepłą wodą, zaczęła obmywać nogi swego męża; zobaczywszy to Halima, ucieszyła się niewymownie, i zawołała głośno:

— Chwała ci, o Panie! teraz widzę że ta kobieta będzie prawdziwą sługą swego małżonka. Mogę umierać spokojnie, dom nasz znalazł godną siebie panią i gospodynię.

I czule uściskała córkę, jaką Bóg w niezmierzonej dobroci swojej obdarzyć ją raczył.

— Co tobie, panie mój? — rzekła Kafur — która położywszy się przy nogach Abdallaha, oparła głowę na kolanach swego zbawcy; czy to dym fajki tak zawraca ci głowę i szczypie w oczy, w których perełki łez błyszczą? Ale co widzę, fajka ci zgasła, czy przynieść węgiel do zapalenia?

— Milcz, milcz, szczebiotko — szepnął Beduin przesuwając ręką po głowie murzynki, jak gdyby głaskał wiernego swego wierzchowca; dziewczę wstało nagle, i obejmując swoją panią, tak raptownie pochyliła ją ku Abdallahowi,

że czoło Lelii dotknęło ust Abdallaha. Kafur rozśmiała się ucieszona. Biędne, godne litości stworzenie! któremu los odmówił wszystkiego, i której jedyną było pociechą ze szczęścia swego umiała szukać w szczęściu innych.

XXIII.

K A R A - C H I T A N.

Omar wrócił do Dżeddah miotany zazdrością i rozpaczą; daremnie niewolnicy starali się go rozerwać, daremnie nastęrczały mu się nieustannie złote, jakto mówią interesa: namiętność szponami swemi szarpała jego serce, nie zostawiając chwili wytechnienia ani spokoju. Całe dni przesiadywał zamknięty w swoim pokoju, siedząc na dywanie z nogami założonemi nakrzyż, i obmyślając plany zemsty której przyzywał gorąco.

„I na cóż mi się zdało że ziściły się życzenia mego ojca! I cóż mi z tego że mam dobre zdrowie i ogromny majątek, kiedy z tém wszystkiém jestem dziś najniezszczęśliwszy z ludzi...! Ten nieszczęśliwy Beduin jest szczęśliwy i dumny mimo swego ubóstwa, a jam samotny i smutny w pośród bezmiernych skarbów moich. Przekłęte życie takie! stokroć przekłety brat mój mleczny; sprawdziła się przepowiednia derwisza: najlepszy przyjaciel stał się najstraszniejszym moim wrogiem”.

I zwieszając smutnie głowę, w głęboką wpadał zadumę.

Całe miasto zajmowało się udęczeniami Omara, bo choć syn Mansura nie był lubiony, szanowano bardzo wielki jego majątek, i przemyślano czyby nie udało się czasem sprzedać mu drogo jakiejś usługi lub pociechy. Nie ulega wątpliwości, mówiono powszechnie, że drogo opłaciłby tego ktoby pomścił wyrządzoną mu przez Beduina zniewagę — a podobne słowa nie nikną bez śladu. Zdawałoby się że na bogaczach ciąży jakaś klątwa, skutkiem której zawsze uwijają się około nich ludzie, gotowi za ich sprawę skazać się na ogień piekielny. Namiętność ubogiego jest jak płomień: nurtuje serce, lecz pochłonawszy go gaśnie; zaś namię-

tność bogacza, to ognisko podsycane przez wszystkich, z którego wynika pożar, zbrodnia i śmierć.

Pewnego poranku kapitan arnaucki przybył do syna Mansura, mówiąc że sprowadza go interes nie cierpiący zwłoki: Omar przyjął go grzecznie i kazał podać tytuń i fajki.

— Wyborna kawa—rzekł kapitan smakując i pijąc powoli—gorzka jak śmierć, czarna jak szatan i gorąca jak piekło. Co za przedziwna mieszanina gwoździków, cynamonu i muszkatołowej gałki! Bodajto być bogaczem! świat cały gotów na wasze skinienie.

— O! często szczęście bogatych pozornym tylko ludzi blaskiem — odrzekł Omar, wdychając.

— Bah! jeśli bogacz ma zmartwienie, to musi być skąpcem nie umiejącym korzystać ze swego złota. Jeśli pokochał kobietę, niechaj ją kupi; jeśli chce pozbyć się współzalatnika, niechaj sprzeda jego skórę: za pieniądze wszystko na świecie kupić można.

— Z kimże mam zaszczyt mówić? — zapytał syn Mansura.

— Nazywam się Kara-Chitan—odrzekł cudzoziemiec—jestem kapitanem Arnautów, i brałem udział w potyczce stoczonej z wami w pustyni. Brat twój Abdallah zabił przyjaciela mego Mohammeda, i przez to naraził mnie na stratę pięciu tysięcy duroków: zapłać mi ten dług, a raz na zawsze uwolnię cię od tego Beduina.

— Ależ to morderstwo!— rzekł Omar.

— Ta, ta, ta—odparł zimno kapitan—gdyby Bóg nie był wymyślił śmierci, to chyba pożeralibyśmy się wzajemnie. Precz z fałszywymi skrupułami! Rozum nakazuje nie opuszczać nastroczającą się sposobności i użyć słusznego prawa odwetu, zmuszając nieprzyjaciół naszych do spełnienia kielicha goryczy, jakim oni nas napawali, oraz zwrócić przeciwko nim też samą broń jaką w nasze godzili pierś.

— Abdallah jest moim bratem!—rzekł jakby wahając się syn Mansura.

— I brat ten jest wrogiem twoim! Cóż cię obchodzi śmierć jego, skoro sam czynnego nie przyjmiesz w niej udziału. Ja sam zabiję Abdallaha, jak marnego psa, gdy go napotkam w pustyni, i tym sposobem pomszczę własną moją

krzywdę; ale aby tego dokonać, potrzebuję mieć pięć tysięcy durosów.

— Lecz cóż mi przyjdzie z téj zemsty twojej?— zapytał Mansur.

— Nie wiem tego — odpowiedział Kara-Chitan — ty lepiej odemnie rozumiesz wszelkie interesa; wiem tylko że gdybym był na twojem miejscu i gdyby Abdallah przestał mi zawadzać, łatwo poradziłbym sobie z piękną Lelią. Mówiono mi że cała rodzina tego Araba, składa się ze staréj matki i kulawego szaleńca: są to zapory tak słabe, że silna wola i pieniądze obalają je z łatwością. Cóż łatwiejszego jak wykraść piękną Lelię, a gdy zostanie wdową i w twój będzie mocy, potrafisz pocieszyć ją niedługo. I czegoż się obawiasz? czy szeryfa? Ależ w Dżeddach można sobie żartować z niechęci posłusznych mu Beduinów. Może paszy? Człowiek to jak inni, i on ma sumienie, o które zgodzić się i kupić je można.

— Zapominasz o całym pokoleniu.

— Bynajmniej, i wiem dobrze że ci Beduini są mściwi i złośliwi jak ich wielbłądy, ale jak wszystko na świecie, tak i krew opłacić można. I na pustyni nie gardzą pieniędzmi; Beni Amerowie pocieszają się po stracie Abdallaha, obejmując jego spadek.

— Tak, wiem o tém — odparł Omar — że krew przelaną można opłacić, jeśli zabójstwo było mimowolne. Za podobne zabójstwo daje się sto wielbłądów, ale Beni-Amerowie nie przebaczą nigdy rozmyślnego morderstwa: rządzą się prawem odwetu, którego ja padłbym ofiarą.

— Pustynia jest głuchą — odrzekł kapitan — a umarły nie przemówi. Jeśli wśród spiekłych piasków znajdą wyschły kościotrup, któż odgadnie czy padł ofiarą przypadku czy morderstwa? A zresztą, dajmy już temu pokój, dodał Arnauta wstając, cóż mnie może obchodzić owa huryska Lelia, której nigdy nie widziałem? Niechajże sobie kocha swego Beduina, niech go upaja rozkoszą i szczęściem i niech sobie drwią i szydzą z syna Mansura, obojętne to dło mnie. Prawdę mówiąc, muszę przyznać że Abdallah jest dzielny i nieustraszony rycerz, i gdyby jemu ktoś podobną jak on tobie wyrządził zniewagę, nie namyślałby się pewnie i nie targował o cenę swéj zemsty. Bywaj zdrow!

— Nie odchodź — zawołał syn Mansura. Masz słuszość: dopóki Abdallah żyć będzie, ja nie zaznam chwili spokoju ani pociechy. Przepowiednia Derwisza wygłoszona w dniu mego urodzenia sprawdza się codziennie: uwoln mnie więc raz od tego straszego wroga. Co się tyczy kulawego, mamy z sobą rachunek który sam załatwię. O! Lelio! Lelio! jakże mnie drogo kosztujesz!

— Jeśli chcesz słuchać mojej rady, to obaj jednocześnie spełnijmy nasze zadanie. Ja wyprowadzę Abdallaha z namiotu, do którego nigdy on już nie wróci; ty porwiesz wtedy piękną huryskę, a tak cała sprawa skończy się w przeciągu paru godzin, i pokonamy wroga zanim pomyśli o grożącym mu niebezpieczeństwie.

— Zgoda — odrzekł. Omar — ale nigdy potem nie pokazuj mi się na oczy.

— Rozumiem — odpowie Kara Chitan — oznacz mi tylko dzień i godzinę, wypłać mi zaraz umówioną sumę i licz na moją akuratność. Jestem znany pod tym względem: każdy wie, że nawet gdyby mi dawano najpiękniejsze arabskie rumaki, nie złamię zaprzysiężonej wiary!

XXIV.

GOŚCINNOŚĆ.

Gdy skąpstwo i zemsta spiknęły się tak na zgubę Abdallaha, on spokojnie cieszył się szczęściem swoim, ani się domyślając jak czarne chmury zbierają się nad jego głową. Syn Yusufa którego dusza tak była czystą a serce bez złości, nie przypuszczał nawet że może mieć osobistych wrogów: kto kocha i jest kochany, wszystkich bliźnich uważa za braci. Od miesiąca już upajał się niewysłowionem szczęściem i radością, kochał i uwielbiał swoją Lelię i korne dzięki składał Bogu, który takie dobrodziejstwo zesłał jego domowi.

Pewnego poranku gdy skwarne i duszące powietrze zapowiadało burzę, Abdallah spoczywał w ogrodzie swoim pod cieniem drzew cyprysowych. Kafur leżała niedbale u nóg pana swego, i nie spuszczała z niego oczu, jak wierny pies śledzący spojrzenia albo rozkazu. W głębi namiotu

Halima chleb piekła w popiele, a Lelia klęcząc przy krosienkach, haftowała dla męża burnus jedwabiem i złotem; tak więc otoczony wszystkiem co kochał i cenił, syn Yusufa rozkoszował się życiem. Szczekanie psa obudziło go z błogięj zadumy; mężczyzna jakiś zsiadł z wielbłąda przy wejściu do ogrodu i szedł ku Abdallahowi wyciągając do niego rękę: Lelia odeszła a Abdallah postąpił naprzeciw nieznanajomego.

— Witaj mi, gościu—rzekł—przybycie twoie zwiastuje błogosławieństwo Boże: gość w dom, Bóg w dom. Namiot mój i wszystko co posiadam, czeka na twoje rozkazy.

— Synu Yusufa—odrzekł nieznanajomy—nie usiądę dopokąd nie przysięszesz, że nie odmówisz mi przysługi jakiej żądam od ciebie.

— Mów więc—odrzekł Beduin—jesteś moim gościem; masz prawo rozkazywać.

— Jestem biednym kupcem z Syrii—rzekł nieznanajomy—dla ważnych interesów udałem się do Mekki, i w tém świętém mieście pokłóciłem się z pewnym Beni-Motayrem; nieszczęściem zabiłem mego przeciwnika, i teraz śledzi mnie rodzina jego i przyjaciele. Nie mam nikogo coby stanął w mojej obronie, jeśli więc co prędzej nie schronię się do Medyny, jestem zgubiony. Powiedziano mi, że ty jeden możesz mnie tam doprowadzić bezpiecznie; składam więc w ręce twoje mój los i życie, i z ust twych czekam wyroku.

— Wejdz do namiotu i odpocznij—odrzekł syn Yusufa—za godzinę ruszymy w drogę.

— Namysł się; pragnąłbym aby nikt z towarzyszy twoich nam nie towarzyszył: tobie samemu tylko powierzam życie i tajemnicę moją.

— To téż ja sam tylko udam się z tobą, i głową moją ręczę za twe bezpieczeństwo.

Abdallah wprowadził nieznanajomego do namiotu i polecił go staraniom Halimy, a sam poszedł przygotować się do drogi. W ogrodzie Kafur zatrzymała go, mówiąc:

— Czy znasz tego człowieka?

— Nie, ale mniejsza o to: gość w dom, Bóg w dom.

— On nie jest kupcem: obejrzałam jego pistolety, są za piękne i za kosztowne na kupca: strzeż się, to żołnierz przebrany.

— Czy on jest żołnierzem czy kupcem, nic mnie to nie obchodzi, i czegoż mógłbym się obawiać od nieznanego mi tułacza? Podaj wszystko co potrzeba, ja zaledwie mam czas pożegnać się z Lelią.

Kiedy syn Yusufa powrócił do gościa swego, Kafur ustawiła już przed mniemanym kupcem niski stolicek, a na nim koszyk z palmowych liści. Potém zaraz przyniosła chleb słodki, ciasto z daktyli, ryż gotowany, mleko, miód i świeżą wodę; i tak krzątając się i usługując nie spuszczała oka z téj podejrzanéj postaci: nieznanomy zaś przybrał zimną i obojętną postawę człowieka, ani domyślającego się że ktoś zwraca na niego uwagę.

Chcąc przekonać się czy ją przeczucie nie myli i czy rzeczywiście ukochanemu jéj panu zagraża niebezpieczeństwo, Kafur do dziwnego uciekła się środka. Wzięła duże jakieś gliniane naczynie, i stając za mniemanym kupcem prędko rzuciła na ziemię, gdzie się z hałasem w drobne rozbiło kawałki. Nieznanomy odwrócił się nagle, oczy jego pałały gniewem.

— Arnauta!—krzyknęła Kafur, patrząc na swego pana.

— Odejdź, poganko — rzekł Abdallah — nie nudź mnie swemi niedorzecznościami.

Kafur wyszła, lecz wróciła niebawem przynosząc gorącą herbatę. Nieznanomy był zupełnie spokojny: nazwa Arnauty nie zmięszała go bynajmniej.

— Gościu mój—rzekł Abdallah—chciéj przyjąć skromny posiłek; czeka nas długa i nużąca podróż, należy wzmocnić nieco siły swoje. Jédz, proszę cię.

— Serdecznie dziękuję—odrzekł nieznanomy—ale niepokój i trwoga nabawiły mnie gorączki, nie mogę jeść i pragnąłbym jak najprędzej puścić się w drogę.

— Sól przywraca apetyt—zawołała Kafur, i porywając garść soli, wpakowała ją w usta nieznanomego i uciekła do ogrodu.

— Poganko!—zawołał syn Yusufa—zuchwalstwo twoje nie ujdzie bezkarnie! i rozgniewany wybiegł za nią do ogrodu.

— Dobrze, bij mnie—rzekła płacząc Kafur—bij wierne go psa który cię przestrzega, a pieść szakala co cię pożreć pragnie. Czyż nie słyszałeś jak psy szczekały dziś rano? przeczuły one Azraela, a ciebie, szaleńcze, tak zaślepiły

grzechy twoje, iż nie widzisz że śmierć unosi się nad domem twoim. Czyż nie poznałeś dotąd mniemanego kupca?

— Nienależy podejrzewać gościa—odrzekł Abdallah, i wrócił do namiotu. Nieznajomy siedział na swoim miejscu z uśmiechem na ustach.

— Doprawdy—zawołał—ta niewolnica dała mi lekcję grzeczności i zachowania się; broda zaproszonego jest w rękę gospodarza namiotu: spróbuję korzystać z twój gościnności.

I zaczął zająć z bardzo dobrym apetytem, nie znamionującym bynajmniej choroby ani zniekania; rozmawiał z całą swobodą, i był nadzwyczaj uprzejmym dla syna Yusufa.

W chwili odjazdu, gdy nieznajomy siedział już na wielbłądzie, Lelia wyszła z namiotu: piękna jej twarz była napół zasłonięta burnusem, w rękę trzymała dzbanek wody, którą pokropiła lekko grzbiet i nogi wielbłąda.

— Niech cię Bóg prowadzi—rzekła do kupca—obyś szczęśliwie wrócił do tych, co cię oczekują i kochają.

— Ci co mnie kochali, już dawno w mogile—odrzekł nieznajomy—a od lat dwudziestu jak pogrzebałem matkę, nikt nigdy nie czeka na mnie.

— Więc niech ci Bóg da żonę coby cię kochała, i zestarzała się razem z tobą.

— Jedźmy już—rzekł prędko nieznajomy—nie ma chwili czasu do stracenia.

— Panie mój—rzekła Lelia do męża—unosisz z sobą całą moją radość i szczęście, obyś mi je jak najprędzej wrócił.

Kafur stała przy Abdallahu:—Panie—rzekła—czy mam podać ci broń twoją?

— Nie—odrzekł syn Yusufa, byłoby to zniewagą dla mego współtowarzysza; bądź spokojna, ten kogo Bóg strzeże, niczego lękać się nie powinien. Jak wuj mój wróci z pola, powiedz mu aby czuwał nad namiotem, powiedz mu, że po Bogu, w nim największą ufność pokładam.

I wzięwszy lancę Abdallah pieszo puścił się w drogę, postępując tuż obok wielbłąda nieznajomego.

Halima i Lelia patrzyły za odjeżdżającymi jak daleko dojrzyć ich mogły, poczem wróciły do namiotu. Kafur pozostała z wyteżonym okiem i z niepokojem w sercu; zdało

jék się że lada chwila horyzont się rozstłoni i pustynia wróci jék ukochanego pana. Próżne złudzenie niespokojnej duszy, noc czarnym płaszczem pokryła ziemię, a Abdallah nie wrócił.

XXV.

LISTEK ŻŁOTY.

Kiedy już głęboko zapuścili się w piaszczystą pustynię, nieznajomy obejrzał się w około aby się przekonać, że są zupełnie sami, potem ściągnął rękę do pasa i zaczął się bawić rękojeścią swych pistoletów.

— Spodziewam się gościa mój—rzekł Abdallah—że przebaczasz temu szalonemu dziewczęciu, jék niewczesne zarty?

— Gdybym był jék panem, ukarałbym ją ostro.

— Trzeba być pobłażliwym dla tych co nas kochają— odrzekł Abdallah. Kafur uroiła sobie że wielkie zagraża mi niebezpieczeństwo, i chcąc mnie od niego uchronić, obraziła cię mimowolnie. Zmuszając cię do zjedzenia mojej soli, uczyniła nas przyjaciółmi do grobowej deski. Czy u was inny jest obyczaj?

— W mojem pokoleniu—odrzekł kupiec—podobne zobowiązanie trwa jeden dzień tylko. Jeżeli nazajutrz nie jemy z jednego półmiska, sól traci moc swoją, i wolno nam się nienawidzić.

— A więc gościa mój—odrzekł z uśmiechem Abdallah—będziesz mógł zabić mnie jutro, jak dziś ocale ci życie. Teraz zostaję pod twoją opieką, musisz więc bronić mnie i czuwać nademną.

— Wiem o tém—odrzekł podróżny i zamyślił się głęboko. Dziwna rzecz, mówił sobie, słowa Beduina wyraźnie ukrywają myśl jakąś... A jednak ma on słuszność, nie mogę przecież go zabić, nie strawiwszy jeszcze jego soli, byłoby to zbrodnią. Trzeba więc czekać wieczora; z zachodem słońca inny dzień się zacznie, wtedy nic już wiązać mnie nie będzie.

Przez całą drogę bacznie przyglądał się Abdallahowi który szedł spokojnie, z podniesioną głową, z pogodą na

czole. Pistolety Beduina nie były nabite, a lanca którą trzymał w dłoni, służyła mu tylko jakby za laskę do podpierania.

„Mięsza miie zaufanie tego człowieka, mówił sobie nieznajomy; pragnę zabić wroga, ale nie mogę przecie zarzynać baranka. Za podobną sprawkę, pięć tysięcy durosów, to za mało; wolałbym już za połowę téj summy, psu Omarowi łeb roztrzaskać.

Kiedy już słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, kupiec wyprzedził Abdallaha, aby nieznacznie broń przygotować, i wsuwając pod burnus uzbrojoną rękę, zatrzymał się mówiąc sobie:

— Baczność! chwila nadeszła.

Gdy się odwrócił, syn Yusufa zbliżył się do niego, powstrzymał wielbłąda za uzdę, i wtykając lancę w ziemię, rozciągnął na ziemi dwa dywaniki:

— Bracie — rzekł do nieznajomego — jestto godzina modlitwy. Kibla przed nami, a choć nie mamy wody do ablucyi, wiesz przecie że Bóg pozwala w takim razie zastąpić ją piaskiem pustyni.

— Nie traćmy czasu—odrzekł tenże—po co mam zatrzymywać się daremnie?

— Czyż nie jesteś muzułmaninem?—zapytał Abdallah patrząc na niego groźnie.

— Jeden jest tylko Bóg, a Mahomet jego prorokiem—odpowie prędko kupiec—ale pobożność tak biédnego jak ja wędrowca, jest nieco prostsza od twojej, szlachetny Beduinie. Ja nie modlę się i o nic nie proszę Boga, bo wiem że Bóg sam zrobi wszystko jak potrzeba; nie rozdaję jałmużny, bo sam ję żebnę; nie zachowuję postu podczas Ramadanu, bo cały rok przymieram głodu; nie odbywam wędrówki, bo w mojem przekonaniu Bóg jest wszędzie obecny, i świat cały jest Jego domem. Oto moja wiara, i żal mi tych co na nią powstają.

— Zdziwiasz mnie, kochany gościu—odrzekł syn Yusufa; inne miałem o tobie wyobrażenie. Czyliż równie jak ja, nie nosisz na ręku amuletu odganiającego poszepty złego ducha? Czyliż nie znasz dwóch zbawczych rozdziałów Koranu?

— I owszem, noszę talizman taki—rzekł podróżny—przed laty dwudziestą, matka moja dała mi go leżąc już na

śmiertelném łożu. Jestto jedyna rzecz którą na świecie całym szanuję i cenię; amulet ten nieraz już odegnał śmierć unoszącą się nad moją głową.

— Czyż zapomniałeś słów które mu tę cudowną moc nadają?

— Nigdy ich nie umiałem—odparł nieznajomy—matka moja sama wybrała odpowiedni ustęp Koranu, ona umiała wiele rzeczy zupełnie obcych dla mnie.

— Słuchaj—rzekł Abdallah uroczystym głosem. W pustyni, w pośród niezmiernych piasków, które lada podmuch wiatru zerwać może, dobrze jest modlitwą zbliżać się ku Temu, w którego mocy śmierć i życie. Bóg skłania ucho swoje ku temu, co Mu korne składa hołdy. Cześć i chwała Tobie, Panie!

I pochylając się ku Mekce, syn Yusufa mówił uroczystym głosem co następuje:

Jutrzenka (1).

W Imie Boga, litościwego i miłosiernego!

Mów: uciekam się pod obronę Pana jutrzeńki.

Strzegąc się złościwości złych stworzeń;

Przypadków i nieszczęść jakie wśród nocy spotykają ludzi;

Złościwości niechętnych nam i zawistnych.

— Pokój tobie—zawołał kupiec—są to słowa które wypisała mi matka moja! I słuchając Abdallaha, założył pistolet za pas.

Syn Yusufa powtarzał dalej słowa Koranu.

Ludzie (2).

W Imie Boga łaskawego i miłosiernego!

Ufność moją pokładam w Panu ludów!

Królu ludów!

W prawdziwym Bogu wszechświata.

Strzegąc się złościwych poszeptów, które szatan niewidomie podsuwa ludziom.

Które do złego podniecają serca ludzi:

Oraz napaści złych duchów i niegodziwych ludzi.

(1) Koran, roz. CXIII.

(2) Koran, roz. CXIV.

— Kto to powiedział? — zawołał nieznajomy — kto może tak czytać w sercach ludzi?

— Bóg — odpowiedział Abdallah — bo On jest panem a my Jego sługami. Jeśli Bóg chce naszej zguby, nogi nasze poprowadzą nas tam, gdzie śmierć znajdziemy; lecz jeśli pragnie nas ocalić, śmierć sama pada u nóg naszych jakby lew zraniony. Bóg wybawił Abrahama z płomieni, Jonasza z głębi morza i z brzucha wieloryba.

— Więc nigdy nie lękasz się śmierci? — zapytał kupiec.

— Nigdy — odrzekł Abdallah. Żadne przezorności nie uchronią nas przed wolą Bożą. Dni życia naszego są policzone, nikt nie zdoła powiększyć ani zmniejszyć ich liczby, a wpośród tych dni jest dwa, w których tylko szalencie może myśleć o unikaniu śmierci: dzień w którym Bóg rozkazał aniołowi śmierci aby nas zabrał sobie, i dzień w którym zakazał mu zbliżać się do nas (1).

— Ależ przecie wolno nam obawiać się tej nieznannej godziny, w której mamy zejść ze świata? — zapytał nieznajomy.

— Nie mamy co się jój lękać, jeśli żyjemy według słowa Bożego — odrzekł syn Yusufa. Matka twoja nie raz zapewne musiała ci mówić to, co zawsze powtarza mi matka moja; jestto przypowieść mędrców: „Nie zapominaj, że w dniu przyjścia twego na świat, wszyscy się cieszyli, tylko ty jeden płakałeś, i żyj tak, iżby gdy ostatnia życia twego wybije godzina i wszyscy w około płakać będą, abys ty jeden nie miał powodu zalewać się łzami. Tak żyjąc, spokojnie spojrzysz śmierci w oczy, o jakiegokolwiek napadnie cię godzinie.”

— O! wy synowie pustyni, dziwni jesteście ludzie — szepnął nieznajomy — słowa wasze są złote, a uczynki ołowiane... I machinalnie przysunął rękę do pistoletu.

— Jesteśmy ludem proroka — odrzekł — i zachowujemy jego naukę. Poznałem cię, Kara-Chitanie, nim jeszcze przestąpiłeś progi mego namiotu. Jesteś moim wrogiem, wszedłeś do mnie pod obcym nazwiskiem, z łatwością więc mogłem raz na zawsze pozbyć się ciebie; ale wszedłeś żądając gościnności, Bóg więc nakazywał mi czuwać nad tobą, i dlatego towarzyszyłem ci sam jeden i bez broni. Jeśli masz

(1) Koran, VII, 32, X, 50, XVI, 63.

złe zamiary, niechaj Bóg mnie od nich strzeże; jeśli chcesz być mi przyjacielem, oto moja ręka.

— Niechaj mnie piekło pochłonie—krzyknął Kara-Chitan—jeślibym podniósł rękę na tego, kto moje oszczędził życie. Podaję ci więc rękę moją, rękę żołnierza który złém za złe, dobrém za dobre płaci.

Ledwie powiedziawszy te słowa, kapitan żałował uniesienia, które mu je poddało. A tom się złapał jak dziecko,—pomyślał sobie! Mamże teraz zwrócić wzięte pięć tysięcy durosów? O nie! Omar jest dość bogatym aby spłacić dług brata. Zresztą wszak dotrzymałem słowa; wywiodłem Abdallaha z namiotu, i jeśli kupcowi nie zbrakło odwagi, piękna Lelia musi być teraz w drodze do Dżeddah. A jeśli nie jest zadowolony, niech przyjdzie upomnieć się o swoje durosy; przyrzekłem kogoś zabić i chętnie dam mu pierwszeństwo. Myśl ta rozśmieszyła szczerze Kara-Chitana.

Po chwili znowu zadumał się głęboko.—„To dziwna—mówił sobie—wyraźnie działam pod wpływem jakiejś nienaturalnej słabości. Któż zechce teraz żądać odemnie jakiejś przysługi? Czyż stałem się starym lwem bez zębów i bez pazurów? Ta piękna kobieta mówiła do mnie tak słodko i łagodnie, ten Beduin zaufał mi tak nieograniczenie, ten głos matki mojej wychodzący jakby z grobu, wszystko to są jakieś niepojęte czary. Przeklęty amulet! on to stał się przyczyną méj zguby!” i mówiąc to zerwał z ręki talizman.

— Kapitanie—rzekł Abdallah—jeśli nie chcesz spotkać się z tą karawaną, którą widać z oddali na drodze do Medyny, to trzeba nam na prawo zagłębić się w pustynię.

— Przeciwnie, dopędzę ją zaraz—odrzekł Kara-Chitan—i nie będę już potrzebował twojej pomocy; na podziękowanie przyjmij odemnie ten talizman. Ani się domyślasz jak wiele mu zawdzięczasz i jak on mnie drogo kosztuje. Bywaj zdrów! a jeśli kiedyś ktoś w obecności twojej nazwie mnie nędznikiem, nie zapominaj żem był twoim gościem i przyjacielem.

I zwracając wielbłąda oddalił się szybko, pozostawiając Abdallaha niewymownie zdziwionego słowami, których znaczenia pojąć nie mógł.

Zostawszy sam, syn Yusufa postanowił przytwierdzić sobie do ręki ów opiekuńczy amulet. Był to mały zwitek

pargaminu okręcony nitką jedwabiu; z jednej jego strony przszyty był kawałek aksamitu, na którym błyszczała jakby złota pszczoła. Abdallah wydał okrzyk radośny; tak jest, oczy go nie mylą, to złoty listek koniczyny: posiadał więc wszystko czego mógł się spodziewać na ziemi, bo czwarty i ostatni listek dyamentowy oczekuje nań w niebie.

Z duszą przepełnioną wdzięcznością upadł twarzą do ziemi, i wzruszonym głosem odmówił *fattah*.

W Imię litościwego i miłosiernego Boga.
Chwała bądź Bogu, Panu i władcy wszechświata,
Który jest nieskończenie dobry i miłosierny.
Panie, Ty jesteś królem i będziesz sędzią naszym w dniu sądu.
Ciebie jednego czcimy i uwielbiamy, i Twojej jedynie przyzywamy opieki i pomocy.

Prowadź nas drogą zbawienia,
Drogą tych, których obsypałeś Twemi dobrodziejstwami,
A nie tych którzy poszli drogą błędu i na Twój gniew zasłużyli.
O Panie i władco aniołów, duchów i ludzi! Amen (1).

Skończywszy modlitwę, Abdallah wesół i swobodny zawrócił się ku domowi. Nowa myśl, która już sama błogiem połała go uszczęśliwieniem, zakiełkowała w jego głowie. Gdzież pewność że listek dyamentowy upadł w rajskim ogrodzie? Czyliż trzy listki będące już w jego posiadaniu, które zbiegły się doń ze wszystkich krańców wszechświata, jakąś siłą atrakcyi nie przywabią odłączonej swój siostrzycy? Czyliż dobrodziejstwo Boże może pozostać niezupełném? I czemużby nowe starania, zupełniejsze jeszcze zaparcie siebie i bezgraniczne posłuszeństwo woli Bożej, nie miało zjednać mu téj najwyższej nagrody, za którą wzdychało szlachetne serce syna Yusufa?

Upojony tém marzeniem, Abdallah szedł prędko zapominając o trudach długiej i nużącej podróży, i dopiero gdy cienie nocy roztoczyły się nad światem, musiał zatrzymać się i wypocząć. Noc była ciemna, księżyc wschodził dopiero nad ranem; obwinąwszy się w burnus, Beduin rzucił się na ziemię u stóp pięknego drzewa i zasnął spokojnie. Jednak myśl ulubiona nie opuszczała go i we śnie; w marzeniu

(1) Koran, r. 1.

senném widział cudowną koniczynę, tylko listki jęj powiększały się a powiększały nieustannie, i nareszcie ludzką przybrały postać. I poznawał w nich Lelię, Hafizę, Halimę i nareszcie biedną Kafur, i wszyscy trzymając się za ręce, utworzyli ową cudowną czterolistną koniczynę, i spoglądając na Abdallaha z niebiańskim uśmiechem, bezmierną otaczali go miłością.—Do jutra! do jutra! ukochani moi!—szeptał przez sen młodzieniec.

„Bóg zachował sobie znajomość dnia i godziny.... Człowiek nie wie co jutro przynieść mu może, nie zna miejsca w którym śmierć ma go zaskoczyć.... Sam tylko Bóg wie i zna wszystko, i nic nie może ukryć się przed Jego okiem (1).

XXVI.

P O W R Ó T.

Syn Yusufa przebudził się nareszcie; księżyc roztaczał jeszcze po piasku bladawe swe światło, ale już wietrzyk porankowy dawał się uczuć w powietrzu. Niecierpliwym podrażnik przyspieszał kroku, i z pierwszym brzaskiem dziennym ujrzał nareszcie w oddali namioty swego pokolenia. Mieszkanie jego było nieco naprzód wysunięte, a w około niego roztaczał się piękny gaj czyli ogród ręką jego zasadzony, w którym Lelia tak lubiła długie przesiadywać godziny.

Na widok swęj wioski i swego ludu, Abdallah zatrzymał się chwilę, aby porozkoszować się uroczym obrazem, jaki przedstawiał się jego oczom. Nocny spokój ustępował pierwszym oznakom budzącego się życia. Tu i owdzie pojawiały się kobiety zmierzające ku studni z dzbankami na głowie; wielbłądy, wyciągając długą swą szyję głośnym krzykiem napełniały powietrze; trzody zamknięte beczaly przyzywając pasterzy. W około namiotu Abdallaha głucho zaległo milczenie; z ogrodu żaden ruch ani najlżejszy nawet szmer słyszeć się nie dawał. „Wuj mój starzeje się, pomyślał Beduin; już teraz niezbędny jestem w namiocie.

(1) Koran XXXI, 34.

Jakaż to będzie radość gdy ich tak wszystkich zejść niespodzianie! Nie dawno jeszcze nie miałem ani pojęcia o tém, że jeden dzień nieobecności długim wiekiem wydawać się może.....

Gdy schodził w dolinę, koń jakiś przebiegł przed nim i uciekł galopem: była to Gołąbka. Zawołał na nią, ale przestraszona, pierwszy raz w życiu nie posłuchała głosu pana, i uciekała ku wiosce.

„Kto wypuścił Gołąbkę i kto ją tak przestraszył? znów nowe jakieś szaleństwo Kafury; że też nie pilnują jęj lepięj.”

Wszedł przez ogród i drzwi zastał otwarte. Na odgłos jego kroków psy wybiegły z namiotu, ale zamiast jak zwykle przylecieć do niego się połaścić, zaczęły wyć przeraźliwie. „Róg jest wielki! zawołał syn Yusufa; nieszczęście jakieś dom mój nawiedziło.”

I w tój chwili śmiertelna boleść ścisnęła jego serce. Chciał iść, kolana ugięły się pod nim, i czarny jakiś obłok zasłonił oczy. Chciał wołać, ale głos zamarł mu w gardle: nareszcie czyniąc nadludzkie wysilenie, zawołał: „Lelio! matko, wuju, Kafur, gdzież jesteście?”

Zadnej odpowiedzi. Dzikie gołębie gruchały na drzew wierzchołkach, pszczoły brzęczały latając z kwiatka na kwiatek, woda szemrała zsuwając się po kamykach, wszystko dokoła tchnęło życiem, sam tylko namiot grobowe zachowywał milczenie.

Abdallah włókł się od krzaku do krzaku, nagle oprzytomniał nieco, krew uderzyła mu do głowy, i chwiejącym krokiem zwrócił się ku namiotowi.

Nie zastał żywej duszy, a porzuwacane i połamane sprzęty, znamionowały przebytą walkę. Zastona od pokoju kobiet była spuszczone, Abdallah pobiegł tam co prędzej i wchodząc potknął się o martwe zwłoki Hafiza.

Stary pasterz leżał na wznak; zęby miał ściśnięte, usta pełne piany, rysy wykrzywione gniewnem uniesieniem. Dłonie jego były zaciśnięte; w prawej trzymał wyszarpany kawałek niebieskiej sukni Lelii, a w lewej jakiś czerwony szmatek, oderwany widać z odzienia napastnika. Dzielnym Hafiz! złoczyńcy nie mieli odwagi uderzyć nań otwarcie, i dlatego zdradziecko ugodzili w plecy, podczas gdy bronił Lelii.

Abdallah padł na kolana przy zwłokach ukochanego wuja i zamknął mu powieki: „Niech Bóg ukaże ci miłosierdzie swoje, i niech będzie tak dobrym dla ciebie, jak ty dobrym byłeś dla nas.”

I powstał ani jednej łzy nie uroniwszy i pewnym krokiem zwrócił się ku wiosce. Ale sił mu zbrakło, na połowie drogi musiał oprzeć się o drzewo: wtedy wziął oba pistolety i wystrzelił z nich jednocześnie.

Na odgłos strzałów wybiegli z namiotów mężczyźni i kobiety i wszyscy otoczyli Abdallaha, który stał błądy i drżący, z obłąkanemi oczyma.

— Aha! jesteście— zawołał— jesteście dzielni Beni-Amerowie! królowie pustyni!... O! bądźcie przekłęci żydowscy synowie, nikczemne serca! niecni tchórze!

I pierwszy raz w życiu gorzko zapłakał.

Zgromadzeni wydali okrzyk wściekłości.

— On oszalał!—zawołał jeden ze starszych—uszanujmy tego, czyja dusza jest z Bogiem. Uspokój się, dziecię moje, rzekł łagodnie biorąc Abdallaha za rękę, i powiedz nam co ci się stało?

— Co mi się stało!—zawołał z rozpaczą młodzian—tęj nocy, podczas mojej nieobecności, zamordowano Hafiza, wydarto mi wszystko com kochał, porwano matkę i żonę. A wy spaliście spokojnie nie wiedząc o niczym. O biada mi! biada! a wam niegodni hańba i przekleństwo!

Po pierwszych zaraz słowach Abdallaha, kobiety pobiegly do jego namiotu, i słyhać już było głośnie ich płacze i krzyki. Szeik smutnie zwiesił głowę.

— Któż mógł przypuścić że trzeba czuwać nad twojemi, skoro zostawali pod opieką brata twego i wuja?

— Mego brata!... to niepodobna.

— Wczoraj wieczorem— odrzekł Beduin—brat twój przybył tu z szczęściem niewolnikami. Odrazu poznałem małego kupca, i nawet pomogłem Hafizowi zabić barana, na wieczerzę dla gości.

Syn Yusufa ukrył twarz w dłoniach, a potem podnosząc wzrok na towarzyszy, rzekł słabym głosem:

— Widzicie jakiej zbrodni brat mój się dopuścił, radcież mi teraz co mam czynić?

— Krótka rada — odrzekł szeik — zemsta za krzywdę! Tyś częścią naszej całości, jakby palcem naszej dłoni... Kto ciebie rani nas rani; kto zagraża twemu życiu, zagraża nam wszystkim. Wprawdzie Omar wyprzedził nas o kilka godzin, ale z pomocą Bożą dopędzimy go, i dziś jeszcze ukarzymy śmiercią.

— A więc siodłajcie konie, dzielni moi towarzysze! i zabierzcie z sobą podwójną rację wody: powietrze ciężkie i duszne, bukłaki prędko wyschną. Ruszajmy!

Przed odjazdem, Abdallah chciał raz jeszcze zobaczyć i pożegnać wuja: kobiety już otoczały zwłoki i głośne zawodziły płacze.

— O mój ojcze! mój jedyny przyjacielu! — wołał syn Yusufa — ty wiesz dlaczego jadę. Spoczywaj spokojnie, drogi cieniu, pomszczę śmierć twoją lub nigdy nie wrócę do tego namiotu!

Beni-Amerowie weszli za Abdallahem do namiotu: szeik długo przyglądał się martwym zwłokom starego Hafiza, i nareszcie podnosząc rękę rzekł uroczystym głosem: „Przekleństwo każdemu z nas, któryby powrócił do swój zagrody nie zemściwszy się na wrogu! Biada, stokroć biada temu, kto poważy się nas znieważać: nim noc zapadnie rzucimy trupa jego na pastwę orłów i szakali! Świat cały przekona się, że Beni-Amerowie jak bracia trzymają się za ręce, i nie pozwalają nikomu sztydzić lub najgrywać się z siebie.”

XXVII.

L E L I A.

Krzycząc: „Zemsta wrogowi!” karawana ruszyła w drogę w pośród narzekań i przekleństw zgromadzonych kobiet, dopiero dostawszy się w pustynię wszyscy umilkli, obejrzel broń i zaczęli rozglądać się w około. Łatwo było poznać w którą stronę udała się karawana, ponieważ wiatr nie zatart jeszcze śladów wielbłądów na piasku: wszystkie zwracały się ku Dzeddah. Abdallah jechał przodem, licząc minuty i przyzywając pomocy Bożej; ale jak daleko zasięgnąć mógł okiem, nigdzie żywej duszy nie dostrzegł na stopie.

Powietrze było nadzwyczaj duszne, niebo czarnemi brzemienne chmurami. Konie zziajane i pianą okryte, szły bardzo wolno; syn Yusufa westchnął, zemsta z rąk mu się wykłada.

Nareszcie dostrzegł w oddali karawanę ukazującą mu się jak czarny punkt na horyzoncie; przeczuwając zbliżającą się burzę, schroniła się pod owe tak dobrze znane Abdallahowi Czerwone skały.

— Naprzód bracia!—zawołał—otóż i oni! Bóg wydaje ich w moc naszą; naprzód! I zapominając znużenia wszyscy galopem pędzili na wroga.

W tych niezmiernych równinach trudno bardzo podejść nieprzyjaciela, jeśli się ma na ostrożności. Postrzegłszy zdała pogoń, Omar postanowił uciekać. Widziano jak szycował wielbłądy, i ustawiał po za nimi przewodników mających niby się bronić, a to w celu opóźnienia napadu Beni-Amerów; poczem wsiadł na koń i z resztą bandy pojął pędzić w pustynię.

Nareszcie Beduini dopędzili wrogów, ale po pierwszych zaraz strzałach wielbłądnicy Omara opuścili stanowisko i uciekli między skały; jeszcze dym danych strzałów nie rozszedł się w powietrzu, gdy kobieta jakaś wybiegła naprzeciw Abdallaha. Była to Halima, która korzystając z nieładu wymknęła się nieprzyjaciółom.

— Bądź błogosławiony—synu mój! zawołała—nie trać chwili czasu; goń za murzynem w czerwonym burnusie: jest to zabójca Hafiza i onto porwał Lelię. Pomścij nas, synu; oko za oko, ząb za ząb, dusza za duszę! śmierć zdrajcom! śmierć mordercom!

Na ten straszny krzyk, Gołąbka, jakby dzielając uczucia miotające duszą jój pana, puściła się w pustynię z szybkością potoku, tak że Beduini zaledwie dojrzeć mogli wyprzedzającego ich dowódcę. Abdallah rozpaczą i wściekłością miotany, zapominał o niebezpieczeństwie: „Podli tchórze! wołał do współników Omara, i gdzież ucieczecie, kiedy gniew Boży was ściga?” i z podniesionym mieczem w ręku, biegł jak błyskawica w pośród gradu kul, z okiem wlepionem w murzyna prowadzącego Lelię.

Wkrótce dwaj nieprzyjaciele wyprzedzili walczących; Etyopijczyk siedzący na wiatronogim wierzchowcu, jak

strzała przesuwiał się w przestrzeni, Gołąbka dościgała go coraz bliżej: nadchodziła godzina zemsty.

Murzyn silnie trzymał Lelię siedzącą przed nim na siodle, a ona passując się z żelazną prawicą nędznika, daremnie usiłowała się wyrwać, i głośnym krzykiem przyzywała ukochanego męża. Wtém nagle pochwyciła za uzdę i szarpnąwszy nią mocno, przestraszyła konia, który zatrzymał się chwilę.

— Przekleństwo! — krzyknął murzyn — zginąłem! puszczaj uzdę, bo mnie na śmierć narażasz.

— Do mnie! do mnie! luby mój! — krzyczała Lelia, i mimo groźb i uderzeń, obiema rękami ciągnęła uzdeczkę, z siłą, jaką sama tylko rozpacz natchnąć zdoła.

Syn Yusufa dopadł nędznika lotem błyskawicy, gdy wtém przestraszona Gołąbka tak nagle odskoczyła na bok, że żaden inny jeździec nie zdołałby utrzymać się na siodle. Coś niebieskiego spadło pod nogi konia, i Abdallah usłyszał jęk, który lodem ściał mu serce.

Abdallah zeskoczył z konia i nie troszcząc się o uciekającego nieprzyjaciela, podniósł nieszczęśliwą Lelię, bladą, krwią zbroczoną i okropnie zmienioną. Z szerokiej rany w piersiach krew pływała strumieniem, oczy stanęły kołem.

— Lelio! kochanko moja! odpowiedz mi, przemów do mnie!... — wołał rozpaczliwie Abdallah, przyciskając ukochaną do serca, i zatykając ranę, którą uchodziły krew i życie. Lelia nic już nie słyszała.

Usiadł na piasku piastując na kolanach drogi swój ciężar, i biorąc rękę Lelii, podniósł w górę jeden jój palec, mówiąc: „Powtarzaj za mną, luba moja: Jeden jest tylko Bóg, a Mahomet Jego prorokiem. Powtórz, powtórz, zaklinam cię! twój mąż, twój Abdallah cię o to błaga!”

Na dźwięk tego imienia, Lelia drgnęła, oczy jój zwróciły się ku ukochanemu, usta otworzyły... lecz było to ostatnie wysilenie i po chwili głowa opadła bezwładnie na ramię Abdallaha, jakby głowa zabitéj łani na ramię unoszącego ją myśliwca.

Gdy nareszcie Beduini dopędzili syna Yusufa, znaleźli go nieruchomie siedzącego na miejscu: trzymał w objęciu martwe zwłoki żony i błędnie wpatrywał się w jój twarz bladą, zdającą się czule do niego uśmiechać. W milczeniu

otoczyli towarzysza: byli to wszystko wojacy zahartowani życiem, a jednak wielu od łez wstrzymać się nie mogło.

Zobaczywszy martwe zwłoki Lelii, z piersi Halimy wydarł się straszliwy krzyk boleści: objęła głowę syna, a po chwili prostując się nagle, zawołała: „Czy jesteśmy pomśczeni? czy Omar poniósł śmierć? czy podły morderca zabity?”

— Czy widzisz te stada kruków unoszące się po nad skałą? — rzecze jeden z Beduinów; tam to ukrył się morderca Hafiza. Omar zdołał zbiedz, ale nie wyjdzie z pustyni: przed godziną jój piasek stanie się jego całunem.

— Słyszysz, synu mój — rzekła Halima — wróg nasz żyje jeszcze; zbierz odwagę, zostaw łzy kobietom, i ruszaj gdzie cię powinność wzywa. My tu zajniemy się pogrzebaniem naszych zmarłych, ty biegnij śmiertelnym ciosem przeszyć pierś zdrajcy. Niech cię Bóg prowadzi!

Słowa te przywołały Abdallaha do przytomności. — Bóg jest wielki! zawołał; masz słuszność, matko moja! Łzy są udziałem kobiet, męczyzna winien się zemścić.

Powstał, oddał matce martwe zwłoki Lelii, i wpatrując się z niewysłowioném uczuciem w jój twarz pokrytą grobową bladością, rzekł wolnym i poważnym głosem:

— Pokój tobie, oblubienico duszy mojej! Pokój tobie, czysty duchu co wróciłeś już na łono Pana! Odbierz przyobiecana ci nagrodę. Bóg nas podwyższa i Bóg nas upokarza; Bóg daje nam życie i Bóg nam śmierć zsyła. Da Bóg, i my nie długo połączym się z tobą... O Boże mój! przebacz jój, przebacz nam!

Wzniósł ręce do nieba, odmówił *fattah*, przesunął ręką po czole, potem pożegnał matkę i wskoczył na konia.

— Gdzie pędzisz? — zapytał go szejik — czyż nie widzisz tej nadchodzącej ognistej chmury? Śmierć już unosi się w téj stronie, zaledwie zdążymy schronić się do Skał Czerwonych.

— Żegnam was, bracia — odrzekł Abdallah — ja już tylko w śmierci znaleźć mogę spokój i pociechę.

XXVIII.

Z E M S T A .

W kilka chwil po rozstaniu się z towarzyszami, Abdallah spostrzegł na swój drodze trupa murzyna. Drapieżne ptaki obsiadły już jego zwłoki, i przeraźliwe wydając krzyki, szarpały ciało, wydziobywały oczy.

„Bóg nienawidzi zdrajców, rzekł do siebie Beduin: Bóg wyda w moc moją syna Mansura”.

Burza olbrzymim zbliżała się krokiem: niebo jakąś mleczną przybrało barwę; słońce martwe tylko rzucało światło zatrute powietrze paliło i zasuszało w gardle: szpik palił kości. Zdawa słychać było jakby odgłos rozhukanego morza; bałwany czerwonego popiołu wylaniały się z piasku i kłębammi wznosząc ku niebu, wyglądały jak olbrzymy z ognistą twarzą i ramieniem z dymu: jak oko dosięgnąć mogło wszędzie nieubłagane zaległo zniszczenie, zaduszający skwar, a chwilami złowróźbne milczenie, groźniejsze jeszcze od wy-cia *simum*.

Gołąbka biegła stępa po tej spieklej, obumarłej ziemi, drząc i robiąc piersiami; pan jęj jechał spokojny jak człowiek który nie zna już ani obawy ani nadziei; nie czuł skwaru ani pragnienia; jedna myśl tylko zawładnęła wszechwładnie jego duszą i ciałem: dopędzić i zgładzić mordercę.

Po godzinie drogi zobaczył konia leżącego na piasku, i zarazem, nieco z oddali, głuche westchnienie doleciało jego uszu. Skreślił konia w tę stronę; na piasku leżał człowiek umierający z pragnienia: gardło jego nie mogło już żadnego wydać głosu. Był to syn Mansura. Oczy wychodziły mu z głowy, usta miał otwarte, drżącemi rękami przyciskał zbolące piersi. Obląkany strasznym cierpieniem nie poznał Abdallaha, nie mogąc przemówić, wskazał palcem wyschłe i spieczone gardło.

— O! dostaniesz wody — rzekł Beduin — nie taką śmiercią winienesz umierać.

Zsiadł z konia, zdjął bukłak wiszący u siodła, i rzuciwszy w dal pistolety i miecz Omara, przechylił skórzane naczynie do ust umierającego. Omar pił długo wodę przy-

wracając mu życie, i przychodząc do siebie poznał Abdallaha.

— Więc to ty wracasz mi życie—szepnął nareszcie—o! poznaję niewyczerpaną dobroć twoją. Jesteś bratem tych co nie mają braci na ziemi, jesteś aniołem, jesteś dobroczynną rosą orzeźwiającą nieszczęśliwych.

— Synu Mansura—odrzekł Beduin—gotuj się na śmierć.

— Przebaczenia! bracie mój—wołał kupiec, któremu niebezpieczeństwo wróciło przytomność—czyż dlatego ocaliłeś mi życie abyś sam śmierć zadał? Przebacz mi, błagam, przebacz w imię wszystkiego co masz najdroższego na ziemi; przebacz mi! w imię tej co nas obu swoim wykarmiła mlekiem.

— Halima cię przekłęta—odrzekł Abdallah—gotuj się na śmierć.

Przerażony groźną postawą Beduina, Omar upadł przed nim na kolana: „Bracie mój—rzekł—przyznaję się do winy; przyznaję że zasłużyłem na gniew twój: lecz jakkolwiek wielką popełniłem zbrodnię, czyliż nie mogę jój czémś okupić? Jeśli chcesz oddam ci cały mój majątek, będziesz najbogatszym w całej Arabii.

— Zamordowałeś Hafiza, zamordowałeś Lelię; musisz umierać!

— Jaktó! Lelia nie żyje!—wykrzyknął syn Mansura zalewając się łzami—o! to niepodobna. Niech krew jój spadnie na głowę mordercy, jam nie winien jój śmierci. Oszczędź mnie, Abdallahu: zlituj się nademną!

— Skończ już—odrzekł syn Yusufa—słowa twoje objają się o moją duszę jak o głąz grobowy. Nie trać czasu, dodał wydobywając miecz; niech Bóg doda ci sił do przetrwania kary jaką na ciebie zsyła.

— Przynajmniej, bracie mój, pozwól mi pomodlić się—rzekł Omar wzruszonym głosem. Nie możesz przecie żądać żeby anioł śmierci uniósł mnie nim przez modlitwę pojednam się z Bogiem.

— Więc módl się—odrzekł Beduin.

Kupiec rozwinął swój turban i rozłożył go na ziemi, potem suknię swoją zarzucił na ramiona, i pochyliwszy głowę czekał śmiertelnego ciosu.

— Bóg jest wielki—szeptał—On jeden potężny i wszechmocny; do Niego należymy i do Niego wracamy. O Boże i Królu! wyzwól mnie od ognia piekielnego w dzień sądu ostatecznego, o Boże i Panie, zmiłuj się nademną!

Abdallah patrzył na niego i płakał. „Tak być musi, tak być musi,” powtarzał sobie, a jednak nie miał siły uderzyć. Nędznik ten był jego bratem; kochał go niegdyś: kochał go dziś jeszcze. Gdy miłość raz weszła do duszy, trzyma się jój jak kula ciała: można ją wyrwać, ale rana pozostanie. Daremnie, chcąc dodać sobie odwagi, syn Jusufa przywodził sobie na pamięć postać zamordowanego wuja i umierającej żony; obrazy te zacierały się niebawem, a w ich miejsce występowały minione dni szczęśliwej młodości. I przypominał sobie jak Halima piastowała ich obu, jak Hafiz sadzał ich sobie na kolanach, i opowiadał swe wojenne przygody; przypominał wspólne smutki i radości, i błogie te wspomnienia osłaniały syna Mansura jakby opiekuńczym puklerzem. Rzecz niepojęta! same nawet ofiary zbrodni jego zdawały się przemawiać w obronie swego mordercy: „To brat twój, i bezbronny, mówił stary Beduin. Nie zabijaj go, to brat twój, wołała Lelia, załamując ręce. Nie! nie! szeptał młody Arab, odpychając ukochane cienie, tak być musi! Kiedy chodzi o ukaranie zbrodni, sprawiedliwość staje się pobożnością.”

Jakkolwiek był pomięszany i trwogą przejęty, jednak przenikliwe oko syna Mansura, dostrzegło wahanie się Abdallaha; to też łzami zalany przywłókł się do kolan swego sędziego.

— O bracie mój!—błagał—niechaj nieprawość twoja nie powiększa mojej. Przypomnij sobie co Abel odpowiedział bratu który odgrażał się na niego: „Jeśli ty mnie uderzysz, ja na ciebie nie podniosę ręki, bo mam w sercu bojaźń Boga, Pana wszechstworzeń (1).” Poznaj, niestety! że szaleństwo moje przewyższa zbrodnię Kaima; masz prawo mnie zabić, ale śmierć moja nie okupi strasznej zbrodni ku której popchnęła mnie namiętność. Bóg przebaczenia i miłości kocha tych co Go naśladowają, i obiecał być miłościwym dla tych co nie zapominają o Nim; bracie, zostaw mi czas

(1) Koran V, 31.

do pokuty. Tych co umieją panować nad gniewem swoim, Bóg obiecał przyjąć do raju swego tak wielkiego jak niebo i ziemia; przebacz mi, abys znalazł miłosierdzie u Pana. Bóg miłuje tych co się rządzą dobrocią (1).

— Powstań — rzekł Abdallah — te słowa cię zbawiły. Zemsta należy do Boga, niech On będzie twoim sędzią; nie zbroszę mój dłoni krwią tego, ktorego matka moja swoją wykarmiła piersią.

— Jeśli porzucisz mnie tu — rzekł Omar, trwożnie oglądając się w około — będzie to okrutniej niż gdybyś mnie zabił.

Za całą odpowiedź Abdallah wskazał mu Gołąbkę: Omar wskoczył na nią natychmiast, i spiąwszy ostrogą puścił się galopem ani razu nie odwracając głowy.

„Dalej! mówił sam do siebie, pędząc wśród tumanów rozhukanych piasków, jeśli ucieknę przed burzą, uniknę przepowiedzianego mi niebezpieczeństwa. Jaki ten Abdallah nierozsądny, żeby tak pozostać w pustyni, sam jeden, bez konia i wody. Niech głupstwo jego ciąży na jego głowie! Zapomnijmy teraz o tych przeklętych Beduinach którzy mi zawsze tylko nieszczęście sprowadzali, i zacznijmy ureszcie żyć dla siebie.”

XXIX.

LISTEK DYAMENTOWY.

Jeśli złemu się powiedzie, mówi sobie w sercu: „Jestem zręczny i przebiegły, a przymioty te rządzą światem”. Sprawiedliwy zaś, przyjmując z poddaniem co bądź go spotka, i wznosząc ręce w niebo mówi: Panie! Ty pozwalasz nam zabłądzić w manowcach życia i sam kierujesz losem naszym. Panie, Tyś mądry i wszechmocny i wszystkiém dobrze rządź (1).

Abdallah zwrócił kroki swoje ku domowi; smutek i rozpacz miały jego sercem. Dusza jego ugięła się pod brzemieniem cierpień, wyrzucił z niej gniew, ale nie mógł

(1) Koran III, 117—130.

wyrwać boleści. Nie miał siły powstrzymać łez strumieniem płynących mu z oczu i wołał z pokorą: „Przebacz mi, Panie! ulituj się nad słabością serca które nie umie poddać się boleści. Prorok powiedział: „oczy dane nam do płaczu, ciało do umartwień”. Chwała Temu co rządzi wszechświatem; oby dał mi siłę do zniesienia boleści którą podobało Mu się zesłać na mnie.”

I z tą modlitwą w ustach szedł wśród tumanów piasku i skwarne go wichru, ale wkrótce utrudzenie i coraz zwiększająca się gorąca duszność, zmusiły go do wytechnienia. Czuł że teraz już nie krew ale ogień płynął w jego żyłach; dziwny jakiś niepokój mieszał mózg jego, przestał być panem swych zmysłów i myśli. Straszne paliło go pragnienie, chwilami ani widział ani słyszał. Nie jednokrotnie zdawało mu się iż widzi w oddali rozkoszne, cieniste ogrody, jeziora cudnym otoczone kwieciami; wietrzyk przesuwiał się po drzewach, źródła wytryskiwały z pośród łąk zieleni. Na ten orzeźwiający widok, Abdallah zbierał ostatki sił i zmierzał ku tym czarującym strefom, i, o straszne złudzenie! zaledwie się zbliżył, ogrody, kwiaty, źródła znikaly bez śladu, i tylko piasek i ogień zostawał dokoła. Bezprzytomny i tchu pozbawiony, Abdallah czuł że zbliżała się ostatnia jego godzina: „Jeden jest tylko Bóg, wołał, a Mahomet Jego Prorokiem.” Widać przeznaczone mi abym tu skończył dni swoje. Panie! przybądź mi na pomoc, dozwól abym nie lękał się śmierci”.

Ukląkł, i wytarłszy twarz i ręce piaskiem pustyni, dobył pałasza i zaczął nim kopać sobie mogiłę.

Wtęże chwili zdało mu się że burza się uspokoiła, bladawe światło jutrzeńki zajaśniało na widnokręgu i niebo rozśloniło się powoli, jak podniesiona zasłona namiotu. Byłoz to nowe złudzenie? któż to wiedzieć może! Abdallah milczał zdjęty podziwem i uwielbieniem.

Przed wzrokiem jego roztaczał się bezmierny ogród, przerzynany tu i owdzie orzeźwiającyymi strumieniami. Drzewa miały pnie złote, liście szmaragdowe, owoce z topazów i rubinów, i swym świetlanym cieniem ocieniały łąki zachwycającym umajone kwieciami. Tu i owdzie, na przepysznych wezgłowiach i dywanach, spoczywali młodzieńcy cudnej urody, przyodziani w jedwabne zielone szaty; na ręku ich błyszczały drogocenne bransolety; spoglądali na siebie

z niewymowną słodyczą, i złotemi czarami pili wodę z niebiańskiej fontanny, bielszą niż mleko, słodsza niż miód, i posiadającą tę cudną moc, że na zawsze gasi pragnienie. Obok młodzieńców siedziały urocze dziewice, z cudnemi czarnemi oczyma i skromném wejrzeniem. Te przejrzyste, z światła powstałe dziewice, nadziemskimi wdziękami zachwycały oczy i porywały serca; twarze ich jaśniały łagodniejszym blaskiem, niż twarz księżycy wyłaniającego się z poza chmury. I w tém królestwie rozkoszy i pokoju wszystkie te szczęśliwe pary rozmawiały z sobą z anielskim uśmiechem, a dzieci obdarzone wiekuiłą młodością, otaczały ich jak perły naszyjnika, trzymając w ręku naczynia piękniejsze od kryształu, w które błogosławionym nalewały ten niewyczerpany, nigdy nie upajający napój, którego smak jest miłszym niżli woń gwoździka.

W oddali dawał się słyszeć głos anioła Izrafiła, tego najpierwszego śpiewaka raju; zachwycający śpiew hurysk jednoczył się z cudownym śpiewem anioła, i same nawet drzewa, dźwięcznie poruszając liśmi, opiewały chwałę Pana, tak uroczo i harmonijnie, że nawet wyobraźnia poety nie podobnego wymarzyć sobie nie może.

Gdy Abdallah w niemém zachwyceniu uwielbiał te wszystkie cuda, anioł zstąpił ku niemu: nie był to straszny Azrael, ale piękny i dobry Gabryel, posłannik i zwiastun łask niebieskich. Trzymał w ręku listek dyamentowy: listek ten był bardzo drobny, a jednak tak wielki blask rozaczał iż całą rozjaśnił pustynię.

Syn Yusufa, niewysłowioném upojony zachwyceniem, pobiegł naprzeciw anioła, ale wkrótce zatrzymał się przerażony, bo pod stopami jego roztworzyła się niezgłębiona otchłań, pełna płomieni i dymu. Chcąc przebyć tę przepaść dzielącą niebo od ziemi, trzeba było przejść niezmierzonej długości arkadę, utworzoną z blaszki stalowej cieńszej jak włos, ostrzejszej niż ostrze szpady.

Rozpacz zaczęła ogarniać Beduina, gdy wtém uczuł że go popycha i wspiera jakaś niewidzialna siła: Hafiz i Lelia stali przy nim. Nie widział ich wprawdzie, bo nie śmiał odwrócić głowy aby się z rozkosznego nie zbudzić marzenia, ale czuł ich obecność, słyszał wymawiane przez nich słodkie słowa zachęty; oboje wspierali go niewidzialnie i unosili

z sobą. „W Imie łaskawego i miłosiernego Boga!” zawołał Abdallah: słowa te są kluczem do rajy; zaledwie je wymówił przeleciał na drugą stronę mostu, jakby wiatr lub błyskawica.

Stojący tu anioł, podał mu tajemniczy listek, który młodzian pochwycił z zapalem. Posiadł więc nareszcie czterolistną koniczynę, i w téjże chwili opuściły go wszelkie pragnienia i żądze, rozdarła się cielesna zasłona, wybiła nareszcie godzina nagrody. Anioł zwrócił wzrok w głąb ogrodu, gdzie wznosił się tron Najwyższego; oczy Abdallaha skierowały się w tę samą stronę, i jedna iskierka wiekuistej światłości, spadła na twarz jego. Na ten blask olśniewający którego żadne oko znieść nie zdoła, Abdallah padł twarzą na ziemię, a z piersi jego wydarł się krzyk niewysłowny.

Krzyku tego nigdy żadne ludzkie nie słyszało ucho, nigdy nie powtórzył go głos człowieka. Radość rozbitka wydartego rozhukanym falom; upojenie oblubieńca który po raz pierwszy ukochaną przyciska do serca; radość matki odzyskującej opłakiwanego syna: słowem, wszelkie rozkosze ziemskie, są tylko żalobą i boleścią, obok tego okrzyku szczęścia, jaki wydała dusza Abdallaha.

Na odgłos ten, powtórzony przez odległe echa, ziemia przyoblekła piękną szatę dni swój niewinności i w rajskie przystroić się kwiaty, a niebo jaśniejące błękitem szafiru, łagodnie uśmiechało się do niój; potem powoli milczenie roztoczyło się dokoła, dzień zapadł i znowu uragan zawładnął pustynią.

XXX.

SZCZĘŚCIE OMARA.

Omar wrócił do domu z radością człowieka co zdołał uniknąć śmierci, na którą był skazany. Zamknął się samotnie aby zupełnie przyjść do siebie; nasycił się widokiem swych skarbów, przegarniał rękami złoto; bo wszakże ono było jego życiem i potęgą: nad wszystko kochał i cenił to bogactwo swoje pozwalające mu poniżać i pogardzać ludźmi.

Jednak szczęście to nie było zupełnem, bo na jego niebie przesuwała się jeszcze nie jedna chmurka niebezpie-

czeństwa. Może Abdallah wróci na pustynię i pożałuje swój pobłażliwości? a jeśli umarł kto więc czy nie znajdzie mściciela? Może i szeryf uzna się obrażonym? może pasza zbyt drogo każe opłacić swe poparcie? Powoli jednak syn Mansura odgnał te natrętne myśli. „Na cóż mam kłopotać się przyszłością, mówił sobie; dzięki mój przebiegłości minęło już największe niebezpieczeństwo; czyż zbraknie mi nowych pomysłów? pozbyłem się moich największych wrogów, miał-żebym nie podolać pozostałym? Życie nasze to skarb zmniejszający się co dzień, szaleństwem byłoby marnować je na czeze niespokojności i urojone mrzonki. Ach! jakże to trudno być doskonale szczęśliwym na tej ziemi!”

Obok powyższych, dających się wyrozumować, powstawały jeszcze w duszy Omara inne, dziwne mu bardzo niepokoje. Mimowoli nieustannie stawał mu przed oczami trup starego Hafiza, którego kazał zamordować, urocza postać prześliczną Lelii, której śmierci stał się przyczyną, i obraz brata umierającego na pustyni, jako ofiara najwznieślijszego poświęcenia i zaparcia siebie.

„Otóż takie to niedorzeczne urojenia są powodem że broda nasza siwieje przed czasem, myślał sobie syn Mansura. Co za dzieciństwo kłopotać się podobnemi drobnostkami! czyż mogłem zmienić wyroki przeznaczenia? Jeśli stary Hafiz nie żyje, to dlatego, że już spełnił dni swoje. Co zaś do Abdallaha, od chwili narodzenia śmierć jego została zapisana w księdze przeznaczeń. I czemuż miałbym się niepokoić? wszakże mam pieniądze, kupuję sumienia innych, kupię i spokój własnego serca”.

Lecz pomimo tych pięknych rozumowań, dusza Omara była jak wzburzone morze, co nie mogąc uspokoić rozhukanych bałwanów, pianę i męty wyrzuca na brzegi. „Trochę cierpliwości, mówił sobie, wszystko co doświadczam są to tylko pozostałe jeszcze ostatki przestrawu i wzruszenia; głupcy zwą to wyrzutami sumienia, w rzeczywistości jest to po prostu gorączka i znużenie, z których potrafię się wyleczyć. Mam w lochu wino Chiraz, w którym już nie raz znalazłem pociechę, więc i teraz w niem szukać będę spokoju i zapomnienia!”

Przeszedł do haremu i kazał przyzwać niewolnicę, której śpiewu słuchać lubił. Była to heretyczka, której wino

nie przerażało bynajmniej, i z szatańskim wdziękiem napełniała czarę tą trucizną wyklętą przez prawdziwych mużłmanów.

— Jakżeś blady i zmieniony, panie mój!—rzekła ujrawszy Omara.

— To podróż tak mnie znużyła—odpowiedział. Naléj mi wina i zaśpiewaj jedną z tych rodzimych piosenek twoich, co odganiają kłopoty i rozweselają serce.

Niewolnica przyniosła dwie kryształowe, złotem nabijane czary, i napełniła je płynem żółtym jak słońca i przezroczystym jak ambra; następnie wzięła tamboryno w które uderzała ręką i łokciem lub umosiła po nad głową, i zaczęła śpiewać jedną z wonnych pieśni Słowika Chirazu (1).

Dziewczę! lej wino w puhary
I obnoś je dookoła:
Przed tą kroplą znikną mary,
Boleść z serca, smutek z ozoła.

Gdy wiek późne lata liczy,
Sen nie przyjdzie w nocne cienia;
Top w płomieniach tej słodczy,
Twoje nudy i wspomnienia.

Precz zgrzybialcy! jak dziecina
Za młodością łyż ronicie;
W złocie wina, w różach wina
Oto wiosna! oto życie!

Śpiew uleciał z sadów, z jarów,
Słowik z naszych gajów znika;
Pijmy! a brzęk tych puharów,
To najmiłszy głos słowika.

Niech się los z głupcami brata,
Łotrom sypie z szcudrej ręki;
Co nam dadzą skarby świata?
Tylko wino i piosenki.

Co noc we śnie staje mile
Niewdzięczna! zradne złudzenie!
O wino! na szczęścia chwile
Daj miłość i zapomnienie.

(1) Pieśń ta Hafiza przełożona jest na francuzki język przez sławnego Wiliama Jones w powieści jego *Histoire de Nader Chah*. Londyn, 1770, str. 268.

— O tak, tak! zapomnienie! zapomnienie!—krzyczał syn Mansura— sam nie wiem co się ze mną dzieje, ale zamiast rozweselać, dziś wino to smutek nieci w mojej duszy. Uderzaj mocniej w tamborino, śpiewaj głośniej, odurz mnie wrzawą, upój winem, npój szalem.

Piękna Persanka zaczęła śpiewać głośniej i silniej uderzać w tamborino.

„Hafiziel ty będziesz w grobie,
Pijesz szalę i truciznę!”
Mędracy! wy trzymajcie sobie
Wasze złoto i siwiznę.

Klątwa na mą głowę godzi.
A dla mnie—niech wino tryska,
Tylko wino uśmiech rodzi:
Tylko wino łzy wyciska.

— Przekleństwo tobie!—krzyknął Omar odgrażając się i zerwał się przerażony. Jakież to wymieniłaś nazwisko? czyliż umarli mogą gościć na świecie i aż tu przychodzi mi się urągać! czyliż pozbywszy się wrogów, nie potrafię strasznych odpędzić widziadeł? Precz odemnie płonne mary! precz złowrogie wspomnienia! pomimo i wbrew wszystkiemu śmiać się będę i będę szczęśliwy!

Lecz ledwie wypowiedziawszy te słowa, wydał straszny krzyk przerażenia. Kafur stała przed nim.

— Zkąd się wzięłaś, córko szatana! i po coś tu przyszła?

— Czyż wiem dlaczego niewolnicy twoi porwali mnie i do twego przywiedli haremu?

— Idź precz! nie chcę cię widzieć!

— Nie pójdę, dopokąd nie oddasz mi mojej pani; należę do Lelii i chcę jęj usługiwać.

— Lelia nie potrzebuje już twoich usług.

— Czemu?

— Czemu? czemu?—odparł syn Mansura urywanym głosem—dowiesz się później... Lelia jest w pustyni... idź jęj tam szukaj.

— Nie pójdę—odrzekła—chcę się widzieć z Abdal-
lahem.

— Abdallaha tu niema.

— Nie wierzę! widziałam jego konia.

— Niewolnicy moi go tu przyprowadzili.

— Nieprawda! zanim porwali mnie twoi siepacze, już pierwój zdjąłem pęta Gołębce, i szczęśliwsza odemnie, uciekła swobodna. Skoro więc jest tutaj, to i Abdallah być tu musi; a jeśli go nie ma, to cóż zrobisz z bratem twoim?

— Precz nędznic!—krzyczał bezprzytomnie Omar— jak śmiesz mnie badać! Lękaj się mojego gniewu, mogę kazać na śmierć zasiekać cię różgami..... Gdy to mówił oczy jego zdradzały jakby obłąkanie.

— I czemuż tak mi się odgrążasz—rzekła łagodnie Kafur—choć jestem tylko biedną niewolnicą, jednak mogę być ci użyteczną. Panie mój, twarz twoja zdradza jakieś tajemne cierpienie, ja mogę je ukoić. Choćby nie wiedzieć jakie udrczenie, choćby nawet wyrzuty sumienia szarpały duszę twoją, ja mogę cię od nich uwolnić.

— Co!—rzekł Omar z szyderskiem niedowierzaniem— ty! ty! miałabyś podobną posiadać władzę? I zaczął wpatrywać się w murzynkę—nie spuściła oczu. A! kto wie, dodał po chwili; czarni z Magrebu są to wszystko dzieci szatana, może więc posiadają tajemnicę ojca swego. No, więc przyznaję żeś odgadła prawdę; znoszę ciężkie udrczenie: jeśli mnie od niego uwolnisz, osypię cię złotem.

— Każ ze składu twego przynieść indyjskich konopi, (*haszisz*) odrzekła, a przyrządę napój, który ci wróci spokój i wesołość.

—Dobrze więc— odrzekł Omar— spuszczam się na ciebie; wiesz żeś bogaty i umiem być hojnym; dziś jesteś biedną niewolnicą, jeśli mnie uleczysz wynagrodzę cię wspaniale. Rób co chcesz, byłem tylko mógł używać życia.

Przyniesiono liście konopi, Kafur położyła je przed Omarem, który chciwem okiem śledził jój ruchy. Najpierw w trzech wodach wymyła liście, a potem rozkruszała je w rękę, wymawiając jekieś niezrozumiałe słowa; następnie domieszała korzeni, utarła w moździerzu i rozrobiła mlekiem.

—Oto masz napój dający spokój i zapomnienie: pij go więc bez trwogi.

Omar wypił, i zaraz uczuł że mu się lżej zrobiło w sercu i w głowie. Oczy jego otwierały się bezmiernie,

zmysły stały się dziwnie czułe i wrażliwe, ale szczególna rzecz, zdało się że stracił własną wolę i ślepo podlegał woli Kafur. Jeśli śpiewała, on powtarzał jej piosenkę; jeśli się zaśmiała, wybuchał śmiechem; płakał gdy smutną przybrała minę; gdy mu pogroziła, drżał z przestachu.

Widząc że go trzyma w swęj mocy, postanowiła wyrzucić mu jego tajemnicę.

— Więc jesteś zadowolniony — rzekła, zmuszając się do uśmiechu — zemściłeś się na nieprzyjaciółach twoich?

— O i bardzo! — odrzekł śmiejąc się Omar — tak, zemściłem się przecie: piękna Lelia nie kocha już swego Beduina.

— Więc nie żyje! — rzekła Kafur drżącym głosem.

— Nie żyje — odrzekł z płaczem — ale to nie ja, to niewolnik mój ją zabił. Szkoda! szkoda! biędna kobieta!... takby jej dobrze było w moim haremie.

— Więc już nie boisz się Abdallaha?

— Nie boję się, nie — odrzekł — zostawiłem go wśród stepu; zawierucha szalała wściekle, piaski pustyni zasypały go niezawodnie.

— Więc może i on nie żyje! — rozpaczliwie krzyknęła Kafur, drąc na sobie odzież.

— Cóż robić — odrzekł płaczliwie Omar — tak mu było przeznaczone. Przepowiedziano mi w dzieciństwie że najlepszy mój przyjaciel będzie moim największym wrogiem... Umarli zawsze nas kochają i nikomu nie robią nic złego.

— Jakże mogłeś się lękać jakiegoś przyjaciela, ty coś nigdy nie kochał nikogo! — odrzekła. Słuchaj — zawołała, jakby nagłą uderzona myślą — czy chcesz abym ci wskazała wroga który cię zabije?

— Nie chcę, nie chcę! — rzekł Omar, drząc jak dziecko przed różgą. Nie martw mnie, ale raczej baw i rozrywaj!

— Patrz — zawołała, stawiając przed nim lustro — patrz! Oto zabójca Hafiza! oto morderca Lelii! oto bratobójca! oto podlec i nizezemnik który nigdy już nie zazna spokoju. Nędzny samolubie! całe życie siebie tylko kochałeś; to szatańskie samolubstwo zgubiło ciebie, to szatańskie samolubstwo stanie się sprawcą twęj śmierci.

Omar przeraził się swęj wykrzywionęj twarzy i błędnych oczu odbitych w zwierciadle; światło zaświtało w jego duszy; wzdrynął się sam na siebie, i zaczął rozpaczliwie

szarpać brodę. Po chwili wstyd i upokorzenie wróciły mu przytomność, obejrzał się w około, i widząc że Kafur jest panią jego tajemnicy, wściekłym uniósł się gniewem.

— Aha! potępieńcze! — krzyknął! — ukarzę twój zuchwały podstęp, pójdiesz za pięknym Abdallahem.

I chciał się porwać na nią, ale zawrót głowy nie opuścił go jeszcze; upadając zawadził nogą o gerydon, przewrócił go wraz z lampą, ogień zajął jego odzież, i w jednej chwili płomień objął go całkiem.

— Umieraj podły morderco — zawołała Kafur; kończ jak pies: Abdallah jest pomszczony!

Usłyszano w haremie straszny krzyk Mansura, i po chwili słychać było kroki nadchodzących; wtedy Kafur wstąpiła nogą na twarz Mansura i przeskakując lekko, wybiegła wchodowemi drzwiami.

XXXI.

D W Ó C H P R Z Y J A C I Ó Ł .

Rozruch zrobił się w domu; wszyscy zajęli się pożarem zagrażającym Mansurowi, z czego korzystając Kafur osiodłała Gołąbkę, wzięła zapas wody i żywności, i wsiadłszy na koń przebiegała w pędzie wązkie ulice Dżeddah. Noc była czarna, burza srożyła się w oddali.

Biędne dziewczę głaskało wierzchowca, i przemawiało doń jak do człowieka.

— Gołąbko ukochana! — mówiła — zawieź mnie do pana twego, połączmy usiłowania nasze i ocalmy go. On ciebie tak kochał, tak czułe miał o tobie staranie, pomóż mi go odszukać. Dzięki tobie powrócę go kochającej matce, będę go pocieszać i płakać z nim razem nad skonem Lellii. O! zrób to dla mnie, Gołąbko, a całą duszą kochać cię będę!... I uściśkała wierzchowca, i pochylając się na jego szyję, wolno puściła lejce. Koń poleciał jak strzała, zdało się że jakaś niewidzialna ręka wskazuje mu drogę. Kiedy równo ze świtem, przeleciał obok stanowiska Arnautów, przerażony żołnierz stojący na placówce dał ognia ze strachu, bo zdało mu

się że to sam szatan pędzi na białym wierzchowcu, tak bystrym jak orzeł spadający z obłoków.

I tak piękna Gołąbka pędziła jak wiatr, nie jedząc i nie pijąc; dziwny jakiś instynkt popychał ją ku swemu panu, bo nie trzymając się drogi, biegła prosto ku niemu, przez skały, pagórki, łożyska strumieni, rozpadliny piasku: widać sam Bóg nią kierował.

Około południa, Kafur zdaleka postrzegła Abdallaha; klęczał w postawie gorąco zamodlonego człowieka. „Panie mój! panie! wołała zdaleka, otóż jestem.”

Ani wołanie dziewczęcia, ani odgłos stąpań Gołąbki nie przerwały zachwycenia Abdallaha; wierzchowiec stanął: on ani się poruszył. Kafur cała drżąca pobiegła ku niemu. Zdawał się jakby uśpiony, twarz jego promieniała niebiańskim zachwytem, anielski uśmiech osiadł na ustach, i ani ślad przebytych boleści nie pozostał na licu.

— Panie! panie mój drogi—wołała biedna niewolnica drżącemi ramionami obejmując Abdallaha—przebudź się, przyjdź do siebie... Nie odpowiedział, zimny był i martwy; życie opuściło śmiertelną powłokę: duch stworzony dla nieba uleciał do Boga....

— Abdallahu—krzyknęła Kafur, przyciskając się do niego i okrywając pocałunkami—Abdallahu! ja cię kochałam! I wraz z temi słowami życie uleciało z jęj piersi.

Gołąbka długo niespokojnie poglądała na oboje; nie jednokrotnie ocierała się o Kafur, rozpalonemi nozdrzami przesuwając po jęj twarzy; potem położyła się przy nich, zaryła głowę w piasek i wlepiwszy wzrok w dwoje przyjaciół, czekała tak chwili przebudzenia tych co już wiecznym snem zasnęli.

XXXII.

ZAKOŃCZENIE.

Opowiedziałem wam, kończył Ben-Ahmed, dzieje studni Błogosławieństwa, znane wszystkim przeciągającym tędy karawanom: jestto historia prawdziwa, dotąd jeszcze żyją naoczni jęj świadkowie.

Może kto z was zna przypadkiem syna Mansura; pokazywano mi go kiedy ostatni raz byłem w Dzeddah. Jest to chudy i poźółkły starzec z długą białą brodą, mocno ogorzałą twarzą i zapadłemi oczami; mówią że jest bogatszy od samego sułtana. Potrzebujący go bogacze kłaniają mu się i pochlebiają, biędni nim gardzą, i nie jeden żebrak rzucił mu w twarz podawaną jałmużnę, nazywając go Kainem.

I mówią że pogarda ta znośniejsza mu niż pochlebstwa. Słowa jego są zawsze cierpką napiętnowane goryczą, jest okrutny i gwałtowny. Żony go nie kochają, niewolnicy oszukują; nienawiść i pogarda przesycają powietrze którém oddycha. Przez pychę nigdy się nie skarży, ale powiadają że sen ucieka od niego, i że całe noce pali opium lub indyjskie konopie. Życie mu obmierzło, a lęka się śmierci.

— Żebym tylko tego psiego syna spotkał na mojej drodze, roztrzaskałbym mu łeb moim pistoletem—ozwał się młody jeden wielbłądnik.

— Milcz chłopcze!—odrzekł stary przewodnik—Omar jest muzułmaninem a ty nie pochodzisz z pokolenia Beni-Amerów—nie masz więc prawa wymierzać nań kary. Bóg sam najlepiej wie co robi; może właśnie życie jest najsroźszą dla Omara karą.

— Niech przeklętym będzie zdrajca i bratobójca!—zawołał Ben-Ahmed; a my wszyscy powtórzyliśmy chórem: „Niech będzie przeklęty!

— Przypominam sobie—odezwał się stary wielbłądnik—że widziałem tu matkę Abdallaha. Gdy napoiła nasze wielbłądy, pokazywała nam z dumą mały zakątek ziemi, ogrodzony kamieniami broniącemi dostępu szakalom; tamto dzieci jój oczekiwały dnia zmartwychwstania. Mogiłę tę cały rok śliczne zdobiły kwiaty; różnobarwne pnącze mieszając się z kępami jaśminu, tworzyły piękne festony, i balsamiczną wonią napełniały powietrze. Dziś ogród w obce przeszedł ręce, mogiły ani śladu nie ma, ale nazwisko syna Yusufa, żyje w pamięci ziomków. Biędna Halima! zdaje mi się że jeszcze słyszę ją opowiadającą nam, że ciała Abdallaha i Kafury tak mocnym z sobą były złączone uściskiem, że niepodobna było ich rozdzielić, i dlatego w jednej pogrzebano je trumnie, w jednej wspólnój złożono mogile. Dziwna rzecz! drapieżne zwierzęta rózszarpały konia, a ani jeden

ptak nie usiadł we dnie na zwłokach Abdallaha, ani jeden szakal nie naruszył w nocy zwłok biédnej murzynki.

— Tak to—mówił dalej starzec—umiéra sprawiedliwy; zazwyczaj dusze szlachetne nie długo goszczą na ziemi: Bóg oszczędza im ciężkich prób i nędz tego padofu płaczu. Najlepsze owoce najpiérwsze opadają; złe zaś pozostają na drzewie i usychają nie dojrzwawszy, aby łącznie z wyschłém drzewem zostały rzucone w ogień.

Jutrzenka zaskoczyła nas w pośród téj pogadanki; trzeba było w dalszą puścić się drogę. Powyjmowano drągi i koły, odjęto sznury, zwinięto namioty, każdy gotował się do drogi, ale wszyscy myśleliśmy tylko o Beduinie. Nikt z nas go nie znał, a jednak wszyscy żałowaliśmy go jak brata. Gdy już karawana się uszykowała, stary przewodnik dał znak do odjazdu; ale przed ruszeniem z miejsca chciał jeszcze odmówić *fattah* na cześć syna Yusufa; każdy z nas poszedł za jego przykładem, każdy pomodlił się zań po swojemu, i oddaliśmy się w poważném milczeniu, zdjęci poszanowaniem i uwielbieniem dla tego człowieka, którego mogiły nawet ani śladu nie zostało.

— Syn Yusufa—rzekł starzec—sprawiedliwie nazwany był Abdallahem, bo był to prawdziwy, wierny sługa Boży (1).

XXXIII.

E P I L O G .

Tak tedy zakończył swe opowiadanie, pokorny niewolnik Boga, zawsze posłuszny świętej Jego woli, Mohammed, syn Haddada, potomek szlachetnego plemienia Beni-Malik. Nie liczy bynajmniej na to że ta opowieść jego podoba się wykwinntnisiom; chwałę tę pozostawia on bawiącym się niezaniem peret na sznurek oraz sztukmistrzom Kairu i Teheranu; dość dla niego, jeśli choć chwilowym uśmiechem rozjaśnił twarz zwykle załaną łzami, lub choć jedną zrosił łezką lica zawsze ożywione śmiechem.... Dziwny człowiek! niech Bóg przebaczy mu jego szaleństwo! Kto wie, może w obli-

(1) Abdallah, znaczy sługa Boży.

czu Tego, dla którego wszelka mądrość ludzka jest niczem, może w dniu sądu ostatecznego, większe znajdzie uznanie bajka budząca w duszach błogą pociechę, niż prawda co je zabija lub mrozi. Oby w tój strasznej godzinie, kiedy każdemu z nas przyjdzie zdać rachunek ze słów swoich, te rojenia marzyciela nie przeważyły szali: oto jedyna nadzieja, jedyne pragnienie Haddada.

A jeśli jaki zły człowiek obrazi się tą opowieścią i upatrzy w niej jakąś do siebie alluzją, niech ją połknie z chlebem swoim; opowiadacz bynajmniej się tём nie troszczy i nie kłopotce, albowiem nie mówi on dla synów Faraona. Mohamet już stary i wie czego się ma trzymać. Od czasu jak żyje na świecie patrzył na powodzenie nie jednego Omara, widział że nie jeden Abdallah przeboleł wiele i przedwcześnie zszedł ze świata, ale dusza jego nie zachwiała się i nie upadła, bo ufność swoją złożył w Panu. Bóg zaprawia goryczą największe rozkosze samolubów, Bóg łagodzi i osładza tajemną pociechą cierpienia serc kochających; Bóg wiekuistą chwałą wynagradza sprawiedliwemu ziemskie jego niepowodzenia, a piętnuje hańbą i wzdardą tryumf bezbożnika. On daje spokój, On jest panem życia i śmierci; On jest Przedwieczny! On Mądry! On Wszechpotężny! Łaskawy! Miłosierny! Jedyny!

CHWAŁA BĄDŹ BOGU!

J. B.

POZYTYWIZM,

JEGO METODA I NASTĘPSTWA (*).

PRZEZ

Kazimierza Kaszewskiego.

pozytywizm tak dawno uprawiany zagranicą, był do niedawna zupełną zagadką dla naszego ogółu. Oprócz wyjątkowo obeznanych z biegiem spraw naukowych, nikt znaczenia nawet tej nazwy nie pojmował. Pierwszy raz dopiero w literaturze naszej, pod piórem p. Fr. Krupińskiego (Bibl. Warsz. tom III, z r. 1868), ukazała się jego historia i dogmatyka. Dziś, dzięki tej monografii, nie tylko adepci nauki ale i ogół nasz niewtajemniczony, może już, jeżeli zechce, dowiedzieć się co jest pozytywizm. Nasza prasa peryodyczna nie zwróciła dotąd uwagi na tę pracę pisarza, który niejednokrotnie już odznaczył się gruntowną znajomością w rzeczach nowoczesnej filozofii; rozprawa jednak jego o *szkole pozytywnej* ma dla nas podwójne znaczenie: raz jako sumienne a pracowite streszczenie istoty samej doktryny pozytywnej, powtórę jako sąd własny autora o jej stosunku do innych doktryn.

Zabierając po nim głos w tym przedmiocie, tém samym dajemy niejako poznać, że nie uważamy pod tym względem kwestyi przezeń co do pozytywizmu za wyczerpaną; każda bowiem kwestya, a cóż dopiero tak ważna i wielostronna, z różnych punktów spostrzegana być może. W każdym razie jednak uwolnieni je-

(1) Porównaj: *Principes de Philosophie positive par Auguste Comte avec préface d'un disciple*, par E. Littré;—*Revue Positive* z r. 1867;—*M. Auguste Comte et M. Stuart Mill*, p. Littré;—*Matérialisme et Spiritualisme*, p. Leblais, z przedmową Littrego; *Crise philosophique*, p. Paul Janet;—*Le Matérialisme et la Science* p. E. Caro; *Szkoła Pozytywna* p. F. Krupińskiego; na które to dzieła niniejszy artykuł się powołuje.

steśmy od określenia treści pozytywizmu, który w pracy powyższej znalazła ze wszech miar wystarczające przedstawienie i do niej też czytelników naszych odsyłamy; tu w ogólne określenia wdając się tyle tylko, ile potrzeba do uzasadnienia zdań jakie o dążnościach pozytywizmu przedstawić zamierzamy.

I tak, sam ten wyraz: *pozytywizm* i jego pochodne, potrzebują pewnego objaśnienia. To co ta łacińska nazwa określa, wyraża pewną ścisłość, stanowczość, coś takiego, czemu wobec przedstawionych dowodów i argumentów zaprzeczyć niepodobna, co nie zawiera w sobie nic improwizowanego, opartego na chwiejącym się domyśle lub przypuszczeniu. Oczywiście tedy pozytywizm jest wyrazem *metody*, która może być zastosowaną do każdej szczegółowo wziętej gałęzi umiejętności, do wszystkiego co jest przedmiotem badania: dalej użytym być on może jako narzędzie do skupienia i zharmonizowania wszystkich umiejętności, i wtedy staje się *systematem*.

Cóż może być pożądanego nad ścisłość w metodzie, inną nawet być metoda nie może, jeśli mamy ją brać na seryo. Cóżby to była za metoda, coby przez szpary patrzyła na to czy dowód ma za sobą powagę słuszności, lub też jest tylko złudzeniem albo urojeniem; takie jednak metody nie są bez przykładu w dziejach umiejętności. Wszakżeż z drugiej strony, ścisłość była zawsze pożądaną, poszukiwaną, i nawet warunki jej starano się określać. Przypomnijmy tu tylko przepis Dekarta z jego *Discours sur la Méthode* zawarty w czterech prawidłach: 1) nie uznawać żadnej rzeczy za pewną, dopóki się o jej prawdziwości jawnie nie przekonamy; 2) każdą z trudności podlegających rozstrzygnięciu dzielić na tyle części ile tylko można i wypada, aby ją łatwiej rozwiązać; 3) prowadzić myśli swe porządkiem, zaczynając od rzeczy najprostszych i wznosząc się stopniowo i zwolna do coraz bardziej złożonych; 4) czynić wszędzie rozdziały tak zupełne i przeglądy tak wszechstronne, aby być pewnym że się nic nie opuściło.

Zdaje się, że pierwsze prawidło, choć bardzo ogólnie wyrażone, mieści główny przymiot metody, to jest: ażeby wywód oparty był na dowodzie niezbitym; tego też ściśle trzyma się pozytywizm, w żądaniu dowodów jest nieubлагanym, i przez to jako metoda ma wartość niesłychaną, pełną przyszłości i prawdziwego postępu ziarna. Tylko że co do tego nie jest on wcale metodą nową, odkryciem czasów dzisiejszych, zjawiskiem. Praktykował go już Arystoteles, ów wielki twórca syllogizmu; Bacon w metodzie swiej wołał o też ścisłość; Dekart, jak widzieliśmy, nakreślił jej warunki, choć ich sam nie wszędzie dotrzymał, a nawet w sławnym swym axiomicie. Gdyby się był trzymał ściśle swego czwartego przykazania, nie powiedziałby: *myślę więc jestem*, ale pilnując iżby *przegląd był wszechstronnym*, dodałby: *czuję więc jestem, chcę więc jestem*: przez co jego psychologia byłaby dokładniejszą. Cóż dopiero mówić o zastosowaniu pierwszego a głównego prawidła do jego metafizyki: ta co chwila z niem się rozmija.

Pozytywizm tedy, jako ścisłość metodyczna, w zasadzie znany był dawno i nawet w części praktykowanym; dopiero całkowite odstępianie odeń przez ostatnią filozofię niemiecką dokonywane, a ztąd powstające systematy sztuczne, oparte na takich mrzonkach jak *ich gleich nicht ich*, wyłuszczone trudnym do opisania żargonem, do którego rozsądny człowiek przyznałby się nie mógł, zbudziły większą czujność zwolenników ścisłości i prawdy; wtedy pozytywizm stał się poniekąd naukowym sztandarem, pod który schronili się wszyscy poszukujący rezultatów opartych na niezłomnej prawdzie, unikający wywodu którego dane byłyby wątpliwymi w jakim bądź, choćby najdrobniejszym szczególe. Ta ścisłość pozytywistyczna da się zarówno zastosować do nauk tak zwanych ścisłych, jako i do humaniorów: jak chemik, tak i historyk, to tylko uznać mają prawo za istotne, co jest poparte dowodem niezbitym. To też pozytywiści, o rzeczach których sprawdzić nie mogą, mówią (w zasadzie) że nic nie wiedzą, choćby tysiączne tradycje i prawdopodobieństwa zdawały się fałsz przecuciu ich zadawać. Z tem wszystkiem pozytywizm nie odrzuca hipotez, wszelka umiejętność bowiem wywodzi się albo z pewników albo z hipotez. Cała matematyka jak jest obszerną i rozgałęzioną, powstała z kilku pewników i definicji wypowiedzianych *a priori*. Taki pewnik: jak dwie ilości równe trzeciej są i sobie równe; takie zawarowanie: jak jeden a jeden są dwa; taka definicja linii prostej lub punktu, i inne znane podstawy, postawiły całą matematykę. Tylko umysł grecki mógł stworzyć coś wielkiego z takiej elementarnej prostoty; prostota pełna wielkości i następstw jest cechą tego umysłu nie tylko w matematyce, ale zarówno w prawodawstwie, w poezji i sztuce. Znowu w naukach przyrodzonych wielką rolę grają hipotezy. Teorya bezwładności jest hipotezą, bo dowieść jej nie można, ale ona tak doskonale tłumaczy wszystkie fakta przed nią i bez niej do objaśnienia niepodobne, takie pewne i stanowcze w niej znajdujemy odpowiedzi na zapytania dotyczące ciężenia i ruchu, że pomimo braku dowodu naocznego, musimy uznać ją jakoby była nie hipotezą lecz faktem udowodnionym, oczywistym, pewnikiem. Toż samo rozumie się o wielu częściach teoryi Darwina, mianowicie co do przemiany form. Nikt tego nie sprawdzał i nie sprawdzi naocznie, czy i jak na przykład *sikora* przeistoczyła się lub przeistoczyć może w *orzechówkę*; ale mnóstwo faktów umiejętnie zebranych przemawia za tem, że istoty zawarowane w pewnej chwili pewną formą, przy zmianie warunków, w walce o utrzymanie bytu, muszą albo zginąć albo zdobywając sobie nowe warunki życia, zmodyfikują formę organizmu. Przy przekonywających faktach *a posteriori*, jak nie uwzględnić hipotezy która dąży do ogólnego ich ogarnienia? Pozytywizm też przyjmuje tego rodzaju hipotezy, chociaż i tu zhytnia oględność, częstokroć odwraca go od faktów zbyt powszechnie uznanych aby mogły być bezwzględnie i bez apelacji odrzuconemi, a z drugiej strony zbytnia znowu ufność w zdobyte przez się prawdy prowadzi go do wniosków, które już stoją po za granicami jego rozumowań.

Pozytywizm tedy jako metoda, nie nowa wprawdzie ale ściślej zformułowana i zastosowana, może stać się powszechnym narzędziem badań, bo za nią przemawiają bardzo postępowe rezultaty. Ale on, jak powiedzieliśmy, nie ogranicza się na charakterze metody, rozszerza ją owszem aż do opanowania całego umysłu ludzkiego, zmuszając go do przyjęcia swych form. Cóż to innego jest jeśli nie *system*? A chociaż się pozytywizm odrzeka i odprysięga tego wyrazu, dlatego że pod nim rozumie wszystkie błędne teorie filozoficzne, które przez swą aprioryczność do niczego nie doprowadziły; jednak stawiając gmach całkiem nowy i ściśle zorganizowany, stawia nie co innego, tylko system: my przynajmniej innym mianem tego nazwać nie umiemy. A tłumaczymy się tu dlatego tylko, iżby nas nie posądzano, że bez zrozumienia rzeczy przypisujemy pozytywizmowi charakter, jakiego on się wypiera.

Otóż pozytywizm, jako system jest teorią zupełnie nową, wojującą przeciw wszystkiemu co było przed nim; teorią, która gdyby była powszechnie przyjęta, zmieniałaby wszystkie zasady społeczne, cały porządek moralnego świata. Podług niego filozofia wszelka nie jest doktryną ludzkiego umysłu, ale jest to pewien sposób pojmowania świata. Umysł ludzkości, aż do nastania ery pozytywizmu przebył już dwie doby takiego pójmowania, z których każda była właściwą na swój czas; teraz zaś dopiero wstępuje w trzecią dobę. Doby te są: *teologiczna, metafizyczna i pozytywna*. Teologia pojmuje świat tak jakoby powstał i rządzonym był wolą, rozumie się, opatrnościową; metafizyka rząd ten powierza ideom które umysłowi naszemu wydają się powszechne i konieczne; filozofia zaś pozytywna utrzymuje iż światem rządzą prawa, w naukowym znaczeniu tego słowa. Te trzy sposoby pojmowania z różnych pochodzą źródeł: pierwsze płynie z objawień boskich które były pierwiastkową edukacją rodu ludzkiego; drugie powstaje z kombinacyj subiektywnych (osobistych) umysłu, który urządza świat według własnego widzimisie; trzecie zasadza się na rezultatach obserwacji i doświadczenia które stwierdzają to co jest. Trzy te sposoby nie są bynajmniej współczesne sobie: pierwszy odnosi się do pierwiastkowych epok rodu ludzkiego, drugi do okresu większego rozwoju; trzeci już do stanu pewnej, przynajmniej względnej, dojrzałości: nadto jeszcze, jeden stan wyłącza drugi. Wprawdzie zdaniem Littrego, mogą one w sposób ułamkowy istnieć w jednym czasie a nawet co większa w jednym i tymże samym umyśle; ale nie mogą współistnieć względnie do jednej i tejże samej kwestyi. Rozwiązanie metafizyczne czyni zbytecznym albo i wcale niszczy rozwiązanie teologiczne; a rozwiązanie pozytywne wyłącza jedno i drugie. W tej kolejnej przemianie pojęć i powag, zaczęmy powrót jest dla teologii i metafizyki niepodobnym: raz stracone posterunki, stracone są na zawsze. Odkrycia wiążące się ściśle jedne z drugimi, wzrost nauk, rozszerzenie historii, wszystko słowem przemawia za porządkiem umiejętnościowym, nic za porządkiem teologicznym lub metafizycznym. A ponieważ w dzisiejszych

czasach nic nie przychodzi na ratunek starym teryom, ale wszystko owszem dąży do ich potępienia; przeto stawia się kwestya czy je ma zastąpić pozytywizm, czy nie. On tedy podając się na kandydata do kierunku umysłów, przedstawia śmiało swój program powszechności, dla zdobycia sobie coraz większej liczby głosów.

Przyznać trzeba, że pozytywizm względniejszy i lepiej wychowany od materyalizmu, względniej się też obchodzi ze zde-tonizowanemi potęgami. Zaprzecza im dziś wszelkiej władzy, wszelkiego udziału w sprawie publicznej, jak znieoależniałemu starcowi; ale nie odmawia im znaczenia i zastugi w swoim czasie, uważa je za przejścia konieczne, z naturą umysłu ludzkiego zgodne: co wszakże jest tylko czczym komplementem, boć trudno zrozumieć dlaczegoby umysł ludzki miał *koniecznie*, jakoby z praw natury swojej, kształcenie swe rozpoczynać dołą fałszu, jakim jest, zdaniem pozytywizmu, i teologia i metafizyka. Konieczności w tém niema żadnej, chyba przypadek, nieszczęśliwy przypadek ten, że ludzkość odrazu na pozytywizm nie trafiła. Dość że on, uznawszy zasługi pierwotnych form myślenia, i skazawszy je na wieczne zatracenie, nie odziera ich z dobrej sławy, nie odmawia im honorów pogrzebowych. Sam zaś rozpoczynając trzecią dołą, która ma trwać zapewne już do końca świata, ponieważ według niego jest jedyną, doskonałą i prawdziwą, tak mniej więcéj kwalifikacye swoje do rządów wieczystych uzasadnia.

Jak cechą filozofii teologicznej jest cudowność i objawienie, metafizycznej bezwzględność i subiektywność; tak cechą filozofii pozytywnej jest względność i doświadczalność. To znaczy, że pozytywizm nie wyszukuje rzeczom piérwszych przyczyn, ale wiąże fakta obserwowane z przyczynami bezpośrednio dopóki ich starczy, dopóki nie napotka granicy, poza którą obserwacya ścisła przedostać się nie może. Tu już kres jego działania. Pozytywizm tedy odrzuca myślenie subiektywne (metafizykę), które na obraz i podobieństwo swoje kształciło świat, ale czepia się pojedynczych umiejętności zajmujących się światem, stara się je doskonolić przez dobrą obserwacyę, oraz zaprowadzić pomiędzy niemi związek naturalny. Położenie w którym umiejętność, rosnąc w siłę i znaczenie, za nic sobie waży wysokie powagi duchowne i metafizyczne swego czasu, jest stanem zaprzeczenia i przewrotu; jednak nie bez sposobu wyjścia. Najznakomitsi myśliciele XVIII wieku przeczuli to wyjście, a chwała należy Augustowi Comte za to że je wyszukał. Jego idea twórcza i zasadnicza jest równie wielką, jak prostą: polega ona na dostrzeżeniu pomiędzy umiejętnościami pewnej hierarchii zarazem naturalnej i dydaktycznej, oraz na uporządkowaniu ich według owéj hierarchii, która idzie koleją następującą: matematyka, fizyka łącznie z astronomią, chemia, biologia i socyologia. Chwila gdy ogólne fakta tych umiejętności, obejmujące całą wiedzę abstrakcyjną, postawione zostały jeden obok drugiego w ich rzeczywistym porządku, była chwilą powstania filozofii pozytywnej.

Filozofia musi być względną i zarazem doświadczalną. Taką też jest filozofia pozytywna, bo wszystkie pierwiastki z jakich się składa mają ten podwójny charakter. Teologie i metafizyki zbudowały u siebie, jeśli tak rzecz można, wiedzę ogólną, która trwała dopóty, dopóki była samą lub prawie samą, ale runęła w proch przed wiedzą pojedynczych umiejętności. Dziś wiedza ogólna może być tylko indukcyą wiedzy szczegółowej.

Od dziś dnia (to jest od ustalenia się pozytywizmu) ta tylko filozofia godną jest tego imienia, która przedstawia porządek hierarchiczny rzeczy przyrodzonych, boć ten hierarchiczny porządek leży w przyrodzie: własności fizyczne są ogólniejsze niż własności chemiczne, a te z kolei ogólniejsze są od biologicznych, które wyobrażają najszczuplejszy stopień tój niezmiernój drabiny. Warunku tego, przedewszystkiem i w najściślejszy sposób, dopełnia filozofia która szykuje umiejętności właśnie w porządku natury. Tém samém obejmuje ona w swój teoryi wspaniałą ideę rozwoju kosmicznego, albowiem: ciała niebieskie wychodzą z ognistego chaosu, w jakiegóbydż je wyobrażany sobie formie, i tam rządzą same własności fizyczne; własności chemiczne ukazują się wtedy dopiero, kiedy pozwoli na to obniżenie temperatury; życie tworzy się jeszcze później, a dopiero w peryodzie tym, stosunkowo nowocześnieym, już zaczynają się odbywać ewolucye w łonie samego życia. Tak było w naturze, słuszna aby tak samo odbyło się w umiejętnościach, z których każda *respective* ma jeden z tych peryodów natury przedstawić a z poprzednim i następnym związać się jak należy. Jest to pierwszy warunek filozofii godnej tego imienia.

Drugi warunek zależy na tém, aby filozofia, zastosowawszy się do hierarchicznego porządku rzeczy, zastosowała się także do porządku historycznego w układzie umiejętności. Studya należycie prowadzone okazały w samej rzeczy, że nauki ułożyły się jedna po drugiej, a to w porządku komplikacyi, który jest koniecznym rezultatem tylko co wzmiankowanego stopniowania we własnościach rzeczy. I temu jak i poprzedniemu warunkowi uczyniła zadość filozofia pozytywna.

Trzecim warunkiem jest, ażeby filozofia z układem naturalnym i historycznym związała układ dydaktyczny, to jest ażeby ten wewnętrzny jój układ odbijał się i w nauczaniu. Na pierwszym stopniu stoi matematyka, pierwsza w prostocie i dacie. Ta otwiera wnijsie dla astronomii i fizyki, którą trzeba znać poprzednio iżby przystąpić do chemii. Bez chemii można przystąpić do biologii (jest to tak nazywana dotąd historia naturalna, medycyna z całym jój składem); bez biologii niepodobna zwrócić się do socjologii, (nauka traktująca o stosunkach społecznych, a więc prawo, ekonomia, historia i t. p.). Związek ten, stanowiący istotę filozofii pozytywnej, o którym teologia i metafizyka ani myśleć nie mogły, jest tak konieczny pod względem dydaktycznym, jak był koniecznym pod względem historycznym i przyrodzonym; znaczenie tego ostatniego przysłówka objaśnia się tém co było powiedzianém poprzednio.

Tak więc w filozofii doświadczalnej i względnej, czyli w tak uazwanej filozofii pozytywnej, wszystkie ogniwa podają sobie rękę aby utworzyć jeden łańcuch opasujący cały świat: ogniwo wykazujące szereg własności materji wiąże się z ogniwem obejmującym historyczny rozwój umiejętności, a to z ogniwem ujawniającym dydaktyczne potrzeby całości wiedzy ludzkiej. Wszystkie te ogniwa są solidarne i wzajem stwierdzające siebie. Jedyna filozofia pozytywna wszystkie je obejmuje; z nich tworzy ona swą teorię. Kto je dobrze pojmie i pochwyci, ten posiada filozofią zgodną ze światem, z historią, z nauczaniem.

Oto jest, w krótkich słowach, doktryna pozytywizmu, która według zdania jego koryfeuszów ma sprowadzić Eldorado na ziemię.

Streszczając jej zasadę nie dodałem podobno od siebie ani jednego słowa, nie przynajmniej coby ją mogło wykrzywić; przytoczyłem wyznanie wiary Littrego, ucznia i kontynuatora Comte'a, który dziś wyobraża pozytywizm najczystszy, ortodoksalny. Z tego przedstawienia widzimy, że pozytywizm jest pewnym systematem naukowym niepodległym, za którym przemawia i zdrowy rozsądek i logika: stopniowanie i łączenie się umiejętności żadnemu zarzutowi nie jest dostępne, a pochwycenie idei tego porządku jest wyłączną tój szkoły zasługą. Obserwacja jak jest warunkiem całego systemu, tak wchodzi też jako czynnik do każdej umiejętności pojedynczej i czyni ją silną. Zaprzeczyć niepodobna, że system ten ogarniający fizyczne życie świata, dbający o ścisłość w każdej umiejętności, i na nich teorie swe budujący, jest nieskończenie ściślejszym od wszelkiej apriorycznej filozofii budującej na metafizycznym gruncie, któraby orzekała o naturze i o człowieku, nie znając ani natury, ani człowieka, ale prawa swęj własnej myśli stosowała do wszystkiego. Pozytywizm tём jest silniejszy, że opiera się na czémś stałym, że ma grunt, słowem, że stał się wyrazem umiejętności, bo od nich pochyna, niemi się zajmuje, i na nich kończy, przynajmniej powiada, że kończy.

A więc jest to system czysto umiejętnościowy? Zgoda nań. Ale czyż niema już nic poza umiejętnością? To zapewne będzie należeć do innego rzędu poszukiwań? Nie: pozytywizm twierdzi że ogarnia wszystko; on nie obok siebie nie ścierpi, albo nióm pogardzać będzie: takie jest jego motto. Jeżeli tak, to czujemy że tu brak czegoś: może jesteśmy w błędzie, może obserwacja wystarczy na wszystkie potrzeby człowieka. Pytanie to zostawiamy w zawieszeniu.

Tu zwrócimy się na chwilę do rozprawy polskiej „O Szkole Pozytywnej”, której autor skreśliwszy zasady, objaśniwszy wszystkie główne fakta, wymieniwszy głównych koryfeuszów i ich zapatrywania się, przedstawił nam rzecz poniekąd zupełną. Z rozprawy jego widać aż nadto dobrze całą postępowość tój szkoły, wszystkie korzyści płynące z nięj dla nauki. Odkrył on w nięj wszystko, cokolwiek ma istnie dodatnią cechę; i pod tym względem możemy z całym zaufaniem odesłać czytelnika do jego

rozprawy, w której nicbyśmy zmienić nie potrafili. Ale w końcu postawił on zarzuty jakie spotykają tę szkołę i z nich starał się ją oczyścić. Otóż te kilka stronnice ostatnich są w szczególnym związku z przedmiotem obecnego naszego pisma, i o nich pozwolimy sobie przemówić obszerniej, a w przemówieniu tém może znajdzie się *inclusive* odpowiedź na pytanie, któreśmy postawili nieco wyżej.

Trzy zarzuty, zdaniem autora, dotyczą szkołę pozytywną, a mianowicie: o ateizm, materyalizm i fatalizm. Dlaczego to nazywać zarzutami? Jestto głos człowieka uczuciowego, umiejętność z tém niema nic do czynienia: są co jawnie nazywają się wyznawcami jednej z tych doktryn, chlubią się z tego, i za zarzut bynajmniej sobie nie poczytują. System pozytywny albo jest doskonałym, wystarczającym i niezachwianym, albo nie jest. Jeżeli nie jest, to nie wart istnienia, choćby był do najwyższego stopnia deistycznym i spirytualnym. Jeżeli jest takim za jaki się podaje a z niego wypłyne ateizm lub materyalizm, to trudna rada: *pereat mundus.....*

W każdym razie, jeden z tych zarzutów, to jest fatalizm, jest bardzo małej wagi i bardzo mało stosować się może do pozytywizmu, który w ścisłości swój ma nań dostateczną odpowiedź. Tego wreszcie zarzutu, o ile nasze wiadomości sięgają, nie czyniono mu z naciskiem. Inaczej się rzecz ma z dwoma poprzedniemi.

Autor rozprawy, chcąc oczyścić pozytywizm z zarzutu o ateizm, przytacza zdanie Stuarta Milla, pozytywisty, który wręcz powiada, że Comte zbłądził nawracając naukę swą do zastąpienia prawami naturalnemi idei Stwórcy i najwyższego Rządcy wszechświata; że ci co przyjmują nawet teorię Comte'a „nie potrzebują zgadzać się z nim w tym punkcie”. Dodaje autor od siebie, że „można wierzyć, iż świat stworzyła rozumna wola, dała prawa i według nich rządzi: a obok tego można myśleć pozytywnie, to jest dochodzić owych praw światem rządzących.”

Zachodzi pytanie, o jakimto autor myśli pozytywizmie, kreśląc to zdanie? W przeglądzie szkoły wymienił on kilka nazwisk, a nie powiedział dosyć wyraźnie, że każde z nich oznacza co innego w dążności. Pomiedzy Comte'em a Littrem, pomiedzy tym a Millem zachodzą różnice. Autor sam, widocznie przyjmujący stronę pozytywizmu jako metody, przechyla się ku szkole angielskiej reprezentowanej w Millu, a oprócz tego jeszcze i sam własne zdanie o pozytywizmie wyraża. A więc tyle byłoby pozytywizmów ilu pozytywistów, jeżeli każdemu wolno go podług siebie interpretować, czyli że nie byłoby tam jakiegóś idei stałej, skończonej, tylko szkic, do którego wolnoby było dorabiać, od którego wolnoby było ujmować, wiele się komu wydaje. W końcu ten system rozchwiały się na cząstki i wcielił ułamkami w nowe szkoły, które eklektycznym sposobem wzięłyby z niego to tylko, co by się korzystnym dla ich widoków zdawało. Jest to tak, i nie jest. Są w jego łonie tacy, którzy go szarpia i modyfikują; są inni którzy

zastaniają go od wszelkiej skazy i czynią niedostępnym wszelkim modyfikacyom. Przejście do jednego lub drugiego obozu jest wolne, ale skutki tego nadzwyczaj różne.

Autor nasz tłumacząc pozytywizm z zarzutu o ateizm, powołuje się na Milla. Jestże to dostatecznym? bynajmniej: to eklektyzm. Mill nie jest czystej krwi pozytywistą, to odszczepieniec szkoły. Nie on utworzył system, ale przyszedł do gotowego. Pozytywizm ortodoxalny ma swego wyobraziciela w Littrem, spadkobiercy Comte'a, w szkole francuzkiej. Littré wyrzeka się Milla, z goryczą widzi go zagląającego do obozu przeciwników. Milla zdanie nie może mieć wagi wobec pierwotnego pozytywizmu. W Littrém zaś, w całym jego wyznaniu wiary, niema ani słowa o Bogu; kwestya ta jest zupełnie ignorowaną, teologia wyrzuconą, metafizyka odepchniętą, w szeregu nauk nie stoi ona nigdzie nawet domyślnie, a jeżeli czego domyslać się można ze sposobu w jaki Littré i jego szkoła system swój przedstawia, to chyba tego że kwestya ta jest zgoła niepotrzebną, że nie ma rzeczywistego przedmiotu, podstawy. Jużciż w kwestyi téj ani matematyka, ani fizyka, ani chemia, ani nawet biologia, nic nie zawyrokują; są to umiejętności czysto doświadczalne. starczące tylko dla samych siebie i względnie do samych siebie. Prędzej już wyjrzałaby ona z socyologii, gdzie trzebaż postawić naprzeciw siebie obowiązki i prawa, cnoty i występki. Gdzież bowiem znajdziemy kryterium tych oznaczeń, do których przyszliśmy, niestety, przez nic innego, tylko przez głuche pojęcie Boga, które ludzkość prowadziło w jakiejś takiej godności i bezpieczeństwie przez ciemnie wieków? Nie gdzieindziej zdawałoby się według dotychczasowych wyobrażeń, tylko zawsze w Bogu; bo doświadczenie i obserwacya uczy mierzyć dobre i złe tylko korzyściami lub niekorzyściami, bez względu na słusność lub niesłusność poza granicami interesu.

Tymczasem Littré tak sobie kreśli ideał człowieka pozytywnie wykształconego. „Schleiermacher, pobożny chrześcianin, powiada on, który wysubtylizował chrystyanizm na dudce metafizyki niemieckiej, wyrzekł z okazji obietnic teologicznych, że one mogły znaczyć tylko zjednoczenie się, w łonie istności nieskończonej, z istnością nieskończoną, i zrealizowanie wieczności w krótkim przejsciuu każdej z chwil naszych. — Odzierając to zdanie z szaty absolutu i zostawiając na stronie nieskończoność i wieczność, z którymi my nigdy nie możemy się zjednoczyć (zidentyfikować), wolno nam jest przynajmniej zidealizować się w wielkim i wspaniałym widoku, jaki przed nami roztacza bezmierne *universum*.”

Oto jest Bóg Littrego. Słuchajmy dalej.

„Serce ma także swój ideał. Jeżeli jest rzeczą niezaprzeczoną, że w porządku wiedzy, szukamy prawdy dla niej samej i bez innej nagrody prócz rozkoszy z jój znalezienia; tak samo w porządku moralności, dobra poszukujemy dla niego samego, bez innej nagrody jak zadowolenie że się go spełniło. Dzięki téj najwyższej

bezinteresowności, zaczynamy wymagać od ludzi najwyższych cnot społecznych.”

Oto jest zasada moralności Littrego dobro dla dobra i tylko przez dobro. — Tam Bogiem jest *universum*, tu bezinteresowne dobro; o innym Bogu nigdzie nie słyszeć. Nie myślę ja krytykować tych pojęć, bo musiałbym się tu zaraz wdać w szeroką krytykę całego systemu: odpowiadam tylko na pytanie, czy pozytywizm jest ateistycznym, czy nie; jeśli pod ateizmem rozumiemy zaprzeczenie Boga osobistego, który realizuje w sposób nieskończony i absolutny wszystkie przymioty bytu, prawdy, dobra i piękna.

Jaką pozytywizm okazuje skłonność ku ateizmowi, na dowód przytoczmy coś bardziej szczegółowego, pierwszą lepszą pogadankę. Oto na przykład p. Wyruboff, współnik Littrego, krytykuje książkę. Książką tą jest głos księdza katolickiego, (Foi ou Raison, par F. Esinenjaud, curé démissionnaire), który targany długi czas nasuwającymi mu się wątpliwościami, w końcu przerobił je na przekonania, wyrzekł się religii, i wyrzeczenie się to w książce swój umotywował. Z jakimto tryumfem p. Wyruboff, z jak widoczną rozkoszą rozwodzi się nad tym faktem. „Tym, powiada on, co obawiają się własnego sceptycyzmu, co zamykają oczy i zatykają uszy aby nie pójść zadaleko, co wolą żyć w łatwej nieświadomości i aby nie zaniepokoić ciszy umysłowej zachowują „wiarę ojców”, książka p. Esmenjaud daje *zbawienną naukę*. Ukazuje im ona, jak przy zaprzeczeniu cudom i objawieniom, można zostać uczciwym człowiekiem.” Smutno jest p. Wyruboffowi, że ksiądz został jeszcze deistą, ale wieszkuje mu z duszy serca, tego nawrócenia się do stanu przejściowego, i pociesza się, pewnym będąc iż jak on z całą swobodą potępił księgi święte, tak ci których jego książka pociągnie, przyjdą do potępienia z równą swobodą tego *pierwiastku boskiego*, który on jeszcze zachował.

Te powinszowania i te pocieszenia, zdaje się, wcale nie są ani dwuznaczne, ani podejrzone. A gdybyśmy chcieli się rozmazywać, moglibyśmy z pism różnych pozytywistów, tysiące podobnych jednoznaczników przytoczyć. Raz poprzestają oni na oświadczeniu że człowiek nic wiedzieć nie może o przyczynach pierwszych i o przyczynach końcowych; to znowu wyraźnie zaprzeczają wszelkiej przyczyny pierwszej i końcowej poza obrębem świata. Raz wydaje się, że dla nich Bóg jest czémś nieznaném, co uchodzi przed wszelką definicyą i wszelkiem określeniem naukowém (co przecież nie wyłączałoby jeszcze możliwości); to znowu wyraźnie oświadczają że niema nic poza naturą i jej prawami. W ten sposób wyrażający się pozytywizm nie tai się przecież z tém do czego zmierza. Wzięliśmy go u najczystszeo, u najprawowierniejszego źródła, nie z ust jakichś szalapatów naukowych. Littré jest starcem nad grobem stojącym, całe życie pielęgnował ów pozytywizm i postawił go w najjaśniejszym świetle; tworzy on obok siebie i zostawia po sobie, szkołę, która nie wdaje się w żadne koncessye i układy. Można tedy, zapewne, jak twierdzi autor polskiej rozprawy, myśleć po-

zytywnie przy zachowaniu dawnych wierzeń, tak jak można przyjmować jakiś legat z dobrodziejstwem inwentarza; ale z drugiej strony trzeba ten legat określić jakim jest sam w sobie, jaka jego natura i konsekwencye. Czy pozytywizm może być słusznie posądzanym o ateizm, sądźmy z powyższych wskazówek.

Ale czy z równą słusnością posądzać go można o materyalizm? O! przeciwko temu zarzutowi sam pozytywizm broni się do upadłego, wypiera się wszelkiego pokrewieństwa z materyalizmem, które w samą rzecz, gdyby mu go dowiedziono, byłoby dlań nadzwyczaj kompromitującém. A dlaczego? Oto dlatego że pozytywizm wyklął metafizykę, a materyalizm jest właśnie metafizyką. Ten, na równi z idealizmem i spirytualizmem, doszukuje się pierwszej przyczyny, z tą różnicą że tamte poszukiwania swe odbywają poza naturą, a on w naturze; dla tamtych ideałem jest Bóg osobisty, dla materyalizmu bóg-atom. Skoro tak jest, pozytywizm chcąc być konsekwentnym, w żaden sposób nie może kojarzyć się z jakimś systemem metafizycznym, poszukującym przyczyny pierwszej, bezwzględnej; z góry bowiem zawarował że jego filozofia jest względną, że ona szuka tylko przyczyn drugich, to jest bezpośrednich; że wreszcie żadnej pierwszej przyczyny niema.

Kiedy tak pozytywizm wyrzeka się wszelkiego pokrewieństwa z materyalizmem, tymczasem ten ostatni jakby na złość ma sobie za pewien honor przy każdej zręczności przypominać, że jemu zawdzięcza powodzenie swój teoryi, i wskazuje palcem punkta w pozytywizmie, które go na drogę wyprowadziły. Pozytywizm złości się na tę poufałość, odpycha wszelką solidarność, ale darmo; zawsze się w szeregach materialistów znajdzie jakiś *enfant terrible*, który wygada sekret domowy. Nie trzeba wreszcie i tego gwałtownego napychania się do stosunków rodzinnych; pozytywizm sam zanadto często zdradza się ze swém powinowactwem.

Wiadomo że pomiędzy spirytualizmem i materyalizmem, największym kamieniem obrazy jest kwestya Boga i duszy, których oba te systemata nie zaprzeczają, tylko każdy je podług siebie tłumaczy. Pozytywizm ma pomiędzy niemi z zasady swój być zupełnie bezstronnym; tymczasem widzieliśmy już przy rozbiorze pierwszego zarzutu jego wielką powolność dla takich zasad, z któremi materyalizm pod względem Boga chętnie się godzi: powolność być może mimowolną, ale nie mniej uderzającą. Ta powolność, to przechylenie się widoczne ku materyalizmowi, jeszcze bardziej uderza w kwestyi *duszy*.

Poznaliśmy już program pozytywny i przekonaliśmy się, że w nim psychologia i logika nie figurują wcale. Mill i inni pozytywści angielscy, że považają się zapuszczać na pole logiki i psychologii, wzniciłi oburzenie w obozie prawowiernych Littrego. Dowodzi on im, że w tém jest bezpotrzebne naruszenie hierarchicznego porządku umiejętności, że psychologia nie znaczy nic bez znajomości fizyologicznej człowieka, mózgu i jego funkcji, a zna-

jomości téj nabywamy w biologii, na tej więc poprzestać możemy i powinniśmy, nie tworząc bynajmniej z psychologii osobnego działu umiejętności, ograniczając psychologię pozytywną tylko do funkcji mózgowych. Czém to rozumowanie nazwiemy jeśli nie materializmem? Ej, cały ten wreszcie ustrój umiejętności przedstawiający się w *obrazie synoptycznym*, który stanowi treść kursu filozofii pozytywnej Comte'a i Littrego, aż nadto ujawnia tajemną skłonność téj doktryny ku materializmowi. Pozytywiści cały swój pentateuch rozłożyli na dwa wielkie działy: pod jeden podciągnęli naukę o ciałach nieorganicznych (bruts), pod drugi o ciałach zorganizowanych. Do pierwszego należy astronomia, fizyka i chemia; do drugiego fizyologia i fizyka socyalna. We *fizyologią* wkracza nauka pozytywna o funkcjach umysłowych i moralnych; do fizyki socyalnej *statystyka socyalna*, czyli ogólna teorya doraźnego porządku społeczeństw ludzkich, i *dynamika socyalna*, czyli ogólna teorya postępu ludzkości. Kto tedy wkłada umiejętności filozoficzne w ogólną naukę o ciałach zorganizowanych, kto naukę pozytywną o funkcjach umysłowych podciąga pod fizyologią; kto nazwą fizyki socyalnej oznacza teoryą porządku i postępu w świecie moralnym: czyż ten, pytam, nie daje już z góry rozwiązania wszystkim kwestyom odnoszącym się do duszy, do myśli, do wszystkich warunków moralnych osoby ludzkiej? Same te nazwy: nauka o ciałach zorganizowanych, fizyka socyalna, nie wydają tajemnych dążeń pozytywistów? Najsystematyczniejszy przecież materializm nie miałby nic ze swój strony przeciw podobnej klasyfikacyi nauk, tak zgodnej z jego widokami, w której badanie funkcji umysłowych i moralnych, sprowadzone do badania funkcji mózgowych, jest tylko dalszym ciągiem i dokończeniem nauki o życiu zwierzęcém.

Usilne przestrzeganie całości formularza pozytywnego, które objawiło się w polemice z Millem o psychologią, jako o naukę samoistną, dowodzi tylko słabości systemu, który lęka się nadwężenia rubryk. Naznaczać osobne miejsce psychologii—utrzymuje w polemice swój Littré—to znaczy łamać porządek pozytywny, krzywić filozofią samą, której najwালniejsza zasada polega na hierarchicznym szeregu umiejętności. Odpycha on te widoki osobiste, jako podkopujące fundamenta główne filozofii pozytywnej. Uważa ją za skompromitowaną, gdyby ktoś ośmielił się wykazać, że psychologia, jako oddzielna umiejętność, nieodzowną jest w składzie téj filozofii.

Być może, iż propozycja Milla łamie symetrią kadrów tak starannie przez Comte'a nakreślonych, że mięsza harmonią działów i poddziałów *obrazu synoptycznego*; ale z drugiej strony nikt, nawet sam pozytywizm, nie ma prawa pótępiać z góry propozycyi, która nie wiadomo czy będzie niezgodną z duchem doktryny, tak jak niezgodną jest z jój ramami. Ale tu właśnie pozytywizm przeczuwa śmiertelny grot, i zamiast iść naprzeciw niemu, chowa się za dogmatyczny zakaz, i chce się mienić neutralnym.

Jeżeli jest istnie neutralnym, jeżeli trzyma się w równiej odległości między dwiema hipotezami: spirytualistyczną i materialistyczną, niechże nam da definicyą duszy. Gdyby był istotnie wierny swęj zasadzie, gdyby chciał istotnie w żadne nie wdawać się przypuszczenia i mrzonki, odpowiedziałyby: dusza, jest to wyraz oznaczający przyczynę *nieznaną i przypuszczalną* fenomenów myśli, uczucia i woli. Taką byłaby jego definicya, gdyby chciał odróżnić się od materializmu. A teraz zajrzyjmy do pozytywistycznego słownika (Nysten) wydanego przez Littre'go i Robina, i zobaczymy tę definicyę. Znajdujemy tam, że dusza jest to wyraz który oznacza „w znaczeniu anatomiczném ogół funkcyi mózgu i mleczka pancerzowego, a w znaczeniu fizyologiczném ogół funkcyi czulości mózgowęj.” Niech nam będzie wolno zapytać tych, co bronią pozytywizm od zarzutów o skłonności materialistyczne, czém ta definicya różni się od tęj jakaby dać mógł najzawołańszy materializm. Nie wspominam już o naukowej wartości tego określenia. Gdyby nieszczęściem który z filozofów metafizyków coś podobnego powiedział, dopierożby go to naturalności wysmiali, byłoby to niesłychaną złością do drwin i przekasów z nieuctwa w rzeczach umiejtności. Boć w rzeczy samęj anatomia, jak wiadomo całemu światu, zajmuje się tylko *budową* organów a nie ich *funkcyami*. Ale mniejsza o to: chodzi mi tu tylko o rażącą sprzeczność jaką istnieje pomiędzy taką definicyą a mniemaną metodą szkoły pozytywnej. Jeżeli ta szkoła z góry deklaruje że nic nie wie o istocie rzeczy, kto jęj powiedział, że dusza jest funkcyą systemu nerwowego? Jakiem prawem do definicyi swęj wprowadza przypuszczenie i do tego jeszcze metafizyczne (proh pudor!), boć przecież naocznie nikt nie przekonał się ażeby mózg myślał. Jeżeli przeciwnie szkoła ma przekonanie, że mózg myśli, to pocóż udaje bezstronność, i raczej nie zdeklaruje się jawnie za materializmem? Dlaczego maskuje się pozornym sceptycyzmem zdolnym ująć umysły wymagające, aby im później niby prostém następstwem pomięszać duszę z systematem nerwowym? Jestże w tém dobra wiara? Nie: to ta sama niekonsekwentność, zakrawająca na podejście, jaką widzieliśmy i przy rozbiorze poprzedniego zarzutu.

Jeżeli Littre, niby drugi Jozue wiodący do ziemi obiecanej po drodze wskazanej przez francuzkiego Mojżesza wiedzy, pozwala sobie wyłomów w tablicach prawodawcy; cóż dopiéro mówić o młodém pokoleniu prozelitów, nie poczuwających się do tak ścisłego zachowania obowiązku przywódców. To tóż ta neutralność byłaby wyrazem z liczby tych, które niegdyś wywoływały uśmiech na ustach augurów rzymskich. I nie a nic temu się nie dziwie. Następstwo podobne było łatwe do przewidzenia, jak to wybornie skreślił Caro w książce swęj p. t. *Le Matérialisme et la Science*.

Wyłączenie metafizyki w kanonie filozoficznym, wzbronienie namysłu nad początkiem i końcem rzeczy, — z uwagi na logikę i potrzeby umysłu ludzkiego jest faktem nienaturalnym, do przeprowadzenia niepodobnym. W kwestyach tych od których zawisły

najżywniejsze nasze interesa, sprawy życia intelektualnego i moralnego, umysł nie mógł długo utrzymywać się na jakimś stanowisku bezwarunkowej neutralności. Temperamenta gorętsze na złość przekraczają to stanowisko; zimniejsi, i to częściej się zdarzy, mimowolnie, skłonnością przyrodzoną, dają się wciągnąć w koło kwestyj powabnych, wielkich, bez których dusza ludzka obejść się nie może, i tym sposobem rozwiązują sobie te kwestye w tym lub owym kierunku, śmiejąc się z wiszącej nad nimi różgi zwierchnika. Samaż nauka pozytywna prawi im o ogromach nieznanych a rzeczywistych, a zabrania im do nich przystępu: odkrywa przepaście i na klucz je zamyka. O! przepaść jest przyciągającą: ludzie z sercem i duszą dobiorą sobie klucza, i zajrzą tam, i spuszczać się będą bodaj na złamanie karku. W takim jakimś zakowskiem posłuszeństwie, wolnego umysłu człowieka długą utrzymać nie można. Takię rezygnacyi, takiego życia między rzeczami względniemi, bez spojrzenia na bezwzględność wymagać od umysłu niepodobna; człowiek co widzi fenomena, będzie doszukiwał ich przyczyn do ostatniej, to Syzyf niezinordowany, milionowy, wszechwiekowy.

I co tu prawić o bezstronności między spirytualizmem a materyalizmem; co skracać rozciągłość lotu umysłowych skrzydeł: kto ma prawo je przecinać? Ta bezstronność i neutralność, to pozór, mainidło, tymczasowość, fałsz!

To też ta mniemana neutralność już w samych początkach utrzymać się nie zdołała, i w jakim złamała się kierunku widzieliśmy wyżej, a dowodów na to mamy pełne ręce. Sam Littré ilekroć zdarzy się mu sposobność zabrać głos między dwiema stronami, nigdy jeszcze nie dał go za spirytualizmem. Natomiast przy każdej zręczności podaje ramię materyalizmowi, zaszczyca publicznie przedmowami swego pióra pamflety przeciw-spirytualistyczne, słowem czyni wszystko aby neutralność swą w dziwnej przedstawić postaci. Szczególna to ta neutralność pozytywna, która wygląda raczej na tajemny traktat przymierza przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, i trzeba doprawdy wielkiej naiwności, ażeby w szkole pozytywniej nie dopatrzeć téj tak uderzającej tendencyi.

Materyalizm dzisiejszy jest odziomkiem, kwiatem pozytywizmu, i zapóźno wypierałby się dziś zaszczytu przygotowania téj materyalistycznej generacyi umysłowej, zwłaszcza we Francyi, kiedy ona sama wskazuje przodków swych w naczelnikach stronnictwa, a i niemieckie szkoły wcale ich się nie wyrzekają. Żądali pozytywiści od umysłu ofiary niepodobnej, nakreślili około umysłu ludzkiego jakąś zaczarowaną, idealną granicę, która nie była i nie mogła być szanowaną. Jak ją przekroczone w jednym punkcie za przykładem samych przewodników, przekroczone ją w tysiącu punktach. Dopieroż tama się zerwała, i wojownicy hurmem wpadli w okolice zakazaną. Ztamtąd wynieśli metafizykę gotową, taką jaką napojenie się teorią pozytywistyczną uformować mogło. Dziś też wyrazy: pozytywista i materya-

lista są prawie synonimami, dowodem tacy nawet jak: Buckle, Taine, Virchow, których co do mnie, waham się jeszcze zaliczyć do jednej kompanii z Büchnerem, Moleschottem i Vogtem, najtęższymi głowami materializmu.

Nie jestem ja obojętny na skutki jakie wynikłyby dla moralności ludzkiej, dla dotychczasowych podstaw towarzyskich, gdyby idea materialistyczna przemogła i upowszechniła się. Ale wartość naukowa tej idei jest już osądzoną, choć z sądem tym jeszcześmy się u nas wszechstronnie nie spotkali. Z tém wszystkiém wolimy nieprzyjaciela jawnego i szczerego, niż jakąś zbrojną neutralność, która gdzie może, jak to mówią, buty szyje. Wreszcie materializm, jako doktryna, bez względu na jej wartość i konsekwencyę, o tyle więcej dla umysłu jest zadawalniająca, że dozwala zupełnego jego użycia, że nie chwyta człowieka za rękę, by go jak dzieciaka od pewnych widoków odciągnąć. Jak tylko wolno mu patrzeć, to on tam może zobaczyć coś innego niż ci co go oprowadzają. Ale pozytywizm który ogranicza widoki, i ani sam nie chce niby zaglądać, ani drugim nie pozwala po swojemu wzroku skierować w przedmioty najbardziej interesujące, pozytywizm ze swemi ograniczonymi ramami, ze swemi zastrzeżeniami, jest nieznośnie zarozumiałym i nudnym.

Dlaczego on z szeregu swych zajęć wyłącza metafizykę? Na to odpowiada dość absolutnym aforyzmem: że „metafizyka nie jest umiejętnością.” Ależ trzebaby się temu może bliżej przyjrzyć, i nie według szyldu potępiać rzecz, którą od wieków zajmowały się umysły najwybrańsze. Roztrząsnął to prawo wyłączenia społeczny nam filozof francuzki Janet, i miło nam powołać się na zdanie szanownego profesora Sorbony.

Chcąc uzasadnić czy metafizyka jest lub może być umiejętnością, albo nie, potrzeba zgodzić się na definicyę wyrazu: umiejętność. Jeżeli, powiada on, za typ absolutny weźmiemy umiejętności ściśle demonstracyjne, jak matematykę, albo w porządku doświadczalnym, astronomię, niektóre części fizyki i chemii, to przyznają że metafizyka nie jest umiejętnością; ale nie będzie to arbitralność słów? W takim razie nietylko metafizykę potępimy w imię ciasnej definicyi, ale i wszelką umiejętność moralną w ogóle, bo tego rodzaju umiejętności nigdy nie dadzą się ująć w rygor postępowania nauk ścisłych.

Zapewne. Czyż np. historia może stać się umiejętnością takiego rzędu jak astronomia lub chemia? Nie, bo jej zawsze zbywać będzie na dwóch środkach weryfikacyjnych; jakimi są: rachunek i doświadczenie. Powie kto, że co do niektórych faktów zgodność świadectw jest argumentem równoważącym dokładność bezpośredniej obserwacyi? Tak jest; ale ta zgodność stosuje się tylko do faktów wielkich; co do innych drobniejszych, a które częstokroć są najbardziej interesującemi, zostawić musimy szerokie pole interpretacyi historyka, to jest postępowaniu mniej ścisłemu. Pewną wreszcie część historyi która zawsze uchodzić będzie przed

postępowaniem metody pozytywnej, to myśl jój, dusza, strona moralna. Mamyż odtrącić te wszystkie pierwiastki jako zbyt poetyczne, wzbronić Monteskiuszowi uwag, Tacytowi sądów? Mamyż zredukować historję do pozytywności, to jest do łupiny; wyrzec się owocu, czyli myśli, której historia jest tylko ujawnieniem? Jeżeli uczynimy to, zgwałcimy umysł ludzki; jeżeli powstrzymamy się od tego kroku, to musim przyznać że są umiejętności różnej natury i różnych stopni. I czemużbyto metafizyka nie miała być jedną z tych umiejętności?

Ale przypuśćmy nawet, że nie jest, rozumie się w najciaśniejszém znaczeniu tego wyrazu, umiejętnością; to i tak nie widzę jeszcze co ztąd można wnosić. Nie jest umiejętnością, przypuszczam, dziś; może nią być jutro. Wszak i z księgoznawstwa zrobiono niedawno naukę i to bardzo systematyczną. A wreszcie choćby metafizyka nie była i nie mogła być umiejętnością ścisłą, należyż ją przeto wymazać z umysłu ludzkiego, z zajęć ludzkich, razem z tém wszystkim co umiejętnością nie jest? Proszę nam tego dowieść. Pomiedzy życiem wyłącznie naukowem i wyłącznie zwierzęcém, jest pewien środek, życie właściwe człowieka, odznaczające go cechą niestartą pośród wszechtworów natury, życie myśli i zastanowienia. Ktokolwiek myśli i zastanawia się jest filozofem, ktokolwiek myśli i zastanawia się nad początkami rzeczy jest metafizykiem. Jeżeli znów te myśli i zastanowienia, nie są przypadkowe, przelotne, zmieszane z czynnościami życia, ale stają się ciągłym i głęboko przerabianym przedmiotem umysłu wyższego, wtedy filozofia i metafizyka wznoszą się ponad sferę rozumu pospolitego i przybierają nazwę umiejętności, być może ułomnych do pewnego czasu, niedokładnych, źle prowadzonych, ale już to kwestya metody, nie rzeczy. Czy kto się zgodzi na to, czy nie, mniejsza o to. Główna rzecz wiedzieć czy myśli te powinny być zepchnięte z tego stanowiska dla téj tylko jedynie przyczyny, że im ktoś w zarozumiałém a ciasném określeniu umiejętności, prawa do tego tytułu odmawia. Gdyby tak było, to czemuż nie zabronić każdemu człowiekowi myśleć, wyjąwszy tym co zajmują się algebrą i retortą, czemuż nie ustanowić jakiej inkwizycyi *ad hoc*, czemu nie oświadczyć wręcz, że poza obrębem pracowni i amfiteatrów anatomicznych myślenie jest zakazane. Jeżeli uczeni pozytywni cofną się (co niechybna) przed podobną ostatecznością, toż muszą zostawić myśli swobodę zwracania się ku temu co ją przyciąga i przywiązuje, przyjąć jój rezultaty jako najszlachetniejszy owoc z drzewa umysłu ludzkiego, a dać im nazwę jaką się podoba.

Sam Littre w jedném ze swoich wystąpień przeciw metafizyce (Rev. Pos.) przyznaje jednak, że pojęcie bezwzględności i nieskończoności tkwi naturalnie w umyśle ludzkim; usiłuje tylko dowieść że ono jest bezpłodném, że zeń nic zrobić nie można, że wszelkie kombinacje jakieby z tego subiektywnego pojęcia wyszły na świat, żadnego nie mogą mieć znaczenia, gdyż są poza obrębem sprawdzeń pozytywnych.

Metafizyka istotnie, w jakimkolwiek systemacie, zawsze obraca się około tej tezy, że jeżeli jest już raz pojęcie czegoś bezwzględnie i nieskończonego, toż musi być gdzieś i przedmiot realny temu pojęciu odpowiadający; inaczej, zkądby ono się wzięło: albotóż, metafizyka inaczej wyrażając się, utrzymuje, że pryncypia powszechne i wspólne umysłowi ludzkiemu, są tylko częściami, emanacją rozumu powszechnego inaczej zwanego nieosobistym, który znowu niczém innym nie jest jak tylko pewną formą bezwzględności (absolutu).

— Powiadacie, mówi Littre, że pojęcie przyczyny nieskończonej, bezwzględnej, nie może być w umyśle, jeżeli jój niema w rzeczywistości. Zgoda, przystaję na ten argument, ale poszukajmyż go w rzeczywistości, w bycie; zobaczmy czy jakakolwiek gałąź ludzkiej wiedzy doprowadzi nas do tej przyczyny nieskończonej, bezwarunkowej, którą umysł uznaje jako konieczną. Tymczasem z którejbądź strony zajrzę do nauki ścisłej (pozytywnej), ona ukazuje mi wszędzie względność i warunkowość, nigdy bezwzględności, ukazuje mi fakta niezredukowalne a nigdy przyczyn pierwszych, zawsze tylko prawa a nigdy woli. Argument więc wasz, szczególnie zamknięty w umyśle, bo nie można ani od niego przejść do nauki pozytywnej ani naodwrot, pozostaje mrzonką.. Co znaczy w umyśle ludzkim to pojęcie zwane *bezwzględnie*? Odarte ze swego charakteru metafizycznego i sprowadzone do warunków ścisłości, znaczy ono tylko tyle że świat, w stosunku do naszej wiedzy, składa się z dwóch części: z tej którą znamy i z tej której nie możemy poznać, znany i niedopoznania. Potrochu znany powiększa się, do niepoznanego wkraczamy, ale tego bezmiar jest dla nas zamknięty.... Pojęcie zaś *nieskończoności* znaczy tylko to, że nam *niepodobna* zakreślić granicy liczbie, czasowi, przestrzeni, tak w górę jak na dół. Jest to z jednej strony *negatywne*, i przez tę negację nie dozwala metafizyce wydobyć żadnego pożytku z nieskończoności, jest to z drugiej strony *pozytywne*, gdyż przy takim braku wszelkiej granicy, ono otwiera nam oczy na wszystko, gdybyśmy mogli, ale i zamyka nam zarazem wszystko, bo nie możemy.

Z tego bardzo ciasnego rozumowania, widać wszelako aż nadto *pozytywnie* dwie rzeczy: najprzód że pozytywizm nie zapiera w umyśle ludzkim uniwersalnych pojęć absolutu i nieskończoności; powtórę że nie mogąc urzeczywistnienia ich znaleźć w sferach nauk ścisłych, uważa poszukiwanie ich za niepodobne, więc za niepotrzebne. Nie powiada wszakże co robić z temi pojęciami które się nieustannie umysłowi ludzkiemu nastęrczają, z którymi człowiek rodzi się i umiera, któremi ludzie różnią się od wszystkich innych istot, ba nawet sami między sobą; które nareszcie stają się częstokroć pytaniami najwyższego interesu i największych dla człowieka utrapień. Takie drobnostki nie obchodzą p. Littrego ani jego adeptów. Trzeba istotnie mieć ucho bardzo twarde aby je zamykać na głos ten wewnętrzny, który ustawicznie pyta człowieka: kto ty jesteś? Jestżeś tylko liściem na drzewie życia, któ-

ry dziś zielony, jutro zeschły, rozpada się w proch pod nogą przechodnia; albo-li jesteś cząstką tój żyjącej nieskończoności, którój głuche wyobrażenie tak uparcie przedstawia się twemu umysłowi: prawa moralne które skupiły się w twój istocie, są li przypadkowym i dowolnym agregatem wyobrażeń, które możesz zachować lub odrzucić każdej chwili; co innego niż dotąd nazywałeś nazwać cnotą i pięknosciami; albo tóż prawa te i formy są twój istoty koniecznością jako emanacya tój absolutnej doskonałości, którą umysł twój przeziera, i dlatego tylko zrzucić ich nie możesz?... Na te pytania od których główny interes bytu człowieka zależy, bo człowiek nie po to istnieje aby był matematykiem lub biologiem, ale wprost człowiekiem, a umiejętności używa tylko za środek do tego celu; na te pytania, które wiekami znaczącymi kroki ludzkości, zyskały prawo obywatelstwa w zajęciach człowieka, pozytywiści nie dają żadnej odpowiedzi nad tę, że je trzeba odrzucić, i że trzeba się tylko bezinteresownie oddać exercycjom matematyczno-fizycznym, aby spełnić cel ludzki, osiąść i światło i szczęście. Za cały zaś argument takiego odrzucenia stawiają niemożność wśród tych exercycyj pochwylenia Boga i duszy w retortę lub rachunek. Ażeby zgubić kwestyę metafizyczną, odpowiadają tём tylko, że ona nie przypada w rym nauce pozytywnój; czyli w swój logicznej ścisłości chcąc uzasadnić nieomylność swojej nauki, odpowiadają nam już samą jej nieomylnością. Gdyby pozytywiści nie wykluczili ze swych kadr *logiki*, toby się z niej dowiedzieli, że to się nazywa *petitio principii*, dowodzeniem przez argument mający właśnie być dopiero dowiedzionym.

Jeśliby Littré chciał wyciągnąć myśl swoją do końca, spostrzegłby że jego zasady dążą do zniszczenia nie tylko metafizyki ale wszelkiej filozofii, licząc w to i jego własną. Jeżeli w rzeczy samej umysł ludzki nie powinien nic innego przyjmować jak tylko same fakta sprawdzone i prawu wykazane, to tedy niema nic, ale to absolutnie nic, poza samemi umiejętnościami pozytywnemi, które właśnie są zbiorem tych faktów i tych praw. Będziemy tedy mieli fizykę, chemię, zoologię, ale filozofii żadnej; oczywiście, gdzie tu materyał na filozofię, jeżeli nikomu nie wolno myśleć poza granicami warunków umiejętności ścisłej? Zbierzmy w pewną liczbę traktatów wszystkie prawdy wywiedzione z każdej z tych umiejętności, a będziemy mieć umiejętność ogólną. Ale czyż to my tak tę rzecz pojmujemy? Podobno zgoła inaczej. Wszak pozytywizm chce posiadać, i utrzymuje że posiada *filozofię*. Ależ ta filozofia, jeżeli jest czémś, to z konieczności zawierać musi pewne pojęcia co przechodzą granice udowodnień pozytywnych, pewne ogólności inniiej lub więcej podległe przypuszczeniom lub zaprzeczeniom (filozofia prawa, filozofia historii i t. p.), słowem pewne teorie, a nawet jedną teorię ogólną obejmującą wszystkie szczegółowe. Jeszcze raz powtarzam, jeżeli jakaś filozofia tego wszystkiego nie zawiera, tedy jest niczem. Jakoż uczeni, w każdym porządku umiejętności rozróżniają teorie od prawd wykazanych i dowiedzionych. Teoria jest im tylko środkiem i rusztowaniem,

względem którego zostawiają swobodę interpretacji. Jakżeżby ci uczeni nazwali jedną teorię ogólną obejmującą wszystkie teorie szczegółowe? Niczem innem tylko metafizyką. Otóż gdyby twórcy pozytywizmu spytali większej części uczonych, przekonaliby się że i ich filozofia jest czémś równie przypuszczalnem i arbitralnem w oczach tychże uczonych, jak arbitralnemi w oczach pozytywistów są teorie metafizyków. Wszakżeż i dziś już, jeżeli pozytywiści krytykują, to również częstiej i energiczniej cała ich teoria ulega krytyce; ma swych zwolenników i przeciwników, nie jest ona tylko sędzią ale i współuczestniczką walki. Ma już i szkołę i sekty, i to takiego np. sekciarza, jak Stuart Mill. Niech tam kto ile chce będzie pozytywistą, zawsze znajdą się tacy, którym on się wyda inarzytciem. Słowem, w filozofię pozytywną wchodzi dwa elementa różnorodne; to jest: uwagi filozoficzne które nie są pozytywnemi i wiadomości pozytywne które nie są filozoficznemi.

Filozofia pozytywna, jak wszelka filozofia, idzie za tą skłonnością wspólną umysłowi ludzkiemu, która wiedzie ku poszukiwaniom *ogólności* we wszystkich przedmiotach a przechodząc do praw coraz ogólniejszych, doprowadza do najwyższej ogólności jaką znaleźć można. Zkądżeż tedy przychodziłaby nam potrzeba téj ogólności coraz większej, gdyby w umyśle ludzkim nie było pojęcia przechodzącego wszystkie możliwe zjawiska? Nie byłoby téj do uogólniania skłonności źródłem pojęcie absolutu, nieświadome samego siebie? Sam nawet prawowierny pozytywizm jeżeli odrzuca hipotezę absolutu transcendentalnego a natomiast przedstawia nam naturę jako całość dla siebie wystarczającą, nie czyni nic innego tylko to bezwzględne pojęcie Boga przenosi na naturę; a podobne postępowanie czyż może się wyprzeć charakteru metafizycznego?

Pozytywizm tedy ma swoją metafizykę, ale nieświadomą siebie; a początek tego rodzaju filozofii tym tylko sposobem jak utrzymuje Janet, objaśnić sobie można. Są ludzie wychowani w naukach ścisłych i pozytywnych, którzy jednak doznają jakichś instynktowych potrzeb filozoficznych. Tym potrzebom nie mogą oni uczynić zadość inaczej jak tylko środkami które mają pod ręką. Nieświadomi nauk psychologicznych, zwierzchu tylko obeznani z metafizyką, będą oczywiście powstawać przeciw jednemu i drugiemu. Zdawać im się będzie że stworzyli naukę pozytywną, a utworzą tylko metafizykę niedokładną i urwaną. Powagę i nieomyślność, będącą przywilejem tylko umiejętności właściwych, opartych na doświadczeniu i rachunku, przypisywać będą sobie; ale im na powadze téj zbywa, ideje ich bowiem, jakkolwiek wadliwe, należą do téj samej kategorii jak i te przeciw którym walczą. Ztąd słabość ich stanowiska, ztąd nieuniknione rozproszenie idei, z których jedne wrócą do umiejętności pozytywnych z których wyszły, inne przeniosą się i wcielą do filozofii, której stanowią niezaprzeczoną częśćkę.

Pozytywiści mają słuszność najzupełniejszą potępiając taką metafizykę która układa naturę *apriori*, według swego indywidualnego planu, lub która w tworzeniu swoich syntez całkiem naturę opuszcza; ale nie mają racji zaprzeczać metafizyce praw szukania w rozbiórce ducha ludzkiego podstawy dla umiejętności rozciągającej się na świat intelektualny i moralny. Tu już nie nauka ich protestuje ale ich nieświadomość; tu niema już ani swobody ani postępu, ale gwałt i przesąd. Są umysły nie lubujące się w metafizyce; zgoda, niech się nią nie zajmują; mogą być pożyteczniejszemi na inném polu. Ale, jeżeli mierząc przeznaczenie umysłu ludzkiego własnym gustem i skłonnością, przedsięwiorzą zagradzać drogę do poszukiwań których sami nie są ciekawi, to trudno nam nie dziwić się naiwności i niemocy takiego projektu.

Przypuścimy na chwilę, choć to przypuszczenie mało doręczne, że pozytywizm postawił na swoim; że odsuwając stale wszystkie kwestye metafizyczne, przyprowadził umysł ludzkości aż do zupełnego stępienia i przytłumienia tego zmysłu metafizycznego który mu jest wrodzonym?... cohy wtedy nastąpiło? Niech sobie każdy rozwiąże to jak mu się podoba, ja pozwolę sobie w tym względzie zwrócić uwagę na jedną okoliczność wykazującą znaczenie tego zmysłu w ludzkości.

Jeżeli mówimy o ludzkości, a więc o człowieku, mamy w tym razie na myśli człowieka nie tylko w pełni używającego władz swoich, ale i takiego który w sposób najwyższy plemię swoje reprezentuje, a więc aryasa. Jeżeli człowiek taki, europejczyk, wychowany w najświetniejszej atmosferze cywilizacji, spojrzysz po obszarach wieków i przestrzeni, aby przyjrzyć się dziełom cywilizacji innych plemion, znajduje się w położeniu kogoś, co pierwszy raz wyjechawszy z wielkiej stolicy, dostanie się do jakiego małego miasteczka, leżącego w kącie za górami, za lasami. Jakoż, nie szukając odległych wieków, jeżeli dziś nawet zajrzemy na jaką z wysp polinezyjskich, zastaniemy tam plemię, którego znajomość np. fizyki ogranicza się na tém, że ogień parzy, a całą indukcyą tego spostrzeżenia będzie to, że przy nim można upiec pieczeń z ciała bliźniego swego: cała jego sztuka ogranicza się na zrobieniu z piszczela ludzkiego rączki do wachlarza, a z zębów zabitej ofiary naszyjnik dla narzeczonej; i tak to co do wszystkich umiejętności i instytucyj. A jednak plemię takie, zgodnie z niektórymi badaniami naukowemi, ukazało się na ziemi wcześniej od aryjskiego, które ma być plemieniem ostatniem. Pomiedzy takim plemieniem a aryasami jest kilka gradacyj, żadna z nich jednak wysokością umysłu i doskonałością dzieł nie dochodzi aryjskiego. Zkąd to pochodzi? Nie z innych przymiotów, tylko czysto fizycznych, z własności przyrodzonych cechujących każde plemię wiekami w pewnych warunkach bytu żyjące, które to własności organiczne, mniej lub więcej korzystnie oddziaływają i na moralny ustrój, na umysłowe zdolności plemienia całego dziedzicznie przechodzące: ztąd rasy wyższe i niższe. Naturalna ta hierarchia plemion ludzkich odnajduje się we wszystkich ich dziełach, a przedewszyst-

stkiem i szczególnie w dziele ich najwytworniejszym: w religii. Owóż przyjrzyjmy się temu dziełu w łonie rozmaitych plemion.

Początek, zrodzenie się religii, nie stanowi dziś żadnej tajemnicy. Jest to fenomen psychologii ogólnej, który sam przez się nie opiera się na żadnym cudzie, czyli na żadnej interwencji miejscowej i nadzwyczajnej, wypływającej z potęgi wyższej nad człowieka. To co niektóre religie a w liczbie ich religia Zoroastra i nawet bramińska, nazywają objawieniem, może być rozumianem w takim tylko znaczeniu, jakie, zdaje się, przyjął twórca czwartej Ewangelii, to jest: „światła które oświeca każdego człowieka.” Tym tylko sposobem fakt naturalny godzi się z definicyą teologiczną, z objawieniem, i jeden drugiego ani spycha ani nie nadweręża. Takie fakta, takie objawienia, odbyły się w każdym człowieku, w każdym plemienu; ale jakżeż ztąd różne powstały teorye! Różnice między nimi są uderzające.

Ten psychologiczny fenomen najwyższego rzędu, ten prawdziwy, pierwiastkowy i wiekuisty rozumu fakt, rozwinął się w całej swój pełni u jednych tylko aryasów: chybiał on i dotąd jeszcze chybia u innych plemion. Mówić o bezwzględnej jedności bytu, myśli i życia, murzynom lub czerwonoskórym, jest to rzucać groch na ścianę. Niearyjskim plemionom Arabii, Egiptu i wszystkich krańcowych okolic Azyi, również dla mniei doskonałego organizmu, w części brakuje także tej zdolności rozbiorniczej która jest cechą charakterystyczną jedynie człowieka białego, czyli aryasa. Kiedy więc mówimy albo czytamy coś o czynnościach umysłowych w znaczeniu filozoficznem, musimy przedewszystkiem zastrzedz, że to dotyczy tylko aryasów i to doskonałych, wziętych w wieku dojrzałym i w kulminacyjnym punkcie cywilizacyi.

Jakoż badanie wykrywa nam tyle odmian w zdolnościach umysłowych i w rozwoju rozumu u rozmaitych plemion, ile jest między nimi różnic fizycznych. Ta to zdolność rozbiorna, indukcyjna, rozmaitej siły i napiętości u plemion, stanowi różnicę ich umysłowych objawów, tak samo jak stanowi różnicę w ogóle między ludźmi i zwierzętami. U niektórych zwierząt ona drżmie zupełnie, u innych jest w stanie zarodkowym, z którego nigdy wydobyc się nie może, u wyższych zwierząt nabiera nawet pewnego ograniczonego stopnia rozwinięcia; niektóre z nich nawet zbliżają się poniekąd aż do człowieka wziętego w rasie najniższej. Są ludzie mówiący dotąd językiem pierwiastkowym, bez żadnej kombinacyi gramatycznej, są tacy co rachują tylko do trzech i czczą kij; czyż o takich powiemy że mają wyobrażenie Boga? Zapewne, ale wyobrażenie to jest jeszcze bardzo odległe choćby od niebieskiego sultana Arabów. Jeden tylko aryas pojął byt, myśl i życie w jedności bezwzględnej. On tedy jest jedynym, prawdziwym kształcicielem religii, bo jak dowodnie wykazał Burnouff, nawet religie semityckie są późniejszymi i odnajdują się w wielkiej księdze hymnów wedyjskich.

Tymczasem były i są ludności, których religia, wychodząc tak jak i u aryasów z jednego i tego samego punktu, nie skupiła się w to absolutne pojęcie jedności bytu, myśli i życia. U jednych rozbiła się na kilka lub więcej jedności i wytworzyła wielobóstwo, u innych, niższych rodem, zamkniętych w oddalonych krańcach, pozbawionych wpływu rass wyższych, fetyszyzm jest wciąż przez wieki wieków jedynym religii wyrazem. Dziki, w fetyszu swoim nie widzi samego tylko zewnętrznego symbolu, to jest środka zaledwie przypominającego umysłowi pojęcie abstrakcyjne, czyli idealne: fetysz jest jego rzeczywistym bogiem, czasami bogiem plemiennym, częściej rodzinnym, prawie zawsze bogiem osobistym, którego każdy człowiek wybiera sobie, wykuwa, jak sam rozumie. W każdym razie jest rzeczą widoczną, że gdyby ten człowiek nie był rzucił jakiego myślącego spojrzenia na naturę która sprowadza mu radość i ból, gdyby mu się nie zdawało że w niej dostrzegł jakieś siły niewidzialne i wszechmocne, toć i nie przyszłoby mu na myśl skupić całej potęgi świata w kawałek kija, w kamień, w szczałek szmaty brudnej. Zaczął on więc tak samo jak aryas. Dlaczegoż inaczej skończył? Oto zabrakło mu potęgi umysłu rozbioreczej, indukcji: zatrzymał się na pierwszym kroku i spadł w materję, z której doraźny skok umysłu zdawał się go wyprowadzać. Tym skokiem nie wpadł nawet w politeizm chiński już wyższy od fetyszów, którego te fetysze wytworzyć nie mogły (1).

Jeżeli się nad tym faktem zastanowimy, i z którejkądy strony zapatrywać się będziemy na rozwój i krzewienie się religii, zagadnienie to zawsze sprowadzić się da do kwestyi *metody* mniej lub więcej należycie zrozumianej i zastosowanej. Metoda ta, od czasu jak Spiegel, Hang, Wilson, Max Müller, Burnouffowie, i inni orientaliści dali nam poznać księgę wiedzy (Vedas), zaczęła być dostępną i stała się jasną. Składa się ona z trzech kolejnych czynności umysłu: ten obserwuje najprzód fakta przyrodzone; następnie uogólnia je, to jest sprowadza je do jedności idealnych coraz rozciągalszych i coraz mniej licznych; nareszcie ta naturalna redukcya poza fenomenami dostrzega niematerialnie istoty rzeczywistej i wiecznotrwałej, której one są manifestacyami. Brak dwóch ostatnich czynności umysłu doprowadza do fetyszyzmu; uogólnianie niedokończzone wytwarza wielość bóstw; dopiero kiedy wszystkie trzy czynności umysłu odbędą się w zupełności, wtedy teoria już metafizyczna mająca za podstawę jedność Boga, to jest jedność substancji, aktu twórczego i prawa, powstaje pośród narodu i staje się tem co nazywamy religią. Wszystko inne, to jest obrządek i symbole, są tylko następstwem i wyrazem téj teoryi.

Kto jest obeznany z biegiem filozofii, łatwo zrozumie i przyzna że metoda która wytworzyła religię, jest właśnie tą samą jakiej zawsze i wiernie trzymała się i trzymać się będzie umięt-

(1) Patrz: La Science des Religions, sa methode et sa limite, par Emile Burnouff.

ność, bo metody umysłu ludzkiego nie są ani liczne ani różnorodne. Pomijając metody matematyczne, zajmujące się wyłącznie abstrakcjami, w badaniu wszystkiego co ma życie, umysł ogranicza się do trzech powyżej określonych czynności. Dwom pierwszym, zastosowywanym do umiejętności doświadczalnych, zawdzięczamy dokonane ostatnimi czasy znakomite postępy w fizyce, chemii i naukach przyrodzonych. Trzecia jest już czynnością czysto metafizyczną, przez nią tylko umiejętność zbliża się do religii.

Otoż tej trzeciej czynności umysłu ludzkiego wzbrania nam system pozytywistów. Nie darmo tu wodziliśmy czytelnika po tym długim labiryncie religijnych rozwojów. Jak się łatwo domyśleć, chcieliśmy mu w najwspanialszym kwiecie ducha ludzkiego pokazać, co za wartość ma dla nas ten ruch metafizycznego pierwiastku, który nam jest wrodzonym. Stanowi on chlubę ludzkiego rodu; stanowi on, jak widzieliśmy najdostojniejszą prerogatywę, najdostojniejszego z plemion. Bez niego stalibyśmy dziś na stanowisku Chińczyków, albo i na stanowisku dzikich tłuszczy polinezyjskich, tak pod względem religii jako i umiejętności, bo ten sam pierwiastek wpływa zarówno na tworzenie jednych i drugich, jak widzieliśmy przy porównaniu metod. Nie macie wiary w religię, zgoda; umiejętność jest waszą jedyną wiarą; więc jakimże prawem, choćby tylko w imię umiejętności, zamykacie dla niej samą możliwość zastosowania tego pierwiastku ludzkiego, bez którego człowiek nie jest człowiekiem? Nie jestże to bezmyślnym gwałceniem umysłu, tyranją, tłumienie tego pierwiastku, bez którego człowiek sąsiaduje ze zwierzęty?

Dotąd po przedstawieniu obrazu synoptycznego, czyli składu zajęć pozytywnych, po streszczeniu jego własnych argumentów, zajmowaliśmy się najprzód wyjaśnieniem i usprawiedliwieniem zarzutów czynionych pozytywizmowi o ateizm i materjalizm; i jeżeli stawione przez nas wskazówki mają jakąś wartość, to mogliśmy się przekonać że zarzuty te są słuszne. Ma prawo ktoś powiedzieć, zapewne: ja pójdę za pozytywizmem w tém co on ma w sobie najlepszego, za jego ścisłością metodyczną w umiejętności, a nie będę mu towarzyszył w jego konkluzjach, zatrzymam się u wstępu na drogi niebezpieczne. Zgoda; ten ktoś postąpi dobrze, nie zaprzeczam, tylko nie będzie pozytywistą, ale wprost uczonym. Pozytywizm co do swoich reguł powiada: *sint sicut sunt, aut non sint*. To jego dewiza, żadnych ustępstw; kto nie wierzy, niech się wczyta w Littrego.

Staraliśmy się dalej okazać, że jego mniemana bezstronność między idealizmem i spirytualizmem z jednej a ateizmem i materjalizmem z drugiej strony jest złudzeniem; że jest to raczej mniej więcej dobrze a nawet źle zamaskowany materjalizm, a przynajmniej wszystkie jego sympatye chylą się w tę stronę. I inaczej być nie mogło. Wszelka filozofia, a więc nauka nie ograniczająca się na umiejętności pojedynczej, z prawa umysłu ludzkiego musi wkroczyć w metafizykę, inaczej zatrzyma się na granicy niemożliwej,

zakreślonej dowolnie, konwencyonalnie, przymusowo. Jak raz wkroczyła w metafizykę, jest już w samym środku kwestyi teozoficznej, bo jest to jedno i to samo: metafizyka szuka pierwszej i jedynej przyczyny, a pierwsza przyczyna to Bóg, jakkolwiek sobie kto tę kwestyę rozwiąże czy w kierunku spirytualistycznym, czy w materialistycznym. To też pozytywizm teologuje i metafizykuje sobie potrosze.

Wreszcie staraliśmy się uzasadnić i to, że pozytywizm choćby i chciał, nie ma prawa wzbraniać postępowania metafizycznego, pod karą zdegradowania istoty ludzkiej, za poniżeniem której poszłoby, rozumie się, poniżenie wszystkiego co produkuje człowiek. Zakaz ten jest nienaturalny, i choćby chwilowo znalazł dostęp między umysłami serwilistycznymi, odepchniętym będzie przez myślący a niepodległy ogół.

Teraz musimy jeszcze zwrócić uwagę na metodę samą, jako na narzędzie czysto edukacyjne.

Łańcuch hierarchiczny z pięciu ogniw, umiejętną ręką Augusta Comte'a złożony, przynosi zapewne chlubę swemu twórcy; jednak nie jest on jakimś eraluem zjawiskiem, nowością z gruntu i z formy. Materyał do téj budowy mógł znaleźć Comte i w innych periodych; ale że był to materyał rozpierchły i niedostateczny, zawsze jest pewna zasługa przy tym, kto go pierwszy złożył w piramidalną całość, gdyby to wszakże, bez uprzedzenia, całością nazwać można. Łańcuch ten wszelako jest zawsze tylko ideałem, i w dziele tak Comte'a jak i Littrego z trudnością znaleźlibyśmy odpowiedź na zapytanie, jak go w praktyce zrealizować.

Littre wprowadzając w życie system naukowy Comte'a, powiada że on jak jest usprawiedliwionym naturą rzeczy i historią, tak samo powinien usprawiedliwić się *nauczaniem*, co jużciż jest konsekwencyą niezaprzeczenie logiczną.

Nasamprzód zwrócimy uwagę na to, że i przed Comtem i w nieświadomości nawet jego systematu, ta hierarchiczność *prae-ter propter* już się praktykowała na kuli ziemskiej, boć ją wskazuje sama natura umiejętności i powszechny zmysł porządku. Zapewne żeć porządek ten zależał bardzo od większej lub mniejszej doskonałości wyobrażeń edukacyjnych u pewnych społeczeństw; ale koniec końców, choćby ktoś i nie przestrzegał ściśle porządku kolejnego, nikt wszakże nie szedł w porządku odwrotnym. Choćbyśmy się powołali na pamięć naszych rówieśników, czy nawet starszych wiekiem, przyzna każdy, że kształcenie w naukach ścisłych rozpoczyna się od matematyki, następnie przechodzi się do fizyki, potem.... tu już się szeregi zaczynają plątać: chemia i nauki przyrodzone (biologia) albo się mieszają, albo nawet ostatnie wyprzedzają pierwszą, co nie jest w porządku pozytywnym, pod tym względem mającym za sobą całą logikę, prawo i wszystkie możliwe usprawiedliwienia. Co gorsza, odstąpienia dzisiejszej edukacji sprawiają w porządku tym niesłychany wyłom przez wpro-

wadzenie pewnych rozdziałów socjologii zaraz na początek kształcenia: historia, moralność, a dopieroż jeszcze nauka religii, nie mająca żadnej podstawy pozytywnej, wypaczają cały system.

Może ten niepozytywny kierunek edukacji ma za sobą coś przemawiającego, a mianowicie to, że nie należy i nie można zaczynać i kończyć do ostatnich granic całkowitego obszaru umiejętności, nie wprowadzając jakiegos drugiego działu: raz że umysł nie wyrobiony, zbyt delikatny, nie zdołałby iść bez wielkiego wyczerpania za biegiem kwestyi coraz bardziej skomplikowanych w jednej umiejętności, aż do jakiegos końca; powtóre że tego nawet ściśle i nie potrzeba, bo wykładając pewien przedmiot, można po dojściu do jakiegos kresu zająć umysł drugim przedmiotem, wykładem poprzednim już urządziwszy pole do wzajemnego spotkania się i porozumienia obu przedmiotów. Inaczej, musielibyśmy człowieka uczynić nasamprzód matematykiem skończonym, następnie dopiero fizykiem i astronomem skończonym, i tak dalej, co byłoby wielce nudnym i odstręczającym w nauczaniu; i o takim postępowaniu zapewne metoda pozytywna nie myślała. Dalej, edukacja szanując pewne zasady społeczne i w braku lepszych uważając je za rządzące, musiała odrazu z temi zasadami obeznawać ucznia, aby się wspólnie z odbieraniem instrukcyi kształcił na członka społeczeństwa i do obowiązków cięższych na nim wkładał: ztąd wczesne nauczanie religii, moralności, historii i t. p.

Jak się co do tych szczegółów i wątpliwości zachowuje pozytywizm dopatrzeć nie mogliśmy; a może w tém jest i nasza wina, gdyż nie zdarzyło nam się spotkać z żadnym dziełem specjalnie pedagogicznym w duchu pozytywnym nakreślonym. Ale że kwestya pozytywizmu zaledwie dopiero zaczyna u nas wstępować na pole dyskusyi, to trudno ją odrazu wyczerpać do dna; może ktoś później rzuci lepsze światło i na tę jej stronę wyłącznie pedagogiczną. Tymczasem nie będąc objaśnionemi, mamy prawo swobodnego komentowania.

Otóż nie wiemy dostatecznie, jak pozytywizm rozumie wprowadzenie tego idealnego planu naukowego w wykonanie a mianowicie: czy on ma się stosować zaraz do kształcenia początkowego, czy też przewodniczyć nauczaniu wyższemu, i jak w obu razach pogodzić ściśłość metody z zastarzałemi a nie zwalonymi jeszcze instytucjami.

W pierwszym razie, to jest gdyby system ten miał edukacyjnie obowiązywać od chwili gdy człowiek wstępuje na drogę kształcenia, to istotnie nie umiemy sobie zdać sprawy, jakby wyglądała taka edukacja, w której serca młodzieńczego nie uwzględniono wcale, gdzie zostawiono je własnemu kierunkowi. Skoro w systemacie tym teologia jest absolutnie wyłączona, więc religia nie ma żadnego poważnego znaczenia, zostawiono ją chyba dowolnie ludziom, jako bawidelko; jest to zatem powrót do bezmyślnego ateizmu materyalistycznego, jakim we Francyi oznaczył się koniec

XVIII-go wieku. Pojmuję taki stan w wieku dojrzałym, ale jak przy takim stanie kierować edukacją, jak w najprostszym znaczeniu urządzić lekcye, które ograniczać się mają pierwotnie na matematyce samęj z wyłączeniem wszystkiego co tchnie humanizmem; jak w takiem urządzeniu ma stopniowo wyrosnąć człowiek: tego wszystkiego imaginacya moja ogarnąć nie może, témbardziej gdybyśmy uznali za rzecz słuszną, że i drugiej połowy rodu ludzkiego, o której pozytywizm zdaje się zupełnie zapominać, to jest kobiety, od edukacyi odsądzać nie należy. Proszęż mi sobie wyobrazić kobietę pozytywnie wykształconą!

Jeżeli zaś ten tryb nauczania ma być zastosowanym tylko do edukacyi wyższej, to w tém jest gruba nielogiczność. Jak można byłoby przez dziesięć mniej więcej lat bałamucić głowę systemem, zdaniem pozytywistów przewrotnym, aby po dziesięciu latach dopiero odkrywać drogę właściwą i jedyną, do prawdy wiodącą; kazić własne dzieło i utrudniać mu rozkwit na polu źle przygotowaném? Wyraźny nonsens. Wprawdzie zdarza się, że i dziś ludzie wychowani w trybie dawniejszym, jak dostaną się w ręce nowatorów odrzucają pierwotne zasady i przykładają rękę do ich zburzenia, aby oczyścić miejsce dla nowego porządku rzeczy; ale są to tylko nieliczne wyjątki, które długą i energiczną pracą przyszły do takiej stanowczości wyobrażeń. Jeżeli zaś chodzi o utrwalenie jakiegoś systematu, to nie trzeba go stosować do wyjątków ale do ogółu, a ogół raz inaczej, drugi raz znów inaczej wychowywany, zawszeby coś wadliwego przyniósk z dawnego inwentarza, co by przeszkadzało prawidłowemu zaszczepianiu doktryny.

Może w regule nauczania, stawionej między koniecznemi istnienia jej warunkami, pozytywizm ma jaki środek wyjścia: prawdopodobnie i zapewne urządziłby on je z nie mniejszą stanowczością i absolutyzmem, jak narzucił swą teorię; ale w każdym razie nie obeszłoby się to bez zupełnej zmiany stosunków społecznych, dążeń i celów człowieka, bez zmiany słowem jego natury duchowej.

Szczęściem czy nieszczęściem jeszcześmy od tego dalecy, i świat na innęj drodze spodziewa się ulepszenia osiągnąć. Już dziś myślący ludzie, nawet wychodzący z szeregów pozytywistów, zaczynają doktrynę tę sprawiedliwie oceniać i czynią w niej wyłomy. Nie jest ona bez znaczenia w świecie nauki, i wartości jej z tej strony nie ukrywaliśmy wcale. Gdyby pozytywizm trzymał się szczerze drogi którą sam sobie wytknął, gdyby studyował nieco więcej filozofią, mógłby zająć poważne miejsce między szkołami jakie wyrodził krytycyzm Kanta; taki zaś jakim jest dzisiaj, jeśli mu się dobrze przyjrzymy, wygląda na drugą, zwiększoną i poprawioną edycyą encyklopedyzmu XVIII wieku, i brak mu tylko tego rodzaju poparcia jakie tamtemu udało się pozyskać.

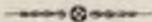
Pozytywizm ma przed sobą dwie drogi: na jedną przyciąga go materyalizm, ku drugiej wiedzie frakcyja angielska. Nazywa on sam siebie filozofią; ależ już zdaje się dostatecznie okazałiśmy,

że to być nie może, że niema filozofii któraby się gdzieś ograniczała i rzekła sobie: nie pójdę dalej; niema filozofii któraby na dnie umysłu zostawiała aby jedną nietkniętą kropelkę: ona wszystkie wychylić musi; niema filozofii któraby nie szukała odpowiedzi na wszystkie pytania jakie jej umysł ludzki nastęrcza: jeżeli pozytywizm czyni sobie takie zastrzeżenia, jego filozofia jest niczem. Jeżeli zaś on chce być koniecznie filozofią, to niech nie wymija żadnej kwestyi, niech je ogarnia wszystkie osobnemi teoryami, niech je podciągnie pod jedną teoryę, i z takim zapasem warunków w jakibądź sposób rozwiązać się mających, niech sobie idzie gdzie go losy prowadzą; wtedy przynajmniej będzie mógł się śmiało nazywać filozofią.

Jeżeli przeciwnie pozostanie ze swym wstrętem do przyczyn pierwszych i ostatnich, to niech abdykuje wcześniej z tytułu filozofii, niech nie rości pretensyi do wyłącznego rządzenia światem i ludzkością, ale może pozostać przy pięknym tytule kanonu naukowego; tylko do tego potrzeba mu dwóch warunków: pierwszy, ażeby zachował nie dyplomatyczną ale ścisłą neutralność pomiędzy wszystkimi teoryami metafizycznymi; drugi ażeby nie upierał się przy ścisłości swych ram, które bez nadwergżenia harmonii muszą być wzmocnione umiejętnościami uzupełniającemi wiedzę ludzką, tak jak to przewiduje szkoła pozytywna angielska. Usuwanie bowiem ze składu kanonu takich umiejętności jak logika i psychologia, jest to, jak już widzieliśmy, przesądzenie kwestyi w pewnym kierunku, z prawami neutralności niezgodne, co tém samém nadwergża charakter w jakim chce się pozytywizm przedstawić a przez to osłabia wiarę i zaufanie w całą jego istotę.

Takięto neutralności trzymają się istnie uczeni ludzie, jak: Kopernik, Newton, Cuvier, Jędrzej Śniadecki, Claude Bernard i Darwin; dla nich niema powagi żadnej w obec dowodów niezbitych, siłą geniuszu i siłą pracy wywołanych; a jeżeli rezultaty ich myśli mieszają porządek jakichbądź systemów filozoficznych, to trudna rada, ludzkość na prawdzie zyskać tylko może. Filozofia też jeśli nie jest ospałą i wsteczną, z wdzięcznością przyjmuje wszelkie odkrycia i rachuje się z niemi w badaniach swoich. Tębardziej ostrożną być powinna w przyjmowaniu widoków których podstawy są chwiejne a korzyści społeczne bardzo wątpliwe. Że kilku ludzi których pewne sympatyje łączą z metodą pozytywną wydało piękną i pożyteczne dzieła, to dla nas jeszcze nie dowód, że oni niewolniczo akceptują system we wszystkich jego szczegółach i poddają się pod jego wszystkie konkluzye. Widzimy tylko że są ścisłymi, i nic więcej; tak jak i bywało wielu ścisłych myślicieli na długo przed ogłoszeniem formularza pozytywnego; i w takiem tylko znaczeniu przyjmujemy wyrażenie, iż można wierzyć w istnienie rozumnej Woli co stworzyła świat, a przytem myśleć pozytywnie, to jest badać umiejętność niepodległe i z całą ścisłością metodyczną, nie zaprzędając się w niewolę zarozumiałej doktrynie.

Jeżeli więc pozytywizm nie spuści nic z wymagań swoich, i albo zechce zostać mniemaną filozofią, niedopuszczającą żadnej innej, starcząca za wszystko; albo upierać się bezwarunkowo przy swoich ramach nie dopuszczając do nich żadnego przybytku usprawiedliwionego: to prawdopodobnie, jako teoria, umrze taką samą śmiercią jaką zginął jego starszy brat, encyklopedyzm XVIII wieku; a to co w nim jest dobrego, przyswoi sobie metoda umiejętności, tak jak przyswaja sobie i dziś, nie dbając o to czy na wszystkich punktach wierną jest sztandarowi pod jaki ją arbitralnie powołuje religia pozytywistyczna.



DAWID GARRICK.

Przy ożywionym ruchu teatralnym i coraz nowych gościnnych występach artystów innych scen polskich nie powinna być obojętną obszerna i krytyczna wiadomość o jednym z najpotężniejszych artystów, jacy kiedykolwiek królowali na scenie. Komuż tu nie przyjdzie zaraz na myśl Garrick? Kto z pomiędzy najznakomitszych artystów zasługuje więcej od niego na uwagę, a jednakże z żadnym może tak źlenie obeszli się biografowie. Marphy i Davies, koledzy sławnego aktora skreślili jego biografią w sposób złośliwy, niezupełny a zarazem niedokładny. W najświeższych czasach p. Percy Fitzgerald napisał o Garricku dwa wielkie tomy, które bynajmniej nie wyczerpują przedmiotu. Z okazji wyjścia tego dzieła pomieścił Quarterly Review ciekawy artykuł, który tu podajemy w przekładzie.

I.

Dawid Garrick urodził się w Hereford, 19 lutego 1716 roku. Pochodzenie jego francuzkie. Dziadek Dawid Garrigue, opuściwszy Francją po odwołaniu edyktu Nantejskiego, schronił się do Londynu w r. 1685. Tu wkrótce przybyła do niego żona. W pośpiechu ucieczki pozostawili na ziemi francuzkiej jednego swego potomka Piotra, który wówczas był u mamki w okolicach Bordeaux. Dopiero we dwa lata później, przywiozła im go do Londynu mamka, Marya Mougner. Lecz w ciągu tych dwóch lat urodziła się im córka, a potem kilkoro jeszcze dzieci, z których tylko troje zostało przy życiu, tojest: Piotr, Dawid i Joanna. Dawid osiedlił się w Lizbonie jako kupiec wina, a Piotr wstąpił do wojska w r. 1706. Mianowany w 18 miesięcy oficerem, ożenił się z Arabellą Clough, córką duchownego katedry w Lichfield, w którymto mieście stał z pułkiem załogą. Los małżeństwa które się pobrało z miłości a bez majątku, da się łatwo przewidzieć. Dziesięcioro dzieci, z których troje umarło, powiększyło rodzinę; trzeciem z kolei był Dawid, przyszły artysta.

Rodzina zamieszkiwała zwykle w Lichfield. Garrikowie, oboje zaciżni z urodzenia i postępów, przyjmowani byli dobrze w najlepszych towarzystwach miasta. Dawid pozwalał już wówczas tuszyć pochlebnie o sobie. Żywego umysłu i swobodnego charakteru, patrzył na świat bystro, obserwował. Wiadomości, jakich nabył w szkole elementarnej miejscowej, i później w Edial pod kierunkiem swego rodaka Samuela Johnsona, rozszerzyły ukształcenie jego w stopniu, którego by się może nie dobił w najdroższych zakładach naukowych. Przedstawienia teatralne dawane w Lichfield przez różne trupy koczujące, odkryły przyszltemu Rosciuszowi przyszlte jego powołanie, pobudzając w nim gust do teatru. Te pierwsze wrażenia podnieciły w nim w wysokim stopniu emulacyę. Powiedział sobie jak Corregio na widok arcydzieł: „I ja także jestem aktorem.” Więc tóz w jednajstym już roku życia, grał przedziwnie rolę wojskowego z komedyi Farquhara p. t. „Oficer werbujący.”

Lecz rodzina walczyła z biędą. Ojciec nie mogąc się podźwignąć, opuścił pułk dragonów w którym służył, i przeszedł do piechoty. Starszy syn Piotr wstąpił do marynarki, Dawida zaś na zaproszenie stryja, posłano do Lizbony; lecz bawił on tam kilka zaledwie miesięcy, czy to że nie czuł powołania do kupieckiego stanu, czy tóz z innego powodu. Zawsze jednak pobyt ten posłużył do uwydatnienia talentu przyszltego aktora, gdyż po obiedzie stawiano go na stole, na którójto zaimprovizowanej scenie deklamował rozmaite ustępy ze znanych sztuk. Rozweselał niemało dom starego kawalera, to tóz w kilka lat później gdy stary stryj przybył do Anglii aby tu dnie swoje zakończyć, zapisał Dawidowi 1000 funtów szterlingów, czyli dwa razy tyle co każdemu z jego rodzeństwa.

Ojciec Garricka, nie mogąc sobie zaradzić połową żołdu który pobierał jako nie pełniący czynnej służby przymuszony był znów połączyć się ze swym pułkiem, w r. 1731. Zostawił żonę w zatargach z wierzycielami i obarczoną tysiącem trosk. Wtedyto umiał ją pocieszać młody Dawid, umiał ożywić i wywołać uśmiech na stroskane i smętne lica. Po pięciu latach trudu, mozołu i zmartwień, powrócił stary Garrick w domowe zacisze na to, ażeby wkrótce umrzeć. Towarzyszka pospieszyła rychło za nim.

Młody Dawid nie próżnował w czasie nieobecności ojca. Nie-spracowana jego wyobraźnia i dostrzegawczy umysł, wyszukały sobie obfity pokarm na przyszłość. Rozrywano go po towarzystwach, gdzie umiał zarówno bawić starych jak młodych, jednając sobie serca wszystkich. Wojciech Walmsley, pisarz konsystorza, wziął go pod swą szczególną opiekę. Za jego to radą i pomocą, posłano Dawida wraz z bratem Jerzym do Edial, do zakładu Johnsona. Garrick z Johnsonem złączeni byli przyjaźnią, różnili się w wieku o siedm tylko lat; ale Johnson umiał się już postawić w wyższości względem młodego towarzysza, który w zamian odpłacał mu przywiązaniem, w późniejszym życiu rzadko kiedy na chwilę

przerwanem. Czasem znowu zawozili Dawida przyjaciele do teatru w Londynie, gdzie studyował grę aktorów, których miał nie długo zaćmić. Już wtedy marzył o złobyciu sobie publicznego rozgłosu tą drogą, lecz bał się jeszcze i wspominać o tém, bo wiedział że obraniu tego zawodu sprzeciwić się będą jego krewni. Ale po powrocie ojca z armii, potrzeba sobie było obrać jakiś stan, miał już bowiem lat dziewiętnaście. Chciał z początku iść na linię obrończą, w czém utwierdzała go naturalna łatwość i zdolność wymowy; lecz potrzeba było w takim razie studyów przygotowawczych, które wymagały czasu, a więc i pieniędzy, na które nie stać było rodzinę. W tak przykrych okolicznościach, p. Walmsley napisał list do swego przyjaciela p. Colson'a bardzo uczonego męża, później profesora w Cambridge, który miał ukształcenia Dawida dokończyć. Zgodził się na propozycyą p. Colson. Równocześnie Samuel Johnson poleconym był p. Colsonowi. Johnson przymuszony porzucić swój zakład w Edial postanowił popróbować fortuny literackiej, i dlatego pomyślał o Londynie, tém ognisku wszystkich ambicij. Stawny ten później pisarz napisał już w téj epoce tragedye *Irenę*, którą wielce uwielbiano na prowincyi. Razem więc z Garickiem puścili się w drogę, ubodzy w pieniądze ale bogaci w nadzieje.

Garrick przybywszy do stolicy Anglii, postarał się o przyjęcie w Towarzystwie Lincoln Jnn, płacąc wkładkę 3 liw. 3 szylingi i 4 pen. Składka ta była jedynym dowodem, iż był kiedy w klubie tym członkiem. Zasoby obydwóch młodzieńców były tak szczupłe, że musieli zaciągnąć pożyczkę 5 liwrów, ażeby się uiszczyć z długu księgarzowi Wilcox, który później był największym przyjacielem Johnsona. Co się zaś tyczy edukacyi u p. Colsona, to zdaje się że była wstrzymaną z powodu zaszłej śmierci ojca Garricka w miesiąc po jego przyjeździe, i dopiero po odebraniu dziedzictwa stryjowskiego, mógł znowu wydatki w tym celu niezbędne wyrównać. Zainstalował się u p. Colsona w Rochester w r. 1737 na kilka miesięcy; lecz nie wiele skorzystał, bo umysł kierunku Garricka nie mógł się pogodzić z umysłem przejętym na wskroś suchemi okruciami nauki. Zawsze jednak nabył pewnych ważnych wiadomości, a swoim zwyczajem tak umiał wszystkich ku sobie pociągnąć, że pani Newling córka pana Colsona długi czas wspominała o nim serdecznie.

Z początkiem r. 1738 powrócił Garrick do Lichfield. Przyjechał równie brat Piotr. Potrzeba było pomyśleć o egzystencyi pięciu z rodzeństwa. W tym celu Dawid i Piotr złączyli szczupłe swe fortuny i rozpoczęli handel win w Londynie, z taką filią w Lichfield. Dawid jako mający pewne stosunki w Londynie, objął zarząd tamże, najął piwnice w Durham Yard. Foote, autor satyryczny, mówiąc później o wielkim artyście, przedstawia go ze swą zwykłą komiczną werwą, jako właściciela piwnicy zapełnionej butelkami octowem, a mimo to mianującego się właścicielem, win. Aktor Macklin, nieodstępny wówczas towarzysz Garricka,

a później najgwałtowniejszy jego potwarca, tak określa ową epokę: „Byłto bardzo zgrabny młodzieniec, pełen żywości i wdzięku, fizyognomii wyrazistej a obejścia nader uprzejmego”. Biograf zaś Macklina dodaje mówiąc o Garricku: „Jedynym przedmiotem myśli jego i rozmowy był już w owym czasie teatr. W wycieczkach przedsięwziętych wspólnie z przyjaciółmi, chwycił Garrick za serca wszystkich swym dowcipem i swą przyjemną erudycją. Prócz rozlicznych wiadomości, wiedział nadto mnóstwo anegdot z podróży które opowiadał nadzwyczaj komicznie.”

Taki stan rzeczy, musiał mieć odpowiednie wyjście. Handel win szedł coraz gorzej, wkrótce upadł zupełnie zastąpiony studyowaniem sztuk teatralnych i pożyciem z artystami i literatami, zwykłymi jego towarzyszami. Celował także w epigramatach: tworzeniu wierszy, które przyjaciel jego Johnson drukował w *Gentlemens Magazine*. Prócz rozlicznych artykułów krytyki teatralnej, skomponował i utwory dramatyczne: *Lethe* i *Lokaj kłamiwy*. Miał wstęp za kulisy na dwie wielkie sceny teatru Drury Lane i Covent-Garden, talent zaś jego aktorski a już uznany, zabłysnął przypadkowym sposobem w r. 1740. Pewnego wieczora, gdy aktor Woodward nie mógł grać dla nagłej słabości roli arlekina, Garrick zastąpił go tak szczęśliwie, że widzowie nie spostrzegli nawet zastępstwa.

Zamiłowanie teatru, nie było u niego pospolitą i codzienną; przejęty był albowiem głęboko zasadą, że jedyny prawdziwy warunek powodzenia na scenie, polega na wiernym odtworzeniu natury. Otóż w sztuce dramatycznej owej epoki dostrzegł samą tylko deklamacją monotonną i rzemieślniczą, i akcją fałszywą i wymuszoną, w której emfaza grała rolę natury. Zauważył, iż szerokie pole stoi otworem dla człowieka ambitnego, któryby posiadał dosyć odwagi i talentu ażeby sprowadzić sztukę na drogę prawdy. Uczuł się więc powołanym do spełnienia tego przeobrażenia, do którego wreszcie przygotował już potroszę publiczność aktor Macklin nagłą inspiracją w roli Szyloka. Szyloka bowiem nie grano dotąd w teatrze nigdy inaczej tylko komicznie, lecz Macklin czytając Szekspira jako ukształcony artysta, pojął ile się da wycisnąć z namiętności tak gwałtownej; dlatego przedstawił uczucie nienawiści i zemsty gorejące w sercu Szyloka z taką potęgą, że sobie odrazu zapewnił olbrzymie powodzenie. Macklin nie był bynajmniej doskonałym artystą, przeciwnie, talentowi jego brakowało giętkości i różnaitości; nie posiadał też owego wdzięku niezbędnego dla aktora, więc też i powodzenie jego było przemijające. Dokończenie reformy, zaszkicowanej przez niego, miało przypaść w udziale młodemu jego przyjacielowi.

A zbliżał się już czas, w którym się ta reforma dopełnić miała. Następne zaraz lato zdecydowało los Garricka. Zanimby jednak wystąpił przed publicznością londyńską, chciał przedtem i bardzo rozsądnie spróbować się na scenie prowincjonalnej.

W tymto zamiarze udał się do Ipswich, z trupą Giffarda, dyrektora teatru Goodman Field. Pod nazwiskiem przybraném Lyddala, grał tam kilka ról tragicznych i komicznych, prawda że niezbyt ważnych, ale służących mu za wskazówkę jaki ma sobie wybrać rodzaj. Powódzenie miał tak wielkie i rzeczywiste, że się zdecydował wystąpić na scenach stolicy.

Z pomiędzy wszystkich przymiotów Garricka, jeden który go natychmiast odróżnił od innych, i którym przewyższył wszystkich spółczesnych przez cały czas swój karyery, polegał na zdolności przemieniania się tak doskonałego w przedstawianą osobę, że zapominano o artyście a widziano tylko figurę sztuki jakby wskrzeszoną na nowo. Był on żywo drgającą reprodukcją prawdy. Fizyognomia jego wyrażała uczucia które chciał uwewnętrznić z taką prawdą, że wprawiała widza w złudzenie najwyższego stopnia; giest jego i postawa pozwalały odgadywać słowa zanim je wymówił. Głos jego melodyjny i zawsze pewny w intonacji, nie był głosem potężnym, ale brzmiał owym głębokim przenikającym akcentem, który stanowi tryumf mówcy i aktora. Wzrost jego smukły i pełen wdzięku, jakkolwiek niższy od średniego, odpowiadał jednak doskonale wszystkiemu czego wymagało jego wrażliwe usposobienie. Sprawdzić to można na wszystkich portretach Garricka, nawet najdawniejszych. Potęgę zaś jego wzroku, którym magnetyzował i czarował publiczność, i którym przedewszystkiem panował nad spółgrającymi z nim aktorami, najlepiej sprawdzić na portretach, najpóźniej malowanych. Jakkolwiek więc Garricka znakomicie uposażyła natura, zawdzięczał on jednak wielki swój talent, najwięcej usilnym i nieustannym studyum. Ukształcony w szkole najlepszych nauczycieli, zgłębiał nawet ich błędy właśnie dlatego, ażeby ich uniknąć. Sam mawiał że powodzenie jakie miał w Ryszardzie III zawdzięczał uwagom, jakie w nim wywołała gra w téj roli bardzo miernego aktora Ryana. W téjto roli debiutował w Londynie, a nie mógł uczynić szczęśliwszego wyboru, gdyż była ona niezmiernie sposobną do uwydatnienia i rozwinięcia jego zasobów. Rolę Ryszarda grał naówczas Quin, którego ciężka dykcya i gra napuszysta, jeszcze charakterystyczniej uwydatniły energię i barwność wyrażenia, z jakimi miał wkrótce Garrick obznajomić publiczność. Zwyczajem przyjętym w sferach teatralnych, zapowiedziano młodemu debiutanta jako gentlemana, który jeszcze nigdy nie występował na deskach teatralnych. Salka nie była wielką, ale widzów była dość znaczna liczba, ażeby zapewnić tryumf aktorowi, i tryumf ten rozstawić. Sposób mówienia nowy, niezwykły a w tak ścisłej będący harmonii z naturą, wzbudził z początku wielkie zdziwienie. Publiczność nie była wcale przyzwyczajoną do tak trafnej modulacji głosu, do ruchów prostych i naturalnych odpowiednich wyrazowi twarzy. Lecz, skoro Garrick zagrał kilka scen, dając dowód skończonego mistrzostwa, wzruszenie ogarnęło widzów i oklaski wybuchły z całą siłą. Macklin który był obecnym na téj reprezentacji,

w tych słowach opisuje przyjemność jaką mu ona sprawiła: „Prawdziwy to cud, jak bez żadnego wzoru, z pierwszego zaraz wejścia, umiał on (Garrick) nadać Ryszardowi III fizygnomię tak nową i tak dalece porywającą, że najuporniejsi i najprzeciwniejsi przyznać musieli, iż się obraca w zakresie prawdy. Krótko mówiąc, przeobraził z gruntu i od razu gust publiczności. Podobne to było do uderzenia piorunu. Aktorowie z Quinem na czele, nadarmo się sprzysięgali przeciw niemu knując kabały, gdyż miasto całe stanęło za nim murem. Ta rola jakotóż pięć lub sześć innych w których tak samo wyższość swą uwidocznił, zapewniły *nieśmiertelność* malemu debiutantowi.”

Nazajutrz *Daily Post* zaznaczyła ten debiut jako najświetniejszy i jeden z najniezwyczajniejszych, jakie kiedykolwiek miały miejsce. Inne pismo wynosiło nowego artystę w tych słowach: „figura jego jest kształtną, głos słodki i harmonijny bez monotonii, mowa urozmaicona bez affektacyi, nie rozwlekła, nie przechodząca w dzikie krzyki ani w wycie lub śmieche jęki (zdaje się, że tragiccy owój epoki podobni byli do dzisiejszych), dykcya zaś zawsze umiarkowana i zastosowana z nieporównaną sztuką, giętka i naturalna w przejściach.”

Krytyka dodaje:

„Chód Garricka lekki, wdzięczny, bez żadnej sztywności. *Umie on przede wszystkim słuchać* osoby z nim spółgrające. Gdy przestaje mówić, nie porzuca przez to swój roli już to patrzeniem pogardliwém na aktora nierównego mu talentem, już téż błędném wodzeniem oczu po widzach. Nie naciąga on gwałtownie swych efektów ani ich nie powtarza bezpożytecznie, krótko mówiąc jest pełen wdzięku i przyzwoitości.”

Sąd ten szacownym jest raz dlatego że nam pokazuje czém był Garrick, a potem daje nam poznać aktorów owój epoki. Garrick zajął się sztuką poważnie, traktując ją nie jako rzemiosło na wzór reszty aktorów, ale oddając jęj duszę swą i życie. Przetopił się całkowicie w swój ideał Ryszarda III, tak że postać ta przemawiała z każdego jego spojrzenia, z najłżejszój zmiany fizygnomii, z każdego poruszenia. Zdarzało się czasem, że tracił głos przed czwartym aktem, ratując się w tym wypadku wysaniem pomarańczy; lecz wypadek ten powtarzający się dość często w jego późniejszym zawodzie, nie był skutkiem nieumiarkowanój gwałtowności lub nadużycia głosu, ale przypisać go trzeba wrażliwój jego organizacyi.

W owym czasie teatr był niejako czwartą potęgą, więc nie dziw że taki talent dramatyczny musiał być szybko uznany i uwielbiony. Pierwszy występ Garricka miał miejsce d. 19 października 1741. Grał trzy razy, raz poraz rolę Ryszarda III. Publiczność nie uczęszczała jeszcze tak licznie, a gaża aktora wynosiła zaledwie gwineę za reprezentacyę; mimoto rozgłos tego nowego zjawiska rozszedł się z podrzędnegó przedmieścia w którém się mieścił teatr Goodmann Field, aż do West-end. Ryszard III ukazał się znów

na afiszu. Sala teatrzyku zaludniła się elegancką publicznością z Saint James i z Grosvenor Square; karety magnateryi tworzyły długi szereg aż do Whitechapel; przybyły też w wielkiej liczbie, znakomitości literackie i wyrocznie w rzeczach gustu, o które Garrickowi więcej chodziło niż o napyw arystokracji; 2 grudnia, Pope jakkolwiek mocno cierpiący, zaszczycił skromny teatrzyk swoją obecnością. Wielki poeta który widział najlepszych niegdyś aktorów, chciał osobiście sprawdzić pogłoski obiegające o młodym debiutancie, jakoby przewyższał Macklina, Bettertona i Bootha.

„Ujrzałem — opowiada Garrick — poetę ubranego czarno, siedzącego w bocznej łoży tuż zaraz przy scenie, i przypatrującego mi się z baczną uwagą. Oko jego lśniące jak błyskawica, przenikało mnie do głębi duszy. Czułem się wzruszony do głębi z radości i niepokoju. W miarę rozwinięcia się dramatu, oklaski wybuchały coraz głośniejsze, sądzicie atoli o mojem szczęściu, gdy do tych oklasków przyłączyły się dłonie Popego”.

Dwa razy jeszcze złożył Pope hołd uwielbienia nowoczesnemu artyście. Zdanie jakie o nim wypowiedział, a które powtórzył Garrickowi lord Orsay świadczy, jak wiele wróżył z jego talentu: „Młodzieniec ten — powiedział — przewyższa wszystkich swych poprzedników, a nie będzie miał nigdy rywala”. Pope obawiał się ażeby go tryumfy nie popsowały, ale geniusz Garricka nie był z liczby tych, które marnieją w powodzeniu. On jeden wiedział tylko, jak jeszcze dalekim jest od marzonego ideału. Innym mogło się zdawać, że nie potrzebują już nic dodać do swych kreacji, ale on czuł to dobrze że niema takiej roli, zwłaszcza w Szekspirze, któraby nie zostawiła żadnego już szczegółku dającego się jeszcze podnieść czémś niezwycajnem lub nowem. Pochwały pani Porter, wielkiej tragiczki, która przybyła umyślnie do Londynu ze swój samotni, ażeby przyklasnąć Garrickowi, są jeszcze wyraźniejsze i szczegółowsze. Mówi ona: „Urodził on się aktorem, a doszedł za pierwszym występem do szczytu, który inni osiągają zaledwie po 20 latach doświadczenia. Cóżto będzie dalej?” Książę Argyll i lord Chatam, wielcy znawcy i miłośnicy teatru, stawili go wyżej Bettertona. Sprzeczk i polemiki jakie krążyły między publicznością o talencie młodego artysty, zwiększyły tylko jego sławę. Tłumy widzów pchały się do teatrzyku, który nie mógł wszystkich pomieścić. Skromna gaża jednej gwinei za reprezentacją nie była już stosowną dla takiego talentu, dlatego Giffard dyrektor trupy zaproponował Garrickowi ażeby był współ-dyrygującym. Tak więc w kilku miesiącach, wielki ten aktor położył podwójne fundamenta sławie swój i fortunie.

Powodzenie to podjęło zazdrość aktorów, zajmujących dotychczas pierwsze miejsca, gdyż samym faktem potępiało ton który oni nazywali klassycznym. Jeden z nich odzywał się głośno w te słowa: „jeżeli ten młody człowiek na prawdziwej jest drodze, natenczas my chyba byliśmy dotąd na fałszywej?” czém jakby herkulesową maczugą chciał dobić debiutanta. Sentencyonalny

zaś Quin mówił: „Garrick jestto nowostka w modzie, jestto nowa religia, biegną za nim jak za drugim Whitefieldem, ale dyssydenci powrócą znowu do prawowiernego kościoła.” Tymczasem powrót ten jakoś się spóźniał, a inaczej być nie mogło, bo nastąpiła nowa era dla sztuk dramatycznej. Garrick obdarzony nietylko aktorskim talentem, odpowiedział na sarkazmy epigrammatem, w którym ten ustęp brzmi charakterystycznie:

„Skoro doktryna zyskuje ogólne uznanie, to już nie jest herezyą ale reformą.” Lecz wreszcie, na co się przydał syk zazdrości? Co mogły poradzić krytyki zgryźliwe, zawsze gotowe do podburzania opinii publicznej, kiedy lordowie królestwa, wielcy mówcy parlamentu i ministrowie nietylko że się nie zadawali ucześnie do teatru, ale nadto starali się usilnie o przyjaźń artysty. Nadaremnie Gray i Walpole rozszerzali wszędzie że nie widzą w nim nic nadzwyczajnego (czyż Walpole uznał kiedy jaką wyższość!) gdyż sami czuli się za słabi w obec publicznej opinii. Colley Cibber, który grał Ryszarda III na swój sposób, a którego pomysły o sztuce zachwiać się musiały przeobrażeniem dokonane przez Garricka, nie mógł go nie uwielbiać, to też zdanie człowieka który był zarazem i wielkim krytykiem i niepospolitym aktorem miało swój walor. Garrick poznał się na tém pisząc w radości do swych braci: „stary Cibber mówił o grze mojej z wielkimi pochwałami.”

Publiczność uwielbiała Garricka dopiero w Ryszardzie III, teraz miała się zachwycić nową niespodzianką, to jest talentem jego komicznym nie mniej znakomitym w „Tryumfie fanfaronu,” w „Starym kawalerze” Congreva, i innych tego rodzaju utworach. Udatna jego komedia grana w r. 1741 p. t. „Sługa kłamcą” ustaliła jego reputacyą jako autora i jako aktora komicznego. Niektórzy z jego przyjaciół, mianowicie współrodak jego Newton przyszły biskup, widzieli w nowym tym zwrocie, fałszywy kierunek dany talentowi, pisał więc do niego tenże: „Ty, który jesteś na szczycie ról najwspanialszych, jak możesz zniżać się do trywialności? Przecież to rzecz prawie niesłychana, ażeby aktor mógł być wielkim w dwóch rodzajach tak sobie przeciwnych.” Uwaga ta słuszna gdyby dotyczyła pospolitego artysty, miała przynajmniej ten skutek że oddaliła Garricka od fars, trzymając go w wyższej komedii. Rozdzielenie takie atoli nie jest słusznym powodem mogącym artystę ścieśniać w jednym rodzaju, jeżeli ma dosyć talentu ażeby podołać wszystkim. Dlaczegożby nie grał komicznej roli po Otellu lub Koryolanie? Szekspir nie pisałże wszelakich sztuk, nie przestając być przez to geniuszem? a jeżeli kiedy którykolwiek gozdzien był takiego przywileju, to niezawodnie Garrick. Nikt nie posiadał większej od niego uniwersalności, téj saméj która stanowiła sławę Szekspira. Dał tego świetne dowody, grając naprzemian króla *Lira* i *Alchymistę* i *Hamleta*, a wszystko tak znakomicie, że krytycy nie wiedzieli w jakiej roli przyznać mu pierwszeństwo. Najwięksi jego nieprzyjaciele oddawali mu tę sprawiedliwość, czyto za jego życia, czy téż po śmierci. Nawet cyni-

czny Walpole przyznał po śmierci Garricka, że był to największy aktor jaki się kiedy ukazał w dramacie i komedyi. Newton także zmodyfikował wkrótce zdanie swe powyższe; oto co pisze do Garricka: „Co mnie najwięcej w tobie zastanawia, to ta podziwienia godna rozmaitość twój gry, to ta nieporównana giętkość, która sprawia, że nie jesteś tym samym człowiekiem w Lirze a w Ryszardzie. Inni aktorowie mają po większej części grę jednaką. Ciber zachowuje zawsze odcień buffona, tak że role jego jako Wolseya, Syfaksa albo Jaga, przypominają mniej więcej rolę lorda Foppingtona: Booth miał zawsze na swe usługi jeden rodzaj namiętności, gdy tymczasem u ciebie namiętności różnią się w miarę wieku i stanowiska osób przedstawianych. W rolach Ryszarda, Chaumonta, Bayesa i Lira, nie widziałem nigdy czterech aktorów różniących się tyle między sobą, ile ciebie odróżniającego się od samego siebie w tych czterech rolach.”

Król Lir był podobnie jak Ryszard III jedną z najpiękniejszych kreacyj Garricka. Wszakże zdaje się, według biografii Macklina i Cooecka, że dwie pierwsze reprezentacje nie zadowolniły krytyki. Artysta nie uwidoczniał dostatecznie słabości starca, mającego blisko sto lat. Przekleństwo nie wybuchło tak jak wybuch przekleństwo wściekłości bezsilnej, scenie w więzieniu brak było godności i t. d. Garrick zapamiętał sobie wszystkie te uwagi. Zawiesił przedstawienia tej sztuki na sześć tygodni, a w tym ustępie czasu studyował rolę swą na nowo. To też powtórzenie według słów tego samego pisarza, było prawdziwem wydarzeniem teatralnem. Szczególniej przekleństwo zelektryzowało publiczność. Sławny wykrzyk: *zabij, zabij, zabij!* przeszył wszystkich dreszczem, a rozczulanie się starego króla przy poznaniu Kordelii, wzruszyło obecnych do łez: „Krótko mówiąc—powiada Macklin—mały debiutant uzyskał tą rolą tryumf, który go nie opuścił do końca życia.”

W chwili gdy miasto całe brzmiało oklaskami na cześć jego, i gdy się rozkoszował szczęściem, jakie mu sprawiało spełnienie najgorętszych marzeń, nie zapomniał jednak swego współnika w handlu win, ani też innych dobrych znajomych w Lichfield. Gryzli się oni nie pomału wiadomością, iż wstąpił na deski teatralne. Nie wiedzieli oni nic o pierwszych występach młodego Dawida w Ipswich, a gdy w jakiś czas potem brat jego Piotr pojechał do Londynu, zastał go chorym i niespokojnym. Było to przesilenie, wynikłe skutkiem powzięcia tak ryzykownego zamiaru. Garrick jakkolwiek postanowił już nieopuszczać teatru, nie śmiał jednak jeszcze zawiadomić o tém rodziny. Uczynił to dopiero po wystąpieniu w Goodmans Field, pisząc list do Piotra. Uprasza w nim o pobłażliwość swego brata i współnika, tonem dowodzącym zarówno skromności artysty jak i prostoty kochającej człowieka:

„Wiesz przecie bracie—pisze—jakie miałem zawsze zamiłowanie do teatru, dlatego stan gorączkowy w jakim mnie niedawno zastałeś, był wynikiem mego niepokoju i obawy, chcąc cię

powiadomić o mojem postanowieniu. Zmuszony koniecznością obrać sobie nowy sposób życia, obrałem sobie ten, który mi jest najprzyjemniejszym. Lękając się twój niechęci, mam jednak nadzieję że gdy ujrzysz iż mam talent aktora bez nałogów aktorskich, przebaczysz mi i nie będziesz się wstydził twego brata. Wczoraj wieczór grałem Ryszarda III ku ogólnemu podziwieniu. Obecna moja pozycya, przyniesie mi jak obliczyłem, blisko 300 funtów szterlingów rocznie, a ponieważ ona przypada mi najzupełniej do usposobienia, więc postanowiłem nie porzucać jej więcej."

Donosił dalej bratu, że handel win w Durham upadł zupełnie, przyczem stracił całkowicie mały swój kapitał 400 funtów, bez nadziei odzyskania go napowrót. Proponował więc bratu arcywygodną ugodę tyczącą się spółki, obiecując zarazem podzielić się z rodziną korzyściami nowo obranego zawodu. Mimo to wieść o jego debiutach, wywarła wielkie wrażenie w Lichfield. Rodzina Garricka patrzyła z wielką niechęcią na to, że jeden z jej członków został *komedyantem*, że więc pędzić będzie życie hulaszcze, nieodłączne jak się jęj zdawało, od życia w teatrze. W kilka dni potem donosi Dawid bratu, że przyjaciele jego którzy chcieli go z początku wycofać z aktorskiego zawodu, teraz przeciwnie najwięcej go zachęcają do wytrwania. Dodaje, że najznakomitsze osoby starają się o jego znajomość, że jeszcze nigdy nie przyjmowano go tak dobrze w towarzystwach jak teraz gdy wstąpił na deski teatralne, że p. Pitt, największy mówca Izby niższej, wielce go chwalił, i że książę de Galles oczekiwany jest codzień w teatrze, gdyż ma zamiar sam ocenić talent aktora, o którym słyszał największe pochwały. Te mianowicie okoliczności podziały zwycięzko na materialnego cokolwiek Piotra Garricka i na umysł bojaźliwy siostr jego: podziały zapewne więcej, aniżeli by to wysokie powołanie sztuki sprawić mogło. Dawid mógł im śmiało powiedzieć, że powołanie jego było tak koniecznym i nieuniknionym jak powołanie malarza lub poety, i że się czuł pociągnięty ku teatrowi tak jak Milton ku poezyi lub Rafael ku malarstwu, lubo wątpić trzeba iżby argumentacyę zrozumieli poczciwi ludziska w Lichfield. Dlatego wspomina im z naciskiem o znakomitościach poszukujących jego przyjaźni jako o prawniku Murrayu, Popem, p. Lyttleton ulubieńcu księcia de Galles, z którym często obiadował w najlepszej zawsze komitywie, i o lordach Halifax, Sandwich i Chesterfield. Mieszkańcy Lichfield przekonawszy się, że ich współrodak w tak wielkim żyje świecie, a mianowicie że jest na drodze zrobienia fortuny, nie upierali się zbyt długo przy zakorzenionych uprzedzeniach. Lecz przyznać trzeba, że Garrick nie bez pewnej goryczy dostrzegł brak prawdziwego szacunku w jego rodzinie dla sztuki której poświęcał życie. Prawda że i sam, pośród powszechnego zapалу nad jego talentem, nie mógł się pozbyć pewnych uprzedzeń co do swego nowego społecznego stanowiska. Newton, któremu

się z nich zwierzył, pospieszył z odpowiedzią obalającą je najzupełniej:

„Nie masz potrzeby tłumaczenia się z obranego przez siebie zawodu, pisze doń 16 grudnia 1741 r., urodziłeś się albowiem aktorem więcej od kogokolwiek w świecie, i byłby to wielki błąd z twój strony, gdy byś nie wyrobił sobie w teatrze sławy i fortuny. Dlaczegoż masz się za poniżonego? Do odegrania dobrze komedyi potrzeba tak samo wielkiego talentu jak do każdej innéj rzeczy, a niech tylko człowiek będzie przytém uczciwym, to już zasługuje na przyjaźń każdego, choćby był najwyższym. Wiesz przecie, że Rosciusz żył w przyjaźni z Cyncronem, Betterton z biskupami Sprat i Atterbury, a najznakomitsi ludzie odwiedzali go nie jako wesołego kompana, ale jako przyjaciela i przyjemnego towarzysza.”

Zachęty te, jakkolwiek dość pospolite i mało godne człowieką wyznającego zarazem cześć dla sztuki i szacunek samego siebie, miały jednak swe znaczenie. Mimo powszechnej estymy jaka otaczała Garricka, znosić jednak musiał czasem lekceważenie nie tyle ze strony publiczności, ile dziwna rzecz, ze strony pewnych literatów, szczególnież zaś Johnsona, którzy przecież powinni byli stać wyżej od każdego ponad przesądem. Ci właśnie nie zaniechali żadnej sposobności, ażeby znakomitemu aktorowi dać uczuć swą wyższość; najznakomitsi tylko jak Burke, Warburton, Camden i Reynolds, jakoteż najwięksi panowie jak książęta Devonshire i Portland, strzegli się okazania najlżejszej wyższości lub fałskawej popularności.

Tryumfy Garricka były dlań zarazem karą, bo mu nie dawały spokoju. Od dnia pierwszego występu w październiku 1741 aż do maja następnego roku, w którym zamknięto teatr Goodmansfield, grał ani mniej, ani więcej tylko 138 razy, a zawsze w rolach głównych tak tragicznych jak komicznych. Do pierwszych zaliczyć trzeba Ryszarda III, Lira, Piotra; do drugich lorda Foppingtona (w sztuce Cibbera: „Mąż bez troski”) i inne.

Dla debiutanta był to już nie mały dowód potęgi; i rzeczywiście, tylko pierwszorzedny talent mógł się utrzymać nietylko w początkowym rozgłosie, ale jeszcze rozgłos ten zwiększyć. Garrick za pomocą jednéj z ról komicznych, wykazał publiczności fałsz i przesadę stylu, której dotąd aż nadto było przykładów. W roli téj mówił z najwyższą emfazą, właściwą pierwszym aktorom onego czasu. Atoli, skoro dostrzegł zmartwienie tych, których wystawił na pośmiewisko, idąc za popędem dobrego swego serca i delikatności gustu, parodyj natychmiast zaprzestał. Jego zamiarem albowiem było oświecić swych kolegów innym przykładem, ale nie zniechęcać; wiedział wreszcie że naśladowanie, przedrzeźnianie nie jest formą sztuki szlachetną, i że człowiek którego talent ogranicza się na naśladowaniu innych, nie będzie nigdy wielkim aktorem.

Powodzenie Garricka w Goodmans'Fields zaszkodziło nieznmiernie uprzywilejowanym teatrom Covent-Gardenu i Drury-La-

ne, postarali się przeto ich dyrektorowie na drodze prawnej o przymuszenie Giffarda do zamknięcia tegoż teatru, Garricka zaś zaangażowano do teatru Durry-Lane na zbliżający się sezon, mający się rozpocząć we wrześniu. Skorzystał więc z przerwy Garrick i pojechał do Dublina, (gdzie go gorąco oczekiwano), dla dania kilku występów. Epidemia grasująca naówczas a będąca następstwem upałów i nędzy ludu, została w pamięci pod nazwą *Gorączki Garricka*, atoli prawdziwą gorączką, jedyną która zasługuje na tę nazwę, była ta, która opanowała publiczność elegancką tego miasta, bogatego i kwitnącego naówczas. Najukształceńsi ludzie i najznakomitsze panie cisnęły się do teatru, ażeby dać swój poklask. Wydzierano sobie artystę, sławiono go wierszem i prozą, uczczono tytułem *angielskiego Roscuszka*, który mu téż został. Podczas tego pobytu w Dublinie, grał Hamleta po raz pierwszy. Tak jak Ryszardowi i Lirowi, tak i Hamletowi nadał całkiem nową fizyonomią, którą podziwiano powszechnie, ale którą później po wielorakim namyśle, zmienił i uzupełnił.

W Drury-Lane zszedł się znów z dawnym swym przyjacielem Macklinem, który był spół-dyrektorem teatru, jako téż z piękną i głośną Peg Woffington, której wdzięki zrobiły na nim wrażenie już w r. 1740. Peg Woffington odznaczała się naturalnością, wdziękiem i żywością swęj gry, i była kobietą rzadkiej piękności, jak to osądzić można z portretu Hogartha, będącego własnością margrabiego de Landswone. Niepospolitą tę aktorkę zabrała z ulic Dublinu skoczka na linie, pani Violanta wtedy, gdy Peg, małe jeszcze dziewczętko, sprzedawała owoce. Onato zaznajomiła ją pierwsza z umiejętnością swęj sztuki. Tak jak Rachel i wiele innych sławnych artystek, uzupełniła one swoje wykształcenie sama, trudno oznaczyć jakim sposobem, i to do tego stopnia, że mogła być w najdystyngowańszem towarzystwie. Taką była jęj dystynkcyja i jęj wrodzony wdzięk, że mogła grać z największem powodzeniem lady Townley i de Millamante, role w których piękne maniery są niezbędne. Wyznawała otwarcie, że przekłada towarzystwo mężczyzn nad kobiet, które nie umieją mówić jak tylko o strojach i plotkach. Mężczyźni téż szukali namiętnie jęj towarzystwa.

„Odrzuciwszy błędy kobiece, które jęj przebaczyć trzeba—powiada Murphy—rozkoszna ta kobieta zalecała się wielą przymiotami.”

Dziwna to apologia w obec pewności, że Peg nie była ani skromniejszą ani mniej przedajną od jednéj ze sławnych wówczas elegantek, z którą ją téż porównał w swych wierszach sir Hanbury Williams.

Pewnego wieczoru, w którym grała przy niekończących się oklaskach rolę mężką, zawołała wracając za kulisy: „Dalibóg, zdaje mi się, że połowa tych dobrych ludzi, bierze mnie istotnie za mężczyznę.” „Pani—odparł kolega jęj Quin—druga połowa ma swoje powody, ażeby mniemać inaczej.”

Kiedy Garrick się nią zajął, Peg nie miała sobie jeszcze do wyrzucenia wielu płochości, którym później uległa, i jakkolwiek ubiegali się o jęj względy ludzie bogaci i wysokiego stanowiska, to jednak niezawodnie talent i młodość więcj jęj oczarować mogły. Rozkochała w sobie Garricka na seryo, który sądził jakiś czas, że jest godną miłości prawdziwój, tak że nawet miał zamiar ożenienia się z nią; ale zbyt lekkomyślne postęпки aktorki, zniweczyły ten zamiar. Stara to historia Katulla i Lesbii.

Kosztowało wiele Garricka ażeby zerwać te kajdany, ale nareszcie, w r. 1745, zdołał odstąpić niewiernój, o którój łaski ubiegali się najpierwsi dandysi.

II.

Garrick zastażył na szlachetniejszą towarzyszkę i to nie-
długo potęm. W marcu 1746 r. wylądowała na brzegach Anglii ta, która miała zastąpić miłością prawdziwą i trwałą, namiętność gorączkową wielkiego artysty. Była nią Ewa Weigel, znana pod nazwą francuzką *Violetty*. Była to młoda baletniczka dwudziesto-
letnia, przybyła z Wiednia pod protekcyą Maryi Teressy, która jak mówiono: obawiała się czaru jęj wdzięków dla małżonka swego. Jupiter Carlyle, powracający z Leydy spotkał ją na statku. Przebrana była za męczyznę, w towarzystwie jakiegoś męczyzny, mieniącego się jęj ojcem, i w towarzystwie dwóch jeszcze osób. Carlyle wziął ją za młodego barona hanowerskiego udającego się do Anglii, dla zaprezentowania się w Saint-James; ale w czasie burzy, piękna podróżna zdradziła się strachem i dźwiękiem głosu. Przypadek ten spowodował przyznanie się jęj do swego zawodu, a młody Szkot nie opuścił już Londynu, dopóki jęj nie ujrzał tańczującj. Był wielce zachwycony jęj wdziękiem. Takie wrażenie wywierała na wszystkich. Taniec w owęj epoce nie był tēm częm dzisiaj, to jest częmś całkiem przeciwnęm kobiecemu wdziękowi; przeciwnie, była to sztuka usiłująca się podobać harmonią postawy i ponętnością ruchów, nie zaś niezwykłymi gimnastycznymi dowodami siły. Violetta piękna, skromna, ukształcona, stała się wkrótce ulubienicą publiczności, i ozdobą najpierwszych salonów. Horacy Walpole pisze do swego przyjaciela Montagu w czerwcu 1746 r. „Rozgłos Violetty zwiększa się z każdym dniem.” Dwie siostry, hrabiny de Burlington i Talbot, wydzierały ją sobie nawzajem.

Lady Burlington wzięła ją zupełnie do siebie, odprowadzała ją do teatru oczekując na nią w kulisach ażeby ją okryć szalem, gdy schodziła ze sceny. Nie trzeba było więcj, ażeby podbudzić ploteczki w świecie modnym. Złe języki trąbiły, że Violetta była córka lorda Burlingtona i jednęj arystokratki florenckiej, a gdy przy zamęzcium jęj z Garrickiem w r. 1749, otrzymała bogaty posag, przypuszczenia plotkarskie wzmocniły się. Bądź co bądź, posag pochodził nie od hrabiego ale od hrabiny, a wynosił 5,000

funtów. Być równie może, że te 5,000 były sumną powierzoną hrabinie poprzednio przez samą Violetę, czego jednak interesowane obie strony nigdy nie wydały. Prawdziwy zaś powód tój gorącej i szlachetnej protekcyi, pozostał na zawsze tajemnicą.

Lady Burlington, troszcząca się o swą pupillę, miała względem nię widoki daleko wyżej sięgające, dlatego Garrick z wielką trudnością otrzymał rękę, o którą mu tyle chodziło. Raz nawet musiał się aż przebrać za kobietę, ażeby wręczyć bilecik swęj ukochanej. Przyjęcie łaskawe tego bileciku świadczy, że Garrick pozyskał jęj serce. Przekonawszy się o tém hrabina, uznała, że lepiej przystać na związek dobrowolnie. Garrick uwiecznił pięknym wierszem „miodowe swe miesiące” skreślając zarazem obraz tak ponętny swęj ukochanej, że byłoby mu trudno uwierzyć, gdyby świadectwa społeczne prawdziwości jego nie stwierdziły. Tak np. Wilkes, bezstronny znawca, nazywa Violetę: „najpiękniejszą” a Churchill: „najprzyjemniejszą kobietą Anglii.”

„Charakter jęj—opowiada inny—był godny kochania, dowcip jęj delikatny i świetny, sąd o rzeczach i pogląd niezmiernie trafny.”

Spółczesny Sterna, który ją widział w Paryżu w r. 1752, w pośród piękności zapełniających ogród Tuilerów, żargęza, że wszystkie zaćmiła. Gibbon pisała do swego męża: „Nie wiem, czy ona (żona Garricka) wynalazła kamień filozoficzny, ale posiada tajemnicę stokroć szacowniejszą: jednania sobie serc wszystkich, którzy ją znają”. Beaumarchais wspomina o jęj uśmiechu „*inteligentnym i pełnym expressyi*”. Horacy Walpole nawet zapomina o swym cynizmie, gdy mówi o nięj: „Kocham ją — powiada—ty-le ma rozumu i słodyczy.”

Co się tyczy Garricka, pokazał się godnym: „najlepszej z kobiet i żon”. jak ją nazywał w miłości swęj troskliwej i gorącej, którą do zgonu zachował. Przez dwadzieścia ośm lat pożycia małżeńskiego, nie rozstali się z sobą ani na jeden dzień. Przyjaciele Garricka byli przyjaciółmi Wioletty. Towarzyszyła mężowi wszędzie, a obecność tak miłej osoby, zapewniała mu wszędzie najlepsze przyjęcie. Dowcipnisie paryczy byliby padli przed nią na kolana, gdyby ich nie powstrzymywał widok męża-kochanka: „Szczęśliwy małżonek—pisze pani Riccoboni,—któremu oczy méwią bezustanku: *kocham cię*”.

Trudno byłoby wyrazić to wszystko, co Garrick zawdzięczał szczęśliwym okolicznościom swego małżeństwa. Znalazł w domowym ognisku powab, jaki dać może wdzięk, umysł wyższy, delikatność gustu i najzupełniejsza sympatya. Jako dla artysty, towarzyska taka była nieocenionej wartości, jako żona dyrektora, dźwigała razem z nim ciężar, pod którymby pozostawiony własnym siłom, upaść musiał. W r. 1747, na dwa lata przed zawarciem ślubu, wziął razem z panem Lacy dyrekcją teatru Drury-Lane, jedyne na którym występował od czasu opuszczenia Goodmans-Field, z wyjątkiem powtórnego wyjazdu do Dublinu w r. 1745 i krótkiego występu w Covent-Garden w 1746. Umiał tak zaoszczędzić swe dochody, że mógł z pomocą kilku przyjaciół zebrać 8000 funtów

potrzebnych do summy 12000 całego przedsięwzięcia. Lacy objął administracją, Garrick dyrekcją artystyczną. Najsamprzód starał się wszelkimi środkami zebrać dobrą trupę, przekonany (z czem się często odzywał) że zbiór doskonałych artystów przyczynia się nietylko do uwydatnienia całości, ale że i sami artyści niezmiernie zyskują na trafnym wzajemnym sprzęgnięciu. W teatrze, prędzej niż gdziekolwiekbądź, talent zapala się od iskry, i nic może nie wywiera gorszego wpływu na aktora, jak gdy się nie czuje podtrzymany przez tych, z którymi gra na scenie. Mierny talent zgadza się na wszystko, ale ten, którego rozpłomienia pragnienie doskonałości, niczego innego nie żąda, jak tylko zmierzania się z godnymi jego siły. Skutkiem takiego pojmowania, zgromadził około siebie z kobiet panie: Cibber, Pridschard, Clive i Woffington, z mężczyzn: Barrego, Macklina, Delane'a, Havarda, Sparksa, Shutera, później zaś Quina i Woodwarda, i ciągle zwiększał trupę swą talentami dramatycznymi, jakie się tylko zebrać dało. Chciał również przedobrać gust publiczności, zaniechaniem farsy i pantominy, a kierowaniem jęj ku wyższym przyjemnościom. Johnson napisał piękny prolog, w którym wyłożył zasady nowęj dyrekcyi, zrzucając i słusznie, całą odpowiedzialność na parter. Publiczność bowiem, po jakimś czasie, powróciła do swego niewytłumaczonego zamiłowania dla niższęj komiki i widowisk niemych, i Garrick musiał ustąpić ręką prądowi, ale po odniesieniu świetnych zwycięstw, dzięki swęj dobřej trupie tak znakomicie przez niego kierowanęj.

Wywalczenie jednak tych zwycięstw, kosztowało drogo artystę. Utrzymać w porządku tego rodzaju towarzystwa, nie było bynajmniej łatwem zadaniem, potrzeba było niezwykłego taktu i rzadkieję energii, ażeby umieć pogodzić wszystkie miłości własne, wszystkie zazdrostki, przezyciężyć wszystkie opory. Nie same tylko królowe tragedyi przybierały odpowiedni ton, i wielkie kokietki i subretki miały swoje straszliwe kaprysy. Woffington i Clive, najpoważniejsze dyabełki personelu kobiecego, kładły nieraz biędnego dyrektora na rozpalone ognie. Lecz Garrick umiał sobie radzić, umiał się ochronić zręcznością i swym dobrym humorem. Pewnego dnia, gdy odebrał list od panny Clive, list groźny i gwałtowny, nie zgniewał się wcale, ale głosił że jest on widocznym dowodem jęj przywróconego zdrowia, a gdy spotkał drażliwą tragiczkę rzekł z uśmiechem:

„Nadzwyczaj się cieszę, pani, z twego tak szczęśliwego powrotu do zdrowia.”

Surowość jego kierownicza posunięta czasem do drobiazgowości, musiała naturalnie wywołać skargi, podniecić niezadowolenie i złośliwe uwagi.

Pogląd Garricka na sztukę dramatyczną był zanadto wyniosły, aby go mogła zrozumieć większość tych, którzy go otaczali. Doskonałość była jego celem, więc ażeby do nięj dotrzeć, nie znosił najlęjszego niedbalstwa w nauce artystów. Kierował sam przedstawieniami z najwyższą starannością, nalegając na wyjaśnienie każde-

go szczegółku ku wielkiemu znudzeniu starych aktorów, nieprzywy-
czajonych do tak szczegółowego zgłębiania. (Biograf angielski zapo-
mina przytoczyć w tém miejscu anegdotę bardzo charakterystycz-
ną. Pewnego razu grał przed nim jeden z aktorów pijaka z wielką
naturalnością, lecz Garrick który nie był zupełnie zadowolony,
zawołał: „noga niedość jeszcze wygląda pijano”) Nic nie było mu
obojętném. Przewodniczył przygotowaniu na scenę (mise en
scène) nie zaniedbując niczego, coby mogło podnieść całość. W ten
tż sposób mierny nieraz aktor, niemający pojęcia o swym kiero-
wniku, dochodził do wzniosłych efektów, trzymając się tylko ślepo
instrukcyi wielkiego artysty.

To tż Kitty Clive pisała do niego w r. 1774:

„Zadałeś w ciągu trzydziestu lat, kłani przysłowiu wymaga-
jącemu ziemi do zlepiania gliny, boś dokonał daleko trudniejszego
dzieła, gdyż zrobiłeś aktorów i aktorki z ludzi bez talentu”.

Taż sama pisze doń znowu w r. 1776:

„Widziałam cię wbijającego twym magicznym młotkiem idee
w głowy puste, widziałam cię usiłującego z cierpliwością baranka
dać się zrozumieć, i widziałam cię przemieniającego się z baranka
w lwa, gdyś nie był rozumiany. Twoi artyści osiągnęli w ten
sposób cudowne efekta, a publiczność klaskała, niedorozumiewając
się kto tu ponaciągał sprężyny. W twoim teatrze jest wielka liczba
takich aktorów, którzy nie mają innej zasługi prócz tój, że cię słu-
chają. Im się zdaje, że mają talent, lecz zostaw ich własnym siłom
a zobaczymy co umieją. Nie byłabym tego mówiła wówczas, gdy
była pod twoją dyrekcją, bo nie chciałabym być posądzoną o poch-
lebstwo, a wreszcie zdawało mi się że mnie nie lubisz dyrektorze,
ale dziś gdy się przekonała inaczej, chętnie oddaję ci zasłużoną
cześć.” Aktorowie nie będąc z natury lepszymi od innych ludzi,
nie bardzo się tż odwdzięczali Garrickowi, ci zwłaszcza, którzy mu
zawdzięczali najwięcej. Posłuszni i płaszcący mu się w oczy,
spotwarzali go poza plecyma zdradliwie. Z upodobaniem rozpo-
wiadali, że Garrick nie był tak wielkim artystą jak powszechnie
mniemano, że utrzymuje swą wyższość jedynie przytłumianiem ta-
lentu swych kolegów, i że ponieważ każda popularność mu niemiła,
więc nie pozwala żadnej, prócz swojej, rozwinąć się i ustalić. Wieg-
kszy fałsz trudno było wymyślić; gdyż pomijając już wszelkie inne
względy, dyrektor-artysta pojmował zanadto dobrze własny interes,
ażebym nie skorzystał ile się dało najwięcej ze zdolności, jakie miał
w swój trupie.

Ale Garrickiem inne powodowały motywa. Czuł on bowiem
miłość prawdziwego artysty dla doskonałości i życzliwość człowieka
z sercem dla każdego zasłużonego powodzenia. Dowodzą tego
wszystkie relacje jego z towarzyszami, którymi kierował. Potwa-
rze te, dodać trzeba, nie wychodziły nigdy od utalentowanych
artystów, od tych którzy byli rzeczywiście godni zmierzyć się
z nim, jako od Cibbera, Pridscharda, później Woffington, Quina,
Barry, Sheridan, Kinga, Somitha, lub Westona, ale od hołoty

aktorskiej, takiej pani Bellamy albo Wilkinsona, którzy przypuszczali w Garricku podłość, do jakiej sami byli zdolni. Horace Walpole, zawsze skłonny do potwarzy, stał się echem tych potwarzy, a sława aktorki pani Siddons złączyła się z potwarcami, zrzucając na Garricka odpowiedzialność za swoje niepowodzenie przy pierwszym zaangażowaniu w Londynie 1775 — 1776. A znowu gdy później, w trzy lata po śmierci Garricka, stała się bożyszczem miasta, głosiła, że on to wszelkimi siłami przeszkadzał jój tryumfom. Był to wyborny środek wytłumaczenia przeciwieństwa między dwoma swemi występami w 1776 i 1782. Ale sprawdźmy fakta. W epoce pierwszego swego wystąpienia p. Siddons była bardzo młodą, będąc przytém świeżo po pòłogu, była bardzo słabą, tak że nic nie pozwalało przypuszczać w niej ów późniejszy talent. Mimo to tak była protegowaną przez dyrektora, że ją nazwano: *Venus Garricka*. W tój téż epoce miał on w swój trupie dwie pierwszorzędne aktorki: panią Yates i pannę Young, obie nadzwyczaj popularne. Otóż Garrick powierzał bardzo często role tych pań, pani Siddons, przypuściwszy ją nawet do grania we własnym jego przedstawieniu pożegnalnym, co już było bardzo szacownym odznaczeniem. Lekcje wielkiego artysty musiały być bardzo pożyteczne młodej aktorce, którą naówczas *London-Magazine* skrytykował, jako bardzo lichy grającą rolę ledy Anny w Ryszardzie III. Pani Siddons skorzystała z nauk, ale nie miała szlachetności przyznać się do tego.

Dlaczegożby wreszcie był Garrick zazdrosnym lub zawiśtym? Nie miał do tego najmniejszego powodu. Tryumfy jego rywali jako Quina, Barry'ego, Mossopa, Sheridanana nie zaćmiły nigdy jego sławy. Jedynym niebezpiecznym rywalem jakiego mógł mieć w lasce publiczności był Powell, którego niezmierne powodzenie da się wytłumaczyć nieobecnością Garricka w chwili, gdy ten je uzyskał. Zmęczony bowiem trudem ustawicznym, chciał Garrick odpocząć na lądzie stałym. Rok przedtem, poznał się z Powellem, który był wówczas subjektem handlowym, i udzielał mu lekcyj. Młody ten człowiek budził tak wielkie nadzieje, że Garrick zaangażował go na role pierwszych amantów w tragedji, na czas swój nieobecności. Powell miał twarz przyjemną, i wielką expressyą tragiczną. Stał się w bardzo krótkim czasie popularnym, i ściągał tak wielkie tłumy do Drury-Lane, że dyrektor Lacy pisał do swego kolegi, iżby się nie zbyt spieszył z powrotem. Chybaby Garrick miał nadludzką siłę i cnotę, gdyby się ucieszył był taką nowiną. Nikt nie rad widzieć się zapomnianym w sferze, w której był punktem świecącym, a tém mniej aktor, który zna niestałość łaski publiczności. Mimo to nie spostrzeżono na Garricku ani śladu zazdrości. Daleki od tego, pisał do Powella (w grudniu 1764) podając mu rady. Ostrzega go przed niebezpieczeństwem pośpiechu, radząc mu ażeby nie brał na siebie zbyt wiele ról.

„Poświęć pracy—pisze,—tyle czasu ile twoi rówieśnicy młodości poświęcają go zabawom i pochlebcom. Ponieważ masz już łaskę publiczności, możesz więc wybrać towarzystwo które ci się podobą, a najlepszem jest naturalnie to, które ci najbardziej przypada do usposobienia.”

Wybornych rad, jakie zakończają list, nie można dość często powtarzać:

„Sławny aktor Baron mawiał, „że aktor powinien być pieoszczony przez królowe” słowa te wskazują ci, ile trudu powinieś sobie zadać nad twém ukształceniem. Studyuj mój przyjacielu, ucz się przez siedem lat, a będziesz mógł używać przez resztę życia. Nie zaniedbuj Szekspira, miej go zawsze pod ręką i pozostawaj zawsze pod jego wpływem. Im więcej wczytasz się w tego wielkiego poeę, tém go więcej pokochasz, i tém doskonalszą będzie gra twoja. Strzeż się zbytnio uganiać za łaską gawiedzi parterowej, nie poświęcaj twego gustu i twego poczucia oklaskom tłumów. Prawdziwy talent powinien nawrócić publiczność do swego sposobu widzenia, a nie dać się zahaczyć na gust publiczności gdy ten jest fałszywy.”

W ostatku, Powell nie był talentem pierwszorzędnym. Portret jego jaki nam pozostał wyobraża bardzo ładnego mężczyznę, ale zdradza w każdym rysie twarzy wielką nieporadność w środkach. Czulość jego niezmierna wzrastała raz do łez, to znowu wpadała w namiętne deklamowanie. Na wykształconym umyśle, któryby mógł go być ochronić od téj wady, zbywało mu całkowicie, a nie uczynił nic ażeby go sobie przysposobić. Rady Garricka przepadły. Mając wielką o sobie zarozumiałość, opuścił Drury-Lane gdzie się czuł przyćmionym, i wstąpił do Covent-Garden ku wielkiemu niezadowoleniu Garricka, i umarł w Bath skutkiem gorączki gastrycznej, w wieku lat trzydzieści dwa (1769).

Lecz nie z samymi tylko artystami miał Garrick trudy i kłopoty, więcej jeszcze wycierpieć musiał od autorów. Najniebezpieczniejszy pisarek, porodziwszy coś co podobne było mniej lub więcej do sztuki teatralnej, podburzał świat cały gdy nie przyjęto jego sztuki. Obawa z jaką był Garrick względem tych indywiduów, kazała mu wątpić o własnym sędzi. Sam téż za nadto był wrażliwy i czuły, iżby nie pragnął oszczędzić drażliwości autorów. Dlatego, zamiast odmówić stanowczo, miał zwyczaj łagodzenia swego wyroku pewnemi pochwałami, zachęcającemi do nowych prób, a sprowadzającemi burzę, gdy nastąpiła odmowa stanowcza. Nic nie mogło wyrównać oburzeniu odrzuconego pisarza, oburzeniu streszczającemu się w tém za pytaniu: „Jakiem prawem jakiś tam aktor, ośmiela się być sędzią wartości literackiego płodu?” A chociaż do odmowy dołączał Garrick list krytyczny, znakomity w spostrzeżeniach (Garrick miał za nadto wielkie doświadczenie sceniczne, ażeby nie być dobrym sędzią w tym przedmiocie) nic to nie pomagało, drażliwy autor przypisywał odmowę zazdrości, osobistej niechęci albo innej podobnej pogardy godnej przyczynie. Horacy Walpole powtarzał

te przekleństwa gawiedzi literackiej; pisząc do swego przyjaciela Montagu, o swęj nędznej sztuce p. t. „Tajemnicza matka:”

„Nie chcę się bynajmniej narażać na impertynencye tego głupca Garricka, i nie byłbym nigdy tak podły jak ci autorowie, którzy się zgadzają na poprawki jakie się jemu czynić podoba;” co mu jednak nie przeszkadzało ofiarować w prezencie Garrickowi pięknego zegarka repetiera, cudownie rzeźbionego, z tym napisem:

„Horacy Walpole swemu szanownemu przyjacielowi Dawidowi Garrick 1775.”

Jeżeli jaki zarzut uczynić można Garrickowi, to ten, że przyjmował liche sztuki, w których marnił talent własny i innych artystów. Dwie np. sztuki Goldsmitha, które pozostały dotąd na repertoarze są bardzo mierne.

Garrick odrzucił prócz komedyi Goldsmitha p. t. *Poczwiercie*, tragedya p. t. *Duglas*, szkota Humego, jako całkiem niewłaściwą dla teatru, a jednak odrzuceniem tém nie wywołał żadnej burzy. Współżiomkowie autora oburzyli się odmową, a nawet Walter-skott w 70 lat potem utrzymywał, że Garrick nie przyjął dlatego tej sztuki, iż nie miał w niej żadnej roli efektownej dla siebie. Atoli potomność stwierdziła wyrok znakomitego dyrektora, gdyż pomimo powodzenia tej sztuki w Szkocyi, powodzenia przygotowanego lokalnemi i szczególnemi okolicznościami, tragedya Humego nie pozostała na repertoarze. Talent pani Syddons mógł ją jedynie utrzymać czas jakiś, lecz po niej żadna już aktorka nie mogła jej wskrzesić.

Pewność sądu Garricka w rzeczach sztuk i ich powodzenia, była zadziwiająca. Doktor Brown, autor dwóch dobrych sztuk: *Al-helstani* i *Barbarossy*, zapewnia że gdy je Garrick czytał, naznaczał z góry ustępy, które się będą podobały najbardziej publiczności, jakoteż te w których oklaski wybuchną i w jakim stopniu. Brown dodaje, że te przepowiednie ziściły się co do joty.

Nie trzeba się więc dziwić, że autorowie uciekali się często do tej szacownej zdolności, której im Garrick nigdy nie odmawiał. Tę to ciekawość autorów i radzenie się, napiętnował tak ostro Walpole powyżej, a tłum mierności powtarzał za nim tę samą piosnkę.

Gdyby się był Garrick ograniczył do zmodyfikowania dzieł Browna, Franklina, Hilla i tylu innych pisarzy teje doniosłości, nie byłby na siebie ściągnał krzyków, ale on odważył się zmienić Szekspira, co uchodziło za pewien rodzaj świętokradztwa w oczach wielu czcicieli tego wielkiego dramaturga. Cokolwiek bądź jednak, nie zapominajmy że jeżeli zmieniał Szekspira, to zarazem był odnowicielem jego chwały. Gust publiczności owej epoki, nakazywał pewne zmiany (1), tak że można twierdzić, że niektóre sztuki nie byłyby miały tak wielkiego powodzenia, jakie

(1) Dziś jeszcze większych zmian potrzebuje Szekspir, jeśli ma być wystawiony na scenie. (P. T.).

uzyskały, gdyby były przedstawione w pierwotnym oryginale. Tak naprzykład „*Gadkę zimową*,” skrócono na trzy akty, zmiana ta usprawiedliwia się tem, że zniknęła sztuka oddawna ze sceny właśnie dla swej długości. Garrick zrozumiał, że nie można wystawiać w całości, ale nie zaniedbał uwidocznić w najlepszym świetle prawdziwych piękności. Dość tu przytoczyć rolę Hermiony, jednej z najwdzięczniejszych heroin Szekspirowskich, i ową pyszną sielankę rozgrywającą się miłością Florizela i Perdity.

Oto jak się tłumaczy w prologu skomponowanym do tej sztuki:

„Pięć długich aktów któreśmy skrócili na trzy, spało w zapomnieniu od szesnastu lat. Ażeby ten szacowny napój nie zatracił się zupełnie, zamknęliśmy go we flakonie, którego wielkość odpowiednia waszemu smakowi. Całym naszym życzeniem jest, abyście nie stracili i kropli z boskiego tego napoju.”

Sławny artysta wyznawał prawdziwą wiarę dla Szekspira, nie studyował on go w edycjach sporządzonych dla teatru jak to czynili Quin, Parry, Pritscharde i inni, ale w wydaniach pierwotnych in folio i in quarto. Smak jego literacki pobudził go do zebrania pięknej kolekcji autorów dramatycznych dawnych, która stanowi ozdobę British Museum, Tomasz Warton i Jerzy Stewens korzystali z niej niemało, i była to już wina Johnsona, że się nimi nie posługiwał przy wydaniu swej edycji Szekspira.

Garrick kochał się w literaturze i jej uprawiaczach. Bardzo obznajmiony z literaturą europejską a szczególnie z francuską i włoską, pisał przytem wyborowo we własnym języku. Prologi jego i lepsze poezye czytają się bardzo przyjemnie. Latwość pisania miał taką, że prolog napisał w dwóch godzinach, a epigramat w pięciu minutach. Nie było takiej znakomitości w Anglii z którąby nie był w stosunkach. „Zawsze starałem się o przyjaźń ludzi z talentem” pisał do Goldsmitha. Przyjaźń ta nie była nieplodną. Gdy który autor potrzebował pieniędzy, kieszeń Garricka była na jego usługi. Sterne, Churchill, Johnson, Goldsmith, Murphy, Foote, doznawali jego wspaniałości, a przecież dwaj ostatni nie wstydzili się posądzać go o skąpstwo. Johnson także miał sobie do wyrzucenia podobną niewdzięczność, ale ją naprawił kilkakrotnie, podnosząc szlachetność swego przyjaciela. „Nie znam nikogo, pisze, któryby pożyczał tyle pieniędzy co Garrick. Syn ubogiego oficera, winien był wszystko samemu sobie, lecz gdy przyszedł do bogactwa, wspaniałość jego nie miała granic.”

Johnson nie był zawsze tak sprawiedliwym dla Garricka w innych względach. Lubił on w nim człowieka, towarzysza młodości, ale nie mógł mu przebaczyć jego powodzenia. Johnson walczył jeszcze z potrzebami życia, gdy przyjaciel jego zostawał bogatym, przypuszczony był w najlepsze towarzystwo Londynu,

i doszedł już do europejskiej sławy. Podzęgło to w nim zazdrość której się nie mógł obronić, i z którą się wydawał przy łada sposobności. Gdy mu Garrick radził, poczynienie pewnych zmian w jego tragedyi *Irene*, przez ożywienie jednej sceny, Johnson skarżył się gorzko, nie szczedząc sarkazmów dyrektorowi: „Chcę on (Garrick) koniecznie, ażeby Mahomet wpadł w wściekłość, dlatego iżby mieć sposobność poruszania głową, i tupania nogą. Nie zgadzam się na to, iżby autor przyjmował rady od komendyanta, od panioza który przypiąwszy sobie garb na plecach i szmatę na nodze krzyczy: „*Jestem Ryszardem III!*”

Johnson nie miał pojęcia o sztuce scenicznój. Miał wzrok zbyt krótki, ażeby dostrzedz wszystkie odcienia i charakter fizyognomii, jakoteż trafność akcyi. Dla niego, talent aktora zależał na deklamacyi, z towarzyszeniem kilku ruchów. „Nie rozumiem, pisze Walpole zwykłym swoim zarozumiałym tonem, jakato zaśługa powtarzać słowa zapisane przez kogo innego”. Johnson był tego samego zdania, nie pojmował że daleko trudniej jest grać w roli Lira lub Ryszarda III tak jak grał Garrick, aniżeli napisać taką komedyę jaką była *Irena*. „Wielki aktor, pisze pani de Stael mówiąc o Talunie, staje się *drugim autorem* swych ról, a to przez akcent i charakter jaki im nadaje.” Rzeczywiście, musi on mieć tyle imaginaeyi, ile sam autor. Nie wystarcza albowiem być mistrzem w zmianach głosu, w wyrazie fizyognonii i we wszelkich szczegółach akcyi, ale potrzeba mieć jeszcze wielką zdolność koncepcyi. Tekst roli jest tylko rzeczą dodatkową. Potrzeba ażeby aktor żył w tej osobie którą przedstawia, ażeby się zlał w jedno z jej naturą, i złagodził ją stosownie do okoliczności w jakiej się znajduje przedstawiana osoba.

Kreacya artysty jest wówczas żyjącym poematem, równia godną podziwu w swych rozmiarach jak każde dzieło rzeźby, równie harmonijną jak piękne dzieło muzyki, a zostawia w umyśle także wrażenie jak każde inne skończone dzieło. Szczegóły są niemniej szacowne oo i całość. Milezenie będzie wymowniejsze od odpowiedzi, akcyja więcej mówiącą od słowa, każde poruszenie będzie inspiracją naturalną, a każda pauza myślą.

Ta jedynie łatwość sympatyi imagiuacyjnej, ta możność stania się osobą którą przedstawiał, złożyły się na wielkość Garricka. Pani Necker, widząc go grającego, rzekła do swych przyjaciół z okazji Szekspira: „Wy widzieliście tylko trupa, ale ja widziałam gdy duch zamieszkał ciała.” Garrick, który odkrył też samą zdolność w aktorze francuzkim Previllu, wyraził się tak samo o aktorze francuzkim: „Talent jego nigdy się nie ujawnia lepiej, jak wtedy gdy go autor sztuki upoważnia do wstawienia się na jego miejsce. Wten to sposób aktor uzupełnia niedoskonałości poety, nadając roli swojej ton, jakiego autor nie przeoczuwał.” Temiż samemi środkami rozplómiętał aktor angielski publiczność rolami, któreby ją były uspiły gdyby je był grał kto inny. Słusznie więc twierdził Goldsmith, że autorowie

zawładnęli jemu głównie największą część swej sławy. Ktokolwiek ma jaką taką znajomość sceny, wie, że taka potęga nie wypływa ze samych tylko studyów i pracy. Musi być wrodzoną. Aktor jenjalny ma tak samo chwile inspiracyi, jak i poeta, chwile wzniosłe, w których bezwiednie, ulega sile potężniejszej od niego. Garrick pisał w tój mierze:

„Panna Clairon tak jest pewną siebie samą, że nie wie o ile mi się zdaje chwili w której przyjdzie jej w pomoc inspiracya. Wielkie rzuty geniuszu są tak samo nieprzewidziane przez aktora jak i przez widza; okoliczność, gorącość akcyi spowodzają wybuch, niby uderzenie piorunu. Tą tylko miarą, odróżniałem zawsze aktora jenialnego od dobrego.

Pierwszy, pozostając zawsze wiernym duchowi swój roli, da się unieść, drugi z pięknymi zdolnościami i ze zdrowym rozumem, sprawi przyjemność słuchającym, ale nie będzie miał nigdy owych wzniosłych momentów które porywają publiczność.”

Czułość (złolność przyjmowania wrażeń) jest najgłówniejszą podstawą jeniusza, dla aktora tak dobrze jak i dla poety. Szczęśliwy który ją posiada! Wiele zjawisk przechodzących niepostrzeżenie dla tłumu, przeszywają żyły jego dreszczem rozkoszy lub boleści, a wzruszenia imaginacyjne wstrząsają jego organizmem tak samo jak rzeczywiste, i to stanowi warunek jego doskonałości. „Gdybym nie była aktorką, pisała do Garricka pani Cibber na jakiś czas przed jego śmiercią, chciałabym mieć postronki w miejsce nerwów.” Skoro się pomyśli czem był Garrick na scenie, gdy się wyobrazi sobie twarz jego zmieniającą się z każdą chwilą, te rysy w których każda linja odbijała myśl, wzruszenie wewnętrzne, ten głos przebiegający skalę intonacyi, raz drżący, znów przytłumiony a zawsze w zgodzie z uczuciami jakie wyrażał, to można twierdzić że wpływem tego musiało być dla aktora wyczerpanie fizyczne, i że sławę okupywał drogo swem zdrowiem. W istocie, w ciągu swego zawodu, był aż nadto często słabym ze wzruszenia, iżby zaniepokoić swych przyjaciół.

„Przyjacielu, pisał do niego Warburton 25 czerwca 1757 r. Two tak częste słabości nie mówią ci wyraźnie: *lusisti satis?* Pragnąłbym z całego serca przywrócenia twego zdrowia, ale ty nie postępujesz sobie w sposób mogący mnie zadowolnić. Kiedy wpadasz w owe namiętności które zużywają oiało człowieka, zapominasz że masz ciało. Dusza ci się wymyka, bo u ciebie szabla zawsze zdaleka od pochwy.”

Nie tu jednak nie pomogli przyjaciele, sumienie Garricka nie zgadza się na wykonywaniu sztuki swój z wygodami. Jakkolwiek tak srodze wyczerpywała jego zdrowie, on z niemniejszym wyłaniem się jej oddawał. Gra była dla Garricka rozkoszą, a nie rzemiostem lub przepędzeniem czasu. Dziwną jednak sprawą, że ilekroć miał się ukazać na scenie, drzał z obawy. Dzień, w którym występował, przepędzał na rozmyślaniu nad swą rolą, podczas zaś prezentacyi, stał na uboczu, zdala od swych kolegów,

ażebym nie zatrudniać głowy innymi myślami. Pewnego wieczoru, gdy grał *króla Lira*, Johnson i Murphy zajęci byli rozmową bardzo głośną za kulisami. „Mówicie tak głośno, rzekł do nich Garrick schodząc ze sceny, że niszczyacie moje wzruszenie.” Bał odparł Johnson, alboż Punch (arlekin angielski) doznaje wzruszeń?” Ze wszystkich głupstw, jakie ten wielki niedźwiedz literacki ma sobie do wyrzucenia, to zasługuje najmniej na uwzględnienie.

Z talentem aktora ta zachodzi wadliwość, że umiera on wraz z jego posiadaczem, zaledwie zostaje w pamięci małej liczby widzów pozostałych przy życiu kilka rysów, które potomność przyjmuje chciwie. Jeden z takich, którzy zostawili o Garricku bardzo dokładne wspomnienia, jest Niemiec Lichtenberg, znany ze swych komentarzy nad Hogarthem. Widział on Garricka na scenie w r. 1775, gdy ten miał już wystąpić z teatru. Widział go w jego uajgłówniejszych rolach, mówi przeto o nim z trafnością wytrawnego krytyka: „Co stanowi prawdziwą wyższość tego człowieka? przyczyny są rozliczne, a wszystkie zależne od szczęśliwej jego organizacyi. Garrick ma w całej postaci, w ruchach, w chodzie coś, co widziałem dwa tylko razy i to w odmiennym stopniu u francuzów, ale czego nie widziałem jeszcze nigdy w Anglii. Gdy się naprzykład zwraca do spółgrającego, nie czyni zwrotu tego ani głowa, ani ramiona, ani kolana lub nogi same, ale wszystkie części ciała poruszają się w najdoskonalszej harmonii. Gdy przechodzi przez scenę, nawet wtedy gdy nie jest ożywiony żadną namietnością, widz tylko jego widzi. Przechadza się pośród innych aktorów, wyglądając jak człowiek otoczony maryonetkami. Ażebym sobie stworzyć dokładne wyobrażenie o jego całej postaci, potrzeba było widzieć francuzów o których wspomniałem. Postawy jest cokolwiek wyższej nad średnią, członki zaś jego, cudownej proporcyi, tworzą całość, której się nie zarzucić nie da. Najbystrzejsze oko nie jest w stanie dojrzeć najlżejszego usterku. Ruchy jego świadczą o mądrej ich oszczędności, która ma tysiąc-kroć więcej wartości aniżeli szafowanie niemi rozrzutne, praktykowane przez większość aktorów. Nic niema w nim gorączkowego, nic ślamazarnego, nic ociężałego, tak że gdy inni wyciągają ramiona lub ręce poza obręb przyzwoitości, on nie przekracza ani na włos granicy ściśle zastrzeżonej dobrym smakiem. Sposób w jaki wzrusza ramionami, chodzi, podnosi ręce, wdziewa kapelusz zagłębiając go na oczy lub zarzucając na tył głowy, cechuje swobodą i naturalnością czarującą widza i napawającą go uczuciem przyjemnym. Widząc aktora tak swobodnego, tak pewnego swych ruchów, doznaje każdy wpływu siły tak umiejętnie zrównoważonej, uczuwając się zarazem sam dzielnym i lekkim. Jeżeli się nie mylę, cała osobistość Garricka składa się na wywołanie tego wrażenia, niema albowiem szczegółu małoważnego dla człowieka na którego patrzeć ma publiczność. Delikatność kończyn jest świadectwem rasowego jego pochodzenia. Kolano jego pięknie

utoczone kończy się stopą zgrabną, toż samo trzeba powiedzieć o ręce delikatnej i zgrabnej, pysznie przyczepionej do muskularnego ramienia. Wszystko to przyoznacza się do ogólnego wrażenia w akcyi. W scenie z *Alchimystry*, gdzie aktor się boksuje, robi on skok z tak nadzwyczajną lekkością, że zdaje się jakby się unosił w powietrzu. Gdy tańczy, jak naprzykład w sztuce: „*Wiele hałasu o nic*,” nie wyrównać nie może elastyczności i giętkości jego ruchów. Byłem na przedstawieniu tej sztuki, na której publiczność tak była zachwyconą, iż Rosciusz jej, musiał taniec powtórzyć.

Co się tyczy jego twarzy, nie trzeba być wielkim fizyognomistą ażeby odgadnąć z promieniającego czoła jego, z błyszczących oczu, że posiada wykształcony umysł głębokiego spostrzegacza. Z oczu jego bije żywość i wyraz porywającej potęgi. Nikt nie umie lepiej od niego uzewnętrzniać wrażenia. Powaga jego tak samo jak dobry humor udzielają się innym bardzo łatwo, tak że gdy marszczy brwi, widz marszczy je także, a w odezwananiu się *na stronie* pełnem naturalności, gdzie niby zwierza się publiczności, każdy czuje się doń pociągnięty tém zwierzeniem.”

Porównywając portret ten z innymi współczesnymi, można nabrać pojęcia nie tylko o aktorze ale i człowieku światowym, który był ozdobą najarystokratyczniejszych salonów przez swój dowcip, wesołość, galanterią, a o którym Goldsmith się wyraził, że posiadał wszystkie sposoby jednania sobie ludzi jakie artysta mieć może. W czasie gdy Lichtenberg widział Garricka, miał on już 59 lat. Lecz dla takiego śmiertelnika, jak mówiła Kitty Klive, a mogłaby to być o sobie samej powiedzieć, coż znaczyć mógł wiek? Publiczność wolałaby była Garricka i panią Olive stuletnich, aniżeli wszystkich innych artystów w kwiecie wieku. Organizacya jego fizyczna była tego rodzaju, że sobie drwiła ze szczyby czasu. „Trapią mnie pedogra, kamień i ból gardła, pisał on w owój epoce, ale nie czuję się bynajmniej zgnębiony.” Cierpiął on bardzo, tak że niejedno widowisko było dlań prawdziwą męczarnią. Ilekroć grał Ryszarda III, zawsze opłacał to zupełnem rozstrojeniem, ale publiczność niczego się nie domyślała a nawet artysta w uniesieniu gry, zapominał o swych bolach. Oczywiście też, że Lichtenberg nie dostrzegł na nim ani śladu słabości fizycznej, nakazującej mu spoczynek. Zdecydował się dopiero na to w r. 1775, gdy choroba objawiała się coraz srożej i dotkliwiej.

Zaczynano już sprzeczać się po dziennikach o datę jego urodzenia. Dziwna i nagła jakaś otyłość zmusiła go do przecięcia samemu tej kwestyi. Gubernator Penn założywszy się o jego wiek, zapytał go publicznie czy rzeczywiście ma już sześćdziesiąt lat. „Ponieważ zrzuciłeś mi pan maskę w sposób tak grzeczny—odpisał Garrick—czas więc jest, ażebym się usunął.” Zebrał już majątek znaczny. Aktorzy i aktorki niegdys towarzyszeki jego tryumfów, pomarły już albo usunęły się w zacisze, a nie było godnych ich zastępców. Stosunki z artystami i autorami męczwiły go teraz więcej niż kiedykolwiek. Nazyl się już

dosyć dla swęj chwały, i zasłużył sobie na odpoczynek i swobodę. Z końcem r. 1775 odstąpił Sheridanowi i Footowi dorekcyą teatru Drury-Laue. „Teraz—rzekł—skruszę moje kajdany, a żaden z więźniów wychodzących z więzienia nie może być szczęśliwszym odemnie.” Gdy się dowiedziano że porzuca teatr, wszczął się popłoch w całej Anglii a nawet w Europie, gdyż każdy chciał być obecnym na ostatnich jego występach. Napływ był tak wielki, że wielu z cudzoziemców przybyłych umyślnie do Londynu, nie mogło znaleźć miejsca w teatrze. Podczas gdy najznakomitsi błagali na klęczkach Garricka o łoże, nie zapomniał on o swych skromnych przyjaciółach. Oto dowód z następnego listu:

Twickenham 10 czerwca 1776. „Tysiące podziękowań kochanemu panu Garrickowi, za jego dobroć dla Piwy, dzięki jemu, przyjaciele Piwy byli bardzo uszczęśliwieni. Co mówię uszczęśliwieni? byli zachwyceni. A przecież szanowna twa głowa tak była zakłopotana że omyliła najlepsze twe intencye, bo datowałeś list z poniedziałku, mówiąc że reprezentacya będzie mieć miejsce na-jajutrz. Tymczasem odebrałem list twój dopiero we wtorek. Lecz kto mnie zaspokoił, to twoja roztrzepanica Jenny. Odczytując list poznała omyłkę, pobiegła więc do p. Shirley z listem i dziennikiem. P. Schirley kazał zaprządz powóz i kazał się damom ubierać natychmiast, bo trzeba było wyruszyć bez obiadu. Lecz któżby i myślał o obiedzie? Zabrali też resztę towarzystwa jako gubernatora Tryon, żonę jego z córką. Wszystko poszło dobrze. Otrzymali miejsca bez trudności, a czuli się zachwyceni tém co widzieli. Spodziewam się że zdrowie pańskie dobre, opowiadają że się masz tak dobrze, że powinienes grać jeszcze do września. Do widzenia kochany panie—twoja Piwy Oliwe.”

W chwilę, gdy Garrick list ten odebrał, pożegnał się już z teatrem. 10 czerwca, dzień w którym stara jego towarzyszka zasyłała mu pozdrowienie, żegnał się on z teatrem. Sztuka wybrana na tę uroczystość zwała się *Cud*, a idąc za swém sercem i taktem, zapowiedział że dochód z niej wpłynie do kasy artystów. Nie ściągano tłumów ani olbrzymiemi afiszami, ani reklamami dziennikarskimi. Ale miasto było aż nadto dobrze zawiadomione o stracie jaka je spotka, więc teatr dawno przed zaczęciem był zapełniony. W swęj gorliwości dla instytucyi dobroczynnej którą założył, a do której ten człowiek tak „skąpy” przyczynił się 5000-mi funtów, napisał Garrick prolog, mający na celu polecić kasę artystów publicznej wspaniałości. Odczytał go ze zwykłym sobie talentem. Artysta stał na wysokości swęj przeszłości. Nigdy jeszcze nie grał don Felixa z większą werwą. Tak przynajmniej sam o tém pisał w 8 dni później do pani Necker. Opisując ostatnię swe pożegnanie, dodaje:

„Gdym już stał na scenie, nie mogłem przemówić, ani się z miejsca ruszyć: była to straszna chwila. Gdybyś pani była obecną, nie byłabyś oskarżyła publiczności angielskiej o zimną obojętność. Gdym już zeszedł ze sceny, to jest gdym już dla nich

był umarły, nie pozwolili grać dalszej sztuczki, a nawet artyści nie mogliby jej byli grać, tak byli wzruszeni. Krótko mówiąc, publiczność okazała szlachetność, za którą jej wiecznie pozostanę wdzięcznym.

Wzruszające były jego ostatnie słowa do publiczności:

„Zwyczajem jest—rzekł—że człowiek w mojem położeniu, żegna się z publicznością epilogiem. Taki też i mój był zamiar, lecz czułem się tak samo niezdolnym napisać go jak i teraz nieczułym się zdolnym, przeczytać go wam.

„Brzęk rymów i udany język nie zdołałyby wyrazić moich uczuć prawdziwych.

„Jestto jedna z godzin mego życia, rozdzierających serce, gdy rozdzielam się z tymi, którzy mi zawsze dawali tak wielkie dowody sympatyi i to w tem miejscu... (Tu nie mógł mówić dalej, otarłszy płynące łzy).

„Jakieśbądź mnie losy czekają, nie zapomnę nigdy o waszych dobrociach. Wspomnienie zostanie teraz w mém sercu, na zawsze.

„Pragnąłbym, ażeby moi następcy zdolniejsi byli odemnie, ale wiem że nie uczynią więcej ażeby pozyskać waszą łaskę, i wiem że nie uczują jej więcej od waszego wdzięcznego sługi.”

Poczem—opowiada p. Fitzgerald—cofnął się wolnym krokiem w głąb sceny, patrząc zwilżoném okiem po całym tym świetnym i niezliczonym tłumie, którego oklaski przerywały tylko płacz i łkania. Wszystkich ręce zwrócone były do niego; zewsząd dał się słyszeć okrzyk: „żegnaj, żegnaj, żegnaj!” Spojrzał raz jeszcze, raz ostatni na to morze przyjaznych twarzy, potem, ostatniem wysileniem, wyrwał się własnej zadumie i zniknął.

W taki to sposób, bez napuszystości, bez szarlatanских sztuczek, ale tak jak człowiek rozumny i dzielny, pożegnał się z teatrem, ten największy artysta nowożytny. Niedługi czas był już po tem pożegnaniu. Przepędzał go w prawdziwym szczęściu jakie mu dać mogła wierna towarzyszka, przyjaźń licznych przyjaciół i towarzyskość jego. Najznakomitsi i najwyżsi dostojestwem, pragnęli go zawsze mieć u siebie. Widziany był bardzo dobrze u dworu, i chciano go nawet kreować kawalerem, ale nie przyjął tego odznaczenia.

Jedną z najfałszywszych plotek Johnsona była ta: „Garrick miał bardzo wielkie stosunki, ale ani jednego przyjaciela”. Niezawodnie że ten który posiadał taką żonę jaką była pani Garrick, nie miał potrzeby przyjaciół, więc też nie bez przyczyny pisała do niego hrabina Spencer w 1776. „Jestem pewną, że pan bez mnie nie możesz ani widzieć ani słyszeć ani rozumieć; mając taką przyjaciółkę Damon nie szuka Pitiasza” — atoli w każdym razie nikt nie miał więcej przyjaciół od niego i to w znaczeniu najściślejszem tego słowa. Pewnym jest także, że nie stracił ani jednego z tych których warto mieć przyjaciółmi. Pitt i Lyttle-

ton, których przyjaźń była sławą w 1741, pozostali mu wiernie przywiązani aż do ostatnich dni. Lord Chatam, ze swego ustronia Edgcumbe, zapraszał go do siebie wierszem, pisząc o sobie: „jestem mężem stanu bez władzy i bez złości, nie nienawidzącym dworaków, ale szczęśliwszym od nich wszystkich.”

Lord Lyttleton pisał zaś doń w 1771.

„Zdaje mi się, że cię więcej kocham niżbym powinien w moim wieku, ponieważ nadchodzi czas w którym serce powinno stracić coś ze swęj czułości, lecz ty tak roznieciliś moje, że w uczuciu mojem dla ciebie, tkwi cały zapal lat młodych”.

Tem samem pozostali dlań biskupi Newton i Warburton, lord Camden, Burke dla którego Garrick był zawsze „jego kochanym Dawidem”, Hogarth i Reynolds i wielu innych. I jakżeby mogło być inaczej, z charakterem tak dobrym tak sympatycznym, tak mało wymagającym? Słabości jego, o których tyle krzyeczano polegały na chęci podobania się. Lecz czy drobne fortele użyte jako środek zyskania sobie serc które i tak byłyby się doń skłoniły, czyż ta chęćka zagrania czasem komedyi ze strony człowieka tak naturalnego i prostego na scenie, nie były słabościami właściwemi każdemu? Były one wreszcie oznaką nadzwyczajnej czułości, i równoważone najpiękniejszymi przymiotami, jako: szlachetnością, dobrocią serca, stałością w przyjaźni, świetnym dowcipem, ciągłą wesołością, co wszystko dodawało więcej jeszcze wdzięku osobie Garricka. Johnson rzekł o nim, że był on jedynym z najpierwszych światowców w rozmowie; i że miał więcej jeszcze powodzenia przy stole biesiadnym aniżeli na scenie. Sławnym był z rozmowy w Paryżu obok takich jak Holbach, Diderot, Grimm, Helweciusz i Baumarchais. We dwanaście lat po jego wyjeździe z Francyi, słyszała pani Gibbon jak mówiono w kółkach najmodniejszych: „*Ten pan Garrick stworzony był na to, ażeby żyć między nami.*” Dowcipnisie zaś paryzcy dodawali w swęj łatwo zrozumiałej próżności że wyższość swoją zawdzięczał on przedewszystkiem krwi francuzkiej płynącej w jego żyłach. Niedługo przeto używał Garrick spoczynku. Z końcem grudnia 1778, w czasie pobytu swego w Althorp, u lorda Spencer którego odwiedzał na każde Boże narodzenie, uczuł się chorym. Pospieszył z powrotem do Londynu, gdzie po kilku dniach cierpień i prostracyi, skonał. Śmierć wielkiego artysty stała się wydarzeniem narodowem i publiczną żałobą. Ciało jego wystawione przez dwa dni, odwiedzały tłumy pragnące raz jeszcze przypatrzeć się jego rysom, a były tak liczne, że musiano straż postawić. Sprawiono mu wspaniały pogrzeb. Szereg pogrzebowy karet ciągnął się od Westminster-Abbey aż do Charing-Cross, tłumy zaś piechotne wszelkich stanów, przesuwały jak twierdziły ówczesne dzienniki—liczbę jaką kiedy widziano na jakim pogrzebie. Końce powłoki śmiertelnej niesli najznakomitsi, jako lord Camden, książę de Devonshire, lord Spencer, wicebrabia Palmerston, sir W. Wynne. Członkowie klubu literackiego przyzali w imieniu

tegoż, oddać ostatnią przystęgię nietylko przyjacielowi, ale i artyście, który według słów Warburtona, tak wysoko podniósł swą sztukę. Wiele tam serc było ścieśnionych, wiele łez wylanych u grobu, mającego pochłonać resztki najweselszego człowieka w Anglii. Jeden z tych, którzy najwięcej zawinili względem Garricka, stary Samuel Johnson, wynagrodził winy swe w chwili tej uroczystej publicznie. Widziano go, jak z oczyma zalanemi łzami, stał u stóp pomnika Szekspira, gdzie szczęśliwem natchnieniem wykopano grób jego przyjacielowi. W kilka dni potem, przemawiał o tej śmierci jak o wydarzeniu zasnucającem wszystkie narody. Ofiarował się kilkakrotnie, w razie gdyby pani Garrick chciała, skreślić życiorys tego, który był zarazem jego uczniem i towarzyszem, ale wdowa wielkiego artysty miała za nadto głęboki żal do niego, ażeby pragnąć takiego panegiryku. Powinien był jednak Johnson iść za własnym popędem, zamiast czekać aż napiszą biografią tacy nędzni kronikarze jak Murphy i Davis.

Pani Garrick dożyła dziewięćdziesięciu lat w zupełnej przytomności umysłu. Pewnego dnia w grudniu 1822 znaleziono ją nieżywą w fotelu.

Nie pozwalała nigdy otwierać pokoju, w którym wydał ostatnie tchnienie jej małżonek, Czas nie osłabił w niczem czci gorącej, jaką dlań piastowała: „Nie był on dla mnie mężem — mawiała — przez trzydzieści lat naszego pożycia, ale był zawsze kochankiem”. Pochowano ją w jej ślubnej sukni, u stóp pomnika Szekspira, w tym samym grobie który czterdzieści trzy lata przedtem, zamkuął zwłoki jej ukochanego Davida.

Nie odrzeczy będzie przytoczyć tu dwie anegdoty, świadczące o sile i rozmaitości wyrazu twarzy sławnego artysty.

Podczas swego pobytu we Francyi, Garrick będąc pewnego wieczoru wraz z panną Clairon w bardzo świetnym towarzystwie, zapytał się sławnéj aktorki: czy zna całą skalę (game) namietności „Co pan przez to rozumiesz? zapytała zdziwiona.

Na to, Garrick, samą grą fizyognomii wyraził całą skalę uczuć ludzkich, wznosząc się stopniowo od najprostszych do najbardziej skomplikowanych. Zgromadzenie w najwyższém zachwyceniu, przyznało że nie widziało nic podobnego dotąd. Drugie zdarzenie, któreby się zdawało nieprawdopodobnym, gdyby autentyczności jego nie poparły najpoważniejsze świadectwa, wykazuje lepiej jeszcze możność i zdolność angielskiego Roscuszka, w układaniu sobie fizyognomii.

Po śmierci Fieldinga, kilku z jego przyjaciół zgromadzonych w klubie, objawiło żal, że zaniedbano uwiecznić rysy nieboszczyka portretem. Hogarth dodał, że prosił go nieraz, a za-

wsze nadarmo, ażeby mu poświęcił kilka godzin. Obecny Garrick rzekł, że może nie byłoby niepodobieństwem powetować tę niedbałość i że gdyby tylko Hogarth chciał wzięść ołówek w rękę, on postarałby się nastęczyć mu pozę sławnego romansopisarza. Po krótkim przygotowaniu, wyraził na swęj twarzy podobieństwo tak uderzające z Fieldingiem, że Hogarth, który mógł mieć o tém lepszy sąd od kogobądź, nie zawahał się, ale naszkicował według tego wzoru twarz nieboszczyka. Jest to jedyny portret autora *Tom Jonesa*, jaki pozostał, i jaki widzieć można w drzeworycie zamieszczonym na czele edycyi dzieł Fieldinga, wydanych w Londynie w r. 1784.

E. L.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Prelekcya p. Legouvé „O stosunku panów ze służącymi.” — Przyjęcie pana Autran do akademii francuzkiej. — „Zmije” tom pierwszy Ludwika Vevillot. — „Gutenberg” pięcio-aktowy dramat wierszem, Edwarda Fournier. — „Vautrin” Balzaka: jego dzieło zupełne. — „Rienzi” opera Ryszarda Wagnera w teatrze Lirycznym. — Wiktora Hugo romans „l'Homme qui rit” tom pierwszy: Prolog. — Porównanie ceny dzieł Wiktora Hugo z zapłatą poematów lorda Bayrona. — Wiadomości literackie.

Odczyty i wykłady publiczne, zastępują w Paryżu piśmiennictwo na czas uśpione zajęciami politycznemi głoszącej Francyi. Mnożone prelekcye wolne, jakie tu teraz słyszymy, krążą około polityki, uwydatniają potrzeby i chęci kraju w ważnej chwili, kiedy o przeznaczeniach swoich stanowi. Nie są to więc czeze wyścigi próżności, popisy aktorów ludzkiej komedyi, ale nauki i rady podawane w porę i mające wejść niebawem w zastosowanie praktyczne.

Z tego powodu lekcy francuzkich privat-docentów wydają nam się lepsze niż niezaprzeczenie uczeńskie i abstrakcyjnie wyższe wykłady dotyczące prawd globowych, odwiecznych, ale których ukazanie nie doprowadzi ludzkość do najwyższej mądrości, bez słupów wytycznych na drodze postępu.

Temi słupami wytycznymi, wydają nam się być praktyczne zawsze wykłady paryzkie.

Do najważniejszych, jakieśmy w ciągu ubiegłego miesiąca słyszeli, zaliczamy wykład akademika Legouvé, o stosunku panów ze służącymi. Uwagi które ten przedmiot nastroczył panu Legouvé, tak dobrze francuzkiej jak każdej europejskiej społeczności dotyczą; tak dobrze w Paryżu jak w każdym inném mieście skorzystać z nich można. Dlatego uważamy za stosowne streścić tutaj tę prelekcją szanownego akademika. Kto wie, czy kwestya służebności nie jest jeszcze ważniejszą i żywotniejszą dla społeczności świeżo przeobrażonej, świeżo przeniesionej na stano-

wisko mniej górujące nad ogólnym poziomem, niż dla tój, która już od stu lat przeżyła kryzys równouprawnienia.

Cheąc wykład swój uczynić więcej przekonującym, pan Legouvé przyjął formę dialogu. Na wstępie daje głos oskarżycielom dzisiejszej klasy służebnej, wygłasza wszystkie czynione jój zarzuty. Najpierw występuje pani domu z pochwałą dawnych służących.

Jestto niby powtórzenie rozmowy profesora z rodziną. Pani dowodzi, iż żadna klasa dawnej społeczności nie dostarczyła tyle pięknych typów poezyi, historyi i teatrowi, jak klasa sług. Wówczas sługa nianoczył pana w kolebce, później towarzyszył młodzieńcowi w podróży. Dawni dostojnicy monarchii, syna odjeżdżającego do wojska, na dwór, lub w dalekie kraje, powierzali staremu słudze. Sama ta nazwa *stary sługa* była jednoznaczni-kiem odwagi i poświęcenia. Dziś jeszcze lud angielski widząc przejeżdżającego lorda w paradnym powozie, z dumą woła: „Jak bogaci są nasi lordowie.” Anglik ubogi zapomina swego ubóstwa widząc bogactwo swoich panów; ich dostatek jest jego dostatkim, bo to bogactwo Anglii. Wyrobnik angielski nie dba że on ubogi jako człowiek, kiedy bogaty jako Anglik.

Owóz dawni słudzy wszędzie mieli to szczytne zaparcie siebie, dumę swoją umieszczali poza sobą, splendor pana był ich splendorem. Inni nawet tém górowali nad Anglikami, że ich duma była przywiązaniem: nie tylko siebie czcili w swoim panu, ale go kochali. Dziś nie podobnego nie spotka na stałym lądzie: zamiast miłości, nienawiść; zamiast wdzięczności, niewdzięczność; zamiast abnegacyi zawiść. Rasa służących dziś jest podłą rasą!

Tą ostatnią definicyą oburzony p. Legouvé przerywa monolog przeciwnika, i dowodzi że tém właśnie określeniem, ciem-żcy usprawiedliwiali zawsze srogość swoją. Nas także, woła, pisarzy i mścicieli, niektórzy zowią podłą rasą. Wszystkie uczucia równości i sprawiedliwości oburzają się na takie ryczałtowe spotwarzanie całej klasy społecznej. To krzyżująca niesprawiedliwość! Sam zdrowy rozsądek dowiedzie, iż przeobrazenie służebności, będące jedném z następstw, jedną z form przeobrażenia powszechnego, musi mieć jak ono, obok wad swoich, swoją stronę wyższości i postępu.

— Śliczny mi postęp! mówi znowu przeciwnik. Ten tak zwany postęp zmazał nawet tę najwięcej zajmującą postać służebną: mamkę. Owa niewiasta, która dawniej prawie węzłem krwi bo węzłem mleka, związana była z rodziną, owa przyjaciółka która raz wszedłszy w dom pozostawała w nim do śmierci jako żyjąca tradycya — czemuż jest teraz w domu? Mlekojadną najemnicą, która o tém tylko myśli, żeby jak najdrożej towar swój sprzedać i uciec jak najprędzej. Wybywszy konieczne dwanaście miesięcy, wraca do swoich dzieci jak wygnaniec do kraju; a jeżeli zachowa jakie stosunki z tymi u których była, to tylko interesowne. Są jeszcze najemnicy, ale nie ma służących.

— Tracąc dobre, pozbyliśmy się zarazem wiele złego — odpowiada p. Legouvé, i mówi, że jeden z jego kolegów zalił się przed nim niedawno, iż jeden urząd zniknął ze sceny: nie ma lokaj w nowych sztukach.”

— Tém lepiej, znać że ich nie ma w życiu. woła professor, i maluje obrazek służby francuzkiej z XVII wieku. W komedjach Moliera i wszystkich ówczesnych komedjach francuzkich, przedstawieni służący są łotry, gorszyście panien i paniczów. Pokojówki owe, to wrogi moralności rodzinnej, wrogi mężów i ojców. Wtedy w gronie sług poczciwych powstała tak zwana *Valetaille*, najgorsza plaga domu. Przemiana obyczajów zatraciła pierwszych, ale i drugich wyniszczyła dzięki Bogu. Ktoraż dziś panna weźmie pokojową za powiernicę skrytej miłości? Któryż syn zadłużony, w zimowie z lokajem będzie oszukiwał i okradał ojca? W tém postępie niezaprzeczonego, wychodzący z innego ważnego ulepszenia: słudzy utracili wpływ na dzieci dlatego, że go nabyli rodzice. Owi dobrzy, wychwalani słudzy, uzurpowali miejsca rodziców. W miarę jak tryumf uczuć naturalnych zbliżał dzieci do rodziców, oddalił od nich sługi. Ich upadek jest naszym przyjściem. Dawniej przyjaciółką panienki była garderobiana; dzisiaj wychowana przez matkę, żyjąca z matką, matco się zwierza. Dawniej ojciec posyłał w podróż syna ze służącym; teraz sam z nim jedzie bez służącego, i usługują sobie wspólnie.

— Tu przeciwnik się odzywa, i dowodzi, że to co mówił professor nie usprawiedliwia bynajmniej wad sług dzisiejszych. Dumni ze swoich praw nowych, słudzy przypatrują się w milczeniu czynom naszym, nieżyczliwie nas sądzą, leniwi są, uparci, zadrośni, nienawistni... Na to znowu pan Legouvé:

— Wylizacie wady służących, ale czy to wady ich charakteru czy pozycei? Czy to ich wady, czy nasze? W tém cała kwestya. W około nich bogactwo, a oni żyją prywacyami; patrzą ciągle na wygody życia, których nie dzielają: służący bogaczy podobni są do żebraków patrzących w okno wexlarza. Na zimne poddasze idą się położyć, zapaliwszy wesoły ogień w ciepłym, dywanami obitym pokoju. Czyście kiedy pomysłeli co się dzieć musi w umyśle służącego, podczas kiedy nam usługuje do wykwiutnego obiadu? Słyszysz jak wychwalamy potrawy, winą; podbudzone jego łakomstwo liczy znikające kawałki i kieliszki... pociesza się tém że resztek skosztuje... wtém pani mówi mu na ucho: schowaj butelkę do szafy, a ta kura niech zostanie na jutro.”

A cóż czynimy; żeby pozyskać szacunek tych niemych świadków naszego używania? Uważamy ich za figury drewniane: państwo kłocą się przy nich, nieraz przy nich biją dzieci; wyśmiewają się przy nich ze swoich znajomych, szarpia lekkomyślnie nawet przyjaciół przy służących, jakby oni nie mieli uszu, oczu i rozpoznania. Jakichże cnót można wymagać od ludzi,

którzy takie mają przykłady? Czyny nasze, czy naprawiają nasze słowa? Jak względem nich postępujemy? Obaczmy.

Każda klasa niższa, dziś budzi współczucie wyższej, wywołuje jakąś troskę, sympatyę. Nawet przywary znajdują pobłażanie: moralizujemy więźni, złodziei, rozbójników. Cóż czynimy dla klasy służących? Nic. Wszędzie zaprowadzają biblioteki, kursa, towarzystwa wzajemnej pomocy, szkoły udoskonalenia, wszędzie, wyjąwszy dla nich. Na piąte piętro paryżskich pałaców ucziwy człowiek nie może patrzeć bez obawy. Młoda, przyjemna dziewczyna wchodzi do pani na służbę. Gdzież ją ona umieści? Na strychu, razem ze wszystkimi służącymi płci obojg. Czyście pomyśleli kiedy, co tam dzieje się na tém piątym piętrze, skoro po skończonym dniu pracy, wszystkie te powstrzymywane pragnienia, tłumione zawisłości, wstępują na strych i tam przez ośm godzin wybuchają swobodnie, z całym ardorem odwetu. Dziewczyne zgubioną na tém poddaszu, pani wypędza z domu jakby nie sama w tój winie nie zawiniła. A przecież tę dziewczynę ucziwą powierzyli pani rodzice. Jakże się nią zajmowała? A teraz wygnana z domu, nie znajdzie miejsca: cóż jój doradzi rozpacz i opuszczenie?

„Być panem, to znaczy mieć powierzone sobie dusze. Pan powinien pamiętać że służący są ludzie, że służące są kobietami: a raczej, że jedni i drugie są dziećmi. Nie inaczej. Mają dzieciinne ograniczenie, niepowściągnięte zachcenia, są mięszaniną niezastanowienia i dyplomacyi. Mają dzieciinną skłonność do kłamstwa, słowem, wszystko co rodzi brak wykształcenia. Jeżeli zważymy nadto, że są wystawieni na nieprzeparte pokusy, że wszystko co ich otacza, spiskuje przeciw ich ucziwości, że kucharkę i kamerdynera wszyscy kupcy namawiają do kradzieży, że pokojówkę wszystkie praczki i szwaczki przekupują; że ich pozycja nie jest w harmonii z całym naszym porządkiem społecznym; że służący tworzą kastę pogardzaną w czasie, kiedy już nie ma kast; że są obiorcami dopiero od lat dwudziestu; że ich przysięga tyleż co pańska znaczy dopiero od wczoraj prawie; nakoniec, jeżeli zważymy, iż dla służących nie ma ani rodzinnego ogniska, ani radości rodzinnej, że nawet małżonkowie żyć muszą rozłączeni; że matka nie może ani karmić ani wychowywać swoich dzieci: wtedy zamiast się dziwić ich wadom, powinniśmy się dziwić że im jeszcze tyle zalet zostało. Powinniśmy wzgardę naszą zmienić w politowanie i podać im rękę, jak podajemy włóścianom, wyrobnikom, tym wszystkim którzy się miotają pomiędzy przeszłością a przyszłością, ażeby im pomódz dosięgnąć wyższego celu do którego instynktowo dążą.”

Nowa społeczność powstaje. Służebność musi zmienić program, jak wszystko. Dawniej była ona pochłonięciem służki przez pana, wyrobem całego systemu feudalnego: od monarchów do *serfów*, każdy człowiek był czymś człowiekiem. Dziś każdy zależy od siebie. Łatwość z jaką słudzy nas porzucają, jest aspi-

racyą do niepodległości. Ażeby się ta łatwość stała cnotą, potrzeba tylko żeby dała swe naturalne wyniki: dumę serca i poszanowanie siebie samego. Do panów należy rozwinąć te zarodki w sercach służących. Niech oni w naszych i we własnych oczach będą nie stworzeniami niższymi, ale wolnymi, podpisującymi razem z nami wiążący nas wspólnie kontrakt, do wykonania którego każdy powinien przynieść część swoją: my sprawiedliwość i ludzkość, oni akuratność i uczciwość.

Przychylność zobopólna nie będzie z tego stosunku wykluczona, jeżeli pierwsi damy przykład miłości. Skarżymy się, że nas służący nie kochają. A my czyż ich kochamy? Dlaczego poświęcenie ma być brzemieniem uboższego? Miłujmy ich, radźmy im w kłopotach, pielęgnujmy w chorobach, a przywiązanie niezawodnie zajmie dawne miejsce pomiędzy nami i nimi.

Ale to przywiązanie nie może już mieć tej cechy, jaką miało. W przeszłości pan rozmawiał ze służącym, mówił mu *ty*, a ta poufałość nie była niebezpieczna, bo nie zacierafa uszanowania ani posłuszeństwa: chociaż pan schodził ze swego wywyższenia, sługa utrzymywał odległość przez głębokie poczucie swojej niższości. Dziś pan musi zawsze o godności swojej pamiętać, bo sługa zawsze gotów o niej zapomnieć.

Dowodźmy więc naszego przywiązania sługom, czynami; oni niech go dowodzą gorliwością, ale wywnętrzenia niepotrzebne: pozorny chłód powinien być stróżem poufnej życzliwości.

Taż sama ostrożność powinna istnieć w stosunkach dzieci ze służącymi. Dopóki dziecko niemowlęciem, twarzyczka jego należy do wszystkich; wszyscy mogą ją całować. Ale skoro już dziecko zaczyna uważać, towarzystwo służących jest dlań nie dobre: zbyt tam dziecku wygodnie, zbyt mu pochlebiają; tam traci zamiłowanie do wyższego towarzystwa, gdzie trzeba ciągle na siebie zważać. Pociąg dziecka do sług, zdradza albo utrzymuje w dziecku pewną, nieśmiałość leniwą i pyszną, czasami podłość.

W końcu mówca swój program postępowania ze służącymi streszcza w jednym słowie. W stosunku tym winna przezydować zaleta zupełnie nowa: *grzeczność*.

Dawni panowie byli dobrzy, ludzcy, przyjaźni względem służących, ale nie byli grzeczni, i być nie mogli. Grzeczność w tych stosunkach jest zaletą całkiem demokratyczną. Ma ona tę korzyść, iż zarazem uświęca równość natury i nierówność pozycji. Stawia wszystkich ludzi na jednym i tym samym poziomie, a każdego utrzymuje na właściwem miejscu. Grzeczność dla służącego, zapewnia ci uszanowanie z jego strony, dowodząc mu twój go uszanowania. Tak zrozumiane, tak podniesione do godności poważnej wszelkich zobowiązań społecznych, stosunki panów ze służącymi, mogą stać się jedną z najpiękniejszych form demokracji.

— Tak... Ale niestety! jakżeśmy daleko od poufności serdecznej starych obyczajów. Jakże z tej grzeczności surowa i chłodna całość wynika!

— Cóż począć? odpowiada prof. Społeczności demokratyczne nie są czule. Żyjemy wszyscy jedni naprzeciw drugim, uzbrojeni w prawa nasze jak w rewolwery. Na szczęście, w tym obrazie ciemnym są miejsca jasne.

Akademia francuzka rozdaje co rok 20 nagród enocie. Na te 20, 10 otrzymują służący. Stosunek panów ze służącymi najgorszy na społecznych szczytach. Wyjdźmy z przedpokojów milionerów, gdzie galonowi lokaje grają w karty i na giełdzie, mają przywary zbytku i podłość służalca. To szumowiny sług. Zajrzyjmy do domów mieszczaństwa, do klasy średniej: tam znajdziemy nowy rodzaj sług, bardzo dobry. Tam znajdziemy *bonę* która zajmuje się wszystkim, trzeźwą, odważną, miłosierną, znajdujemy intelligentnych lokai wychodzących z tej klasy na światłych obywateli. Zdarzają się tam poświęcenia ogromne, ludzie nie tylko usługujący zadarmo, ale dzielący ze zrujnowanym panem zasługi, które im dawał niegdyś, kiedy był bogaty, zdarzają się służący, którzy adoptują dzieci swoich państwa i wychowują je starannie.

„Wobec takich faktów, pytam was: klasa ciemna i poniżona która taki kontyngens cnoty przynosi do budżetu moralnego swojego kraju, czy zasługuje na pogardę? Kiedyż demokracja zrozumie, że już nie ma kast, że są jedynie dwa rodzaje rzemiosła: rzemiosło uczciwe i rzemiosło nie uczciwe; że trzeba oceniać człowieka nie po urzędzie jaki sprawuje, ale po sposobie w jaki ten się wywiązuje. Cóż znaczy że on służy? Czyż każdy z nas nie jest czymś sługą? Urzędnik, czy nie słucha przełożonego, komisant patrona, wyrobnik dozorey? Czy wszyscy podrzędni nie są na łańcuchy czyjejs, czy nie zależą od kaprysu, od zdrowia, od humoru swego przełożonego?

„Owóż, co sprawia że subordynacja nie jest upodleniem a zależność niewolą? Dwie rzeczy: godność niższego i sprawiedliwość wyższego. Praktykujmy drugą, zachęcajmy do pierwszej. Nadewszystko, wyważmy z naszego słownika owe brzydkie wyrazy które ustawicznie jako raniącą obelgę powtarzamy nawet w obec służących: „lokajska dusza, lokajski charakter.” Nie zapominajmy o tém, że są ludzie którzy współzawodniczą w służebności z lokajami: dworacy. Między pierwszymi a drugimi ta jedynie różnica, że drugich płaca wyższa i liberya droższa. Jeżeli więc kogo wolno zelżyć nazwą lokaja, nie stosujcie jej do biednego człowieka, który mało zarabia w pocie czoła, ale do tego co miliony dostaje za próżnowanie. Francya w roku 1789 ogłosiła wszystkich obywateli równymi w obec prawa: ogłoszmy teraz wszystkich uczciwych ludzi równymi w obec szacunku publicznego.”

Osmego kwietnia Akademia francuzka przyjęła uroczystie w swoje grono pana Autran. Natłok publiczności był wielki, płeć piękna, jak zwykle, przeważała w liczbie. Nieraz dziwiłiśmy się temu, bo światło w pałacu Mazarina bardzo nie przychyłne dla piękności, jakieś żółte i ostre. Każda kobieta która na ławach Instytutu siedzie, wydaje się o dziesięć lat starsza, a dziesięć lat dodane do już posiadanych, to nie żarty... Jednak, żadna jakoś na to nie zważa. Jest-li to namiętna miłość nauki? czy też poprostu nieświadomość siebie spowodowana brakiem zwierciadeł w świątyni nieśmiertelnych? Dotąd nie mogliśmy sobie odpowiedzieć na to pytanie.

O drugiej rozpoczęto posiedzenie. Pan Cuvilier-Fleury który pełnił urząd dyrektora, dał głos przybyszowi siedzącemu pomiędzy swoimi dwoma ojcami chrzestnymi, p. p. Miguet i Laprade.

Autran wchodził do akademii po śmierci Lamartina, w dniach kiedy francuzka poezya grubą nosiła żałobę, złożył więc najpierw hołd Lamartinowi „à ce chanteur immortel qui fut l'enchanteur de tout un siècle”. Żal wybiegł z głębi serca nowego Akademika, Autran był bowiem osobistym przyjacielem Lamartina, poznał go w chwili jego wyjazdu na Wschód, w Marsylii. W gronie poetów którzy go tam przyjmowali odami, sonetami i hymnami, Lamartine zauważał ogniste strofy dwudziestoletniego Autran'a, a wykrywszy świetny talent w ciemności, zamiast mu podziękować listownie jak innym, poszedł uściskać dłoń nieznanego brata w Apolinie.

Od owego czasu Autran został przyjacielem Lamartina i dochował mu przyjaźni do grobu. Lamartine także bardzo go lubił. Nieraz opowiadał jak młody Marsylczyk odprowadzał go do okrętu i z rozrzewnieniem patrzył dopóki statek z oczu nie zniknął, oddalając się od Marsylskich brzegów przypominających wyobraźni ojczyznę pierwszej młodości, uroczą Grecyą, której ten brzeg Prowancyi jest niby odbłaskiem na Zachodzie.

Złożywszy hołd pamięci Lamartina, Autran nie wyszedł już ze swojego przedmiotu. Literat niechęcąc mieć innych tytułów do Akademickiej palmy prócz swojego dzieła, nie harcował na politycznej niwie, gdzie Akademicy lubią czynić wycieczki. Nowoprzybyły, żadnym politycznym wyznaniem wiary nie zbratał się z nowymi kolegami, mówił o życiu i dziełach swojego poprzednika Franciszka Ponsarda. Gdyby ów prawy nieboszczyk mógł słyszeć mowę Autran'a która nie była panegirykiem, ale grutownym studyum, byłby pewnie zadowolony, że ostatni raz prawil o nim publiczności także poeta i przyjaciel urodzony w sąsiedztwie.

Poeta marsylski mógł lepiej niż inni skreślić pracowity żywot autora „Lukrecyi”. Obaj ci kochankowie Muzy żyli pod tém samem niebem, i w samotności szukali źródła natchnienia.

Ponsard urodził się pod szczęśliwą gwiazdą: zawsze przybywał w porę, czyto przynosił ziomkom *Lukrecyą*, czy *Honor i pieniądze*, czy *Lwa Zakochanego*. Umieć przemówić w porę, to szczęście, to chwała pisarza.

Bogowie mniej sprzyjali panu Autran.

On także przybył do Paryża z dziełem głęboko pomyślaném urodzoném, jak *Lukrecya*, w południowém zaciszu; przywiózł „*Córę Eschyleśa*”. Na téjże scenie, na której Ponsard odniósł zwycięstwo w 1840 r., Autran przedstawił ten swój utwór, mniemając że przyszła chwila wprowadzenia muzy greckiej na grób romantyzmu, gdzie dogorywała jego reakcja. Pierwsze przedstawienie naznaczono na dzień 24 lutego. Nie przewidywano że jedyny dramat jaki odegrają w Paryżu tego wieczora, będzie dramat rewolucyj.

„*Córa Eschyleśa*” musiała zaczekać. Przedstawiono ją w kilka tygodni później; ale, chociaż przyjęta nie złą, nie zwróciła uwagi powszechnej: dramat zajmujący nie był na scenie ale na ulicy. Utwór Autrana przeszedł więc nie spostrzeżony. *Córa Eschyleśa*, urodzona nad brzegiem Śródziemnego morza, na jego modrych falach wykołysana, wypieszczona przez poetę który w niej widział najpiękniejszy kwiat swego przyszłego wieńca, pozostała jedynie w pamięci kilku literatów, jako jedno z najepiczniejszych dzieł społecznego teatru.

Autran powrócił do Prowancyi. Postanowiwszy na przyszłość już się nie rozbijać o nieprzewidziane okoliczności, porzucił teatr i śpiewał dla przyjaciół. Ci nie bez trudu sprawili że owe wymarzone poematy przekroczyły rodzinne koło, i ukazały się na szerszej widowni. Pod naciskiem przyjaźni Autran ogłosił: „*Poèmes de la Mer*” „*Milianach*” „*Laboueurs et Soldats*” „*La Vie rurale*” „*La poème des beaux jours*” „*Les Epitres rustiques*” i „*Cyklop*,” studjum greckie, podobne do płaskorzeźby znalezionej w gruzach starożytniej świątyni.

Z wymienionych poezyj składa się dzieło nowego Akademika. Cuvillier-Fleury który odpowiadał Autranowi, mówił o jego utworach bez przesady. Przechodząc od Autrana do Ponsarda, od Ponsarda do innych społecznych poetów i dramaturgów fraczukich, dla każdego znalazł przyjemne słówko lub miłą wzmiankę. Zarzucić można dyrektorowi Akademii iż zbyt dba o efekt swej mowy, że zbyt równo szpikuje ją dowcipem; prawda że go ma, jakto mówią na trzy zbytki. Ztąd poszło że pomiędzy literatów wmieszał figury całkiem w tej kompanii nie spodziewane, z powodu Autrana i Ponsarda mówił o Ludwiku Filipie, generale Changarnier i Bonapartym. Słuchacze w grobowém milczeniu, przyjęli panegiryk nieboszczyka króla.

Ludwik Veuillot dobija się do Akademii. Dla wyważenia drzwi, wydał tom wierszy pod tytułem „*Les Couleures*.” Chcąc

wypocząć po trudach polemiki, autor „*Wolno myśliciele!*” pisze satyry. Często podróżując pomiędzy Rzymem i Paryżem, ułożył w wagonie dla rozrywki, kilkanaście sonetów i zatytułował takowe „*Zmije*” oczywiście w zamiarze dania ich do połknięcia publiczności. *Zmije* te jednak nie kęsają śmiertelnie: Veillot nie nalał im w zęby owego jadu który tak znakomicie preparować umie, nie uczynił tego, przez wzgardę, litość czy zmęczenie? nie wiadomo. To tylko widzimy, że tym razem chciał syczeć nie kęsać.

Największą wadą tych wierszy, że nie są prozą, że każą żałować języka Veillot'a dziennikarza, zelżywego, bezwstydnego, ale silnego i bogatego, jeżeli nie do dyskusyi, to do kłótni. Przymus rytmu, nie poetę krępuje i kurczy. Veillot nie będąc ulubieńcem muzy ale furji, z wielkim trudem szuka końcówek, a znalazłszy, trud kryje pod jakimś niby dziwactwem myśli. Wszyscy ci co piszą wiersze pomimo Minerwy, wymykają się jedynie za pomocą excentryczności.

W ogłoszonych obecnie satyrach, Veillot bije wszystkich spółczesnych, zaden jednak z ran nie umrze. Jest sonet napisany jedynie na to żeby wyrzucić panu Ulbach jego zbytnią otyłość; drugi oskarża pana Taine o suchoty; trzeci Wiktora Hugo kopie mimochodem; czwarty pokazuje język Rouherowi, którego zwie *niewolnym balonem*. Ollivierowi który obecnie za cel pocisków wszystkim służy, Veillot poświęcił kilka nabożów. Z powodu skandalicznych festynów karnawałowych Arsena Houssay, gdzie pod cieniem maski, widziano wielkie damy za pan brat z ulicznikami, Veillot przezywając gospodarza Galvadin'em, kreśli następujący wierszyk:

„Tours vont chez Galvaudin...

Les uns etudier comme on se de'canaille,

Les autres, en passant, respirer l'air natal.”

Oświadczywszy wszem w obec, że ma serce zbolale i spragnione sprawiedliwości, że jedynym jego szczęściem na tym świecie, poczucie własnej zacności; że jego wszyscy krzywdzą, a on sobie tylko czasem przed Panem Bogiem zapłacze... Veillot Choniera i Musseta drapie...

Cóżkolwiekby, choć w chrześcijańskiej pokorze uczynił co mógł żeby rozjątrzyć lub obruszyć ludzi, nie dokazał tego: strzały mu stępały. Dawniej, bardzo dawno, potężnie nienawidzono Veillota w Paryżu: mało kto tak silne jak on wzbudził nienawiści. Zaprzeczano mu nawet talentu pisarskiego, polemicznej werwy, mówiono o nim jak się mówi o szkodliwym zwierzu. Było tak w ostatnich pięknych dniach romantyzmu, w czasach kiedy słuchacze Micheleta i Quineta we Francuzkiem Kollegium rzucali ławki na głosy uczniów Ozanam'a.

Filistyn który w 1840 roku z o twartą gębą patrzył na te wybryki rycerzy wolnej myśli i katolicyzmu, zmienił się zupełnie. Popsuły go małe dzienniki. Nie wierzy już w przyjsie Królestwa

Bożego, nie czyta prospektów czyniących nawrócenie małych patagonów przystępem każdej sakiewce. Veillot, stary atleta bez zajęcia, szuka sobie gdzie może przeciwników i nie znajduje nikogo z kimby się mógł zmierzyć. On co dawniej nie wiedział na które pierwiej wyzwanie odpowiadać, zmuszony teraz drażnić najmniejszych, z którymi niegdyś nie raczył się mierzyć ani *kopija* ani wzrokiem.

Krótko mówiąc, straszliwy Veillot stał się Veilocikiem. Czasami jeszcze dawny napada go wigor: odwróci się nagle i położy trupem paru *figarzystów*. Ale to jedyne jego zwycięstwo: i zęby stępieły, jad zwietrzał...

Czy boleć nad tem? przeciwnie. Veillot nigdy nie był i nie będzie głosem ani światłem kościoła. Zadaniem innych, mniej styranych w załębkaach codziennej polemiki dziennikarskiej stać na stopniach ołtarza, albo wejść na ambonę. On jest *szwajcarem* kościoła: halabardę trzymać będzie do śmierci. Skoro uliczniki zbyt hałasując u drzwi, zagłuszają kazanie księdza proboszcza, Veillot wybiega zaperzony, potrząsając średnio-wieczną bronią, ze schodów rzuca przekleństwo i odchodzi mrużąc. Ale zaledwie stary szwajcar się odwrócił, zgraja uliczników powraca... i broi w najlepsze.

Edwarda Fournier 5-cioaktowy dramat wierszem „Gutenberg” przedstawiony w Teatrze Francuzkim, upadł, i nie podniesie się już zapewne. Rzecz była do przewidzenia: autor zaczerpnął z niewłaściwego źródła: teatr się podsyca w ognisku wielkich namiętności, a nie w przekopach wielkich idei. Historia, legenda, bajka, dostarczają poecie mnóstwo imion sławnych; bogi i ludzie abdykują w niebie lub na ziemi, a wzuwszy koturny lub buty, stają się najniższymi sługami natchnień lub fantazyi wieszczca. Dodając albo ujmując chwały wybranemu bohaterowi, poeta może zdjąć z piedestału albo pod niebiosą podnieść proroków, mędrców i zdobywców, tych których miecz lub mózg błyskawice ciska, którzy obalając cesarstwa odkrywają światy.

Wszechpotędze dramatycznego poety, widz, ów sędzia milczący a surowy, kładzie jeden tylko warunek pod karą swęj nielaski: żeby zawsze czerpał z życia. Widz mało dba jeśli rozprzestrzeniając pole myśli przed jego wzrokiem, puścisz wodze skrzydlatej abstrakcyi; widz nie w obec książki chce być w teatrze, ale w obec życia. Odkrycia które jego mogą zająć, trzeba czynić w sercu człowieka, a nie w pracowni Jana Gutenberga.

Pan Fournier przedstawił na scenie, poemat dydaktyczny na cześć Gutenberga i wynalazku druku. Rzecz dziwna iż to uczynił Francuz mający przed oczyma dwa świeże, smutne przykłady: po wielkiem powodzeniu *Lwa Zakochanego* nastąpił upadek *Galileusza* i przyspieszył skou Ponsarda. Krytyk teatralny, feiletonista dziennika *La Patrie*, Fournier powinien był dla siebie

wyciągnął naukę z owych dwóch wieczorów, kiedy klaskano i gwizdano dwom po sobie następującym utworom tegoż samego dramaturga. Sztuka pracowitego składania pięknych wierszy, nie mniejsza w nieszczęśliwym autorze *Galileusza* jak w oklaskanym autorze *Lwa Zakochanego*. A jednak, na tém samém miejscu nieba, jeden wzbil się jak słońce w górę, drugi zgasł jak spadająca gwiazda.

Jaki wniosek wyciągnął z tego nagłego odrotu fortuny? Że poeta malował namiętności w swym dramacie rewolucyjnym, a myśl wierszował w swój naukowej tragedyi. Nie w mózgu ale w sercu człowieka rodzą się piękne dramaty które uwielbia tłum. Z tego powodu, jakiś nieznan, ale kochający i kochany młodzieniaszek, zawsze w teatrze odniesie zwycięztwo nad geniuszem którego pamięć droga ludzkości. Ażebymiały prawo obywatelstwa na scenie wielbione geniusze, powinny koniecznie stać się ludźmi przez słabości swoje.

Kwestya czy Jan Gutenberg jest czy nie jest wynalazcą druku, zrodziła tysiące tomów uczonych i zajmujących, a nie może stworzyć ani jednej zajmującej dramy. Tak było od początku i będzie do końca świata.

Onego czasu, trzy piękne niewiasty podejrzanych obyczajów, bawiąc się miłostkami w uroczym krajobrazie na górze Ida, rozkochwały się w pastuchu który pał kozy na słońcu. Pastuch był piękny jak Apollo, bezczelny jak Bachus a silny jak Herkules. Trzy awanturnice nuż w zaloty, nuż schlebiać pastuchowi i oświadczają mu swoje uczucia na wyścigi. Pastuch wszystkie trzy uszczęśliwił, a w dwóch obudził zazdrość.

Przygoda biegła po kraju... Schwyciła ją legenda i przekazała poezyi, która w boginie zmieniła trzy aspirantki do jabłka, a owego pastucha, cel i nagrodę konkursu, królem mianowała. Najpiękniejszy poemat jaki dano było wymyślić człowiekowi, poemat który ludzie czytają z zachwytem od trzydziestu wieków, urodził się z tej polnej rozpusty.

Któż unieśmiertnił bajkę Parysa przez Junonę i Minerwę a przysądżającego jabłko Wenerze? Namiętność. Namiętność była, jest i będzie językiem tłumy. Jeżeli poeta lub mówca chce zachwycić wszystkich, niech im pokaże po przez gazę oszytą złotemi frendlami z pięknych wierszy, jasne włosy Heleny, węza Kleopatry, nożyce Dalili, zasłonę Franceski Rimini, chustkę Dezdemony, balkon Julietty, albo kołowrotek Małgorzaty!

Od Homera do Szekspira, od Danta do Goethego, geniusz poetów, wzruszenie widzów, nic lepszego nie wymyśliły do stworzenia i do uwielbienia. Sztuka przemawiająca do naszej wyobraźni czyto z pomocą perspektywy teatralnej, czy opisów romansu skazana na wieczne krążenie jak w zaklętém kole, w tej znacznej definicyi Terencyusza: „Jestem człowiekiem, i nic mi nie obce co ludzkim jest”.

Poza tém kołem w którym olbrzymi umysł Homera i Szekspira krążył swobodnie, sztuka narazona jest na upadki, wywroty, na fałsze i śmieszności. Któż zaręczy że *Gutenberg, czyli tryumf czcionek*, nie wywoła innych podobnych utworów, nie natchnie innych pisarzy którzy pod pozorem odmłodzenia myśli i formy napiszą dramy... naprzykład pod tytułem *Bacon, czyli motyka filozofii doświadczalnej; Kepler, czyli trzy prawa astronomii, Newton, czyli atrakcja powszechna*. Pochop nadany. Tylko patrzeć, rychło zodiak spadnie na scenę Vaudevillu i Rozmaitości.

— Jednocześnie kiedy *Gutenberg* pana Fournier upadł przy odgłosie gwizdków w teatrze Francuzkim, wznowiony *Vautrin* Balzaka wyrócił się po cichu.

Vautrin pierwszy raz przedstawiony w Paryżu 14 marca 1840 roku, i nazajutrz zakazany przez pana Rémusat, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, nie miał powodzenia na scenie, ale używał sławy skandalicznej poza teatrem. Fryderyk Lemaitre, który grał rolę galernika *Vautrin*, ucharakteryzował twarz na podobieństwo Ludwika Filipa. Wystąpienie takie sprawiło wtedy silne wrażenie. Rząd pod pozorem niemoralności sztuki, skarcił nieprzyzwoitą maskaradę. Minister nie dowiódł tém taktu. Należało skłonić aktora do zmienienia fryzury, a grać dalej sztukę, która byłaby sama upadła.

Niezręczność władzy przysłała w pomoc dwom ludziom, mocno zakłopotanym. Dyrektor teatru Harel mając w perspektywie nieuchronne bankructwo, krzyknął że go zrujnowano, Balzak ocalając na szwank wystawioną swoją miłość własną, mógł się udrapować zwycięzko, w przedmowie do *Vautrin'a*.

Teraz wskrzeszony galernik *Vautrin* nie wyciągnął widzom sakiewki i wnet z teatru wynieść się musiał, ale nie litujmy się nad nim; ma on przepyszny pałac gdzie będzie mógł błyszczyć wiecznie: ten pałac zwie się *Ludzka komedya*.

Księgarz Levy wydaje właśnie zupełną edycyą dzieł Balzaka, o tyle zupełną ile nią jest, gdyż pomimo olbrzymich rozmiarów, *Ludzka komedya* nieskończona. Nie mało w niej próżni spostrzegamy porównując ją z planem jej architekta. *Scènes de la vie militaire*, nie ma wcale; *Scènes de la vie politique*, przerwane na trzecim rozdziale. Trzy wskazane prace każą się domyślać szerokości Forum, które stanąć miało. *Les Etudes Analytiques*, mają tylko nagłówki zawierające owę błyskawicę światła, które nie miało czasu dolecieć. Nawet w najwykończonych częściach są szczyrby. Tu brak posągu, owdzie popiersia; tu framuga próżna, tam mur nagi, który miał być pokryty freskiem wedle narysowanych kartonów.

Jednak, tak nie zupełną jak jest *Ludzka komedya* zawiera cały świat. W potrójnym poemacie Danta cały wiek średni powraca. Nasz wiek cały żyje w stu-piętrowej epopei Balzaka. Rozwijają on tam w jasnych kręgach owe dramaty ciemne, które toczą się w ukryciu; uwiadomił nieznauc bohaterstwa naszego

stulecia, bohaterstwa które zużywają na drobiazgi energią mogącą podnosić góry, jego namiętności zmieszane w czystej formie miłości, lub ukryte pod maską rozpusty; jego cnoty zebrane w tłumie; jego tajemne poezye które w sercu powszednich istot kiełkują jako kwiaty wśród bruku; obyczaje wyrafinowane jego szczytów i przywary jego nizin. Głównych rzeczy nie brak pomnikowi: wagą swęj massy trwać będzie tyle ile pięknoscią sztuki.

Wydanie Lewiego będzie w dwudziestu pięciu tomach. Co miesiąc wyjdzie tom. Prócz ogłoszonych, umieszczą rzeczy jeszcze nie drukowane, oraz całkiem nie znaną korespondencją Balzaka. Wszystkie noty znalezione w papierach, zużytkowane. Już wydane „*Scènes de la vie privée*” przynoszą zaszczyt wydawcom i typografii paryżkiej.

Dziewięć lat upłynęło od pamiętnego przedstawienia w Operze wielkiej „*Tannhauser'a*, reprezentacyi, w której Wagner pobity został na głowę w Paryżu. Wrażenie owęj opery tak głębokie a niemiłe pozostawiło ślady w umyśle Paryżanów, że trzeba było upływu lat dziewięciu i ciągłej na korzyść zarenskiego mistrza propagandy, żeby utwór jego znowu mógł się ukazać na paryżkiej scenie, chociaż z niezupełną rękojmnią wygranęj. Na tę kosztowną próbę zdobył się Padeloup, dyrektor Teatru Lirycznego i wielbiciel Wagnera. Młodzieńcze jego dzieło „*Rienzi*” nie doznało wprawdzie losu *Tannhausera*, ale dalekiem jest od takiego przyjęcia, jakiego tu doznają utwory Auber'a i Verdego. Przyklaskujący Wagnerowi Francuzi, podobni są do owych muzeinów zablakanych na minarecie meczetu, i wygłaszających, że Mahomet był kiedyś prawdziwym prorokiem. Niema ludzi przeciwniejszych temperamentem systematowi muzycznemu Wagnera, jak Paryżanie. Ci co nie zważając na modę przychylną temu mistrzowi, wyznają otwarcie swoje o nim zdanie, mówią że *Rienzi* jest „ułożonym na orkiestrę wybuchem Sorbony.” Definicja nie zupełnie fałszywa, mianowicie jeżeli zważymy że *Rienzi* w historii rzymskiej odegrał rolę *Picratopotasu*.

Bohaterem opery Wagnera jest ów trybun, który szkolnemi wspomnieniami i archaiczną grabieżą, wskrzesił na chwilę Rzeczpospolitą Rzymską w XIV wieku. Naiwna kronika społeczna znana pod tytułem „*Frammenti di Storia Romana*” mówi: „*Rienzi*, człek niskiej kondycyi, był synem karczmarza i praczki; wykarmiony mlekiem wymowy, był dobry gramatyk, lepszy retor, wyborny komentator! Czytał szybko, lubił bardzo Liviusza, Senekę, Tulliusza i Valera Maxima, z upodobaniem opowiadał przepychy Juliusza Cezara. Co dzień studyował płaskorzeźby rozrzucone około Rzymu; sam jeden umiał czytać staro-

żytnie napisy, rozumieć i tłumaczyć te marmurowe kwiaty. O!—wołał nieraz—gdzie owi dzielni Rzymianie? Gdzie ich sprawiedliwość? Wróć-li ich czasy? Był to piękny mężczyzna, i notaryusz.”

Życie Rienzi od początku do końca jest teatralne. Przez dekoracje wszedł do historii; zakulisowa maszyna wyniosła go do władzy.

Rzym opuszczony przez papieży, podczas ich pobytu w Avignonie stał się łupem nierządu panów. Gwelfy walczyli z Gibełinami, Orsini z Colonną; rabunek, mord, pożoga mieszkają na ulicach Romy. Podczas powszechnego głodu, Rienzi wystawił na kapitole od strony targowiska wielki obraz wyobrażający okręt bez steru ni żagli, kołatany falą rozhukanego morza. Kobieta z rozwianym włosem w podartej szacie żałobnej, klęczała na pokładzie; pod nią stał napis: „To Roma.” Obok tego okrętu tonącego, płynęły inne rozbite statki: *Babylona, Kartagina, Troja i Jeruzalem*. Skoro gmin się skupił przy tym szyldzie tonącej ojczyzny, Rienzi objaśniał obraz rozgłosną harangą nasadzoną wyrażeniami starożytnego krasomówstwa.

Innym znów razem, ustawił wśród ludu stół spiżowy, wykopany z ziemi, gdzie było spisane prawo którym senat oddawał władzę Wespazyanowi. Tą pamiątką budził zapał widzów, przypominając, że to lud rzymski onego czasu mianował Cezarów.

Dwie powyższe mowy równały się pozwom do broni. Cała uczona i malownicza Italia Odrodzenia, streszczona w tém powstaniu ludu zrewolucyonowanego *obrazem i napisem*.

Pewnego pięknego poranku Rienzi wysłuchawszy trzydziestu mszy, stanął na czele stu ludzi, zabrał kapitol i ogłosił *Buono Sato* wraz z tytułem swoim: „Mikołaj surowy i miłościwy, Trybun wolności, pokoju i sprawiedliwości, dostojny oswobodziciel świętej rzeczypospolitej rzymskiej.”

Rządy Rienzi były początkowo mądre i dobroczynne. Ustanowił karę śmierci za człekobójstwo, bez różnicy stanu, wydał rozkaz ukończenia każdego procesu w dni 15; duchowieństwo poddał ogólnemu prawu; pałace schronienia grabieży i tyranii odebrał baronom i oddał ludowi.

Mara wskrzeszonej starożytności za którą Italia gonila przez tyle wieków, zdawała się nakoniec wcielona. Ale plebejusz zawieszony na tym archeologicznym szczycie, wnet dostał zawrotu głowy. Trybun ufałdował się w cesarską tunikę: za processyą chodził z globem i berłem w rękę, syn karczmarza i praczki otoczył się ceremoniałem: baronowie trwożni, stali przed jego kuralnym krzesłem z pochyloną głową. Żona jego chodziła do Bazyliki w gronie wachlujących ją patrycyanek.

Pewnego razu przyszła Rienzi myśl pasowania siebie na *Kawalera Świętego Ducha*, w kościele św. Jana Laterańskiego. Wyprawiał więc ucztę przepyszną; potem ubrany w złoto i jedwabie poszedł do kościoła w gronie szlachty cwałującej konno. Przed

nim szli trębacze dmąc w trąby srebrne. O zmroku wszedł Rienzi do kaplicy papieża Bonifacego, mówiąc ludowi: „Oświadczam wam, że tej nocy mam zostać *Rycerzem*. Przyjdźcie jutro, a usłyszycie rzeczy, które się podobają Bogu w niebiesiech, a na ziemi ludziom dobrej woli.”

Skoro noc nadeszła, trybun wykąpał się w porfirowej kunsze, gdzie wedle podania, papież Sylwester ochrzcił Koustantyna. Po kąpieli położył się na łożu usłaném w świątyni.

Nazajutrz, wystąpił w szkarłacie. Patrycyusz przypiął mu złote ostrogi. Potém wysłuchał mszy uroczystej. Podczas mszy postąpił ku ludowi, wzywając cesarza i króla Rzymianów przed swój trybunał. Następnie wyciągnął szpadę i uderzył nią powietrze w kierunku trzech części świata, wołając: „To moje! To moje! i to moje!”

W tych trzech cięciach cała polityka Rienzi'ego: mięszanina tradycyji chrześcijańskich i pogaństwa, Romulusa i Grzegorza VII. Głowa i ręka jego była bezsilne. Poczęto przeciw niemu spiskować; Rienzi uwięził magnatów. Tragedya zapowiadała się straszna. Baronowie w więzieniu zastali spowiedników; salę sądową wybito białem sukniem w krwawe rysy... Rienzi zwołał lud i oznajmił mu tracenie baronów.

Atoli, w oznaczonej na egzekucyą godzinie, czy to z rozmysłu, czy z natchnienia, Rienzi wygnał oprawców, a sam z rusztowania powiedział kazanie na temat: „I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.” Niewątpliwie człowiek ten miewał szczytne pomysły. Skończywszy kazanie, prosił lud o ulaskawienie więźni, w ich imieniu oświadczył, iż załują za grzechy, i puścił ich swobodnie, porozdawawszy prefektury i księstwa w Toskanii.

Wysoki system łaskawości, znać był zawczesny. Uwolnieni od śmierci i udarowani hojnie baronowie, rozbiegli się po kraju i obrócili przeciw trybunowi. W bitwie stoczonej u bram Rzymu, poległi trzej Colonnowie, co opóźniło upadek Rienzi'ego. Opowiedział ludowi bitwę, a ta przemowa zjednała mu tryumf na Kapitolu, wśród popółstwa namiętnie rozkochanego w krasomówstwie.

Nakoniec obleżony w Rzymie przez zbuntowaną Kampanią, przeklęty przez papieża na żądanie cesarza niemieckiego, ostatecznie zmuszony do abdykacyi, Rienzi złożył w Kapitolu swoje berło i cesarską szatę, poczem uciekł potajemnie, zostawiając Rzym w większej anarchii niż go objął.

Po siedmiu latach więzienia, wrócił do wiecznego miasta jako delegat Innocentego VI. Ten ostatni akt tragi-komedyi, trwał krótko. Rienzi zdjął maskę i pokazało się że to renegat na papieżkim żołdzie. Tyrańskie postępowanie Rienzi'ego zbuntowało lud trzymający z panami. Pewnego dnia Rzym zabrzmiał okrzykiem: „*Mora colu de Rienzi traditore!*” Obsaczony w Kapitolu podpalmym przez lud, Rienzi chciał uciec w płaszczu odźwiernego. Ale

schwyty na pałacowych schodach, został ścięty i rozerwany na sztuki przez wściekłe pospólstwo. Kawał ciała jego powieszono w sklepie rzeźnika...

Z jakiegobądź jednak stanowiska będziemy patrzeć na Rienzi'ego jest on prawdziwym bohaterem opery: ma napuszystość i pozę tam potrzebną. W dziejach jego ustawiczne zmiany dekoracji.

Wagner sam sobie ułożył libretto, nie tak dobrze jakby można było z takiego materiału. Poemat jego ciemny, nie cieniowany, tłum wiecznie zalega scenę, i głośzy swym bezimiennym hałasem uczucia i namiętności osobiste. Ledwie gdzie niegdzie duet, lub tercet, zawsze i wszędzie zgraju.

W pierwszym akcie starcie Orsinich z Colonnami i ludowe powitanie trybuna. W drugim, lud domaga się śmierci wrogów Rienzi'ego. W trzecim wezwanie do broni, marsz wojenny, modlitwa niewiast modlących się do Madony podczas bitwy, powrót wojska i hymn zwycięzki republikanów. W czwartym, chór spiskujących na życie trybuna. W piątym finałna ruchawka. Jestto głosowanie powszechne zastosowane do tragedji lirycznej, program socjalistyczny mass ciemniących jednostki, przeniesiony i urzeczywistniony na scenie.

Tu i owdzie położenia szczytne; ale ich blask nie może zapełnić braku życia wynikającego z ciągłego użycia tłumy. Hydra nierządu jest ostatecznie główną osobą poematu Wagnera. Owóż, niepodobna zainteresować się potworem stugłównym, wydającym jeden i ten sam krzyk.

Teraz parę słów o partycyi. Wagner podobno gardzi tym utworem młodości. Ztąd pochodzi zapewne, że Francuzi tę operę przekładają nad jego późniejsze dzieła. Rienzi przedzielony od nich całym systematem: są tu dopiero zarodki późniejszej doktryny. Zbytńia rozgłośność, nadużycie trombonu, bębna i tułumbasa, już się mocno czuć dają; głosy ludzkie zawsze przez instrumenta zagłuszone, jęczą jak ofiary zamknięte w spiżowym byku Falarisa. Ale ten zgiełk jest jeszcze wyraźny, zrozumiały. A jaka siła w tej muzyce! jaka wymowność stylu! Technienie bohaterskie z niej wieje. Natchnienie Wagnera nie ma nic z piękła ani spokoju Muzy: to Pytya na trójnożu, gestykulująca wśród płomiennego dymu. Bożek gniewny, jak szatan ją posiada, napętnia pierś jej skargą, a usta pianą.

Niepodobna rozbierać tej partycyi skupionej, której części spojone z sobą jak kawałki zbroicy. Wskazać możemy jedynie kilka cudnych ustępów. W pierwszym akcie chór zważnionych panów: głosy i szpady spierają się z sobą żąb za żąb... tej nawałnicy namiętności ludzkich, orkiestra odpowiada grzmotem burzy. W drugim akcie błoga niespodzianka spotyka słuchaczy: *Posłowie pokoju* przedstawieni przez grono młodych niewiast ubranych w białe tuniki, głoszą *dobrą nowinę*. Sam ustęp przypomina nadziejskie pieśni geniuszów w *Zaczarowanym Flecie* Mozarta.

Trzeci akt zagłuszony chórami. Zauważyliśmy w nim jedną tylko *romanse* przedziwnej rzewności... ale ta melodia wzięta w dwie wojenne wrzawy, wydaje się jako kwiatek zdaptany kopytami cwałującego legionu.

Jedna pyszna scena góruje nad całym następnym aktem. Rienzi postradawszy łaskę ludu, przebywa nieprzychylnie grupy skupione około kościoła Ś. Jana. Legat tam obecny, zapewne odśpiewa *Te Deum* z powodu zwycięstwa trybuna nad panami. Rienzi wchodzi do kościoła.. a wtem, z wnętrza głos mnichów ciska straszne wersety exkomunikacji. Lud przerażony, pierzcha, około *spiorunowanego* próznia... krzyk jego protestacyi potrąca się i łamie o nieruchome przekleństwo, co grzmi w bazylice.

Jestto chwila świętego przerażenia, ogromnego efektu... Rzekłbyś *Dies irae* historyczne, trąba sądu ostatecznego brzmiąca po nad głową żywego potępieńca.

Ostatni akt rozpoczęty modlitwą Rienzi, kończy patetyczna scena: trybun wśród płomieni przemawia do wzburzonego ludu; duet przypomina Demostenesa gadającego do rozhukanego morza.

Rienzi pozyskał kilka razy gorące oklaski. Krytycy oświadczyli atoli, że to uznanie Paryż daje tej *jednej* operze Wagnera, tylko tej *jednej*, która jest oazą w próżnej i hałaśliwej pustyni jego dzieła. Pomiędzy tą operą a następnymi, istnieje ich zdaniem, granica oznaczająca „koniec sztuki mieszkalnej”. Po *jednej* stronie talent, po drugiej jałowe ciemności. Od czasu napisania Rienzi, zawsze zdaniem paryzkich krytyków, Wagner za dogmat wziął sobie *kakofonię*. Muzyka jego, jak owych Korybantów otaczających tajemnicze ołtarze, ma na celu przerażać profanów.

Mniej poetyczny krytyk paryzki, daje przystępniejsze porównanie. „Jeżeli poznam co jem, odpędzę ciebie” mówił gastronom do kucharza. Oto w dwóch słowach muzyka Wagnera. Narzuca ona łamigłówniki, które tylko algebra ma prawo zadawać. Ze sztuki mającej zachwycać zmysły, czyni męczarnią akustyki: ideał jej niezrozumiały.

Tak wyrokują książęta paryzkiej krytyki muzycznej. W części podzieliłmy ich zdanie. Wagner ciemnością zastępuje głębokość. Sztuka jego mistyczna, pysznie umiera z głodu wśród próżni. Próżnia dominuje w systemie Wagnera. Ów zgiełk modulacyi, owe pogmatwane motywy, ów ciągły spór głosów z instrumentami, rozkładanie dźwięków nie określonych żadnym abrysem: wszystko to nie zostawia w umyśle żadnej myśli, żadnego uczucia, żadnego obrazu. Melodia bije w uszy z brutalną energią jak młot kowalski, a język jej niezrozumiały. Wpływ takiej muzyki, ten, że nasłuchawszy jej się, człowiek szczerzy, prawdziwie czuły, tęskni za niemądrą nutą „*Tych brzoź kilka*”, a pierwsza lepsza czterotaktowa piosnka ludowa rzucona z prostotą, wydaje mu się dobrodziejstwem, balsamem spływającym na poranione uszy.

Wypadkiem literackim w Paryżu jest obecnie wychodząca z druku powieść Wiktora Hugo „*L'Homme qui rit*”. Kiedy to piszemy, wychodzi trzeci tom tego romansu. Czwarty i ostatni ukaze się za tydzień. Wszyscy chwytają chciwie tę publikacją, wyrok o niej jeszcze nie zapadł, bo nikt nie zna końca, nawet zecery. Hugo daje do druku rozdziały oderwane, a często kartki rozpierzchłe, ponumerowane za każdym jemu porządkiem. Tom pierwszy zwykle przybywa do druku ostatni, a przedmowa wtedy kiedy już *zaufani* zszycują luźne rozdziały. Tym sposobem dochowuje się tajemnica treści, aż do ogłoszenia całości. Nie znając jej dotąd, nie możemy jeszcze sądzić tego ostatniego utworu wielkiego poety (1). Teraz dzielimy się wrażeniem doznaniem z *prologu* tworzącego tom pierwszy „*Śmiejącego Człowieka*.”

Osnowa prosta aż do dziedzinstwa. Rzecz dzieje się w początku XVIII wieku w Anglii. Przyszły bohater romansu, *L'Homme qui rit*, jedenastoletni chłopiec porzucony przez swoich właścicieli *handlarzy dzieci*, uciekających przed szubienicą, błędząc po nad morskiem wybrzeżu, znajduje w śniegu dziewczynkę żywą ale ślepa, przy piersi umarłej matki. Sam głodny i bez dachu, bierze jednak to niemowlę pod swoją opiekę, a Opatrzność daje mu wnet opiekuna w osobie kuglarza oprowadzającego wilka po jarmarkach. Dziewczynce kuglarz dał imię Dea; chłopiec zwie się Gwyuplaine. Testament zabezpieczający mu materyalną przyszłość, pływa po oceanie, włożony i zapieczętowany w butelce przez złoczyńców, którzy kupili chłopca, męczyli i wiecznego nabawili śmiechu wyłamując na linolaza, a w końcu porzucili i utonęli na morzu podczas nawałnicy.

Na tak pajęczym wątku haftuje Hugo tak pięknie, że tą jego poetyczną prozą dusza się poi jak symfonią Beethovena. Hugo należy do rodziny Tytanów, ludzi nie znających zmęczenia ani staguacyi duszy, ani zniechęcenia ani rozpacz. Nigdzie śladu starości w tej książce, nigdzie śladu wahania ani omdlenia. Ustępy wyższej piękności, odstają od całości nadobnej, i ryją się w pamięci. W pierwszej księdze takim ustępem rozdział „*Bataille entre la mort et la nuit*.” W księdze drugiej „*Ressource suprême*.” W trzeciej „*Misanthropie fait des siennes*.”

W tych rozdziałach Hugo z cudowną giętkością formy i rozmaitością, intuicyi, którą w tak wysokim stopniu posiada, przechodzi ze sfery fantastycznej do naturalnego świata: odmalowawszy burzę, konwulsye fizyczne natury, dotyka w macierzyńskiej łagodności głębin duszy ludzkiej. W *śmiejącym Człowieku* jak w *Nędzarzach*, jest coś więcej poetycki talent, niż zręczność pisarska: jest czucie wielkiej duszy, manifestacya człowieka zawsze przystępnego uczuciom boskim.

Dzieło o którym mowa, dzięki przekładom, czyta jednocześnie cała Europa (2). Pierwsze wydanie francuzkie złożone z 15,000

(1) Ocenę tej powieści, znajduj czytelnicy w przyszłym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej*.

(2) Wyszedł już z druku przekład polski tej powieści przez F. Faleńskiego p. t. „Człowiek śmiechu” nakładem księgarza M. Glücksberga.

egzemplarzy, a przedstawiające wartość 450,000 fr. wydawca Lacroix daje *gratis* każdemu, kto u niego nabędzie książek za sto franków wypłacalnych w ciągu roku. Jestto całkiem nowa kombinacya handlu księgarskiego.

Dla historyi literatury ciekawą będzie wiadomość, ile płacą wydawcy paryzcy za prawo wydania dzieł Wiktora Hugo.

Na wstępie powiedzieć należy, iż pierwszy utwór Hugona „*Ody i Ballady*” nie znalazł nakładcy: wydrukowali je swoim kosztem przyjaciele poety, a jemu ztąd przypadło 750 franków. Ostatnie jego dzieła lepiej zapłacono.

Dom Lacroix, Verboeckhoven et Compagnie, za dziesięciotomowy romans „*Les Misérables*” zapłacił Hugonowi po 30,000 franków tom 300,000 fr.
 „*Les Travailleurs de la Mer*” 3 tomy po 40,000 fr. t. 120,000 fr.
 „*Les Chansons de Rue et des Bois*” tom jeden . . . 35,000 fr.
 „*William Skakespeare*” tom jeden 30,000 fr.
 Przedmowa do „*Paris-Guide*”. 11,500 fr.

Cena dzieł Wiktora Hugo ciągle wzrasta. Tom romansu „*l'Homme qui rit*” zapłacono 50,000 franków, 200,000 za cztery tomy. Tom tej powieści składa się z 23 arkuszy czyli 368 stronic in 8vo. Każda strona ma 22 wiersze. Arkusz zapłacony więc 2,175 fr. to jest 136 fr. stronnica, a 6 fr. 50 centimów wiersz.

Dla uwydatnienia powyższych cyfer, podajemy wedle Timperley'a summy, jakie wydawca Murray zapłacił Bayronowi:

Rok 1812.	<i>Childe Harold</i> dwie pieśni.	600	funt. szterl.
„ 1813.	<i>Giaur</i>	525	„
„ 1813.	<i>Narzeczona z Abydos</i>	525	„
„ 1814.	<i>Korsarz.</i>	525	„
„ 1814.	<i>Lara.</i>	525	„
„ 1816.	<i>Oblężenie Koryntu.</i>	700	„
„ 1816.	<i>Parisina</i>	525	„
„ 1816.	<i>Childe-Harold, pieśń III.</i>	1,575	„
„ 1816.	<i>Więzień Chilonu</i>	525	„
„ 1817.	<i>Manfred</i>	315	„
„ 1817.	<i>Skarga Tassa.</i>	815	„
„ 1818.	<i>Beppo</i>	525	„
„ 1818.	<i>Childe-Harold pieśń IV</i>	2,100	„
„ 1819.	<i>Mazepa.</i>	525	„
„ 1819.	<i>Don Juan 1 i 2 śpiew.</i>	1,525	„
„ 1820.	<i>Don Juan III IV i V</i>	1,525	„
„ 1820.	<i>Doża Wenecki</i>	1,050	„
„ 1821.	<i>Sardanapal, Kain i 2ch Foscari</i> 1,100		„
„ 1822.	<i>Werner, Bezkształtny, Niebo</i>		
	i ziemia	3,885	„
„ 1822.	<i>Mięszaniny</i>	550	„

razem funtów sterling. 19,340

Hugo przewyższył zapłatą angielskiego poetę, dostał nawet daleko więcej za swoje dzieła niż Walter Scott, któremu zapłacono przeszło dwa miliony franków. Zarobek literacki Wiktora Hugó ocenniają dotąd na przeszło 3 miliony. A ile jeszcze zarobi przy ciągle wzrastającej cenie dzieł swoich? Już na przyszłe jego utwory kontrakt zawarte. „*Théâtre en liberté*” który zawierać będzie: *Torquemada* dramat w pięciu aktach, *les Jumeaux* komedia pięcio aktowa, Lacroix płaci 40,000 franków. Taką sumę za niezmiernie dziwaczny utwór Hugona pod tytułem „*La Fin de Satan*”. Prawdopodobnie, powodzenie *Śmiejącego Człowieka* spowoduje zmianę powyższych ugód zawartych przed rokiem. Hugo chce podobno 50,000 fr. za tom.

Publikacya czterech tomów *Śmiejącego Człowieka* pochłania 400,000.

200,000 autor.

200,000 wydanie.

Prócz sprzedaży francuzkich edycyj, przyjdzie dochód z przekładów dokonanych w dziewiętnastu krajach, w czternastu językach. Pomiędzy temi jedno arabskie, dwa greckie, jedno tureckie, jedno węgierskie i jedno polskie. Połowa dochodu za te przekłady przypada autorowi. Obrachowano, że odbicie każdej edycyi na 15,000 egzemplarzy, daje 60,000 tomów złożonych z ilości papieru pokrywającej powierzchnią 8 milionów 460,000 metrów długości, 8,460 wiorst, czyli 1,692 *lieues*.

— Ludwik Wołowski wydał broszurę pod tytułem: *Quelques observations sur le Traité entre la ville de Paris et le Crédit foncier*”.

— Wczoraj otwarto wystawę sztuk pięknych na Polach Elizejskich. Składa się z pięciu tysięcy obrazów olejnych i około dwóch tysięcy rzeźb.

— Akademia Francuzka *wybrała trzech* nowych członków na opróżnione fotele: pp. Viennet, Berryer i Empis. Pierwszy otrzymał hrabia d’Haussonville, autor ważnego dzieła „*Histoire des rapports de l’Etat et de l’Eglise sous le premier Empire*” z którego zdawaliśmy sprawę na tem miejscu; fotel Berrye’ra otrzymał hrabia Champagny, autor jakiejś nieznanéj *Historyi Cezarów*: fotel pana Empis dało Augustowi Barbier, dostojnemu autorowi sławnych „*Jambów*”. Opinia publiczna przyklaskuje obiorowi Haussonvilla i Barbiera. Na obiór pana Champagny wielki krzyk. Słychać, że ten nie zasłużony ale szczęśliwy, dostał się w grono nieśmiertelnych dzięki intrydze pana Guizot i biskupa Orleańskiego. Guizot z powodu jakiejś staréj urazy politycznéj tym sposobem odsunął kandydaturę pana Duvergier de Hauranne, nie miłego także dworowi i kościołowi.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Zorza, pismo niedzielne z obrazkami, poświęcone dla ludu wiejskiego i miejskiego. Rok III.

Tygodnikowi temu należy przede wszystkim oddać sprawiedliwość, iż w trzecim roku swego istnienia nie tylko pod żadnym względem nie pogorszył się, lecz owszem zyskał ile być może na różnaitości i ożywieniu. Intencye jego zawsze uczciwe, nauki w ogólności rozsądne i trafne. Co do zakresu, ten musi być poniekąd encyklopedyczny, ponieważ idzie o początkowe oświecanie nieoświeconych, o rozszerzanie rozmaitego rodzaju wiadomości pomiędzy niższe i najniższe klasy społeczne. Wielce trudną jest wszakże sprawą właściwy takiego pisma program i układ: przez co rozumiemy skalę pojęć, od jakich zaczynać i na jakich zatrzymywać się wypada, tudzież ustosunkowanie i porządek materyi, t. j. czego ile dawać należy. *Zorza* przeznaczona jest dla licznych klas ludności, —zaczawszy od warszawskiego rzemieślnika lub procederzysty, który wiele widzi i słyszy, i o wiele się jak to mówią ociera, —który zajrzy czasem do zoologicznego gabinetu i na wystawę sztuk pięknych, do teatru i koncertowej sali, —ogląda codzień rezultaty wielkich wynalazków i wykwinaty życia, —do którego uszu dochodzi rozgłos wydarzeń świata i brzmienie znakomitych imion, —który nawet czasami ujrzy i same osoby na szczyście społecznym stojące, —a kończąc na niepiśmiennym wiejskim parobku, nie widzącym w życiu swoim nic większego nad jarmark w sąsiedniem miasteczku, nie słyszącym o niczem prawie po za sferą skromnego swego powołania. I kiedy redaktorowie innych pism peryodycznych są w ustawicznym obcowaniu z temi klasami społecznymi, dla których głównie pracują, bo sami do nich należą, mają więc codziennie niemal dla wypełniania programu swego skazówki; redaktorom

Zorzy może się kiedy niekiedy chyba, i przygodnie tylko udać zajrzeć pilniej w rozległe sfery, które oświecić pragną, zetknąć się bliżej z kategoryami osób, położeń, stosunków, które chcą przedstawiać, podnosić i prostować. W braku nadto silniejszych ognisk towarzyskich, w braku funkcji ogólniejszych, i wszelkich łącznych objawów społecznego życia, lub w niemożności onych dotykania, nie znajduje pismo takie innych dla siebie kryteriów, prócz moralności ogólnej i encyklopedyczności w nauczaniu. Narzeczcie, boć szczerym tu być należy, nie podtrzymywane materyalnie przez tych, dla kogo jest przeznaczone, lecz przez osoby dobrej woli, protekcyjnie że tak powiemy zamiary redakcyi podzielające, bez żadnej ztąd bezpośredniej dla siebie korzyści nie może ono nawet z tak wymownego w innych razach faktu, jakim jest mniejsza lub większa liczba prenumeratorów, żadnych trafnych co do swój użyteczności czy też popularności wyprowadzać wniosków.

Co zaś jest trudnem lub wcale niedostępnem dla redakcyi *Zorzy*, to nie może być łatwiejszem i dostępniejszem dla krytyka, któremu są o niej publicznie wypowiedzi przychodzi. Oto przy czyny, dla których niepodobna jest w ogólności programu *Zorzy* rozbiierać i oceniać. Że jednakże „*est modus in rebus*” nigdy prawidła być nie przestaje, więc przy całej należnej wyrozumiałości wolno jest powątpiewać o przeznaczeniu i pożytku niektórych pisma tego artykułów. Daremnieśmy np. myślą dochodzili, jakaby klasa domniemanych czytelników *Zorzy* mogła mieć gust i usposobienie do czytania takiej rozprawy, jak *Raj odzyskany*, i która zwłaszcza korzystaby z niej mogła, i zrozumieć symetrycznie dziwaczny rysunek, zatytułowany *Obrazem świata ziemskiego?* Ani sam przedmiot tej rozprawy, ani sposób wykładu excentrycznością rażący, ani pretensjonalny styl i język—nie z tego wszystkiego dla żadnej części publiki, *Zorzę* czytać mającej, ani zrozumiałem, ani pociągającym być nie może. A jednak rzecz taka w kilkunastu numerach miejsce zajmuje.

W ogóle mniemamy, iż ze wszystkiego co się w *Zorzy* za rok 1868 znajduje, powieści muszą być najpoczytniejsze. Taka np. jak *Zwodzijas*, zgrabnie z francuzkiego przerobiona, zachowała wdzięk oryginału i żywy obudza interes. Możeby jednak nie szkodziło, gdyby te powieści nie koniecznie w świecie służących, czeiadzi, parobków i t. d. obracały się. Imaginacya nieukształconych nawet osób klas niższych, nie zawsze sobie podobna w tej poziomej i ubogiej sferze, w jakiej je rzeczywistość zamknęła; lubi owszem po nad nią wzlatać, i nawet bardzo wysoko, w świat wielkości, potęgi i dostatku; wszakże bajki są tego dowodem. Mało która z tych, co je sobie prostactwo chętnie opowiada, obejdzie się bez królów i książąt, królewiczów i królewien, bez złoczonych komnat i uczt wspaniałych. Można by z tego naturalnego umysłów nieoświeconych upodobania korzystać; ale korzystać trzeba rozumnie: t. j. nie bajki nowe układać, w którychby wiara w cudowność, w strachy i zabobony pokarm znaj-

dowała, i opaczne o rzeczach i stosunkach tego świata szerzyły się i utwierdzały wyobrażenia, lecz na tle światowej wielkości, w otoczeniu dziejowych, legendowych lub wymyślonych mocarzy, dostojników, rycerzy, bogaczy i czarujących urodą i wdziękami księżniczek, umieć nakreślić sympatyczne dla ubogich i inwalidzkich rysy, któreby pośrednio do nauki i zbudowania prowadziły, a wprost pociechę i rozrywkę niosły. Mogłoby to być w rodzaju *Opowiadań o Herodzie i Maryamnie* (Nr. 1 *Zorzy*), gdyby opowiadanie to nie było ośmiałą gmatwaniną imion i wydarzeń, bez żadnej wydatnej myśli ani odrobiny kolorytu, słowem całę niezdarną robotą.

Ztąd najspadniej nam przejść do drugiej (po programie) wielkiej i największej trudności takiego jak *Zorza* pisma: a jest nią strona właściwie pisarska, samo redagowanie, wysłowienie, sposób wyłożenia każdej rzeczy, osobliwie też nauk i wiadomości, lub prawd moralnych i innych oderwanych przedmiotów. Musi to być zadaniem albo szczególnego talentu, albo bardzo pracowitego namysłu. Rzecz trudna zaprawdę dla ukształconego człowieka oderwać się od swojej rozwiniętej i zdobnej umysłowości, odrzucić właściwe jej formy wyrażenia, nie posługiwać się skróceniami i innymi zwrotami wykładu, z podstawy wiadomości elementarnych wychodzącego, lecz owszem umieć odtworzyć powolny przewód leniwego myślenia, zastosować go do obserwacyi grubo empirycznej, niezdolnej do upatrywania podobieństw, a zatem i do uogólniania objawów,—nie opuścić nic w rozwijaniu, a powtórzyć raczej zrećnie, gdy się sposobność nadarzy,—porównań, metafor i innych figur retorycznych z największą używać ostrożnością,—a wszystko to w mowie sztucznej, ani dla piszących ani dla czytelników nie zwykłej. Gdyż niepowinna to być mowa prostacza, sołecyzmami gminu miejskiego i wiejskiego upstrzona, rubaszna, pomagająca sobie malowniczością (chyba, w powiastkach lub humoreskach), lecz coś do zwykłej mowy książkowej zbliżonego, tylko w postaci do ostatniego że tak powiemy stopnia uproszczonej, i jakoby dystylowanej. Tak tylko zamierza: żadna w niem myśl, żadna nauka, żadne nowe wyobrażenie, żadna data nie zmarnuje się.

Z tej strony i według takich wymagań artykuły *Zorzy* nietylko za rok 1868, lecz i za poprzednie lata oceniając, znajdujemy, iż redakcyja jej nie jest w talenta zasobną; albo inaczej mówiąc, nie z taką prowadzi pismo swe pracowitością, nie z taką pilną uwagą na nieprzerywalność wykładu, i utrzymanie jednostajne owego elementarnego że tak powiemy wysłowienia, bez jakich obojga w głowie do wyteżenia myśli nie nawykłej, naukami początkowymi nie przetartej, ciąg materyi i związek wyobrażeń raz wraz się przerywa, albo też wyradza opaczne i mętne pojęcia.

Co przez to rozumiemy, para przykładów objaśni.

W artykule o Szwajcaryi, po wstępie bardzo już górnym, ale jeszcze do zrozumienia dla prostego człowieka jako tako możliwym, idzie taki ustęp: „Szwajcarya, z liczby uposażonych od natury krajow, jest najpiękniejszą.” Oczywiście przez wyraz „uposażonych” rozumiał tu autor „bogato uposażonych,” lub „szczerze uposażonych.” Czy właściwe jest i trafne takie skrócenie, nie o to nam idzie; to tylko za pewne mamy, że gdy dla człowieka ukształconego jest ono zrozumiałe, to nieukształcony albo go wcale nie zrozumie, albo się ztąd w głowie jego jakies fałszywe utworzy wyobrażenie. Weźmy obok tego całość przytoczonego zdania: czy i ono nie uderza retorycznością? Czyż nie prościej i krócej byłoby powiedzieć, — „Szwajcarya jest najpiękniejszym krajem w Europie.”

Zaraz potem czytamy: „Sto lat temu *drobiazgowy* opis *uroczych* gór, łąk i wzgórzy tego *małego* kraju byłby może zajmujący; dziś opisu podobnego czytać nam się nie chce: bo wzbogaceni tyłu wynalazkami z łatwością ciekawość naszą zadowolimy: jedni siadając na kolej, trzeciego dnia będą w Szwajcaryi; drudzy.... dobiegną tylko do pięknych obrazów, okazywanych w aletoskopach, czyli za szklami powiększającymi, oświeconemi sztucznie, jak to teraz w Warszawie p. Bordato nam pokazuje i t. d.”

Jestto, jak każdy od razu spostrzeże, najpospolitszy styl feletonów i korespondencyi gazetowych; nie widzimy w nim troski o publikę dla której pismo przeznaczone, wyjąwszy tylko w krótkim objaśnieniu co do aletoskopów. Zresztą co krok, to niezrozumiałe rzeczy, złe użyte wyrazy, lub błędne wiadomości. „Sto lat temu” zwrot zbyt mocny i niepotrzebny zupełnie; dla człowieka oświeconego ma on swoje znaczenie: ostrzega go, aby się cofnął myślą w inny stan kultury, pojęć, obyczajów i zwyczajów; dla człowieka nie znającego historii jest on tylko jaskrawym napomknieniem o jakimś ogromie czasu, wtrąconém nie wiedzieć po co. Jako wiadomość jest błędem: bo nawet przed pół wiekiem nikt w świecie kolejami nie jeździł, i nie o wiele dawniej nad ćwierć stulecia zaczęły się one upowszechniać. Dla dania wyobrażenia o rozległości Szwajcaryi należało wprost i na wstępie powiedzieć o tém coś przybliżenie dokładnego, a nie ubocznie wtrącać słowa, „tego małego kraju,” jak gdyby czytelnik coś o tém wiedział. Pisząc dla osób nie mających wiadomości elementarnych, nigdy takowych nawiasem podawać nie należy, lecz wprost, wydatnie i w porządku. Ani autor ani redakcyja nie zwrócili też na to uwagi, co ma znaczyć przymiotnik *drobiazgowy* w powyżej cytowanym ustępie: czy on się przyczynia do jasności wykładu, czy go owszem zamąca i t. d. (1).

(1) Co do tego artykułu o Szwajcaryi dodamy w nawiasie, iż przedstawiając kraj ten jakby jedynie pasterski, daje o nim autor bardzo jednostronne i ułomne wyobrażenie. Pod względem przemysłu swęgo i rzemiosł Szwajcarya bardzo wysoko stoi, i z obojga większy pewno niż z chowu bydła ma dochód. Jakże można było pominąć.

Inny przykład. Artykuł *człowiek i przyroda* (Nr. 14) poprzedzony jest dewizą z Ksiąg Rodzaju (Rozd. 1 w. 28) „I błogosławił im Bóg, i rzekł do nich: Rozradzajcie się i rozmnażajcie się i napełniajcie ziemię, i czynicie ją sobie poddaną i t. d.”; zaczyna się zaś tak: „W kilku tych słowach mieści się najwyższy testament, przekazany człowiekowi przez Stwórcę.” Oświecony czytelnik zrozumie myśl tu wyrażoną, choć go uderzy przytém nieszczęśliwa figura retoryczna—*testament* (i do tego przekazany!); prostak który nie słyszał tego wyrazu przedtém, wyobrazí sobie że testament nic innego nie znaczy, jak zalecenie, przykazanie, lub wreszcie dar; jeżeli zaś o testamentach słyszał, w pospolitém i jedyném znaczeniu tego wyrazu, to się w jego głowie nabyte już, dobrze określone pojęcie, zachwieje i spaczy, a mogą się nawet i najnieodrzeczniejsze zrodzić wątpliwości.

Zbyteczną byłoby rzeczą przykłady takie mnożyć; nie chodzi nam bowiem o liczenie i wytykanie usterek, lecz o wydemonstrowanie koniecznej potrzeby jak najstaranniejszego redagowania; na co w szczupłym, raz na tydzień wychodzącém piśmie, bardzo dosyć jest czasu. Dowodem tego naprzykład „Rozmowy starego Bartłomieja” które, lubo w materji bardzo wyrobionój i stosunkowo do wykładu łatwój, są tém niemniej wzorem jasności, porządku i prostoty wystowienia.

Ma *Zorza* i swój dział humorystyczny: są to dykteryjki mieszczanina Gabryśia, jego małżonki Bonifasi, kumoszki całego świata, i nowo przydane w roku 1868 wiejskiego grajka Kletuś-Bajdusia. O ile te dykteryjki bawią czytelników i słuchaczy, dla których są przeznaczone, o tém sądu wydać nie możemy; ale możeby rubryka ta mogła być z pożytkiem urozmaiconą, gdyby się w części obróciła na rodzaj kroniczki ciekawych wypadków i scen miejskich i wiejskich, takich zwłaszcza, z którychby się z pewnością nauka i przestrogi, czyto poważnie czy humorystycznie wypowiedziane, dały wyciągnąć. Oba Kuryery z każdego tygodnia dostarczyłyby *Zorzy*, jak mniemamy dosyć na ten cel materiału.

A. A. K.

Opisanie książki wydanej w r. 1535 przez Andrzeja Glabra z Kobylina pod tytułem: „Problemata Aristotelis” i sprowowanie zdań o tém dziele.

Książka o którój piszemy nie jest wcale nieznaną, owszem żadna ją prawie historia literatury polskiéj i medycyny nie opuściła; lecz z powodu nadzwyczajnéj swéj rzadkości, nie wielu miało ją w ręku w całości, ztąd pisano o niéj najsprzecznjejsze zdania i sądy. Jedni umieszczali w dziale filozofii, jako tłumaczenie Aristotelesa (*Janociana* I 89, *Bentkowski* II 19, *Jocher* I 127). Gąsiorowski (*Zbiór wiad. do hist. sztuki lekarskiéj* I str. 368) przepi-

sując Chłędowskiego (*Spis dzieł str. 54*) zaliczył nieśmiało do fizjologii. Maciejowski raz nazwał „dziełkiem dziwnej treści” (*Piśmien. I 387*) drugi, raz iż jest „niby wstępem do filozofii, pytaniami i odpowiedziami ułożony (tamże III 383); Ludwik Sobolewski miał wprawdzie książkę w rękę i dłużej nieco ją rozważał; w notatach więc zrobionych w roku 1825 które wydrukował Jocher, jedyne podobno źródło z kąd czerpano, przytoczył dokładnie tytuł i całą przedmowę przepisał dlatego, „że (są jego słowa) znalazł w niej wiele myśli osobliwszych i niektóre szczegóły, o autorze i o dziele. Zresztą powiada przydane są do niej ryciny mianowicie w części trzeciej która fizyognomią w sobie zawiera. Pierwsze bowiem dwie części są fizyologiczno medyczne a wszystkie tak bałamutne, jak medycyna owych czasów.” W dziewiątym tomie *Historji literatury Wiszniewskiego* na str. 554 umieszczono ją też w dziale medycyny z powyższem objaśnieniem, dodając że w ogóle nie jest to wierne tłumaczenie Aristotelesa, gdyż tłumacz brał wiele z inszych, niektóre zaś z Aristotelesa dla przyzwoitości opuścił. Pomijamy inne mylnie o tém dziele zdania; co wszystko jak wyżej wspomnieliśmy ztąd pochodziło, że o książce pisano powtarzając szczupłe bibliograficzne wzmianki tych którzy ją istotnie widzieli. Gdy zatem w bibliotece ordynacyi Krasińskich w Warszawie w zbiorach po Swidzińskim znajduje się teraz egzemplarz rzeczownego dzieła, aczkolwiek trochę uszkodzony, korzystamy ze sposobności aby podać o nióm dokładniejsze wiadomości. Sam także autor ów Andrzej Glaber z Kobylina jest znakomitą postacią i ze wszech miar godny aby przypomnieć zasługi jego w piśmiennictwie, bo o życiu podobnież nie wiele dotąd mamy szczegółów. Podzielono go kiedyś na dwóch odrębnych pisarzy, potem przekonano się o tożsamości osoby, zresztą nic więcej nie wiemy, jak to że był rodem z Wielkopolski, z miasteczka Kobylina; w roku 1499 wykładał w szkole Warszawskiej przy kościele Śgo Jana Grammatykę łacińską sławnego angielskiego filologa Jana de Garlandia (żyjącego około r. 1040), które to dzieło za klassyczne wtedy miano. Potem od r. 1518 mieszkał w Krakowie, otrzymał tam stopnie uczone, należał do liczby profesorów wydziału filozoficznego w akademii, był seniorem bursy filozofów, a na roku 1548 nikną o nim wszelkie ślady. Jako autor pisał sam i czynnie pomagał drugim, a że pomiędzy dziełami jego są i medyczne, mniemają że był mistrzem w sztuce lekarskiej, chociaż w aktach wydziału medycznego w Krakowie nie masz o tém żadnej wzmianki. Cóżkolwiek bądź Glaber, jak z pism jego okazuje się, był człowiekiem niezmiernie postępowym, gorliwym rozkrzewicielem języka i piśmiennictwa krajowego, a w wielu razach w poglądach i ogłaszanych zdaniach wyprzedzał swój wiek. To co dotąd po nim pozostało, stanowi już niezaprzeczony dowód niez mordowanych jego starań, podejmowanych około rozszerzenia nauk w kraju i stosowania tychże do użytku pospolitego czyli spopularyzowania najpotrzebniejszych ludziom wiadomości, która to dążność istniała już u nas na początku XVI stulecia.

W tym kierunku wszystkie prace Glabra na świat wychodziły, czyto jego własne, lub innych, którym on chętnie pomagał, dodawał, poprawiał, tłumaczył, i własnym kosztem drukował. Tak powstał wydany i poprawiony przezeń jak sam pisze „nie małą około niego podjąwszy pracę wydany rządnie” *Psalterz Dawida* 1535 r. Toż *Wypisanie dwojój Sarmackiej krainy* przekład z Miechowity ku pospolitego człowieka pożytku na polską rzecz wyłożone. Dalej *Rządzenie przeciw powietrzu morowemu. Nauka w puszczeniu krwi* i t. d. W tym celu ułożył on także książkę popularną, która miała zawierać najpotrzebniejsze dla ludzi wiadomości, bo dotyczące znajomości człowieka, składu jego ciała, sposobów zachowania zdrowia z znamion po których tak zewnątrz jako i wewnątrz poznany być może. I rzeczony dzieło wydał pod tytułem: *Problemata Aristotelis Gadki z pisma wielkiego Filozofu Aristotela i też inszych mędrców tak przyrodzonój jako i lekarskiej nauki z pilnością wybrane. Pytania rozmaite o składości czlowieczych członków rozwiązujące, ku biegłości rozmowy ludzkiej tak rozkoszne jako i pożyteczne.* (Na końcu). *Prassowano w Krakowie przez Floryana Unglera Roku od Narodzenia Bożego 1535 w 8-ce, 15 ark.*

Porównyując jednak *Problemata* Aristotelesa woryginalie i z najlepszym przekładem łacińskim, łatwo przekonać się można że oprócz tytułu i pewnego wzoru, zresztą Glaber wcale ich nie tłumaczył ani naśladował. Wspomniane téż dzieło obejmujące część fizyki Aristotelesa, jest o wielekroć razy obszerniejsze, zawiera zupełnie inne rzeczy i niektóre do tłumaczenia niepodobne. Z dalszego opisu zobaczymy że praca Glabra nie należy do filozofii, ale jest właściwie popularnym przewodnikiem ówczesnych wiadomości o przyrodzie, które są częścią dzisiejszej fizjologii, w części należą do medycyny. Żeby zaś łatwiej rozpowszechnić takowe przeznaczył je dla użytku kobiet wiedząc o skuteczności ich współdziałania. Zaczem książkę dedykował swojej współziemiance „Wielmożnej Paniej i dobrze zacnej Paniej Hedwidze z Kościelca, kasztelance (*kasztelanowój*) Żarnowskiej, żupnicze, Wielkiej rządczyni, Burgrabiny Krakowskiej, Oświęcińskiej, Zatorskiej, Bieczskiej, Rapstńskiej, Czchowskiej etc. Starościny Paniej łaskawej M(istrz) Andrzej Glaber z Kobyлина służbę swą wskazuje”.

Była to córka Mikołaja Kościelockiego, wojewody kaliskiego a druga żona Seweryna Bonara, znanego dobrze w historii dostojnika, do której całą dalej idącą odezwe przepisał Sobolewski (drukowaną u Jochera za nim w skróceniu u Maciejewskiego). Bezwątpienia Glaber aby rzecz lepiej zalecić, najwabniejszego użył środka przemawiając do pici pięknej w sposobie wielce zbliżonym do teraźniejszego o równouprawieniu kobiet mniemania. Ztądby wnioskować można że tego rodzaju myśli krążyć wtedy po kraju musiały i uznanie znajdowały. Bądź co bądź, że nasz autor miał jedynie potrzebę nauki na widoku, przekonać się można z następnej po odezwie umieszczonej przedmowy, którą powtarzamy do-

słownie z zachowaniem ówczesnego języka i wyrazów, objaśniając niektóre w nawiasach. „Każdy człowiek z natury swój ma te żądzą, aby nieco umiał i wiedział. Przyczyna tego jest iż wszelka rzecz stworzona zawsze ciągnie ku doskonałości swój. A ile najwięcej może, tym bardziej żąda przyrównać się ku onój bytności pierwszej a nieśmiertelnój która jest Pan Bóg stwórcyca wszego. Gdyż tedy nauka i umiejętność duszę człowieczą, czyni doskonałą i dostateczną. Nie dziw tego iż ludzie wszyscy żądają nauki i umiejętności. Jeszcze téż rzecz wszelka tego żąda co się jój dobrego widzi, ale nauka jest między innymi rzecz bardzo dobra, słusznie tedy ma się k'niej człowiek wszelki. Nie bez przyczyny dobrego zawsze żądamy, gdyż wszyscy chcemy wiecznej trwałości, a zachowania, czego wždy nie możemy mieć jedno od dobrej rzeczy a nie od złej, przeto tego dobra żądamy. Ale aby nauka była dobra, rzecz to jawnie poznać możemy postawiwszy dwu człowieku jednego mądrego, drugiego prostaka; wszelki baczny wnet się będzie miał ku mądrymu i jest pospolita przypowieść, iż się nie inogą ludzie mądrego nasłuchać. Gdyż zasie głupiego każdy się chroni a brzydzi. Także już jawno jest iż nauka i umiejętność jest dobro wielkie. Aczkolwiek tedy wiele rzeczy umieć jest pożyteczna rzecz. Wszakoz od tego słuza (sprawiedliwie) początek uczynić, co się koło nas dzieje, czego kto nie wie, jakoż może rzeczy insze pobażyć które okrom nas są, albo nad nami? Przetoż tu nauka będzie dawana filozofii to jest mądrości przyrodzonój która nad insze nauki, roskosz czyni niemałą i pożytek człowiekowi na świecie tak jego rozum oświecając, iż dla obaczenia rodu i składności rzeczy przyrodzonych obraca się i podnosi ku onój piérwszój a wiecznej bytności Pana Boga, a także poznawszy (bowiem jego poznanie jest prawy żywot,) chce się z nim złączyć a niejako porównać. Ale iż między wszystkimi stworzonymi a żywymi rzeczami nad człowieka nic nie jest szlachetniejszego, bowiem on wszemu stworzeniu rozkazuje. Przeto godzi się od człowieka począć nasze opowiadanie i o nim gadek zadawanie! czemu on był tak stworzon a nie inaczej począwszy od głowy, aż do nóg”

Z powyższego wstępu okazuje się główny plan i zamiar dzieła. Rozpatrując się zaś w treści całej pracy, z uwagą na ówczesny stan nauk, znajdujemy w niej bardzo wiele ciekawych wiadomości: są zdrowy, zdania trzeźwe, prawdy dotąd istniejące i dużo szczegółów do historii medycyny, etnografii, lingwistyki i t. d. A to co w niej teraz zdaje się nam być dziecinném, nawet śmieszném, nie było takim przed kilkoma wiekami i nie zasługuje bynajmniej na sąd nieprzychylny. Nie jestto zatém dzieło jak medycyna owych czasów bałamutne, ale owszem szczególnie dla badaczy przeszłości źródło nieocenione i szacowne. Opuszczając więc ujemne strony postaramy się w następnym opisie poznać z niem czytelnika.

Tak zwane tedy Problemata czyli zadania, właściwie Głabra w pytaniach (gadkach) i odpowiedziach ułożone, dzielą się na trzy części: piérwsza obejmuje „Pytania o przyczynach rzeczy które

przyrodzenie dało człowiekowi albo drugim zwierzętom" jest częścią anatomii. Druga „o pokarmach które są człowiekowi przyrodzone, albo nie, i co też się z ich pożywiania człowiekowi przydawa" zawiera dyetetykę. Trzecia nakoniec podaje „pytania co który sposób albo postawa członków człowieczych znamionuje; jest-li dobroć albo złość przyrodzenia" jest właściwie fizyognomiką. Pierwsza tedy mieści anatomią człowieka przedstawiając w drzeworycie „wyrażenie składności członków ciała człowieczego *Anatomia corporis humani*." Jestto zatem najdawniejszy ślad anatomii po polsku, daleko wcześniejszy od przytaczanego dotąd dziełka z roku 1596 p. t. *Prawdziwe wyobrażenie trojga dzieci* które uważane było jako pierwsze w tym rodzaju w języku krajowym. Cała ta część zajmuje się szczegółowym opisem wszystkich członków ciała ludzkiego, podaje niektóre ich nazwy dziś już zatracone lub inne mające znaczenie, np. duch znaczy oddech, słodzona śledziona i t. p.

W ten sam sposób ułożona jest następna część, zawierająca hygienę czyli właściwie oddzielną od niej naukę stanowiącą dyetetykę, która u starożytnych lekarzy miała nader wielkie znaczenie i była wielce uwzględnioną. W niej też znajdujemy wiele szczegółów dawnego bytu i sposobu życia przodków, ich mniemania i zapatrywania się w tej mierze. Są tu dawne przysłowia, omówienia i zdania zupełne zkądinąd nieznane. Autor rozbiera wszystkie ówczesne pokarmy i napoje i osądza które są zdrowe a które szkodliwe, wskazując jak je najlepiej spożywać. Podaje rady utrzymania i zachowania czerstwego zdrowia bardzo rozsądne i rozumne, które pokazują w nim człowieka światłego i doświadczonego i przekonywają że są prawdy nigdy nie starzejące się w tym względzie. I tak powiada, że potrawy dla każdego klimatu muszą być zastosowane: na północy więcej mięsne, na południu jak najlżejsze. „Jakoż to widzimy, pisze, iż też ludzie chocia z ciepłych krain przychodzą do zimnych gdy się już tam przyłożą (przyzwyczają) powietrzu cudzemu tedy tak dobrze jedzą i piją jako i oni co się tam zrodzili." Zaleca przechadzkę przed jedzeniem i pożytek tejsze objaśnia, gani obfitość pokarmu, długą przerwę przy obiedzie i porządek w tymże przepisuje. Na pytanie „jakiż ma być rząd w karmiach (potrawach) gdy ich wiele?" odpowiada: „pokarmy subtelniejsze naprzód mają być jedzone, jako: kury młode, kapłony, ja-ja miękkie i t. p. Po nich grubsze jako mięso wołowe, pieczenie jakiegokolwiek. Przyczyna tego iż karmie lekkie rychléj się trawią i zdrowe są człowiekowi wszelkiemu a tak i onym grubszym na nie przyłożonym pomoc dawają ku strawieniu. Jakoż to widzimy, gdy kto chce nieco grubszego na jakiej tłustości smażyć, tedy ona tłustość od spód będąca gdy się roztopi spuszcza za sobą grubszą rzecz która była na wierzchu a tak się odmięcza i trawi, tak się też ma i w żołądku. Zasię gdy grubsza karmia będzie na spodku, tedy lekka na wierzchu będąca strawi się sama, a tak pływa po onéj grubéj; zkąd więc pochodzi zgaga, odbijanie, boleść głowy i żołądka." Radzi aby pić przy obiedzie ale umiarkowanie, gdyż

zbytek przekonywa jest szkodliwy. Wyłożywszy główne spostrzeżenia nad pokarmami i napojami, kończy dawném praocjów zdaniem: „Chorzy ludzie potroszę jedzą a często zasie zdrowi rzadko ale dobrze, a to jest znamie dobrego zdrowia.” Potém rozbiera szczegółowo używane wówczas pokarmy zaczynając od chleba, który utrzymuje że dla ludzi siedzących i pracą fizyczną nieobarczonych najlepszy jest pszenny a dla robotników tylko żytni, w ogóle zaś zdrowszy świeży niż czerstwy, najszkodliwsze zaś są ciasta. Przystępując do napojów na pytanie „Godzi się téż niekiedy upijać gdyż mnóży ludzie powiadają by nie mieli zdrowi być gdyby się nie upijali” odpowiada: „To domniemanie jest nieprawdziwe gdyż picie nie inaczej potrzebne jest ku zdrowiu jedno jako olój ku oświeceniu. Bowiem jako zbytne przelanie oleju gasi światło w kagańcu, takież zbytne picie gasi ciepło przyrodzone. A chociaż wszystkiemu ciału szkodzi wszakoż najpiérwój głowie iż ona boli, wzrokowi iż się widzą z jednego dwa, i téż żyłom abowiem wszystkie drżą od zbytku którego w się nabierzą.” Wszelako pisze dalój „wino pod miarą brane ostrzy rozum” lecz roztrzone wodą więcj jest szkodliwe prędjéj upaja i dla zdrowia najgorsze; przytacza przysłowie „wino mocne szkodzi mózgowi ale zdrowe żołądkowi” gdy „wino lekkie ma się przeciwnym obyczajem mocne rozgrzewa żołądek a słabe go ziębi. Chorym w żadnym razie nie radzi dawać starego wina „jak to czynią niektórzy doktorzy i wielu się myślą dawając niemocnym wino stare gdy im zdrowsze jest nowe.” Na pytanie co lepiej pić wino czy piwo? w obu znajduje téż same zalety i wady i to dobre i tamto nie złe, radzi jednak trzymać się jednego a jeżeli koniecznie obu to należy „piérwój piwa wypić potém wina przyłożyć a wsadzić pana na pachotka.” Z pokarmów najdluzéj rozprawia o mięsie jako ze wszystkich dla ludzi najposilniejszym i najzdrowszym. Rozbiera jego własności i rodzaje tudzież sposoby przyprawiania. Powiada iż smażone niezdrawe lepsze gotowane a najlepsze pieczone zwłaszcza nie wysuszone, gdyż ma w sobie juszke która się cała w krew obraca bardzo rychło. A dlatego pisze żaden mądry kucharz pieczystego nie kole nożem aby juszyczka nie wyciekała. Najszkodliwsze utrzymuje jest mięso siekane bo najmniej strawne. Wyliczając rozmaite mięsiwa wołowemu nad innymi daje pierwszeństwo. Gani wszelkie jarzyny i ryby. Mleko powiada nie jest bardzo zdrowe dla ludzi dorosłych i krzepkich tylko dla dzieci i chorych najwłaściwsze. Jaja zaleca miękkie dla dzieci i osób delikatnych a twarde dla zdrowych przytaczając dawną przypowieść „szkoda chłopu świeżego jaja.” Ryby zdrowe są dla ludzi zimnego ustroju a dla słabych zwłaszcza kaszlących wielce szkodliwe; lepsze z wody bieżącej z rzek i morza niż ze stojącej, więkšie niż mniejsze, z łuską niż bez niej, gani ikrę, ale soloną bardzo chwali, kawior był zatém już u nas znany. Jarzyny, utrzymuje, dobre są tylko dla ludzi rozkosznych, cierpiących na podagrę którą nazywa *dna nożną*. Zieleńiny, pisze są dobre, ale niepożywne. Kapusta kwaśna, mówi „trze-

żwi pijanego oddalając pijaństwo" gani pory, cebulę, czosnek. Owoce nazbyt jedzone są niezdrowe; słodkie lepsze niż kwaśne; gruszki przekłada nad jabłka. Po gruszkach dobrze jest, pisze, pić wino a po jabłkach miłować, zresztą kto chce mieć cudną krasę na twarzy, niech pożywa dużo fig, bowiem one wywodzą krew z wnętrza, a tak ciało będzie rumiane. Miód, utrzymuje, lepszy nowy niż stary. W ogóle zaś kto chce być zawsze zdrowym niech się zawsze ciepło chowa, surowej rzeczy nigdy nie jada, a słodkiego picia się napija. Na pytanie: jest-li zdrowo z korzeniami jadać? odpisuje: „Gdyby była natura człowiecza tak mocna sama w sobie jako u starych ludzi bywała, nie potrzebaby pożywania takowego korzenia i owszem żadnych lekarstw. Bo wiemy to dobrze z pisma iż oni starzy ludzie dłużej żywi bywali, chociaż z korzeniem nie jadałi. Ale tych czasów natura człowiecza jest nakażona (zepsuta) bardzo, która płód bierze już niedostateczny z rodziców także niedostatnych, a zwłaszcza z matek które dzieci nosząc nie miernie się chowają w picu, w jedle, pożywając potraw korzennych, czego za starych ludzi niewiasty nie ukuszali (pojmwali).” Pokazuje się więc, że już przed trzystu laty były podobne terażniejszym narzekania na zepsucie obyczajów.

Daléj pisząc „o tym co bywa po jedzeniu” mówi: złe powietrze szkodliwsze niż zły pokarm; chciwie zraczy rychléj się naje niż on co potrosze pokarm bierze. Czy po obiedzie i po wszelkiém jedzeniu dobre jest ruszanie się. Po robocie ciężkiéj szkodliwe, ale siedzącym wolna przechadzka pożyteczna, a dla wszystkich każda wtedy ciężka praca niezdrowa. Nie radzi także spać po obiedzie, czyść (czytać) albo uczyć się. „Dla tego ludzie wiele nad księgami siedzący rzadko tłuści bywają, a pospolicie bladzi albo jednak chorzy, ato dla złego trawienia pokarmu który sobie psują długim siedzeniem, ztąd znać iż kto ma tłusty brzuch ten się nie wiele uczy”. Zaleca jeść ser po obiedzie, ale nie wiele, utrzymując iż lepszy świeży niż stary, a najgorszy słony. Po rybach należy jeść orzechy wedle onego starego przysłowia „ser po mięsie, orzechy po rybach zdrowe bywają”. Najszkodliwsze picie zimnéj wody po jedzeniu i późne wieczere. Dobre spanie ale nie zbytne; kto je nie wiele, mało téż sypia. Z kolei wykłada znaczenie snów bez przesady i wszelkich zabobonów, owszem bardzo rozsądnie i trafnie objaśnia takowe.

Nie mniej ciekawą jest trzecia część dzieła nosząca tytuł „O poznawaniu obyczajów człowieczych, według sposobu jego ciała” Obejmuje bowiem wykład tak zwanéj fizjognomiki, kranialogii i chiromancyi czyli nauki pewnych znamion po których rozpoznawano przynioty lub przywary duszy, serca i rozumu ludzkiego. Nauki te kwitnęły w Polsce przy końcu XV wieku, mianowicie z powodu obserwacyj zebranych i ogłoszonych przez Jana z Głogowy sławnego matematyka i filozofa Akademii krakowskiej. Znali je także już starożytni Grecy i późniejsi uczeni wielokrotnie

w Europie wznawiali, a potem zarzucali. Za czasów Głabra podobnych wiadomości nie uważano wcale za niedorzeczne, a dziś pewnej trafności odmówić im nie można. Jak zaś na nie wtedy zapatrywano się, objaśnia on, przy rozpoczęciu wykładu w następnych słowach: „Gdyż ci Pan Bóg we wszystkich sprawach swoich jest dostateczny tak, iż w uczynkach Jego niedostatku żadnego ani zbytku nie masz. Przeto żadnej rzeczy próżno nie stworzył. Jakoż, i filozofi starzy przyrodzonych się rzeczy dowiadując, wszyscy się na to zgodzili iż Pan Bóg i natura nic nie czynią próżno, to jest musi wždy niejako być przyczyna, przez (dlaczego) wszelka rzecz tak jest uczyniona, aczkolwiek sama z siebie pożytku widzi się nie czynić (jakoż jednak bez tego nie może być), wszakoż wždy nieco musi znamionować dobrego albo złego. Mamy tego znak w niebie i w sprawach jego, które samo z siebie nikomu źle ani dobrze nie czyni, gdyż wszelka rzecz zła i dobra z rządzenia woli Bożej pochodzi. Jednak nie możemy tego przeczyć (zaprzeczyć), aby na niebie nie były znamiona rzecz przyszłą złą albo dobrą z woli Bożej ukazujące, aczkolwiek same z siebie tego niemogą czynić. A także gdyby niebo tego nie znamionowało, tedyby je Bóg próżno nie stworzył. Ale Dawid prorok świadczy, iż rozciągnął prawi, Pan Bóg niebo jako skórę. A cóż po tym rozciągnięciu (pytałby niekto) atoli na nim napisał wołą swoją aby ją czedł (czytał) kto umie, drugim powiadając, a kto nie umie lepiej milcz. Tym też obyczajem i człowieka stworzył, na którego twarzy i też postawie napisał znamiona wolej dusze jego, aby tak kto umie, po nich się znamionował a obcał dobroć albo złość duszną. A tak się z onym człowiekiem łączał, albo się go też wiarował (strzeżł). Nie iżby dusza brała złość, albo dobroć od nieba albo od ciała (aczkolwiek wždy niejako się za nim skłania). Bowiern jużby tak nie miała wolność obierania, które po łacinie zowią *Liberum arbitrium*. Wszakoż ciało takie albo owakie żadne (szpetne) albo cudne (piękne); znamionuje też duszę dobrą albo złą według onéj powieści, co żadne trudno ma być dobre; zwłaszcza w takowym człowiecze kto się zmyślnością a nie rozumem sprawuje. (Bo i Sokrates był brzydki i postać miał szpetną, ale rozumem ją zwalczył i ku dobremu skierował). Z tąd możemy baczyć iż żadność temu nieszkodzi kto się rozumem sprawuje. Nie zamierzając też mocy Bożej który rzecz najgorszą gdy jedno chce może w najlepszą obrócić. Wszakoż trzymając się pospolitego biegu przyrodzenia, bardzo trudna rzecz jest to odmienić, co komu natura jego dała; chociażby też jako pisze Horatius i widłami naturę od siebie odpychał, wszakoż ona zawsze ku swemu ciągnie. Trzymając się tedy biegu pospolitego, śmieje może być rzeczono iż są niejaki znamiona po których ludzie złyj albo dobrej natury bywają poznawani. Tu więc wszelki może zobaczyć pożytek przychodzący z nauki a z umiejętności tego poznawania, gdyż każdy z nas k'temu ciągnie aby trzymał rzecz dobrą, a zasie chronił się rzeczy złyj, między którymi rzeczami złymi żadna gorsza na świecie

być niemoże, jedno zły człowiek, jako też i dobroć wielka od człowieka pochodzić może”.

W ten sposób wykazawszy potrzebę znajomości fizjognomiki, podaje szereg spostrzeżeń na rozmaitych częściach ciała czynionych, które są tu także w drzeworytach przedstawione i znaczenie ich wytłómaczone poczynawszy od głowy, twarzy, czoła, oczu, brwiach i t. d. W części tej mieści się także wiele szczegółów ówczesnych zwyczajów i obyczajów, dużo dawnych zaginionych przysłów i muiemań. Tak np. położywszy ogólną zasadę, ażeby z jednej przyznaki o skłonnościach człowieka nie sądzić, kresli z twarzy postać prawdziwie piękną osoby, która utrzymuje że musi być też i dobra. „Bo pisze: pospolicie mówią, co cudne to też dobre bywa i cnota wszelka wdzięczniejsza jest z cudnego ciała pochodząca. A tak kto jest cudny a zły, czyni taki przeciw przyrodzeniu, jako też to się przydawa (*zdarza*) między białemi głowami, gdzie cudność ze cnotą trudno się zgadzają, zwłaszcza gdzie jest swawolne wychowanie.”

Czoło. „Pospolicie mówią: na czele a w oczu srom siada.”

Brwi. „Po brwiach też może być niejakię poznanie obyczajów. Przeto niektóre białe głowy farbują je sobie, aby się ukazały tym strojniesze albo nie tak obłudne, jakie pospolicie bywają z swego przyrodzenia. Takieź i otrocy (*mężczyźni*) gdy się komu chcą stawić, tak albo owak brwiami postawę ukazują.”

Rozwiodszy się obszernie o rozmaitych oznakach po oczach, przytacza stare przysłowie: „Zrzadło (*zwierciadło*), trawa i wody, cieczenie, czynią oczom ochłodzenie.”

Podobnież mówiąc o włosach i wymowie podaje przysłowie: „Chceszli swego dobrego, strzeż się zawsze łysego, więćej lisowatego, nad wszystkie szepietliwego” (*jąkającego się*).

Takich wyjątków moglibyśmy jeszcze dać wiele, lecz sądzimy że i te dają już dostateczne o dziele wyobrażenie. Pozostaje nam jeszcze jedno sprostowanie.

Z notat Sobolewskiego i Juszyńskiego wydrukowano u Jochera (T. I, str. 130), że Kalixt Sakowicz wydał nowe tłumaczenie *Problematów* Aristotelesa, które już dawniej Andrzej Glaber był wydał po polsku. Maciejowski zaś napisał, że pierwotna praca Glabra po raz drugi wyszła w 16ce przerobiona co do stylu przez Sakowicza, sądząc z egzemplarza bez początku i końca czytanego przezeń w Sieniawie (*Dodatki do Pism III, 333*). Tymczasem bardzo rzadka ta książeczka znajdująca się w całości w Bibliotece Głównej w Warszawie, porównana z pierwszą, pokazuje się, że jest tylko plagiatem i dosłownym niemal przedrukiem Glabra. Wyszła ona pod tytułem: *Problemata albo pytania o przyrodzeniu człowieczym z łacińskiego na polski język przełożone przez Kalixtego Sakowicza, do których przynadane są i przedmowy Aktom weselnym i pogrzebowym służące, w Krakowie roku 1620* (w 16ce, str. 249). Rzeczywiście drukowana jest w Kijowie, jak to ze czcionek i niektórych śladów łatwo poznać można. Wydawca zaś znany w histo-

ryi ks. Sakowicz wziął dzieło Glabra, rozłożył je inaczej, zmienił tytuły rozdziałów, niektóre opuścił, inne pomnożył własnymi przypisami i dodatkami; zresztą całą książkę dosłownie bez żadnej przeróbki w stylu, żywcem przedrukował i za swoją pracę ogłosił. Trzeba jednak przyznać, że w przypisach swoich umieścił także niektóre ciekawe ówczesne obyczajowe szczegóły, mianowicie dotyczące się kościoła ruskiego; znajdujące się zaś dodatki przy końcu, są właśnie owemi mowami w różnych materyach o których wspomina Juszyński, przytaczając je ze swego defektowego egzemplarza za osobne dzieła Sakowicza.

F. Max. Sobieszczański.

Stanowisko państwa w obec kolei żelaznych, z uwzględnieniem szczególnem stosunków zachodzących w Austrii, napisał Mieczysław Bochenek, docent ekonomii politycznej przy uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków 1869 r.

Krótką tylko chcemy uczynić wzmiankę o tej broszurze z 50 stronic, której położyliśmy nagłówek. Zasługuje ona ze względu na przedmiot tak dzisiaj ważny a zebrany treściwie, jedrnie i logicznie, na szerszy rozbiór i niejedną wywołaną tymże uwagę; atoli chcąc się przedewszystkiem podzielić nowością z czytelnikami, podajemy najkrótszą jej treść, trzymając się porządku samego tekstu.

Autor podając historycznie pojęcie i granice regaliów skarbowych i wspomniawszy, że *Bluntschli* oświadczył się za regalem kolei żelaznych, sądzi że dochód otrzymany przez skarb publiczny z mennicy, poczty, telegrafu i kolei żelaznych, z pod pojęcia regaliów przesuwają się pod pojęcie danin. Więc też ekonomiści dzisiejsi jak *Umpfenbach*, *Hock* zajmują się kwestyą, czy dochód z kolei państwowych winien pokrywać w całości koszta popędu i konserwacji tych kolei, czy też zgodnie z pojęciem danin, częścią tylko swych kosztów obciążać tych co się posługują koleją, resztę zaś rozłożyć na całe społeczeństwo, któremu kolój rzeczywistą korzyść przynosi. Każdy albowiem konsument, co dzięki kolei, z mniejszym kosztem towar swój nabywa; każdy producent co kapitał swój z pomocą kolei w szybszy ruch puszcza, stoi w czarodziejskiem kole skutków, jakie zakresliły w jego obrębie koleje żelazne: nie też słuszniejszego, jak aby ze swój strony przyczyniał się do ich utrzymania.

Przeszedłszy pokrótce historią pierwszych początków kolei, cytując autor *Roberta Peela* podnoszącego głos energicznie przeciw systemowi kolei prywatnych, i słowa prezesa izby hau-

dłowej angielskiej, wyrażającego się, iż drogi kraju winny być własnością wszystkich; jako i gwiazdy co im przyswiecają. Belgia najwcześniej pomyślała o przeobrażeniu kolei w instytucyą państwa; w Holandyi, Francyi szło to oporem, w Prusach do 1848 wszystkie koleje były własnością towarzystw prywatnych, w Austrii w 1841 zapadło postanowienie, w moc którego koleje państwa podażać miały czterema głównymi szlakami: południowym, północnym, zachodnim i wschodnim. System ten miał cel polityczny, centralizacyjny.

W zarysie historycznym zachowania się rządów w obec kolei żelaznych, wykazuje autor że rządy różnemi czasy i z różnych powodów, zmierzały do przeobrażenia kolei prywatnych w instytucyę państwa, lecz że z różnych powodów musiały się wstrzymać na pół drogi. W każdym razie koleje żelazne popadły w stan zawisłości państwa, nader dla społeczeństwa korzystny, a wreszcie konieczny, bo państwo ma obowiązek zapobiegania, ażeby interes prywatny nie tuczył się kosztem interesu powszechnego.

Gdzie jednak zachodziła niemożność zaprowadzenia systemu kolei państwa, tam dla zachęty kapitału do przerzucenia się w przedsiębiorstwo kolejowe, przychodziły rządy z pomocą, różne przybierającą formy.

Formy tych zapomóg udzielanych przez państwo rozbiera autor szczegółowo i krytycznie, kładąc nacisk na niebezpieczeństwa jednych, a korzyści drugich, sam atoli za żadną z nich nie przechyla się stanowczo.

Zapomoga udzielona przez państwo przedsiębiorstwu kolejowemu pod jakąkolwiek formą, nie wytwarza takiego stosunku zawisłości, aby kolej przybierała na się cechę instytucyi państwa. Spółka prywatna, choć otrzyma statut najeżony zastrzeżeniami, umie jednak z niego wydobyć dla siebie korzyści, nie będące korzyściami społeczeństwa. Zarząd kolei wykonywany przez państwo, może oznaczyć *niższe pozycje taryfy przewozowej niż zarząd prywatny*. Tu wylicza autor argumenta pro i contra, poparte statystycznymi dowodami, przychodząc do stanowczego orzeczenia, że system kolei państwowych bierze górę nad systemem kolei prywatnych, dopuszczając znaczniejsze obniżenie taryfy przewozowej, w którym to obniżeniu taryfy, mieści się możliwość wyzskania do dna wszelkich korzyści ekonomicznych tej nieporównanej instytucyi.

To obniżenie taryfy jest wielkiej wagi mianowicie dla krajów produkujących płody surowe, a więc ciężkie, i tylko przy niskiej taryfie do przewozu sposobne. Tak np. Galicya, której roczna produkcya przy średnim urodzaju wynosi 25 milionów mecz zboża, 24 milionów mecz kartofli, 2½ miliona mecz buraków, 750,000 mecz grochu, 22 miliony kop kapusty, 72,000 cetnarów lnu i konopi, której lasy dostarczają rocznie do 2 milionów sążni twardego i miękkiego drzewa, a mogłyby śmiało dostarczać i dwa razy tyle, gdyby tylko zezwoliły na to środki komunikacyjne, Galicya

powtarzamy, przy obecnej stopie taryfy przewozowej, tylko podczas wielkiego na zachodzie nieurodzaju, pomyśleć może o wywozie swych płodów surowych.

Dotychczasowe skutki obniżenia taryfy jakkolwiek połowiczne i niedostateczne, wykazały wielkie znaczenie dla gospodarstwa społecznego obniżenia taryfy do minimum. Dążenie do osiągnięcia tego minimum, staje się coraz powszechniejszém i naglejszém. Obniżenie taryfy wiedzie nieomylnie przez powiększenie ruchu, do podniesienia dochodu. Dowodem tego, zaprowadzenie taryfy feni-kowej od niektórych artykułów, na kolejach pruskich, gdyż od r. 1844—1861 przesyłka towarów pomnożyła się tu w sześciorasób. Prawda że nie od razu osiąga się takie rezultaty, że potrzeba się przygotować na lata przejścia, w których dochód nie tylko się nie powiększy, ale nawet nie dorówna pobieranemu przed obniżeniem taryfy. Atoli państwo nie powinno rządzić się wyłącznie względami fiskalnemi, może więc przysłać korzyść społeczeństwa okupić chwilową stratą.

Ta możność radykalnej reformy taryfy przewozowej, staje się najważniejszym argumentem za systematem kolei państwa, za nim też poczyna się oświadczać opinia publiczna.

Reasumując co powiedziano, wyciąga autor rzeczonyj broszury takie wnioski, że:

1) Państwo dążyć powinno do zagarnięcia w swych rękach zarządu wszystkich kolei krajowych, z wyjątkiem kolei podrzędne-go znaczenia, bądźto tytułem dzierżawy, bądź własności, zgoła, do stworzenia jednej w całym kraju sieci kolei, kolei państwa.

2) Po scentralizowaniu zarządu, przystąpić do reformy taryfy, przy której zwróconeby zostały koszta popędu i konserwacyi kolei, a w razie potrzeby i procent od wyłożonego na budowę kolei kapitału.

3) Jeżeli przeobrażenie systematu kolei prywatnych w system kolei państwa z jakichbądź przyczyn staje się niemożliwym, należy mimoto podjąć reformę taryty przez obniżenie poszczególnych jej pozycji!!!...

W tych trzech punktach mieści się cały program polityki ekonomicznej państw w obec instytucyi kolei żelaznych.

Szczegóły interesujące, które tu pomijamy, wyświecają dokładnie argumentacją autora, na którą w głównem żądaniu (przemiany przedsiębiorstw kolejowych prywatnych na instytucye państwa dla dobra ogólnego) zgodzić się najzupełniej trzeba. Cieszylibyśmy się w każdym razie, gdyby kwestya ta wywołała zajęcie szerszego koła czytelników.

E. L.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

W. Rapacki artysta teatru krakowskiego.—*„Radcy pana radcy” komedya w 3ch aktach p. M. Bałuckiego.*—*„Polowanie na męża” komedya w 2ch aktach p. M. Bałuckiego.*

Mieliśmy, jeśli się nie mylę, szesnaście gościnnych przedstawień pana W. Rapackiego artysty teatru krakowskiego. Uwagę naszą o gościnnych występach w ogóle, wyraziliśmy na inném miejscu, kładąc przedewszystkiem nacisk na to, że o ile zapoznają one publiczność z przyszłemi podporami sceny, o tyle gdy się przedłużają, szkodzą scenie, szkodzą repertoarowi i szkodzą reszcie artystów. Wszyscy bowiem inni służą w tych razach za akcesorya, mające podnieść jedną figurę obrazu. Cierpi na tém niezmiernie całość sztuki.

Krótkimi tylko słowy skreśliliśmy działalność sceniczną pana Rapackiego, nie iżby nie zasługiwał na szerszy rozbiór, lecz że nie chcemy dawać stanowczo sądu o szczegółach, które się z czasem zmieniają i doskonalą, a które dziś scharakteryzowane, uprzedzą tyby z góry o przeszłości.

P. Rapacki posiada wszystkie niemal warunki niezbędne dla prawdziwego artysty. Postawę wzniosłą, oko intelligentne, twarz ruchliwą, głos donośny, siłę i energią młodzieńczą. Są to dary natury, któremi z małym wyjątkiem, artysta doskonale władać umie, gdyż ruchy ma szlachetne, zawsze odpowiednie, zawsze okazujące się jako wynik rzetelnych studyów; twarzą odbija wszelkie uczucia radości czy smutku wyraziście i trafnie, siłą cementuje spójność ducha z materyą, zawodząc nas jedynie w modulacyi głosu.

P. Rapacki czy to przyzwyczajwszy się po prowincjonalnych teatrach, czy téż osłuchawszy się fałszywego akcentu, dość że przedłuża niezmiernie każde zakończenie wybitniejszego wyrazu, przez co zwrot cały traci na wdzięku, uderzając ucho dysharmonijnie. Przyzwyczajenie fatalne, którego się koniecznie, pod warunkiem powodzenia w przyszłości, pozbyć trzeba. Raziło nas to przedewszystkiem w tragedyi „Zbójcy” gdzie nieraz pięknie

odegraną scenę, zepsuł najzupełniej akcent ten brzmiały jakimś fałszywym pathos, jakąś napuszystością źle malującą stan duszy.

Dary wrodzone trzeba podeprzeć sztuką, umiejętnością, inaczej zaginą one jak perła porzucona w błoto, jak drogi kamień nieoszlifowany kunsztowną ręką. Ażebym zaś zawładnąć tajemnicami sztuki, potrzeba pracy, pracy wielkiej, nieustającej, ciągle idącej naprzód. Praca też była oczywiście godłem tak młodego jeszcze artysty. Z jej pomocą wsparłszy niepospolity swój talent, zdobył sobie dziś już ogromny repertoar, którym słusznie pochlubić się może. Nie widzieliśmy go wprawdzie na tutejszej scenie jak tylko w kilku komedjach i w dwóch dramatach, ale i w tych dowiódł oryginalności, jaką się znakomitsi jedynie artyści poszczycić mogą.

Posiadając w wysokim stopniu sztukę charakteryzacji, umie jej dorównać konsekwentnym i głębokim zrozumieniem, jako też wykonaniem, jest prawdziwym i samym sobą od początku do końca.

To właśnie zrozumienie, to objęcie bystrym rzutem oka całości i szczegółów, słowem przebijająca się w najdrobniejszym ruchu i słówku reflexya, cechuje świetnie istotę jego talentu.

Pan Rapacki jest zawsze oryginalnym, bo samodzielnie pojmuje; jest zawsze naturalnym, bo się trzyma ściśle, niemal lekko, granic żywotnej rzeczywistości.

Nigdy śladu przesady, wyskoczenia z matematycznie nakreślonych ram obrazu: dlatego uderza taką prawdą w komedji, dlatego odwzorowaniem budzi śmiech serdeczny, bo każdy widzi w typach przezeń przedstawionych, jeżeli nie siebie samego, to najbliższego sąsiada.

Co jednak zasługę stanowi w komedji, szkodzić może w tragedji, w dramacie nawet, gdzie potrzeba pewnego idealnego nastroju, pewnego naprężenia duchowego, odmiennego od codziennego i często trywialnego poglądu na świat i ludzi. Ażebym widzów usposobić do podniesienia się chwilowego nad najzwyczajniejszy i pospolity horyzont, ażebym ich pięknoscią poetyczną zachwycić, lub prawdą rozpaczy i nieszczęścia wzruszyć lub przerazić: potrzeba tak pocie jak i aktorowi sięgnąć wyżej, w dziedzinę eteryczną dostrzegalną tylko oku wybranym, i ztamtąd spłynąć na dół, owiać niezwykłym technieniem, oczarować, podnieść, zapalić tych, którzy się tego najmniej spodziewali. Krótko mówiąc, ażebym innych rozpląmieni i podnieść, potrzeba samemu być w zapale, gorzeć ogniem wewnętrznym, „świętym,” jak chcą niektórzy. Tego ognia, tego zapatu, nie dostrzegliśmy w panu Rapackim, być może że nie mieliśmy dostatecznej sposobności, bo widzieliśmy go tylko w jednej tragedji „Zbójcy.” Zdawało się nam tylko, że reflexya, owo rozumne i głębokie panowanie nad sobą i nad przedmiotem, oziębiły tym razem nastęrczający się poryw, przytłumiły wybuch, który powinien chwilami spalić gorących i zimnych, starych i młodych. Takie chwile rozstrzygają los sztuki, oddając artyście berło panowania nad sercami słuchaczy.

W „Zbójcach” miał p. Rapacki sceny, w których porywał siłą, energią i grozą, ale w całości nie było wypełnienia, zaokrąglenia, przedewszystkiem zaś nie było tytanicznego zakroju, jaki Franca Moora przedstawiciela idei, cechuje. Wszakże sam powiada w chwili gdy się chce modlić: „że nie jest powszednim zbrodniarzem.”

Dramatyczny charakter Szyloka, jakkolwiek pojęty odrębnie przez artystę, uderzył jednakże prawdą, zastanowił siłą, a zarazem stał się możebnym na dzisiejsze czasy mimo dziwaczności średnio-wiecznej fabuły. Nie było w nim tak samo akcentów miękkich, czułych i ludzkich tam, gdzieby się je godziło było wydobyć, ale widocznie chodziło artyście o uwydatnienie ostre i wyraziste głównych motywów zemsty lichwiarza. Dlatego porzuciwszy filozoficzną myśl ostateczną poety, barwił silnemi i jaskrawemi kolory wszystkie sceny, w których Szylak drga wściekłą zaciętością, dlatego dodał umyślnie scenę, gdy prowadzi Antonia do więzienia.

Nie mamy więc jeszcze jasnego i dokładnego wyobrażenia o talencie tragicznym pana Rapackiego, możemy tylko swobodnie pomówić o działalności jego w komedyi, w której dał się nam poznać wszechstronnie.

W „Dożywociu” grał Łatkę, w „Zrzędności i przekorze” Zrzędę, w „Miodzie Kasztelańskim” Sołoduchę, w „Naszych najserdeczniejszych” „Caussada.”

W Łatce i Zrzędzie przedstawił typ egoizmu. Pierwszy dla miłego grosza gotowy zaprzedać duszę i ciało, kocha grosz dla grosza nie dla użycia,—uczucia, zasady, ludzie nie są w oczach jego niczém inném tylko cyframi, któreby rad zesumnować dla własnego użytku. Broni grosz zdobyty z zaciętością, zapalczywie i namiętnie. Mimo więc karykaturalności kreacyi, która staje się w grze tém większą, reprezentuje on pewną namiętność, jeżeli namiętnością zwać można przywiązanie rzeczowe dochodzące do szalu a mające siedlisko w jakimś organie mózgowym. Tę stronę uwydatnił artysta. Scenę z Twardoszem, gdy ten nie chce z nim dobić targu, grał z nieporównaną siłą namiętności. Przewoził się wielce oryginalnym. Zrzęda, drugi gatunek egoizmu, poświęcającego wszystkich dla swego widzinisia, doskonale odstawał od Przekory p. Żółkowskiego. Żółć, zgryźliwość, zacięcie warg, wszystko znamionowało śledziennika, gotowego ujadać się z podmuchem wiatru, ze słońcem i deszczem, byle tylko ulżyć niepowściągniętej żyłce zrzędzenia.

Sołoducha bytło szlachetka klecha, trzymający się pańskięj klamki, umięjący się zginać w karku i podlizywać, kłamać i udawać byle się fortunki cichaczem dorobić. Szczwany i jezuicki, dopóki mu nie trafiono na wrodzone nałogi i słabości. Tak go grał pan Rapacki. Bez przesady, umiarkowanie, wiernie trzymając się wzoru, jaki się tu i ówdzie da jeszcze napotkać, wywołał tóż powszechne zadowolenie znawców.

Rolę Caussada wziął szlachetnie, spokojnie a dobrodusznie, i wyszła jasno, tak jasno jak się może o tém nie śniło samemu autorowi, który napół figlując, napół niewiedząc jak z figlu wybrnąć, stworzył ją dwójznanie.

Ostatnich występów siedem czy ośm poświęcił artysta grze w dwóch oryginalnych komedjach p. M. Bałuckiego p. t. „Radczy pana Radcy” i „Polowanie na męża.” Pierwsza trzechaktowa, druga dwuaktowa. Prawdziwie nie wiemy dla dobra autora i sceny, jakby życzyć wypadało: czy żeby pierwszej 3 akty zamienić na 2, czy drugiej 2 na 3, czy obydwóch sztuk aktów 5 sprowadzić do najmniejszej ilości. Cieszyć nas powinien jedynie ten wzgląd, że reżysera dała nam dowód iż potrafi *dwie komedye oryginalne wystawić w ciągu dwóch tygodni*, co się dawniej o ile wiemy, nie praktykowało. „Radczy pana radcy” zarówno jak „Polowanie na męża,” są krotochwilami lokalnemi, mogącemi mieć wartość względną, bo tendencyjną. Wypowiadają one pewne prawdy zużyte wprawdzie ale rzeczywiste, stawiają zaś jeden typ z małą odmianą: radcy Dżiszewskiego, i Walentego z bogatego mieszczanina, typ mogący posłużyć za naukę pewnemu miastu, pewnemu stronnictwu lub koterii. Utylitarność ta, czyni ten typ żywotnym i mogącym zajaśnieć w wyższej nawet komedyi; gdyby tylko akcesorya, otoczenie, działalność prywatna nie wychodziły zbyt krzycząco, w zbyt zaniedbanym negliżu. Jeżeli się charakteryzuje niedołągę w życiu publicznem, na cóż go odzierać do reszty z cnót prywatnych, z wszelkiego poczucia honoru, z wszelkiej świadomości rozumu? Wszakże jeżeli pana Dżiszewskiego wybrali spółobywatele na radcę, to musieli w nim uznać pewne cnoty i zalety charakteru, pewną prawość gotową się w czyn przemienić w danym razie. Tymczasem p. Dżiszewski, najniedołągniejszy jako człowiek publiczny, jest zarazem wierutnym głupcem jako mąż i ojciec. Ma żonę lafiryndę która go haniebnie za nos wodzi, córkę której nie śmie obronić w obec matki, daje się bałamucić urwisowi, a mimoto czując swoją nicość, śmie przyjmować na siebie obowiązki publiczne! Gdzież tu prawość? Pomijając nawet takie pojęcie charakteru, który wreszcie odznacza się z pomiędzy innych rzeczywistą komicznością, co powiedzieć o żonie jego? Czy takie kobiety frymarzące z pierwszym lepszym honor swój i szczęście całej rodziny, godzi się wystawiać na naszej scenie? Wszakże pp. Sardou et compagnie dostarczają nam transport skandaliczny corocznie, a dochodzi on do nas z akuratnością godną lepszej sprawy. Czy takie bolesne epizody dadzą się traktować piórem krotochwilnem, czy wychodząc z samą tylko zasady sztuki przydać się mogą jako typy komiczne? Przenigdy. Nie posiadając warunków czystego humoru, urażą zawsze uczucie delikatne każdego wyższego człowieka. Tylko paradyz przyjmuje z oklaskiem te solone i pieprzne dowcipy, ale ta część publiczności nie wnika w rzecz, w zakrój, w ostateczną myśl utworu; bawi ją samo wyrażenie, które słysząc często u siebie za kulisami, ze zdumieniem

niemałem pobudzającym ją do śmiechu, słyszy na scenie. W każdym razie zachowanie się paradyzu, przerywające co chwila sceny niesfornemi oklaskami, jakoteż podnoszące huczną wesołością miejsca rażące nieprzyzwoitością, zasługuje na surowe potępienie.

Na dowód że mamy słuszość, opowiemy pokrótce treść „Radców” Pan radca Dżiszewski Piotr, ma żonę rządzącą nim samowładnie i córkę pannę już dorosłą, której jednak zazdrośna i upiększająca się mama każe nosić ciągle krótkie suknie. Przyjacielem (a raczej nieprzyjacielem) domu jest niejaki pan Zdzisław, młody człowiek cyniczny, widzący w każdej kobiecie zły lub dobry towar. Córkę radcostwa majątną uważa za towar dobry, więc z pomocą romansu z czułą mamą, zamysła ją poślubić. Ale cóż kiedy guwernantka, stara exaltowana panna, rości sobie także pretensye do pana Zdzisława, jak w ogóle do każdego mężczyzny, więc po scenie nocnej, w której schodzi się na schadzce z panią radczynią zamiast ze Zdzisławem, oskarża żonę przed mężem. Pan radca wpada w oburzenie (wcale niekomiczne) i zastaje nadomiar u nóg żony, kłęczącego Zdzisława. Teraz wie kto pokalał jego honor, lecz Zdzisław oświadcza mu przytomnie, że właśnie co prosił żony jego o rękę córki. Były się więc młodzieniec roztropny ożenił z radczanką, gdyby nie nagła główna wygrana na loteryi guwernantki. Zdzisław obliczył, że lepiej teraz wyjdzie pojawiwszy starą pannę za żonę, galopem przeto zdobywa jej kochliwe i wrażliwe serce, i wykrada ją. Publiczność jednak dowiaduje się, że się oszukał, bo guwernantka dawno los swój loteryjny sprzedała. Panną radczanka zaś idzie za jakiegoś cnotliwego pana Karola, którego do sztuki ni przypiąć, ni przyłatać, lecz który urodzony oczywiście w czepku, bo go uosobistniona naiwność w postaci radczanki, sama prowadzi za rękę do ołtarza.

Karykaturalność wszystkich bez wyjątku postaci, podniesiona nadto dowcipem bardzo podejrzanego pochodzenia i wartości, psuje to w czem zdolność rodzima autora rzeczywiście przeblýskuje. Umię on ciosać z gruba ale jędrnie, żywo i wiernie choć szorstko i ostro. Wierność ta wprawdzie jest zanadto realna, fotograficzna, zanadto czepiająca się zewnętrzności, dla której poświęca istotę wewnętrzną i ducha. Pisarz pragnący uchodzić za satyryka działającego na massy pochował poetę, autor zapomniał o wyższości stanowiska z którego patrzeć trzeba na ludzkie śmieszności, zapomniał o swęj godności nauczania a przynajmniej nie uczenia bezcelowej płochości.

To już mniej pod tym ostatnim względem zawiniło „Polowanie na męza.” Przebijają albowiem w utworze tym, myśl poprawy pewnej klasy czy pewnego gatunku ludzi niepoprawnych, przekładających blichtr wielkiego świata nad godność własnego stanu, nad szacunek równych sobie stanowiskiem i pojęciami.

P. Walenty mieszczanin wzbogacony, ma córkę pretensjonalną a nieukształconą, zarozumiałą o swęj piękności, a pragnącą sprzedać ją korzystnie w pójsciu za męza. Nieukształcona, źle wy-

chowana i próżna musi być i nie dobrą. Prototypem zaś próżności jest rodzony jój papa, który dlatego że go jakiś pan hrabia ścisnął za rękę, grzeczny list do niego napisał i na herbatę zaprosił, chce go już wybrać na posła, mimo że zna daleko godniejszego, daleko pożyteczniejszego na to dostojęństwo. Zaszlepiiony nie słucha przedstawień literata, przyjaciela domu, przedstawiającego mu całą śmieszność jego postępowania, nie słucha starego przyjaciela Błażeja, chcącego mu córkę wyswatać z poczciwym i dostatnym majstrem ciesielskim. Zdaje mu się albowiem, że ze spojrzeniem jasnie wielmożnego, jaśniejszy też promień oświecił domek jego, że więc i córka powinna teraz znaleźć męża wyższego stanu. Z otwartymi ramionymi przyjmuje wprowadzonego przez literata młodego obywatela ziemskiego, kochającego się w nadobnej córce. Gdy już hrabia za usilnym staraniem p. Walentego został posłem, nie tylko że nie przyszedł na herbatę do niego, ale go nawet przyjął dość niegrzecznie, a gdy jeszcze obywatel ziemski w miłosnym wyznaniu przyznał się przed panną, że jest tylko szewcem a nie obywatelem, rozprzęga się nagle cały ginach pańskich marzeń wzbogaconego mieszczaucha. Panna z obrzydzeniem odwraca się od wykształconego szewca, w którym domyślała się co najniżej hrabiego, p. Walenty skonfundowany arystokratycznym obejściem hrabiego (na którego teraz znów się gniewa) radby wydać już jedynaczkę za proponowanego majstra ciesielskiego, ale tamten nie czekał i ożenił się z równą sobie pojęciami.

Gdyby charaktery tej komedyi nie były pobieżnie tylko naskicowane, gdyby całość artystyczniej była zaokrągloną, to możebyśmy przyklasnęli zdrowej myśli leżącej w spowiciu, nie patrząc się na nią jak na pamflet ze względu już samej nawet formy.

Przykro też razi, że jedyny rozsądny w tej komedyi, ów literat i przyjaciel domu, prawi bardzo piękne rzeczy, ale wygląda przytém nie jak człowiek który czuje, cierpi i działa, lecz jak manekin któremu z ust za poruszeniem korby, wypadają szumne frazesy. Manekin wyrzuca je z siebie, ciska nimi w twarz obwinionych, ale sam stoi przytém nieporuszony i zimny, zwyczajnie jak manekin. Panna Walentówna, spieszczone dziecię stariej idiotycznej babki i tatunia zakochanego w jój paplaniu francuzkiem, w jój grze na klawikordzie, w jój czytaniu romansów, jest komiczną w całym znaczeniu tego słowa. Gdyby tylko i w niej jak we wszystkich charakterach komedyj p. Bałuckiego, nie odstręczał wszelki brak serca i tego ciepła, wiążącego postać sympatycznie z publicznością. Wszakże z człowiekiem najśmieszniejszym możemy jeszcze sympatyzować, możemy oceniać jego dobroć, lub inne przymioty. Wszakże i Albin jest śmieszny, karykaturalny, a przecież czujemy w nim dobrego chłopca, i Papkin nawet ten Falstaff w miniatuże, jest nam przecie sympatyczny, bo czujemy że na dnie jego duszy nie ma złości i jadu, i sam wreszcie szekspirowski Falstaff mimo ohydnych nałogów nie stał się nam nienawistnym i przykrym. W tém leży także potęga talenu. Autor miał wyborną sposobność

przeciwstawić w Błażeju człowieka pracy, rozumu i dzielnej woli, tymczasem zrobił z niego niedołęę innego rodzaju, bo niechcącogo się w nic wtrącać co nie daje wprost kawałka chleba. Komedya „Polowanie“ grzesząc niewykończeniem, ostrością tendencyi jednostronnęj, okraszeniem conceptami niekoniecznie dowcipnemi, (a nie stoimy nad autorem z paragrafami kodeksu ścisłej i dusznej przyzwoitości) ma jednak tę zaletę, że chociaż w szkicu daje nam obraz życia wewnętrznego małomieszczan, gdy tymczasem „Radcy pana radcy“ mając pretensyą do wyższej komedyi, do Arystofanesowego pokroju, wzięły zeń tylko cyniczne jego i swawolne wybryki.

Ocenę naszą pobłażliwą, dyktowało nam to szczere przekonanie, że jakkolwiek p. Bałucki od fałszywego dziś i pospolitego kroku rozpoczął swój zawód komedyopisarski, że jednak talentem swoim, którego mu nikt zaprzeczyć nie może, zwróci się w zakres pojęć czystszy, wzniolejszy i zarówno jego jak i publiczności godniejszy. Niechaj jednak nie wstrząsa pogardliwie ramionami, myśląc może albo co gorzej wynętrzając się w gronie przyjaciół, że i Fredrę (ojca) zgromił niesprawiedliwie niegdyś jeden z krytyków. Nie, wówczas był to głos jeden, dziś głosów więcej zgodziło się na jedno i to samo. Wówczas żółciowy kaprys pióra szarpnął genialnego pisarza, który dziełami swemi licznymi i mistrzowskimi najlepszą dał odpowiedź; dziś bezstronna krytyka z ubolewaniem spogląda na harce młodych po drodze najbrzydszego realizmu, z ubolewaniem téż i pewnym oburzeniem wysłuchała dwóch sztuk jednego autora podobnych do siebie duchem, tendencyą i sposobem pisania. W utworach tych nie mogąc znaleźć wyższej myśli, szukała poezyi, szukała młodości a nie znalazłszy nic prócz chłodnej dyssekcji i gorzkiego sceptycyzmu odzianego w pospolitą szatę, wydała wyrok potępienia.

Przyznać trzeba że rozciekawienie publiczności podbudzone zostało przeważnie występami p. Rapackiego w tych sztukach. Znakomity ten artysta doskonałą grą swoją jako radca Dżiszewski i jako mieszczanin Walenty dowiódł, co gra artysty uczynić jest w stanie. Trudno sobie wyobrazić rzeczywistsze i komiczniejsze typy, jak te które stworzył p. Rapacki. Charakteryzacya, postawa, ruchy, ubiór, humor, sposób mówienia: „Panie dobrodzieju“ „ten tego“ tak sobie uniał przyswoić, że skóra i kośćmi tych oryginałów tak się uniał zespolić, że potrzeba było przecierać oczy, ażeby sobie przypomnieć że to deski teatralne a nie rzeczywistość. Nie powiemy że szkoda jego gry do takich ról, bo nie ma roli którejby artysta nie zdołał uszlachetnić, a wreszcie charakter pana Radcy i Walentego mają swą niezaprzeczoną wartość; aleśmy tylko żalowali ze względu na samego autora, że tak liczna publiczność zapoznała się dokładnie z utworami, których się kiedyś autor rad będzie zaprzeczyć jak grzechów młodości.

Grał więc artysta skończenie, z humorem szczerym, przelewającym się szeroko na zachwyconą grą taką publiczność, a p.

Tatarkiewicz (Zdzisław w Radcach) dopomagał mu dzielnie, odkrywając nową stronę swego uzdolnienia i potężnej pracy. Pani Ba-kałowiczowa grała córkę pana Walentego, w „Polowaniu na męża”. A co to była za pretensya w jęj mowie, chodzie, udanym majestacie ruchów, w toalecie nawet! Jak się cudownie skrzywiła gdy się dowiedziała, że elegancki jęj konkurent jest szewcem! Prawdziwie, że taka gra zostaje na długo w pamięci. Zdziwić się tylko musiny odwadze panny Micińskiej grającej babunię w „Polowaniu.” Prawdziwa to odwaga wystąpić publicznie w roli, o której się nie ma pojęcia, do której się nie przystaje niczem a niczem, gdyż artystka nie umiała się nawet ucharakteryzować, namazawszy zamiast zmarszczek jakieś czarne plamy.

E. Lubowski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Maj 1869 r. — **Wiadomości astronomiczne.** W tym czasie zwraca na siebie uwagę astronomów powrotna kometa Winnecke'go, która wprawdzie jeszcze w r. 1819 odkrytą została przez Ponsa, ale dopiero w r. 1858 d. 8 marca dostrzeżona powtórnie przez Winnecke'go, w Bonn uznaną została na podstawie rachunku za tę samą komety trzecią r. 1819, którą właśnie Pons odkrył. Peryod powrotu jej wynosi 5 lat $6\frac{1}{2}$ miesięcy. W bieżącym roku przypadło pojawienie się komety w przyjaznych stosunkowo warunkach, bo najpierw w takiej części nieba, która w szerokościach północnych, gdzie najwięcej jest obserwatoryów, bardzo dokładnie uważaną być może, a mianowicie w Lwie małym; powtóre w miesiącach wiosennych i letnich, w których pogoda dosyć stale się utrzymuje. Te warunki dawały większą nadzieję odszukania komety w tym roku, aniżeli w r. 1863, kiedy takowa pojawić się miała w listopadzie, lecz nigdzie nie była widziana. Kometa w mowie będąca przedstawia się jako obłoczek dosyć duży, ale bardzo słabym światłem błyszczący, ku środkowi nieco bardziej skupiony i jakby z maleńkich gwiazdek złożony; gołym okiem niepodobna jej widzieć, potrzeba do tego wielkich lunet. W chwili dostrzeżenia w Karlsruhe przez Winnecke'go d. 9 kwietnia b. r. a nawet później nie można było nawet zrobić dokładnej obserwacji; dopiero w końcu kwietnia i w maju zwiększył się nieco słaby blask komety i do dziś dnia dosyć już jest znaczna liczba obserwacji, które posłużą do poprawienia pierwiastków kolei, jaką kometa przebiega. W tym względzie i nasze Obserwatorium nie pozostawało w tyle za innymi, gdyż kometa była obserwowana dopóki tylko światło księżyca nie stawało na przeszkodzie; spodziewać się jednak należy, że po zmniejszeniu się blasku księżyca będzie jeszcze mogła być widziana aż do czasu, w którym po zbliżeniu się do słońca zniknie w jego promieniach z oka naszego.

Towarzystwo astronomów w Lipsku od kilku lat istniejące ma odbyć tego roku swoje ogólne zebranie w Wiedniu, w środku września pod prezydencją Ottona Struve, dyrektora Obserwatorium w Pulkowie; według statutów Towarzystwa odbywają się te ogólne zebrania co dwa lata, tegoroczne będzie już z kolei czwartym. Działalność Towarzystwa jest bardzo obszerna i nie tylko zmierza do bieżących czynności astronomicznych, ale ma na względzie wszystkie zaległe lub niedokończone prace dawniejsze, jak również

przygotowanie nowych materiałów mogących posłużyć do dalszego rozwoju astronomii. W tym celu ogłasza drukiem prace różnych astronomów dając pierwszeństwo swoim członkom, a oprócz tego co kwartał wydaje zeszytami sprawozdania z całego ruchu w dziedzinie astronomii. Liczba członków Towarzystwa jest znaczna, i dochodzi obecnie do 200.

d. 27 maja 1869 r.

Kowalczyk.

W „*Zeitschrift für Rechtsgeschichte*” wydawaném w Weimarze, pochlebne znajdujemy uwagi o dziele R. Hubego p. t.: „*La loi Salique*”..... króre tu podajemy w streszczeniu.

„Zajęcie jakie budzi ta publikacya, podniesione jest nadto przedmową dodaną przez autora, w której oprócz wyszczególnionych właściwości kodexu Warszawskiego, wyjaśnione są jeszcze główne momenta charakteryzujące cały tekst IV z jego treści, miejsca powstania i czasu. Bystre badanie autora okazało, że redakcyja 99 tytułów miała miejsce w 1-ój połowie VII wieku w południowo zachodniej Neustrji. Reprezentuje ona salickie prawo ludowe w przeobrażeniu jakiego na niej dokonała rzymska kultura. Tekst IV w swych dwóch odmiennych formach a pod wpływem romanizmu, usiłuje zmodernizować lex Salica. Objasnienie tego bardzo ciekawego procederu, zawdzięczać trzeba pożytecznej pracy niniejszej...”

— Członek Instytutu francuzkiego p. *Wołowski*, wydał w tym roku dzieło traktujące o Zamianie i Obiegu (*Le Change et la Circulation*). Sprawy traktowane w tém dziele wiążą się ze wszystkimi niemal praktycznymi kwestyami, jakie ekonomiści w ostatnich czasach z wielkim podnieśli zapamię. Teorye o wolności banków emisyjnych wymian międzynarodowych; o wyborze stopy dla monety metalicznej, autor rozbiera w swém dziele z powodu wymiany, którą on uważa za regulatorkę ogólnego targu. W książce tej znajdują się rozprawy rozmaitej natury, niektóre znane już dawniej, a wszystkie po większej części przedstawione Akademii umiejętności moralnych i politycznych. Wszystkie te jednak rozprawy mają między sobą ścisły związek i dążą do jednego celu: tworzą zupełną całość doktryny finansowej. Autor wyklada z nowego punktu zapatrywania się, teorye ekonomiczne, w których rozprzestrzenieniu i powodzeniu, sam bardzo czynny przyjmował udział; daje nadto krytyczny i szczegółowy rozbiór znakomitych dzieł, jakie w tym przedmiocie wychodziły w Niemczech, w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

— Liebig powiada o swoim ekstrakcie: „Ekstrakt mięsny, nie jest to nic innego jak tylko bulion wolny od tłustości, zrobiony z najlepszego mięsa i w próżni do gęstości miodu zgęszczony; posiada on te same własności co najposilniejszy bulion”.

Takie też jest powszechne mniemanie, i z tego powodu lekarze zalecają ten ekstrakt jako środek bardzo posilny. W Południowej Ameryce założono ogromną fabrykę tego ekstraktu,

i miliony stoików ztamtąd na cały świat się rozchodzą. Lecz temu południowo amerykańskiemu przemysłowi grozi straszna burza. *Kemmerich* ogłosił w *Pflügera* „*Archiv für Physiologie*” doświadczenia, które mogą bardzo zmniejszyć jego konsumpcją. Rezultatem tych doświadczeń są dwa fakta bardzo ogół interesujące, które tu w krótkich słowach postaramy się przedstawić.

Każdemu wiadomo że pobudzające skoncentrowanego bulionu, łatwo może się zmienić na zabójcze. Dwa lub trzy funty mięsnego ekstraktu wystarczają do zabicia silnego królika w półtorej godziny, a w mniejszych ilościach spożyty spowoduje silniejsze bicie serca, i większą ilość i siłę uderzeń pulsu. Tych zjawisk powodem jest tylko jedna część składowa ekstraktu, a mianowicie sól potasowa. Związki organiczne ekstraktu, które stanowią jeszcze niezupełnie zbadane tak nazwane materye wyciągowe, nie mają udziału w tym wpływie pobudzającym, i zachowują się obojętnie w tym względzie. Sole potasowe oddzielnie spożyte, w odpowiednim stosunku sprawiają też samo pobudzanie jak ekstrakt mięsny.

Drugi wniosek z doświadczeń *Kemmerich'a* tak brzmi: Ani rosół ani jego skoncentrowana forma czyli ekstrakt mięsny nie są pokarmami pożywnymi. Pies żywiony ekstraktem mięsnym, po niejakiem czasie stracił więcj na wadze, jak inny pies którego wyłącznicie tylko wodą żywiono. Pierszy pies nawet wprzódy życie stracił jak drugi, a to zapewne z powodu zawartych w ekstrakcie mięsnym soli potasowych, które działając pobudzająco przyspieszają konsumpcję ciała.

To dowodzi że rosół lub ekstrakt z mięsa pozbawionego tłuszczu i t. d., jak się dzieje z ekstraktem *Liebiga* nie może służyć ludziom za wyłączny pokarm (Rosół zawierający w sobie materye tłuste i klejowate jest pożywny).

Czekajmy teraz na to, co *Liebig* na te fakta odpowie, a tymczasem zachowujmy pewną ostrożność, a mianowicie, nie używajmy ekstraktu w większych ilościach.

— Pomnikowe dzieło: „*Wzorów sztuki średniowiecznej*,” wydane w dwóch wielkich tomach przez *Alexandra Przedzieckiego* i *Edwarda Rastawieckiego*, teraz przeszło co do ukończenia tomu III wręce *Maksymiliana Fajansa*, który od samego początku zajmował się częścią artystyczną w zakładzie swoim litograficznym. Pierwotni wydawcy, czuwają ciągle nad tém wydawnictwem tak w dostarczaniu rycin, jak i tekstów potrzebnych. Obecnie przygotowują się dwa zeszyty tego tomu: XV i XVI: w nich mają być zamieszczone chromolitografie infuly i pamiątek po świętym *Wojciechu*, przechowanych w Skarbcu Pragi czeskiej. Infula należy do wielce ciekawych zabytków: na rękawiczce osadzony jest medalion, z emalią, przedstawiający ś. *Benedykta*, bezwątpienia pamiątka zakonu ks. *Benedyktynów*, do którego należał święty *Wojciech*.

— W Drukarni *J. Jaworskiego*, nakładem autora, wyszło dzieło p. n. „*Lud*. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przed-

stawił Oskar Kolberg. Z rycinami i drzeworytami wedle rysunku W. Gersona. Kujawy. Część druga." O pierwszej części tej ważnej pracy do Etnografii Słowiańskiej już obszernie mówiliśmy w naszym piśmie, teraz należy nam chociaż krótką podać wiadomość, o tej drugiej, która zamyka całość obejmującą opis Kujaw. Tom ten zdobi dwie ryciny kolorowane (chromolitografie), a wiernie zdjęte z natury. Pierwsza przedstawia dwóch wieśniaków i niewiastę od Włocławka; druga, grupę ośmiu osób tak kobiet jak mężczyzn: nadto od strony 69 do 260, zajmują nuty z melodyjami dum i pieśni, dotyczących różnych przedmiotów z życia wioskowego. W przypisach, O. Kolberg uzupełnia wiadomości nowemi szczegółami, które podał w pierwszej części, tak co do opisu kraju, jak jego zwyczajów, ubioru, podań: załącza słowniczek wyrazów kujawskich: podaje właściwość mowy tutejszej, nazwy rzek, jezior, bagien i wzgórz, jak nazwy miast, wsi i osad, i zamyka rzecz, nazwami rodowemi włościan, tak męzkich jak żeńskich.

— Z Drukarni A. Ginsa wyszła broszura w 8ce cztero-arkuszowa p. n. „Walka, wiersz napisany przez Stanisławitę.” Jestto dosyć obszerny poemat, który autor, ukryty pod pseudonimem, skromnie nazwał *wierszem*.

W oddzielnj odbitce z Przeglądu sądowego wyszła nowa praca A. Wejnerta pod napisem: *Zabytki dawnych urzędzeń sądowych m. Warszawy*, składa się z sześciu rozdziałów. 1) O organizacji Warszawy przez Komisyją Porządkową z r. 1767. 2) O sądach sierocych. 3) O sądach popisowych. 4) O bankrutach i kontramortoryach. 5) O kompaniach handlowych. i 6) O dniu oczyszczenia i jednania. Jest to szacowny przyczynek do dziejów sądownictwa naszego.

— Wiadomo, że umieszczony wizerunek Jana Kochanowskiego przy zbiorze jego poezyi w „Wyborze pisarzy polskich.” T. Mostowskiego, nie jest wcale portretem wiejskiego śpiewaka z *Czarnego lasu*, ale Piotra Kochanowskiego tłumacza *Jerozolimy Wyzwolonj Tassa*. Prawdziwy wizerunek *Jana*, wykuty w marmurze, znajduje się w Zwoleniu, który zdobi grobowiec zgasłego wieszczka. Wierny jego odlew gipsowy kazał zrobić nasz malarz Alexander Lesser, i posiada takowy w szacownym zbiorze swoim; ś. p. Franciszek Wężyk, ku pamięci Jana Kochanowskiego, wznosił ze składek nagrobek w kościele ks. Franciszkanów w Krakowie. Brak jeszcze w niszy jego popiersia. Oddział archeologii i sztuk pięknych Towarzystwa Nauk Krakowskiego, podjął się załatwienia tej sprawy. Wykonanie powierzono p. Kossowskiemu profesorowi rzeźby. Popiersie to wykute z marmuru karraryjskiego, ma mieć za wzór, ow wizerunek *Jana* z jego grobowca w Zwoleniu. W tymże wydziale archeologicznym, poruszoną została myśl wydania dyplomatarjusza miasta Krakowa. Myśl tę urzeczywistnił już jeden z badaczy naszych Żegota Pauli, który przygotował pożądaną dyplomatarjusz Krakowa.

— Józef Supiński autor znakomitego dzieła: „Szkoła polska gospodarstwa społecznego” o którym obszerne sprawozdania po-

dały już pisma nasze codzienne, podobnie jak ś. p. Karol Szajnocha, jak żyjący Wincenty Pol, dotknięty został kalectwem ślepoty. Zamiatowanie atoli w pracy, do której od dzieciństwa nawyknął, nie dozwoliło mu i w tym smutnym stanie, w jakim się obecnie znajduje, pozostać bez umysłowego zajęcia. Postanowił więc za pomocą dyktowania wejść w korespondencyę z jednym ze swoich przyjaciół, właścicielem ziemiańskim, pracującym na polu nauk społecznych. Tym sposobem powstał szereg listów treści społecznej, zawierających mnóstwo ważnych postrzeżeń, mogących być wielce pożytecznymi tym, których dobro kraju żywo obchodzi. Listy te przez autora, nie były przeznaczone do druku, ale z powodu ich wysokiej wartości wyszły z pod prasy we Lwowie p. n. „Kilka szczegółów treści społecznej, rozebranych w listach poufnych.”

— Dr. J. Caro professor nadzwyczajny filozoficznego fakultetu przy uniwersytecie w *Jena*, powołany został do Uniwersytetu Wrocławskiego na zwyczajnego profesora polskiego języka.

— W Lipsku towarzystwo naukowe założone w zeszłym wieku przez Józefa księcia Jabłonowskiego (*societas Jablonoviana*) ogłosiło dwa zadania konkursowe na r. 1869 i 1870 w językach łacińskim, niemieckim i francuzkim.

I tak: *na rok 1869*. Bacząc na wysoką ważność międzynarodowego handlu zbożem, tak dla skupujących jak i sprzedających krajów, również uważając go za symptom powszechnego rozwoju kultury, a ztąd oceniając względnie niepoślednie stanowisko, jakie w handlu polskim zajmuje wywóz zboża, podaje Towarzystwo za przedmiot do rozprawy: *na źródłach opartą historią polskiego handlu zbożowego z zagranicą*. W rozprawie tej, czasy przed upadkiem cesarstwa byzantyńskiego, mogą służyć za wstęp, a nowsza epoka do końca XVIII wieku za epilog, zatem jądro przedmiotu powinno się mieścić w trzech stuleciach objętych powyższemi dwiema epokami. (Nagroda za rozprawę 60 dukatów).

Na rok 1870. Towarzystwo z uwagi, iż nie ma stosowniejszej podstawy do traktowania średniowiecznej historii jakiegobądź kraju, jak krytyczne zestawienie rocznikarskiego i kronikarskiego materiału, co oraz daje pogląd na sposób pisania historii krajowej, życzy sobie przez cześć dla pamięci swego fundatora mieć napisaną rozprawę krytycznie i opisowie wypracowaną następującej treści: *Polskie historyjopisarstwo w wiekach średnich*.

Praca ta ma obejmować najpiérwsze polskie roczniki aż do Długosza, włącznie. Jeżeli ubiegający się będzie mógł podobnie jak Pałacki w swoim dziele: „Ocenienie Czeskich historyków,” roztrząsnąć osobiście materiał rękopiśmienny i nowe wydobyć postrzeżenia, zostawia się woli piszącego, albowiem Towarzystwu wystarczy, jeżeli to, co dotąd było publikowane i obrabione, piszący samodzielnie roztrząśnie i w ten sposób opracuje jak to zrobił *Wattenbach* w dziele: „Źródła historyczne niemieckie w wiekach średnich.” Co się tyczy wydań pojedynczych lub autorów, równie

jak pism objaśniających takowe, wymaga się dokładności bibliograficznej i wyczerpania najzupełniejszego. (Nagroda za tę rozprawę dukatów 60).

— Pół wieku mija, jak uczeni niemieccy w roku 1818 powzięli myśl zebrać najstaranniej średniowieczne dziejów swoich pomniki, rozpoznać je w świetle nowoczesnej krytyki, i ułożywszy ich tekst według najpoprawniejszych rękopismów, wydać z objaśnieniami dla użytku powszechnego. Myśl ta przez barona *Steina* ministra niegdyś pruskiego potracona, znalazła najlepsze przyjęcie w świecie uczonym, a brał w nią niegdyś udział Józef Maksymilian Ossoliński, założyciel Biblioteki i muzeum we Lwowie. Związano niebawem wyłącznie w tym celu uczone towarzystwo we Frankfurcie, jako środkowym punkcie Niemiec, a dla łatwiejszego porozumiewania się członków co do sposobu i rodzajów pracy po różnych odległych bibliotekach przedsiębranęj, zaczęto od roku 1819 wydawać czasowe pismo: „*Archiv der Gesellschaft für ältere deutsche Geschichtskunde*“ zrazu pod redakcją *Düssego* i *Büchlera* później i aż dotąd pod redakcją *J. H. Pertza*. Wsparli to naukowe przedsięwzięcie, opieką swoją monarchowie i liczni książęta niemieccy a tak towarzystwo to w środki materyalne zasobne, a gruntowną znajomością rzeczy kierowane, znalazło wstęp do wszystkich niemal europejskich bibliotek, które za pomocą zdolnych fachowo ku temu usposobionych członków swoich, dotąd jeszcze przepatruje i dla nauki wyzyskać się stara. Po kilkoletnich od związania się tego towarzystwa trudach przygotowawczych, ukazał się w roku 1826 tom pierwszy tych *monumentów*, i odtąd wydanie ich postępuje ciągle naprzód, powolnym w prawdzie, lecz pewnym krokiem, czyniąc zaszczyt prawdziwy narodowi niemieckiemu, a pożytek naukowy nietylko niemcom, ale i wszystkim prawie narodom europejskim przynosząc. Po rozpoznaniu bogatego materyału źródeł dziejowych Niemiec, uznano za stosowne podzielić wszystkie wydawać się mające pomniki, na pięć osobnych działów: pierwszy obejmuje pisarzów, a głównie kroniki i roczniki; drugi prawo, trzeci dyplomy czyli nadania, czwarty listy, piąty nakoniec starożytności, którym to mianem objęte być mają pomniki drobniejsze. Dotąd wyszło na widok publiczny tomów 19 a trzy tomy praw.

Dzieje nasze od pierwszego jako naród wystąpienia, ściśle się wiążą z niemieckimi, ztąd publikacya ta, jak dla innych narodów sąsiadujących z Niemcami, tak i dla nas wielkiej jest wagi. Samo wydanie krytyczne wzorowych, cennych roczników niemieckich jak *hersfeldenskie*, *kwedlinburskie*, *hildeshejmskie*: kronik jak *Widukinda*, *Thiedmara* i najstarszych wreszcie żywotów tych apostołów, których królowie nasi począwszy od X wieku, dla szerzenia wiary chrześcijańskiej do Prus i na Pomorze wysyłałi, rozświetla w wysokim stopniu nasze dzieje ówczesne. Wydawcy atoli nie poprzestali na tém, zamierzylu oni sobie, od czasu do czasu zamieszczać oraz w zbiorze swym i dzieła pisarzów Polskich lub dziejami Polski głównie zajmujących się; i tak w tomie IX umieszczony zo-

stał nasz Gal, opracowany krytycznie przez *Szachtowskiego* i *Koeppe'go* a w ostatnim XIX tomie, obok pomników pomorskich, pruskich, inflandzkich i szlązkich, które bezpośrednio tyczą się dawniej Polski, obok nagrobków Piastów Szlązkich, znachodzimy jeden oddział mający w *indeksie* napis osobny *Polonia*, a w nim zebrano roczniki polskie, obejmujące zdarzenia dziejowe od lat najwcześniejszych aż do roku 1434: katalog biskupów krakowskich od Prochora do Jana Rzeszowskiego, nakoniec spominki płockie i lubelskie od r. 1055—1497. Roczniki polskie jakkolwiek w nowszych czasach zwracały już uwagę baczną nie jednego z naszych rodaków, nie były jednak dotąd zebrane starannie i razem ogłoszone. To co dotąd wydrukowano, pełne błędów, i bez krytycznego przeglądu. Główny wydawca Jerzy Henryk Pertz, świadomy najlepiej, jakich zachodów praca tego rodzaju wymaga, nie wahał się przeznaczyć na to materialne zasoby. Wysłany w tym celu z grona uczonych niemieckich Wilhelm *Arndt* doktor filozofii, puścił się roku 1864 w daleką podróż. Zwiedził znaczniejsze biblioteki szląskie, Krakowskie, Lwowskie, udał się potem do Warszawy i Petersburga, dopytując się najtroskliwiej o źródłowe pomniki dziejów i pilnie je wypisując, w czém rozległe jego wiadomości filologiczne i niepospolita wprawa w czytaniu dawnych pism, wybornie mu usługiwały. Z zebranymi plonami wrócił ten szanowny podróżnik do Wrocławia; tam w towarzystwie znanego już nam Ryszarda Roepella, autora znakomitego dzieła „*Geschichte Polens*” został wszystek ten materiał raz jeszcze rozpoznany, uporządkowany ostatecznie i podany do druku. Tym więc dwom mężom w szczególności zawdzięczamy zbiór roczników polskich, poraz pierwszy krytycznie zestawionych a zaczerpnięty w znacznej części z samych rękopismów i opatrzonych objaśnieniami.

Przybywa zatem nowa skarbnica dla badaczy dziejów naszych, którzy mogą z niej czerpać, i mniej znaną przeszłość odległą wyjaśnić dokładniej niż dotąd.

Szczepan Damalewicz.

Datę śmierci *Damalewicza*, znanego biografa biskupów kujawskich i arcybiskupów gnieźnieńskich, kładzie p. *F. M. Sobieszcański* (Encyklopedia Powszechna Orgelbranda. VI 695), za nim p. *L. Łukaszewicz* (w *Hist. lit.* wyd. z 1866 str. 357) na rok 1664, dodając, iż tenże umarł w *Kaliszu*. Data ta, jak nam piszą z Trzemeszna (Wielkopolska), nie wiemy z jakiego źródła zaczerpnięta, najniezawodniej jest mylną. *Damalewicz* bowiem umarł nie w *Kaliszu*, ale w *Trzemesznie* i nie w roku 1664, ale w roku 1673 dnia 10 czerwca. Na dowód przytaczają nam dosłowny wypis z łacińskiej współczesnej kroniki klasztoru OO. Augustyanów w *Trzemesznie*,

których zakonu Damalewicz był członkiem, znajdującęj się w posiadaniu kościoła parafialnego w Trzemesznie. Czytamy tam na str. 916:

„*R. P. Stephanus Damalewicz, S. Theologiae Doctor, olim Canonicus Wladislaviensis, deinde Praepositus Clodaviensis ac successu temporis Calisiensis ad S. Nicolaum Praepositus obiit hic Trzemesnae Anno Domini 1673 die 10 Junii in multa patientia.*”

Nic też nie mówi p. Sobieszczański o biegu życia Damalewicza, odkąd zrzekłszy się dobrowolnie kanonii Kujawskiej i Kruszwickiej, zakonny augustyański przywdział habit. Sądzimy, że nie bez interesu będzie podanie kilku szczegółów żywota Damalewicza z tej epoki, wziętych ze wspomnionęj kroniki.

W roku 1646 Damalewicz bawił w Padwie, będąc już naówczas koadiutorem prepozytywy kaliskiej *cum iure successionis*. Wracając tamtędy do Polski Jerzy Niewiarowski referendarz litewski, który miał właśnie gorszący i głośny w owym czasie spór o opactwo Trzemeszeńskie z referendarzem koronnym Marcinem Starczewskim, siostrzeńcem prymasa Łubieńskiego i przez niego protegowanym. Niewiarowski w celu popierania swęj sprawy udał się sam w roku 1646 do Rzymu. Potwierdzony na opata pojechał do Rawenny, gdzie się dnia 28 kwietnia roku 1646 odbyła generalna kapituła kanoników Regularnych (1). Być może, że na nią i Damalewicz był obecny, dość, że w lipcu tego samego roku spotyka się w Padwie z Niewiarowskim, któremu, jako prawowitemu opatowi dnia 31 lipca 1646 roku złożył przysięgę na posłuszeństwo i jedność domu kaliskiego z trzemeszeńskim: (Kronika str 855). Krok ten jednak, jak się zdaje w niczem nie osłabił dobrych stosunków między Damalewiczem a prymasem Łubieńskim, który w roku 1649 kazał drukować własnym kosztem w Warszawie, jego żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, jak o tym wspominał p. Sobieszczański w Encyk. pow. VI 696.

W roku 1652 widzimy Damalewicza w Rzymie. Odzierżył już był tymczasem przełożęństwo klasztoru kaliskiego, który, z po-

(1) Ustawy na tęj kapitule dla klasztoru w Trzemesznie przyjęte, wydrukowane zaraz zostały w Padwie. Tytuł rzadkiej tęj książki brzmi: *Constitutiones pro Canonicibus Regularibus Congregationis Salvatoris Lateranensis Domus Trzemesnensis et aliis Congregationi Generali Lateranensi unis et uniendis per R. P. D. Alexandrum Troilum, ejusdem Congregationis Abbatem Rectoremque Generalem ac totum Venerabile Capitulum Generale die 28 mensis Aprilis Anno MDCXLVI celebratum, sancitae et ordinatae per R. vero D. Georgium Niewiarowski, Abbatem Trzemesnensem ac Cyprianum Jętykiewicz Canonicum et Dictae Domus Trzemesnensis Procuratorem, totius capituli nominatim receptae. Patavii, typis Pauli Frunibatti. Superiorum permittu. Na ostatniej zaś karcie stoi: Patavii Antonoris, typis Pauli Framboiti. Excudebat Carolus Mora. A. D. MDCXLVI. Str. 136 w 4-ce mniejszėj.*

wodu jego nieobecności, prymas Łubieński oddał w administracyę przeorowi trzemeszeńskiemu dnia 16 lipca 1652 (kronika str. 868). Niedługo potem wrócił Damalewicz do kraju, gdyż dnia 11 sierpnia przyoblekał z polecenia przeora Andrzeja Łasickiego w kapitułarzu klasztoru trzemeszeńskiego w *zakonny habit Gabryela Gracyana Miłoszewskiego*, koadiutora i następcę w opactwie po Starczewskim. (Kronika str. 873). Damalewicz i później przebywał w Rzymie, bo w roku 1661 wydał i tam swój żywot błogosławionego Bogumiła Arcybiskupa gnieźnieńskiego. Jakim zaś sposobem przy schyłku życia dostał się do Trzemeszna, o tym kronika milczy.

Władysław Milkowski.

† Ksawery Godebski zmarły d. 17 maja r. b. kustosz Zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie, urodził się w r. 1801; był synem pułkownika Cypryana Godebskiego. Kształcił się początkowo w Konwiktie Pijarskim na Żoliborzu, potem uczęszczał do Uniwersytetu Warszawskiego. Od r. 1821 zaczął ogłaszać w pismach ówczesnych różne ulotne poezye, a dla Teatru Warszawskiego przekładał komedyo-opery i komedye, mające wówczas wziętość w repertoarze francuzkim. Jedenaście tych sztuk dotąd wykryto w zapisach Teatru Warszawskiego; oto są ich tytuły:

Dom Korregidora czyli pustacy hiszpańscy, komedyo-opera 1822 r.—Dawne czasy, komedyo-opera 1821.—Emma z Roxburgu, opera 1821.—Miłości Hulańskie, komedyo-opera 1822.—Mistyfikator czyli maskarada domowa, komedyo-opera 1822.—Nowy Rok, scena allegoryczna grana d. 23 grudnia 1822 r., napisana wspólnie z Dominikiem Lisieckim.—Pustoty karnawałowe, komedyo-opera 1822.—Pan Notaryusz komedyo-opera 1823.—Trzy upiory, komedyo-opera 1822.—Wilk na pokucie, komedyo-opera 1823.—Walerya, komedya w 3ch aktach z francuzkiego.

Oprócz sztuk powyżej wymienionych miał napisać podług wiadomości podanych przez Gazetę Warszawską, libretto do opery Telemak. Przetłumaczył operę: *Turek we Włoszech*; komedye Ponsarda pod tytułem: Honor i pieniądze; Popularność Delavigna; tragedya Manfred i dwie komedye z francuzkiego, których tytułów nie wymieniono. Ostatnie te pięć sztuk tłumaczył w późniejszych latach życia swojego.

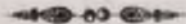
Mieszkał w Warszawie do końca roku 1824, potem wyjechał do gubernii Wołyńskiej i osiadł we wsi Kidry.

Długie lata przepędził zagranicą i oddawał się pracom literackim i historycznym. Wspomnimy o tych które doszły

do wiadomości naszej. 1) Wstępna prelekcya do statystyki i historii kraju. 2) Ocenienie pamiętnika Hanza Szlązaka. 3) O reformach społecznych w końcu XVIII wieku. 4) Pamiętnik oblężenia Mantui z pism pozostałych po jego ojcu. 5) Pamiętnik księcia Józefa Poniatowskiego o kampanii 1792 r. 6) *Biblioteca fratrum polonorum*, poszukiwanie bibliograficzne. Jestto wiadomość o dziełach Socynianów, Aryanami zwanych, którzy uchwałą sejmową za Jana Kazimierza z kraju wydalenii zostali. 7) Duch i dążność wieku terażniejszego. Pisma te i inne, o których nie wiemy, umieszczał w dziennikach naukowych lwowskich i krakowskich a głównie w Bibliotece Ossolińskich. Od lat kilku stale zamieszkał we Lwowie i był jak to wspomnieliśmy powyżej, kustoszem Zakładu Ossolińskich.

† Dnia 23 maja r. b. w niedzielę o godzinie w pół do pierwszej w południe zakończył życie w Krakowie Apollo Natęcz Korzeniowski, od wielu lat stały współpracownik naszego pisma. Drukowaliśmy przekłady jego z Wiktora Hugo Hernaniego, i Maryą Delorme, a dawniej w części *komedya* i drobniejsze utwory, oraz w ostatnich latach studia nad Szekspirem. Oddzielnie wyszły: *Komedya* z ulotnemi poezjami, które nazwał *strofami oderwanemi*; oraz komedya: *Dla miłego grosza* zalecająca się tak pięknnością wiersza jak myślą. Urodził się w okolicy Braclawia 1822 r. Nauki pobierał w Winnicy, a następnie w Żytomierzu. Wyższe studia ukończył w Uniwersytecie Petersburgskim. Żwłoki zmarłego pochowano na cmentarzu miejscowym, gdzie spoczywają: I. S. Bandtkie, J. Muczkowski, E. Wasilewski, Ambroży Grabowski.

† Dnia 23 maja r. b. w Pradze umarł nagle Dr. Ignacy Jan Hanusz, bibliotekarz Wszechnicy Pragskiej, b. professor filozofii na Uniwersytecie Lwowskim, znany badacz starożytności słowiańskich. W świecie naukowym, tak pracami ogłoszonymi drukiem, jak wytrawnością sądu, zjednał sobie wielką powagę.



Redakcya Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Kwiecień, 1869.

Kwiecień, 1869.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
 długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7 czyli w łuku 18°41'25'',5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		746.13	746.88	747.12	748.26	747.098	- 0.4	+ 5.2	+ 8.4	+ 29.9	+ 40.03
2		749.36	750.00	749.46	749.60	749.610	+ 0.4	3.4	13.1	5.6	6.88
3	☾	748.21	747.55	746.01	746.01	746.945	4.4	9.6	13.7	9.2	9.23
4		744.47	743.54	742.56	745.69	744.085	5.6	10.6	13.5	7.3	9.25
5		747.88	749.85	751.72	754.33	750.945	4.6	10.0	15.0	10.2	9.95
6		757.35	758.20	758.23	758.67	758.113	6.3	10.2	12.1	6.9	8.88
7		757.96	757.39	754.85	753.43	755.908	2.3	12.4	15.2	6.7	9.15
8	Apog.	752.36	752.39	751.94	752.22	752.228	4.4	11.9	12.1	9.4	9.45
9		752.14	752.64	753.24	755.99	753.503	7.5	6.1	5.4	4.6	5.90
10	Rew.	759.38	760.77	759.60	758.67	759.605	2.0	5.3	9.2	3.8	5.08
11		753.89	752.52	751.66	754.82	753.223	4.1	10.4	14.9	8.9	9.58
12	☉	754.70	755.60	757.06	758.52	756.470	5.4	7.9	5.2	3.4	5.18
13		759.74	760.09	759.42	760.23	759.870	- 0.4	3.1	5.6	1.0	2.33
14		760.22	759.84	756.97	755.49	758.130	+ 0.8	6.2	8.3	3.6	4.73
15		752.67	751.20	747.85	745.56	749.320	2.9	11.8	19.1	11.6	11.35
16		742.85	742.14	739.32	737.82	740.528	11.5	18.2	22.4	15.0	16.78
17		738.16	738.19	737.74	738.41	738.125	11.9	16.7	19.0	12.7	15.08
18		738.67	739.09	738.84	738.27	738.718	10.6	16.7	21.6	13.7	15.65
19	☾	739.92	740.31	743.99	748.95	743.293	7.8	9.4	9.2	5.2	7.90
20		753.74	755.10	755.12	756.86	755.205	0.6	4.1	9.6	5.2	4.88
21		758.16	758.38	757.13	756.79	757.615	2.7	10.2	15.3	8.3	9.13
22		757.11	757.20	755.67	756.80	756.695	7.7	14.1	16.7	11.2	12.43
23		757.52	757.65	756.27	756.82	757.065	8.6	14.0	18.0	10.6	12.80
24	Perig.	756.85	756.76	754.31	754.90	755.705	6.5	13.7	18.3	10.4	12.23
25	Rów.	754.88	755.35	754.66	755.43	755.055	8.1	15.7	19.2	11.8	13.70
26	☉	758.64	758.01	757.50	758.49	758.160	9.0	16.5	20.4	13.4	14.83
27		759.61	759.61	758.86	757.19	758.820	9.7	17.9	22.8	16.7	16.78
28		755.69	754.96	751.17	747.39	752.303	10.2	16.7	20.7	14.8	15.60
29		750.28	751.96	751.36	751.42	751.255	3.6	5.7	9.6	3.1	5.50
30		745.62	743.74	743.88	746.23	744.868	2.2	6.3	6.3	0.1	3.73
Sr.		752.139	752.230	751.447	751.975	751.948	+5.35	+10.83	+14.00	+8.24	+ 9.61

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5'',
 na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle.	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	śnież.	mm	stop.
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.	czu	gu	UB	MD.P
66.1	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.				6 3
69.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.				5 9
69.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PnW1.	PdZ1.	PdZ1.				5 2
63.5	napół pog.	pogodny	napół pog.	pochm.	PdZ1.	PnW1.	W2.	PdW1.				5 0
76.0	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				5 0
83.0	poc. mgła	pochm.	napół pog.	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				4 11
58.8	pog. mgła	pogodny	p. godny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				4 9
77.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				4 9
93.5	poc. d. m.	poc. dész.	pochm.	napół pog.	Pd1.	PdZ1.	Pd1.	PdW1.	1.7			5 0
71.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.				5 0
73.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	W1.	PdW1.	0.2			4 11
75.8	pochm.	pochm.	poc. dész.	pochm.	PdW2.	PdW2.	PdW1.	PdW2.	2.1			4 10
64.8	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	PdZ1.	Z1.	Z1.	PnZ1.				4 8
64.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnZ1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.				4 6
64.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdZ1.	Z1.				4 7
56.0	napół pog.	pogodny	pogodny	napół pog.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	0.2			4 8
62.0	pochm.	napół pog.	pogodny	pochm.	Pd1.	PdZ1.	Z1.	PdW1.	0.3			4 8
59.0	napół pog.	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW1.	PdZ1.	Pn1.	Pn1.				4 8
74.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnW3.	Pn2.	Pn3.	PnZ2.				4 10
56.5	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.				4 10
44.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	pochm.	Pn1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.				4 5
38.8	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	W1.	W1.	W2.	PdW1.				4 2
46.5	pochm.	napół pog.	napół pog.	napół pog.	PnW1.	W1.	PdW1.	W1.				3 10
50.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	Pd1.	W1.				3 10
45.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PdW1.	PdW1.	W1.				3 10
45.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	PnW1.	W1.	PdW1.				5 1
38.3	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	W1.	W1.	Z1.	Pn1.				4 6
50.8	pochm.	pogodny	pogodny	pog. z ch.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	Z2.				4 1
48.3	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Pd3.	PnZ4.	PnZ4.	PnZ3.	0.2			4
61.5	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z2.	Z1.	Pn4.	PnZ3.	0.3			3 11
61.6									4.8	0.2		4 8.2

	m.	o.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.948	27	9.386
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o g. 10 rano	760.77	28	1.246
Najniżej — — d. 17 o g. 4 po poł.	737.74	27	3.087
Średnia dzienna zmiana barometru	3.961		1.756
Największa dzienna zmiana barometru d. 19—20 o godz. 10 rano	14.79		6.556
Średnia wysokość barometru jest większą o	3.405		1.510
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	748.543	27	7.826
Średnia temperatura kwietnia wynosi	+ 9 ^o .21 C.	+	7 ^o .37 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.12		2.50
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 o godz. 4 po poł.	12.4		9.9
Średnia temperatura marca jest wyższą o	2.05		1.64
od stanu normalnego z 43 lat poprzedzających	+ 7.16	+	5.73
Termometrograf wskazał: Maximum: + 23 ^o .5 C. = + 18 ^o .8 R. d. 27 po poł.			
Minimum: — 1.0 „ = — 0.8 „ d. 13 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 61.6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5.7 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 13.2 setnych od normalnej (74.8).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 4.8 mil. czyli 2.13 lin. par., ze śniegu 0.2 mil. czyli 0.09 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 5.0 mil. czyli 2.22 lin. par., mniej o 35.3 mil. czyli 15.65 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w kwietniu spada (40.3 mil. czyli 18.62 lin. par.).

Dni pogodnych 11, napółpogodnych 6, pochmurnych 13.

- deszczu 6: (d. 9, 11, 12, 16, 17 i 30).
- śniegu d. 1: (d. 29).
- mgły 3: (d. 6, 7 i 9).
- gradu i krup 2: (d. 29 i 30).
- błyskawic bez grzmotów 1: (d. 15).
- wichrów 2: (d. 29 i 30).

Wiatr panujący północno-wschodni.

Kwiecień b. r. był pogodny, bardzo suchy i ciepły. Średnia jego temperatura + 7,4 stop. R. o 1,7 stop. R. wyższa od normalnej (5,7 stop. R.) a o 1,0 stop. R. jak w r. z. Z początku miesiąca, przy stałym prawie wietrze południowo-wschodnim i niebie napół pogodnym, powietrze było mało zmienne i w ogóle ciepłe, potem jednak w ciągu miesiąca temperatura dwukrotnie przedstawiała znaczne zmiany, gdy bowiem d. 13 termometr spadł poniżej zera, już d. 15 znaczne panowało ciepło; po czterodniowych upałach znowu nagle się oziębiło, a od d. 22 do 29 temperatura powietrza przypominała dni czerwcowe. Ostatnie dwa dni miesiąca były niepogodne, wietrzne i chłodne. Największa zmiana dzienna temperatury 9,9 stop. R. przypadała z d. 18 na 19 w czasie ostatniej kwadry księżycy. Barometr wraz z temperaturą dość znacznie w ciągu miesiąca ulegał zmianom, lecz w ogóle utrzymywał się wyżej jak zwykle; największa jego zmiana dzienna 0,56 lin. par. przypadała z d. 19 na 20, również jak zmiana temperatury w czasie pierwszej kwadry księżycy. Deszcze padały bardzo rzadko i nieobficie, śnieg raz jeden tylko miał miejsce. Wody z deszczu i śniegu spadło co do wysokości osm razy mniej jak normalnie, a tak mała ilość w przeciągu 42 lat ostatnich spadła raz jeden tylko w r. 1840. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był znacznie pogodniejszy jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 5,4: 11,4: 13,2 gdy tymczasem w b. m. jest jak: 11: 6: 13. Wiatr panujący był południowo-wschodni.

D. 15 o godz. 9¹/₂ wiecz. jaśniała przez kwadrans dość świetna zorza północna, którą widziano także w wielu miejscach Europy.

W ciągu b. m. liczne plamy pokrywały tarczę słoneczną, obserwowano je w dniach: 10, 15, 16, 17, 18, 20, 21, 23, 24, 25, 26 i 28.

D. 16 koło białe otaczało księżyc.

D. 1 o godz. 7 m. 3 rano w Bukareszcie czuć się dało gwałtowne trzęsienie ziemi, posuwające się od zachodu na wschód.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 4 cali 8,2 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 1..... stop 6 " 3 " "

" " najmniejsza " d. 23 i 24..... stop 3 " 10 " "

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1869.

Dzieje współczesne.

	Stron.
Hiszpania, przez <i>F. Krupińskiego</i>	1

Literatura.

Obecne stanowisko dramatu w Serbii. (Z wykładu Ludwika Leger). Przez <i>J. B.</i>	63
---	----

Literatura polska.

O fantazyi i humorystyce w piśmiennictwie polskiem, przez <i>Karola Mecherzyńskiego</i>	80
Symonowicz i jego sielanki, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	177

Życiorysy.

Dawid Garrick, przez <i>E. L.</i>	462
---	-----

Filozofia.

Pozytywizm, jego metoda i następstwa, przez <i>Kasimierza Kaszewskiego</i>	434
---	-----

Astronomia.

Początek kuli ziemskiej i jej przyszłość, przez <i>Stanisława Kaczkowskiego</i> ...	92
O badaniach rozbioru widma słonecznego, oraz innych ciał niebieskich, przez <i>J. Kowalczyka</i>	280

Geografia.

Stron.

Odkrycia i podróże geograficzne. W roku 1868, przez A. P. (dokończenie). 22

Poezya.

Z Petrarki. Canzone II, przez Felicyana..... 294

Powieść.

Abdallah, czyli Czterolistna koniczyna. Powieść arabska Edwarda Laboulaye, przez J. B..... 208. 361

Korrespondencya.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna:

„L'Académie des Sciences et les Academiciens, de 1666 à 1793” tom jeden, przez Józefa Bertrand członka Instytutu.— Prelekcya Guizota syna w Francuzkiem Kollegium. — „Arnauld di Brescia” rozbiór krytyczny profesora Mezières. — „On Papal Conclaves” napisał Anglik Cartwright, na francuzkie przełożył Scherer. — „Przechodzień” komedia wierszem przez p. Coppée. — Wiadomości literackie. — Ś. p. Lamartine..... 108

Wspomnienie Lamartina. — „Les Bleus et les Blancs” pięcio-aktowy dramat Alexandra Dumasa: wizerunek Saint-Just'a, — Sen Alfonsa Karr'a. Nie ma swobody bez prostoty. — Wiadomości literackie. — Dzieła medyczne Raciborskiego 297

Z Florencyi od F. Z..... 311

Prelekcya p. Legouvé „O stosunku panów ze służącymi.” — Przyjęcie pana Autran do Akademii francuzkiej. — „Żmije” tom pierwszy Ludwika Vuillot. — „Gutenberg” pięcio-aktowy dramat wierszem, Edwarda Fournier. — „Vautrin” Balzaka: jego dzieło zupełnie. — „Rienzi” opera Ryszarda Wagnera w teatrze Lirycznym. — Wiktora Hugo romans „l'Homme qui rit” tom pierwszy: Prolog. — Porównanie ceny dzieł Wiktora Hugo z zapłatą poematów lorda Bayrona. — Wiadomości literackie..... 491

Przegląd teatralny.

„Kupiec wenecki.” Komedia Szekspira, przekład Augusta Jeskiego w 5-ciu aktach a 8-iu obrazach. — „Zemsta pani hrabiny.” Komedia w 3-ach aktach, napisana przez Z. Sarneckiego. Przez E. Lubowskiego..... 335

W. Rapacki artysta Teatru krakowskiego. — „Radey pana radey” komedia w 3-ach aktach p. M. Bałuckiego. — „Polowanie na męża” komedia w 2-ach aktach p. M. Bałuckiego. Przez E. Lubowskiego..... 527

Pismienictwo krajowe i zagraniczne.

	Stron.
Orbeka. (Warszawa, druk i nakład Lewentala, 1869 r.). Przez <i>Kazimie- rza Kaszewskiego</i>	127
Wędrówki Stryjaszka: Kilka obrazków Leona Kunickiego. Warszawa. 1869. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	133
„Zarysy filozofii natury” przez Henryka Levittoux, Doktora Medycyny Uniwersytetu Paryzkiego i byłej Rady Lekarskiej w Królestwie Pol- skiem. Warszawa. 1869. Przez <i>Bronisława Strzeńskiego</i>	136
O instytucji hipotecznej w Królestwie Polskiem, przez Karola Hube Pisa- rza kancellaryi ziemskiej gubernii warszawskiej. Część pierwsza, Warszawa. 1869. Przez <i>A. J. S.</i>	142
Za miesiąc, fotografia bez retuszu. Zdjęł z natury Wołody Skiba, War- szawa. 1869. Przez <i>Chm.</i>	143
<i>Literatura dramatyczna w Niemczech.</i> — I. Dramaty Heysego: 1) Elżbieta Karolina w 5ciu aktach. 2) Hans Lange dramat w pięciu aktach. II. 3) Złe języki komedya w 5ciu aktach II. Laubego. Przez <i>Edwar- da Lubowskiego</i>	148
Czy w literaturze naszój było dwóch współczesnych sobie Stanisławów Sarnickich? (Zadanie do ostatecznego rozstrzygnięcia). Przez <i>F. Max. Sobieszczańskiego</i>	315
Zarząd gospodarstwa, przez Leona Kąkolewskiego. Warszawa. 1869. Przez <i>Zygmunta Jaroszewskiego</i>	322
Odpowiedź na krytykę pana Bronisława Strzeńskiego, zamieszczoną w zeszyte IV Biblioteki Warszawskiej, za kwiecień 1869. Przez <i>Dra Levittoux</i>	326
Zorza, pismo niedzielne z obrazkami, poświęcone dla ludu wiejskiego i miejskiego. Rok III. Przez <i>A. A. K.</i>	511
Opisnie książki wydanej w r. 1535 przez Andrzeja Glabra z Kobylina pod tytułem: „Problemata Aristotelis” i sprostowanie zdań o tém dzie- le. Przez <i>F. Max. Sobieszczańskiego</i>	515
Stanowisko państwa w obec kolei żelaznych, z uwzględnieniem szczegó- l-ném stosunków zachodzących w Austryi, napisał Mieczysław Bo- chenek, docent ekonomii politycznej przy uniwersytecie Jagielloń- skim. Kraków. 1869. Przez <i>E. L.</i>	24
Wiadomości bieżące i rozmaitości.....	166, 348, 535
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc luty r. b.....	173
— — marzec r. b.....	357
— — kwiecień r. b.....	545



SPROSTOWANIE.

W zeszytcie styczniowym w korespondencyi z Florencyi:

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj.</i>
152	12	pavere	pavese
	13	dwie gazety	dużo gazet
	14	dwie	dużo
	13	Imerita	I mariti
	31, 33, 36 i 40	Henterello	Stenterello
W zeszytcie przeszlym za maj r. b.			
327	10 od góry	„więc też uważałem za stosowne w pierwszej chwili na nie odpowiadać.”	„Więc też <i>nieważałem</i> za stosowne.” i t.d.
328	26 od góry	„porządku.”	„ <i>porzątku.</i> ”
331	20 od góry	„w sobie samym.”	„ <i>w sobie samej.</i> ”
„	24 od góry	„układu cząstek materialnych.”	„ <i>układu cząstek materialnie go stanowiących.</i> ”

